



Aleksandra Tyl

# KARMELOWA JESIEŃ

*prozaimi*



Aleksandra Tyl

KARMELOWA  
JESIEŃ



# *Spis treści*

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30



# Rozdział 1



Marianne obudził krzyk. Przedzierał się do świadomości, próbując pokonać pulsujący w skroniach ból. Od kilku dni zasypiała wspomagana tabletkami i nie budziła się wcześniej niż przed południem.

Dopiero po kilku minutach, kiedy – czując podenerwowanie – wsłuchiwała się w hałas za oknem, zrozumiała, że krzyk, który z takim impetem wdarł się do jej głowy, nie jest niczym złym. To tylko krzyczące i śmiejące się dzieci, które biegały dookoła studni na Rynku, korzystając z ostatnich dni wakacji. Marianna, nie patrząc na zegarek wskazujący już pierwszą, z powrotem przyłożyła głowę do poduszki i zamknęła oczy. Chciała zasnąć. Pragnęła spać najdłużej, jak się da. A najlepiej nigdy się nie obudzić.

Pukanie nie ustawało. Marianna niechętnie zwlekła się z łóżka i zeszła na dół.

– Alicja? – spytała słabym głosem i otworzyła drzwi, wpuszczając koleżankę do środka.

– Mój Boże, dlaczego nie zadzwoniłaś? – Alicja przytuliła Mariannę.

Dziewczyna spojrzała nieprzytomnie i wzruszyła ramionami. Była blada. Podkrążone oczy podkreślały smutek towarzyszący jej już od tygodnia. Miała na sobie ciemny dres, który najwyraźniej służył jej też za piżamę.

– Jadłaś coś? Przywiozłam pierogi, odgrzeję ci.

– Nie jestem głodna.

– Wiem. Ale musisz jeść. Chodź. – Alicja pociągnęła Mariannę za sobą do kuchni. Nie przeraził jej widok piętrzących się w zlewie kubków po herbacie. Zmartwiło ją natomiast, że oprócz kubków nie było tam innych naczyń, które świadczyłyby o tym, że Marianna cokolwiek jadła. Lodówka, do której Alicja mimochodem zajrzała, także była niemal pusta.

– Gdzie masz patelnię i olej? – spytała, usadziwszy Mariannę na krześle niczym lalkę.

– Nie jestem głodna – powtórzyła matowym głosem Marianna. – Chce mi się spać.

– Dobrze. Pójdziesz spać, ale najpierw zjesz. Chociaż odrobinę. Mam ruskie i z mięsem. Które wolisz?

Marianna nie odpowiedziała. Alicja, niezrażona, przetrząsała szafki w poszukiwaniu potrzebnych jej rzeczy. Już po chwili na patelni skwierczały kupione jeszcze w Warszawie pierogi.

– Mmmm, pychota. – Alicja wzięła głęboki oddech nosem, upajając się aromatem. – Naprawdę, zasmakują ci.

– Niepotrzebnie przyjeżdżałaś – powiedziała cicho Marianna. – Za chwilę początek roku szkolnego, powinnaś zająć się Matyldą, a nie mną... Daję sobie radę.

– Kochana, przyjechałabym wcześniej. Bardzo żałuję, że nie było mnie na pogrzebie... Ale nie wiedziałam. Dlaczego nie zadzwoniłaś?

– Przepraszam, nie pomyślałam... A Konrad ci nie przekazał?

Alicja drgnęła.

– Nie rozmawialiśmy – wyjaśniła krótko. Nie chciała teraz rozwijać tematu Konrada, uznała, że to nie najlepszy czas, by o tym mówić. – Odkąd wyjechałam z Polanki, tyle się zdarzyło... – szybko zmieniła temat. – Postanowiłam otworzyć galerię.

– Naprawdę? – Marianna lekko się ożywiła. – To wspaniale.

– To na razie tylko pomysł – uściśliła Alicja. – Nie mam jeszcze pieniędzy, ale wierzę, że jak przygotuję konkretny plan, to i one się znajdą. Na razie szukam lokalu, orientuję się w cenach, odświeżam znajomości na tym rynku, rozglądam się za nazwiskami, robię biznesplan. Kiedy będę już wszystko miała, to spotkam się z sąsiadem, który specjalizuje się w pozyskiwaniu funduszy europejskich...

Marianna z aprobatą pokiwała głową.

– Proszę bardzo. – Alicja zdjęła pierogi z patelni i postawiła talerz przed Marianną. – Nie odejdziesz od stołu, dopóki nie zjesz choć kilku. – Pogroziła palcem.

Marianna posłusznie zanurzyła widelec w pierogu i podniosła go do ust. W tym czasie Alicja wrzuciła na patelnię kolejną porcję, tym razem dla siebie. Wyjechała z Warszawy skoro świt, próbując się dzień wcześniej bezskutecznie dodzwonić do Marianny. Zaniepokojona, postanowiła przejechać trasę bez zbędnego zatrzymywania się na jedzenie czy kawę. Teraz poczuła się naprawdę głodna.

– Smacznego – powiedziała, kiedy jej pierogi były już gotowe, i usiadła z talerzem naprzeciw Marianny.

– Smacznego – odpowiedziała Marianna, siląc się na uśmiech. Nie wyszedł jej. Była zbyt słaba. Alicja zauważyła jednak, że w miarę jedzenia apetyt Marianny rośnie, a jej blada dotychczas twarz zaczyna nabierać zdrowego odcienia.

Jadły w milczeniu. Po skończonym posiłku Alicja przygotowała herbatę i pozmywała naczynia. Przez chwilę krzątała się, wycierając szklanki i ustawiając je w szafce nad zlewem, a następnie otworzyła na oścież okno i wpuściła do kuchni przyjemny strumień chłodnego powietrza.

– Przepraszam, nie mam nawet babeczek, żeby cię poczęstować – westchnęła Marianna smutno.

– Żartujesz? Nie oczekuję, że będziesz mnie podejmować. Przyjechałam, ponieważ się martwiłam. Wczoraj zadzwoniła do mnie ciocia Józefina – sama dowiedziała się od sąsiadki. Też żałuje, że nie była na pogrzebie. Nie wiedziała. Była wtedy we Wrocławiu z panią Teresą. Prosiła, żeby przekazać ci kondolencje. Sama chciała to zrobić, przyszła tu wczoraj, pukała, ale nie otworzyłaś.

– Pewnie nie słyszałam...

– Marianna... Jak to się właściwie stało? Przecież kiedy wyjeżdżałam z Polanki, twoja babcia czuła się całkiem nieźle...

– Nie wiem. Naprawdę. Zadaję sobie to pytanie od tyłu dni, że już nawet nie mam siły o tym myśleć.

– Rozumiem.

– Wylew. Już drugi, ale tym razem śmiertelny. Najgorsze, że czuję się winna. – Mariannie zaszkliły się oczy, a broda zaczęła drżeć.

– Ale dlaczego?! – Alicja doskoczyła do koleżanki i przytuliła ją, żeby powstrzymać wybuch płaczu. – Dlaczego czujesz się winna? Przecież dobrze opiekowałaś się babcią, nie możesz mieć sobie nic do zarzucenia! To była starsza, schorowana osoba. Nie miałaś na to wpływu.

– Miałam. – Marianna zaczęła łkać, a po chwili łkanie zamieniło się w spazmatyczny szloch.

Alicja pobiegła po chusteczki, ale ponieważ nigdzie nie mogła ich znaleźć, przyniosła rolkę papieru toaletowego, urwała kilka listków i podała Mariannie.

– Dziękuję – wyszlochała Marianna, starając się opanować płacz. Jej ciałem wstrząsały dreszcze.

– Jednak zamknę okno – zdecydowała Alicja.

– Nie mogę sobie darować... – Marianna po dłuższej chwili potarła oczy i głęboko westchnęła.

– Ale czego?

– Że jej powiedziałam!

– Powiedziałaś, że prawdopodobnie ma siostrę? Przecież miałaś zrobić to dopiero wtedy, kiedy wszystko będzie już pewne.

– Tak planowałam. Ale wiesz, jacy są ludzie. Kiedy w lokalnej telewizji został wyświetlony reportaż...

– Była w nim mowa o twojej babci? – Alicja się zdziwiła. Doskonale pamiętała, co się działo, brała w tym udział. W czasie wakacji, które spędzała w Polance, miejscowy komendant odkrył tajemnicę opuszczonego domu w Polance oraz rodziny zamieszkującej go przed wojną. Nie było stuprocentowej pewności, że babcia Marianny jest córką właścicieli, ale wiele na to wskazywało.

– Nie podali nazwiska, ale pojawiła się sugestia... No i nakręcili też mnie, jak wychodzę z posterunku. To wystarczyło, żeby wieś zaczęła snuć domysły...

– O mój Boże...

– Nie chciałam, żeby babcia dowiedziała się od ludzi. Dlatego powiedziałam jej o tym, co odkrył komendant. Zasugerowałam, że być może babcia ma rodzinę. Wspomniałam oczywiście, że to wymaga dalszych badań i niewykluczone, że sprawa okaże się pomyłką, ale jednak...

– Rozumiem, że ta wiadomość była dla niej szokiem.

– Przyjęła ją całkiem dobrze. Nawet się ucieszyła, że istnieją możliwości, żeby to sprawdzić, sama była ciekawa. Wręcz podekscytowana. A mimo to wieczorem nastąpił wylew.

– Może z nadmiaru emocji.

– No właśnie... – Marianna ukryła twarz w dłoniach. – Żałuję, że jej powiedziałam.

– Ale przecież prędzej czy później musiałybyś to zrobić.

– Wcale nie. Nic bym nie musiała. Przecież miałam zrobić badania DNA. Gdyby nic nie wykazały, nie byłoby tematu.

– A gdyby wykazały?

– Wtedy sprawa byłaby jasna. A tak? Wprawiłam babcię w stan niepewności. Być może myślała o tym... Może wspominała dzieciństwo, próbowała coś odtworzyć... Nie mam pojęcia. Żałuję, że tak się stało.

– Nie możesz robić sobie wyrzutów.

Marianna znów potarła oczy. Łzy leciały mimowolnie.

– Chciałabym cofnąć czas – wyszeptła. – Chciałabym zasnąć i obudzić się znów tego dnia, kiedy rodzice szykowali uroczysty obiad z okazji mojej matury, a babcia piekła dla mnie szarlotkę. Zapach unosił się w całym domu. Jęczałam wtedy, że nie mam koleżanek, z którymi mogłabym wyjść na imprezę. Cieszyłam się, że niebawem jadę na studia i zaczynam nowe życie... Dziś już bym nie jęczała. I nie wyjeżdżałabym. Co mi z tego przyszło?

– Kochana, ale nie mogłaś przewidzieć, co się wydarzy.

– Chcę zasnąć i już nigdy się nie obudzić.

– Wiem. – Alicja wstała i energicznie klasnęła w dłonie. – Pakuj się. Pośpisz sobie u mnie.

Marianna spojrzała na przyjaciółkę nieprzytomnym wzrokiem.

– Nie rozumiem.

– Zabieram cię do Warszawy.

– Nie chcę.

– Nie zostawię cię samej. Posiedziałybyś tu, ale jutro muszę oddać Dorocie samochód. Poza tym niebawem przyjeżdża Matylda, za chwilę zaczyna się szkoła. Dlatego pomieszkasz u mnie. Dopóki się nie wypisz.

– Dziękuję, Alicja. To miło z twojej strony, ale naprawdę nie mam ochoty nigdzie jechać. Muszę pójść na cmentarz, uprzątnąć kwiaty, pewnie już zwiędły od pogrzebu.

– Tym zajmie się ciocia Józefina – zdecydowała Alicja.

– Naprawdę nie mogę.

– Nie przyjmuję odmowy. Sama cię spakuję. Gdzie szafa?

Alicja, nie czekając na odpowiedź, wyszła z kuchni i żwawym krokiem poszła na górę. Sypialnia Marianny znajdowała się na wprost schodów. Alicja przez chwilę stała zachwycona wyglądem tego pokoju. Był tak uroczo romantyczny, że przyszło jej na myśl, iż nie powstydziliby się go sama Ania z Zielonego Wzgórza. Dębowe meble przyjemnie kontrastowały z delikatną tapetą, której wzór stanowiły małe różyczki. Na ścianach wisiały rodzinne fotografie w kremowych ramkach, a na półkach oprócz książek stały drobne bibeloty przywiezione z zagranicznych podróży. Było dziewczęco, ale nie infantylnie. Uporządkowana przestrzeń zachęcała do tego, żeby posiedzieć w tym pokoju dłużej. I tylko bałagan na podłodze przy łóżku wskazywał, że w życiu Marianny zapanował chaos. Z ozdobnych pudełek została wyrzucona zawartość, którą stanowiły albumy, zdjęcia i dokumenty.

Alicja przykucnęła i zaczęła porządkować rzeczy, wkładając je z powrotem do pudełek.

– Nie chowaj tego – usłyszała nagle za sobą głos Marianny. – To moje życie. Całe noce spędzam na przeglądaniu tych papierów i zdjęć.

– Co chcesz w nich znaleźć? – spytała Alicja spokojnie.

– Przeszłość. Chcę, żeby było jak dawniej. Zobacz, tu na przykład jest bilet do cyrku. – Marianna z czułością podniosła pognieciony kwit. – Kiedy go trzymam i zamykam oczy, wydaje mi się, że słyszę śmiech klauna, ryk lwa i tatę, który szepce mi do ucha, że to tylko cyrk i że bym się nie bała. Czuję zapach waty cukrowej... – Z oczu Marianny pociekły łzy.

– Cenna pamiątka. – Alicja uśmiechnęła się i delikatnie wyjęła bilet z rąk Marianny. Schowała go do pudełka.

– Nie chowaj tego – płaczącym głosem poprosiła Marianna, siadając na podłodze. Brakowało jej sił, żeby zaprotestować głośniejsze. – To całe moje życie – powtórzyła cicho.

– Nie, Marianna, to nie jest twoje życie. – Alicja pogłaskała koleżankę po plecach. – To są twoje wspomnienia. Część życia. Cegły, z których jest ono zbudowane.

– Nic nie rozumiesz – westchnęła Marianna. – Te cegły runęły, nie ma już nic. Moi rodzice nie żyją, babcia nie żyje. Nie ma już nic.

– Mylisz się. Cegły nie runęły, to tylko w twojej głowie świat rozpadł się na kawałki. Te cegły są mocniejsze, niż myślisz, i to właśnie dzięki nim będziesz mogła budować dalej. Tylko musisz odpocząć. Dlatego schowamy pamiątki do pudełek, wrócisz do nich za jakiś czas. Na razie spakujemy kilka rzeczy i w drogę. Masz torbę podróżną?

– Pod łóżkiem. – Marianna się poddała.

Alicja odłożyła pudełka i wysunęła spod łóżka staromodną walizę z brązowej skóry. Następnie wstała, podeszła do trzydrzwiowej szafy i otworzyła ją. Na chwilę zastygła w bezruchu, wpatrując się jak zaczarowana w równiutkie rzędy wiszących na wieszakach sukienek.

– O rany, ale kolekcja! – krzyknęła spontanicznie.

– Niektóre jeszcze po mamie... – westchnęła cicho Marianna.

– Piękne – przyznała Alicja i delikatnie przesunęła dłonią po miękkich materiałach. – Które spakować?

– Wszystko jedno. – Marianna wzruszyła ramionami.

Mimo podłego nastroju Marianna przed wyjściem przebrała się w sukienkę, a dres wrzuciła do kosza na pranie.



Z samochodowego radia płynęła spokojna muzyka. Alicja, prowadząc auto, wolała słuchać czegoś bardziej dynamicznego, jednak teraz, z uwagi na Mariannę, wyszukała stację nadającą klasykę.

Marianna usiłowała drzemać, ale sen miała płytki i niespokojny. Budziła się i szeroko otwierała oczy, jakby wytrącona z koszmaru próbowała przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. W końcu odpuściła sen i z głową opartą o szybę patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Alicja milczała. Nie chciała zagadywać Marianny na siłę. Nie była w stanie sobie nawet wyobrazić tego, co czuje przyjaciółka, jednak domyślała się, że pogrążony w rozpacz człowiek woli sam podjąć rozmowę, gdy jest na nią gotów.

Po dwóch godzinach drogi Alicja zatrzymała się na stacji benzynowej, żeby zatankować i napić się kawy. O dziwo Marianna także poprosiła o kubek czarnej americano. Alicja pomyślała, że może Mariannie wrócił apetyt, i zaproponowała coś do jedzenia, ale przyjaciółka stanowczo odmówiła. Skusiła się tylko na małego wafelka.

Dobre i to – pomyślała Alicja. Szybko przeliczyła liczbę kalorii, których tego dnia Marianna zdołała dostarczyć organizmowi. Cztery pierogi i wafelek. I kawa. Niecały tysiąc, jak na diecie. Jeśli nic się nie zmieni w najbliższych dniach, trzeba będzie zasięgnąć porady lekarza.

Marianna nie zwracała uwagi na obserwującą ją Alicję. Nie widziała, że koleżanka pilnuje każdego kęsa, modląc się w duchu, żeby batonik został zjedzony do końca. Dlatego też nie odnotowała tego, że Alicja odetchnęła z ulgą, kiedy w koszu wylądował pusty papiererek.

Dalsza podróż była mniej monotonna, ponieważ Marianna, pobudzona kawą, nagle zaczęła mówić. Jakby naszła ją niespodziewana ochota, by wyrzucić z siebie to wszystko, co ją od wielu dni męczyło. Alicja próbowała ją pocieszać, ale zauważywszy, że Marianna nie pragnie pociechy, lecz wsparcia, umilkła i tylko wyrozumiale kiwała głową.

Marianna mówiła o rodzinie. Usiłowała zrozumieć, dlaczego takie nieszczęście właśnie ją spotkało i dlaczego w tak krótkim czasie przez jej życie przetoczyło się tyle okropnych zdarzeń. Potem, kiedy wyrzuciła z siebie największe żale, zaczęła wspominać minione czasy. Opowiadała o mamie, która była niczym kolorowy ptak – nosiła barwne ubrania i dbała o to, by świat wokół niej miał tylko jasne barwy. O tacie, wiecznie zapracowanym, pragnącym rozwijać kulinarne interesy, ale jednocześnie rodzinnym i ciepłym. Marianna nigdy nie odczuła, że rodzice nie poświęcają jej tyle uwagi, ile w danej chwili potrzebowała. Byli na każde wezwanie, wspierając jej pomysły i umożliwiając ich realizację. I choć nie była rozpieszczona, to nie miała też poczucia, że jej życie wygląda inaczej niż rówieśników. Opowieści o tym, że kogoś nie stać nie tylko na zagraniczne studia, ale nawet krajowe, były dla niej abstrakcyjne. W jej świecie pieniądze nie grały roli, ponieważ nigdy ich nie brakowało i nie było potrzeby, aby o nich myśleć.

Rozmawiając z Alicją, Marianna pociągała nosem. Wspomnienia o rodzicach były jeszcze zbyt bolesne, żeby pozwolić na powstrzymanie emocji.

– Nie wiem, jak będę teraz żyła – powiedziała, połykając łzy.

– Dasz radę, po prostu potrzebujesz czasu. – Alicja nie miała wątpliwości. – Miałaś cudowną rodzinę, dali ci wszystko, o czym może marzyć dziecko. To olbrzymia wartość, naprawdę. Za jakiś czas nabierzesz dystansu do tego, co się stało. Nie mówię, że przestaniesz tęsknić, ale przynajmniej oswoisz się z tą tęsknotą i będziesz mogła stanąć na nogi. Posiedzisz u mnie trochę, odpoczniesz, wyśpisz się. A kiedy poczujesz się lepiej, wrócisz do Polanki i podejmiesz decyzję, co dalej.

– Jedna rzecz nie daje mi spokoju... – powiedziała nagle Marianna i zamilkła.

Alicja spojrzała na koleżankę pytająco.

– Jakiś czas temu znalazłam w dokumentach taty wyciągi bankowe – kontynuowała Marianna po chwili. – To konto walutowe. W euro. Od sierpnia ubiegłego roku, co miesiąc, aż do śmierci rodziców, z tego konta dokonywano przelewu do Hiszpanii. Zawsze ta sama kwota, trzysta euro.

– Spłata jakiegoś zobowiązania?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nie słyszałam, żeby kupował tam coś na kredyt.

– A rodzice mówili ci o wszystkim?

– Prawdopodobnie nie. Ale po ich śmierci, kiedy obejmowałam spadek, razem z prawnikiem przeglądaliśmy wszystkie dokumenty. Ojciec dbał o porządek, nie było żadnych niespodzianek. A dwa miesiące później, opróżniając szuflady w jego gabinecie, w domu, znalazłam teczkę z tymi wyciągami.

– Ciekawe – zamyśliła się Alicja.

– Wujek też o niczym nie wie. To znaczy wie, że tata jeździł do Hiszpanii, do Włoch, do Francji, bo przecież zamierzał otworzyć restaurację, która miałaby podobną klasę jak lokal Victora. Chciał pozyskać najlepszych dostawców, żeby przy restauracji znajdował się sklep z produktami najwyższej jakości. Zamierzał sprowadzać szynki, sery, oliwę, wina...

– No to masz odpowiedź. Prawdopodobnie jakiś kontrahent...

– Tyle że przelewy nie szły z konta firmowego, ale z prywatnego. W dodatku też na czyjeś konto prywatne.

– Skąd wiesz?

– Było nazwisko i adres. Niejaka Rosa Rosso, w Sewilli.

– Kobieta? – wyrwało się spontanicznie Alicji. Zamilkła, zmieszana, że niechcący poddała Mariannie jednoznaczny sugestię.

– Kobieta. I wiem, o czym pomyślałaś – powiedziała Marianna. – Ale tata nie miał kochanki, to nie to.

Alicja powstrzymała się od pytania, skąd Marianna mogłaby o tym wiedzieć.

– Jestem pewna – podkreśliła z mocą Marianna, jakby czytała w myślach przyjaciółki. – Znam swojego tatę – dodała stanowczo.

– Rozumiem. Przepraszam, że tak zareagowałam, ale samo się nasuwa... To może właścicielka jakiejś firmy, winnicy, gaju oliwnego... Próbowалаś się z nią skontaktować?

– Próbowалаłam znaleźć do niej numer telefonu, ale się nie udało.

Alicja pokiwała głową.

– Pojadę tam – powiedziała nagle Marianna.

– Ale gdzie? Do Sewilli? – zadumała się Alicja. – No pewnie, możesz, tylko po co? Teraz to i tak już nic nie da.

– Męczy mnie to. Tata był bardzo uporządkowany, takie przelewy pod stołem to do niego niepodobne. Może był szantażowany?

– Nie sądzę. Myślę, że dogadał się z tą kobietą biznesowo, ale z jakichś powodów nieformalnie. I tyle. Dlatego używał prywatnego konta.

– Tym bardziej powinnam dowiedzieć się, o co chodzi, i zadbać o jego sprawy. Przez kilka miesięcy przelał do Hiszpanii sporą kwotę.

– Dobrze. Jeśli chcesz, to możemy razem pojechać do Sewilli, jeszcze tam nie byłam. Może w przyszłe wakacje?

– Teraz pojadę.

– Kiedy „teraz”?

– Już. Znajdę lot, zarezerwuję hotel i polecę. Jej adres mam w notesiku. Numer konta też spisałam. Nic więcej nie trzeba. Na co mam czekać?

Alicja zaniemówiła.

– Marianna, to nie jest dobry pomysł, nie czujesz się jeszcze zbyt dobrze. Sewilla nie ucieknie.

– Chcę tam jechać. Im szybciej, tym lepiej. Nie będę w stanie uporządkować życia po powrocie do Polanki, jeśli będą się ciągnąć jakieś tajemnice. To mnie męczy, odkąd odkryłam przelewy. Wcześniej nie miałam okazji, żeby tam lecieć, bo babcia... A teraz... Cóż innego mam do roboty? Jeśli będę u ciebie, to zalegnę i nie wstanę. Nigdy się nie podniosę – załkała. – Chcę tam jechać. Porozmawiam z panią Rosso i wrócę. Może ona czeka na kolejne przelewy? Może nawet nie wie, że tata nie żyje.

– To powinna do niego zadzwonić.

– Może dzwoniła. Jego prywatny telefon jest przecież nieaktywny.

– Naprawdę zamierzasz jechać tam sama? Nie boisz się? – Alicja próbowała zasiał wątpliwości.

– Czego?

– Nie masz tam znajomych, nie znasz języka. Będzie ci rażniej, jeśli pojedziemy razem, za rok.

– Nie mam znajomych – zgodziła się Marianna. – Ale hiszpański znam doskonale.

– Myślałam, że studiowałaś w Londynie – zdziwiła się Alicja.

– Studiowałam. Ale byłam też przez rok w Madrycie na wymianie studenckiej w ramach uczelnianego programu. Zresztą hiszpańskiego uczyłam się od dziecka, rodzice nalegali.

– Nie wiedziałam. Co nie zmienia faktu, że ja na twoim miejscu trochę bym się obawiała.

– Nie ma czego. – Marianna, zaabsorbowana swoim pomysłem, wyjęła telefon i uruchomiła dane komórkowe. Wyszukała połączenia lotnicze i zaczęła utyskiwać na wysokie ceny.

– No widzisz, nie opłaca się – podjęła Alicja. – Hotele też są drogie. Jeśli zaplanujemy wcześniej i skorzystamy z biura podróży, na pewno będzie taniej.

– Mam pieniądze. – Marianna się nie zraziła. – Ale zgoda, nie ma co przepłacać. Na bilecie nie oszczędzę, jednak zamiast rezerwować hotel, rozejrzę się za mieszkaniem.

– Na kilka dni raczej nikt ci nie wynajmie.

– Dlaczego? Jest mnóstwo ofert dla turystów. Poszukam.

– Okej. Zrobisz, jak uważasz. Ale najpierw muszę cię podkarmić. Jak nabierzesz sił, to może zmienisz zdanie i odechce ci się dalekich podróży.

\*\*

Czajnik zaczął gwizdać w tej samej chwili, w której zadzwonił telefon. Józefina stanęła w rozkroku między kuchnią a salonem, nie wiedząc, do czego najpierw podbiec. Po kilku sekundach, podczas których świdrowało w jej głowie od uporczywego hałasu, postanowiła w pierwszej kolejności zdjąć z kuchenki czajnik. Telefon przestał dzwonić.

Nasypała herbaty do szklanki i zalała wodą. Nie zdążyła jednak posłodzić i zamieszać, ponieważ znów rozległ się dźwięk telefonu.

– Aloooo? – powiedziała, przeciągając głoski, jak to miała w zwyczaju podczas przywitania.

– Cześć, ciociu. Z tej strony Alicja. Nie przeszkadzam?

– A w czym masz, dziecko, przeszkadzać?

– Telefonuję w imieniu Marianny. Z wielką prośbą.

– Udało ci się z nią skontaktować? – Ucieszyła się Józefina. – Tak się martwiłam. Ludzie mówili, że na pogrzebie ledwie trzymała się na nogach.

– To prawda, ciociu, nie najlepiej z nią. Dlatego przywiozłam ją do Warszawy.

– Byłaś w Polance? Nie zajrzałaś do mnie?

– Nie miałam czasu, przepraszam. Poza tym Marianna nie nadawała się na wizyty.

– Biedna dziewczyna. Masz rację, że ją wzięłaś, może u ciebie odżyje.

– Aktualnie nie ma jej u mnie... Uciekła.

– Jezus Maria! – krzyknęła Józefina. – Jak to uciekła? Może jej się co z głową stało? Tyle przeżyć...

– Nie, nie – uspokoiła szybko Alicja. – Źle się wyraziłam, poleciała do Hiszpanii.

– Boże w niebiesiech! Ale po co?

– Chce załatwić jakąś sprawę. Chodzi o interesy jej taty. Za dużo by opowiadać.

– Lepiej się już poczuła?

– Nie wiem, ciociu. Miała dużą huśtawkę nastrojów. Płakała, a w samochodzie nasza ją myśl o wyjeździe. Rano znowu płakała, a potem przypomniała sobie, że chce lecieć. Wczoraj pół dnia spędziła przed komputerem, wyszukując w internecie bilety lotnicze i noclegi. No i poleciała. Martwię się, ale co mam zrobić, jest dorosła. Pożyczyłam jej starego laptopa, będziemy w kontakcie przez Skype'a. Telefon też ma.

– To dzwoń do niej, dziecko, i sprawdzaj, czy wszystko w porządku.

– Oczywiście, trzymam rękę na pulsie. Ale mam prośbę. Właściwie to od Marianny. Chodzi o grób jej babci. Wieńce pewnie już uschły...

– Ach, nie ma problemu. Zresztą wybierałam się właśnie do Stasiulka, to i do Dworzakowej wpadnę. Posprzątam, zapalę nowe świece, kwiaty świeże ustawię.

– Dziękuję, wiedziałam, że można na ciebie liczyć.

Józefina odłożyła słuchawkę. Była zaniepokojona zachowaniem Marianny.

– Byle co złego się nie stało – szepnęła do siebie.

Zapomniawszy o herbacie, chwyciła przygotowane wcześniej kwiaty i ruszyła do sklepu Wojtaszka po znicze.

Dzień był pochmurny, ale ciepły. Sklepowa krzątała się na zewnątrz, zamiatając. Jej znudzona mina sugerowała, że tego dnia niewiele się działo.

– Dzień dobry, pani Koperska – ożywiła się na widok Józefiny. – Mięsko mam dzisiaj świeże. Żeberka takie piękne przyjechały, że aż ślinka cieknie. Sama chyba wieczorem upiekę.

– Po znicze przyszłam.

– Oj, to będzie problem – zmartwiła się Wojtaszkowa. – Ale może są jakieś na zapleczu. Poszukam. – Odstawiła miotłę i weszła do środka. Józefina podążyła za nią. Zaciekawiona, podeszła do lady chłodniczej obejrzeć żeberka. Rzeczywiście wyglądały dobrze.

– Mam ostatnie sześć sztuk. – Sklepowa wniosła zgrzewkę ze zniczami i ustawiła na ladzie. Józefina podniosła ją, żeby ocenić ciężar.

– Wezmę wszystkie – zdecydowała. – Tylko potrzebuję torebki.

– Tak, tak, już pakuję – powiedziała Wojtaszkowa, nie patrząc na Józefinę. Jej wzrok pobiegł w kierunku wejścia, a na twarzy pojawił się uśmiech. – Witamy pana komendanta! – krzyknęła rozanielona. Józefina się odwróciła.

Komendant Grzelak wyszczuplał. Było to widać głównie na twarzy, ponieważ brzuch, jak dawniej, wylewał się ze spodni. Wszedł energicznym krokiem i z błyskiem w oku poprosił o dużą butelkę wody gazowanej.

– Kolejka jest – poinformowała Józefina.

– Nie szkodzi, poczekam.

– Pan komendant w dobrym humorze – zauważyła sklepowa. – A to dobrze się składa, bo chciałam prosić o autograf.

Grzelak uśmiechnął się półgębkiem i zawadiacko mrugnął.

– Przecież już dawałem. Chałupę tapetujesz moimi podpisami? – spytał, ale wyjął długopis

z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Dla chrześniaka chciałam – wyjaśniła Wojtaszkowa. – Chłopak czytał o tobie artykuł, zapalił się, że to przecież nasz Grzelak, z Polanki, taki sławny.

– Rzeczywiście, wielka rzecz, Gieniuś – przyznała Józefina, patrząc na niego z uśmiechem. – Wszyscy jesteśmy z ciebie dumni.

Komendant odwrócił wzrok, udając zmieszanego nadmiarem komplementów. Jednak w duchu pragnął, żeby kobiety nie przestawały się nad nim rozpływać. Sprawa Czarnej Marii, którą udało mu się tego lata rozwikłać, była najważniejszą w jego karierze, i wiedział, że druga taka może się nieprędko trafić. Łasy pochwał i słów uznania napawał się więc każdą chwilą, gdy znów stał w świetle reflektorów.

– To pewnie awans ci się szykuje, co? – dopytywała sklepowa. – Z Wrocławia już dzwoniли?

Grzelak przełknął ślinę. Nie dzwoniли. Czekał na ten telefon jak na wybawienie. O niczym innym nie marzył, jak o tym, żeby wreszcie wyrwać się ze wsi i zaznać wielkiego świata, wielkich spraw, skomplikowanych dochodzeń. I premii, na którą tak bardzo czekała małżonka.

– Żeby tylko z Wrocławia! – Nonszalancko machnął ręką. – Z samej Warszawy się dobijają. Tam to dopiero trudnych spraw. Nie dają sobie chłopcy rady, płaczą mi w słuchawkę. No, ale co mam zrobić, Polanki przecież nie opuszczę. To mój dom – podkreślił z mocą.

– No widzi pani, pani Koperska. Nie dość, że bohater, to jeszcze patriota – powiedziała wzruszona Wojtaszkowa. – Takich nam potrzeba! Danusia pewnie dumna.

– Ano dumna – przyznał Grzelak.

– Nie dziwota. Mąż na schwał! I dobrze, Gieniuś, że do Warszawy się nie wybierasz, bo przecież co my byśmy bez ciebie zrobili. Ośrodek będą wskrzeszać, zaczną zjeżdżać się obcy, kto wie, jacy to ludzie. Pewnie młodzież rozbrykana – westchnęła. – Awantury, burdy, już się boję, żeby tylko mojej Małgosi nie zbałamucili.

– Jaki ośrodek? – spytał Grzelak. O niczym nie wiedział. W ostatnich tygodniach był tak bardzo zajęty sobą, że nie interesował się tym, co dzieje się we wsi.

– No ten nad jeziorem. Kilku chłopca się zgadało i na przyszły rok chcą ruszyć. Nie słyszałeś? Pani Koperska, to co, dać te żeberka? – sklepowa zwróciła się do Józefiny.

– Poproszę. Tylko wybierz takie najlepsze, tłuste.

– Coś mi się obiło o uszy – skłamał Grzelak. – Ale kto by tam wierzył plotkom.

– To nie plotki – zapewniła Wojtaszkowa. – Nawet mój stary był na zebraniu. Chcemy tam kiosk otworzyć. Zawsze to dodatkowy grosz wpadnie, Małgosia tu będzie siedziała, a ja tam.

Grzelak się zamyślił. Jego nikt o zebraniu nie informował. Czyżby cała wieś coś knuła?

Zaniepokoił się, serce natychmiast przyspieszyło.

– A kto konkretnie będzie ten ośrodek otwierał?

– Bończak rzucił pomysł, kilku innych podchwyciło, szukają następnych do inwestowania. Gorzej, że ten las obok ośrodka właśnie jest grodzony. To im trochę psuje, bo przecież jak to wygląda? Piękny ośrodek, jezioro, a do lasu nie da się wejść, bo siatka.

– Kto grodzi? – zdenerwował się Grzelak. Józefina też zmarszczyła czoło, zdziwiona.

– Ta strojnisia, co z Wrocławia przyjechała. Takie może być? – pokazała Józefinie porządną kawał wieprzowego żebra.

– Ta z pieskiem? Kaja?

– To żaden pies – prychnęła Wojtaszkowa. – Zwykła zabawka. Obok psa toto pewnie nie stało.

– A po co grodzi? – spytał Grzelak. Serce biło mu coraz mocniej.

– Nie wiem. Chyba hodowlę świń otwiera. U sołtysa ponoć dopytywała, kto w Polance ma świnie. Może będzie skupować i do lasu wozić, żeby się rozmnażały...

– Miastowym w głowach się poprzewracało – westchnęła Józefina. – Ta Kaja to ponoć w ogóle dziwna, Alicja jej nie lubiła.

– A kto ją lubi? – Wojtaszkowa wywróciła oczami. – Do mnie jak przyjeżdża, żeby coś kupić, to aż mnie wykręca od środka, gdy ją widzę. – Wzdrygnęła się ostentacyjnie. – Babsko jedne, ciągle ma o coś pretensje. Ostatnio krzywiła się na mleko, że nie mam zero procent. A ja się pytam, co to za mleko, zero procent? To woda jest, a nie mleko. Paniusia się znalazła.

– O właśnie, mleko jeszcze wezmę – przypomniało się Józefinie. – I tych ciasteczek – wskazała brodą wafelki. – Dwadzieścia deko, nie więcej.

– Po co jej świnie? – Grzelak wymamrotał pod nosem. W głowie układał puzzle. Ogrodzenie lasu go nie zdziwiło, doskonale wiedział, że jakiś czas temu okoliczne ziemie i lasy wyprzedawano za grosze. Jeśli Kaja kupiła las, to ma prawo go ogrodzić. Ale hodować w nim świnie to już co najmniej dziwne. Prawdopodobnie są zasłona dymną, która ma ukryć jakiś większy przekręt. Kaja przyjechała w czerwcu i od tamtej pory nie wykonywała ruchów, które mogłyby świadczyć o niecnym zamiarach. Tymczasem okazuje się, że w głowie miała jakiś plan, skoro teraz zaczęła go realizować. Tylko co to za plan?

Grzelak zaczął bębnić palcami w stół. Miał ochotę natychmiast pobiec do lasu, żeby się rozejrzeć. Wiedział, że to duża szansa na podtrzymanie zainteresowania swoją osobą. Sprawa Czarnej Marii za chwilę przycichnie i znów dopadną go rutyna, szare dni i smutna rzeczywistość. Znów Danusia zacznie jęczeć i marudzić. Gdyby trafiło się kolejne dochodzenie, jakaś wyjątkowo brudna sprawa, może telefon z Wrocławia wreszcie by zadzwonił.

– Małą wodę jednak. – Nie czekając, aż Józefina zapłaci za zakupy, rzucił na ladę dwa złote. Z lodówki wyjął półlitrową butelkę i wyszedł bez pożegnania.

– Obraził się? – zaniepokoiła się Józefina.

– Pewnie zły, że chlewu u siebie nie ma. Kto wie, ile panna będzie płaciła za świnie. Kasa przejdzie mu koło nosa.



## Rozdział 2



Dochodziła jedenasta, kiedy Marianna wylądowała w Sewilli. Lot nie był uciążliwy, ale konieczność przesiadki w Pradze uniemożliwiła głębszy sen. Teraz czuła się zmęczona. Miała nadzieję, że bez problemów uda jej się trafić do mieszkania wynajętego przez internet i szybko będzie mogła odespać zarwaną noc.

Niemrawo podążyła do sali odbioru bagażu, modląc się w duchu, żeby nie trzeba było zbyt długo czekać. Modlitwa okazała się skuteczna, i kiedy tylko Marianna zauważyła swoją walizkę na taśmie, chwyciła ją i energicznym krokiem skierowała się w stronę wyjścia z lotniska. Na szczęście od razu udało jej się złapać taksówkę. Kiedy usadowiła się na tylnym siedzeniu, zmęczenie ponownie dało o sobie znać, a powieki stawały się coraz cięższe.

– Pani z daleka? – zagał taksówkarz.

– Tak. Nie. Z Polski – odparła Marianna po hiszpańsku. Nie miała ochoty na pogawędkę. Podała mężczyźnie kartkę z zapisanym adresem i oparła głowę o zagłówek.

– Turystycznie? Pierwszy raz? – Taksówkarz odpalił silnik i ruszył, nie zwróciwszy uwagi na to, że dziewczyna przymknęła oczy.

– Uhm – przytaknęła.

– Teraz, we wrześniu, jest spokojniej. Można pozwiedzać. Najgorzej to, wie pani, w wakacje. Kolejki do katedry są takie, że... – Taksówkarz gestem rąk usiłował zobrazować długość kolejki, ale Marianna na niego nie patrzyła. – No i teraz pogoda lepsza – ciągnął – nie ma już upałów, a jest przyjemnie ciepło. Nic, tylko się relaksować.

– Uhm.

Mężczyzna dopiero teraz zerknął w lusterko i zauważył, że dziewczyna już prawie drzemie i nie jest zainteresowana rozmową. Nie zastanawiając się długo, skręcił w lewo, zamiast jechać prosto, dzięki czemu trasa wydłużyła się o kilka ładnych kilometrów. Nieznająca miasta turystka, do tego śpiąca i niezainteresowana trasą, była łakomym kąskiem. Kilka dodatkowych euro drogą nie chodzi, szczególnie poza sezonem.

Obudził ją, kiedy dotarli na miejsce. Uśmiechnął się przymilnie i wytłumaczył, dokąd ma iść.

– Tu musi pani wysiąść. Dalej zagrodzone. Pod samo wejście niestety samochodem nie dojadę – uściślił. – Sześćdziesiąt osiem euro się należy. Dobrze, że nie było korków – powiedział szybko, po czym wysiadł z samochodu i wyjął z bagażnika walizkę.

Marianna nie skomentowała absurdalnie wysokiego rachunku. Wyjęła z portfela siedemdziesiąt euro i podziękowała taksówkarzowi. Przeczuwała, że przejazd z lotniska powinien kosztować mniej, ale nie miała ani siły, ani tym bardziej ochoty, żeby się wykłócać.

Dźwigając walizkę, przeklinała w myślach fakt, że nie ma ona kółek. O ile prościej byłoby ją ciągnąć.

Dotarła na plac, gdzie mieściła się kamienica, w której wynajęła lokum. Odstawiła walizkę

i rozejrzała się, szukając wzrokiem odpowiedniego numeru. Plac pełen był restauracji, barów, sklepów z pamiątkami. Mieściły się tu nawet apteka i jubiler. I właśnie tuż obok jubilera Marianna dostrzegła wyrazisty napis „Carme”. Widać było, że odpadła ostatnia litera, a na ścianie budynku odznaczyło się jaśniejsze „n”. „Carmen”.

Ze zdjęć zamieszczonych w sieci zapamiętała właśnie ten napis, bardzo charakterystyczny, tuż obok było wejście do kamienicy.

Podźwignęła brązową walizę i minawszy ustawionych w rzędzie dorożkarzy, którzy cierpliwie czekali na spragnionych przejażdżki turystów, udała się w stronę baru Carmen.

Pod wejściem do lokalu zgromadziło się kilka starszych kobiet, siedziały na metalowych krzesłkach i głośno o czymś rozprawiwały.

– ¡Buenos días! – przywitała się Marianna. – *Busco el número dieciséis.*

Natychmiast wszystkie kobiety się odwróciły. Ta, która wyglądała na najstarszą, uśmiechnęła się i podniosła z krzesła, po czym podała Mariannie ciepłą dłoń.

– *Es aquí. Bienvenidos. Soy Teresa Gonzales.*

Po krótkim przedstawieniu się i wymianie uprzejmości kobieta poprowadziła Mariannę do wejścia. Była zadowolona, że dziewczyna tak dobrze mówi po hiszpańsku.

Weszły na drugie piętro. Teresa sięgnęła po klucz przymocowany do szlufki spódnicy i otworzyła drzwi do mieszkania po lewej. Gestem zaprosiła Mariannę do środka.

– Proszę bardzo. Do pani dyspozycji są jeden pokój, kuchnia i łazienka. Zgodnie z ogłoszeniem – przypomniała. – Ten drugi pokój zamknęliśmy, niestety nie na klucz, bo nie ma zamka. Tam zostały zgromadzone niektóre meble na czas... emmm – zająknęła się – nieobecności koleżanki... znaczy się właścicielki mieszkania. Proszę tam nie zaglądać, nie byłaby zadowolona, że ktoś szpera w jej rzeczach.

– Bez obawy. – Marianna uśmiechnęła się słabo. W ogłoszeniu nie było mowy o drugim pokoju. Nie przeszkadzało jej to, że mieszkanie jest większe, jednak uwagę Teresy o szperaniu w rzeczach właścicielki odebrała jako niegrzeczną. – Długo tu nie zabawię.

– Och, proszę mieszkać, ile się pani podoba! – wykrzyknęła Teresa. – Przy dłuższym pobycie możemy nawet negocjować cenę. – Uśmiechnęła się przymilnie. – Dla nas to cała przyjemność gościć taką młodą damę.

– A kiedy wraca właścicielka mieszkania?

– Nieprędko. Proszę się nią nie przejmować. Wyjechała. No i już. Ale oczywiście mamy wszelkie upoważnienia, żeby mieszkanie wynająć – wytłumaczyła szybko. – A może jest pani głodna? – zmieniła temat. – Zapraszamy na dół do Carmen. Mamy pyszną paellę. Veronica jest świetną kucharką.

– Dziękuję. Na razie chciałabym odpocząć.

– No tak, tak. Po podróży to trzeba. Koniecznie. – Teresa kiwnęła głową i wycofała się, zamykając za sobą drzwi.

Kiedy Marianna została sama, odczuła tak wielkie zmęczenie, że nawet nie zsunawszy butów, opadła na łóżko i natychmiast zasnęła.

Kiedy się obudziła, było już po siedemnastej. Przetarła oczy dłonią i zdjęła nieświeże ubranie. Za oknem wciąż świeciło słońce.

Pokój, który wynajęła, był spory, jednak zagracony. Mimo że – jak wspominała Teresa – meble właścicielki mieszkania zostały zgromadzone w drugim pomieszczeniu, to i tutaj nie brakowało sprzętów. Nie licząc łóżka, fotela i pufy, które obleczone miękkimi materiałami niewątpliwie zbierały kurz, stały tu jeszcze potężna toaletka, małe biurko, trzydrzwiowa szafa oraz komoda. Marianna otworzyła jedną z szuflad. Była pusta i czysta, co zachęcało do rozłożenia w niej swoich rzeczy. Szafa też okazała się gotowa na przyjęcie ubrań nowego lokatora. Wprawdzie wydobywał się z niej specyficzny zapaszek,



sugerujący, że wcześniej wisiało tu sporo zatęchłych wręcz ubrań, jednak Marianny, przyzwyczajonej do zapachu szafy swojej babci, ten zapach nie odstraszał, a wręcz przywoływał dobre wspomnienia. Saszetki z lawendą, kulki na mole i kurz na starych futrach tworzyły sentymentalną mieszankę aromatów.

Marianna podeszła do okna i uchyliła je, wpuszczając do mieszkania falę parnego powietrza.

– Sewilla – mruknęła bezgłośnie.

Niestety, okno nie wychodziło na plac, przy którym znajdował się bar Carmen, bo mieszkanie umiejscowione było po drugiej stronie budynku. Marianna patrzyła na sąsiednią kamienicę, położoną tak blisko, że gdyby chciała, mogłaby wyczuć zapach unoszący się z kuchni sąsiadki.

Odskoczyła od okna, przypomniawszy sobie, że przecież jest w samej bieliźnie. Przeszła do łazienki. Było to skromnie urządzone, pomalowane na niebiesko małe pomieszczenie z niewielką wanną i niskim sedesem wciśniętym między ścianę a szafkę, na której piętrzyło się kilka ręczników. Marianna z zadowoleniem odnotowała fakt, że na półce nad umywalką stoją butelka szamponu i pojemnik z mydłem w płynie. Jeden z ręczników rozłożyła na podłodze i napuściła wody do wanny. Szybka kąpiel skutecznie ją rozbudziła.

Otulona ręcznikiem wróciła do pokoju i przykucnęła przy walizce. Przez chwilę mocowała się z zapięciem. W myślach wybierała odpowiednią sukienkę na wieczór. Planowała zejść na dół, do Carmen, mając nadzieję, że oprócz paelli, za którą nie przepadała, mają w ofercie także inne dania. Dopiero teraz, na myśl o jedzeniu, poczuła głód.

– O cholera! – zaklęła, kiedy w końcu udało jej się otworzyć zamek.

\*\*

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Piotr Pawlicki, ze słuchawką przy uchu, podszedł otworzyć.

– *Room service.* – Uśmiechnięta pokojówka wręczyła mu wieczorne menu.

– *Thank you. I don't need it now* – odpowiedział, oddając jej kartę. – Zejdę na dół, jak będę chciał – dopowiedział po polsku.

– Co ty tam gadasz? – zaskrzeczało w słuchawce.

– Nic, mam. W hotelu już jestem. Nie zdążyłem się nawet rozebrać, od razu coś chcę. Serwis do pokoju. Wiesz, że to drożej, jak się tak zamawia.

– Żdziery. Nic nie zamawiaj do pokoju, bo jeszcze coś tam dopiszą, nawet nie będziesz wiedział. No, ale o czym to my. A! – przypomniła sobie. – To mówisz, ile osób było dzisiaj na wykładzie?

– Mamo, nieważne ile. Ważne, że ci, którzy przyszli, słuchali z zainteresowaniem. A poza tym mówiłem ci już, nie ma co gadać przez telefon, bo to drogo wyjdzie.

– To przecież ja dzwonię – powiedziała cierpko. – Ty mnie tu nie oszukuj. Nie chcesz z matką gadać?

– Ależ chcę. Już trzeci raz dzisiaj rozmawiamy, a ty płacisz tylko za swoje, ja muszę dopłacić różnicę. To naprawdę drogo. Poza tym jestem zmęczony po całym dniu, chcę się już położyć.

– No tak, rzeczywiście. Ojej, trzeba tak było od razu. A jadłeś coś?

– Jadłem na uczelni.

– No dobrze, dobrze. To tylko wysikaj się przed spaniem.

– Mamo...! Bez przesady, chyba jestem dorosły.

– No jesteś, jesteś, ale wiesz, to naprawdę ważne, bo przeczytałam ostatnio, że mocz wstrzymywa...

Nagle połączenie zostało przerwane. Piotr domyślił się, że matka przeszła do kuchni, gdzie zasięg był zazwyczaj słabszy. Westchnął, wiedząc, że za chwilę wróci do salonu i ponownie zadzwoni. Nie mylił się. Już po kilku sekundach telefon ponownie zawibrował.

– Wysikam się przed spaniem – zadeklarował do słuchawki w nadziei, że matka, zadowolona, iż znów

się z nią zgodził, nie będzie kontynuowała tematu.

– Halo...? – Po drugiej stronie rozległ się delikatny kobiecy głos.

Piotr odrzucił telefon na łóżko – niczym rozgrzany węgiel.

– Halo? – Ledwie słyszalny teraz głos ponowił nawoływanie.

Piotr otrząsnął się i ponownie przytknął telefon do ucha.

– Tak? – spytał, starając się, by jego głos brzmiał obco. Miał nadzieję, że to żadna z jego polskich studentek. Dopiero miałyby używanie.

– Czy rozmawiam z profesorem Pawlickim? – Kobieta bez wątpienia była Polką i bez wątpienia pytała o niego.

– Nie – odpowiedział zdecydowanie. – A o co chodzi?

– Hmm... – zawahała się. – Znalazłam ten numer na zawieszce przy walizce. Wynika z niej, że należy do profesora Piotra Pawlickiego. Jestem w Sewilli. Na lotnisku doszło do pomyłki. Pan profesor ma prawdopodobnie moje rzeczy...

Piotr rzucił okiem na stojącą przy wejściu brązową, wciąż zamkniętą walizę i upewnił się, że w jej wyglądzie nie ma nic, co mogłoby świadczyć o zamianie.

– To pomyłka – oświadczył. – Znaczy się, pani się pomyliła. Do widzenia – powiedział wyższym niż zazwyczaj głosem i rozłączył się.

Po chwili telefon znów zadzwonił, a numer, który się wyświetlił, świadczył o tym, że kobieta ponownie próbuje nawiązać połączenie. Piotr przycisnął telefon poduszką i podszedł do walizki. Wyglądała normalnie. Ale nie było zawieszki, którą zawsze przyczepiał, w obawie, że bagaż zaginie gdzieś na lotnisku... Czyżby? – pomyślał i pociągnął za pasek. Kiedy otworzył torbę, zaklął:

– Kurka żeż wodna jedna!

Doskoczył do łóżka i wygrzebał spod poduszki komórkę. Nie zdążył jednak oddzwonić na wyświetlony numer, ponieważ ledwie podniósł telefon, ten znów zawibrował. Tym razem wyświetliła się matka.

– A z kim gadałeś? – spytała bez wstępów. – Nie mogłam się dodzwonić.

– No cholercia, mamuś, no, pomylili bagaże, nie mam swoich rzeczy – wyjęczał płaczliwym tonem.

– Ale jak to?! Okradli cię?

– Nie okradli, nastąpiła pomyłka, cholercia, teraz trzeba będzie to odkręcić. Ta kobieta dzwoniła.

– Ta złodziejka?

– Nie złodziejka, mamuś, nie mogę rozmawiać. Muszę do niej oddzwonić.

– Coś mi tu kręcisz. Najpierw mówisz, że dzwoniła, teraz, że ty musisz zadzwonić. Przypadkiem nie dolali ci czego, synku, do napoju? Czytałam ostatnio, że...

– Nic mi nie dolali. Na lotnisku zaszła pomyłka. Jakaś kobieta ma moją walizkę, a ja jej.

– Piotruś! Ale to niemożliwe! Nikt nie ma takiej drugiej walizki. To jeszcze po świętej pamięci wujku Alojzym! Co ty, nie poznałeś swojej walizki?

– Taka sama, jak mamusię kocham! Taka sama.

– Prawdę mówisz? – spytała podejrzliwym tonem.

– Prawdę. Cholercia. Nie mogę rozmawiać, muszę oddzwonić do tej kobiety.

– Piotruś, to znak!

– Jaki znak znowu?

– Nikt nie ma takiej drugiej walizki. Jeśli znalazła się jakaś kobieta... Piotruś! A ja miałam sen!

– Mamo, nie mogę rozmawiać. – Piotr był u kresu wytrzymałości. Bał się, że jeszcze chwila, a jego walizka wyląduje w biurze rzeczy zaginionych na lotnisku, skąd będzie ją trudniej wyciągnąć, a przynajmniej nie tak szybko, jak mógłby to zrobić teraz.

– Śniły mi się kurczaczki.

– Kurczaczki – powtórzył bezwiednie Piotr.

– Takie maleństwa żółciutkie, kwilące. Piotruś, to znak, ja ci to mówię! Och, toby dopiero było, jakbym została wreszcie babcią. To na pewno piękna młoda dama. I twoja bratnia dusza, skoro ma taką samą walizkę! Będzie ślub! – wykrzyknęła podekscytowana. – Się muszę napić – wyszeptała ledwie słyszalnie i znów połączenie zostało przerwane.

Piotr, zadowolony, że matka się rozłączyła, wyprostował się, odchrząknął i nacisnął przycisk wybierania numeru.

– Halo? – Usłyszał ponownie ten sam delikatny głos co poprzednio.

– Dzień dobry. Z tej strony profesor Piotr Pawlicki. Ktoś do mnie dzwonił z tego numeru...

– Dzień dobry! – Kobieta wyraźnie się ucieszyła. – Tak, dzwoniłam do pana, ale miałam problem z połączeniem.

– Czasem się tak zdarza. Z kim mam przyjemność?

– Marianna Olech – przedstawiła się Marianna i wytłumaczyła pokrótce, o co chodzi z walizką.

– Przepraszam, jeszcze nie zaglądałem do swojej. Prosto z lotniska pojechałem na uczelnię, gdzie miałem wykład... Chwileczkę... – Odczekał kilka sekund. – Rzeczywiście! Nastąpiła pomyłka. Jak możemy się spotkać?

\*\*

Plany wzięły w łeb. Marianna ubrana w sukienkę, w której przyjechała, kończyła jeść mało smaczne tosty z szynką. Miała nadzieję, że jeszcze tego popołudnia uda jej się pojechać pod widniejący na wyciągu z banku adres i porozmawiać z osobą, do której ojciec wysyłał pieniądze. Ale dochodziła już dziewiętnasta, za chwilę w Carmen miał się pojawić profesor z walizką. Marianna wyliczyła, że zanim zdoła załatwić sprawę pomyłki, odświeżyć się i przebrać, minie kolejna godzina, jeśli nie dłużej, a zatem spotkanie z tajemniczą Rosą musi przelożyć na kolejny dzień. Nie lubiła sytuacji, które wybijają z rytmu. Być może w innych okolicznościach potrafiłaby się cieszyć pogodą i klimatem panującym na placu, gdy usadowiła się przy jednym ze stolików Carmen ustawionych na świeżym powietrzu. Być może umiałaby docenić muzykę sączącą się z wnętrza baru i podstarzałe tancerki flamenco, które właśnie szykowały się do wieczornego występu. Teraz jednak jej duszę ogarnęła ogromna tęsknota za babcią, podsycona zapachem wynajętego mieszkania. Nawet myśli dotyczące Rosy, choć starała się nimi zaprzętać głowę, nie były aż tak zajmujące, żeby w pełni się im oddać. Ot, pragnęła, oczywiście, wyjaśnić zagadkę wysyłanych przez ojca pieniędzy, by zaspokoić swoją ciekawość i zamknąć dręczący ją temat, ale wiedziała, że to kwestia jednej rozmowy z adresatką przelewów. Potem trzeba będzie wrócić do Polski, do Polanki, i postanowić, co zrobić dalej ze swoim życiem...

Odstawiła na bok talerzyk z niedojedzonym tostem. Rozejrzała się po placu, który o tej porze tętnił życiem. Turyści napływający od strony katedry zajmowali miejsca w kolorowych, nastrojowo oświetlonych kawiarenkach i restauracjach. Było gwarno i wesoło. W Carmen nie bawiło jednak wielu gości. Zaledwie kilka osób zwabionych dźwiękami flamenco i wypisaną na przenośnej tablicy obietnicą występu tancerek, który miał się zacząć o dziewiętnastej.

Marianna zauważyła, że pokaz będą dawać te same kobiety, z którymi rozmawiała rano. Wyglądało na to, że w dzień pracowały jako kelnerki, by wieczorem przeobrazić się w tancerki. Teraz, ubrane w falbaniaste suknie, zabawiały garstkę klientów rozmową, jednak już za chwilę miały dać występ, a Marianna bardzo chciała to zobaczyć. Miała nadzieję, że profesor Pawlicki spóźni się, dzięki czemu wymiana walizek nastąpi już po tanecznym show.

Stał za rogiem, dyskretnie obserwując Mariannę. Od razu ją rozpoznał, bo przez telefon dokładnie wytłumaczyła, w co będzie ubrana. Nie spodziewał się, że jest tak ładna. I choć z daleka nie było dokładnie widać, to mógł ocenić zarówno sylwetkę, jak i ogóle wrażenie. A to okazało się dla niego onieśmielające. Nie miał doświadczenia w zagadywaniu kobiet. Studentki traktował oficjalnie i z dużą rezerwą, pragnąc stworzyć wizerunek srogiego i niedostępnego profesora. Jednak w tym przypadku było inaczej. Matka sugerowała, że to znak i że dziewczyna jest mu pisana. Może więc była to najwyższa pora, aby pomyśleć o prawdziwym związku. Nie to, żeby wcześniej o tym nie myślał, bo raz czy dwa przeszło mu przez głowę, że żona umocniłaby jego pozycję. Już dawno zauważył, że na uczelni o wiele lepiej odbierani są naukowcy, którzy mają rodziny, w przeciwieństwie do kawalerów, na których patrzy się jak na egzaltowanych samotników. Do tej pory jednak nie miał okazji, by kogoś poznać, koncentrował się na pracy i karierze. Jak widać, na każdego jednak przyjdzie pora i los sam podsyła szanse, a jeśli trzeba, podmienia walizki.

Piotr Pawlicki przełknął ślinę. W głowie kłębiły mu się myśli, z których usiłował wybrać najlepszy scenariusz podrywu. Zupełnie nie wiedział, jak się do tego zabrać. Czy grać inteligenta, czy może stworzyć wrażenie luzaka. W końcu uznał, że najlepsza będzie wersja optymalna. Czyli skrócić dystans, ale nie za bardzo. W końcu to dopiero pierwsze spotkanie. Najpierw trzeba zainteresować dziewczynę swoją osobą, zaszczepić w niej chęć dalszego poznania, zaprosić na wykład, żeby olśnić erudycją, a potem jakieś kino – choć z tym w Sewilli może być trudno, bo filmy lecą po hiszpańsku, a tego języka Piotr nie znał.

Wziął kilka głębszych oddechów dla dodania sobie otuchy, wyprostował się i poszedł do stolika, przy którym siedziała Marianna.

– Dobry wieczór – powiedział, starając się, by jego głos brzmiał męsko. – Pani Marianna?

– Och, dobry wieczór! – Marianna uniosła wzrok. – Pan profesor Pawlicki?

– Witam panią. Można?

– Oczywiście, proszę usiąść. Może ma pan ochotę na kawę? Zaraz rozpocznie się pokaz flamenco. Miałby pan ochotę obejrzeć?

– Chętnie. – Pawlicki usiadł na krześle naprzeciwko Marianny. – Ale może bez tego „pana”. Proponuję, żebyśmy przeszli na ty. Wystarczy do mnie mówić „profesorze Piotrze”. – Uśmiechnął się. Pierwsze koty za płoty. Skracanie dystansu wcale nie jest trudne, przebiegło mu przez myśl.

– Oczywiście... – Mariannę zdumiała ta przedziwna forma, ale nie dała tego po sobie poznać. – Profesorze Piotrze, Marianna jestem.

– Cóż to za niezwykły przypadek z tymi walizkami.

– Rzeczywiście. Dobrze, że przywiesił pan, znaczy się, dobrze, że zawiesiłeś na swojej informację z numerem telefonu. Ja nigdy tego nie robię, ale teraz zacznę. A właściwie gdzie moja walizka?

Pawlicki rozejrzał się i nagle zbladł. Wstał. Dotarło do niego, że zostawił ją za rogiem budynku, gdzie spędził ponad dziesięć minut, pochłonięty myślami i obserwowaniem Marianny.

– Przepraszam na chwilę – powiedział i już go nie było.

W duchu modlił się, żeby walizka wciąż stała tam, gdzie ją zostawił.

– Kurka żeż wodna jedna – klął do siebie, biegnąc wzdłuż kawiarnianego ogródka. Jak na złość zadzwonił jego telefon. Odebrał w biegu, bo wiedział, że matka nie odpuści.



## Rozdział 3



Drukarka wypluwała kolejne kartki. Alicja wyjmowała je i układała w stos. Na koniec spięła spinaczem i włożyła do koszulki.

– No, no. – Dorota gwizdnęła z uznaniem. – To twój biznesplan? Taki gruby?

– Czterdzieści stron – wyjaśniła Alicja. – Janusz mówił, że największe szanse na dotację mają projekty innowacyjne, dlatego musiałam dość szczegółowo rozpisać swój pomysł.

– Naprawdę jestem z ciebie dumna, że się do tego zabrałaś. Trzymam kciuki. Zresztą jestem przekonana, że to będzie najbardziej oblegana galeria w mieście.

– Och, bardzo bym chciała! Żebym tylko miała pieniądze, aby ją uruchomić. I oczywiście czas, by się zaangażować. Naprawdę liczę na to, że Matylda nie będzie już tak chorować i nie będę musiała zostawać z nią w domu.

– No właśnie, Matylda. Nawet nie przysłała się ze mną przywitać. Po wakacjach z Bartkiem wydoroślała czy co, że nagle zamyka się w swoim pokoju?

– Nie. Po prostu jest na mnie obrażona. – Alicja westchnęła.

– Dlaczego?

– Bo spodziewała się, że przywiozę kotki z Polanki. Bartek chciał kilka przygarnąć, a jednego zostawimy dla Matyldy. Ale wiesz, tak byłam zaaferowana Marianną, że nawet do cioci nie zajrzałam, nie mówiąc o kotach.

– Ja mogę po nie pojechać. Weekend mam wolny, zrobię sobie wycieczkę.

– Byłoby wspaniale – ucieszyła się Alicja.

– Och, czego się nie robi dla ukochanej chrześnicy. Zresztą odwiedzę ciocię. Szkoda, że nie ma też Marianny, żałuję, że się z nią nie zobaczyłam. A swoją drogą, dlaczego pozwoliłaś jej wyjechać do Sewilli? Przecież sama mówiłaś, że wyglądała jak wrak człowieka.

– Odradzałam jej, ale się uparła! Ale może i dobrze, że pojechała. Może potrzebuje zająć czymś myśli. Bądź co bądź została teraz sama. Zamiast się zdręzczać, zacznie szukać tej Rosy i będzie miała głowę zaprzątniętą czymś innym niż tęsknota za babcią i za rodzicami.

– Co racja, to racja... – przyznała Dorota. – Ale... No wiesz, nie pomyślałaś czasem, że to jednak podejrzanę?

– Co?

– No, że jej tata wysyłał pieniądze jakiejś kobiecie. Może była jego kochanką?

– Oczywiście, że pomyślałam. To było pierwsze, co przyszło mi do głowy. Zresztą zasugerowałam Mariannie, że sprawy mogą właśnie tak wyglądać. Zupełnie niechcący, wiesz... Ale zdecydowanie odrzuciła taką myśl. Powiedziała, że jej rodzice naprawdę się kochali, a jej ojciec nie zaliczał się do facetów, którym w głowie były zdrady i romanse.

– Zazwyczaj tak sobie to wszyscy tłumaczą – zauważyła zgryźliwie Dorota.

– No właśnie. Ale Marianna naprawdę jest przekonana. Zbudowała sobie jego pomnik w głowie i się tego trzyma. Zresztą wyjaśniła mi, że ojciec planował otworzyć restaurację. Miał już tyle kawiarni i cukierni, że naszła go ochota na coś innego. Dlatego zaprzyjaźnił się z Victorem Legrandem. To tamten zasugerował, żeby ojciec Marianny kupował najlepsze produkty. I to dlatego w ostatnim czasie tak dużo podróżował po świecie. Szukał ponoć najlepszych szynek, najlepszych serów i win. W Andaluzji, z tego, co mówiła Marianna, poszukiwał oliwy, takiej gorzkiej, tłoczonej z granatowych oliwek.

– Przecież takich nie ma – zauważyła trzeźwo Dorota.

– Właśnie podobno są. To znaczy to są takie przejściowe pomiędzy zielonymi, czyli niedojrzałymi, a czarnymi. Kiedy oliwki zbierze się w odpowiednim czasie, mają barwę nie do końca czarną, raczej taką właśnie granatową. I oliwa ma specyficzny smak. To jedna z najdroższych.

– No proszę, nawet nie wiedziałam.

– Ja też. Marianna mi to wszystko wyłuszczyła. Uważa, że jej ojciec dogadał się w Sewilli z jakąś rodzinną wytwórnią oliwy i przysyłał pieniądze na poczet dostaw.

– Ale tych dostaw nie było?

– No właśnie tego nie potrafiła ustalić. Jej wujek, który był współnikiem ojca i nadal nadzoruje cukiernie, powiedział, że restauracja była oddzielnym przedsięwzięciem ojca Marianny i że on się do tego nie mieszał. Wiedział jedynie, że jej tata nie tylko chciał sprowadzać produkty do restauracji, ale też ponoć wchodził w jakieś biznesy z lokalnymi dostawcami z Włoch, Francji, Hiszpanii. Coś na zasadzie udziałów. Po jego śmierci Marianna otrzymała od adwokata spis tych wszystkich kontrahentów, ale Rosy wśród nich nie było. Dlatego podejrzewa, że być może ta współpraca dopiero kiełkowała...

– Ciekawe... Może Marianna rzeczywiście odkryje, że ma udziały w jakiejś winnicy albo oliwnym gaju. Może będzie chciała tam zamieszkać...

– Myślę, że bardziej zależy jej, żeby wyjaśnić tę sprawę i zamknąć. Męczyło ją to, bo to jedyna zagadka, która wypłynęła po śmierci rodziców. Poza tym, jak mówiłam, sądzę, że chwyciła się jej niczym tonący brzytwy. Byle tylko zająć czymś głowę.

– I dobrze.

Dorota wyjęła z torebki telefon i spojrzała na wyświetlacz, sprawdzając, czy nie nadeszły jakieś wiadomości.

– A co tam u niej? Rozmawiałaś z nią? – spytała po chwili.

– Krótko. Jeszcze nic nie wie. Pobyt zaczął się jej niefortunnie, bo zgubiła walizkę. To znaczy doszło do pomyłki na lotnisku. Ponoć trafiła na jakiegoś oszołoma, profesorka... Ale na szczęście odzyskała już rzeczy.

– Profesorka mówisz? – Dorota przygryzła wargi.

– Nieogarnięty jakiś – uściśliła Alicja i wyłączyła komputer.

– Ja też mam profesorka...

– Że co? – Alicja spojrzała na siostrę, mrużąc oczy.

– Nie tak do końca profesor. Raczej nauczyciel. Znaczą się, nawet też nie...

– Ale o kim ty mówisz?

– O moim nauczycielu angielskiego – wyrzuciła z siebie w końcu Dorota. – Zakochałam się. Chyba. W panu profesorze od angielskiego. – Mrugnęła porozumiewawczo.

– Słucham? – Alicja niemal krzyknęła z niedowierzaniem. – Przecież znasz angielski. Po co ci nauczyciel?

– Bo chcę podszlifować biznesowy. Mamy takie konwersacje... Do pracy potrzebuję.

– Rozumiem językowe ambicje, ale nowy facet?

– Dopiero się za niego biorę. – Dorota mrugnęła porozumiewawczo. – To znaczy, chcę... Jeszcze nic

się nie wydarzyło – zapewniła.

– Ale dopiero co płakałaś po...

– Nie chcę o tym mówić! – Dorota weszła Alicji w słowo. – Nawet nie wymawiaj jego imienia! Temat jest skończony. Prawie.

– Jak to prawie?

– Bo zakończę ten temat dopiero wtedy, kiedy pozbędę się tego dupka do końca. Teraz mam możliwości. Już rozwiązałam wszystkie umowy z jego firmą. Współpracowali z nami od kilku lat, byliśmy ich głównym partnerem. No to już nie jesteśmy. – Roześmiała się szyderczo.

– Myślisz, że to w porządku?

– A to, jak on mnie potraktował, było w porządku? Zawsze byłam posłuszna, pomocna. Czas najwyższy, żebym przestała być grzeczną dziewczynką. Nie chcę mieć sentymentów. Może to i nie fair, że wykorzystuję swoje możliwości i władzę, którą zyskałam po awansie. Ale zwyczajnie nie mogłabym na niego patrzeć, spotykać się z nim, rozumiesz?

Alicja milczała. Bezwiednie zgniatała jedną z kartek leżącą na biurku. Po części rozumiała podejście siostry, z drugiej strony pozbawianie faceta pracy było w jej mniemaniu zbyt okrutnym. Takiej Doroty nie znała. Ta dotychczas pomocna, wręcz chorobliwie angażująca się w sprawy innych dziewczyna nagle zmieniła się w zimną i wyrachowaną kobietę. A może to tylko poza – przebiegło Alicji przez myśl. Może Dorota w ten sposób próbuje poradzić sobie z emocjami i złamanym sercem.

– Po części rozumiem... – mruknęła po dłuższej chwili, patrząc na Dorotę. – Ale mimo wszystko... Nowy facet w tak krótkim czasie od rozstania. Nie chcę, żebyś znów popełniła błąd.

– O mnie się nie martw. I nie wkurzaj mnie, bo nie pojedę do Polanki po koty.

– Aaaa! – Alicja klasnęła w dłonie. – Ty wcale nie po koty chcesz jechać! Planujesz odwiedzić ciocię i poprosić o fiolkę ziółek, co? Rozgryzłam cię!

– Może lepiej pomówimy o tobie? – odcięła się Dorota. – Nie tęsknisz za Konradem?

– Nie chcę o tym rozmawiać – syknęła Alicja.

– Dlaczego? Bo wstyd ci, że zaprzepaściłaś szansę na miłość? A może jednak powinnaś zadzwonić do niego i jeszcze raz wyjaśnić, przeprosić.

– Nie będę tego roztrząsać. Daj mi spokój.

– Ach tak, czyli ty możesz dawać mi sercowe rady, ale kiedy chodzi o ciebie, to już inna sprawa – prychnęła Dorota.

– Bo to jest inna sprawa. Nie chcę do tego wracać. Było, minęło. Wakacyjny romans i tyle. Nie pierwszy i być może nie ostatni.

– Dobrze wiesz, że to nieprawda!

Głośna wymiana zdań między kobietami spowodowała, że z pokoju obok wyjrzała Matylda.

– Kłóćcie się? – spytała.

– A skąd. – Alicja wysiliła się na uśmiech. – Rozmawiamy sobie. Ciocia zaproponowała, że w weekend pojedzie po kotki...

– Super! – ucieszyła się dziewczynka i podbiegła w podskokach do Doroty. – Jesteś najlepszą, najukochańszą, najcudowniejszą ciocią na świecie! – Przytuliła się do niej mocno.

– No pewnie, że jestem. – Dorota odwzajemniła uścisk i pocałowała Matyldę w czoło.



## Rozdział 4



To było ponure osiedle składające się z kilku niewysokich bloków. Stare, zardzewiałe klimatyzatory dodatkowo szpeciły obskurne elewacje. Skraplająca się z nich woda pozostawiła brzydkie zacieki na ścianach. W wielu oknach suszyło się pranie wiszące na zamocowanych do parapetów sznurkach. Nie było balkonów.

Gdy taksówkarz wiozący Mariannę zamienił z nią kilka słów i dowiedział się, skąd pochodzi, był naprawdę zdumiony, że turystka, zamiast podążać śladami Kolumba i królowej Izabelli, kazała się zawieźć właśnie pod ten adres. To nie była Sewilla, którą powinno się pokazywać obcokrajowcom. Usiłował dowiedzieć się czegoś więcej, z czystej ciekawości, jednak Marianna nie była zbyt rozmowna.

– Tu mieszka jakiś pani znajomy? Koleżanka?

– Nie – odpowiedziała krótko.

Ona też była zawiedziona tym, co zobaczyła. Spodziewała się biurowca, albo chociaż eleganckiego apartamentowca. Tymczasem budynki, które ujrzała, straszyły brzydotą. Dwa razy poprosiła o potwierdzenie, czy podany przez nią adres jest właśnie tym, pod który przyjechali.

– Dlatego pytam, czy mieszka tu ktoś z pani znajomych – wyszczerzył zęby taksówkarz – bo muzeum tu pani nie znajdzie. Nie ma tu nic dla turystów. Wracamy?

– Dziękuję. Wsiadam.

Marianna uiściła należność i nieśmiało podążyła w kierunku bloku, który wskazał taksówkarz. Targały ją coraz większe wątpliwości. Z pewnością nie mieściła się tu siedziba żadnej firmy, nawet rodzinnej. Nie mieszkał tu też raczej żaden z hiszpańskich kontrahentów ojca. Była przekonana, że albo zaszła pomyłka, albo doszło do oszustwa. Mimo że ojciec był raczej ostrożny w interesach, to przecież nie wyjeżdżał aż tak często i na aż tak długo, żeby wszystko osobiście weryfikować.

Podeszła do drzwi będących wejściem na klatkę. Z niepokojem nacisnęła klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Dopiero teraz zauważyła umieszczony po prawej stronie domofon. Po chwili zawahania nacisnęła przycisk pod numerem sześć. Brzęczyk rozbrzmiał cichutko, niemal niesłyszalnie. Nikt się nie odezwał. Nacisnęła drugi raz, lecz znowu odpowiedziała jej cisza.

Po chwili odeszła kilka kroków i spojrzała w górę, zastanawiając się, które to może być mieszkanie.

– Pani do kogo? – usłyszała za sobą ochryply kobiecy głos. Odwróciła się. Za nią, oparta o laskę, stała tęga, niemłoda już kobieta w długiej brązowej spódnicy i wzorzystej chustce na głowie.

– Przepraszam. – Marianna odchrząknęła. Rzeczywiście, zadarta w górę głowa i wpatrywanie się w czyjeś okna mogły wzbudzić zainteresowanie. – Zastanawiam się, czy mieszka tu niejaka pani Rosso, bo dzwoniłam domofonem...

– A pani kto?

– A nie, nikt. – Marianna się zmieszala. Nie spodziewała się takiego pytania i nie bardzo wiedziała, jak na nie odpowiedzieć. Tym bardziej że rozmówczyni może i wyglądała na niemrawą staruszkę, ale



głos miała silny i zdecydowany. – To znajoma znajomego... Mam coś przekazać... – wytłumaczyła oględnie.

– Rosy nie ma. Tfu! – Staruszka siarczyście splunęła. Marianna mimowolnie odskoczyła pół kroku.

– A kiedy wróci?

– A oby nigdy! Przeklęta! Tfu! – Ponownie splunęła i uderzyła laską o chodnik. Zanim Marianna zdążyła zareagować, staruszka dziarskim krokiem podeszła do klatki, otworzyła kluczem drzwi i zniknęła we wnętrzu.

\*\*

Nawet się nie zdziwiła, kiedy za kierownicą taksówki ujrzała tego samego mężczyznę, który ją tu przywiózł. Widocznie nie zdążył daleko odjechać albo wracał z krótkiego kursu gdzieś nieopodal, bo kiedy stanęła przy ulicy i zamachała dłonią, pojawił się niemal natychmiast.

– Jednak pomyłka, co? Mówiłem, że to nie miejsce dla turystów. To dokąd teraz?

– Wracam. Poproszę na starówkę. Nieopodal katedry, tam skąd przyjechałam – wydusiła. Była zbyt rozczarowana wizytą w blokowisku, żeby wykrzesać z siebie choć trochę entuzjazmu podczas rozmowy z taksówkarzem. Na szczęście i on wyczuł jej brak ochoty na konwersację i zamiast jak poprzednio zagadywać, tym razem włączył radio.

Marianna próbowała uporządkować myśli. Wprawdzie nie zastała pani Rosso i niczego się nie dowiedziała, jednak przekleństwa staruszki pod adresem Rosy były dość szczególne. Cóż mogło oznaczać „przeklęta”? Może Rosa jest wróżką – przebiegło Mariannie przez głowę. Może ojciec korzystał z jej usług? To wprawdzie było do niego niepodobne, zawsze uważał wszelkich wróżbitów, jasnowidzów i tym podobnych za szarlatanów i oszustów i na ile go znała, nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby pokusić się o wizytę u takiego kogoś. A jednak wysyłał Rosie pieniądze – i to regularnie. Czyżby więc jakimś trafem złapała go w swoje szpony? Wiedźmy z pewnością mają swoje sposoby. Może przewidziała jego śmierć... Może co miesiąc kontaktował się z nią na przykład telefonicznie i przepowiadała mu przyszłość albo go uspokajała. Albo wręcz przeciwnie – straszyla, dając kolejne wskazówki, co ma robić, żeby przepowiednia się nie ziściła. To tłumaczyłoby regularne przelewy.

Marianna zadrżała. Nie, ojciec nie dałby się omamić żadnej wróżce. A więc dlaczego przysyłał pieniądze osobie, która mieszka w tak okropnym miejscu? Kochanka? Marianna aż skuliła się w sobie na tę myśl i zacisnęła oczy. Nie. To też nie pasowało do obrazu ojca, jaki miała w głowie. Kochał mamę ponad życie, byli doskonałą parą. Nigdy nie widziała, żeby się kłócili, raczej prowadzili głośne dyskusje. Owszem, zdarzały się drobne sprzeczki, jednak szybko rozładowywali napięcie uśmiechem. Nie, ojciec nie zdradzał matki. Nieraz zresztą w towarzystwie Marianny ubolewali nad tym, że nie mogą mieć więcej dzieci. Byli bardzo rodzinni i kochający. Marianna była wyczekaną córką i z pewnością miałyby rodzeństwo, ale operacja jajników, której musiała poddać się jej mama, zniweczyła nadzieję na kolejne dziecko. Początkowo rozważali adopcję, ale potem tak bardzo zaangażowali się w rozwój cukierni i kawiarni, że temat dziecka zszedł na dalszy plan. A potem było już za późno.

Marianna na chwilę odpłynęła we wspomnienia o rodzicach i dopiero słony smak w ustach uświadomił jej, że spod przeciwsłonecznych okularów popłynęły łzy. Szybko otarła je wierzchem dłoni i przywróciła się do porządku.

– Rosa Rosso. Na pewno nie była kochanką – powiedziała do siebie po polsku zdecydowanym tonem. Na szczęście muzyka w radiu grała na tyle głośno, że zagłuszyła jej słowa.

Rosa. Może więc była zwyczajną oszustką. Może naprawdę przedstawiła się ojcu jako producentka oliwy albo ważny dystrybutor. Może obiecała mu jakieś tańsze dostawy albo zdobycie mniej popularnego

gatunku. Może domagała się zaliczek?

Marianna poczuła się zmęczona. Wiedziała, że te dywagacje nie mają sensu i można tak w nieskończoność, jednak nie potrafiła, a nawet nie chciała przestać o tym myśleć. Wolała zająć głowę Rosą, niż zadręczać się na wskroś bolesnymi myślami o babci, do której śmierci się w swoim mniemaniu przyczyniła, dostarczając staruszce zbyt wielu emocji w ostatnich dniach jej życia.

– Cholerne korki! – krzyk taksówkarza wyrwał dziewczynę z zamyślenia.

Spojrzała za okno. Rzeczywiście, posuwali się w żółtym tempie, ale jej to nie przeszkadzało. Jechali wzdłuż rzeki. Po drugiej stronie ulicy rozciągał się zielony teren. Marianna zawiesiła wzrok na drzewach. Ten widok podziałał na nią kojąco.

– Tu jest jakiś ogród? – zagała.

– Park Marii Luisy. Nie była pani jeszcze?

– Jeszcze nie. Ale właśnie nabrałam ochoty.

– Niestety, nie dam rady tu zaparkować – mruknął. – Musiałbym podjechać od drugiej strony, ale to trochę potrwa w tym korku...

– Nie szkodzi – przerwała mu. – Wsiądę tutaj.

– Na ulicy?

Marianna nie odpowiedziała. Rzuciła okiem na taksometr i wyjęła z portfela kwotę o pięć euro większą, niż wskazywał.

– Reszty nie trzeba. Dziękuję – powiedziała i nie czekając na reakcję mężczyzny, wyszła z samochodu, po czym zgrabnie wymijając pojazd stojący na pasie obok, przeszła przez ulicę w stronę parku.

Pogoda sprzyjała spacerom. Było ciepło, ale nie gorąco. Marianna pierwszy raz od wielu dni odetchnęła pełną piersią, wcześniej jej oddech był płytki. Zieleń i przestrzeń spowodowały, że poczuła się lekko. I choć w umyśle wciąż krążyły smętne myśli, to nie dało się nie docenić piękna otaczającego świata. Tym bardziej, że w parku było niemal pusto.

W głównej alejce ustąpiła miejsca bryczce. Przystanęła wtedy i przymknęła oczy, wsłuchując się w dostojny tętent końskich kopyt. Kiedy dotarła do placu Hiszpańskiego, była mocno spragniona. U ulicznego sprzedawcy kupiła butelkę wody i oparłszy się o balustradę, podziwiała niezwykłą architekturę imponującego pałacu. Obiecała sobie, że któregoś dnia przyjdzie tu na dłużej, by dokładnie obejrzeć zdobienia i barwne elementy. Teraz była zbyt głodna, by skupić się na szczegółach.

Żałowała, że nie kupiła mapy. Nie bardzo wiedziała, jak wrócić do domu. Przez chwilę bezradnie rozglądała się wokół, usiłując z pamięci zlokalizować swoje położenie. Nagle ni stąd, ni z owąd pojawiła się przed nią kobieta z wyglądu przypominająca Cygankę i z uśmiechem na ustach wyciągnęła do Marianny dłoń, w której trzymała pęk gałązek rozmarynu.

– Proszę, weź jedną – zachęcała. – To dla ciebie.

Marianna odruchowo sięgnęła po gałązkę i już miała ją chwycić i podziękować kobiecie za miły gest, kiedy z oddali usłyszała męski krzyk.

– ¡No! ¡No lo coja!

Dopiero po chwili jej mózg wychwycił hiszpańskie słowa i zorientowała się, że prawdopodobnie skierowane są do niej „Nie bierz tego!”. Odwróciła się. Sprzedawca, u którego kupowała wodę, machał do niej, próbując tym samym odgonić Cygankę.

– Nie bierz gałązki! – krzyczał zdenerwowany. – To naciągaczki!

Zdezorientowana Marianna spojrzała na kobietę, której wyraz twarzy momentalnie się zmienił. Zamiast przyjaznego uśmiechu w jej oczach pojawiły się złowrogie błyski.

– Bierz! Nie bądź głupia! Nie słuchaj tego szaleńca.

– Dziękuję. Śpieszę się – powiedziała Marianna i skinąwszy sprzedawcy głową w podziękowaniu,

odwróciła się od Cyganki i szybkim krokiem poszła w kierunku bramy wyjściowej.

– Gdzie znajduje się postój taksówek? – spytała dorożkarza, który odpoczywał, opierając się o pień grubego drzewa.

– A dokąd pani chce?

– Na starówkę. Mieszkam nieopodal katedry.

– To moja trasa. Nie ma pani ochoty na przejażdżkę bryczką?

– A ile to kosztuje?

– Wiele nie policzę. To połowa zwyczajowej trasy, a zatem dwadzieścia euro.

Marianna w myślach przeliczyła gotówkę, która miała przy sobie.

– Piętnaście – zaproponowała.

– Piętnaście i porozmawia pani z moim koniem – zgodził się po krótkim namyśle.

– Jak to porozmawiam z koniem?

– Zwyczajnie. Bo widzi pani – dorożkarz wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę bryczki – ludzie to tylko zawieź, przywieź. Cmokną na konia, wyszczerzą do niego zęby, ale nikt nie porozmawia. A ja sobie myślę, że jemu brakuje czułości.

– Pan z nim nie rozmawia?

– A jakże! Rozmawiam. W kółko o czymś gadamy. Ale mnie już nie chce słuchać. Głaszczę go, dopieszczam, dbam o niego. Ale wie pani, jak to jest. Swojego to się nie docenia. Jak obcy pochwali, to inaczej, prawda?

– Prawda. To chce pan, żebym mu prawila komplementy? – Marianna zatrzymała się i mówiła szeptem w obawie, żeby koń nie usłyszał.

– O, na pewno się ucieszy. I z takiej zwyczajnej rozmowy też. Niech pani go poklepie, zapyta, co słyhać, jak leci. Takie, wie pani, przyjazne zainteresowanie niech pani okaże.

– Dobrze. Z przyjemnością porozmawiam z pana koniem.

Dorożkarz uniósł głowę z zadowoleniem i uśmiechnął się szeroko. Podprowadził Mariannę do zwierzęcia i powiedział:

– Gustavo, to jest... emmm, jak pani ma na imię? – spytał, nachylając się do Marianny.

– Marianna.

– To jest Marianna. Bardzo chciała cię poznać. Zgodziłem się, żebyśmy zawieźli ją pod katedrę.

– Dzień dobry, Gustavo. Jesteś bardzo pięknym koniem. – Marianna pogłaskała zwierzę po pysku. Ze zdumieniem stwierdziła, że koń naprawdę na nią patrzy i prawdopodobnie naprawdę jej słyha. Poczowała się dziwnie. Dotychczas, mimo iż wychowała się na wsi, nie miała do czynienia z końmi. Nie bała się ich, ale też nie fascynowały jej do tego stopnia, żeby się nimi bliżej zainteresować. Tymczasem to wielkie stworzenie okazało się zadziwiająco przyjazne i empatyczne. Jakby naprawdę wszystko rozumiało. Teraz przestała się dziwić dorożkarzowi, dlaczego rozmawia z koniem.

– Cieszę się, że zawieziesz mnie na starówkę – kontynuowała z uśmiechem, wciąż głaszcząc konia – i naprawdę bardzo się cieszę, że cię poznałam, bo jesteś wyjątkowy.

Dorożkarz z uznaniem pokiwał głową.

– Dziękuję. Bardzo jest pani miła – powiedział. – Zawieźlibyśmy panią i za dziesięć euro, ale teraz nie ma sezonu, a konia trzeba wykarmić... Dlatego nie zejdę niżej. Niech będzie to piętnaście, które ustaliliśmy.

– Niech będzie dwadzieścia, tak jak pan chciał na początku.

Piotr Pawlicki od dwóch godzin pił na przemian cappuccino i latte, zagryzając je suchymi wafkami i czatując na Mariannę w bistro Carmen. Nie wiedział, czy dziewczyna jest w domu, czy jej nie ma, ale nie chciał dzwonić, pragnął, żeby spotkanie wyglądało na przypadkowe i spontaniczne.

Dochodziła osiemnasta, nerwowo spoglądał na zegarek. W dodatku czuł na sobie świdrujący wzrok kelnerki, których taniec wczoraj oglądał. Żadna jednak nie komentowała jego obecności, choć z pewnością domyślały się, po co tu wrócił. Grunt to dyskrecja – pomyślał i docenił urok ponurego bistro, w którym prawdopodobnie nie tylko on knuje swoją intrygę. Był gotów czekać na Mariannę kolejnych kilka godzin albo przyjść nazajutrz, zaraz po wykładach, byleby w końcu ją spotkać. Matka, z którą rozmowę tego dnia przeprowadzał trzykrotnie, dokładnie go poinstruowała, jak mężczyzna powinien się zachowywać, dzięki czemu czuł się o wiele pewniej niż wczoraj. Teraz już wiedział, że wypada zapłacić rachunek także za kobietę, a do tego dołożyć napiwek kelnerce. Wczoraj skrupulatnie odliczał kwotę za swoją kawę i ciastko, zadowolony, że nie zgodził się, by Marianna płaciła za całość, choć nalegała.

Na placu robiło się coraz gwarniej. Mimo że nie było już wysokiego sezonu, na starówce nie brakowało tłumów. Kafejki i restauracje zaczynały żyć, zbliżała się pora wczesnej kolacji. Sklepiarze wychodzili na zewnątrz swoich małych sklepików i głośno nawoływali spacerowiczów, zachęcając do kupienia pamiątek. Z ciasnych uliczek, które łączyły się na placu, napływali turyści żądni flamenco. Z wielu knajp sączyła się odpowiednia muzyka, a na ustawionych przed wejściem tablicach informowano o godzinach pokazów. W Carmen odbywały się one najwcześniej, ale nie budziły wielkiego zainteresowania. I nawet nie z powodu tancerek, które były mniej atrakcyjne niż młodsza i ładniejsza konkurencja, lecz z powodu muzyki, która płynęła z płyty, podczas gdy w dwóch innych barach tancerkom akompaniowali instrumentalisci.

Piotr Pawlicki nie czekał dziś na flamenco. Dziś czekał tylko na Mariannę i kiedy w końcu ją ujrzał, pomyślał, że oto jego cierpliwość została nagrodzona. Wyprostował się i strzepnął z tweedowej marynarki niewidoczne okruszki. Kilka razy odchrząknął po cichu dla dodania sobie otuchy.

– Dzień dobry, profesorze! – Marianna nie kryła zdziwienia na jego widok. – Pan tutaj?

– Ach, dzień dobry. – Wstał i się uklonił. – Co za miła niespodzianka. Wraciałem właśnie z areny i wpadłem na małą kawę, wczoraj bardzo mi tu smakowała. Dopiero co usiadłem, może się pani przyłączy, skoro już się spotkaliśmy? – Odsunął jej krzesło, zadowolony, że kelnerki sprzątają na bieżąco i na stoliku stoi ledwie co napoczęta kawa.

– Chętnie. Padam z nóg i jestem bardzo głodna. – Marianna nie dała się długo prosić. – Był pan na arenie byków?

– Tak – skłamał. – Wybieram się na korridę. – Może i pani miałaby ochotę?

– O, dziękuję, to nie dla mnie. Zbyt krwawy sport – odpowiedziała zgodnie z jego oczekiwaniami. Odetchnął w duchu. On też nie miał zamiaru tam iść, niewiele go interesował świat matadorów, ale matka naciskała, żeby właśnie o tym wspomniał. Podobno kobiety lubią ociekających testosteronem wojowników. A już na pewno lubią mieć świadomość, że mężczyzna, z którym są, nie mdleje na widok krwi.

Marianna zamówiła paellę z owocami morza, a ponieważ porcja była olbrzymia, zaproponowała Piotrowi, żeby także się poczęstował. Przystał na to i od siebie zamówił jeszcze dzbanek sangrii.

Nie był głodny, wręcz przeciwnie – adrenalina, która krążyła w jego krwi, spowodowała, że stracił apetyt. Dłubiąc widelcem w ryżu, przyglądał się, jak dziewczyna zajada.

– A właściwie czym się pan zajmuje, profesorze Piotrze? Na długo przyjechał pan do Sewilli? – zagadnęła, kiedy zaspokoila pierwszy głód.

Wczoraj rozmawiali głównie o zaginionych bagażach, o podróży i pogodzie, a potem oglądali pokaz

flamenco, dlatego Piotr ucieszył się, że dziś Marianna podjęła bardziej osobisty temat. Wreszcie będzie mógł opowiedzieć o sobie, swoich dokonaniach i zaimponować jej pozycją społeczną.

– Chyba będzie wygodniej, kiedy zacniemy mówić sobie po imieniu – zaproponował, wznosząc toast, zadowolony, że przeszedł na kolejny etap skracania dystansu. – Proszę mi mówić Piotr. Oczywiście, kiedy jesteśmy sami – nachylił się – bo przy ludziach to jednak wolę oficjalnie – podkreślił szybko. Zbyt wiele wysiłku kosztowało go zdobycie tytułu, żeby zrezygnować z tak miłego dla uszu nazewnictwa.

– Oczywiście – przytaknęła Marianna.

– Zostałem zaproszony na cykl wykładów. Uniwersytet w Sewilli wspólnie z Fundacją Torresów organizuje co roku konferencje, szkolenia, prelekcje na temat problemów współczesnej młodzieży. Wiesz, przyczyny agresji, odtrącenie czy tak popularny ostatnio hejting w internecie. Ja jestem neurobiologiem, najbardziej interesuje mnie właśnie ta część mózgu, która odpowiada za emocje.

– To interesujące. – Marianna skinęła głową i uniosła brwi.

Piotr uśmiechnął się w duchu. Doskonale wiedział, że jego prezentacja wywiera na ludziach odpowiednie wrażenie.

– Popularyzuję wiedzę na temat neurobiologii i neurodydaktyki – ciągnął. – Mam na koncie kilka publikacji. Współpracuję z wieloma światowej sławy specjalistami, na przykład z profesorem Bauerem czy Spitzerem. Z Bauerem to się nawet przyjaźnię – dodał konspiracyjnym szeptem. – On także miał tu być, ale sprawy rodzinne zatrzymały go w Hamburgu. Być może pojawi się na balu. Tam też mamy zaplanowaną króciutką prelekcję.

– Na balu?

– Tak, bal organizowany przez fundację wieńczy dwutygodniowy cykl wydarzeń. Wspaniała impreza, zapraszani są wyśmienici goście. To dla mnie prawdziwy zaszczyt brać w tym udział.

– Gratuluję. I zgadzam się, że inicjatywa, o której mówisz, rzeczywiście jest ważna w naszych czasach – przyznała Marianna. – Szczególnie że problemy współczesnej młodzieży z każdym dniem będą się pogłębiać. Sama doświadczyłam odrzucenia.

– Doprawdy?

– Niestety, nie byłam lubiana w szkole. Potem zresztą też nie... – Marianna westchnęła. – Pochodzę z małej miejscowości. Wystarczy, że mała grupa cię odrzuci i zaraz inni idą jak owce za tłumem.

– Coś w tym jest.

– Dlatego tym bardziej trzymam kciuki, żeby projekt, w którym bierze pan udział... to znaczy bierzesz udział, Piotrze, przyniósł pozytywne efekty.

– Na to trzeba będzie trochę poczekać, ale właśnie po to powstała fundacja. A propos. Zaproszenie na bal jest dwuosobowe. Może miałabyś ochotę wybrać się tam ze mną?

– Och, dziękuję, ale niestety nie mogę.

– Oczywiście, że możesz, zapraszam, będzie mi bardzo miło. Tym bardziej że mam przecież dług wdzięczności. Gdyby nie ty, nie wiadomo, kiedy odzyskałbym walizkę.

– Naprawdę to nie jest dobry pomysł. Po pierwsze przyjechałam tu w konkretnym celu i nie mam czasu na takie rozrywki. A po drugie, niedawno straciłam rodziców, a kilka tygodni temu babcię. Zwyczajnie nie mam nastroju do zabawy.

– Bardzo mi przykro. – Piotr uniosł brwi, zaskoczony tak drastycznym wyznaniem. – To zrozumiałe... No tak. – Odchrząknął, nie bardzo wiedząc, jak zareagować i jak teraz poprowadzić rozmowę. Wcześniej zaplanował, że zaproponuje Mariannie towarzyszenie mu podczas balu, a ona się zgodzi, jednak swoim wyznaniem zbiła go z tropu.

– Nie jesz? – spytała, zmieniając temat. Jego talerz wciąż był pełen.

– Nie jestem głodny. Ale chętnie się napiję. – Dolał do kielichów sangrii i skinął na kelnerkę, żeby

zamówić kolejny dzbanek.

– Nie zamawiaj – powstrzymała go Marianna. – Ja nie będę już piła.

– Ale przecież to słabiutki. Jak kompot. – Roześmiał się.

– Słabe nie słabe, ale mimo wszystko alkohol, a ja nie mam zbyt mocnej głowy do trunków.

I bardzo dobrze! – ucieszył się w duchu Piotr.

– Poza tym chciałabym położyć się dziś wcześniej spać – ciągnęła, zauważywszy, że kelnerki już się przebrały i tym samym za chwilę rozpocznie się pokaz, a to oznaczało, że zbliża się godzina dziewiętnasta.

– Dziś?! – krzyknął nadspodziewanie głośno. – Ale dziś nie możesz, absolutnie!

– Dlaczego?

– Bo przecież dziś jest wieczorna animacja przy Złotej Wieży. Lasery, wielkie widowisko! – wymyślił na poczekaniu. Był gotów kłamać jak z nut, byleby spędzić z Marianną całą wieczór.

– Widowisko? Pierwsze słyszę.

– Dowiedziałem się od studentów. Tylko dzisiaj. Raz w roku. Na rzekę mają wypłynąć statki, napadną na nie berberyjscy piraci, a potem przeniosą łupy do wieży. Zaplanowano też pokaz światła i dźwięku. Podobno wspaniała rzecz. Nie można tego przegapić. – Zerknął na zegarek. – Ma się rozpocząć o dwudziestą, akurat zdążymy wypić sangrię i dojść tam spacerkiem.

Marianna niechętnie, ale się w końcu zgodziła. Rzeczywiście, szkoda byłoby opuścić takie wydarzenie. Nie zamierzała wracać do Sewilli w najbliższym czasie.

\*\*

Dotarli na miejsce o czasie, jednak wokół Złotej Wieży nie działo się nic szczególnego, nie było tam także oczekujących na pokazy osób.

– Może pomyliłem godziny – powiedział Piotr. – Chyba chodziło o dwudziestą pierwszą. Być może coś źle zrozumiałem.

– Nie szkodzi. Wieczór jest przyjemny i ciepły, możemy poczekać – zaproponowała Marianna, widząc jego zatroskaną minę. – Przynajmniej jesteśmy tu pierwsi.

Usiedli na ławce i przez chwilę rozmawiali o zabytkach, które zgromadzono w mieszczącym się w wieży muzeum. Marianna nie planowała tam iść, ale Piotr opowiadał naprawdę ciekawie. Ponoć odwiedził muzeum podczas wakacji kilka lat temu, teraz planował wybrać się tam ponownie, by dokładniej obejrzeć modele statków Krzysztofa Kolumba. Potem dyskutowali właśnie o historii, aż w końcu rozmowa znów zesłała na tematy prywatne. Marianna początkowo niechętnie mówiła o sobie, jednak po pewnym czasie Piotrowi udało się dowiedzieć, że jest od niego młodsza o ponad dziesięć lat, że nie ma rodziny ani narzeczonego, że studiowała w Londynie oraz Madrycie. Na pytanie, skąd pomysł przyjazdu do Sewilli, odpowiedziała oględnie, tłumacząc, że po trudnych przeżyciach miała ochotę odpocząć i zmienić otoczenie. Mimo że podejrzewał, iż nie do końca powiedziała prawdę, nie dopytywał. Aż tak nie potrzebował tej wiedzy, żeby drażyć. Wystarczyło mu, że usłyszał, iż jest sama. A to oznaczało, że matka mogła mieć rację – ich spotkanie mogło być prawdziwym zrzędzeniem losu.

– Chyba jednak studenci zrobili sobie ze mnie żarty – przyznał zawstydzony, kiedy zegar wybił dwudziestą drugą, a pod wieżą nadal nic się nie działo. – Raczej nie będzie pokazu.

– Trudno. – Marianna starała się nie okazać rozczarowania. – Może innym razem. – Wstała i skinęła głową, dając znak, że pora wracać.

Kiedy przechodzili obok gwarnej kawiarenki, zatrzymała się i wyszeptwała:

– Przepraszam cię, Piotr, ale muszę skorzystać z toalety.

– Oczywiście. Poczekam.

Gdy wróciła, okazało się, że Piotr siedzi przy stoliku, racząc się winem z karafki.

– Zapraszam. Wstyd mi, że dałem się nabrać studentom. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. To na przeprosiny – powiedział, wskazując na jej pełny kieliszek. – Oczywiście ja płacę.

– Chcę już wracać, jest bardzo późno.

– Przecież nie zostawisz mnie tu samego. Chciałem jakoś ci zrekompensować tę nieudaną wycieczkę do wieży.

Marianna usiadła, dając za wygraną. Rzeczywiście, niezręcznie byłoby go zostawić. Nie czuła się komfortowo, spędzając kolejne minuty w sposób, na jaki nie miała ochoty, ale z grzeczności rozmawiała dalej z Piotrem i poczęstowała się podsumiętym przez niego winem. Umoczyła usta, udając, że pije, i cierpliwie czekała, aż on opróżni zawartość całej karafki. Kiedy wreszcie skończył i zapłacił rachunek, zaproponowała, że sama wróci do domu.

– Ależ nie ma o czym mówić – powiedział nienaturalnie głośno i wyraźnie. Prawdopodobnie alkohol zaczął plątać mu język i Piotr za wszelką cenę nie chciał do tego dopuścić. – Jestem szarmancki – podkreślił twardo, jakby oczekiwał, że Marianna, usłyszawszy to określenie, rozplynie się ze szczęścia, że na takiego trafiła.

Naprawdę był przekonany, że Marianna w duchu pieje z radości.

Odprowadził ją pod drzwi, zastanawiając się, czy zaprosi go do środka. Planował odmówić, pragnąc, by ujrzała w nim dżentelmena. Ale nie zaprosiła go. Nawet słowem nie wspomniała, że mogliby spędzić wspólnie noc.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że nie zaśpisz na wykłady. – Uśmiechnęła się i podała mu rękę na pożegnanie.

– Nawet jeśli zaśpię, to było warto. To był naprawdę udany dzień. – Nie wypuszczając jej dłoni, podszedł blisko, objął ją, zbliżył twarz do jej twarzy i rozchylił usta, żeby ją pocałować.

Marianna poczuła, jak ze zdenerwowania zaczyna jej mocno bić serce. Wino co prawda szumiało jej lekko w głowie, lecz nie na tyle, żeby straciła trzeźwość umysłu. Zwinnym ruchem wyplątała się z objęć i chwyciła za kłamkę. W głowie trwała galopada myśli. Zastanawiała się, dlaczego Piotr tak postąpił, przecież nie dała mu powodów. A może dała, godząc się na długi spacer i wino w kawiarni – przebiegło jej przez myśl.

– Marianna? – Piotr, nieco oszołomiony jej ucieczką od pocałunku, ponownie zrobił krok w jej stronę.

– Muszę już lecieć – wybełkotała szybko, zwinnie uskakując.

– Ale przyznaj, że to był udany dzień – wyszeptał ochryple. Prawdopodobnie też nie wiedział, co powiedzieć.

– Tak. Bardzo udany. Niesamowity. I rozmawiałam dzisiaj z koniem!

\*\*

Rozpierała go złość. Tak wielka, że pogubił się w pajęczynie uliczek. W końcu dotarł do jednej z głównych, ale porzucił myśl o taksówce. Miał ochotę iść, a nawet biec, byle tylko wytracić skumulowaną nieprzyjemną energię. Alkohol wywietrzył mu z głowy. Wyjął telefon, żeby włączyć nawigację. Dopiero teraz zauważył dwadzieścia sześć nieodebranych połączeń. Wcześniej wyciszył dzwonek, żeby matka nie przeszkadzała w randce. Zapomniał jednak, że obiecał do niej zadzwonić, kiedy już będzie sam. Nie miał teraz ochoty rozmawiać, ale ledwie nacisnął ikonę mapy, smartfon rozbłysnął

i ukazał się panel telefonu. Mama. Wiedział, że jeśli nie odbierze, telefon będzie dzwonił co kilka minut, uniemożliwiając mu korzystanie z map.

– Halo – powiedział szorstkim głosem.

– Jezus Maria, żyjesz!

– A dlaczego miałbym nie żyć? Wiedziałaś, że planuję spotkać się z tą dziewczyną.

– Ale ileż można się spotykać! Noc już jest! Niepokoiłam się o ciebie.

– Dopiero wracam. Zadzwoń jutro.

– Hola, hola! – krzyknęła dziarskim głosem. – Nie tak szybko! Nie wytrzymam do jutra. Opowiadaj.

– Nie ma o czym. Ta dziewczyna to pomyłka. Nie ma o czym gadać.

– Dała ci kosza?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz? Takie rzeczy się wie. Nie kłam mi tu. Co się wydarzyło? Cholera jasna, jak mnie nie ma, to wszystko potrafisz spieprzyć.

Piotr przystanął. Matka była nadopiekuńcza i toksyczna, ale zazwyczaj troskliwa. Bywały jednak momenty, jak ten, kiedy wchodziła na wysokie tony i zaczynała przeklinać. Zawsze wtedy czuł się nieswojo, jakby znowu był małym karconym chłopcem.

– Mamo – podjął cicho, ale czuł, że głos mu się łamie. – Ona mnie nazwała koniem.

– Co?

– Nazwała mnie koniem – powtórzył niemal bezgłośnie.

W słuchawce na kilka sekund zapanowała cisza.

– A jak byłeś ubrany?

– Normalnie. W sztruksy i tweedową marynarkę. A co to ma do rzeczy? – obruszył się, zadowolony, że udało mu się zapanować nad głosem i znów brzmiał mocno i pewnie.

– No oczywiście! Przecież ta marynarka jest okropna, niemodna, paskudna. I wygląda jak derka dla konia. Nie dziwota, że dziewczyna tak cię odebrała. Jak konia – prychnęła matka pogardliwie.

– Co ty mówisz, to dobra marynarka. Modna – próbował się bronić, choć i tak wiedział, że w starciu z matką jest skazany na porażkę.

– A może się roześmiałaś przy niej? Nigdy ci tego nie mówiłam, ale czasami rżysz jak koń.

Piotr przełknął ślinę.

– Masz dla mnie więcej komplementów?

– Coś by się jeszcze znalazło.

– Tracę zasięg, bo wchodzę do metra – rzucił pospiesznie, żeby nie wysłuchiwać kolejnych obelg. Rozłączył się i przez chwilę stał, wpatrując się w ekran, zapomniawszy zupełnie o mapach, nawigacji i chęci biegania. Poczł się słaby i zmęczony. Nie znosił matki, a zarazem ją kochał. Ta męcząca sprzeczność powodowała, że nie potrafił być obiektywny. Czasem chciał powiedzieć matce, że ma dość takiego traktowania, że pora już przeciąć pępowinę i niech każde z nich zacznie żyć własnym życiem. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że nosi brzemień późnego dziecka, w dodatku jedynaka, a jego matka brzemień późnego, samotnego macierzyństwa. Ojciec Piotra zmarł, kiedy ten miał osiem lat. Matka, wówczas czterdziestodziewięciolatka, oprócz Piotra nie miała już nikogo. Oddała mu całą swoją miłość i otoczyła troską, jakiej nie doświadczał żaden z jego rówieśników. Dysponując niewielkimi, ale stałymi dochodami w postaci renty po mężu, zrezygnowała z pracy, oddając się wyłącznie wychowaniu syna. Pragnęła, żeby został kimś, z kogo mogłaby być dumna. Najlepiej profesorem, bo w jej rozumieniu nie było wyższego rangą tytułu, który wzbudzałby u ludzi szacunek i respekt. Piotr zrealizował te marzenia. Nie wpadło mu nawet do głowy, że mógłby mieć jakieś własne.

Teraz nadszedł czas na realizację planów matki dotyczących rodziny. Wcześniej nie snuła takich, było



im dobrze razem. Jednak Piotr coraz częściej wyjeżdżał. Sympozja, wykłady, konferencje. A ona czuła się coraz bardziej samotna. Do tego dochodził nasilający się lęk przed śmiercią i obawa, że umrze podczas jego nieobecności. Gdyby więc miał jakąś żonę, może dzieci, ona miałaby z kim rozmawiać, ktoś by się o nią troszczył.

Piotr zdawał sobie sprawę, że matka czuje się samotna. Mimo że nienawidził, kiedy do niego wydzwaniła, dopytując o każdą bzdurę i przypominając o umyciu zębów, nie sprzeciwiał się, ponieważ było mu jej żal. Wiedział, że żyje jego życiem, bo jej własne było zbyt ubogie, by miała się czym ekscytować. Nie miał sumienia buntować się przeciw niej i chociażby spróbować zamieszkać samemu. Nie chciał, żeby poczuła się odrzucona i niechciana. Poza tym, cokolwiek by mówić, z nią żyło mu się wygodnie. Nie odczuwał potrzeby usamodzielnienia się, a potrzeba uznania była zaspokajana w pracy.

\*\*\*

Marianna stała na ciemnej klatce schodowej i próbowała opanować zbyt mocno bijące serce. Myśli biegły nieustannie w kierunku Piotra. Analizowała przebieg ich spotkania, zastanawiając się, co takiego zrobiła źle, że pozwolił sobie na takie zachowanie. Niepotrzebnie w ogóle z nim poszła.

Wyrzucała sobie, że wczoraj, zamiast dokonać krótkiej wymiany walizek, zaprosiła go do kawiarni, wypiła kawę, podjęła rozmowę.

Niezadowolona z takiego obrotu spraw, próbując wyrzucić z myśli nieszczęsną próbę pocałunku, człapała po schodach, mocno trzymając się poręczy. Zamyślona i smutna, nie zwróciła uwagi, że kiedy nacisnęła klamkę do mieszkania, drzwi ustąpiły, mimo że powinny być zamknięte na klucz, o którym także zapomniała. Dopiero będąc w przedpokoju, zauważyła, że wystrój pomieszczenia jest nieco inny, niż powinien. Zaskoczona, nie rozumiejąc jeszcze, co się stało, rozejrzała się wokół. Po chwili dotarło do niej, że pomyliła piętra i zamiast na drugie, dotarła na trzecie, gdzie po lewej stronie mieszkała Luisa.

Marianna, zmieszana własną nieuwagą, miała już po cichutku wyslizgnąć się na zewnątrz, kiedy zaintrygowały ją dźwięki dochodzące z mieszkania. Za przeszklonymi drzwiami do pokoju siedziały prawdopodobnie wszystkie mieszkanki kamienicy, ponieważ kilka głosów mówiło coś zgodnym chórem. Dziewczyna mimowolnie przyłgnęła do ściany i próbowała wsłuchać się w melodyjne hiszpańskie słowa, które – powtarzane niczym mantra – w końcu zaczęły układać się w wyraźny ciąg:

– Elena! Elena Fernandez! Przybądź! – Kobiety mówiły zdecydowanym, jednobrzmiącym i donośnym głosem.

Marianna, usiłując zrozumieć, cóż to może znaczyć, jeszcze mocniej przywarła do chłodnej ściany i teraz już, powodowana prawdziwą ciekawością, nastawiła ucho niemal przy samych drzwiach.

– Elena! – rozniosło się po krótkiej chwili. – Przybądź, wzywamy cię!

Marianna wstrzymała oddech, poczuła, jak przechodzą ją dreszcze. Nagle niemal podskoczyła, kiedy usłyszała dynamicznie odsuwane krzesło.

– To bez sensu! – usłyszała podenerwowany głos Veroniki. – Ona się z nas naigrywa! Zgaś świece, Juanito, szkoda czasu, już wolę iść spać.

– Veronico, siadaj! – nakazała Luisa. – Nigdzie nie pójdziesz, jeszcze kilka prób, tak szybko się nie poddamy. Elena! Dobrze wiem, że tu jesteś! Natychmiast się ujawnij!

– Po prostu powiedz nam, gdzie wsadziłaś ten cholerny zeszyt z przepisami – zrezygnowanym głosem jęknęła Juanita. – Tylko nam powiedz, daj jakiś znak, naprowadź...

– Tere-fere – przedrzeźniła Veronica. – Oczywiście, że nic nam nie powie. Złośliwie się teraz wyśmiewa, że ją wzywamy i błagamy. Zawsze lubiła, jak się ją o coś prosiło. Gdyby nie była złośliwa, to trzymałaby przepisy na wierzchu, nie ukrywała przed nami.

– Nie ukrywała, tylko włożyła gdzieś, żeby się zeszyt nie zgubił. Teraz pewnie sama nie pamięta – powiedziała Juanita.

– No to niech powie, że nie pamięta, a nie siedzi cicho. Eleena! Porusz talerzykiem! – krzyknęła Luisa.

– Przystań na nią krzyczeć – zaperzyła się Teresa. – Dopiero co umarła, a ty się jeszcze na nią wydzierasz.

– Jakie dopiero co – obruszyła się Luisa – już trzy tygodnie będzie. A od dwóch próbujemy się z nią skontaktować i nic. Chyba najwyższa pora, żeby się ujawniła. Ale nie, ona się pewnie napawa naszym nieszczęściem. Doskonale widzi, że ledwo przedziemy, a ostatni stali goście odpłynęli krótko po jej pogrzebie. Nie wrócą, dopóki nie damy im jej cholernego torciku!

– Masz rację – przyznała Juanita. – Może rzeczywiście chce nam pokazać, że była niezastąpiona. Nieraz odgrażała się, że bez niej nie damy sobie rady. Tym bardziej nie powinnaś krzyczeć.

– A co mam robić, jak już mi nerwy puszczaają!

– Grzecznie musimy – Teresa zniżyła głos. – Dyplomatycznie. Jak zwykle do niej. Elena. – Teresa odchrząknęła. – Przyznajemy ci rację. Byłaś niezastąpiona. Bez ciebie nie dajemy rady.

– Nie dajemy, Elena, to prawda – westchnęła Juanita. – Wszyscy pytają o twój torcik Carmen.

Marianna z uchem przy drzwiach poczuła, jak zdrętwiała jej prawa noga. Usiłując zmienić pozycję, zahaczyła stopą o szafkę z butami i niemal krzyknęła, gdy lekki wiklinowy mebel zachwiał się niebezpiecznie i choć się nie przewrócił, to z samej góry spadły na podłogę położone tam kastaniety. Już po chwili na ten dźwięk zaszurały krzesła i cztery kobiety w euforii mówiły jedna przez drugą:

– Słyszaliście to? Słyszaliście? Elena? Jesteś tam?

Marianna na moment zastygła, po czym jednym susem, nie bacząc już na to, żeby nie narobić hałasu, rzuciła się do drzwi i szybko wybiegła z mieszkania. Pokonując kilka schodów na raz, dotarła do własnych drzwi i drżącą ręką sięgnęła po klucz.

Zbyt wiele wrażeń jak na jeden dzień – pomyślała, opadając na łóżko. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Płynnym ruchem zsunęła buty i nie zdejmując ubrania, przykryła się kocem. Sen nadszedł niespodziewanie szybko.

Kiedy po około godzinie się obudziła, poczuła niesmak w ustach. Nie przywykła do spania bez kąpieli i umycia zębów, w dodatku chciało jej się pić. Spojrzała na zegarek, którego fosforyzujące cyferki wskazywały wpół do pierwszej. Noc była wyjątkowo jasna. Księżyc oświetlał wnętrze białą łuną i choć Marianna zazwyczaj nie zasłaniała okien, teraz uznała, że zaciągnie kotary, żeby móc ponownie zasnąć.

– Ale najpierw umyję zęby i założę piżamę – mruknęła do siebie, ziewając.

Nie zdążyła wstać z łóżka, kiedy usłyszała dobiegający z przedpokoju dziwny dźwięk. Coś jakby zamykanie drzwi, ale nie od drzwi wejściowych, tylko od drugiego pokoju, którego szklane szybki niepokojąco zadrżały.

Marianna zastygła w bezruchu. Nagle dźwięk ustał, a chwilę później słychać było kroki. Stara dębowa podłoga wyraźnie skrzypiała pod ciężarem czyichś stóp. A stopy te zbliżały się do pokoju, w którym spała Marianna.

To mi się tylko wydaje, to mi się tylko wydaje – powtarzała w myślach, choć serce już prawie podeszło jej do gardła. Była pewna, że zamykała drzwi wejściowe na klucz, poza tym sprawdzała dwukrotnie, czy łańcuch, który stanowił dodatkową blokadę, na pewno jest zasunięty.

Dźwięk zbliżających się kroków narastał. Marianna usiadła na łóżku i przywarła do ściany, nakrywając się szczelnie kocem. Nagle w jasnej poświacie księżycy ujrzała kobietę i choć myśl o tym, że jest to duch, była równie przerażająca, jak absurdalna, nie dało się jej zignorować.

– Elena? – Marianna ledwie wydobyła z siebie głos. Kobieta nie zareagowała. Podeszła do biurka i zaczęła otwierać szuflady, szukając czegoś z dużym zaangażowaniem.

– Elena? – powtórzyła Marianna wciąż drżącym głosem, ale tym razem nieco głośniej. I wtedy kobieta powoli odwróciła się i na nią spojrzała.

– Elena – przedstawiła się. – A ty co za jedna?

Ale Marianna nie zdołała odpowiedzieć. Zemdląła.



## Rozdział 5



Hotelowa restauracja była niemal pusta. Pora śniadania minęła, ale kelnerka, zauważywszy Piotra, powstrzymała gestem koleżanki, żeby jeszcze nie wnosiły jedzenia. Piotr odwdzieczył się niewyraźnym uśmiechem. Był naprawdę głodny. Pierwszy raz zdarzyło mu się zasnąć. Cieszył się, że jest piątek i tego dnia nie musi pędzić na wykłady. Nałożył sobie solidną porcję jajecznicy, kilka plasterków zbyt mocno przysmażonego bekonu oraz dwa pieczone pomidory, które uwielbiał i którym nie potrafił się oprzeć.

Kelnerka przyniosła do stolika kawę oraz dzbanek z mlekiem i szklankę soku pomarańczowego. Podczas kilku dni jego pobytu zauważyła, co lubi, i starała się mu dogadzać. I choć Piotr zdawał się nie zwracać uwagi na jej wysiłki, miała nadzieję, że tak jak większość gości zostawi jej suty napiwek, gdy będzie wyjeżdżał.

Piotr, zaspokoiwszy pierwszy głód, włączył telefon. Nie spodziewał się żadnych wiadomości oprócz tych od matki. Nie zdziwiło go zatem, że aktywny ekran szybko wypluwał kolejne informacje, kto dzwonił i kto napisał. Matka, matka. Wyświetlała się jako „mamusia”. Od Marianny nie było nic. Odesłał matce lakonicznego SMS-a: „Wszystko u mnie w porządku, zadzwonię później”, schował telefon i rozejrzał się dyskretnie po sali, czy jest jeszcze coś do zjedzenia. Na szczęście kelnerka przypilnowała, żeby jego ulubione specjały wciąż tkwiły na stole pełniącym funkcję bufetu. Zadowolony podszedł i nałożył na talerz dwie porcje wędzonego łososa, kulkę twarożku i kolejne dwa pieczone pomidory. Czuł się dobrze. Wstał w wyśmienitym humorze, a wszelkie złe emocje, które odczuwał poprzedniego wieczoru, ulotniły się niczym kamfora. Uznał, że Marianna miała prawo być dla niego oschła i potraktować go obcesowo, bo przecież to on pierwszy zachował się nie do końca uczciwie. Najpierw namówił ją na oglądanie spektaklu, którego nie było, a potem próbował pocałować. Dopiero w nocy, przed zaśnięciem, oświeciło go, że może to jednak dla dziewczyny za wcześnie. A że nazwała go koniem? Jest przecież dziesięć lat młodsza, któż to wie, jak się do siebie odnosi współczesna młodzież – pomyślał i westchnął. A może z tym koniem się przesłyszał? Może po winie coś źle zrozumiał? Postanowił się na nią nie obrażać. Pokazać, że nie ubodło go to określenie. Spróbować z nią jeszcze raz. Na samej Mariannie aż tak bardzo mu nie zależało, ale kiedy pomyślał o tym, że matka znów zacznie zrędzić przez telefon, że spieprzył sprawę, jego motywacja natychmiast rosła. Byle mamusia była zadowolona. Reszta się nie liczy. Marianna będzie moja – postanowił w myślach i zjadłszy ostatni kęs pomidora, wyjął telefon.

„Droga Marianno, przepraszam, jeśli uraziłem Cię swoim zachowaniem. Chciałbym się zrehabilitować. Co powiesz na kolację dzisiaj?”

Nie czekał długo na odpowiedź.

„Rzeczywiście, Piotrze, trochę się wczoraj zagalopowałeś” – zaczął czytać i parsknął w głos, tak że aż się opluł.

– Czyli jednak koń! – krzyknął oburzony, nie zważając na kelnerkę, która właśnie sprzątała z jego stołu.

„Dziękuję za zaproszenie – czytał dalej – ale nie dam rady skorzystać. Pozdrawiam serdecznie.

Marianna”.

Nie to nie – pomyślał. Jeszcze tego pożałujesz. Poczł gorycz porażki i narastającą złość. Kelnerka zapytała go, czy ma ochotę na więcej kawy, ale odburknął, że nic już nie chce. Nie podziękowawszy i nie pożegnawszy się z usługną dziewczyną, wyszedł z restauracji.

\*\*

Z bloku wybiegła dwójka dzieci, zostawiając otwarte drzwi, dzięki czemu Marianna ominęła domofon i weszła prosto na klatkę. Wnętrze budynku prezentowało się jeszcze gorzej niż jego elewacja. Brudne ściany, z których płatami odchodziła żółtawa farba, przesiąkły zapachem papierosowego dymu, alkoholu i czegoś, co przypominało smród kociego moczu. Można się było tylko domyślać, że przynajmniej część lokatorów, o ile nie wszyscy, przesiaduje tu wieczorami lub w pochmurne dni i urządza libacje. Marianna nie znała takiego świata, nigdy nie oglądała podobnych obrazków i nigdy nie miała do czynienia z tego typu ludźmi. Owszem, słyszała, że są na świecie menele, pijacy, że istnieją miejsca zwane slumsami, fawelami, widziała je nawet na zdjęciach w „National Geographic”, ale starała się wyprzeć z pamięci fakt, iż ludzie naprawdę mogą tak mieszkać i tak żyć. Jej rodzice dbali o to, żeby świat wokół niej prezentował się nie tylko bezpiecznie, ale też ładnie. Szczególnie matka miała na tym punkcie hopla. Mawiała, że upiększanie świata trzeba zacząć od siebie – i dlatego ładnie się ubierała, w te wszystkie sukienki, opaski, pierścionki. I dlatego malowała ściany na jasne pastelowe kolory. I dlatego też w ich domu zawsze pachniało jaśminem i różami.

To wszystko wpoila córce.

I choć Marianna powtarzała za matką, że należy upiększać swój świat, tak naprawdę nigdy nie doświadczyła jego prawdziwej brzydoty. Idealny świat pasteli, kokardek i różów pękł dopiero wtedy, kiedy w krótkim czasie straciła rodziców i babcię, jednak wówczas tym bardziej trzymała się swoich sukienek i wymyślnych fryzur, pragnąc w emocjonalnej wichurze zachować jakąś stałość.

Teraz znajdowała się na obskurnej klatce schodowej i starała się nie myśleć o tym, co spowodowało tutaj jej ojca. Świadomość, że Rosa była jego znajomą, w obliczu tak ponurego miejsca wydała się jej jeszcze bardziej irracjonalna.

Jeśli jej dzisiaj nie będzie, to wracam do Polski, trudno, obiecała sobie w myślach, nie mogąc znieść uciążliwego duszącego zapachu. Mogła sobie odpuścić poszukiwanie odpowiedzi na nurtujące ją pytania, byleby tylko uciec stąd jak najdalej. Wciąż trudno jej było przyjąć do świadomości fakt, że taki świat naprawdę istnieje. Wolałaby dalej łudzić się nadzieją, że tak jest gdzieś w najdalszych zakątkach świata, gdzieś tak daleko, że prawie nierealnie, i że nie żyją tam prawdziwi ludzie, lecz wynajęci statyści, którzy zgodzili się pozować do zdjęć złaknionym biedy turystom.

Kiedy stanęła pod drzwiami z numerem sześć, na chwilę wstrzymała oddech, nasłuchując, czy dochodzą zza nich jakieś dźwięki. Ale nic nie słyszała. W miejscu, gdzie zwyczajowo powinien znajdować się dzwonek, zauważyła zaklejoną brudnym plastrem dziurę. Dlatego zapukała. Najpierw delikatnie, ale ponieważ nic się nie działo, odważyła się zastukać nieco mocniej. I wtedy usłyszała kroki, jakby szuranie. Ktoś zbliżał się do drzwi. Marianna w tym momencie miała ochotę odwrócić się i uciec. Nagle straciła zainteresowanie Rosą, przelewami z konta, tajemnicą, którą rodzice zabrali do grobu. Stała jednak niczym sparalizowana, a jej serce wręcz zastygło, kiedy drzwi się uchyliły i wyjrzała zza nich drobna twarz niewysokiej młodej kobiety.

Dziewczyna prawdopodobnie miała niewiele ponad dwadzieścia lat, jednak matowa, poszarzała cera sprawiała, że wyglądała na starszą. Czarne półdługie włosy gęstymi lokami okalały twarz. Gdyby choć trochę o siebie zadbała, mogłaby uchodzić za piękność – przemknęło Mariannie przez myśl.

– ¿Qué pasa?

Matowy głos wyrwał Mariannę z chwilowego otepienia.

– Dzień dobry – powiedziała cicho, zauważywszy, że zaschło jej w ustach i musi odchrząknąć, żeby pozbyć się chryпки. – Szukam Rosy Rosso.

– Słucham – dziewczyna patrzyła na Mariannę z nieufnością. Dawało się odczuć, że najchętniej zamknęłaby drzwi, a z pewnością nie miała ochoty otwierać ich szerzej. Stała w uchylonych zniecierpliwiona.

– Nazywam się Marianna Olech. Jestem córką Grzegorza Olecha... – zaczęła tłumaczyć Marianna, mając nadzieję, że Rosa przerwie jej i szybko powie coś w rodzaju: „A tak, znam pani ojca, sprzedałam mu swój gaj oliwny. Jestem hazardzistką i musiałam wszystko sprzedać, dobrze, że miałam komu”. Albo: „Nie, to pomyłka, nie znam żadnego Grzegorza Olecha”. Ale kobieta milczała.

– Przepraszam, że panią niepokoję – ciągnęła zbita z tropu Marianna. – Pani nazwisko i adres znalazłam na wyciągach bankowych. Mój tata przysyłał co miesiąc pewną kwotę...

– Od jakiegoś czasu nie przysyła – burknęła dziewczyna i to jeszcze bardziej zbiło Mariannę z tropu. Czyżby jednak była jego kochanką? – pomyślała i w tym samym momencie poczuła, jak jej puls przyspiesza, a w głowie zaczyna się kręcić.

– Nie przysyła, bo nie żyje – zdołała z siebie wydusić, chociaż przed oczami już robiło jej się ciemno.

– Nie żyje – powtórzyła beznamyślnie kobieta. – Bardzo mi przykro. Czyli co, przyjechała pani, żeby te pieniądze odzyskać, tak? Mam je teraz zwrócić?

Marianna na chwilę odzyskała przytomność umysłu.

– Nie o to chodzi – powiedziała, oparłszy dłoń o ścianę. – Nie musi ich pani zwracać. Po prostu byłam ciekawa, dlaczego wysyłał pani te pieniądze.

– Przecież to nie dla mnie.

– A dla kogo?

Kobieta uchyliła szerzej drzwi i gestem wskazała na śpiące w wózku około roczne dziecko.

– Dla niego.

Marianna zastygła. Nagle nogi się pod nią ugięły, a umysł zaczęła osnuwać mgła. Nie musiała o nic pytać, wszystko stało się jasne. I choć kobieta coś jeszcze mówiła, to hiszpański w tej chwili stał się dla Marianny zupełnie niezrozumiałym językiem.

– Dziękuję – wymamrotała po polsku i zrobiła krok w stronę schodów. – Nie musi pani oddawać pieniędzy. Nie musi pani – powtarzała, zbiegając na dół i nie zważając na to, że kobieta już dawno zamknęła drzwi.

\*\*

Biegła przed siebie, w głowie trwała galopada myśli. W jednej chwili jej świat rozleciał się na milion kawałków. A przecież taka była pewna swojej rodziny. Taka była pewna, że jej rodziców łączy prawdziwa miłość. Miłość na dobre i na złe, której nikt i nic nie jest w stanie zburzyć. W którą nikt nie jest w stanie wkroczyć, by ją przerwać. A jednak.

Telefon zadzwonił w momencie, kiedy Marianna przysiadła na niewielkim murku. Nie wiedziała, w którą stronę iść, a była zbyt roztrzęsiona, żeby rozglądać się za taksówką. Nie chciała narażać się na wścibski wzrok kierowcy i pytania, na które nie miała ochoty odpowiadać. Spojrzała na wyświetlacz. Alicja. W pierwszej chwili Marianna chciała odrzucić połączenie, ale odebrała. Wesoły głos Alicji na moment przywrócił równowagę.

– Hej, hej! Dzwonię, bo te twoje lakoniczne SMS-y są dla mnie niewystarczające – powiedziała. – Co

słyszeć? Jak się czujesz?

– Szczerze? – spytała Marianna nadspodziewanie mocnym głosem.

– Szczerze, oczywiście, że szczerze. – Alicja spoważniała.

– Miałaś rację, Ala. – Marianna, mimo że starała się opanować drżenie brody, nie wytrzymała i wybuchła głośnym, niepoohamowanym płaczem.

– Rację? W czym? Marianna? Co się dzieje? – Po drugiej stronie słuchawki dało się wyczuć lęk.

– Żeby tu nie przyjeżdżała. Sugerowałaś, że mogę odkryć coś nieprzyjemnego. I odkryłam. Mój Boże, jaka byłam naiwna i głupia – szlochała Marianna.

– Ale co się stało? Ta Rosa okazała się kochanką twojego taty?

– Żeby tylko! – prychnęła Marianna i zaczęła kaszleć. Zakrztusiła się łzami. Całkowicie zalała ją fala goryczy. Nie była w stanie mówić wyraźnie.

– Marianna! – krzyknęła Alicja, usiłując przemówić koleżance do rozsądku. – Nie płacz! Nie przejmuj się! Stało się, trudno, nie on jeden. Nie możesz wiedzieć, jak się układało między twoimi rodzicami, przecież wyjechałaś na studia i z nimi nie mieszkałaś.

– Nie rozumiesz! To nie tylko zwykła kochanka. Jakiś nic nieznaczący epizod. Ta kobieta urodziła mu dziecko! – łkała Marianna, opadając powoli z sił. Jej krzyk osłabł, a jego miejsce zajęła rezygnacja.

– O Boże – jęknęła Alicja.

– To dla niego wysłał pieniądze. Chłopiec. Nie wiem, jak ma na imię. Nieważne. Nawet nie chcę myśleć, czy mama o tym wiedziała. Ona tak bardzo chciała mieć jeszcze jedno dziecko, ale nie mogła. To zrobił sobie z inną! – Ostatnie słowo Marianna niemal z siebie wypuła. – Wracam do Polski, niepotrzebnie przyjeżdżałam. – Marianna znów zaczęła szlochać. – Tak bardzo tęsknię za babcią. Tak bardzo...

– Wiem, Marianna. Bardzo mi przykro. Rzeczywiście, chyba niepotrzebnie jechałaś... Ale z drugiej strony przynajmniej wiesz. Chyba lepiej teraz, niż gdyby to dziecko skontaktowało się z tobą za kilkanaście lat. Na pewno będzie chciał poznać rodzinę.

– Nie jestem jego rodziną! I nic nie jest lepiej. W ogóle nic nie jest dobrze!

– Marianna... – Alicja się zawahała. – Posłuchaj... A może... No, mimo wszystko jednak jesteście rodziną. Jakkolwiek by patrzeć, to twój brat. Spójrz na to z innej perspektywy. Dopiero co straciłaś niemal wszystkich. A teraz zyskałaś brata. Może tak miało być?

– Co ty mówisz? Alicja, to było życie mojego ojca, nie moje. I z pewnością nie mojej mamy. Skoro on wdał się w romans z jakąś... Alicja! To zwykła dziwka jest! Zwykła dziwka. Żebyś widziała, jak mieszka. Mój Boże, przecież mój ojciec mógł mieć każdą. A wybrał dziwkę!

– Facetom czasem odbija...

– Odbija! – prychnęła Marianna i mocno pociągnęła nosem. – Do dziś byłam przekonana, że mój tata był inny! Nie mogę w to wszystko uwierzyć. To tak, jakby nagle ktoś ściągnął ci klapki z oczu, rozumiesz?

– Poniekąd rozumiem – przyznała cicho Alicja. – Mój Bartek też miał być ideałem, a... Nieważne, nie ma co gadać o Bartku.

– Wracam do Polski. Nic tu po mnie. – Marianna wzięła się w garść. – W dodatku właścicielki kamienicy, w której mieszkam, wywołują nocą duchy. Dziś przysniło mi się, że do mojego pokoju przyszła niejaka Elena. Chyba zemdlałam ze strachu. Okropność.

– Za dużo na ciebie spadło. Zbyt wiele wrażeń, zbyt wiele emocji. Ale wszystko się ułoży, zobaczysz. Możesz przyjechać do mnie. Posiedzisz trochę, tak jak planowałyśmy, odpoczniesz.

– Nie mam od czego odpoczywać. Wrócę do Polanki, sprzedam dom i przeprowadzę się do Wrocławia, a potem się zobaczy. Nie mam planu. Nie mam planu – powtórzyła smutno.

Alicja zapewniła Mariannę, że w razie potrzeby chętnie ją ugości. Jeszcze raz pocieszyła, że w życiu zdarzają się różne sytuacje i nie ma co rozpaczać nad tym, że ojciec nie był tak kryształowy, jak się wcześniej Mariannie wydawało. I jeszcze raz zasugerowała, że może wcale nie byłoby złym pomysłem, żeby Marianna poznała braciszka, skoro i tak jest w Sewilli. Nie wiadomo, kiedy taka okazja znów się nadarzy, a przecież może być tak, że kiedy emocje opadną, pojawi się chęć nawiązania kontaktu z bratem.

– Przemyślę to – powiedziała Marianna nieco już wyciszona. Wciąż pociągała nosem, ale nie płakała. Alicja wiedziała, że potrzeba czasu, aby przyjaciółka ułożyła sobie wszystko w głowie i przywróciła życiu harmonię i spokój.

Marianna schowała telefon i odetchnęła głęboko. Poczwała, że boli ją głowa. Znalazła w torebce tabletkę przeciwbólową i połknęła ją bez popijania. Wolnym krokiem przeszła w stronę ulicy i wystawiła rękę, żeby zamachać na taksówkę. Na szczęście nie musiała długo czekać i już po pół godzinie siedziała w bistro Carmen.

Zamówiła podwójne espresso, mając nadzieję, że postawi ją na nogi i uśmierzy ból tętniący w okolicach skroni.

– A co ty taka smutna, kochanie? – zagadnęła Luisa, zauważywszy, że Marianna jest nienaturalnie blada, a jej oczy są zdecydowanie podkrążone. – Płakałaś?

– To od słońca. – Marianna nie miała ochoty się tłumaczyć.

– Uczulenie jakieś?

– Prawdopodobnie. Poproszę jeszcze jedną kawę.

– A może byś coś zjadła? Veronica przygotowała paellę.

Znowu paella – przebiegło Mariannie przez myśl. Czy one nie podają tu nic innego?

– Nie jestem głodna.

– Mamy też tosty. – Luisa jakby czytała w myślach.

– Może innym razem. Pani Luiso... Niedługo wyjeżdżam. Wracam do Polski.

– To przez tego mężczyznę? Złamał serce panience?

– Złamał, i to bardzo – odruchowo odpowiedziała Marianna. Myślała o ojcu.

Luisa odłożyła tacę i przysiadłszy przy stoliku, chwyciła Mariannę za rękę.

– Posłuchaj, dziewczyno. – Nachyliła się nad Marianną. – Ja całe życie jestem samotna. I powiem ci, że żałuję. Bo wolałabym mieć sto razy łamane serce, ale przynajmniej czuć, że kochałam, niż nie kochać wcale. Nikogo w życiu nie kochałam oprócz siebie. Nikogo. Dzięki temu uniknęłam tych wszystkich rozczarowań, dramatów. A co zyskałam? Nic! Na starość mam poczucie, że coś mnie ominęło. Bo bałam się spróbować. A może byłoby tak, że pięć razy ktoś by mnie zranił, ośmieszył, ale za szóstym trafiłabym na tego, który dziś opatuliłby kocem, podał lampkę wina... Kto wie. Niczego nie można być pewnym, dopóki się nie spróbuje. Ja byłam zwykłym tchórzem, jeśli chodzi o miłość.

Marianna spojrzała na Luisę. Nie chciała tłumaczyć, że to nie kochanek złamał jej serce, lecz ojciec, który był dla niej ideałem. To ojciec, jak się okazało, zdradził nie tylko swoją żonę, ale też córkę, dla której dotychczas był wzorem cnót i przykładem prawdziwego mężczyzny.

– A może nie jest jeszcze dla pani za późno – powiedziała cicho. – Ponoć na miłość nigdy nie jest za późno.

– Musiałabym przestać się bać.

– To niech pani przestanie. Dlaczego miałaby pani bać się miłości?

– Teraz, kochana, już nie miłości. Teraz to ja bym się bała, żeby on dożył jutra. A to już chyba ponad moje siły, takie nerwy. Przyniosę ci tej kawy. – Luisa wstała. – A może jednak coś zjesz? Zrobię tosty – zdecydowała, nie czekając na odpowiedź Marianny.

– Co się stało? – spytała szeptem Teresa, obserwując zza baru scenkę, jaka rozegrała się między



Marianną a Luisą.

– Facet – odpowiedziała krótko Luisa i dla Teresy wszystko było już jasne. Westchnęła, patrząc na Mariannę ze współczuciem.

\*\*

Wieczorem nie mogła zasnąć. Przed oczyma wciąż przewijały się obrazy: rodzice, Rosa, dziecko, do tego babcia, która prawdopodobnie także o niczym nie wiedziała. Babcia, która dopiero co miała poznać własną siostrę, ale nie doczekała tego.

Marianna zażyła dwa kolejne proszki od bólu głowy, ale w skroniach nadal pulsowało, a umysł wytwarzał kolejne myśli. Przypominała sobie, że w kosmetyczce ma nienaruszoną fiolkę leków, którą po pogrzebie wcisnął jej do rąk sąsiad, tłumacząc, że to na sen, on już nie potrzebuje, a jej z pewnością się przydadzą. Do tej pory jednak nie miała problemów ze snem, wręcz przeciwnie, wystarczyło, że wtulała twarz w poduszkę i natychmiast zasypiała. Sen w ostatnich tygodniach przynosił jej prawdziwe ukojenie. Wolała spać, niż mierzyć się z rzeczywistością. Teraz jednak adrenalina, która krążyła w jej krwi, skutecznie zaburzała funkcjonowanie.

Marianna otworzyła fiolkę i zauważywszy, że nie ma do niej dołączonej ulotki, zdecydowała się na razie zażyć tylko jeden proszek. Niewielka biała tabletką okazała się wybawieniem. Nie minęło dziesięć minut, kiedy dziewczyna poczuła przymykające się powieki, a głowa zdawała się ciążyć. Nagle myśli się rozproszyły i odpłynęła, nawet nie zauważając kiedy.

Ocknęła się grubo po północy, czując ogromne pragnienie. Uniosła się na łóżku, żeby sięgnąć po stojącą na szafce butelkę z wodą.

I wtedy ją zauważyła.

Kobieta siedziała w głębokim fotelu ustawionym nieopodal biurka i z zainteresowaniem przeglądała album ze zdjęciami.

Marianna przełknęła ślinę. Zwilżyła usta językiem. Ciągle chciało jej się pić, ale butelka stała zbyt daleko, żeby sięgnąć po nią bez hałasowania. Łóżko zawsze skrzypiało pod ciężarem. Marianna przez chwilę wpatrywała się w oświetloną słabym światłem księżycą zjawę i nagle ze zdumieniem odkryła, że wcale się jej nie boi. Może mieszanka leków, które wzięła przed zaśnięciem, spowodowała specyficzne otumanienie umysłu i niespodziewany przyływ odwagi.

– Ekhm... – odchrząknęła, bo wciąż czuła w gardle nieprzyjemną kluchę. – Dzień dobry...

Kobieta uniosła wzrok i przez jej twarz przeleciał grymas, coś na kształt znużonego uśmiechu. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Mariannę bez słowa.

– Pani Elena Fernandez, tak? – upewniła się Marianna, tym razem nieco odważniej.

– To niebywałe, że mnie widzisz, dziecko... Wczoraj nie dane nam było porozmawiać, bo zemdląłeś. I nie wyjaśniłeś, co robisz w moim łóżku.

– Wynajmuję to mieszkanie.

– Za pieniądze?

– Tak.

– No proszę, ledwo co umarłam, a one już na mnie zarabiają. Niebywałe! – parsknęła.

Marianna sięgnęła w końcu po wodę i upiła porządny łyk.

– Dla mnie niebywałe jest to, że z panią rozmawiam – powiedziała, zaspokoiwszy pragnienie.

– To akurat czasami się zdarza. Widocznie masz w sobie ten rodzaj wrażliwości, który ułatwia kontakt.

– Nieprawda – zaoponowała Marianna. – To pierwszy raz. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło.

– Może nigdy wcześniej nie kręcił się w twojej okolicy żaden duch i dlatego go nie widziałaś. – Elena

wzruszyła ramionami. – Duch! – krzyknęła nagle. – Jak to okropnie brzmi! I ja niby jestem teraz duchem!

– A jak pani tu weszła?

– Zwyczajnie. Wystarczy, że pomyślę o miejscu, w którym chcę się znaleźć, i już jestem.

– Ale słyszałam, jak szarpała pani za klamkę od drugiego pokoju.

– Och, stare przyzwyczajenia.

Marianna kiwnęła głową. Wciąż trudno jej było oswoić się z myślą, że to się dzieje naprawdę. Ale nie odczuwała strachu, i to było najważniejsze.

– Widzisz, szukałam tego albumu – powiedziała Elena – bo nie mogę się zdecydować, którą postać przybrać. Chyba najlepiej wyglądałam w wieku pięćdziesięciu lat, nie sądzisz? – Uniosła album do góry i pokazała zdjęcie. Niestety, było zbyt ciemno, żeby Marianna mogła je dostrzec. – Albo tak pięćdziesiąt pięć, sześć, to były złote czasy dla mojego ciała. Już nie byłam taka sucha, a piersi wyglądały naprawdę apetycznie – ciągnęła, nie zważając na brak odpowiedzi ze strony Marianny.

– Ale przecież ja panią teraz widzę. To znaczy, że ma pani jakieś ciało... – powiedziała nieśmiało Marianna.

– Byle jakie. To, w którym umarłam – prychnęła Elena. – Najlepiej je pamiętam, bo codziennie przed śmiercią patrzyłam się w lustro, o, właśnie z tego łóżka.

Mariannę przeszedł dreszcz. Rzeczywiście, naprzeciwko łóżka stała toaletka, której duże, trzyskrzydłowe lustro odbijało teraz jej własną sylwetkę.

– Dlatego muszę przejrzeć zdjęcia, poprzyglądać się sobie i zdecydować, jak chciałabym wyglądać, kiedy pokażę się Manuelowi. – Elena wstała i podeszła do lustra. Marianna myślała, że jako duch nie ma odbicia, ale doskonale było ją w nim widać. – Ale byłam stara w tym ciele... – westchnęła. – A gdzie moja broszka? – spytała nagle, dotykając piersi. – Mój motyl z szafirów?

– Kim jest Manuel? – wyrwało się Mariannie.

– Wielka miłość. – Elena się uśmiechnęła, zapomniawszy o broszce. – Ale jeszcze żyje, sprawdziłam – zaznaczyła. – Jest sam... – Rozmarzyła się. – Nie miał żadnej żony, kochał tylko mnie, a ja go wtedy nie chciałam. Ech, głupia byłam. Dopiero po śmierci człowiek mądrzeje. Zamierzam nawiedzać go we śnie, żeby zaraz jak umrze, natychmiast mnie szukał.

– Czyli niebo nie istnieje?

– Dlaczego?

– Bo pani jest tu...

– Myślisz, że z własnej woli? – prychnęła Elena, odłożywszy album.

– Nie rozumiem.

– I nie zrozumiesz. Trzeba to przejść, żeby wszystko zrozumieć, co ci będę tłumaczyć. Muszę lecieć. Manuel ma teraz najgłębszy sen.

– Niech pani jeszcze zostanie – powstrzymała ją Marianna, bo nagle pomyślała o babci. Druga taka okazja może się nie trafić.

Elena spojrzała zniecierpliwionym wzrokiem.

– Bardzo bym chciała... – powiedziała Marianna cicho – Ciekawa jestem, jak... tam jest.

Elena prychnęła.

– Każdy by chciał za życia dowiedzieć się, jak to jest po śmierci. Ale naprawdę, uwierz mi, jestem w połowie drogi i już widzę, że umysł, którym posługiwałam się za życia, nie dałby rady nawet w procencie wyobrazić sobie tego, co tu jest. Po części dlatego, że po drugiej stronie odczuwasz wszystko inaczej. Po prostu czujesz. Nic nie musisz wiedzieć, wszystko staje się jasne. Ja poczułam zaledwie ułamek tego, co czeka mnie dalej. I jestem spokojna. Ale nie potrafię tego wyjaśnić słowami. To by było na tyle. Lecę.

– Ale powiedziała pani, że jest tu nie z własnej woli. Nie rozumiem... Proszę. To dla mnie ważne. – Marianna jęknęła płacząco. Elena wywróciła oczami, ale usiadła z powrotem na fotelu.

– Po pierwsze nie pani. Elena. Teraz nie obowiązuje mnie czas. Nie musisz podkreślać, że widzisz mnie jako starą. Równie dobrze mogłabym ci się ukazać jako dwudziestolatka. A co do przejścia, że tak to nazwę – ciągnęła – to każdy odczuwa to inaczej. Kiedy na ziemi gaśniesz, pojawia się droga. Taki strumień, którym się unosisz i który cię prowadzi. I bardzo dobrze, bo po śmierci jesteś oszołomiona, zagubiona i bezradna, nie rozumiesz, co się stało. Ten strumień jest wybawieniem, nie musisz się zastanawiać, co dalej. Po prostu poddajesz się i płyniesz. W stronę światła, jak to mówią.

– I co tam jest?

Elena się zamyśliła.

– Tak dokładnie to nie wiem – odparła po chwili. – Nie dotarłam tam jeszcze. Ale wiem, co czułam, kiedy tam płynęłam. Bezkresną miłość i spokój. Uczucie błogości, euforii, szczęścia. Naprawdę trudno znaleźć na to określenia, ponieważ za życia nigdy nie doświadczyłam gamy podobnych uczuć.

– To dlaczego tam nie dotarłaś? Nie wpuścili cię?

– Kochana! Nie ma żadnego ochroniarza. Po prostu płyniesz w kierunku czegoś, co my na ziemi nazywamy niebem. A nie dotarłam tam przez te zołzy, moje przyjaciółki.

Marianna uniosła brew, zdziwiona niespodziewanym wyznaniem.

– Kiedy umierasz, naprawdę jesteś zagubiona – wyjaśniła Elena. – I naprawdę nie wiesz, co się z tobą dzieje. Nagle zaczynasz być lekka, nic cię nie boli, nie czujesz ciała, jesteś myślą. I wciąga cię ten strumień, poddajesz się mu z pełnym zaufaniem i spokojem. I nagle słyszysz gdzieś z oddali: Elena, Elena, nie zostawiaj nas! I zawodzenie. I płacz. I zaczynasz współodczuwać ten ból. I te głosy, tak dobrze przecież ci znane, ściągają cię z powrotem na ziemię. Zaczynasz przypominać sobie ziemskie uczucia, ludzi. I im głośniejsi oni zawodzą, tym bardziej się wahasz, nie wiesz, co robić. Już nie płyniesz w kierunku światła, ale próbujesz złapać oddech. Myślisz sobie, jeszcze chwilka, jeszcze się z nimi pożegnaj, powiem, że wszystko u mnie w porządku. Niech już tak nie krzyczą, przecież tu jestem, przecież podążam tam, gdzie jest pięknie.

– O Boże – jęknęła Marianna. – To może i ja ściągam babcię na ziemię...

Oczy Eleny nagle się zwęziły.

– Naprawdę jesteś bezczelna! – krzyknęła ze złością. – Jak możesz wyzywać mnie od babć, mówiłam ci, że jestem młoda, tylko ty jeszcze widzisz to stare ciało!

– Ale ja nie wyzywam, przepraszam. Myślałam o swojej babci – wyjaśniła szybko Marianna. – O mojej prawdziwej babci.

– Aha. – Elena przyjęła tłumaczenia i twarz znowu jej pojaśniała. – A co z twoją babcią? Dawno umarła?

– Około trzech tygodni temu.

– Ojej – pisnęła radośnie Elena – to tak jak ja! No cóż... – dodała poważniej – możesz o niej myśleć, to przecież naturalne. Bylebyś nie krzyczała za nią, tak jak te moje... Ech. – Westchnęła ciężko.

– Myślisz, że moja babcia poszła do nieba? – spytała z nadzieją Marianna.

– Skąd mam to wiedzieć, pewnie tak.

– A jeśli zagubiła się w drodze, podobnie jak ty...

– Ja się nie zagubiłam. Nie trafiłam tam po prostu za pierwszym razem.

– No właśnie. To może moja babcia też gdzieś jest... I moi rodzice...

– Rodzice też ci umarli?

Marianna skinęła głową.

– Niespełna rok temu – wyznała. – Zginęli w wypadku.

– A, to ich na pewno już tu nie ma. – Elena machnęła ręką. – Po takim czasie dawno już pewnie dotarli tam, gdzie powinni dotrzeć.

– To może chociaż z babcią udałoby się porozmawiać... – zasugerowała delikatnie Marianna.

– Nawet o tym nie myśl. Zaczniecie gadać i nie będziecie mogły się rozstać. I babcia, zamiast iść do nieba, będzie się kolejnych sto lat żegnać z wnuczką. A tam na nią czekają i się niecierpliwą. Nie ma co burzyć porządku.

– To może chociaż ty... mogłabyś porozmawiać w moim imieniu. Duch z duchem to przecież co innego. I potem mi przekażesz...

– Daj mi spokój, dziewczyno, to nie takie proste odnaleźć kogoś. Nawet nie jesteś sobie w stanie wyobrazić, jak to tu wygląda. Miliony dusz, jedne płyną ze światłem, inne krążą ściągane czyimiś myślami na ziemię, jeszcze inne gromadzą się w dolinie Jozafata, a widziałam też takie, które... – Elena umilkła. – Nieważne, i tak nie będziesz w stanie ogarnąć tego umysłem.

– Chciałabym przeprosić babcię. – Marianna załkała.

– Za co? – zainteresowała się Elena.

– Niechcący dostarczyłam jej silnych emocji. Myślę, że właśnie przez to umarła. Czyli przeze mnie... Nie daje mi to spokoju. Do końca życia będę miała wyrzuty sumienia. Gdybym mogła przeprosić babcię, byłoby mi lżej...

– Nie sądzę, żeby ona o tym w ogóle myślała.

– Jednak gdybym miała możliwość skontaktować się z nią...

– Niestety, nie mogę ci pomóc – powiedziała stanowczo Elena. – Mam ważniejsze sprawy. Muszę odwiedzić Manuela. Poza tym głowię się, jak pomóc dziewczynom, niedługo zbankrutują, nie dają sobie rady w Carmen.

– Szukają zeszytu z przepisami... – przypomniała sobie Marianna.

– Wiem przecież, słyszę te ich zawrodożenia i krzyki. Ale nie pamiętam, gdzie ten zeszyt. Zresztą, nawet gdyby go znalazły, nic to nie da. Nie mają pojęcia o kuchni. Jeszcze Veronica coś tam próbuje z paellą, ale żeby upiec tort, to żadna się nie kwapi. A klienci lubili, oj lubili mój torcik.

– Nie możesz się im pokazać? Nauczyć je swoich przepisów?

– Żartujesz? Wtedy w ogóle by mnie nie puściły, zawsze znalazłyby powód, żebym z nimi była. Siedzę cicho, może w końcu przestaną mnie wołać. Muszę wymyślić coś innego. Słuchaj... A może ty byś im kupiła jakąś książkę kucharską albo co. Przyczepiły się do mojego zeszytu jak rzep do psiego ogona, zamiast same coś wykombinować.

– Bo im zależy na tym torciku. Ponoć to autorski przepis.

– A pewnie – powiedziała Elena z dumą. – Czekolada i karmel. Ale gdzie tam one do karmelu. Nigdy im nie wyjdzie, nie mają doświadczenia. Za stare są, żeby się uczyć.

– Przecież to proste.

– Proste, proste – prychnęła Elena. – Płynny karmel trzeba umieć zrobić. Ty w ogóle wiesz, co to jest?

– Prowadziłam cukiernię. Wiem, co to karmel. I potrafię go zrobić.

– Nie do wiary! – krzyknęła Elena. – Dziecko! Z nieba mi spadasz! Jakkolwiek to brzmi. – Roześmiała się. – Naprawdę znasz się na kuchni?

– Na słodkościach – uściśliła Marianna.

– Mogą być i słodkości. Posłuchaj, może pomogłabyś dziewczynkom? Nauczyłabyś je, jak używać cukru, co? Będę ci wdzięczna. Niechby tylko ten torcik robiły, to im wystarczy, żeby zachować starych klientów. No i zasugerowałabyś im też, żeby przemalowały ściany. Teraz dopiero widzę, że ten czarny to zupełnie jak w piekle.

– Istnieje piekło? – zainteresowała się Marianna.

– O tak, moja droga, tam już trafiają najcięższe przypadki. Na własną prośbę.

– Jak to na własną prośbę? Kto by chciał trafić do piekła?

– Każdy ma wybór. Za życia określasz drogę, którą chcesz iść. Są tacy, którzy świadomie leżą w ciemność. To co, pomożesz koleżankom?

– Przykro mi. To miłe kobiety, ale nie dam rady. Wkrótce wyjeżdżam.

– A gdybym odszukała twoją babcię i porozmawiała z nią?

– Mówiłaś, że to bardzo trudne.

– Ale nie niemożliwe.

Marianna zmrużyła oczy i się uśmiechnęła.

– Wtedy bym została i pomogła – odparła zdecydowanym tonem.

– Świetnie! Zatem umowa stoi! – krzyknęła ucieszona Elena. – Tylko ani mru-mru! Nie możesz zdradzić, że ze mną rozmawiałaś, bo nie dadzą spokoju ani tobie, ani mnie.

– To jak mam się do tego zabrać? Przecież nie mogę ot tak skrytykować baru i zaoferować swojej pomocy. Nawet mnie nie znają.

– Coś wymyślisz.



## Rozdział 6



Burza, która przetoczyła się nad Polanką, spowodowała przerwę w dostawie prądu. Grzelak zaklął, bo właśnie zamierzał odpalić komputer i napisać pierwszy rozdział własnej książki. Przyjechał na komendę skoro świt, żeby popracować w spokoju. Tymczasem nie dość, że najpierw lało jak z cebra i przez to zupełnie nie mógł się skupić, to jeszcze teraz, kiedy deszcz zelżał i już tak nie bębnił o parapet, zabrakło prądu.

Ostatnio wszystko szło nie tak. Danka nie rozumiała, dlaczego po tak wielkim sukcesie, kiedy o Grzelaku pisała lokalna prasa, nie przyszły za tym pieniądze. Spodziewała się nie tylko premii, ale też podwyżki dla męża. Najpierw narzekała na jego zwierzchników, wyzywając ich od ignorantów i skąpców. Potem zaczęła narzekać na samego Grzelaka. Że nie potrafi się upomnieć, zawalczyć o swoje, że daje się wykorzystywać. Poza tym głupi jest i niepoważny. Od Wojtaszkowej słyszała, że zrezygnował z awansu, że z samej Warszawy do niego dzwonili. A w domu się nie przyznał, pewnie ze wstydu, bo kto normalny odrzuciłby taką propozycję. Jak już tak koniecznie chciał zostać w Polance, to mógł zażądać podwyżki.

Grzelak nie dziwił się żonie, on także był rozczarowany. Gdyby nie ludzie ze wsi, w których oczach był najlepszym policjantem świata, już dawno straciłby resztkę motywacji, nie tylko do pracy, ale też do życia. Ileż można stać w miejscu i czekać na cud, że ktoś z góry doceni starania?

Ale ludzie powoli przestawali się ekscytować i spadało ich zainteresowanie. Podsycić je mogło tylko kolejne spektakularne śledztwo, lecz na wsi nic się nie działo. I nawet sprawa grodzonego lasu Kai, w której pokładał wielkie nadzieje, okazała się fiaskiem. Kobieta, kiedy tylko do niej przyszedł, bez zająknięcia złożyła wszelkie wyjaśnienia. Ba! Śmiała mu się w twarz, kiedy dopytywał o hodowlę świń. Okazało się, że nie zamierza ich hodować, a jedynie wykorzystać do poszukiwania jakichś grzybów. Jej słowa potwierdził sołtys, mówiąc, że od niego też chciała świnie tylko pożyczyć, nie kupić.

Grzelaka grzyby nie interesowały.

Kręcił się po wsi coraz bardziej nerwowy i sfrustrowany. Podsłuchiwał ludzi, szukając inspiracji i choć małego punktu zaczepienia dla śledztwa, które mógłby poprowadzić. Kiedy więc usłyszał, że cukierniczki Marianny od wielu dni nie widziano, urosła w nim nadzieja, że a nuż dziewczyna została porwana i wreszcie można będzie podjąć dochodzenie. Wystarczyło jednak kilka godzin, by wyjaśnić tę sprawę. Żadne porwanie, ale wyjazd, co – ku jego rozczarowaniu – potwierdziła zielarka Józefina.

Wszystko szło nie tak.

Nawet książki, w których niegdyś znajdował adrenalinę, przestały mu już sprawiać przyjemność. Bo co to za frajda czytać o czyichś dokonaniach, wiedząc, że można mieć własne. Byle tylko nadarzyła się sposobność. Grzelak nie czuł się gorszy niż policjanci z kryminalistów, wręcz przeciwnie, uważał, że jest bardziej kreatywny niż oni i szybciej potrafiłby rozwikłać zagadkę lub wyczuć zasadzkę. Jest świetnym policjantem i z pewnością byłby idealnym bohaterem.

I wtedy przyszło olśnienie. Najpierw pomyślał, że opiszę sprawę Czarnej Marii – w końcu znał ją najlepiej, operowałby faktami. Potem jednak uznał, że ta sprawa już została opisana w prasie. Niepotrzebnie sam ją rozdmuchiwał, dziennikarze za darmo dostali niezły temat. Teraz jest już spalony. Dlatego lepiej coś wymyślić. Najlepiej całą serię, z nieugiętym, odważnym, nieposkromionym Grzelakiem jako głównym bohaterem.

– Eugeniusz Grzelak, autor, policjant – mówił Grzelak do siebie na głos, żeby usłyszeć, jak to brzmi. – I Eugeniusz Grzelak, główny bohater, policjant.

Niby fikcja, a ludzie pomyślą, że prawda. Bo przecież skoro policjant napisał kryminał, to można wysnuć wniosek, że czerpał z własnych doświadczeń. Wydawcy będą się bili o prawa do książek. A sława przyjdzie sama. I wreszcie skończy się cierpienie spowodowane brakiem zainteresowania. Wreszcie Danką spojrzysz na niego z prawdziwą dumą i prawdziwym uznaniem.

Zapalił się do tego pomysłu i dzięki temu odżył. W głowie ułożył mu się plan na serię kryminałów, których akcja rozgrywa się w Polance. Nie miał pewności co do swoich zdolności literackich, dlatego uznał, że najbezpieczniej będzie posługiwać się krótkimi, zwięzłymi zdaniami i wstawiać dużo dialogów. Postanowił przy tym opisywać prawdziwe miejsca i osoby, żeby uniknąć ewentualnych pomyłek w kolejnych częściach. Dzięki czerpaniu z rzeczywistości las zawsze będzie stał w tym samym miejscu, a sklepowa, którą postanowił uczynić psychopatką, zawsze będzie miała brązowe oczy.

Burza popsuła mu plan, jednak tylko chwilowo.

– Tak łatwo się nie poddam – warknął i wyjął z drukarki kilka kartek.

Zapalił papierosa, odchylił się na krzesło, po czym rozpisał głównych i drugoplanowych bohaterów. Nie chciał przekombinować, dlatego sięgnął po osoby, z którymi ostatnio najwięcej miał do czynienia. Najważniejszą postacią była jego żona. Ją znał najlepiej. Nadawała się na seryjną morderczynię jak nikt. W dodatku jako małżonka głównego bohatera, prowadzącego wszystkie śledztwa komisarza Grzelaka, byłaby dla czytelnika poza podejrzeniami. Przez chwilę naszała go refleksja, czy Danką nie będzie miała pretensji, kiedy rozpozna się w książce, ale potem uznał, że przez całą serię jako morderczyni będzie nieuchwytna, dopiero w ostatniej części zostanie zdekonspirowana i trafi do pudła. Do tego czasu zdoła żonę jakoś ułagodzić i może nawet będzie szczęśliwa, że powierzył jej w swojej książce tak znaczącą rolę.

Planował, że będzie zabijała kobiety, w każdej książce jedną, a motywem zbrodni będzie zazdrość. O męża, rzecz jasna. Kobiety będą ginęły w ten sam sposób. Jeszcze nie zdecydował w jaki. Rozwahał otrucie, ponieważ to najbardziej do Danusi pasowało.

Kolejną postacią, która wypisał na kartce, była sklepowa. Ją obsadził w roli psychopatki dokonującej mordów na zapleczu sklepu. Następnie jej mąż – nieświadomy niczego nieudacznik – oraz córka, ładna, lecz mało uczuciowa współpracowniczka matki. Pod spodem wymienił jeszcze Kaję, ponieważ ogrodzony las bardzo go zainspirował, jednak jeszcze nie wiedział, co można by tam ukrywać. Po namyśle dorzucił sołtysa, gospodynię księdza oraz właścicielkę cukierni, Mariannę. Na każdą z tych postaci miał pomysł: od rytualnego mordercy po zabójcę z przypadku.

Pozostali mieszkańcy Polanki mieli być ofiarami. W każdej książce minimum dwie. Najpierw kobieta otruta przez Danusię oraz mężczyzna, który zginie z rąk sołtysa. Jedną z ofiar znajdzie przez przypadek gosposia księdza, która w kolejnej części sama będzie zabijać.

Grzelak rozmasował kark. Nie przypuszczał, że praca pisarza okaże się aż tak wyczerpująca. A przecież dopiero tworzył bohaterów i plan fabuły, jeszcze nawet nie zaczął pisać.

Zapalił kolejnego papierosa i wstał, żeby rozprostować kości. Dochodziła dziewiąta, plan tworzył od siódmej.

Zjadł jabłko i napił się wody. Nagle rozbłysło światło, co oznaczało, że znów jest prąd.

Włączył komputer i przez chwilę wpatrywał się w migający kursor. Nie miał pomysłu na tytuł, ale wiedział, że na pewno musi budzić grozę. Żeby nie tracić czasu, zdecydował, że zajmie się tym później.

Wyjrzał za okno. Kończyło się lato, było chłodno i ponuro. Padał deszcz. Smętna aura sprzyjała mrocznym opowieściom. Od smętnej aury postanowił zacząć.

„Nad jeziorem unosiła się mgła. Był wczesny ranek. Zima. Wędkarz nie wierzył własnym oczom. Z przerebła, który wyciął poprzedniego dnia, wystawało ciało. Jakby ktoś chciał się go pozbyć, z nadzieją, że zniknie pod lodem. Wędkarz rozejrzał się przestraszony. Zabójca wciąż mógł się czaić w pobliżu. Ale nikogo nie było. Trzęsącą się ręką wyjął telefon.

– Halo? Policja?

– Komisarz Grzelak. Słucham?

– Panie komisarzu, pomocy! Znalazłem trupa!

– Kto mówi?

– Wędkarz znad jeziora”.

Grzelak wciągnął głęboko powietrze, po czym ze świstem je wypuścił. Na jego twarzy pojawił się uśmiech samozadowolenia. Wędkarz znad jeziora. Doskonały tytuł. Brzmi trochę jak „żniwiarz”, a żniwiarz kojarzył się mrocznie.

Zmrużył oczy. Pomyślał, że dwie ofiary to za mało. Przy takim tytule wypadałoby, żeby było ich co najmniej pięć. Uznał, że trzeba zmodyfikować fabułę. Sołtys okaże się świrem, który czerpie przyjemność z przywlekania trupów właśnie nad jezioro. Tam będzie je znajdować wędkarz. Następnie wędkarz też kogoś ukatrupi i wrzuci ciało do wody, a potem je niby znajdzie i podejrzenie padnie na sołtysa... I dopiero komisarz Grzelak odkryje, że zabójców jest dwóch, a nie jeden. Plus oczywiście Danką jako trzecią, ale dopóki Danką nie zostanie ujawniona, wszystkie jej ofiary będą sły na konto kogoś innego.

Genialne.

Nagle zaterkotał stojący na biurku stary telefon. Grzelak zamarł. Zanim podniósł słuchawkę, przetarł dłonią twarz.

– Grzelak – przedstawił się ochryłym głosem, wyczekując głosu wędkarza.

– Cześć, Gieniek, z tej strony Bogdan Lisiecki. Słyszysz mnie?

– Słyszę. – Grzelak odetchnął. Bogdan był właścicielem sklepu zwanego marketem, umiejscowionego przy Rynku, naprzeciwko cukierni „U Marianny”.

– Lidka mówiła, że rozpytywałeś we wsi o tę dziewczynę z cukierni. Ponoć martwiłeś się, że porwana czy coś. A ona wyjechała.

– Wiem.

– Halo? Kiepsko słyszę. Chyba po tej burzy są jakieś problemy na łączach. Mówię, że dziewczyna wyjechała. Widziałem, jak wsiada do samochodu z tą Alą, co u Józefiny na wakacjach była.

– Wiem – powtórzył głośniejszym głosem Grzelak. – Nie martwiłem się, że porwana, musiałeś źle usłyszeć – dodał oschle. – Miałem ochotę na babeczki, a było zamknięte, dlatego o nią pytałem.

– Babeczki? Toć ostatnio chwaliłeś się, że już drugi miesiąc dietę trzymasz.

– Dla Danusi chciałem. Ona lubi słodkie.

– Ja tam ci, Gienek, nie wypominam. Lubisz babeczki, wcale się nie dziwię. – Bogdan roześmiał się z dwuznaczności zdania. – Ale Marianna wyjechała.

– Wiem – wycedził po raz trzeci Grzelak. Miał ochotę trzepnąć słuchawkę, nie był skory do żartów. Wędkarz znad jeziora czekał.





## Rozdział 7



Wstała późno, lecz wreszcie czuła się wyspana i wypoczęta. I dziwnie spokojna. Przypomniała sobie sen o Elenie, tak realistyczny, że miała wrażenie, iż ciągle słyszy echo wypowiedzianych w nocy słów. A może to nie był sen?

Sięgnęła po wodę. Butelka była pusta. Dotarło do niej, że w nocy wypłała wszystko. Rozmawiając z Eleną... Czyżby mózg pod wpływem leków nasennych płatał aż takie figle?

Nie potrafiła znaleźć wytłumaczenia. Logikę wypierała chęć wiary w to, że duch był tu naprawdę. I że naprawdę uda się skontaktować z babcią.

Marianna wstała i podeszła do biurka. Leżał na nim album ze zdjęciami. Ale przecież już wcześniej go widziała. Elena ze zdjęć mogła zmaterializować się we śnie lub w wyobraźni.

– Tracę zmysły?

Marianna spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Ale myśl, że doświadczyła czegoś nadzwyczajnego, była tak pokrępowana i tak cudownie błoga, że wszystko inne przestało już drażnić.

Pomyślała o wczorajszych wydarzeniach, o spotkaniu z Rosą, rozmowie z Alicją. Może niepotrzebnie spanikowała, przecież to tylko dziecko. Niewinne, nieświadome, ufnie przyjmujące rzeczywistość. A co się stało, to się nie odstanie. Może tata zadręcza się teraz gdzieś tam u góry, w zaświatach, wcale nie dotarł do nieba, o którym mówiła Elena. Może męczy się i żałuje, że doprowadził do takiej sytuacji. Może Marianna, zdobywając się na wybaczenie i decydując na poznanie jego syna, pomogłaby mu choć trochę uspokoić sumienie. Wszystko się wyjaśniło, przebiegło jej przez myśl. Wszystko się wyjaśniło. Może tata zamierzał powiedzieć o dziecku mamie i Mariannie. Może chciał się przyznać i dlatego potwierdzenia przelewów trzymał w szufladzie biurka. Przecież gdyby pragnął zachować tajemnicę dla siebie, niszczyłby wszystkie dowody.

\*\*

Drzwi na klatkę schodową były otwarte, a ze środka unosił się swąd palonej gumy. Marianna zauważyła, że dochodzi on z piwnicy, do której w ogóle nie było drzwi – pozostały po nich jedynie zawiasy. Nie chciała się zastanawiać, co się spaliło w suterenie. Szybкими susami, przemierzając po trzy stopnie na raz, wbiegła na trzecie piętro. Była dalej od smrodu. Dopiero pod drzwiami do mieszkania Rosy pozwoliła sobie na wzięcie głębszego oddechu. Odruchowo wcisnęła plaster zalepiający dziurę po dzwonku i natychmiast ucieszyła się, że jednak go tam nie ma. Przecież jego dźwięk mógłby obudzić dziecko.

Zapukała. Drzwi otworzyły się po kilku sekundach. Rosa wychyliła głowę.

– Znowu pani? – spytała. – Po pieniądze? Nie mam. Oddam, kiedy będę miała.

– Nie chcę pieniędzy. Chcę zobaczyć się z bratem.

– Z bratem... Ale tu go nie ma. – Dziewczyna wzruszyła ramionami, nie ruszając się z miejsca.

Marianna próbowała zajrzeć w głąb mieszkania, jednak Rosa skutecznie zasłaniała widok.

– Chcę zobaczyć się z bratem. Potem sobie pójdę.

– Nie ma go tu.

– A gdzie jest?

– Nie wiem... – Rosa spojrzała na Mariannę ze współczuciem. Milczała przez chwilę, po czym powiedziała spokojniejszym tonem: – Owszem, poznałam pani tatę i przykro mi, że umarł. Ale pani brata nie znam. Przysięgam.

– Przecież go urodziłaś! – Marianna traciła panowanie nad sobą. Zastanawiała się, czy w Hiszpanii dzieci mające tego samego ojca, ale różne matki nazywane są rodzeństwem. Może tu obowiązuje inne określenie? Niemożliwe.

– Urodziłam?

– Źle się wyrażam po hiszpańsku? Chcę poznać syna mojego taty. Jeszcze wczoraj tu był, dziś nagle zniknął, a ty dostałaś amnezji?

Rosa przez chwilę wpatrywała się w Mariannę, jakby dopiero trawiła jej słowa, aż w końcu pokiwała głową i otworzyła szerzej drzwi.

– Okej. Właż.

Mariannie nie trzeba było dwa razy powtarzać.

Rosa zamknęła drzwi i przeszła do niewielkiego pokoju, który pełnił funkcję zarówno salonu, jak i sypialni i pokoiku dziecięcego. Malec leżał na kocu rozłożonym na podłodze. Nie spał. Wpatrywał się w kolorową kulkę zaczepioną na żyrandolu. Nie płakał, nie śmiał się ani nie gaworzył. Po prostu wpatrywał się niczym urzeczony, wodząc za nią wzrokiem, kiedy z wolna przekręcała się wokół własnej osi, napędzana siłą słabego wiatru wpadającego do pomieszczenia przez otwarte na oścież okno.

– Nasmrodzili dzisiaj – zauważyła Rosa. – Nie nadążam wietrzyć. Kiedyś całą kamienicę puszcza z dymem. Za nic mają własne i cudze życie.

– Mamo, pić! – Niski głos, który dobiegł z przyklejonej do pokoju kuchni, zaskoczył Mariannę. Nie spodziewała się, że jest tu jeszcze ktoś oprócz niej, Rosy i dziecka. Tym bardziej nie spodziewała się, że Rosa ma również starsze dziecko. Głos wskazywał na to, że było naprawdę stare.

Marianna, uderzona tą refleksją, potrząsnęła głową, żeby odrzucić irracjonalne pomysły. Ale już po chwili głos ponownie poprosił o picie i ponownie jego ton wprowadził Mariannę w osłupienie. Naprawdę brzmiał jak głos dorosłej, a nawet dojrzałej kobiety.

Rosa zauważyła konsternację Marianny i uśmiechnęła się pod nosem.

– To nie moja córka, bynajmniej – wyjaśniła, idąc do kuchni. – To moja matka.

– Mówi do ciebie „mamo”? – spytała odruchowo.

– Od jakiegoś czasu wszystko się jej miesza.

Marianna przysiadła na brzegu niewielkiej kanapy, na której piętrzył się stos rzeczy do prasowania. Zastanawiała się, jakim cudem na tak niewielkiej przestrzeni mogą się mieścić dwie dorosłe kobiety i dziecko. Oprócz kanapy nie było tu innego miejsca do spania. Prawdopodobnie spały razem, wcześniej przekładając ubrania w inne miejsce, może do kuchni – przebiegło jej przez myśl. Chłopiec zapewne spał w wózku, bo łóżeczko i tak by się tu nie zmieściło.

Przeszedł ją dreszcz na myśl, że ktokolwiek może mieszkać w takich warunkach. Tym bardziej że poza małym metrażem dostrzegła także inne wady lokalu. Pęknięty sufit aż prowokował do ucieczki. Rysa była prawdopodobnie spowodowana starą, kruszącą się farbą, jednak zdawała się na tyle głęboka, że można było odnieść wrażenie, iż za chwilę runie jeśli nie sufit, to żyrandol. Ściany też domagały się remontu. W niektórych miejscach farba schodziła z nich niemalże płatami.

Marianna spojrzała na dziecko. Dostrzegła, że i ono patrzy na nią z ciekawością. Chłopiec teraz siedział i trzymał w rączce gumową zabawkę, którą od czasu do czasu pogryzał.

– Maaama! – krzyknął nagle i Marianna aż podskoczyła na ten dźwięk. Chłopiec dotychczas się nie odzywał i dlatego Marianna, która nie miała do czynienia z dziećmi, była przekonana, że tak małe szkraby nie potrafią jeszcze nic powiedzieć.

– Idę! – krzyknęła Rosa z kuchni i już po chwili pojawiła się, niosąc na plastikowym talerzyku kilka kukurydzianych chrupków.

– Baba? – zapytał chłopiec.

– Babcia śpi. – Rosa podała synowi chrupki. – Wczoraj przywiozłam mamę ze szpitala, jest jeszcze osłabiona – wyjaśniła Mariannie. – Wyrzuciłam z kuchni szafkę i wstawiłam rozkładany fotel. Żeby miała trochę spokoju. Tutaj mały ciągle by ją zaczepiał.

Marianna nic nie powiedziała. Zauważyła jednak, że między pokojem a kuchnią nie ma drzwi, tylko zasłona. Jak bardzo musi być posłuszne dziecko, żeby samodzielnie nie wchodzić do kuchni.

– Czasem czuję się, jakbym miała dwoje dzieci – westchnęła Rosa. – Ale co zrobić. Alzheimer. Mama ma ponad siedemdziesiąt lat – wyjaśniła szybko, zauważywszy zdumiony wzrok Marianny. – Jestem jej najmłodszą córką, urodziła mnie przed pięćdziesiątką. Kto by pomyślał, że w tym wieku można jeszcze mieć dzieci, co?

– Masz rodzeństwo? – spytała wbrew sobie Marianna, bo wcale nie chciała dowiadywać się więcej o życiu Rosy. Jednak instynktownie czuła, że ich historie mają wspólne punkty. Niedawno Marianna opiekowała się schorowaną babcią, a dziś obserwuje Rosę, która dogląda schorowanej matki.

– Trzy siostry. Rozpierzchły się po świecie. W dupie mają matkę. Ja też ich nie obchodzę. Za duża różnica wieku, żeby była między nami jakaś więź. Też mam je gdzieś. Mama na szczęście traci pamięć, to nie jest jej przykro, że się nie interesują. Mogłaby umrzeć, a pewnie by się o tym nie dowiedziały. Chcesz się czegoś napić? Mam wodę – zaproponowała nagle.

Marianna odmówiła. Przypuszczała, że woda może być z kranu, nie miała na nią ochoty. Była zdumiona, że dziewczyna tak swobodnie się przy niej zachowuje, mówi o sobie, nie jest spięta. A przecież dopiero co patrzyła na nią z taką niechęcią i udawała, że dziecka nie ma w domu. Spojrzała na malca. Zastanawiała się, dlaczego wciąż tak grzecznie siedzi w miejscu. Był ładnym dzieckiem, o ciemnych oczach i włosach. Próbowała dostrzec w nim jakieś podobieństwo do siebie albo rysy ojca. Wzruszyła się, zauważywszy, że chłopiec zerka na nią z uśmiechem. Chyba czekał, aż zacznie się z nim bawić. Mój braciszek... – pomyślała i uświadomiła sobie, że nie jest już sama na świecie. Złość z powodu zdrady ojca zaczęła się oddalać, a przynajmniej blaknąć. I na jej miejsce wpłynęły uczucia dotąd Mariannie nieznanne. Mam brata – powtarzała w myślach, zafascynowana własną nagle odkrytą radością. Mam brata...

– To nie jest twój brat. – Rosa jakby czytała w myślach.

– Słucham?

– To nie jest twój brat.

– Ale przecież... – Marianna zamilkła, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

– Myślisz, że twój ojciec miał ze mną romans i to jest jego dziecko...

– A nie miał?

– Ledwie go znałam. Właściwie wcale. To było jedno spotkanie dość... – Rosa zawahała się – przypadkowe. A może nieprzypadkowe. Może ktoś tam na górze nade mną czuwał. – Wzniosła oczy do nieba.

– Nie rozumiem. – Marianna wciąż była oszołomiona. Ledwie pogodziła się z myślą o romansie swojego taty, ledwie, z niemałą trudnością, zaakceptowała fakt, że ma brata, i zaczęła się z tego cieszyć,

a teraz okazuje się, że to wszystko nieprawda? – Co ty kombinujesz? – spytała Rosę. – Przecież powiedziałam, że nie chcę zwrotu pieniędzy, nie musisz kłamać. Wszystko się zgadza. Tata był w Hiszpanii pół roku przed śmiercią, zresztą dość często tu przyjeżdżał. Od ostatniego wyjazdu co miesiąc wysyłał ci pieniądze. Niby w prezencie dla obcego dziecka? Dobre sobie!

– Nie krzycz, wystraszysz Daniela.

– Przepraszam. – Marianna ściszyła głos. – Ale naprawdę nie musisz robić ze mnie idiotki.

– Nie robię. – Rosa wzruszyła ramionami. Z talerzyka dziecka wzięła chrupka i włożyła sobie do ust. – Kiedy spotkałam twojego tatę, byłam już w ciąży. Nie mieliśmy romansu. W ogóle nie była to bliższa znajomość – powiedziała niedbale, cmokając językiem o zaklejone kukurydzą zęby.

– Nic nie rozumiem. – Marianna przełknęła ślinę. Zaschło jej w ustach. Żałowała, że nie poprosiła o wodę. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Patrzyła na Rosę wyczekująco.

– Poczekaj. – Rosa podsunęła poduszkę chłopcu pokładającemu się na podłodze. – To jego pora drzemki. Gdybyś nie przyszła, już dawno by spał. – Pogłaskała malca po twarzy. – Kiedy zaszłam w ciążę, pomyślałam, że jakoś to będzie – zaczęła mówić, kiedy chłopiec przymknął oczy. – Wpadki się przecież zdarzają, a poza tym się kochaliśmy. To znaczy ja i Carlos. Tak myślałam. Ale on, jak się dowiedział, to zrobił awanturę, że to nie jego dziecko, wyzwiał od dziwek i kazał usunąć. Dobre sobie – parsknęła. – Pomyślałam, że może za krótko się znamy, że jeszcze nie do końca mi ufa. Byłam przekonana, że jak Daniel się urodzi, to Carlos zakocha się w nim i go uzna... Ech. – Westchnęła ciężko i machnęła ręką. – Nieważne. Kiedy poznałam twojego tatę, byłam w ósmym miesiącu ciąży. Zdawało mi się, że nie czuję ruchów dziecka. Mama powiedziała, żebym biegła do szpitala. To pobiegłam. Zrobili badania i powiedzieli, że mały żyje – zamilkła na chwilę – ale że nie do końca dobrze się rozwija. Nie wytłumaczyli dokładnie, o co chodzi, jednak dali do zrozumienia, że nie urodzę zdrowego dziecka. To było jak cios.

Marianna milczała.

– Byłam przerażona – ciągnęła beznamiętnie Rosa. – Nawet nie miałam do kogo zadzwonić, żeby mnie zabrał ze szpitala. Nie stać mnie było na taksówkę. Ryczałam i wracałam do domu na piechotę. Nawet nie wiem, jak to się stało, że wlażłam na ulicę. Prosto pod koła samochodu, którym jechał twój tata.

– Potrafił cię? – spytała ostrożnie Marianna. Nie była przekonana co do prawdziwości tej historii.

– Niewiele brakowało. Wyhamował, aż go zarzuciło. Wybiegł i zaczął się wydzierać po polsku, pewnie mnie wyzywał. Dopiero po chwili zaczął dukać po hiszpańsku. Nie mówił tak dobrze jak ty.

– Cały tata – wyrwało się Mariannie. – Zawsze go frustrowało, że nie ma talentu do języków.

– Uruchomił aplikację w telefonie – kontynuowała Rosa – żeby się ze mną porozumieć. No i wtedy już spokojniej zapytał, czy wszystko w porządku. Ryczałam i powiedziałam mu, że szkoda, że we mnie nie wałnął. Że może by spróbował jeszcze raz. Że niepotrzebnie hamował. Przynajmniej pozbyłabym się wszystkich problemów, gdyby mnie nie było. Ta myśl, kiedy ją wypowiedziałam, zdała mi się tak piękna, że chyba nawet uśmiechnęłam się do twojego taty. I być może dlatego zaproponował, żebym wsiadła do samochodu i ochłonęła. Wsiadłam. Było mi wtedy wszystko jedno. Nawet gdyby okazał się seryjnym mordercą, to miałabym to gdzieś... Zapytał, dlaczego tak mówię. No to wyrzuciłam z siebie wszystko. Powiedziałam, że grunt chwije mi się pod nogami, że jestem sama i za chwilę urodzę chore dziecko, a przecież nie stać mnie nawet na wózek, nie mówiąc już o lekach czy rehabilitacji.

– I wtedy zaproponował pomoc – wtrąciła Marianna. Teraz przypomniawszy sobie rozmowę telefoniczną z mamą. Będąc na studiach w Londynie, skarżyła się jej na uporczywy katar, który dopadł ją w czasie egzaminów. I mama pocieszała, że katar minie, że to wcale nie jest problem, inni mają gorsze, na przykład chore dzieci, które muszą samotnie wychować. Wtedy Marianna odczytała te słowa jako nietrafiony przykład, bo przecież jak można porównywać te dwie sytuacje. Teraz dopiero zrozumiała, że

myślami mama była gdzie indziej. Czyli wiedziała. Czyli Rosa mówi prawdę.

– Tak – odpowiedziała Rosa. – Zaproponował, że mi pomoże. Że dopóki moja sytuacja jakoś się nie poprawi, to oni będą przysyłać pieniądze na leczenie.

– Oni? Moi rodzice? – upewniła się Marianna.

– Tak. Powiedział, że musi to najpierw ustalić z żoną, ale że ona na pewno się zgodzi. Nawet mu wtedy nie podziękowałam, myślałam, że gada tak, bo nie wie, jak się zachować. Podałam swoje dane i numer konta. I tak nie miałam przecież nic do stracenia, nawet jeśliby mnie wkręcał z tą pomocą. Dwa tygodnie później dostałam pierwszy przelew.

– Na co choruje twój syn? – spytała Marianna, uspokojona myślą, że wszystko się wyjaśniło i życie znów wraca na swoje tory.

– Na nic. – Rosa wzruszyła ramionami. – Diagnoza była błędna.

Mariannę na moment zatchnęło.

– Słucham? – spytała po chwili z niedowierzaniem. Nagle nachyliła się do Rosy i uniosła brwi. – Twój syn jest zdrowy, a mimo to brałaś pieniądze od moich rodziców? Uznałaś, że znaleźli się bogaci frajerzy, którzy będą płacić? Gdyby nie to, że rodzice zginęli, pewnie do tej pory cieszyłabyś się z przelewów.

– Szczerze? Cieszyłabym się – powiedziała Rosa buńczucznie. – Bardzo. I nieważne, co myślisz.

– Nie mamy o czym rozmawiać. – Marianna wstała. – Jesteś złodziejką.

– Gównu wiesz. Nie mam zamiaru się tłumaczyć – prychnęła Rosa.

– Nie ma co tłumaczyć. Złodziej to złodziej.

– Tak myślisz? – uniosła się Rosa. – Wydaje ci się, że masz prawo mnie oceniać? Otóż nie masz. Nie byłaś w takiej sytuacji. Gównu wiesz. – Nakręcała się, mocno gestykułując. – Trafiły się pieniądze, to je wzięłam. Kupiłam wózek, pieluchy, ubranka. Kupiłam łóżko, bo wcześniej leżał tu materac, na którym spałam z matką. A matka, zamiast siedzieć cicho, rozpowiadała sąsiadkom, że to od bogatego pana z Polski. I co? Nazywają mnie teraz dziwką. Przeklętą, zhańbioną, sprzedajną dziwką. W dupie to mam. I w dupie mam, co ty o mnie myślisz. Wszyscy jesteście tacy sami – wycedziła ze złością. – Możesz nazywać mnie, jak chcesz. Drugi raz postąpiłabym tak samo.

– Jak możesz tak mówić? – Marianna poczuła, jak w gardle rośnie jej gula.

Nagle dziecko, które dopiero co zasnęło, pod wpływem uniesionych głosów przebudziło się i zaczęło płakać. Rosa doskoczyła do malca, wzięła go na ręce i zaczęła kołysać. Marianna chwyciła za torebkę i już miała wyjść, kiedy kotara dzieląca kuchnię od pokoju uchyliła się i w przejściu pojawiła się matka Rosy. Wbrew temu, co wcześniej mówiła dziewczyna, jej mama wcale nie była stara. Wyglądała na co najwyżej pięćdziesiąt lat, a może i tylu nie miała, jej wychudzona, zniszczona twarz i wyraźne braki w uzębieniu powodowały jednak, że wyglądała na starszą niż w rzeczywistości. Jednak z pewnością nie na siedemdziesięciolatkę.

– Mamo, wracaj do łóżka! – krzyknęła Rosa.

– Mamo, mamo – ochryplym matowym głosem przedrzeźniła kobieta. – Mamo, pić! – Jej zażwawione oczy przypominały dwie szparki, które pod ciężarem opuchniętych powiek ledwie się otwierają. Zupełnie nie zwracała uwagi na Mariannę, która przyglądała się tej scenie z narastającym przerażeniem. Dziecko cały czas płakało, a Rosa, coraz bardziej zdenerwowana, nie potrafiła go uspokoić.

– Mamo, idź do kuchni! Zaraz do ciebie przyjdę, słyszysz?! Zaraz przyjdę!

Kobieta, powłócząc nogami, wycofała się za kotarę. Rosa przełożyła syna na drugie ramię i kołysała teraz wolniej, dzięki czemu przestał płakać i tylko pociągał nosem, szlochając.

Marianna stała bez ruchu, wpatrując się w Rosę. Przed oczyma wciąż jednak miała jej matkę.

– To nie alzheimer – powiedziała po chwili.

Rosa nie odpowiedziała. Zagryzła usta i odwróciła wzrok, wtulając się policzkiem w policzek synka.

– Okłamałaś mnie – ciągnęła Marianna, kierując się w stronę drzwi. – Jesteś nie tylko złodziejką, ale też kłamczuchą – zauważyła smutno. Nie czuła już nawet złości, ale bezradność wobec tego, co tutaj ujrzała.

– Idź już – wyszeptała Rosa, nie patrząc na Mariannę. – Wyjdź, słyszysz? – powtórzyła głośniej, mimo że Marianna była już prawie za drzwiami.

– Jak można tak postępować? – spytała Marianna na odchodne.

– Gównu wiesz! – warknęła Rosa. – Gównu wiesz!



## Rozdział 8



Na kartce, po której Piotr Pawlicki bezmyślnie rysował kółka, trójkąty i elipsy, nie było już wolnego miejsca. Mimo to rysował dalej. Myślami błądził wokół Grzegorza Bocheńskiego, przeciętnego trenera, coacha, którego filmiki z wykładami znalazł ostatnio na YouTube. „Jestem dorosłym człowiekiem i sam decyduję o sobie. Jestem dorosłym człowiekiem i sam decyduję o sobie” – Piotr w kółko powtarzał w myślach słowa, które Grzegorz prezentował na planszach, tłumacząc słuchającym go internautom, jak zdobyć wewnętrzną siłę i realizować cele. „Ważne, żeby uświadomić sobie, że to my przeżywamy własne życie i nikt, żaden kolega, żona, kochanka czy matka nie mogą decydować, co dla nas jest dobre” – tłumaczył Grzegorz Bocheński. I mimo że jego wykłady nie zdobywały dużej popularności, a on sam oprócz założonego kilka miesięcy wcześniej kanału na YouTube nigdzie nie występował, Piotr zachwyił się tymi prostymi wyjaśnieniami i odkąd po spotkaniu z Marianną jego samoocena drastycznie się obniżyła, oglądał filmiki Grzegorza w każdej wolnej chwili. Motywowały go, a przede wszystkim trafiały w tę szczególnie delikatną strunę, o której oprócz Piotra nie wiedział nikt z zewnątrz. W jego relację z matką.

Koledzy z uczelni nie zdawali sobie sprawy, że ten zdolny, młody, ambitny profesor nie potrafi podjąć decyzji bez konsultacji z rodzicielką. Że każdego dnia musi zdawać jej dokładne relacje, opisywać, co jadł, gdzie był, z kim się spotkał. I że powoli zaczyna go to uwierać. Dopóki był pochłonięty pracą i karierą, nie dostrzegał niedogodności związanych z tą sytuacją, jednak odkąd poznał Mariannę, częstotliwość kontaktów z matką przybrała na sile. O ile wcześniej dzwoniła do niego w błahych sprawach kilka razy dziennie i wystarczyła jej krótka rozmowa, by zaspokoić ciekawość, o tyle teraz potrafiła zamęczać go telefonami nawet w pracy – i nie ograniczała się do wymiany zdań. Nasiliły się u niej monologi, które z powodzeniem można by nazwać wykładami na temat miłości. Piotr, owszem, wysłuchiwał cierpliwie i w milczeniu potakiwał głową, lecz kiełkował w nim coraz większy bunt. Nie dość, że dziewczyna, którą dopiero co poznał, nazwała go koniem, to jeszcze matka, własna matka dolewa oliwy do ognia, sugerując, że jest nieudacznikiem i nigdy nie znajdzie sobie żony. A jeśli on nie znajdzie żony, to ona nie doczeka wnuków. A tego to już ona w ogóle nie przeżyje.

– Sam o sobie decyduję – powiedział do słuchawki długo ćwiczony tekst.

Matka na chwilę zamilkła i Piotr myślał, że może się rozłączyła.

– Halo? – spytał, kiedy upłynęło kilka sekund.

– Jestem. Tylko ucichłam, bo zdaje się, że z kimś rozmawiałeś.

– Z tobą przecież rozmawiam!

– Dziwnie gadasz. Dobrze się czujesz? Gdzie ty w ogóle jesteś?

– W hotelu – jęknął Piotr. – Do ciebie mówiłem. Że jestem dorosły i sam zdecyduję, kiedy sobie znaleźć dziewczynę. I czy w ogóle będę jej szukał.



– Ty jesteś dorosły – prychnęła matka. – Ty o sobie decydujesz.

– Tak. Decyduję o sobie. I z całym szacunkiem, mamó, ale jestem już zmęczony twoimi telefonami.

Chciałbym wreszcie zająć się ważnymi sprawami. Rozplanować kolejny tydzień pracy, odpowiedzieć na maile. Nie mogę myśleć o kobiecie, bo to mnie rozprasza. Tym bardziej że akurat ta kobieta nie jest mi pisana. Nie czuję się zakochany. I nie mam ochoty tracić czasu na kolejne spotkania. Rozumiem twoje rozczarowanie, ale ja mam inne plany. Nie szukam teraz żony.

– Ty. Ty. Tylko ty. Egoista – syknęła. – A może choć raz pomyślałbyś o mnie? O tym, jak wiele ci dałam, wychowałam, wykształciłam. Dzięki mnie możesz jeździć po świecie, mieszkać w luksusowych hotelach, chodzić do eleganckich restauracji. W tak młodym wieku jesteś już profesorem! Może jeszcze osiągnąłeś to sam z siebie? Już zapomniałeś, że to ja załatwiałam najlepsze szkoły, najdroższych korepetytorów. Zapomniałeś, że odejmowałam sobie od ust, żebyś miał na książki, na dodatkowe lekcje angielskiego. Zapomniałeś, że poświęciłam swoje małżeństwo dla twojego dobra! Że twój głupi ojciec, świeć Panie nad jego duszą, pozwoliłby ci zmarnować cały potencjał. I to ja cię pilnowałam w lekcjach. To ja dbałam, żeby...

– Tak, mamó – Piotr przerwał skruszony – przepraszam. Masz rację.

– Tak więc nie tobie, ale mnie się należy żona. I dzieci. Wnuki. Mnie. Rozumiesz? – Matka nakręcała się coraz bardziej. – To ja siedzę sama w domu, podczas gdy ty całe dni spędzasz na uczelni albo – tak jak teraz – wyjeżdżasz na całe tygodnie! To ja wydzwaniam do ciebie, żeby przypomnieć o głupotach, do których nie masz głowy! Jestem twoją sekretarką, lekarzem, twoim ekonomem! Wodzirejem twojego życia jestem! Nie dałbyś sobie rady beze mnie!

– Nie dałbym rady, masz rację – przyznał Piotr, byle tylko przestała już gadać. Cholerny Grzegorz Bocheński na pewno też by tak zrobił. Łatwo jest doradzać innym, nie będąc w ich skórze.

– To teraz, skoro już się dobrze rozumiemy – Pawlicka ociepliła ton – powiedz mi, synku, jak zamierzasz uwieść tę dziewczynę?

– No... – Piotr odchrząknął. Znowu poczuł się zdominowany. I nie miał siły się przed tym bronić. – Może, tak jak ostatnio radziłaś, kupię jej kwiaty...

– Dobrze. Tylko nie jakiś wiecheć z bazaru, ale piękny bukiet. Nie żałuj pieniędzy. Jak cię znam, to kupisz najtańsze.

– Sama zawsze mówiłaś, żeby nie szastać pieniędzmi, bo mogą się przydać na później.

– Ty mi nie wypominaj, co mówiłam. Teraz musisz się zmobilizować. Potem będziesz oszczędzał.

– To kupię kwiaty i zabiorę ją do muzeum flamenco. Wydaje mi się, że lubi.

– Muzeum! Ty jesteś naprawdę jakiś nedorobiony! Po ojcu to masz. Do jakiego muzeum? Chcesz rozkocharać dziewczynę, zabierając ją do muzeum? Koń by się uśmieł!

– Ty też? Co wy macie z tym koniem?

– Jakim koniem?

– Mówiłem przecież, że nazwała mnie koniem – przypomniał niechętnie Piotr.

– Kiedy ktoś nazywa cię koniem, pokaż mu, że jesteś ogierem – z mocą w głosie powiedziała Pawlicka.

– Ale jak?

– Ja mam ci tłumaczyć? W Sewilli jesteś, to miasto Don Juana. Nawdychaj się powietrza, którym on oddychał, to może cię natchnie.

\*\*

Mgiełka, która wydobywała się z kawiarnianych zraszaczy, dawała złudne poczucie ochłodzenia.

Marianna szła wzdłuż ogródków, wystawiając twarz do kolejnych dysz, z których spływała na nią ledwie widoczna woda. Większość ludzi nie odczuwała dziś takiego upału, ale Marianna z powodu emocji czuła się rozpalona także od środka. Maszerowała szybkim krokiem, młóćąc w głowie słowa Alicji, do której zadzwoniła po wizycie u Rosy.

– Wiem, że to trudne – powiedziała przyjaciółka, kiedy Marianna streściła jej całe spotkanie – ale nie oceniam Rosy. Owszem, zachowała się źle, jednak nie wiemy, jak my byśmy się zachowały na jej miejscu. Tu ma rację... Ja akurat zdaję sobie sprawę, jak trudno jest samotnie wychowywać dziecko, a przecież moja sytuacja finansowa nie była dramatyczna. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym nie miała na mleko czy pieluchy. A jej matka? No sama powiedz. Zamiast ją wspierać, tylko pogłębia problemy. Dziewczyna nie żyje w normalnych warunkach, więc trudno się po niej spodziewać normalnych reakcji. Twój rodzic dali jej pieniądze, to wzięła. A że dziecko zdrowe, to tylko lepiej. Trudno się dziwić, że mimo wszystko przyjmowała przelewy. Spadły jej z nieba. Przynajmniej miała z czego żyć...

„Przynajmniej miała z czego żyć” – słowa Alicji odbijały się echem w głowie Marianny i coraz bardziej nie dawały spokoju. Dotarła do niej przykra prawda, że rzeczywiście, wychowując się w szklarnianych warunkach, gównem wie o prawdziwym życiu.

Pomyślała o Danielu, który właśnie dopiero zaczynał. I nagle zastanowiło ją, dlaczego jego ojciec się nim nie interesuje i na niego nie płaci. Przecież Rosa powinna domagać się od niego pieniędzy. Marianna przystanęła na chwilę, usiłując się skoncentrować i przypomnieć sobie, co Rosa mówiła o tym mężczyźnie. Że ją rzucił, że nie przyznał się do dziecka... A Rosa tak po prostu odpuściła? Może jest na tyle nieporadna życiowo, że potrafi brać pieniądze od obcych ludzi, ale już zadbać o interesy własnego dziecka to dla niej za wiele. Może nie wie jak...

Marianna poczuła, że jest zbyt słaba, by dalej się nad tym zastanawiać. Czuła głód. I było jej stanowczo za gorąco, by kontynuować marsz w pełnym słońcu. Zawróciła i weszła do pierwszej restauracji, jaka się trafiła. Usiadła przy stoliku nieopodal baru, zauważywszy, że właśnie tam skierowany jest strumień chłodnego powietrza z klimatyzatora. Na szczęście nie było tłumów, a większość ludzi i tak siedziała przy stolikach na zewnątrz.

Po krótkim namyśle zamówiła stek z argentyńskiej wołowiny, mając nadzieję, że tak solidna porcja mięsa, zawierającego z pewnością duże ilości żelaza, szybko postawi ją na nogi i dostarczy niezbędnej energii. Miała mętlik w głowie i czuła się naprawdę skołowana. Niechętnie odwróciła głowę w kierunku źródła krzyków dochodzących ze stolika pod oknem. Jakaś Angielka wyklócała się o rachunek tak donośnie, jakby niedosmażone frytki były największym problemem jej życia. Marianna ze współczuciem spojrzała na kelnera, który usiłował coś cicho tłumaczyć. Marianna doznała olśnienia, że w tym zawodzie w Hiszpanii królują mężczyźni. Być może gdyby kelnerką była kobieta, Angielka nie krzyczałaby aż tak bardzo, bo u kobiety nie miałyby aż takiego posłuchu. Na szczęście szybko doszli do porozumienia i krzyki ucichły. Marianna skinęła na kelnera. Nagle naszała ją ochota na podwójne espresso. Zanim przyniesiono danie, udało jej się wypić nie tylko kawę, ale też dwie butelki niegazowanej wody. Umysł powoli się rozjaśniał. A wołowina okazała się pyszna.

\*\*

Carmen zaczynała popołudniową działalność. W przeciwieństwie do innych knajp, które z uwagi na turystów były otwarte od rana do nocy, w Carmen kultywowano tradycję sjesty. Po części dlatego, że właścicielki potrzebowały popołudniowej drzemki, by zregenerować siły przed wieczornym występem, a po części dlatego, że w południe w Carmen bywało naprawdę gorąco i nikt przy zdrowych zmysłach

i tak by tu nie wysiedziały. Teresa nieraz wspominała o tym, że należałoby wymienić klimatyzację, bo stara nie dość, że jest zbyt głośna, to jeszcze nie chłodzi tak, jak powinna. I choć współpracownicy przyznawały jej rację, na tym się kończyło. Brakowało pieniędzy na życie, a co dopiero na modernizację lokalu.

Marianna weszła do środka i zamówiła cappuccino. W milczeniu przyglądała się Teresie, która walczyła z ekspresem. Pozostałe tancerki prawdopodobnie wciąż odpoczywały w swoich mieszkaniach, ponieważ nawet na zapleczu nie było słychać żadnego ruchu.

Dziewczyna odwróciła wzrok od Teresy, nie chcąc jej peszyć, i rozejrzała się po wnętrzu. Przygnębienie towarzyszyło jej tu, odkąd przyjechała. Teraz usiłowała dostrzec szczegóły, które wpływały na ten nastrój. Przede wszystkim było ciemno. Być może czarne ściany miały w założeniu sprawiać wrażenie intymności, jednak zamiast tego wywoływały uczucie smutku i apatii. Lustra, zamiast odbijać świece, straszły zniekształconymi w nich twarzami gości, ponieważ dawno wypłowiały i straciły kryształowy blask. Ponurą atmosferę Carmen potęgowały zimne metalowe krzesła ustawione przy metalowych stolikach oraz umiejscowiona przy barze witryna chłodnicza. Dawniej prawdopodobnie eksponowano w niej tapas, a dziś na półkach leżały wyblakłe plastikowe pomarańcze i cytryny.

Marianna pomyślała o własnej cukierni, w której pastelowe ściany były tłem kolorowych, apetycznie wyglądających babeczek. Pomyślała o mamie, która zawsze powtarzała, że w życiu jest tyle szarości, iż należy ją rozświetlać kolorami. W Carmen kolorów nie było. Jedynie czerwona kotara dzieląca bar od zaplecza oraz wiszące na ścianach kolorowe zdjęcia, przedstawiające tancerki z lat ich młodości. Marianna bez trudu rozpoznała na zdjęciach Elenę. Przypomniała sobie nocną wizytę, która dotychczas wydawała się tylko snem. Abstrakcyjnym i irracjonalnym, który zrodził się w głowie po mieszance leków.

– Mój Boże... Eleno... – Marianna przełknęła ślinę. – Naprawdę u mnie byłaś...

Wyszeptała te słowa, wciąż wpatrując się w upstrzoną odbitkami ścianę.

– To nie był sen – mamrotała bezgłośnie, odszukując w pamięci szczegóły ostatniej nocy.

– I jak, kochana, zdecydowałaś, co z wyjazdem? – zagadnęła Teresa, której po kilku nieudanych próbach udało się połączyć mleczną piankę z kawą.

Marianna, wybita z zamyślenia, spojrzała na kelnerkę nieprzytomnym wzrokiem.

– Oooo, naprawdę potrzebujesz kawy – zauważyła z uśmiechem Teresa. – Przepraszam, że tyle to trwało, ale zazwyczaj Veronica obsługuje tę piekielną maszynę. Ja potrafię zrobić tylko espresso. – Roześmiała się perliście.

– Coś mnie obgadujesz? – Veronica wysunęła zza kotary, gdzie znajdowało się zaplecze.

– Chwaliłam twoją kawę. Nie sądzę, żeby moja była równie dobra. – Teresa puściła oczko do Marianny. – Jest łasa na komplementy – wyjaśniła szeptem.

– Zdecydowałam, że jeszcze zostanę – powiedziała Marianna.

– Jednak mężczyzna? – Teresa puściła oczko.

Marianna się roześmiała.

– Tyle że bardzo mały.

Teresa, mocno zaciekawiona, przysiadła się do stolika i nachyliła nad Marianną.

– Mały mężczyzna? Jesteś w ciąży? – spytała szeptem.

– Nie jestem w ciąży. Ale tak, decyzja o tym, że zostaję, spowodowana jest dzieckiem.

Marianna, nie widząc już powodów, żeby ukrywać prawdziwy motyw swojego przyjazdu, pokrótce opowiedziała Teresie o sobie. O śmierci rodziców, babci i w końcu o Rosie, której zdecydowała się pomóc w uzyskaniu alimentów dla dziecka.

Teresa, po wszystkim, co usłyszała, nie kryła ekscytacji. Wreszcie w nudnym życiu zaczęło się coś

dziać. I nieważne, że nie w jej własnym. Ważne, że bohaterkę zdarzeń miała tuż pod ręką i dzięki temu mogła pośrednio uczestniczyć w rozgrywającej się właśnie historii.

– Wystarczy ci kawa? Veronica już jest. Może masz ochotę na paellę?– spytała, mając nadzieję, że Marianna przy posiłku rozgada się jeszcze bardziej.

– Wolałabym do kawy coś słodkiego. – Marianna roześmiała się i puściła oczko. – Paella, którą robi Veronica, może i jest dobra, ale...

– Wcale nie jest dobra – przyznała Teresa. – Prawda jest taka, że zawsze gotowała Elena. A najlepsza była w wypiekach. Na jej torcik Carmen przychodziło pół Sewilli. Był najlepszy. No, ale co zrobić, przepis zabrała ze sobą do... – Teresa zaczęła kaszleć. – Po prostu zabrała ze sobą. Nie ma z nią kontaktu. Na razie. Ekhm...

– Mogłabym wam pomóc. Znam się na wypiekach, prowadziłam przecież cukiernię – zaproponowała nieśmiało Marianna.

– Ojej. – Teresa otworzyła oczy ze zdumienia. Nie spodziewała się takiej propozycji. – Nie śmiałabym. Jesteś tu gościem. Poza tym masz własne sprawy.

– Nie będę spędzać z Rosą całych dni. Potrzebuję jakiegoś zajęcia, wkrótce znudzą mi się spacer po mieście. Pytanie tylko, czy Elena się nie obrazi, że się wtrącam, kiedy jej nie ma.

– Och, jeśli o to chodzi, to nie obrazi się. Na pewno.

– A kiedy wraca?

– Nieprędko. – Teresa odwróciła wzrok. – Szczerze mówiąc, gdyby udało się podnieść Carmen z kolan, nie musiałybyśmy jej sprzedawać.

– A planujecie?

– Skąd! Ale jest coraz gorzej. Sama widzisz, nie ma klientów. Brakuje pieniędzy na wszystko, dlatego zdecydowałyśmy się wynająć mieszkanie Eleny... Jakiś czas temu dostałyśmy propozycję, by sprzedać całą kamienicę. Veronica uważa, że to dobry pomysł. Kupiłybyśmy coś małego na przedmieściach, z pewnością byłoby taniej. Ale to wcale nie jest prosta decyzja. Mieszkamy tu już szmat czasu, Carmen jest całym naszym życiem. Tylko że lata świetności już dawno za nią, a my jesteśmy za stare, żeby ją wskrzesić. Jeszcze Elena jako tako ciągnęła tę knajpę... Ale Eleny nie ma.

– Nie ma – powtórzyła mimowolnie Marianna.

– Nie chcemy sprzedawać ani kamienicy, ani pozbywać się Carmen – ciągnęła Teresa. – Ale prowadzić restauracji już chyba nie umiemy. Zresztą nawet tańczyć już chyba nie umiemy...

– Nie mów tak, Tereso, pięknie tańczycie.

Teresa westchnęła.

– Dziękuję, dziecko, dziękuję. Jednak prawda jest taka, że codziennie oszukujemy siebie, napawając się widokiem tych kilku przypadkowych gości. Przecież doskonale wiemy, że na pokazy do restauracji obok przychodzą w sezonie całe tłumy. Nie jesteśmy ślepe.

– Teresa ma rację – wtrąciła Veronica, która od dłuższej chwili przysłuchiwała się rozmowie. – Carmen dogorywa, taka prawda. Moim zdaniem sprzedaż kamienicy to najlepsze wyjście. I nic tu nie pomoże przyspieszony kurs gotowania. Tu potrzeba większych zmian, na które nas nie stać. Codziennie czekamy na gości, których nie ma. Co wieczór tańczymy przed publicznością, której nie ma. Udajemy, że wszystko jest w porządku, ale nie jest. Oszukujemy siebie. I oszukujemy też innych. Elena nie wyjechała. Elena nie żyje.

– Veronica! – krzyknęła Teresa. – Co ty opowiadasz?

– Prawdę mówię. – Veronica zwróciła się do Marianny. – Teresa kazała kłamać, bo bała się, że nie będziesz chciała wynająć mieszkania po zmarłej. Ale taka jest prawda. Elena nie żyje. I Carmen też już nie żyje. A my gnijemy. Tylko że ja nie chcę gnić. Chcę żyć. Powinnyśmy sprzedać wszystko i zacząć

życie od nowa. – Tym razem spojrzała na Teresę.

– Mam prawie siedemdziesiąt lat – powiedziała cicho Teresa. – Jakie od nowa? Jakie od nowa?

– Ja mam sześćdziesiąt dwa. I nie wybieram się jeszcze na tamten świat – prychnęła Veronica. – Jesteś egoistką, Teresa. Wszystkie jesteście. Nie tak miało być. Decyzje miałyśmy podejmować wspólnie.

– Przecież podejmujemy!

– Dobre sobie. Blokujecie sprzedaż. Przecież sama nie mogę tego zrobić, choćbym chciała.

– To jeszcze nie jest czas na sprzedaż.

– Jest!

– Veronica... – Teresa westchnęła.

Marianna wywnioskowała, że to nie pierwsza rozmowa między nimi na ten temat.

– Nieważne. Z tego wszystkiego rozboleła mnie głowa. Muszę się położyć. Nie tańczę dzisiaj.

– Cudownie. – Teresa klasnęła. – Po prostu cudownie. Idź, idź, odpocznij sobie, bo się naprawdę namęczyłaś. Tylko przypominam, że zgodnie z grafiką dzisiaj ty powinnaś zamknąć Carmen.

– Daj spokój, Teresa. – Veronica wyróciła oczami. Jej nieprawdopodobnie długie rzęsy zatrzepotały złowrogo. – Mogłabyś zamknąć nawet teraz. I tak nikt by nie zauważył.

– Jutro wstajesz skoro świt i otwierasz! – wycedziła Teresa.

– Dobrze – zgodziła się Veronica. – Do jutra zatem.

Marianna skinęła głową na pożegnanie. Veronica jednak jeszcze nie wyszła, ale kręciła się przy barze, utyskując pod nosem na brak herbaty jaśminowej.

– Znowu kłótnia – zauważyła ponuro Juanita, która ciężkim z powodu bólu biodra krokiem weszła właśnie razem z Luisą do Carmen.

– Szkoda słów – westchnęła Teresa.

– Niestety, ja też dzisiaj nie tańczę. Nie dam rady, przepraszam. – Juanita skrzywiła się, wskazując brodą na obolałą nogę.

– Wszystko się sypie. – Luisa wzniosła oczy do nieba.

– Przestań tak gadać – obruszyła się Teresa, która nagle dostała przyływu energii. – Sypie się, bo my się sypimy. Ale to jeszcze nie jest dramat. I zamiast płakać, powinnyśmy wziąć się w garść i coś zrobić.

Tancerki spojrzały na Teresę bez entuzjazmu.

– Ta młoda dziewczyna przeżyła właśnie dramat. – Teresa spojrzała czule na Mariannę. – Straciła rodzinę, nie ma nikogo. A nie narzeka, że jest jej źle i nie ma już ratunku. A my co? Stare, a głupie. Boimy się zmian, a tylko zmiany mogą nas uratować.

– No właśnie, mówiłam przecież: sprzedajmy! – krzyknęła z za baru Veronica.

– Naprawdę straciłaś rodzinę? – zainteresowała się Juanita.

Marianna skinęła głową. Nie odzywała się, nie chcąc pogłębiać i tak już głębokiego konfliktu między kobietami. Obawiała się, że jeśli coś powie, rozmowa się rozwinie i wtedy również i ona zostanie w nią wciągnięta. A ostatnie, czego pragnęła, to wysłuchiwać wzajemnych żalów, oskarżeń i pretensji. Nie chciała być mediatorem. Pragnęła im pomóc, ponieważ obiecała to Elenie, ale co innego pomóc w barze, a co innego mieszać się w konflikt między ludźmi.

– Naprawdę. – Teresa odpowiedziała za Mariannę. – Jej rodzice zginęli kilka miesięcy temu, a ostatnio pochowała babcię...

– Mój Boże – westchnęła Luisa.

Przez chwilę w Carmen zapanowała cisza. Marianna miała ochotę wyjść, zbyt mocno ją ta atmosfera przygniała. Jednak nie wypadało. Dopiła zatem zimne już cappuccino i uśmiechała się słabo do kobiet.

– Wiem, że to nie to samo – powiedziała nagle Juanita. – Bo przecież nikt nie zastąpi ci babci, nie mówiąc już o rodzicach. Ale... Ja nie mam dzieci ani wnuków. To może przynajmniej na czas twojego

pobytu mogłabym być taką... wiesz, babcią zastępczą. Może będzie ci przyjemniej ze świadomością, że jednak kogoś masz.

– Doskonały pomysł – zapaliła się Teresa. – Ja też mogę zostać twoją babcią.

– Ja też! – ucieszyła się Luisa. – Wszystkie będziemy twoimi babciami!

– Wypraszam sobie – mruknęła zza baru Veronica. – Za młoda jestem na babcię.

– No tak, no przecież... – wysyczała Teresa, wywracając oczami.

– Mogę być ciocią – dodała Veronica. Zaparzyła herbatę i ostrożnie niosąc czajniczek, wyszła z baru tylnymi drzwiami.

– Ciocia to nie babcia – mruknęła cicho Teresa. – Wiesz co, kochana – powiedziała głośniejszym głosem do Marianny. – W takim razie jako świeżo upieczone babcie przygotujemy dla ciebie coś do zjedzenia, bo pewnie jesteś głodna. I obiecuję, że nie będzie to paella.

Luisa przyklasnęła temu pomysłowi i poszła z Teresą do kuchni. Juanita stanęła przy barze w oczekiwaniu na potencjalnych gości. Jednak tych, jak zwykle, nie było. Marianna wiedziała, że nie tylko obskurny wygląd wnętrza jest tego przyczyną, ale także brak jakiegokolwiek zachęty do tego, by tutaj wstąpić. Nie pachniało jedzeniem czy kawą, a wyblaknięte karty już dawno straciły ważność.

Juanita przyniosła dzbanek wody z cytryną i pomarańczami. Na zewnątrz wciąż było ciepło, choć powoli dawało się wyczuć nieco chłodniejsze powietrze, napływające prawdopodobnie od strony zatoki. Przez chwilę rozmawiały o różnicach klimatycznych, Marianna opowiadała o tym, jak wygląda jesień w Polsce. Z nostalgią wspominała mieniące się kolorami drzewa i piękne dywany z liści, w których jako dziecko lubiła się bawić.

– Ale i u nas klimat się zmienia – zauważyła ze smutkiem. – Na gorszy, niestety. Już nie ma takich jesieni jak kiedyś.

Rozmowę przerwała Teresa, z dumą wnosząc talerze. Tuż za nią dreptała Luisa z półmiskami, na których pyszniły się krokiety z szynką i serem.

– Mam nadzieję, że będzie ci smakowało. To mój przepis. Kiedyś mieszkałam w Kordobie. Moja mama takie robiła – pochwaliła się Luisa. – Tylko tamte były wielkie. – Uśmiechnęła się, rozciągając ręce na szerokość ramion.

Jedzenie okazało się nad wyraz smaczne. O wiele lepsze niż paella, którą z takim zapałem szykowała codziennie Veronica. Kobiety jadły i rozmawiały. W tle płynęły dźwięki nieśmiertelnego flamenco.

Marianna przysłuchiwała się rozmowom, ale przede wszystkim obserwowała tancerki. Naszła ją myśl, że rzeczywiście, wieku nie da się przeskoczyć. Choć kobiety były zadbane i wciąż energiczne, pewne niuanse stanowiły przeszkodę w codziennym funkcjonowaniu, zarówno tym dotyczącym prowadzenia restauracji, jak i – a może przede wszystkim – tańca. Ich ruchom brakowało płynności i dynamiki, tak charakterystycznej dla młodszych osób. Juanita chodziła wręcz ociężale, co tłumaczyła uporczywym bólem biodra powstałym na skutek upadku kilka tygodni temu. Luisa mimo skończonych siedemdziesięciu lat zachowała blask w oczach, szczupłą sylwetkę i sprężysty krok, jednak kiedy trzymała sztucę, ręce wyraźnie jej drżały. Było to widać także podczas tańca, kiedy operowała kastanietami. Najgorzej czas obszedł się z Teresą, co można było zauważyć, przyglądając się zawieszonym na ścianach zdjęciom. Niegdyś powabna, szczupła i wysoka, dziś straciła proporcje, a dodatkowe kilogramy odłożyły się w biodrach i na piersiach, co z pewnością miało swój urok, ale raczej nie dla tancerki, której ruchy nie były już tak zgrabne i uwodzicielskie jak kiedyś. Wiek Teresy odznaczył się także w jej postawie. Nieznacznie przygarbiona, wydawała się niższa niż w rzeczywistości, a suknie, w których niegdyś wyglądała wręcz zjawiskowo, teraz zdawały się mocno przyciasne. Teresa, podobnie jak Luisa, miała problem z drżeniem rąk, co przejawiało się nie tyle w ruchach, ile w makijażu. Szminka czasem wychodziła poza kontur ust, a kreski na powiekach każdego dnia biegingy w innych kierunkach.

Zdecydowanie najlepiej z nich prezentowała się Veronica. Była najmłodsza, ale i najbardziej pochłonięta troską o swój wygląd. Ćwiczenia po przebudzeniu się i przed zaśnięciem, pozwoliły zachować sylwetkę, której mogły jej pozazdrościć nawet trzydziestolatki. Cera, choć już nie tak świeża jak kiedyś, była ciągle promienna, a nieliczne zmarszczki tylko dodawały kobiecie uroku. Veronica zawsze miała nienaganny makijaż, lubiła podkreślać rzęsy, które być może wcześniej doklejała. Eksponowała także usta, dość wąskie z natury, lecz uwydatnione za pomocą konturówki i błyszczyka. I paznokcie. Długie, w kształcie migdała i zawsze czerwone. Veronica lubiła błyszczeć i zwracać na siebie uwagę. Kiedy tańczyła, zapomniała o świecie, lecz nie na tyle, by spod długich rzęs nie uchwycić wzrokiem interesującego mężczyzny. I choć gości w Carmen było jak na lekarstwo, Veronica wierzyła, że każdy, kto przychodzi, przychodzi tu właśnie z jej powodu.

Marianna przełknęła ostatni kęs kroieta i podziękowała za wyśmienitą ucztę. Teresa, która siedziała obok, pogładziła ją troskliwie po policzku, a potem nachyliła się i pocałowała dziewczynę w czoło. Marianna odruchowo zeszywniała. Nie przywykła do takich czułości ze strony obcych ludzi. Jednak nie odczuwała dyskomfortu. Po prostu była zdziwiona.

– Naprawdę bardzo się cieszymy, że możemy zostać twoimi babciami. – W głosie Teresy wybrzmiewała szczerść.

Marianna, wzruszona, uśmiechnęła się. Bo choć cała sytuacja wydawała się abstrakcyjna, a zachowanie kobiet mogło wskazywać na problemy emocjonalne lub głębsze zaburzenia, to jednak w swoich reakcjach były prawdziwe i prostolinijne. Sama też potrzebowała ciepła. Zwyczajnego rodzinnego ciepła i dobrego słowa. Od Eleny wiedziała, że kobiety nigdy nie zdecydowały się na posiadanie dzieci, nie mają więc własnych wnuków. I każda z nich zapewne tęskni za namiastką uczuć, które nie były im dane.

– Kochane babcie – powiedziała uroczystym tonem. – Nie ma co się rozczulać, trzeba działać. Jutro wieczorem przedstawię wam plan. Dziś jeszcze przejdę się po okolicznych knajpach, żeby sprawdzić, co słyhać u konkurencji. A wy w tym czasie zastanówcie się, co oprócz krokietów wychodzi wam najlepiej.

– Co oprócz krokietów wychodzi nam najlepiej? – spytała Juanita, kiedy Marianna zniknęła z pola widzenia. Kobiety patrzyły jedna na drugą, próbując znaleźć odpowiedź.

– Nie mam pojęcia – przyznała w końcu Luisa. – Chyba tylko taniec.

\*\*

Piotr zazgrzytał zębami, przeczytawszy cenę. Majątek za kilka badyli zakończonych kwiatkiem. W dodatku badyli z kolcami. Cóż takiego kobiety widzą w różach? Zdziercy kwiaciarze bezlitośnie wykorzystują tę dziwną babską słabość. A on musi za to płacić.

Niezadowolony, wyjął jednak portfel i wyłożył żadaną kwotę. Oglądał bukiet z każdej strony, upewniając się, czy aby żaden kwiat nie jest oklapły lub zwiędnięty.

– ¡Fresco! – zachwalała kwiaciarka.

– Sresko – wymamrotał pod nosem Piotr, przedrzeźniając kobietę. Nie rozumiał ni w ząb, co do niego mówi, i przez to był jeszcze bardziej sfrustrowany.

– ¡Fresco! ¡Hermoso!

– Dobra, dobra – mruknął bez cienia uśmiechu i odszedł. Nie zamierzał wręczać bukietu Mariannie. Od dwóch dni zamiast wykładów Grzegorza Bocheńskiego wyszukiwał w sieci porady, jak skutecznie poderwać kobietę. W internecie roiło się od znawców kobiecych dusz i umysłów. Mistrzowie chwalili

się nie lada podbojami. Piotra to nie ruszało. Nigdy nie był zainteresowany płcią przeciwną i teraz też, gdyby nie matka, zignorowałyby wszelkie znaki prowadzące go do Marianny. Owszem, miał momenty, kiedy do świadomości przebijały się przykre myśli o tym, że są dziedziny życia, w których jest całkiem nieporadny, ale szybko odsuwał je od siebie, koncentrując się na sukcesach. Głosy uznania od studentów rekompensowały wszelkie niedostatki. Zarówno skrzętnie ukrywaną toksyczną więź z matką, jak i niemoc w zakresie relacji damsko-męskich.

Bukiet planował zostawić pod drzwiami. Jeden z mistrzów miłości, jak określał siebie pewien internauta, tak właśnie radził początkującym adoratorom. „Nie wystawiaj się na tacy – podkreślał w wykładzie – zaintryguj ją, podsyć tajemnicę. Niech sama do Ciebie zadzwoni”.

Kiedy dotarł na plac, przy którym mieszkała Marianna, był już wieczór. Z daleka zauważył Luisę wycierającą stoliki w ogródku i ustawiającą krzesła. Marianny nie dostrzegł.

Zastanawiał się, w jaki sposób niepostrzeżenie zostawić kwiaty na schodkach, tak by przypadkowy przechodzień nie wziął ich, będąc przekonany, że są niczyje. W końcu zdecydował, że położy je na jednym z wystawionych na zewnątrz stolików Carmen. Wystarczy przejść obok i zostawić bukiet. Bez zatrzymywania się i zwracania na siebie uwagi.

Luisa wreszcie skończyła sprzątać i weszła do środka. Piotr zmrużył oczy, usiłując dojrzeć, czy w barze są jeszcze jacyś ludzie, którzy mogliby go zdekonspirować. Nie było nikogo, a kelnerka szybko zniknęła na zapleczu.

– Teraz – powiedział do siebie i ruszył, ale nie dane mu było przejść nawet dwóch kroków, bo zadzwoniła komórka.

Nie musiał spoglądać na wyświetlacz, żeby wiedzieć, kto dzwoni.

– Mamo, rozmawialiśmy dwie godziny temu – przypomniawszy.

– I co z tego?

– Jestem zajęty.

– Masz randkę?

– Jeszcze nie, ale wszystko idzie w dobrym kierunku – przyznał, bo i tak by dopytywała. – Kwiaty właśnie niosę.

– Jakie kupiłeś?

– Róże. Cały bukiet.

– Dobrze. Tak trzeba. A czeka na Ciebie?

– Nic nie wie. Zostawię bukiet i czmychnę. Mam zamiar rozpalić jej tęsknotę za mną.

– Hmm... – Matka westchnęła z uznaniem. – Niegłupie, niegłupie – przyznała. – Ale skąd będzie wiedziała, że to od Ciebie?

– A niby od kogo? – obruszył się.

– Skąd mam wiedzieć. Mówiłeś, że dziewczyna nie jest brzydka, może ktoś jeszcze się koło niej kręci? Jeśli pomyśli, że to od tamtego? Chcesz robić mu taki prezent?

O nie! – Piotr krzyknął w myślach, przypomniawszy sobie, ile zapłacił za kwiaty.

– Masz rację – powiedział do słuchawki, zadowolony jak nigdy, że matka do niego zadzwoniła. – Dołączę kartkę. Niech wie, kto się tak wykosztował.

\*\*

Muzyka ucichła i w tym momencie Teresa poczuła podmuch nadchodzących zmian. Tego wieczora pierwszy raz od dawna nie tańczyły. Veronica siedziała u siebie w mieszkaniu, obrażona na cały świat, Juanita była wyłączona z powodu nogi, a Luisę z emocji po całym dniu rozboleła głowa. Teresa



wiedziała, że wszystko się sypie już od dawna. Dopóki żyła Elena, udawały, że nic złego się nie dzieje, nie chciały dodatkowo jej stresować, choroba postępowała szybko i ważny był każdy dzień jako takiego samopoczucia. Poza tym Elena niemal do końca funkcjonowała w kuchni i przynajmniej stali goście biesiadowali wieczorami. Po jej śmierci nie miał już kto gotować, a sam taniec nie wystarczył, żeby zatrzymać klientów.

– Dlaczego wyłączyłaś płytę? – Teresa spojrzała na Luisę z wyrzutem. Brak muzyki uderzył w nią mocniej, niż mogłaby przypuszczać.

– Przecież nie tańczymy dzisiaj, to po co ma grać? Jeszcze ktoś przyjdzie i się zawiedzie, że nie ma pokazu.

– Sama bym zatańczyła w razie potrzeby – wycedziła Teresa. – Nie musiałaś wyłączać, mogłaś ściszyć.

– Nie złość się, głowa mi pęka. Uprzątnęłam już na zewnątrz, właściwie możemy zamknąć wcześniej. Zajrzę do Juanity, może powinnam nasmarować jej czymś tę nogę?

– Do lekarza powinna iść. Już dawno.

– Znasz ją.

– Zmusz ją. Ciebie posłucha. – Teresa oparła się o kij od szczotki. – Masz rację – powiedziała nagle. – Zamknę dziś wcześniej. Veronica jutro rano umyje podłogę. Ostatnio niewiele pomaga.

– Co racja, to racja – przyznała Luisa. – Dobranoc.

Teresa odłożyła szczotkę i przysiadła na krześle. Ukryła twarz w dłoniach i westchnęła ciężko. Chciało jej się płakać. Kiedy podniosła głowę, jej wzrok padł na zdjęcie, na którym ona, Elena, Juanita i Veronica uśmiechają się do obiektywu po udanym występie. Luisa dołączyła do nich rok później. To było ponad trzydzieści lat temu – pomyślała z nostalgią. Były takie piękne, młode, pełne nadziei na wielką karierę. Wyrzekły się życia prywatnego, zrezygnowały z zakładania rodzin. Postawiły na siebie, własny rozwój i własną satysfakcję. I satysfakcja przyszła. Pełne dziesięć lat rozkwitu, wielkich sal, podróży, transmisji telewizyjnych, wywiadów. Oklaski, kwiaty, fotografowie.

Tancerze, u których boku wielokrotnie występowały, zmieniali się wraz z porami roku. Zawsze szukały najlepszych.

A one trwały. Zadowolone, szczęśliwe.

Samotność zaczęła przychodzić po cichu, razem ze starością, jakby w parze, niczym papużki nierozłączki. Decyzja o wspólnym zakupie kamienicy i prowadzeniu restauracji zapadła spontanicznie. Jako naturalna konsekwencja wieloletniej przyjaźni. Była ucieczką od coraz częściej nachodzących myśli o zmierzchu – nie tylko kariery, ale też życia.

W Carmen były razem, znów mogły tańczyć, występować, liczyć na uznanie.

Elena odnalazła się w roli kucharki – to zawsze była jej pasja, wyparta wcześniej przez taniec. Nie można być mistrzem w każdej dziedzinie, ale Elenie się to udawało. Czegokolwiek tknęła, wychodziło jej. Oprócz miłości, o której poważnie pomyślała dopiero wtedy, kiedy było już na nią za późno. Ubolewała nad powziętą decyzją, ale nie lubiła mówić o tym głośno. Przekonywała przyjaciółki, że nie ma czego żałować. Takie wybrały życie i takie mają. Wymarzone, piękne. W przeciwieństwie do swoich rówieśniczek, które czas spędzają w domu, zajmując się narzekającymi mężami i jeszcze bardziej roszczeniowymi dziećmi. Elena świadomie przywoływała takie właśnie przykłady. Nie chciała zastanawiać się nad tym, co by było, gdyby... Z pewnością byłoby gorzej, niż jest – powtarzała.

Reszta kobiet jednak miewała momenty, w których dało się wyczuć wahanie. Czy gdyby móc przeżyć życie jeszcze raz, postąpiłyby tak samo. Juanita wprost mówiła o tym, że wieczorami płacze. Że mimo obecności przyjaciółek czuje się samotna, bo obserwując swoje siostry, które również mieszkały w Sewilli, widzi, jak wiele straciła. Żadna kariera nie jest w stanie zastąpić rodziny. Bo te chwile

krótkiej euforii mijają, a rodzina trwa. Najpierw w postaci mężczyzny, potem dzieci, a potem wnuków i prawnuków. Rozrasta się, obejmując czułymi mackami tych, którzy się w niej znajdują.

Luisie też zdarzało się lkać na myśl o tym, że nigdy już nie zazna macierzyństwa. I choć mężczyzn w jej życiu nie brakowało, dopiero po czasie odkryła, że podczas tych przelotnych romansów zawsze towarzyszyła jej nadzieja, że niechcący z którymś z nich zajdzie w ciążę. Ale nie zaszła. W przeciwieństwie do Veroniki, której zdarzyły się dwie wpadki, i choć nie mówiła o tym głośno, przyjaciółki wiedziały, że dwa krótkie urlopy były przeznaczone na powrót do formy po wywołanym przez lekarza poronieniu.

Veronica nigdy nie płakała za tym, co minione. Powtarzała zawsze, że to, co najlepsze, jest przed nią. Zdawała się nie dostrzegać mijającego czasu, z roku na rok zwiększając tylko ilość nakładanego na twarz pudru. Ćwiczyła i dbała o siebie, udając, że tym sposobem oszuka biologię. I nawet kiedy weszła w czas przekwitania, ignorowała objawy, tłumacząc, z właściwym sobie wdziękiem, że uderzenia gorąca to wina zmiany klimatu, a zanikający okres znów się pojawi, kiedy tylko będzie gotowa na dziecko. Nie przyjmowała do wiadomości oczywistych sygnałów ze strony ciała. Wciąż żyła myślą, że jeszcze tylko kilka lat, jeszcze jeden spektakularny sukces, dzięki któremu wróci na afisze i nagłówki gazet, a potem znajdzie w końcu męża, wyprowadzi się od tych zgorzkniałych babć, urodzi dziecko – a może nawet dwoje – i będzie żyła długo i szczęśliwie.

Teresa nieraz zastanawiała się, czy Veronica oszukuje samą siebie, czy może coś się z nią takiego porobiło, że naprawdę w to wierzy. Ale żadna z nich nie miała na tyle odwagi, by dyskutować z tą wizją. Wszelkie próby przemówienia przyjaciółce do rozsądku kończyły się histerycznym śmiechem i Veronica wychodziła nadąsana, tłumacząc, że ona jest inna, wyjątkowa, nie taka jak one.

Teresa czuła się staro. Patrząc w lustro, dostrzegała wszystkie mankamenty, każdą zmarszczkę, przebarwienie skóry. Spod opadniętych i cienkich niczym pergamin powiek przyglądała się wieczorami swojemu ciału. Z niedowierzaniem dotykała obwisłych ramion i piersi. Z niedowierzaniem patrzyła na szerokie biodra i uda, pocieszając się, że tłuszcz, który się w nich odłożył, przynajmniej się nie marszczy. Próbowwała się prostować, ale kręgosłup na to nie pozwalał. Nie przyznawała się do tego, że podczas tańca także odczuwa ból jak Juanita. Tyle że Juanita nie miała już siły udawać, że nic jej nie boli.

Teresa też traciła siły. Jako jedyna nie żałowała, że nie założyła rodziny. Była zadowolona ze swoich wyborów, z życia, z przyjaźni, które teraz ceniła jeszcze bardziej niż wtedy. Patrząc wstecz, widziała same dobre rzeczy. Wychowana w górach, w wielodzietnej rodzinie miała marzenie, żeby się stamtąd wyrwać, żeby zostać kimś. Nie zależało jej na dzieciach, dość się naogładała matki codziennie wznoszącej modły o udany i spokojny dzień. I ojca, który zniknął i pojawiał się w zależności od humoru, a przynajmniej tak go tłumaczyła matka. Teresa szybko wyszła z domu. Najpierw uciekła do Madrytu, a potem osiedliła się w Granadzie, gdzie doceniono jej taniec i ekspresję, tak pożądane we flamenco.

Teraz patrzyła na zdjęcia sprzed trzydziestu lat i zastanawiała się, kiedy ten czas minął. I kiedy nastąpił moment, który wyraźnie przegapiły, gdy szczęście zaczęło się rozsypywać, a one, zamiast próbować je skłecić i dostosować się do rzeczywistości, wciąż trwały ucepione przeszłości, jakby tylko w niej odnajdywały piękno i spełnienie.

Teresa nie żałowała tego, że nie założyła rodziny. A jednak dziś, kiedy rozmawiała z tą młodą Polką, z tą Marianną, która okazała się jeszcze bardziej samotna niż one, doświadczyła czegoś, czego wcześniej nie знаła. Pierwszy raz miała ochotę kogoś przytulić, otoczyć opieką. I choć to Marianna się zadeklarowała, że im pomoże, Teresa odkryła, że już tak bardzo nie zależy jej na Carmen. To tylko restauracja, bar, knajpa. To, co jest ważne, bywa nieuchwytnie, i często dowiadujemy się o tym dopiero wtedy, kiedy zaczynamy tego doświadczać. Lub gdy to stracimy.

Teresa spojrzała na zegar. Na zewnątrz było słychać gwar. Do okolicznych knajp wciąż napływali

goście, omijając przy tym Carmen. Nie miała złudzeń. Dziś nikt już tu nie wejdzie. Podniosła się i wdychając ciężko, przeszła do drzwi, by je zamknąć i zasunąć ciężką metalową żaluzję chroniącą witrynę przed łobuzami. Stoliki wystawione w ogródku zostawały na swoim miejscu, przymocowane do chodnika mocnymi śrubami. Jedyne krzesła trzeba było poprzesuwać i złączyć łańcuchem. Na wszelki wypadek, jak mawiała Juanita. Od pewnego czasu zaniechały jednak wiązania krzesel. Teraz ustawiały je blisko stołów, mając nadzieję, że na tak stare meble nie skusi się żaden złodziej.

Teresa nacisnęła przycisk opuszczania rolety, gdy jej uwagę przykuł bukiet róż leżący na jednym ze stołów. Zatrzymała mechanizm i wyszła. Krzesła przy stoliku były wsunięte tak, jak je ustawiła Luisa, nie widać było, żeby ktoś je odsuwał i na nich siedział.

Teresa rozejrzała się, próbując dojrzeć kogoś, kto szuka pozostawionych na stole kwiatów. Nikogo takiego nie dostrzegła. Przez dłuższą chwilę stała zafrasowana znaleziskiem, zastanawiając się, co powinna zrobić. Bukiet był imponujący i bardzo piękny, niemożliwe, żeby ktoś zapomniał o tak wyjątkowych kwiatkach. Być może raczej mężczyzna dostał kosza i zostawił je na stoliku w nadziei, że ktoś je weźmie, bo żal ich było wyrzucać.

Po kolejnych minutach czekania Teresa zdecydowała wziąć róże do baru i wstawić je do wazonu. Może jutro ktoś się po nie zgłosi – pomyślała. Energicznym ruchem chwyciła kwiaty, nie zauważywszy, że wypadła z nich mała karteczka.

\*\*

Na tylnych drzwiach do Carmen wisiała tektura przymocowana za pomocą taśmy klejącej. Napis, który na niej widniał, nie pozostawiał wątpliwości, że adresatką była Veronica, a nadawcą Teresa – mimo że się nie podpisała. Nikt inny jednak nie wpadłby na taki pomysł. Teresa zawsze zostawiała wiadomości dla koleżanek na materiałach, które znalazła pod ręką. Szkoda jej było czasu na szukanie notesu czy kartek. Tym razem padło na karton po pomarańczach. „Królowo, rano umyj podłogę i zetrzyj kurze ze szkła” – brzmiała instrukcja.

Veronica wydała z siebie dźwięk przypominający warknięcie i zerwała tekturę. Nie znosiła myć podłogi. Wszelkie prace porządkowe napawały ją obrzydzeniem. W miarę przyzwoitym zaangażowaniem wykazywała się jedynie podczas przyrządzania paelli, choć i do niej – według Juanity – straciła ostatnio zapał.

Złorzeczając na Teresę, Veronica wyciągnęła wiadro i nalała do niego odrobinę płynu i kilka litrów ciepłej wody. Przebiegła wzrokiem pomieszczenie, zastanawiając się, od której części zacząć. Wiedziała, że najpierw powinna unieść krzesła i położyć je na stołach, by nie przeszkadzały podczas mycia, ale to już byłoby za dużo pracy. Nagle jej wzrok padł na stolik, na którym w pękatym wazonie czerwieniły się róże. Mop wypadł Veronice z rąk.

– Cholera – zaklęła. – Nie powinien tu przychodzić. Co za wariat! – Roześmiała się w głos na myśl o niesubordynowanym adoratorze.

Poznała go kilka miesięcy wcześniej. Reprezentował firmę, która zaproponowała zakup kamienicy. Chcieli w tym miejscu otworzyć winiarnię i klub, który przyciągnie fanów korridy i flamenco. Miejsce było idealne, pomiędzy katedrą a areną byków. Nie tylko turyści odnaleźliby tu klimat Sewilli i całej Hiszpanii. Veronica wiedziała, że firma usiłuje kupić którąś z pobliskich kamienic, swego czasu sporo się o tym mówiło. Nikt jednak nie był zainteresowany odsprzedaniem własności. Restauracje nieopodal katedry prosperowały dobrze, nie licząc Carmen, o której już chyba wszyscy wiedzieli, że podupada.

Ale i Carmen nie była do kupienia. Tancerki mimo wielu rozmów wykazywały się uporem, nie przemawiały do nich kwoty ani prognozy bankructwa baru. I tylko Veronica, która od razu wyczuła

interes, zaczęła się powoli łamać. Właśnie wtedy Vincent przysłał jej pierwsze kwiaty. Wtedy też dała zaprosić się na wino i już tego samego wieczora zawarli układ. On adorował ją i składał hołdy, całując delikatnie nadgarstki i palce. Dawał nadzieję na więcej, a ona właśnie tego pragnęła. Marzyła o upojnych nocach i rajskich porankach w ramionach mężczyzny, który nie przypominałby zgrzybiałego dziadka. Vincent był ponad dziesięć lat młodszy i mimo początków łysiny trzymał się całkiem nieźle. Poza tym pachniał pieniędzmi, których nie żałował na dobre kolacje, kiedy wymykała się potajemnie tuż po zamknięciu baru. Ale najważniejsze było to, że obiecał, że przysiągł, iż jeśli Veronica przekona pozostałe kobiety do sprzedaży budynku, czeka ją wielka nagroda. Będzie królową nie tylko jego życia, ale też całego klubu, który w miejscu Carmen zaświeci nowym blaskiem. To ona będzie główną atrakcją wieczorów flamenco i to jej twarz uświetni plakaty na mieście. To z nią będą rozmawiać dziennikarze i do niej fani ustawiać się będą po autografy.

Veronica, wystawiając dłonie do pocałunków, obiecywała, że sprawę załatwi.

Próbowała perswazji i rozmów, lecz koleżanki były nieugięte. Wciąż łudziły się nadzieją, że kłopoty Carmen są tylko przejściowe. Dlatego po śmierci Eleny Veronica zaczęła działać ze zdwojoną siłą. Schowała zeszyt z przepisami, a sama zadeklarowała, że będzie gotować. Plan był prosty. Odstraszyć resztkę gości paskudną paellą.

I prawie się udało. Teresa zaczęła przebąkiwać, że jest naprawdę źle. Ale zjawiała się ta Polka, a razem z nią zastrzyk gotówki za wynajem mieszkania po Elenie i – co gorsza – propozycja pomocy w reanimacji Carmen. Veronica wzdrygnęła się na myśl o Mariannie.

– No cóż... – westchnęła, wachając róże. – Jedna kłoda pod nogami to jeszcze nie stos, którego nie da się przeskoczyć.

Trzymając w rękach okazały bukiet, zastanawiała się, co z nim zrobić. Vincent zapewne przyniósł je wieczorem, mając nadzieję, że ją spotka. Prawdopodobnie chciał wręczyć jej kwiaty po występie, ale występu nie było. Biedny Vincent, westchnęła, rozczulając się nad mężczyzną. Płonne okazały się jego nadzieje, że ją ujrzy. Zostawił więc kwiaty Teresie lub Luisie z prośbą o przekazanie. Może nie sam, bo przecież byłaby to zbyt wielka odwaga, jawna dekonspiracja. Zapewne przysłał posłańca. Och, ci mężczyźni! – Veronica pokręciła głową.

– I teraz zaczną się pytania – dedukowała na głos. – A skąd, a od kogo...

Cóż za nierozwaga z jego strony przynosić kwiaty do Carmen.

Trzeba się ich pozbyć – uznała, w myśl logicznej tylko dla siebie zasady, że czego oczy nie widzą, tego nie ma i nigdy nie było. Chwyciła bukiet, a drugą ręką złapała za wazon, który okazał się nadszpiewanie ciężki. Odłożyła kwiaty i najpierw wylała wodę z wazonu, osuszyła naczynie i odstawiła do szafki, wkładając go w najdalszy kąt. Następnie wylała wodę z wiadra i odstawiła mop, a potem wróciła po róże i wybiegła z pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi na klucz. Z podłogi podniosła porzuconą tam wcześniej tekturę i usiłowała z powrotem przyczepić, lecz taśma nie chciała już trzymać.

– Trudno, sama przecież mogła odpaść – wymamrotała i ciężko oddychając z powodu narzuconego sobie tempa, najciszej, jak umiała, weszła po schodach do swojego mieszkania.

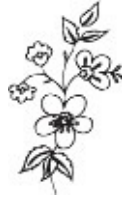
Po dziesięciu minutach zeszła i – tak jak się spodziewała – spotkała na dole Juanitę. Otwierając drzwi, podniosła tekturę i zaczęła narzekać na czekające ją tego dnia obowiązki.

– Miałam gotować, a nie sprzątać – powiedziała, pokazując treść Juanicie.

– Miałaś dzisiaj otwierać, a zaspaaś – zganiła ją Juanita.

Kiedy do baru przyszła Teresa, Veronica z nieszczęśliwą miną ścierała podłogę, a Juanita tworzyła listę zakupów dla zaopatrzeniowca, Bolivara, który niebawem miał się zjawić.

- A co się stało z różami, które tu wczoraj postawiłam? – spytała Teresa, rozglądając się po wnętrzu.
- Jakimi różami? – Veronica udała zaskoczenie.
- W wazonie. Na tym stoliku stały. – Teresa machnęła ręką w kierunku stołu pod oknem.
- Ale nie było tu żadnych róż. – Veronica wzruszyła ramionami.
- Były – upierała się Teresa. – Sama je tam stawiałam.
- Nie było.
- Nie było – przytaknęła Juanita. – Veronica i ja przyszliśmy pierwsze. Nie było żadnych róż. A skąd te róże?
- Nieważne... – Teresa patrzyła na stół ogłupiała. – Nie było, to nie było. Nieważne. Dzień zapowiadał się jak zwykle słoneczny.



## Rozdział 9



Drzwi były otwarte na oścież. Znowu wietrzono, choć tym razem nie śmierdziało spalenizną. Wręcz przeciwnie, farbą. Świeżo pomalowane ściany aż biły po oczach czystością. Ciekawe, na jak długo – pomyślała Marianna, uważając, żeby przy wchodzeniu po schodach nie zahaczyć spódnicą o ścianę. Kiedy stanęła przed drzwiami Rosy, była spokojna. Zapukała delikatnie w obawie, żeby nie obudzić dziecka.

Rosa wychyliła się zza drzwi, mierząc Mariannę nieprzyjaznym wzrokiem.

– Czego znowu chcesz, odczep się od nas.

– Mogę wejść? Porozmawiamy.

– O czym? Nazwałaś mnie oszustką i złodziejką. Wracaj, skąd przyszłaś.

– Przepraszam.

– Nie potrzebuję przeprosin. Daj nam spokój. I tyle. Nie przychodź tu więcej. – Rosa zamierzała zamknąć, ale Marianna była szybsza i włożyła stopę między drzwi a framugę.

– Rosa, posłuchaj – powiedziała spokojnie. – Przepraszam, że tak cię nazwałam, że w ogóle tak o tobie pomyślałam. To nie było w porządku. Naprawdę przepraszam. Sama byłam ogłupiała, musiałam sobie wszystko poukładać. Też spróbuj mnie zrozumieć.

Rosa milczała.

– Przepraszam – powtórzyła Marianna.

– Dobra, wejdz. – Rosa powiedziała zrezygnowanym tonem i otworzyła drzwi szerzej. – I mów, czego chcesz. Byle szybko, bo muszę szukać matki.

– Nie ma jej?

– Wyszła, kiedy karmiłam małego. Pewnie do Anity, dwa piętra niżej. Ta stara rura nazywa mnie dziwką, ale z moją matką chętnie pije. Jak można chlać od samego rana?

– Nie wiem...

– Mnie nazywa dziwką, podczas gdy jej syn handluje prochami. Dobre sobie. – Rosa mówiła bardziej do siebie niż do Marianny, chodząc po pokoju i zbierając rozrzucone zabawki. Daniel spał ułożony w wózku. – A ty w końcu powiesz, o ci chodzi? – zwróciła się do Marianny.

– Myślałam nad tym wszystkim. Nad tymi pieniędzmi, które dawali ci moi rodzice, nad całą twoją sytuacją... I chyba wiem, jak ci pomóc.

– Nie potrzebuję pomocy.

– Przecież nie masz pieniędzy.

– A co, chciałaś mi dać? – prychnęła Rosa.

– Rosa, należą ci się alimenty. Powinnaś o nie zawałczyć, dlaczego tego nie robisz?

– A kto miałby je płacić, trup?

– Jaki trup?

– A kto płaci alimenty na dziecko? Rodzic. A ojciec Daniela nie żyje, czyli trup. A trup nie zapłaci, logiczne, nie?

– Ojciec twojego dziecka nie żyje?

– Nie żyje.

– Też?

– Jak to też?

– Mój tata nie żyje i ojciec twojego dziecka też nie żyje.

– Nie wkręcaj się, mówię prawdę. Zbieg okoliczności. Nie wiedziałam, że twój tata zginął w wypadku. Ojciec Daniela też. Ale to były dwa różne wypadki, rozumiesz?

– Kiedy?

– Trzy miesiące temu. W górach. Mieli tam dom letni. Jego żona prowadziła. Gazety pisały, że celowo walnęła w barierkę i spadli w przepaść.

– Ojciec twojego dziecka miał żonę? I ona popełniła samobójstwo, a przy okazji zabiła też jego? – Marianna z trudem przyswajała informacje.

– Tak pisali, ale nie wiem, czy to prawda. Teraz to już nieważne. Przynajmniej dla mnie. Alimentów już przecież nie zapłaci.

– Alimentów nie... – Marianna się zamyśliła. – Ale Danielowi należy się spadek...

– Myślisz, że nie wiem? Oczywiście, że się należy, głupia nie jestem. Tylko najpierw musiałabym udowodnić, że Carlos był ojcem. A to już raczej niewykonalne.

– Dlaczego? Można zrobić badania DNA. Dopiero co sama się do nich przymierzałam, żeby sprawdzić ewentualne pokrewieństwo mojej babci z inną kobietą... Tyle że ja nie zdążyłam i teraz to już nieistotne.

– Właśnie. Ja też nie zdążyłam.

– Przecież można przeprowadzić ekshumację, są sposoby...

– Oczywiście – prychnęła Rosa. – To samo powiedział jego syn. „Proszę bardzo! – mówi do mnie – proszę bardzo. Niech pani zakłada sprawę, przeprowadza ekshumację, bardzo proszę”.

– No i?

– Wiesz, ile kosztują prawnicy? Założenie sprawy w sądzie? A ja nawet nie mam na jedzenie!

– Ja mam pieniądze. Pożyczę ci. A kiedy dostaniesz spadek dla Daniela, to mi oddasz.

Chłopiec przebudził się i zaczął kwilić. Rosa wyjęła go z wózka, posadziła na kolanach i podała nabrzmiałą pierś.

– Przynajmniej za mleko nie muszę płacić. – Jęknęła, kiedy Daniel chwycił za sutek.

Dziecko ssało łapczywie i Marianna zastanawiała się, czy jest to dla Rosy bolesne.

– Wiesz co – podjęła po krótkiej chwili Rosa. – Właściwie dlaczego chcesz mi pomóc? Ani mnie nie znasz, ani się nie lubimy. Przyznaję, pomoc twojego taty bardzo mi się przydała. I przyznaję też, że go oszukałam, nie informując, że dziecko jednak jest zdrowe. To prawda, że pomyślałam, iż trafił się bogaty frajer, to niech płaci. A teraz ty chcesz mi pomagać? Nie rozumiem. Jest w tym jakiś podstęp?

– Nie ma.

– To dlaczego? Jesteś nienormalna? Nie masz swojego życia czy co? Chcesz, żebym odpaliła ci jakąś dołą z tego spadku? Nie rozumiem.

Marianna westchnęła i powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Zwyczajnie nie chcę, żeby zaangażowanie moich rodziców poszło na marne. – Zawahała się. – Poza tym... – spojrzała Rosie prosto w oczy – nazwałam cię złodziejką, za co przepraszam. Masz rację, nie powinnam oceniać. Ja z kolei może jestem wariatką – westchnęła. – Ostatnio dzieją się dziwne rzeczy... Ale wiesz co, mogę być wariatką, dobrze mi z tym. – Wzruszyła ramionami, ignorując coraz bardziej zdziwione spojrzenie Rosy. – Lepsze to, niż wrócić do Polski i zamknąć się w domu, bez pomysłu na to,

co dalej. Potrzebuję robić coś teraz, działać. Więc skoro już tu przyjechałam i skoro już się poznałyśmy, to przecież mogę się przydać.

– Jak? – Rosa nie kryła zaskoczenia. Wyznanie Marianny spowodowało, że spojrzała na dziewczynę nieco przychylniej. Wciąż nie wierzyła w jej szczerą intencję, jednak mur nieufności powoli opadał.

– Skontaktuję się z rodziną Carlosa, załatwię prawników, opłacę sprawę, przeprowadzi się ekshumację.

– Nie masz co robić?

– Mam. Ale mam też trochę czasu, a do Polski na razie mi się nie spieszy.

– Pozazdrościć – mruknęła Rosa, ale Marianna zignorowała tę uwagę.

– To jak?

Rosa wzruszyła ramionami i przełożyła syna do drugiej piersi, ale ponieważ nie chciał już ssać, posadziła go na kolanach przodem do siebie i wytarła mu usta chusteczką.

– Opowiedz mi o Carlosie – zaproponowała Marianna.

Rosa pocałowała dziecko i odłożyła na podłogę. Podała mu do zabawy gumową zabawkę, którą ten natychmiast władował do buzi. Mocno się ślinił, co mogło wskazywać, że wychodzą mu kolejne zęby. Kilka było już widocznych, kiedy się uśmiechał.

Rosa zaczęła mówić. Wolno i konkretnie, bez wdawania się w szczegóły. Mówiła o Carlosie beznamiętnie, tak jakby ta znajomość straciła już dla niej znaczenie.

Poznali się półtora roku temu w knajpie, w której Rosa pracowała jako barmanka. Carlos zawsze zamawiał whisky. Przychodził wieczorami i siedział do późnej nocy. Kierowca, który po niego przyjeżdżał, był także jego asystentem, a może i przyjacielem, ponieważ mówił do Carlosa po imieniu i nieraz besztął za zbyt długie przesiadywanie w barze. Carlos zaimponował Rosie nie tylko pieniędzmi, ale też sposobem bycia. Zdawał się być dżentelmenem. Nigdy nie przeklinał, co zdarzało się innym klientom, nie krzyczał, kiedy trzeba było poczekać na zamówienie. I dawał sute napiwki. I adorował Rosę, prawil komplementy, tłumacząc, że taka dziewczyna jak ona mogłaby mieć w życiu wszystko. O żonie mówił niewiele. Tylko tyle, że są w separacji. Rosa i tak mniej więcej znała jego sytuację rodzinną, ponieważ Carlos Torres nie był osobą anonimową. Jako były toreador, a potem popularny w Sewilli przedsiębiorca zajmujący się wytwarzaniem kostiumów dla matadorów i toreadorów, bywał gościem programów telewizyjnych, w których opowiadał o niezwyklej historii tego sportu. Częściej jednak trafiał na łamy brukowców opisujących jego miłosne podboje. Oczywiście zawsze dementował plotki, zapewniając, że jego życie rodzinne kwitnie. Torres miał dwóch synów. Starszy, Cristián, wyjechał na studia do Barcelony i tam osiadł, pracował w korporacji finansowej. Wrócił do Sewilli po śmierci rodziców i przejął interesy ojca. Młodszy, Chico, był czarną owcą w rodzinie. Już jako piętnastolatek sprawiał problemy wychowawcze, o czym z przyjemnością donosiła prasa. Kiedy Chico w wieku osiemnastu lat został zatrzymany przez policję – prowadził samochód pod wpływem alkoholu i narkotyków, a w dodatku w napadzie agresji skopał policjanta – w mediach zawrzało. Na Carlosa posypały się gromy: sugerowano, że jego zamięłowanie do krwi i śmierci byków miało duży wpływ na wychowanie dziecka. Przeciwnicy korridy wyszli na ulice, domagając się delegalizacji tego sportu. Pojedyncze głosy, że starszy syn Torresów nie wykazuje agresji, przechodziły niezauważone. Wtedy właśnie żona Carlosa powołała do życia fundację mającą pomagać w wychowaniu trudnej młodzieży. Weszła we współpracę z uniwersytetami i organizacjami pozarządowymi. Zrobiła kawał dobrej roboty, ponieważ okazało się, że problem agresji i narkomanii wśród młodych ludzi szerzy się błyskawicznie, i to nie tylko w Hiszpanii. Carlos poparł działania żony i także zaangażował się w działania fundacji, wiedząc, że tylko to może poskromić opinię publiczną i pozytywnie wpłynąć na jego wizerunek. I rzeczywiście tak się stało. Po kilku latach fundacja rozrosła się i zaczęła żyć własnym życiem, a wkład



Torresów w jej funkcjonowanie ograniczał się do wydawania corocznego balu, na którym zbierały się śmietanka towarzyska i dziennikarze.

To właśnie dziennikarze uważnie przyglądali się rodzinie, podając w wątpliwość czystość intencji Carlosa. Jego żona była wolna od tych oskarżeń. Ją prasa wręcz uwielbiała.

Rosa skrzywiła się na wspomnienie żony Carlosa, której imienia nawet nie wymieniła w swojej opowieści.

– Mówił, że jej nie kocha, że są ze sobą tylko z powodu fundacji. Żeby prasa nie pisała źle – wytłumaczyła. – Zapewniał, że żyją w separacji, że kiedyś się rozwiodą i to ja będę kobietą jego życia. Mówił, że to potrwa, bo jakieś sprawy finansowe, bo Chico wciąż ma problemy... A potem zdarzył się ten wypadek... To ponoć miała być ich rocznica ślubu, dlatego wyjechali w góry. Myślę sobie – Rosa się zawahała – że może on wtedy przyznał się jej do romansu ze mną i do dziecka. I ona się zdenerwowała i dlatego uderzyła w barierkę. Celowo.

– Ale mówiłaś wczoraj, że Carlos nie chciał tego dziecka, że podważał twoją wiarygodność i sugerował, że to nie on jest ojcem – przypomniała Marianna.

– Mógł przecież zmienić zdanie, może potrzebował czasu, żeby się oswoić z myślą o dziecku.

Marianna zmrużyła oczy. Teraz nie to było istotne. Próbowwała przeanalizować w myślach informacje, które podała Rosa. Coś jej świtało w głowie, coś jakby przebijało się przez świadomość, lecz nie potrafiła odgadnąć co.

– Muszę napić się wody – powiedziała.

– Należę ci. Popilnujesz małego?

Marianna uśmiechnęła się mimowolnie. Nie było czego pilnować. Dziecko bawiło się na podłodze niczym nafaszerowany środkami uspokajającymi aniołek. Och, gdyby wszystkie dzieci były tak niewymagające – pomyślała.

Rosa wróciła z dwiema szklankami wody. Marianna upiła łyk i złapała się na tym, że marzy o cytrynie i mięcie. Albo chociaż o tej pysznej, orzeźwiającej owocowej sangrii, którą piła z Piotrem.

– Piotr! – krzyknęła nagle. – Rosa, jak miał na nazwisko Carlos?

– Torres.

– Fundacja Torresów! To chyba to! A te bale, czy one nadal się odbywają?

– Nie wiem. Pewnie tak, fundacja wciąż działa. Chyba... – Rosa zawahała się. Nie była pewna co do balu, nie interesowała się takimi wydarzeniami.

– Sądzę, że mogłabym dostać się na ten bal. Znam kogoś, kto ma zaproszenie – wyjaśniła Marianna, nie wchodząc w szczegóły. – Myślisz, że któryś z synów Carlosa tam będzie?

– Myślę, że tak, ale z Chikiem to nawet nie ma co rozmawiać. Zresztą z Cristiánem też nie. Byłam u niego. Poszłam do biura. Wyśmiał mnie tylko i kazał przeprowadzać ekshumację. Dobrze wiedział, że tego nie zrobię.

– Ja mam pieniądze – i to jest nasza przewaga. Postraszę go. Może sam dostarczy materiał genetyczny, przecież musiało coś zostać, nie wiem, włosy na ubraniach, cokolwiek. Ekshumacja to ostateczność, u nas w Polsce nie burzy się spokoju zmarłych.

– Myślisz, że u nas jest inaczej?

– Źle się wyraziłam. Chodzi mi o to, że jeśli porozmawiam z synami z perspektywy osoby zdecydowanej na wszystko, to może uda się uniknąć ekshumacji zwłok. To przecież stresujące dla wszystkich i zapewne czasochłonne, nie wiem, ile trwałaby taka sprawa. Spróbujmy najpierw po dobroci.

Rosa skrzywiła usta.

– Naprawdę jesteś optymistką – powiedziała kwaśno. – Bo jeszcze ich nie znasz.



## Rozdział 10



Józefina ścierała właśnie kurz z parapetu, kiedy dostrzegła idącego w kierunku jej domu Grzelaka. Wpatrzony pod nogi, skrętnie omijał kałuże.

– Kalosze trza było założyć! – Roześmiała się, wyglądając przez okno.

– Dzień dobry, pani Koperska! Ja do pani.

– To wejdz, Gienek, szarlotkę właśnie upiekłam.

– A co to, gości się pani spodziewa?

– Gdzie tam gości. Siebie rozpieszczam. Co ty myślisz, że jak człowiek sam mieszka, to już nie może sobie podogadzać?

– Niby może... – zamyślił się Grzelak. – Mnie by się jednak nie chciało.

– A mnie się chciało. To co? Masz ochotę?

– Nie bardzo. Dietę trzymam – powiedział Grzelak, jednak bez większego przekonania. –

A z kruszonką szarlotka?

– Z kruszonką.

– To kawałecik tylko, na spróbowanie. – Grzelak pchnął furtkę i żwawym krokiem przeszedł do domu.

Otrzeptał buty o schody, dodatkowo jeszcze wytarł je w leżącą pod drzwiami ścierkę i wszedł.

– Ale tylko na chwileczkę – zastrzegł w progu. – Kawałek spróbuję i znikam. Praca wzywa.

– Dokąd ci się tak spieszy? Złodziei u nas nie ma, oprychów też nie. A te drobne pijaczki burd żadnych nie wszczynają. Siadaj, zjedz. I powiedz, co cię do mnie sprowadza. Przecież tłumaczyłam już, że Marianna wyjechała, nie musisz sobie nią głowy zawracać. – Józefina postawiła przed komendantem talerz z kilkoma kawałkami ciasta.

– O Alicję tym razem mi chodzi – powiedział, sięgając po szarlotkę. Była jeszcze ciepła i rozpływała się w ustach. – Nie mam do niej numeru. Nie mogę go znaleźć.

– A po co ci do niej numer? – Józefina spytała podejrzliwie. Grzelak nie był osobą, która należała do grona bliskich znajomych dziewczyny.

– Sprawę mam.

– Jaką możesz mieć sprawę? – prychnęła Józefina. – Jeśli znowu coś sobie w głowie ubzdurałeś i zamierzasz Alicję zadreczczać, to żadnego numeru nie podam.

– Co też pani Józefina!

– Już ja słyszałam, jak ją śledziłeś latem.

– Plotki. Insynuacje. Nic takiego nie miało miejsca.

– To jaką masz sprawę?

– Prywatną. Tajemnica służbowa.

– To służbowa czy prywatna?

– Przepraszam – odchrząknął i wyprostował plecy – ale to nie powinno pani interesować.

– Gieniuś, Gieniuś... – westchnęła Józefina. – Co ty znowu wymyśliłeś?

– Wszystkiego się pani dowie – zapewnił. – W swoim czasie.

– Ale jaki związek ma z tym moja Alicja?

– Żaden. Ale jest artystką, pomalowała naszą kapliczkę – przypomniał sobie. – A to sprawa wagi artystycznej. Dzieciaki czegoś do szkoły potrzebują, obiecałem, że zadzwonię, dopytam o farby... – skłamał.

Nie chciał przyznać się do tego, że pisze. Józefina nie była plotkarą, ale przecież wystarczyłaby chwila nieuwagi, żeby wieści rozniosły się po wsi i trafiły do Danki. A ta dobrze by wiedziała, co zrobić z taką informacją. Już wyobrażał sobie skrzek żony, że doszczętnie mu odbiło i że zajmuje się głupotami. Zamierzał odkryć karty po fakcie, czyli dopiero wtedy, kiedy pierwsza książka zostanie wydana, a na niego spłyną splendor i pochwały.

Do tego właśnie potrzebował Alicji. On nie miał doświadczenia, trudno mu było odnaleźć się w gąszczu internetowych danych o wydawcach. Zaglądał, owszem, na strony, próbował doczytać, dowiedzieć się, jakie są zasady dostarczania napisanych książek, ale nadmiar informacji spowodował jedynie ból głowy. Alicja była artystką, podsłuchał kiedyś, że robi ilustracje do książek, a zatem musi mieć jakieś znajomości. Wystarczy, żeby podszeptała jednemu czy dwóm wydawcom, że zna tak świetnego autora. Mieszka w Warszawie, co to dla niej za problem wybrać się w kilka miejsc i pogadać. On musiałby dzwonić, pisać, przedzierać się przez gąszcz cerberów broniących dostępu do decyzyjnych redaktorów i prezesów. A czas leci. Nie można sobie pozwolić na bezproduktywne czekanie.

Wymyślił, że skoro on latem przystał na prośbę Alicji i zajął się sprawą Czarnej Marii, to teraz jemu należy się przysługa. Rachunki będą wyrównane.

Książka nabierała kształtów. Sam się dziwił, że jest aż tak twórczy. Właściwie nie odchodził od klawiatury, a Danką, która w domu zżymała się na jego bierność i brak stanowczości w domaganiu się u przełożonych premii, przestała go już drażnić. Nawet zapisywał niektóre jej powiedzonka, żeby wykorzystać je potem w książce. Cieszyło go, że żona miewa zacięty wyraz twarzy. To pasowało do bohaterki. W głowie notował wszelkie szczegóły dotyczące Danki.

W powieści sołtys ukatrupił już trzy ofiary, a wędkarz właśnie czaił się na rolnika, który przychodził rankiem i złośliwie płoszył ryby.

– Od razu trzeba było, że to dla dzieci – powiedziała Józefina. – Dlaczego robisz takie tajemnice? Nawyki zawodowe czy co?

– Cała klasa będzie malować plakatówkami – wyjaśnił, brnąc w wymyślone naprędce kłamstwo. – A mój zrobi profesjonalnie. W ubiegłym roku ledwie miał trójcę z plastyki. Teraz chcę dać mu szansę, żeby się wykazał. Tylko nie wiem, jakie farby najlepiej kupić. I nie chcę o tym rozpowiadać, żeby inni nie wpadli na ten sam pomysł. I Józefina niech też nikomu nie mówi.

– Dobrze, Gieniuś, nikomu nie powiem. Numer do Alicji mam w notesiku, zaraz przyniosę. A może herbaty się napijesz?

– Nie – odpowiedział, myślami będąc już w komendzie. – Albo tak – zdecydował po chwili, zauważywszy, że na talerzyku leżą jeszcze dwa kawałki pysznej szarlotki. Dieta dieta, ale przecież podczas pisania też spala się kalorie. Ciasto nie zaszkodzi. Danką takiego nie robi, trzeba korzystać.

Józefina podreptała do kuchni, a on, patrząc za nią, doznał olśnienia. Była kolejną idealną bohaterką. Nazwie ją Stefą, to imię wydawało mu się wielce tajemnicze. W kryminale nastąpiła już wiosna, rośliny budziły się do życia. Starsza pani zbierająca zioła w lesie nad jeziorem usłyszy krzyk rolnika. Nie będzie widziała, co się dzieje, nie zauważy ani rolnika, ani wędkarza, lecz krzyk unoszący się nad wodą utkwi jej w pamięci. I potem złoży zeznania, będzie usiłowała sobie przypomnieć, która to była godzina. Genialne.

Klasnął w dłonie i uśmiechnął się do siebie.

– A co ty taki zadowolony, Gieniuś? – spytała Józefina, wróciwszy z notesem i szklanką herbaty.

– Szarlotka mi smakuje.

\*\*

Pająk, który utkał sieć w rogu przy suficie, musiał być naprawdę zdumiony, obserwując Grzelaka pochłoniętego pisaniem. Komendant od czasu do czasu podnosił wzrok i na głos mówił do pająka, tworząc kolejne dialogi. Pajęczak był jego jedynym towarzyszem, powiernikiem największej tajemnicy. I słuchał z dużym zainteresowaniem. Przynajmniej tak się Grzelakowi zdawało.

Komendant roztarł palce nieprzyzwyczajone do tak intensywnego stukania w klawiaturę. Nie bolały, ale odczuwał pewien dyskomfort. Za bardzo je usztywnił, próbując trafić w odpowiednie literki. Nie miał wprawy w pisaniu, dlatego wiele go kosztowało, żeby z każdym dniem przyspieszać pracę.

Przed oczami migały obrazy, w uszach dzwięczały słowa. Nie nadążał spisywać wszystkiego, co wymyślił, i bardzo go to frustrowało. Najbardziej, kiedy uciekła jakaś myśl, która w danym momencie wydawała się niezastąpiona. Zdanie, którego nie sposób było potem odtworzyć. Wreszcie wpadł na pomysł, że zacznie nagrywać na dyktafon, przynajmniej w ten sposób zachowa genialne przebiegi i potem je spisze.

Zjadł kanapkę i zaparzył kawę. Ostatnio potrzebował dużo kofeiny. Praca pisarza była ciekawa tylko na etapie tworzenia, a samo pisanie okazało się nużące i monotonne. Kawa okazała się wybawieniem.

Upił łyk i splunął. Za szybko wyłączył czajnik, nie doczekał wrzątku i fusy pływały po wierzchu. Wylał więc napar i przygotował nowy. Przeszedł się po komisariacie, żeby rozprostować kości. Miał ochotę wyjść na zewnątrz i przewietrzyć głowę, ale czas biegł nieubłaganie, niebawem trzeba będzie wrócić do domu, a tam z pisania nici.

Zrobił kilka wymachów rękoma i ponownie usiadł do klawiatury.

„W tajemniczy sposób ginęły kolejne ofiary. Wieś pogrążona była w strachu. Ludzie bali się wychodzić po zmroku. Sołtys zarządził stan wyjątkowy. Komisarz Grzelak był jednak spokojny. Systematycznie przesłuchiwał świadków.

– To o której słyszała pani ten krzyk?

Stara zielarka, Stefa, nie mogła sobie przypomnieć.

– Czy to było rano, południe czy raczej wieczór – dopytywał niezrażony. Wiedział, że starsi ludzie mają problemy z pamięcią. Był doświadczonym policjantem, miał doskonałe podejście.

– Raniutko, panie komisarzu.

– Szósta, siódma?

– Kogut zapiał u Borowskich.

To Grzelakowi wystarczyło. Kogut piał piętnaście po szóstej”.



## Rozdział 11



Taberna El Panduro Banos, mieszcząca się niedaleko placu de la Gavidia, była znaną i obleganą restauracją. Serwowano tu pyszne jedzenie, a kunszt kucharzy, przyjazne podejście kelnerów i przystępne ceny doceniali nie tylko turyści, ale także miejscowi.

Piotr dogłębnie analizował menu wystawione przed wejściem. Było przetłumaczone na angielski, co znacznie ułatwiło mu sprawę. Zastanawiał się właśnie, czy bardziej ma ochotę na stek z tuńczyka, czy na makaron z owocami morza, kiedy kelner witający gości przy drzwiach poinformował go, że nie ma już wolnych stolików. Piotr spojrział na zegarek. Było kilka minut po dwudziestej – dość wczesna pora jak na kolację dla Hiszpanów, którzy zasiadali do stołów dopiero późnym wieczorem. Może to turyści okupowali lokal, co też byłoby dziwne, zważywszy że najwyższy sezon już się przecież skończył. Pewnie szkoda im stolika dla jednej osoby – pomyślał zgryźliwie, mierząc kelnera nieprzychylnym wzrokiem. Szybko jednak stwierdził, że nawet ta sytuacja nie jest w stanie popsuć mu humoru. Odkąd zadzwoniła Marianna z pytaniem, czy mogłaby skorzystać z zaproszenia na bal, o którym jej opowiadał, jego samoocena wzrosła – odrodziła się jak Feniks z popiołów. Wyjątkowo też nie mógł się doczekać telefonu od matki. Wiedział, że tego dnia przyjeżdża do niej kuzynka z Poznania i aż do wieczora matka nie znajdzie czasu na wydzwanianie do syna. Jeszcze wczoraj by go to cieszyło, dzisiaj jednak co chwila wyjmował telefon, sprawdzając, czy nie przegapił sygnału.

Zadzwoniła w momencie, kiedy zajmował stolik w Bodega Amarillo. Na migi wytłumaczył kelnerowi, że potrzebuje chwili.

– Nareszcie! – krzyknął do słuchawki, ściągając na siebie uwagę innych gości.

– Nie mogę z tobą! Jak dzwonię, to narzekasz, a jak nie dzwonię, to witasz mnie, jakbym umarła i nagle zmartwychwstała.

– Nie mów, że nie jesteś ciekawa, co u mnie – powiedział podekscytowany.

– Nie jestem. Tyle się nasłuchałam, co u Wandzi, że mam już dosyć na co najmniej tydzień. Ty wiesz, jaka to gaduła? I ciągle tylko o tej swojej Ninie. Nina to, Nina tamto. Oszaleć można. A Nina ma już czterdzieści lat! Tymczasem ciągle słyszę, jaka to wspaniała córunia, jakby była małą dziewczynką! Jaka piękna, jaka zdolna! I jakiego ma męża cudownego, jakie dzieci wspaniałe. Mówię ci, synku, co za okropność, jak można tak koncentrować się na dziecku, jakby życia swojego nie miała. A o Staśku nic. Mąż chyba już się dla niej nie liczy.

– Przecież wujek Stasiek już dawno nie żyje.

– Ano tak, ano tak... Dobrze, że o niego nie zapytałam... – zreflektowała się Pawlicka. – Próbowałam za to pochwalić się tobą, ale nie słuchała. Ciągle tylko ta Nina i Nina – prychnęła ze złością.

– To nie chcesz posłuchać, co u mnie? – spytał Piotr wyraźnie zawiedziony.

– Skoro już zaczęłaś, to mów, jakoś to wytrzymam.

– No... chodzi o ten sposób na kwiaty. Zadziałał!

- Aaaa! – krzyknęła matka. – Zapomniałam, że ty przecież robisz podchody. Widzisz, co ta Wandzia z człowiekiem wyprawia? Na śmierć zapomniałam! To mów, opowiadaj!
- Marianna dzisiaj zadzwoniła. Niby nic, niby takie tam, co u mnie słyhać... I czy byśmy się nie spotkali. Ostatnio zapraszałem ją na ten bal, no wiesz, mam przecież podwójne zaproszenie. Wtedy odmówiła, a dziś, proszę bardzo – nagle chętna.
- Podziękowała za kwiaty?
- Słowem nie wspomniała!
- Cwana sztuka. Pogrywa z tobą. Ale to znaczy, że zaczęła cię traktować poważnie. Taka gra może prowadzić tylko do jednego. Gratulacje, synku, teraz pójdzie ci jak z płatka. Tylko dobrze by było, żebyś ty też przed nią grał. No wiesz, niedostępnego. Niech ona teraz się stara.
- Wiem, wiem.
- A kiedy ten bal?
- W sobotę.
- No dobrze, to trzymam kciuki. Przyjechałabym tam do ciebie, ale lekarza mam umówionego w połowie września. Wiesz, że zawsze jesienią choruję.
- Wiem, wiem. Dam sobie radę, mam.
- Dziwię się, że skoro wiesz, to nie pytasz o moje samopoczucie.
- Przepraszam. To jak się czujesz?
- Nie najlepiej. Strzyka mi w kościach, a dziś jeszcze przyjechała Wandzia i głowę mi truła. Ciągle tylko ta Nina i Nina.

\*\*

Teresa z wypiekami na policzkach słuchała relacji. Marianna, nie wchodząc w szczegóły co do tożsamości mężczyzny, z którym Rosa ma dziecko, i nie mówiąc o tym, że mężczyzna ten już nie żyje, zdradziła tylko, że sprawa ojcostwa jest dość skomplikowana. Powiedziała, że idzie na przyjęcie, na którym ma być obecna także jego rodzina, więc może uda się zamienić kilka słów na temat Rosy.

- Ale kim jest ten ojciec? – dociekała Juanita, także przysłuchująca się rozmowie.
- Na razie wolę nie mówić. To delikatna sprawa. Nie wiem, czy Rosa by chciała. Poza tym ten człowiek to osoba publiczna, od razu byście wiedziały, o kim mowa, a lepiej uniknąć plotek, zanim się wszystko nie wyjaśni.
- Plotek? A z kim miałybyśmy plotkować? – obruszyła się Juanita.
- Marianna ma rację. – Teresa stanęła w obronie Marianny. – W takich sprawach potrzebna jest dyskrecja. Na pewno wszystkiego się dowiemy w swoim czasie, prawda? – Spojrzała na Mariannę.
- Ach, pewnie sama powątpiewasz, czy ta Rosa mówi prawdę? – zauważyła Luisa.
- Marianna wzruszyła ramionami. Rzeczywiście, nie powinna wierzyć Rosie na słowo, bo dziewczyna już nieraz kłamała. A jednak instynktownie czuła, że tym razem Rosa była szczerą.
- Zobaczymy – powiedziała. – A tymczasem mam ochotę na coś pysznego! Trzeba zakasać rękawy i do roboty!
- Ale nie mamy przepisów... – jęknęła Juanita.
- W dodatku nie mamy czasu, za chwilę występ. Veronica już się szykuje.
- Czyli kuchnia wolna – powiedziała Marianna. – Wy możecie szykować się do występu, a ja zajmę się przygotowaniem pyszności na jutro.
- Pół dnia spędziłaś u Rosy, nie masz ochoty odpocząć? Już późno... – Teresa z troską spojrzała na Mariannę.

– Nie jestem zmęczona. Jeśli pozwolicie, z przyjemnością pójmę do kuchni.

Kobiety spojrzaly po sobie, niepewne, czy mogą wpuscic Mariannę na zaplecze.

– Wszystkiego chyba nam nie pozjada... – wyszeptala Luisa do Teresy.

– Co ty gadasz? Jak mogłaby nam powyjadać, przeciez to nasza wnuczka. – Teresa wyrazila nieklamane oburzenie.

– To jak? – ponowila pytanie Marianna. – Moge?

– No dobrze – zgodzila sie Juanita. – Jeśli naprawde masz ochote, to zapraszam.

Marianna podazyła za kobieta i juz po chwili poczula sie jak w domu. Pomieszczenie nie bylo duze, ale funkcjonalne. I w przeciwienstwie do baru w kuchni bylo jasno. Juanita zaprezentowala dostepne sprzety i produkty. Otworzyla szuflady i szafki, by Marianna mogła szybciej sie odnalezc. Jednak dziewczyny nie interesowaly torebki ryzu, słoje z makaronem ani zamrazarka, w ktorej na dnie bylo kilka malych paczek krewetek, kalmarów i osmiorniczek. Najbardziej ucieszyl ja widok maki, kakao i cukru i juz po chwili, gdy tylko za Juanita zamknely sie drzwi, Marianna przywdziala wiszacy na haku niebieski fartuszek i przystapila do dzieła.





## Rozdział 12



Suknia pożyczona od Teresy miała ponad trzydzieści lat, ale jej fason był ponadczasowy. Długa, w kolorze ciemnej zieleni, prezentowała się na Mariannie wręcz doskonale.

– Teraz już byś w nią nie weszła – zauważyła cierpko Juanita, patrząc na Teresę. Ta westchnęła tylko z rozrzewnieniem na wspomnienie dawnej figury.

– Nasza wnuczka wygląda pięknie! – zachwycała się Luisa. – Jak to dobrze, że nie wyrzucamy ubrań, jeszcze nieraz się przydadzą!

– Dziwnie się czuję – przyznała Marianna, przeglądając się w lustrze. Na co dzień chodziła w sukienkach, ale o zupełnie innym kroju. Ta była zbyt elegancka, w dodatku naszyjnik z pereł, który ze swojej kolekcji pożyczyła jej Veronica, sprawiał, że Marianna czuła się jak królowa, a przecież miała tylko wejść na bal, by porozmawiać z Cristiánem. Owszem, planowała włożyć sukienkę, wiedziała, że musi wyglądać stosownie, jednak ta suknia i dodatki wydały jej się aż nazbyt dostojne.

– Lepiej wyglądać lepiej niż gorzej – podsumowała Veronica, zauważywszy wahanie Marianny. Na chwilę, zaaferowana przygotowaniami dziewczyny do balu, zapomniała o niechęci do niej. Poza tym miała nadzieję, że kiedy Marianna w pełni zaangażuje się w pomoc Rosie, to przestanie wtrącać się w sprawy Carmen. Karmelowy tort, który dziewczyna upiekła, wszystkich zachwycił i Teresa natychmiast roztoczyła wizję, że tym tortem zawojują Sewillę i jak dawniej goście będą przychodzić do Carmen w nowym wydaniu. Zawsze domówią sangrię lub kawę, obroty wzrosną, może i paella z pomocą Marianny w końcu zasmakuje. Nie potrzebowały wiele – w ich wieku, jak tłumaczyła Teresa, wiele już nie potrzeba. Byłe mieć zajęcie i trochę pieniędzy na codzienne życie.

– To o której przyjeżdża kawaler? – spytała Juanita.

– Nie przyjeżdża. Umówiliśmy się pod hotelem, w którym odbywa się przyjęcie – wyjaśniła Marianna. Zerknęła na zegar zawieszony na ścianie. – Mam jeszcze godzinę.

– To pora na makijaż – zdecydowała Veronica i otworzyła ozdobione błyszczącymi kamyczkami pudełko, w którym znajdowała się cała gama cieni do powiek i pomadek. – Siadaj – rozkazała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Aha! – Teresa wyjęła z kieszeni aparat. – Zapomniałabym. Telefon. To po Elenie, ale działa. Mówiłaś, że twój gdzieś się zapodział.

Marianna spojrzała z wdzięcznością. Nie wiedziała, gdzie mogła zgubić telefon. Raczej nikt go nie ukradł, być może zostawiła go na ławce w parku, kiedy ostatni raz rozmawiała z Alicją. Próbowала zadzwonić pod numer, ale był niedostępny, widocznie się wyładował.

– Dziękuję, bardzo się przyda. Jeśli znajdę stary, to oddam.

– Nam niepotrzebny – uśmiechnęła się Teresa. – Numer opłacamy z przyzwyczajenia. Ciągle się zdawało, że może Elena zadzwoni...

Piotr już czekał. Był ubrany w czarny smoking i Marianna uznała, że w tym wydaniu wygląda o wiele lepiej niż w staromodnych marynarkach. Uśmiechnęła się na powitanie. Nie poznał jej. W wieczorowym makijażu i upiętych wysoko włosach prezentowała się zjawiskowo.

– Marianna? No... wyglądasz... Ładnie – wymamrotał onieśmiewiony jej urodą.

– Dziękuję. – Marianna nie potrafiła wyczuć, czy jej wygląd go zachwycił, czy raczej wprowadził w zakłopotanie. Może jednak babcie za bardzo przyłożyły się do tego stroju. Nie chciała zwracać na siebie uwagi. Z ulgą stwierdziła, zerkając na wchodzących po schodach gości, że inne kobiety nie ustępują jej strojem. Wręcz przeciwnie. Wszędzie unosił się blask luksusu, wytwornych sukni, drogich biżuterii i oszałamiających perfum.

– Zapraszam. – Piotr szarmancko podał jej ramię i poprowadził do wejścia.

Hotel Alfonso XIII olśniewał. Na sali balowej ustawiono okrągłe stoły, których przybranie przyprawiało o zawrót głowy. Olbrzymie bukiety białych kwiatów, lśniące kryształy i dyskretny blask wysokich białych świec powodowały, że w takim otoczeniu wszyscy czuli się jeszcze piękniejsi, niż byli w rzeczywistości. Dystyngowany kelner zerknął na listę gości i poprowadził Mariannę i Piotra do ich stolika.

Marianna starała się nie okazywać zdenerwowania, jednak z każdym krokiem czuła się coraz bardziej nieswojo. Nie знаła nikogo oprócz Piotra, a ten także wydawał się spięty. Wcześniej była przekonana, że bez trudu uda jej się wtopić w tłum. Teraz czuła na sobie ciekawski wzrok innych gości. Z pewnością większość osób się tu znała, chociażby z widzenia. Ona i Piotr byli na balu po raz pierwszy.

Przy stoliku siedziało już sześć osób. Kelner przedstawił Mariannę i Piotra i odsunął czekające na nich dwa wolne krzesła. Dosiadając się, skinęli głową na przywitanie, a Piotr odetchnął, kiedy zauważył, że naprzeciw niego siedzi rektor uczelni razem z małżonką. Od razu poczuł się swobodniej i szybko dołączył do trwającej w języku angielskim rozmowy na temat czekających ich krótkich przemówień. Siedząca obok Marianny kobieta uśmiechnęła się do niej i zagaiła, także po angielsku. Po krótkiej wymianie zdań przeszły na hiszpański. Kobieta okazała się lekarzem psychiatrą i podobnie jak Piotr przyjechała na zaproszenie sewilskiego uniwersytetu. Na co dzień mieszkała w Madrycie, gdzie nie tylko pracowała na uczelni, ale też prowadziła gabinet specjalizujący się w pomocy dzieciom i młodzieży.

Kiedy podano przystawki, a goście wzniesli pierwsze toasty, atmosfera stała się nieco luźniejsza. Po drugim daniu i kolejnych lampkach wina z niektórych stolików dobiegały głośniejsze rozmowy, z innych – wybuchy śmiechu. Mężczyźni poluzowali muszki i krawaty, kobiety opuszczały stoliki, by w toalecie sprawdzić trwałość makijażu.

Piotr wypił łyk schłodzonego szampana.

– Niby codziennie mam wykłady, a trochę się denerwuję – powiedział szeptem do Marianny.

– Mówiłeś, że będzie krótko.

– Trzyminutowa przemowa. Każdy z nas w kilku zdaniach podsumuje dotychczasową pracę na rzecz fundacji. Ale mimo wszystko...

– Dasz radę – pocieszyła Marianna, choć sama czuła lekki ścisk w żołądku. Za chwilę miały zacząć się przemowy, zapewne przedstawią także Cristiána i Chica jako gości honorowych, synów założycieli Fundacji Torresów.

I rzeczywiście, po deserze, na który składały się lody ozdobione karmelizowaną chrupiącą siateczką, orkiestra ustąpiła miejsca i na scenie stanął Ernesto Rico – prezes Fundacji Torresów. Rozległy się brawa, rozbłysły flesze. Ernesto mówił konkretnie i zwięźle. Przypominał pokrótce cele statutowe fundacji i zwrócił uwagę na główne zadanie corocznego balu, zachęcając przybyłych do składania

wysokich datków, nie tylko podczas dzisiejszego przyjęcia, ale też na co dzień. Minutą ciszy uczczono pamięć założycieli fundacji, a potem, zgodnie z oczekiwaniami Marianny, Ernesto zaprosił na scenę synów, których pojawienie się poprzedziły brawa.

Po chwili na podeście stanął tylko Cristián. Marianna wyteęzała wzrok, usiłując z daleka dojrzeć, jak wygląda, by później bez problemu zlokalizować go wśród gości. Był wysoki, normalnej postury, o czarnych włosach i – jak się Mariannie z daleka wydało – równie ciemnym spojrzeniu.

– No cóż – powiedział do mikrofonu, rozkładając ręce. – Witam państwa w imieniu swoim i brata, który niestety... zaniemógł.

Po sali przeszedł pomruk niezadowolenia. Wszyscy domyślali się, że to nie choroba była powodem nieobecności Chica. Fakt, że nawet podczas tak ważnego wydarzenia młodszy syn państwa Torresów dał plamę, wywołał w gościach niesmak i oburzenie.

– Wszyscy wiemy, że fundacja jest potrzebna – kontynuował Cristián. – Przez pięć lat od jej powstania udało się przeprowadzić wiele skutecznych badań, które pozwoliły usprawnić programy edukacyjne i szeroko zakrojone akcje. W działalność fundacji zaangażowanych jest wiele instytucji, w tym uniwersytety i ośrodki pomocy, za co bardzo dziękuję. Wiemy już, że działania potrafią być skuteczne – setki, jeśli nie tysiące młodych ludzi skorzystało na naszej działalności. Wiemy też, że pomoc skuteczna jest wtedy, kiedy trafi się z nią do młodego człowieka w odpowiednim momencie. W tym roku koncentrowaliśmy się zatem na badaniu przyczyn i wprowadziliśmy projekty mające zapobiegać, a nie leczyć. Za chwilę Ernesto przedstawi kolejne osobistości zaangażowane w pomoc naszej fundacji, wybitnych naukowców i specjalistów ciężko pracujących nad tym, by zminimalizować problemy, z którymi boryka się współczesny świat. I cieszę się, że ta praca przynosi konkretne owoce. Nie byłoby jednak ani fundacji, ani tym bardziej tak wielu jej sukcesów, gdyby nie Ernesto. Ernesto, dziękuję ci.

Znów rozległy się brawa. Cristián zszedł ze sceny i Marianna odniosła wrażenie, że jego przemowa, mimo że ciekawa i wygłoszona w sposób przejmujący, była jedynie dobrze wyreżyserowanym spektaklem. Nie umknęło jej uwadze, że Cristián, korzystając z tego, że wzrok wszystkich skierowany jest na Ernesta, przemknął przez salę w kierunku tarasu. Postanowiła wykorzystać właśnie ten moment, mając nadzieję, że mężczyzna będzie na tarasie sam.

– Muszę do toalety – szepnęła do Piotra, który bezgłośnie ćwiczył słowa własnego przemówienia.

– Ja też? – spytał spontanicznie, wyrwany z zamyślenia.

– O Boże, nie wiem. A musisz?

– Co? A nie, nie. – Piotr z powrotem odwrócił wzrok, kierując go na scenę, gdzie właśnie wyczytywano poszczególne nazwiska.

Marianna, zadowolona, że Piotr jest pochłonięty własnymi sprawami, pomknęła najpierw w kierunku drzwi wejściowych, a potem, wzdłuż ścian, aż do wyjścia na taras.

Niestety, wbrew jej oczekiwaniom Cristián nie był sam. Towarzyszyło mu dwóch starszych od niego mężczyzn oraz ubrana w popielatą suknię około pięćdziesięcioletnia kobieta. Pochłonięci rozmową, nie zauważyli Marianny.

Stanąła nieopodal, próbując opanować zdenerwowanie. Wiedziała, że musi porozmawiać z Cristiánem, a chwila, w której zastanie go samego, może tego wieczora w ogóle nie nastąpić. Odruchowo wygładziła suknię, wzięła dwa głębsze oddechy i podeszła.

– Dobry wieczór – przywitała się, starając, by jej głos brzmiał w miarę pewnie i swobodnie.

– Dobry wieczór. – Towarzystwo odpowiedziało jednogłośnie, przenosząc wzrok na dziewczynę.

– Panie Torres – zwróciła się do Cristiána. – Gratuluję przemówienia. Czy mogę poprosić o słówko na osobności?

Cristián uniósł brwi.

– Jest pani dziennikarką? – spytał. – Po oficjalnych wystąpieniach będzie można porozmawiać z przedstawicielami fundacji. Ja się nią nie zajmuję – wyjaśnił oschle.

– Nie jestem dziennikarką. Chciałabym porozmawiać na inny temat.

– Słucham.

Marianna, zbita z tropu, nie wiedziała, jak się zachować. Czuła na sobie niecierpliwy wzrok Cristiána i jego towarzyszy.

– To temat prywatny – wyjaśniła, czując, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Nie miała ochoty rozmawiać o Rosie przy innych.

– Prywatny... – powtórzył Cristián.

– Mogę tu, ale... – Marianna spojrzała mu prosto w oczy, modląc się w duchu, by jej wzrok wyrażał groźną i nieobliczalną determinację.

– Dobrze, zapraszam panią. – Cristián westchnął i gestem wskazał wejście do sali balowej. Przeprosił współtowarzyszy i poprowadził Mariannę do pomieszczenia, które znajdowało się nieopodal recepcji i pełniło dziś funkcję prywatnego gabinetu, o czym świadczyły pozostawione tam rzeczy, przygotowany barek i przekąski. Prawdopodobnie właśnie tu spotykali się organizatorzy balu, żeby w spokoju porozmawiać czy odpocząć.

Cristián usiadł przy okazałym mahoniowym biurku i zaprosił Mariannę do zajęcia miejsca naprzeciwko. Kiedy na nią spojrzał, dostrzegła, że rzeczywiście oczy ma ciemne, niemal czarne, ale w jego wzroku nie zauważyła nic więcej oprócz nieprzyjaznego błysku wyczekiwania.

– Nazywam się Marianna Olech – zaczęła, odnotowując z satysfakcją, że jej głos brzmi nadspodziewanie mocno.

– I nie jest pani dziennikarką. – Powiedział to tonem wskazującym na zniecierpliwienie.

– Nie jestem. Chcę z panem porozmawiać w imieniu Rosy Rosso. Kojarzy ją pan?

– Nie. – Cristián nawet nie mrugnął.

– Rosa miała romans z pana ojcem – wyjaśniła spokojnie Marianna. – Z tego związku urodziło się dziecko. Pragniemy przeprowadzić sprawę o ustalenie ojcostwa...

– Okej. – Cristián przerwał ruchem dłoni. – Wszystko jasne. Nie mamy o czym mówić.

– Wydaje mi się jednak, że mamy. – Marianna zachowała zimną krew.

– Proszę pani. – Mężczyzna nachylił się nad stołem. Jego wzrok był zimny i nieprzyjazny. – Nie jest pani pierwsza.

– Słucham?

– Nie jest pani pierwsza – powtórzył. – Od śmierci ojca co chwilę mam wizyty jego, pozał się Boże, kochanek – wycedził. – Każda chce pieniędzy. Dzieci już nawet nie liczę. Każdej mówię to samo i pani też powiem: droga wolna. Proszę wykonać ekshumację, pobrać materiał genetyczny, zrobić badania, ustalić ojcostwo. Jakoś żadna z tych wielce poszkodowanych matek nie kwapiła się, żeby tego dokonać.

– Bo nie było ich stać – podjęła Marianna, choć wiadomość o tym, że do ustalania ojcostwa zgłosiło się więcej kobiet niż Rosa, mocno nią poruszyła.

– A panią stać... – ironizował, afiszując swoje znudzenie.

– Tak, mnie stać – powiedziała twardo. – I przeprowadzimy tę sprawę, czy pan się zgodzi, czy nie.

– To po co pani do mnie przyszła?

– Bo wierzę w to, że dojdziemy do porozumienia i uda się uniknąć ekshumacji. To chyba nie byłoby przyjemne dla żadnej ze stron. A już tym bardziej dla państwa.

– I pani dba o moje samopoczucie? – parsknął śmiechem. – Powiem pani, do czego pani zmierza: liczyła pani na to, że zdziwię się, słysząc wiadomość o rzekomym dziecku. I grożąc ekshumacją, liczyła pani na to, że zaproponuję jakąś satysfakcjonującą panią kwotę, żeby ekshumacji jednak nie

przeprowadzać. Myślała pani, że może obawiam się skandalu, rozdmuchania sprawy przez media... Otóż nie boję się. I informuję, że żadnych pieniędzy pani ode mnie nie dostanie. Jeśli ma pani ochotę ustalać ojcostwo, to – jak już powiedziałem – droga wolna.

– Myli się pan. Nie przyszedłem do pana, żeby wyłudzić pieniądze. – Marianna mówiła spokojnie, jednak wewnątrz wszystko się w niej gotowało. – Te pieniądze, jeśli sąd potwierdzi ojcostwo, dziecku Rosy zwyczajnie się należą. Nie przyszedłem, żeby je wyłudzić – powtórzyła z naciskiem. – Przyszedłem, żeby porozmawiać i wspólnie zastanowić się nad innym sposobem pozyskania materiału genetycznego. Ekshumacja jest według mnie ostatecznością, jednak jeśli nie będzie wyjścia, jestem gotowa pomóc Rosie przeprowadzić tę sprawę.

– Jest pani jej rodziną? – Cristián nagle zmienił temat.

– Znajomą – odpowiedziała zgodnie z prawdą Marianna.

– Ale nie jest pani Hiszpanką.

– Nie jestem.

– Rosjanką? Ukrainką?

– Polką.

– Polką... – powtórzył. Marianna domyśliła się, że jej wschodnioeuropejskie pochodzenie wydedukował z akcentu. – Proszę mi w takim razie powiedzieć... Naprawdę nie szkoda pani czasu ani pieniędzy, wszak podróż z Polski kosztuje, żeby pomagać znajomej, która zwyczajnie robi panią w balona? Przecież ja doskonale wiem, kim są te dziewczyny. Ojciec, jak się okazało, nie był zbyt wymagający. To zazwyczaj młode siksy, kelnerki, barmanki albo przypadkowe imprezowiczki z patologicznych rodzin. Nawet nie studentki, bo te może jeszcze miałyby jakąś godność i klasę. Ale on lubił imponować zwyczajnym głupim gęsiom. Zapewne wystarczyło, że postawił drinka za pięć euro – i jedna z drugą szły za nim jak w ogień. Drink za pięć euro... Żalotne, nie uważa pani?

Marianna przełknęła ślinę. Fakty bolały. Rosa, prawdopodobnie jako jedna z wielu jej podobnych, patrzyła na Carlosa niczym na boga. Szastał niewielkimi kwotami, lecz w jej oczach były to znaczące pieniądze. Pieniądze, które mogły odmienić życie i pozwolić na przeprowadzkę od zamroczonej tanim piwem matki. Ile było takich dziewczyn w życiu Carlosa – przemknęło Mariannie przez myśl. Skrzywiła usta w ponurym uśmiechu, udając, że słowa Cristiána nie robią na niej wrażenia. Z drugiej strony wiele można było powiedzieć o Rosie, lecz nie to, że była głupią gęsią. Wręcz przeciwnie, zdawała się inteligentna i bystra, a do tego życiowo doświadczona i silna jak na osobę w tak młodym wieku. Niejedna studentka miałyby się czego od niej uczyć. Marianna czuła, że traci grunt. Wierzyć Rosie czy przyjąć racjonalne argumenty Cristiána?

– A ilu takich mężczyzn stawiało im drinki? – ciągnął Cristián. – Mój ojciec był sukinsynem, ale raczej nie frajerem. Nie pozwoliliby sobie na zapłodnienie jakiejś małolaty. Dlatego proszę wybaczyć, ale temat uważam za zamknięty. – Odchylił się na krześle.

– Rozumiem. – Marianna pokiwała głową. – Doskonale rozumiem pana punkt widzenia – powiedziała spokojnie i szczerze. – Jednak mimo wszystko będę się upierała, żeby potwierdzić lub wykluczyć ojcostwo. Gdyby więc wykazał się pan odrobiną dobrej woli...

– Pani... – przerwał, usiłując przypomnieć sobie jej imię. Wpatrywał się w nią przez chwilę i wtedy ujrzał w jego oczach nie znużenie, lecz ogromne zmęczenie. Dopiero teraz dostrzegła, że to zmęczenie rysuje się nie tylko w jego oczach, ale na całej twarzy.

– Marianno.

– Pani Marianno. Proszę wybaczyć... Trwa właśnie bal, a ja nie chciałbym być wobec pani niegrzeczny... Jednak nic pani nie rozumie. Nie mam ani ochoty, ani czasu, żeby wykazywać się dobrą wolą w stosunku do tabunu kobiet, które ustawiły się w kolejce, chcąc na różne sposoby dalej żerować na

moim ojcu. – Cristián wstał, sugerując, że rozmowa zmierza ku końcowi. – Proszę mi wierzyć, mam ważniejsze rzeczy na głowie. Po śmierci rodziców musiałem przeorganizować całe życie, przeprowadzić się z Barcelony do Sewilli, żeby ogarnąć ich sprawy i jeszcze zająć się bratem. Nie wie pani, jak to jest. Nawet nie jest sobie pani tego w stanie wyobrazić. A zapewniam, że to nic przyjemnego, gdy na człowieka nagle spada taki ogrom dramatycznych zdarzeń. Dlatego proszę mi wybaczyć, ale nie przychylię się do pani prośby i nie będę biegał po domu rodziców w poszukiwaniu włosów ojca, bo nie zamierzam tracić czasu na takie pierdoły.

Marianna również wstała, zrozumiałwszy jego sugestię.

– Dobrze. – Kiwnęła głową. – Jeśli jednak zmieniłby pan zdanie, proszę się ze mną skontaktować. – Podała Cristiánowi wcześniej przygotowaną kartkę, na której spisała swoje nazwisko, e-mail, numer telefonu oraz sewilski adres. – Do widzenia. I dziękuję, że mimo wszystko poświęcił mi pan swój czas.

Mężczyzna schował kartkę do kieszeni.

– Do widzenia – odpowiedział, także zbierając się do wyjścia.

Marianna otworzyła drzwi, lecz zanim wyszła, odwróciła się do stojącego wciąż przy biurku Cristiána.

– Aha. I jeszcze jedno – powiedziała, patrząc mu w oczy. – Tak się składa, że wiem, jak to jest.

Nie czekając na reakcję mężczyzny, wyszła z pokoju i wróciła na salę.

Piotr właśnie schodził z podium po skończonej przemowie.

\*\*

Trzymał rękę w kieszeni, obracał w niej kartkę i wpatrywał się w zamknięte drzwi. W tle słychać było oklaski, kolejna osoba skończyła wygłaszanie nikogo nieinteresujących zdań. Wszyscy czekali, aż nudna część oficjalna się skończy i wreszcie można będzie zacząć pić. Orkiestra miała przyspieszyć tempo i zamiast jazzu przygrywać popularne kawałki. Cristián znał ten scenariusz na pamięć. Od kilku lat nie bywał na balu, lecz wiedział, że w tej kwestii nic się nie zmieniło.

Przeczesał ręką włosy. Było gorąco. Wszedł do przylegającej do pokoju łazienki, nachylił się nad umywalką i obmył twarz chłodną wodą. Od razu lepiej. Kiedy podniósł twarz i spojrzął na odbicie w lustrze, zastygł w bezruchu. Dostrzegł w swoich oczach coś, co zauważył dziś w oczach tej dziewczyny, Marianny. Ten sam rodzaj nieokreślonego smutku. Coś, co powodowało, że mimo niechęci, jaką ją obdarzył, podjął rozmowę, a nawet próbował tłumaczyć własne decyzje. Mimo ochoty wyrzucenia jej za drzwi opanował się i rozmawiał.

Wyjął telefon i nacisnął przycisk wybierania numeru.

– Jestem w sali mahoniowej. Przyjdź – powiedział do słuchawki.

Po kilku minutach do pokoju wszedł niewysoki, ale dość przystojny, ponad pięćdziesięcioletni mężczyzna o bystrym spojrzeniu i doskonale skrojonym garniturze. Jeden z tych, z którymi Cristián stał wcześniej na tarasie. Vincent Nieves.

– Co się dzieje? – zapytał, zauważywszy skupienie na twarzy Cristiána. – Kim była ta dziewczyna?

Cristián nie odpowiedział. Otworzył okno i wpuścił do pomieszczenia bryzę świeżego powietrza. Vincent przysiadł na rogu biurka i wyjął papierosa.

– Czujki. – Cristián wskazał brodą na zawieszzone na suficie wykrywacze dymu.

– Będę dmuchał w okno – odparł spokojnie Vincent. – Chcesz? – Poczęstował Cristiána, a ten skorzystał.

– Twierdzi, że ojciec ma dziecko. Jakaś Rosalinda czy Rosa, mniejsza z tym, miała z nim romans.

Vincent prychnął.

– Słuchaj, Vinc. Byłeś z moim ojcem najbliżej. Znałeś wszystkie jego sekrety. Pamiętasz jakąś Rosę?

Vincent zmrzął oczy.

– Nie kojarzę imion. Kiedy Carlos zaczynał szaleć, te cizie zlewały mi się w jedną masę. Blondynki, brunetki, czasem rude. Tej, co przyszła tu dzisiaj, zupełnie nie kojarzę. Ale ona jest starsza niż tamte. I zdecydowanie ładniejsza.

– Przyszła w imieniu koleżanki. Podobno ma pieniądze. Będą chciały przeprowadzić sprawę.

– Blefowała. – Vinc pstryknięciem palców wyrzucił niedopałek za okno.

– Sprawdź ją. – Cristián zgniótł pół papierosa na parapecie i strzepnął. Z kieszeni wyjął kartkę. – Tu masz dane.

Vincent rzucił okiem na kartkę i skrzywił się.

– Adres baru Carmen... Co do cholery?

– Znasz ten bar?

– I to całkiem nieźle. Twój ojciec chciał go wykupić razem z całą kamienicą.

– Po co? – Cristián szczerze się zdziwił.

– Wszedł w układ z Diegiem Serano, dystrybutorem win. Chcieli wspólnie otworzyć największą w Sewilli winiarnię. Ta kamienica byłaby idealna. Diego prowadził rozmowy z właścicielkami.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Bo i nie wyszło, baby się nie zgodziły. To stare pudernice, tancerki flamenco. Zapatrzone w siebie i przekonane o własnej świetności. Kiedyś podobno były znane. Dwadzieścia lat temu – prychnął. – A wydaje im się, że Hiszpania nadal leży u ich stóp.

– Byłeś tam?

Vincent uśmiechnął się pod nosem.

– Kiedy nie wyraziły zgody na sprzedaż, Diego się wściekł. Napalił na to miejsce jeszcze bardziej niż Carlos. Rzucił wtedy, że jest w stanie zapłacić więcej. Zaproponowałem, że załatwię tę sprzedaż po pierwotnej cenie, a sam zgarnę sugerowaną przez niego różnicę.

– Jak?

– To baby – roześmiał się Vincent. – A jedna z nich wyjątkowo zalotnie się we mnie wpatrywała, kiedy przychodziłem z Diegiem. Zapewniam cię, nietrudno ją było potem zbałamucić. Obiecałem to i tamto, i sama postanowiła namówić współlokatorki do sprzedaży.

– Nie udało jej się? – dopytywał Cristián zaciekawiony historią, o której nie miał pojęcia.

– W końcu sprawa się rozmyła. – Vincent wzruszył ramionami. – Carlos zginął, Diego nie ma już takiego parcia na ten bar. Nie zrezygnował – zaznaczył Vincent – ale już mu się nie spieszy. Czekamy spokojnie, aż Veronica dokończy dzieła. Może nawet uda się jeszcze taniej... To obskurny bar, ledwie przędą.

– W takim razie co robi tam ta dziewczyna? – Cristián się zamyślił.

– Dziwna sprawa... Nie wiem. Postaram się jak najszybciej o nią wypytać. Zadzwońię, umówię się, wycaluję rączki. Veronica powinna coś wiedzieć.



## Rozdział 13



Nie dzwoniła ani nie odbierała telefonów. Abonent niedostępny. Wprawdzie podczas balu wspominała coś o nowym numerze, ale kto by miał wtedy głowę do zapisywania, dyktowania. I tak dobrze, że podczas wystąpienia nie sparaliżowała go trema. Wciąż nie mógł się nadziwić, dlaczego w czasie wykładów zawsze jest opanowany i pewny siebie, a kiedy miał powiedzieć ledwie kilka zdań przed gośćmi, serce podeszło mu do gardła. Może to przez ten smoking. Czuł się w nim jak pajac. Niech matka mówi, co chce, ale tweedowe marynarki są nie tylko eleganckie, ale też bardzo wygodne.

Znów nacisnął przycisk wybierania, choć doskonale wiedział, jaki komunikat usłyszy w słuchawce. Poczł bezradność pomieszana ze złością. Jak ma grać w miłosne gierki, skoro nie może się z nią skontaktować. Zaraz po balu spodziewał się, że napisze do niego z podziękowaniem za miły wieczór, ale się nie odezwała. Wczoraj już prawie wybrał się do Carmen, ale powstrzymała go matka, tłumacząc, że kobiety bywają kapryśne, a Marianna prawdopodobnie jest taką, którą trzeba zdobywać sposobem.

– Poczekaj jeszcze dzień, zapewne ją skręca z ciekawości, dlaczego nie dzwonicz – mówiła. – Pewnie analizuje wieczór, zastanawia się, czy aby nie palnęła jakiegoś głupstwa. Znam kobiety, uwierz mi, sama jestem kobietą.

– Nie dzwonię, bo nie mam numeru – przypomniał. – Zgubiła telefon.

– Może go już znalazła i czeka.

Piotr przygryzł wargi. Czas biegł nieubłaganie i pod tą presją nie dało się normalnie funkcjonować. Za tydzień skończy się kontrakt i będzie musiał wrócić do Polski. Można więc pleść o romantycznych zabawach w kotka i myszkę, ale rzeczywistość to rzeczywistość. Nie ma już czasu na gierki. Zdecydował, że pójdzie wieczorem do Carmen i porozmawia z Marianną otwarcie. Wyłuszczy jej swoje zamiary i oczekiwania. Jeśli Marianna jest mądra, zrozumie. Tydzień to za mało, by dalej się cackać. Tu już potrzeba konkretów. Są dorosłymi ludźmi, a nie jakimiś szczeniakami, co obwąchują sobie ogony. A matka niech się nie wtrąca, on załatwi tę sprawę sam. I kiedy Marianna dostrzeże plusy takiego podejścia, przeanalizuje propozycję i wreszcie zgodzi się na wspólne życie i potomstwo, to zostanie im jeszcze kilka dni na domówienie szczegółów.

A jeśli się nie zgodzi, to trudno, matka będzie musiała poczekać na wnuki. Jemu do pieluch się nie spieszyło.

\*\*

Veronica podała nad stołem rękę przystrojoną pierścionkami. Byli w Café de Paris, w dzielnicy Triana – miała nadzieję, że tam nikt jej nie rozpozna.

– Dawno się nie odzywałeś, Apollo – powiedziała niskim, zmysłowym głosem. – Kwiaty były dla mnie dużą niespodzianką. Jak udało ci się je dostarczyć, łobuzie?



Vincent zastygł, starając się nie okazać zaskoczenia. Nie wiedział, o jakich kwiatach mówiła. Bezpieczniej było zmienić temat.

– Nie rozmawiajmy o tym. – Uśmiechnął się szarmancko. – Tęskniłaś?

– Nie bardzo. – Kokietyryjnie zmrużyła oczy. – Choć przyznam, że dziwiła mnie cisza z twojej strony. Czyżby zmiana planów? Nie chcecie już otwierać klubu?

– Nie chciałem ci się narzucać – wyjaśnił Vincent, głaszcząc jej szczupłą dłoń. – Takie kobiety jak ty przecież nie lubią natrętów. A nasze sprawy wciąż są aktualne. Jednak lepiej działać rozważnie, a nie w pośpiechu. Są jakieś postępy?

– Już prawie, prawie. – Veronica zmieniła ton i cofnęła rękę. – Wszystko szło dobrze, do czasu, aż pojawiła się ta Marianna...

– Jaka Marianna? – Vincent aż podskoczył z wrażenia. Nie spodziewał się, że wyciąganie informacji pójdzie mu tak gładko.

– Och, nawet mi nie mów! – Veronica wywróciła oczami. – Wynajmuje u nas pokój po Elenie.

– I co z nią nie tak?

– Jakaś jest nadaktywna. Zaczęła mi mieszać szyki. Zmówiła się z Teresą i chcą reanimować bar!

– Coś podobnego! Po to tu przyjechała?

– A skąd, nawet jej wcześniej nie znałyśmy! Przyjechała w zupełnie innej sprawie.

Vincent oparł się wygodnie i słuchał.

\*\*

Po powrocie z biura do domu Cristián w pierwszej kolejności nalał sobie whisky. To był trudny dzień. Czuł się przybity i zmęczony. Co chwila wychodziły nowe sprawy, rodzice zostawili po sobie spory chaos, mnóstwo rozgrzebanych spraw, tony papierów. W dodatku pracownicy zwalali odpowiedzialność jeden na drugiego, tłumacząc Cristiánowi, że Carlos lubił mieć wszystko pod swoją kontrolą i nie dzielił się informacjami z innymi. Przez ostatnie tygodnie Cristián próbował na nowo zorganizować działalność firmy, by brak Carlosa nie był odczuwalny dla kontrahentów. Najchętniej jednak zamknąłby ją i wrócił do Barcelony, ale dobrze wiedział, że gdyby Chico dostał należne mu pieniądze ze spadku, a dodatkowo jeszcze miałby pieniądze ze sprzedaży firmy, szybko by je przetracił i wkrótce został z niczym.

Westchnął, pomyślawszy o bracie. Chico miał dwadzieścia cztery lata i wciąż był skrajnie nieodpowiedzialny. Nie zarabiał, nie uczył się. Żył z dnia na dzień, umilając sobie życie alkoholem i narkotykami. Trzy razy uciekał z odwyku, przekonując matkę, że w domu będzie mu najlepiej. Z roku na rok było coraz gorzej. Chico nie miał ani powodów, ani motywacji do tego, żeby coś zmienić. A potem poznał Amandę, która utwierdziła go w przekonaniu, że nie trzeba się zmieniać, by wygodnie żyć.

Vincent, zgodnie z zapowiedzią, przyszedł o dwudziestej pierwszej. Przywitał się, po czym nie pytając o pozwolenie, nalał sobie podwójną porcję brandy.

– Wszystko już wiem – powiedział, pociągając spory łyk. – Ta cała Marianna po prostu wynajmuje mieszkanie od właścicielek Carmen. To zwykły przypadek, że właśnie tam. Przyjechała z Polski. Jest, zdaje się, cukiernikiem.

Cristián, usłyszawszy to, parsknął śmiechem.

– No jasne – powiedział z ironią. – Można się było tego spodziewać. Koleżanka barmanka z koleżanką cukiernikiem zasadziły się na Carlosa Torresa. Czyli już wiemy, że żadnej sprawy o ekshumację nie będzie. Dobra robota, Vinc.

– Poczekaj – przerwał Vincent. – Ona ma pieniądze. Mówiła prawdę, że stać ją na prawników i na

założenie sprawy. Wynajęła mieszkanie, płacąc za miesiąc z góry.

Cristián spojrział zaskoczony.

– Też się zdziwiłem – ciągnął Vincent. – Okazuje się, że dostała spadek.

– Spadek. – Cristián podniósł brwi. – Czyli że... to już nie pierwszy taki numer? Co za suka! Zaszantażować rodzinę zmarłego! Ciekawe, ile już takich spadków wyłudziły...

– Dostała spadek po rodzicach. Swoich – dodał szybko Vincent, zanim Cristián zaczął rozpędzać się w domysłach. – Zginęli w wypadku.

Cristián usiadł. Wpatrywał się w Vincenta, który podszedł do barku po kolejną porcję brandy.

– Oboje? – spytał po dłuższej chwili.

– Oboje. Po ich śmierci wróciła na wieś, skąd pochodzi, i opiekowała się babcią, która kilka tygodni temu umarła.

Cristián opróżnił szklanekę jednym łykiem. Był w szoku. Dopiero teraz dotarły do niego słowa, które wypowiedziała Marianna: „Wiem, jak to jest”. Usiłował zebrać myśli. Napełnił szklanekę w jednej trzeciej, wypił i znowu napełnił. Vincent zwyczajowo zapalił w oknie.

– Skąd zna Rosę? – Cristián mimo wlanego w siebie alkoholu nie odczuwał jego działania. Jego umysł działał sprawnie, a wcześniejsze zmęczenie dawno się ulotniło.

– Nie wiem. Veronica też chyba tego nie wie. Zresztą nie chciałem za bardzo drażnić, no wiesz...

– Nieważne... Czyli jednak ta ekshumacja jest możliwa.

– Nie sądzę. Komu by się chciało. A nawet jeśli, to przecież obydwaj wiemy, że nic nie wykaże.

Dziewczyny się wykosztują. Ich problem.

– Ale ojciec mój. Nie chcę, żeby bezcześciły jego zwłoki. Żałuję, że nie dokonaliśmy kremacji... No trudno. Zrobimy tak, jak sugerowała. Damy im ten materiał.

– Skąd?

– Najlepiej będzie pojechać do domku letniego. Tam nie było sprzątane. Nikt tam nie wchodził od śmierci rodziców. Wystarczy przywieźć grzebień, maszynkę do golenia. Na pewno coś się znajdzie.

Vincent westchnął.

– Jak chcesz. Ale po co?

– Załatw to po prostu. Jak najszybciej. Chciałbym zapomnieć o sprawie.

\*\*

Upał dawał w najlepsze. Rosa, przysłaniając wózek tetrową pieluchą, by ochronić dziecko przez słońcem, zaglądała przez witrynę do baru Carmen. Trwała sjesta i lokal był zamknięty. Niezrażona, usiadła przy jednym z wystawionych za zewnątrz stolików. Nie wiedziała, pod którym numerem mieszka Marianna. Postanowiła czekać. Malec obudził się i nie widząc matki z powodu zarzuconej na budkę wózka pieluchy, zaczął płakać. Rosa odsłoniła budkę, pocmokała do syna i zanurzyła rękę pod kocyk, by znaleźć wypluty gdzieś przez niego smoczek. Daniel wciąż płakał, wydzierając się coraz głośniej. Dziewczyna, nie mogąc znaleźć smoczka, wyjęła chłopca z wózka, usiadła na krzeselku i podała mu pierś.

Krzyk dziecka przebudził drzemiącą w fotelu przy oknie Teresę. Wyjrzała i zauważywszy karmiącą dziewczynę, zarzuciła na plecy wydziergany przez siebie ażurowy pled i zeszła na dół.

– Na takim słońcu, dziecko drogie! – biadolila, wpatrując się jak urzeczona w pijącego łapczywie chłopca. – Otworzę ci drzwi, wejdz do środka, nakarm spokojnie – zaproponowała, narzekając, że markiza, która niegdyś dawała nad stolikami cień, popsuła się już w ubiegłym roku i nie ma jej kto naprawić.

– Dziękuję – powiedziała Rosa i skorzystała z zaproszenia. W środku było parno, ale przynajmniej słońce nie raziło w oczy.

– O tej porze spacer? – zdziwiła się Teresa. – Nie za gorąco?

– Przyszłam do koleżanki. Mieszka gdzieś tu, nad Carmen. Marianna.

– Marianna! – Twarz Teresy rozbłysła w uśmiechu. Domyśliła się, że ma przed sobą Rosę, o której co nieco słyszała. – Jest Marianna. Jest w kuchni, zaraz ją zawołam.

Przyspieszonym z podekscytowania krokiem podreptała na zaplecze. Po chwili wyszła stamtąd z Marianną.

– Rosa? – Marianna nie kryła zaskoczenia.

– Cześć. Nie odzywałaś się...

– Zgubiłam telefon, przepraszam.

– To może wy sobie porozmawiacie, a ja... – Teresa wzrokiem pełnym nadziei spojrzała na Rosę. – Wzięłabym dziecko na spacer? Teraz, jak jest najedzony, to będzie grzeczny jak aniołek.

– Nie za gorąco? – wyraziła wątpliwość Rosa, przypomniawszy sobie, że właśnie Teresa zganiła ją przed chwilą za spacer w upale.

– A gdzie tam! Piękna pogoda, pójdę w lewo, tam jest dużo cienia. – Teresa nie mogła się doczekać, aż pierwszy raz w życiu przespaceruje się po Sewilli, pchając wózek z dzieckiem.

– No dobrze – zgodziła się Rosa. – Tylko znajdę smoczek, może się przydać.

Kiedy Teresa z Danielem zniknęli, a Marianna przyniosła dzbanek wody z miętą i cytryną, Rosa spytała:

– Byłaś na balu? Poznałaś Cristiána lub Chica? Nie chcesz mi już pomagać?

– Za dużo pytań naraz. Tak, byłam. Rozmawiałam z Cristiánem.

Marianna streściła rozmowę, nie szczędząc Rosie mało przyjemnych szczegółów. Uznała, że zatajenie czegokolwiek nie wchodzi w grę, jeśli mają sobie ufać.

– To nieprawda – jęknęła zdruzgotana Rosa. – Carlos nie miał innych kobiet, kochał tylko mnie.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście. Cristián wymyślił to, żeby mnie oczernić. Chyba mu się udało, co? Nie jestem dziwką i nie spotykałam się z nikim innym – podkreśliła z mocą.

– Wiem, Rosa.

– A jednak nie przyjechałaś, nie skontaktowałaś się ze mną po balu.

– Potrzebowałam czasu. Jemu też go dałam. I miałam rację. Chyba musiał przemyśleć moje słowa, bo dziś rano dzwonił. Dostarczy materiał genetyczny do badań.

Rosa, usłyszawszy to, naprawdę się ucieszyła. Usiadła, uniosła z wrażenia brwi i rozciągnęła usta w szczerym uśmiechu.

– Dziękuję – powiedziała i Marianna nie miała już wątpliwości co do Rosy.



## Rozdział 14



Wichura, która nagle zerwała się nad Warszawą, zwiastowała burzę. Alicja z niepokojem wyjrzała za okno. Jeszcze nie padało, ale nieprzyjemny wiatr z impetem wdarł się do mieszkania. Zamknęła okno w pokoju Matyldy. Córka była u dziadków, gdzie wspólnie z babcią miały przez weekend nabierać kasztanów i liści potrzebnych na poniedziałkowe zajęcia plastyczne.

Jesień tego roku była wyjątkowo ponura. Już końcówka lata zaliczała się do nieudanych, ponieważ pod koniec sierpnia niemal z dnia na dzień spadła temperatura, a teraz, w połowie września, było zimno i wietrznie. Słońce ledwo przebijało się przez chmury. Alicja uśmiechnęła się na wspomnienie niedawnej rozmowy z Marianną, która narzekała na upał wciąż utrzymujący się w Sewilli.

– Ileż bym dała za odrobinę ciepła – westchnęła i usiadła przy biurku.

Pomysł założenia galerii nabierał rozpędu. Wprawdzie wniosek o dotację, który tworzył dla niej Janusz, był w fazie pisania, jednak narodziła się także inna możliwość. Janusz z żoną zaproponowali Alicji swój udział w tworzeniu galerii. Wkład finansowy, który pozwoliłby na wynajęcie lokalu i na rozruch przez pierwsze miesiące. Chcieli zainwestować pieniądze, które Basia zarobiła w Chinach. Początkowo planowali je przeznaczyć na zakup działki nad Świdrem, jednak po zbadaniu cen wyliczyli, że na działkę, owszem, starczy, ale na obsianie jej trawą już nie, nie mówiąc o jakimkolwiek letnim domku lub chociażby altance. To Janusz, przeczytawszy biznesplan, który przygotowała Alicja, wpadł na pomysł, że póki nie zostanie przyznana dotacja, oni mogliby zainwestować pieniądze. Był przekonany, że plan Alicji nie dość, że się powiedzie, to jeszcze w krótkim czasie zacznie przynosić zyski. W dodatku sam miał kilka pomysłów, jak skomercjalizować tak kulturalne przedsięwzięcie. Miał też odpowiednie znajomości wśród ludzi biznesu zainteresowanych inwestowaniem w sztukę.

– Kiedy dostaniemy dotację, rozbudujemy galerię, ściągniemy znane nazwiska, przeznaczymy więcej na marketing – tłumaczył, gdy Alicja, zdumiona jego propozycją, nie potrafiła się zdecydować. Nie to, żeby nie chciała wejść w spółkę z sąsiadami, ale bała się, iż ich ciężko zarobione pieniądze może po prostu stracić.

– Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana. – Basia nie podzielała jej obaw. – Mój mąż tyle lat doradza różnym firmom, że naprawdę potrafi już chyba ocenić, co ma szansę powodzenia, a co nie. A nawet jeśli się myli, to trudno. – Uśmiechnęła się. – Działki teraz i tak nie kupimy. Za starzy jesteśmy, żeby koczować w namiocie. A jeśli interes wypali, to za kilka lat będziemy mieli nie tylko działkę, ale też hacjendę. A kto wie, może nawet lądowisko dla własnego helikoptera.

Alicja miała mieszane uczucia. Była szczęśliwa, że wreszcie jej marzenie może się spełnić, ale odczuwała też strach przed porażką, który sprawiał, że doświadczała momentów paniki. W realizacji marzeń najtrudniejszy jest pierwszy krok – pomyślała. Wiedziała, że musi go wykonać. Inaczej marzenie pozostanie marzeniem, a ona – sfrustrowaną kobietą, która nie wykorzystała szansy, jaką podsunął jej los.

Kiedy więc wreszcie zgodziła się na propozycję sąsiadów i uzgodnili warunki, praca ruszyła pełną

parą. Dzięki znajomościom Janusza szybko znaleźli odpowiednie miejsce w ścisłym centrum Warszawy, które idealnie nadawało się na galerię sztuki.

Alicja siedziała teraz przy komputerze i rozsyłała e-maile do artystów. Część z nich znała jeszcze z czasów, kiedy studiowała na Akademii Sztuk Pięknych, kontakt do innych znalazła przez internet. Była podekscytowana pierwszymi odpowiedziami, w których młodzi malarze wyrażali chęć współpracy z jej galerią. Umawiała spotkania, dogadywała szczegóły. Otwarcie galerii zaplanowała na przełomie listopada i grudnia. Zależało jej, żeby ruszyć jeszcze przed świętami – w nadziei, że właśnie przy tej okazji posypią się pierwsze zamówienia.

Janusz zobligował się, że znajdzie projektanta wnętrz oraz ekipę remontową, która w ekspresowym terminie przystosuje lokal do potrzeb galerii. Rzeczywiście, w dwa dni udało mu się zorganizować odpowiednich ludzi i zaprzyjaźniona projektantka od razu zabrała się do pracy. Alicja była pod wrażeniem tempa, w jakim działał sąsiad, i doceniała jego wkład – nie tylko finansowy, ale także zaangażowanie, jakim się wykazał. Dopiero teraz dotarło do niej, że gdyby miała sama otwierać galerię, nie dałaby rady zrobić wszystkiego tak szybko.

Dochodziła dwudziesta pierwsza. Alicja wcisnęła po raz kolejny przycisk „wyślij” i w elektroniczną otchłań popłynął następny e-mail.

– Wystarczy na dziś – powiedziała zdecydowanym tonem i przeciągnęła się, zadowolona, że tak dużo udało jej się tego dnia zrobić.

Już miała wyłączyć komputer, kiedy nadszedł sygnał ze Skype’a. Marianna. Alicja włączyła kamerkę i odebrała połączenie.

– Cześć, jak leci? – Marianna uśmiechała się, wpatrując w ekran. – Przepraszam, że nie odpisałam na maila, ale dopiero teraz uruchomiłam laptopa.

– Nie szkodzi. To nic ważnego. Po prostu byłam ciekawa, co u ciebie. Ostatni raz rozmawialiśmy po balu. Znalazłaś telefon?

– Nie, ale mam nowy. Dostałam od Teresy. To jeszcze po Elenie. Wyślę ci numer.

– Wszystko w porządku?

– Och, dzisiaj był naprawdę szalony dzień! – Marianna odchyliła głowę i rozpuściła włosy. – Padam z nóg. Ale jestem zadowolona. Kilka godzin w kuchni i udało się upiec zapas na cały weekend. Trzy torty karmelowe, kilka tuzinów babeczek, ciasto pomarańczowe z karmelową polewą i precudne bezy z pomarańczowym kremem. Oczywiście z kroplą karmelu, a jak! – Marianna się roześmiała.

Alicja patrzyła na nią z prawdziwą przyjemnością. Przyjaciółka odzyskała wreszcie dawny blask w oczach, rumieńce na twarzy i uśmiech, którego jej tak bardzo w ostatnich tygodniach brakowało.

– A co ty tak z tym karmelem? – spytała.

– A nic, tak jakoś wyszło. Najpierw z braku laku, bo w kuchni nie było zbyt wielu produktów, a teraz nabrałam chęci i rozpędu. Poza tym wszystkim moje karmelowe dzieła smakują. To idę tym tropem.

– Ludziom smakuje wszystko, co wychodzi spod twojej ręki – przyznała Alicja.

– Dziękuję. Miałam jeszcze upiec tartę z jabłkami, ale niespodziewanie do Carmen wpadła Rosa i...

– Co u niej? – przerwała Alicja.

– Niepokoiła się, bo zgubiłam telefon i nie było ze mną kontaktu. Powinnam była do niej wpaść, ale tak utonąłam w kuchni, że nawet nie zauważyłam, jak przeleciało kilka dni. W każdym razie ten cały Cristián chyba jednak się mnie wystraszył, bo zadzwonił z propozycją, że przywiezie materiał do badań DNA.

– No proszę, przemyślał sprawę.

– W weekend ma jechać do letniego domu po maszynkę do golenia, którego używał jego ojciec. W poniedziałek umówiliśmy się w laboratorium. Badania standardowo trochę trwają, ale dowiedziałam się, że można zamówić tryb przyspieszony.

– Rosa pewnie nie może się doczekać.

– Jest bardzo podekscytowana. Ale nie rozmawialiśmy długo. Daniel zrobił furorę, Teresa i reszta oszalały na jego punkcie.

– Czyli domyślam się, że jak one z dzieckiem, to ty musiałaś obsługiwać gości? – roześmiała się Alicja.

– Rosa ich obsługiwała. Zresztą, co tu dużo gadać, tłumy do Carmen nie przychodzą. Ale świetnie dawała sobie radę.

– To może ją zatrudnią?

– Kto wie. To wcale nie jest głupi pomysł. W Carmen przydałaby się świeża krew. A Rosa ma doskonałe podejście do gości, widać, że była dobrą barmanką. Oczarowała nawet Piotra!

– Profesorka?

– Profesorka. Nie wiem, jak to zrobiła. Przyszedł dziś wieczorem z poważną miną i oznajmił, że chce ze mną rozmawiać, ale kiedy pojawiła się Rosa i łamaną angielszczyzną spytała Piotra, na co ma ochotę, ten nagle zapomniał języka w gębie. Najpierw wydukał, że chce tylko wodę, potem, że jednak herbatę. Koniec końców Rosa namówiła go na tort, dzbanek sangrii, tosty, które Veronica – oderwana od Daniela – koncertowo przypaliła, a na koniec jeszcze babeczkę. Aż dziw, że go od tego wszystkiego nie zemdliło. Zamawiał i zjadał wszystko, co mu zaproponowała. A gapił się w nią jak zaczarowany.

– A o czym chciał z tobą rozmawiać?

– Chyba sam zapomniał. Może przyszedł się pożegnać, bo niedługo wylatuje.

– Przynajmniej najadł się karmelu przed wyjazdem – zażartowała Alicja.

– Śmieje się, śmieje! Rosa tylko donosiła, a to torcik, a to babeczkę. *Caramelo, caramelo*, zachwalała po hiszpańsku. A on na to, że karmel to jego przysmak. Chociaż nie wierzę – Marianna parsknęła. – Na balu wspominał, że nie przepada za słodyczami.

– Słuchaj! – krzyknęła nagle Alicja. – Nie uwierzysz, kto do mnie zadzwonił! Komendant Grzelak z Polanki.

– Co chciał?

– Przysługi. – Alicja wywróciła oczami. – Chyba pisze książkę, kryminał, dasz wiarę? Pytał, czy mam znajomości w wydawnictwach. Chciał, żebym go rekomendowała.

– Poważnie? Ale o czym pisze? Mam nadzieję, że nie wpadł na pomysł, żeby opisać historię mojej babci i pani Zofii. To byłoby nie w porządku...

– Nie. Też o to zapytałam, ale zarzeka się, że to zupełnie inny temat. Mówi, że fikcja inspirowana jego śledztwami.

– A jakie on miał śledztwa oprócz tego ostatnio?

– Mnie się pytasz? Ja nie mieszkam w Polance. Podpytałabym ciocię, ale kazał mi trzymać język za zębami. Chyba nikomu się nie przyznał, że pisze.

– Co też mu do głowy wpadło! – Marianna pokręciła głową. – Pisarzem zostanie?

– O ile ktoś to wyda. Wytłumaczyłam mu, że to nie takie proste. I że mam, owszem, znajomości, ale w wydawnictwach dziecięcych. Zresztą znajomości nie mają nic do rzeczy. On chyba nie rozumie, jak to działa. Wydaje mu się, że wystarczy podszeptać i zaraz zaczną do niego dzwonić z ofertami. Naprawdę się napalił na to pisanie. Podobno ma już pół książki i pomysł na kilka kolejnych. Całą serię.

– Nie do wiary. Co za facet. Szalony. – Marianna parsknęła śmiechem.

– Obiecałam, że prześlę mu kilka namiarów i sam tam zadzwoni, zapyta, co powinien zrobić, do kogo wysłać. Przecież nie będę jego agentką, jeszcze tego brakowało. Mam swoje sprawy.

– Naprawdę ma już pół książki napisanej? – Marianna niedowierzała.

– Tak mówił. Akcja dzieje się w Polance.

– O rany! Słuchaj, Alicja. À propos Polanki. Mam prośbę. – Marianna spoważniała. – Za chwilę kończy się wrzesień, a Konrad po wakacjach miał likwidować restaurację, pamiętasz?

Alicja wzdrygnęła się na dźwięk imienia Konrada. Serce zabiło jej mocniej. Starła się tego nie okazać.

– Pamiętam, oczywiście – powiedziała.

– Słuchaj, bo nie mam do niego telefonu. A chodzi o to, że tam, na jednej ze ścian, wisało czarno-białe zdjęcie, na którym byli jego tata i moi rodzice. Pomyślałam, że teraz, skoro likwiduje knajpę, mógłby mi to zdjęcie dać na pamiątkę. Mogłabyś do niego zadzwonić w tej sprawie?

– Uhm... – Alicja odchrząknęła. – Chciałabym ci pomóc, ale tak się złożyło... że nie mam już kontaktu z Konradem.

– Jak to? Przecież latem coś się między wami kłuło. – Marianna nie kryła zdumienia.

– Kłuło, kłuło... Ale nie wykłuło. Moja wina. Nie chcę o tym mówić.

– Ale co się stało? To dlatego tak nagle wyjechałaś z Polanki?

– Naprawdę to dość skomplikowane. Na pewno nie na telefon czy Skype'a. W każdym razie niezręcznie mi teraz do niego dzwonić. Może po prostu prześlę ci jego numer.

– Okej, nie chcesz mówić. Rozumiem. Chociaż trochę szkoda. Myślałam, że ty i on...

– To świetny facet – przyznała cicho Alicja. – I to ja namieszałam. Jest mi cholernie wstyd. Kiedyś ci wszystko opowiem.

– Namieszała, namieszała, i to jak! – Nagle zza pleców Alicji wyłoniła się Dorota i pomachała do kamerki.

– Jak tu weszłaś?! – Alicja aż podskoczyła.

– Nie zamknęłaś drzwi, to weszłam. – Dorota wzruszyła ramionami. – Każdy złodziej mógłby wejść. I mógłby ci wszystko wynieść, bo stoję już z dziesięć minut, a wcale mnie nie zauważyłaś. A co do Konrada – Dorota zwróciła się do Marianny – ja mogę to załatwić. Jadę jutro do Polanki po koty, to zajrzę do Angel's i wezmę zdjęcie.

– Będę wdzięczna! – Marianna przesłała Dorocie buziaka.

– I powiem ci jeszcze, że moja siostra jest głupia. – Dorota wywróciła oczami. – Bo powinna sama do niego zadzwonić.

– Dorota! – Alicja się obruszyła.

– A tak. Tak uważam. Co zrobiłaś, to zrobiłaś. Ale ja i tak znam prawdziwy powód twojej ucieczki.

– Tak, a niby jaki? – Alicja się skrzywiła.

– Stchórzyłaś, tyle ci powiem. Jak zaczęło się robić poważnie i Konrad napomknął o przeprowadzce do Warszawy, to zwyczajnie stchórzyłaś. Taka jest prawda. Po tym, co przeszłaś z Bartkiem, podświadomie boisz się wejść w kolejny związek. Romansowałaś z Konradem w wakacje, ale jak już przyszło co do czego, to się wycofałaś. Wystraszyłaś się, ot co. Że proza życia zniszczy to, co się wykluło.

– Nieprawda! – krzyknęła Alicja.

– Prawda. Tak samo jak bałaś się otworzyć galerię z pomocą Janusza i Basi. Bo bałaś się, że nie wypali. Gdyby cię nie przycisnęli, to dalej byś tylko o tym myślała i myślała, zamiast przekuć myślenie w czyny.

– Psycholożka się znalazła – prychnęła Alicja. – Nie słuchaj jej – powiedziała do Marianny.

– Nie trzeba być psychologiem, żeby zauważyć, że paraliżuje cię strach przed porażką. W każdej dziedzinie. – Dorota spojrzała Alicji w oczy. – Znam cię nie od dziś. Bartek ci wmówił, że jesteś do niczego – i mu uwierzyłaś.

– Przestań już gadać – zirytowała się Alicja. – Przecież otwieram galerię. Działam.

– Po ilu dniach przemawiania ci do rozsądku!

– Dobra, dziewczyny – wtrąciła Marianna, zauważywszy, że między siostrami niebezpiecznie narasta napięcie. – Muszę uciekać, padam z nóg.

– Ja też lecę, buziaki! – Dorota cmoknęła do kamerki. – Wpadłam tylko po transporter na koty. Kupiłaś? – spytała Alicji.

– Jest w pokoju Matysi – odpowiedziała Alicja ponuro.

Kiedy Dorota wyszła, Alicja naląła sobie lampkę wina. Rozmowa z Dorotą wytrąciła ją z równowagi. Wiedziała, że szybko tej nocy nie zaśnie.

Najgorsze było to, że siostra miała rację. A jedna przykra prawda podana przez najbliższą osobę boli bardziej niż tysiąc słów krytyki od obcych. Alicja westchnęła. Nie było wątpliwości, że zanim poznała Bartka, jej samoocena i determinacja do osiągania celów były niezwykle wysokie. Teraz nie potrafiła tego odzyskać. Wiara we własne siły, w możliwości i w to, że marzenia można realizować, skurczyła się w ciągu ostatnich lat do minimum. I choć wokół miała osoby, które ją wspierały, trudno jej było z dnia na dzień zmienić swoje nastawienie. Z galerią się udało. W tym wypadku wystarczyły motywacja, wsparcie przyjaciół i zastrzyk niezbędnej gotówki. Galeria to miejsce, budynek, obrazy. Marzenie, które przy spełnieniu kilku warunków da się zrealizować. Ale czy można tak łatwo zawalczyć o miłość?

Przejrzała zdjęcia w telefonie. Z Konradem miała tylko jedno, niewyraźne, autorstwa Matyldy. Zrobione w lunaparku, kiedy stali w kolejce po watę cukrową. Matylda koniecznie chciała różową, ale skończył się barwnik i musiała zadowolić się białą. Konrad pocieszył ją wtedy, że biała wata jest lepsza, bo zrobiona z chmury, która właśnie nad nimi wisiała.

– Nie ma różowych chmur – powiedział, a Matylda, zajadając się białą, zastanawiała się, czy Konrad nie kłamie.

Alicja była wtedy naprawdę szczęśliwa. Motyle, które unosiły ją nad ziemią, latały w jej brzuchu dostojnie, bez niepotrzebnego szaleństwa i wymachiwania skrzydłami. Przy Konradzie była spokojna i cieszyła się tym nieuchwytnym błogostanem, którego nie doświadczała, będąc z Bartkiem.

Nie miała z Konradem innych zdjęć, ale w pamięci pozostały dziesiątki migawek. Z każdym dniem tracących ostrość. I Dorota miała wiele racji w tym, że to właśnie strach powodował Alicję. Lęk przed odrzuceniem, przed przyszłością, która jawiła się w zbyt jasnych barwach, by mogła być prawdziwa. Wolała uciec, rozstać się, zanim na dobre coś się zaczęło, i pozostawić we wspomnieniach to cudowne, magiczne lato i mężczyznę, który zawsze będzie ideałem.

A jednak tęskniła. Myślała o nim niemal codziennie. Wyłuskiwała z pamięci każdą spędzoną z nim chwilę. Na części rozkładała ostatnie spotkanie, swoje słowa, jego reakcję. Ten śmiech i niedowierzanie. I choć w głębi serca miała nadzieję, że ją zatrzyma, nie zatrzymał. Nie pobiegł za nią i nie krzyczał, że bez względu na wszystko ją kocha. W pociągu była rozedrgana, rozbita. Ale miała poczucie, że podjęła dobrą decyzję. Wątpliwości naszyły ją dopiero wtedy, kiedy włączyła telefon i zauważyła kilkanaście połączeń od Konrada. Bała się oddzwonić. Warszawa przyniosła otrzeźwienie. Postanowiła, że wakacyjny romans zostanie wakacyjnym romansiem i nie ma co roztrząsać tej sprawy, trzeba skupić się na bieżących obowiązkach, na Matyldzie, na galerii. Mimo to Konrad powracał nie tylko w myślach, ale też w snach. I do tego Dorota, która nie mogła pojąć, dlaczego Alicja tak łatwo się poddała.

Bo poddała się. Tak było prościej. Poddanie się zawsze jest łatwiejsze niż walka. W przypadku rezygnacji nie trzeba podejmować już innych decyzji, nic się nie zadzieje, kiedy odpuszczasz – pomyślała gorzko.

I wtedy, akurat w momencie, kiedy dolewała sobie wina, naszała ją myśl, że zaprosi Konrada na otwarcie galerii. Wyśle pocztą niezobowiązujące zaproszenie. Zaczną tę znajomość od nowa. Jeśli on przyjedzie. Nie będzie miała oczekiwań, nie będzie łudzić się nadzieją. Jeśli nie przyjedzie, to trudno.



Wtedy może uda jej się przestać o nim myśleć. Romans pozostanie romansiem zamkniętym w jednej z szufladek pamięci.



## Rozdział 15



Żaluzje były zaciągnięte, żeby słońce nie odbijało się w ekranie telewizora. Chico przeklinał w głos, mocno ściskając kontroler. Grał w najnowszą część *Call of duty*, usiłując zabić jak najwięcej członków wrogiej armii. Kiedy weszła Amanda, niemal zmiażdżył ją wzrokiem, naładowany adrenaliną i przesycony agresją.

– Co się tak gapisz? – fuknęła, zauważywszy jego przekrwione z przemęczenia oczy. – Lepiej odłóż to gównu i porozmawiaj ze mną.

– Niby o czym?

– A może o swoim bracie? – Uniosła brwi i wykrzywiła usta.

– O Cristiánie? Po co mam o nim gadać? Przyniosłaś prochy?

Amanda rzuciła w jego kierunku wyciągniętą z torebki fiolkę.

– Nie o Cristiánie. O tym bękarcie, co domaga się spadku.

– O jakim, kurwa, bękarcie? – Chico jednym ruchem dłoni otworzył fiolkę i wrzucił do ust tabletkę.

– Niby nic nie wiesz? – przedrzeźniała się. Widać było, że jest wściekła.

– Nic nie wiem, kurwa, przestań się bawić w kotka i myszkę.

Amanda zmrużyła oczy i przez chwilę wpatrywała się w chłopaka, próbując ocenić, na ile jest z nią szczerzy.

– Vincent mi powiedział – przyznała w końcu. – Jakaś laska się niby zgłosiła, jakaś kochanka twojego ojca, młoda dupa, że ma z nim dziecko. I teraz domaga się kasy. Będą robić badania DNA.

– Niby jak? Przecież ojciec nie żyje, jakie badania, posrało ich? Daj spokój, nie zawracaj mi dupy głupotami.

– Tak? A myślisz, że z trupa to nie da się zebrać śladów? Oglądam kryminały. Przynajmniej ja coś mądrego oglądam – prychnęła. – A zresztą oni nie z twojego ojca, ale z jego maszynki do golenia będą pobierać, bo tam podczas golenia zbiera się naskórek – wyjaśniła, cedząc słowo po słowie i nachylając się do Chica.

Odłożył kontroler.

– Co ty gadasz? Jaka kochanka, jakie dziecko, przecież to bzdura. Ojciec w życiu nie dałby żadnej lasce takiej satysfakcji. Poruchać, owszem, ale zapładniać, chyba ich porąbało, żeby uwierzyć w te bzdury.

– Porąbało nie porąbało, będą sprawdzać.

Chico wzruszył ramionami, podniósł kontroler i kontynuował grę.

– Kazałam Vincentowi się tym zająć.

– Czym?

– Tą maszynką. Ma ją przywieźć.

– A po co? Nie masz co robić, tylko rozdzielać prace, głupia jesteś czy co?

– Dbam o twój tyłek, palancie!

Chico spojrział na nią i puknął się palcem w czoło.

– A jeśli ten bękart to twój brat? – syknęła złowieszczo.

– Akurat.

– A jeśli? – podkreśliła, wytrącając mu z ręki kontroler i patrząc prosto w oczy. – To co wtedy będzie?

– Jeśli, jeśli. A co ma być?

– Pomyśl! Że też ja muszę ciągle za ciebie myśleć! Ilu was jest teraz do podziału pieniędzy po rodzicach?

– Dwóch. – Chico spojrział na nią, nie rozumiejąc, o co chodzi. – Ale przecież jeszcze nie było podziału – przypomniał. Testament określał, że Chico swoją dolę dostanie po ukończeniu dwudziestego piątego roku życia, czyli dopiero za rok. Do tego czasu Cristián był zobligowany do cotygodniowego wydzielania bratu jedynie drobnych sum. Ledwie starczało na prochy, o lepszych narkotykach nie wspominając. Dobrze, że Amanda miała jakieś swoje zaskórniaki, bo w przeciwnym razie zupełnie nie mieliby co pić ani co ćpać.

– Nie było, ale będzie – podkreśliła. – A ja nie mam zamiaru z nikim się dzielić, rozumiesz?

– Ale jak to ty? Przecież to moja kasa.

– Nasza. – Spojrzała na niego z determinacją. – Nie denerwuj mnie.

– Odwal się. Przerwałaś mi ważną walkę.

– Człowieku, dbam o twoje interesy. O twoją kasę! Vincent mówi, że babka jest zdeterminowana, a skoro tak, to istnieje prawdopodobieństwo, że dzieciak jest twoim bratem.

– Marne szanse.

– Ryzyko jest. I co wtedy? Zamiast na dwóch, trzeba będzie dzielić na trzech! Dostaniesz jedną trzecią!

– Słabo – przyznał wolno Chico. Prochy powoli zaczynały krążyć w krwiobiegu i docierały do mózgu.

– Słabo – powtórzył.

– Gorzej niż słabo. Nie starczy na ten jacht, który upatrzyłam w Puerto Banús.

– Jedna trzecia... – Chico nie był zainteresowany jachtem. – To ile to będzie?

– Nieważne ile! – krzyknęła rozwścieczona jego spokojem Amanda. – Ważne, że mniej! A wiesz, co się stanie, kiedy ta panna wywalczy pieniądze dla swojego dzieciaka? Posypią się kolejne sprawy. I z jednej trzeciej może się zrobić jedna szóstka. Rozumiesz?

– O kurwa.

– O, widzę, że dotarło. – Amanda uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Spokojnie, Chico, wszystko mam pod kontrolą. Sprawa załatwiona.

– Ale jak? Zlikwidowałaś tę babę?

– Ale ty głupi jesteś. – Amanda wywróciła oczami. – Grasz w te durne strzelanki i tylko jedno masz w głowie. A w cywilizowanym świecie załatwia się sprawy inaczej.

– Czyli jak.

– W białych rękawiczkach.

– Że odciski? – Chico czuł przyjemne drętwienie języka i z tego powodu nie miał ochoty wymawiać więcej słów, niż było to konieczne.

– Jakie odciski?

– Paaaallców – wymamrotał, odchylając głowę.

– Nie zamordowałam jej, cholera jasna. Otrzeźwiej na chwilę. Co to za gówno? – Amanda wzięła fiolkę do ręki i próbowała odczytać ręcznie zapisaną nazwę. – Trzeba zmienić diler. Krab wyszedł dwa dni temu, możemy do niego podjechać, zawsze miał najlepszy towar.

– Niece zamordowaałaś, to jaaak?

– Vincent ogarnie.

– Aha.

– Dwadzieścia tysięcy euro – wyjaśniła zwięźle.

– Da nam?

– My mu damy! Tyle sobie zażyczył za podmianę maszynki do golenia. Da Cristiánowi swoją. – Roześmiała się, zadowolona z tak sprytnego pomysłu.

– Ile? – Chico poderwał się z kanapy i nagle wytrzeźwiał. – Dwadzieścia tysięcy? Oszalałaś? Przecież nie mamy tyle. Nawet tysiącaby teraz nie ubierał!

– Spokojnie. Rozliczymy się, kiedy dostaniesz swoją działkę. Vincent poczeka, przecież wie, że teraz nie masz.

– Posrało cię, żeby się godzić na taką kwotę? Co za zdzierca!

– A mamy wyjście? Zresztą – Amanda machnęła ręką – co to jest dwadzieścia tysięcy w porównaniu z tym, co moglibyśmy stracić.

– Przecież nawet nie wiadomo, jakie byłyby wyniki badań.

– I lepiej, żeby nie było nigdy wiadomo. Po co kusić los?

– Dobra. Może masz rację. – Chico opadł z powrotem na kanapę, dopadło go uczucie błogości. – Chodź tu. – Wyciągnął do Amandy rękę. Usiadła na niego okrakiem, podsuwając spódnicę do góry.

– Mmmm – mruknęła zmysłowo. – Mój koteczek gotowy na zabawę...?

Chico uniósł spódniczkę jeszcze wyżej i objął Amandę w pasie.

– A, kupiłam sobie nowe buty. – Amanda nachyliła się nad nim i szepnęła do ucha.

– Skąd miałaś kasę? – Chico cofnął dłonie.

– Z twojej karty. – Wzruszyła ramionami.

– Idiotko, znowu nas zadłużyłaś. Mówiłem, żeby używać jej tylko w razie potrzeby.

– Chico... – Amanda chwyciła jego dłoń i położyła na swoim pośladku. – Kochanie... Ale to była potrzeba.

\*\*

Carmen odżywała. Wprawdzie jeszcze nie przybywało gości, ale dzięki pysznym wypiekom Marianny ci, którzy przychodzili, zamawiali zdecydowanie więcej niż zazwyczaj. Teresa nie mogła się nachwalić dziewczyny.

– Co młodość, to młodość – wzdychała. – My byśmy nigdy nie wpadły na to, żeby upiec babeczki.

– Bo zawsze ze słodyczy był tylko torcik – przypomniała Juanita.

– Ale za torcikiem przecież szaleli. – Teresa przytaknęła. – A teraz nie tylko torcik, ale też beza i ciasto karmelowe. Naprawdę już niepotrzebne by były przekąski. Może zrobimy tu cukiernię? – zażartowała.

– Cukiernię to nie – powiedziała Marianna. – Musiałby być większy wybór i większa ilość na co dzień. Ale kawiarnię jak najbardziej. Tylko potrzeba będzie więcej zmian... – zasugerowała delikatnie. – Na przykład trzeba zmienić wystrój, teraz jest zbyt ciemno.

– Och, przemałować nie problem – Teresa szybko podchwyciła temat. – Bolivar się tym zajmie. On zna się na wszystkim, pomagał umieścić ogłoszenie w internecie. Jest zdolny, to nasza złota rączka. Jakie kolory?

– Jasne. – Marianna nie miała wątpliwości. – I trzeba by kupić nowe stoły, te nie pasują.

– No pewnie. – Teresa zgadzała się na wszystko.

– Nie stać nas – wtrąciła Veronica. – Wszystko pięknie ładnie, jak się o tym gada. Tylko że ktoś musi za te zmiany zapłacić – zauważyła cierpko.

– Zapłacimy – odezwała się Juanita. – Przecież Bolivar dużo nie weźmie, a na farby też jakoś się zrzucimy.

– Farby, meble, pewnie jeszcze nowa lodówka – prychnęła Veronica. – I nowa klimatyzacja... Niby skąd na to weźmiemy? Dajcie spokój, nie ma o czym mówić.

– Sprzedamy biżuterię – zaproponowała Teresa. – Nie można tak szybko się poddawać. Carmen to nasze życie.

– Teraz to już dogorywanie, a nie życie – dogryzła Veronica. – Poza tym wyprzedaliśmy już biżuterię, a tego, co mi zostało, nie oddam za żadne skarby! Trzeba pozbyć się Carmen, takie jest moje zdanie.

– Nie musisz oddawać kolczyków ani pereł – powiedziała po dłuższej chwili Teresa. – Mamy jeszcze broszkę Eleny.

Marianna spojrzała na Teresę zaskoczona. A zatem broszka istnieje.

– Masz broszkę Eleny? Skąd? – zdziwiła się Luisa. – Przecież chciała ją zabrać ze sobą... – powiedziała cicho, nie będąc pewna, czy Marianna wie, dokąd Elena chciała zabrać broszkę.

– Chciała, ale nie zabrała. To zbyt cenny klejnot, żeby wkładać go na zmarnowanie do trumny – wyjaśniła Teresa, nie przejmując się Marianną. – Wyceniłam ją. Szafiry i diamenty osadzone w złocie tej próby są warte ponad trzy tysiące.

– Dlaczego się nie przyznałaś, że ją wzięłaś? – spytała Juanita.

Teresa wzruszyła ramionami.

– Trzymałam na czarną godzinę. Myślę, że Elena nie miałaby nic przeciwko, żeby broszkę przeznaczyć na rozwój Carmen. Nawet by się cieszyła.

– Ty żmijo – wycedziła Veronica. – Ukradłaś Elenie broszkę. Tak się nie robi.

– Nie ukradłam – obruszyła się Teresa. – Ochroniłam ją przed niechybnym zapomnieniem. W ziemi nikt by jej nie podziwiał, a jest piękna. Nowy nabywca będzie zadowolony, a Carmen, która przecież była pomysłem Eleny, tylko na tym skorzysta.

– Ja kupię tę broszkę – zaproponowała Marianna.

Kobiety spojrzały na nią zaskoczone.

– To ponad trzy tysiące euro – zauważyła Teresa. – Tak mi powiedział jubiler. Chciał dać za nią trzy dwieście.

– Dam cztery.

– To za dużo! – krzyknęła Juanita. – I tak nam pomagasz, przecież gdyby nie ty...

– Dam cztery. Płacę za wartość kamieni i za sentyment. Żaden jubiler za to nie zapłaci.

Tancerki patrzyły po sobie, nie wiedząc, jak zareagować. W końcu odezwała się Luisa:

– Dobrze, niech będzie cztery. Ale w takim razie będziemy cię karmić i zwrócimy pieniądze za pobyt.

– Nic nie musicie zwracać. Wystarczy, że zastosujecie się do moich sugestii co do Carmen.

– A to chętnie – roześmiała się Teresa. – Ale w zamian ty będziesz mogła bezpłatnie korzystać z mieszkania Eleny w przyszłości. Pasuje ci?

– Pasuje – zgodziła się Marianna. – A zatem, drogie panie, zrobimy tak: ta ściana będzie błękitna, a ta kremowa. Dodatki karmelowe, oczywiście. Wasze piękne zdjęcia na ścianach zostaną. Wyeksponujemy lodówkę ze słodkościami, a po drugiej stronie stanie chłodziarka z tapas, nic wielkiego, zwykłe kanapeczki. Na tej ścianie – wskazała ręką – umieścimy drewniane półki na wina. A na zewnątrz... – Marianna wyszła, a za nią podreptały Teresa, Juanita i Luisa. Veronica została w środku. – Ustawimy parasole, żeby trochę zacienić. I donice z krzewami. Musimy zadbać o klimat.

– Cudownie – zapaliła się Teresa – już to wszystko widzę!

- No i trzeba naprawić neon – powiedziała Marianna, patrząc w górę. Przez chwilę mrużyła oczy, zastanawiając się nad czymś.
- Tylko jedna literka, nie powinno być drogo – zauważyła Juanita.
- Tylko jedna literka... – powtórzyła w zamyśleniu Marianna. – Nawiążmy nazwą do karmelu! – krzyknęła nagle. – *Caramelo!* Café Caramelo!
- Tyle liter? – spytała Teresa. – To nas trochę uderzy po kieszeni...
- Ale Carmen nawiązywała do naszego tańca... – zawahała się Luisa.
- Ale teraz nie będziecie codziennie tańczyły – wyjaśniła Marianna.
- Jak to? – spytały jednym głosem.

Marianna wiedziała, że temat tańca jest niezwykle delikatny. Już wcześniej przemyślała sposób, w jaki przedstawi im pomysł zaniechania występów. Wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się najszerzej, jak tylko potrafiła.

– Bo w tańcu jesteście najlepsze – powiedziała, patrząc po zdezorientowanych twarzach tancerek. – A to, co najlepsze, musi być ekskluzywne. Nie można tego przedawkować. W co drugiej knajpie jest flamenco, ludzie mają przesyt. Wasze występy powinny być wisienką na torcie. Coś, na co czeka się z utęsknieniem. Czego się wypatruje, co stanowi wydarzenie.

- To prawda – przyznała Teresa. – Że też same na to nie wpadłyśmy.
- Wydarzenie... – rozmarzyła się Juanita.
- Raz w miesiącu – doprecyzowała Marianna.
- Nie za rzadko?
- Akurat. Poza tym trzeba pomyśleć o godzinach waszej pracy, nie możecie się przemęczać. A gdyby tak zrezygnować z sjesty i zatrudnić kelnerkę? Wielu turystów się tu kręci o tej porze dnia.
- Café Caramelo... – wyszeptała Teresa. – Nawet nieźle brzmi...
- A gdzie Veronica? – zainteresowała się nagle Juanita.
- Pewnie poszła na drzemkę. Ostatnio jest jakaś osowiała – powiedziała Luisa.
- Może chora. Zaniosę jej herbatę i powiem o zmianach – zaoferowała się Juanita.
- To dzisiaj nie tańczymy? – upewniła się Teresa.
- Nie – powiedziała Marianna. – Dziś opracujemy listę prostych tapas.

Kobiety przyklasnęły. Nie przyznawały się do tego głośno, ale każdej ulżyło. Codzienne występy były uciążliwe i męczące. Prawdopodobnie tańczyłyby do ostatniego tchu, bo żadna z nich nie pomyślała, że mogłoby być inaczej. Z własnymi przyzwyczajeniami najtrudniej jest walczyć. O wiele prościej uwolnić się od starych nawyków, kiedy ktoś inny do tego przymusi.

\*\*

Ochłodziło się i Piotr wyjął z hotelowej szafy swój ulubiony granatowy sweter z dwoma niebieskimi pasami na wysokości ramion. Sweter pachniał płynem do płukania. Jaśminowym. Matka nie używała innych. Od zawsze jaśmin kojarzył się Piotrowi z domem. Teraz ten dom poczuje też Rosa – pomyślał i uśmiechnął się do siebie. Ta dziewczyna zupełnie zawróciła mu w głowie. Nie rozmawiali wiele, a mimo to ciągle miał ją przed oczyma. Myśl o niej sprawiała, że czuł się lekko. Tak lekko jak nigdy. W piątek sam zaoferował, że odwiezie ją i jej dziecko taksówką do domu. Chciał się dowiedzieć, gdzie mieszka. Chciał wszystko o niej wiedzieć. Informacje uzyskane od Marianny były szczątkowe. Tak samo szczątkowe były te, które wydobył od Rosy, kiedy ją odwoził. Bariera językowa zrobiła swoje. Ona niewiele mówiła po angielsku, on nie znał hiszpańskiego. A mimo to czuł, że się rozumieją. Naszła go refleksja, że kiedy następuje porozumienie dusz, niepotrzebne są żadne słowa. Rosa była młoda, a taką da

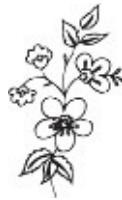
się przecież ukształtować. Nauczy się języka, przecież nie trzeba wiele, wystarczy, jak pozna najważniejsze słowa. W jej cielecym wzroku wyczytał zachwyt. Wiedział, że zaimponował jej swoją erudycją. I może niewiele szczegółów wychwyciła, ale przecież słowo „profesor” jest zrozumiałe w każdym języku.

Rosa była urocza, cudowna i piękna. I biedna. Żyła skromnie i w tak ponurej okolicy, że jego łódzkie mieszkanie z pewnością jawiłoby się jej niczym dwór, niczym pałac z najpiękniejszej bajki. A jego z pewnością postrzega jak księcia. Rycerza na białym koniu. Nie to, co Marianna, która zamiast rycerza w lśniącej zbroi zauważyła tylko konia.

Wzdrygnął się na to wspomnienie. Jak dobrze, że to już za nim i że jednak nie zaproponował Mariannie układu ślubnego. To byłby błąd – teraz widział to wyraźnie.

A jednak matka miała rację. Walizka to był znak. Gdyby nie walizka, nie poznałby Marianny, a wtedy nie poznałby Rosy. Anioła, który sprawił, że także i jemu zaczęły wyrastać skrzydła.

Był spokojny. Mimo że do wylotu zostały trzy dni, to tym razem czuł, że nie musi się spieszyć. Przyleci znów w któryś weekend, następnie w kolejny, a może jeszcze w kolejny. I potem już będą święta, a święta z Rosą zrekompensują mu te koszty, które poniesie na bilety lotnicze. Najważniejsze, że matka w końcu będzie miała wnuka. Jeszcze jej o tym nie powiedział, napomknął tylko, że już niebawem czeka ją niespodzianka większa, niż mogłaby przypuszczać. Uśmiechnął się do siebie i zszedł do recepcji, żeby zamówić taksówkę.



## Rozdział 16



Laboratorium, w którym wykonywano testy genetyczne, znajdowało się w szpitalu przy Rafael Salgado. Poczekalnia była pusta. Marianna z niepokojem obserwowała wejście, zastanawiając się, czy Cristián na pewno przyjedzie. Rosa usiadła na krześle i zabawiała Daniela. Widać było, że i ona się denerwuje.

Cristián dotarł. Bez cienia uśmiechu skinął głową na przywitanie i przekazał Mariannie plastikowy worek, w którym była elektryczna maszynka do golenia.

– Dziękuję. Rosę już pan poznał. To jest Daniel. – Marianna przedstawiła dziecko siedzące na kolanach Rosy.

Mężczyzna od niechcienia spojrział na chłopca, ale nie poświęcił mu wiele uwagi.

– To co, jutro o piętnastej? – spytał, przenosząc wzrok na Mariannę.

– Tak. Przyjedzie pan?

– Oczywiście – zapewnił. – Chcę na własne oczy zobaczyć wyniki.

– Jasne.

– Nie ukrywam, że chciałbym także ujrzeć rozczarowanie pań, kiedy już wszystko będzie jasne.

Marianna tego nie skomentowała. Przekazała pielęgniarce torebkę z maszynką oraz pobrany wcześniej za pomocą patyczka wymaz z ust Daniela. Rosa wypełniła dokumenty i upewniła się, że wynik na pewno będzie nazajutrz. Na wszelki wypadek, mimo że doba mijała o dziesiątej rano, postanowiły przyjechać o piętnastej. W razie gdyby coś miało się przedłużyć.

Kiedy na drugi dzień Marianna zjawiała się na miejscu, Rosa już siedziała w poczekalni. Daniel gaworzył, oglądając podarowaną przez Mariannę kolorową książeczkę. Stawiał już pierwsze kroki, ale jeszcze nie miał ochoty samodzielnie chodzić. Raczkował za to po poczekalni, eksplorując podłogę i ściany. Co chwila jednak wracał i znów bawił się książeczką.

– Odebrałaś wynik? – spytała Marianna.

Rosa przytaknęła, pokazując zamkniętą wciąż kopertę. Nerwowo obracała ją w dłoniach.

– Czekamy na niego? – spytała w końcu.

Marianna wzruszyła ramionami.

– Możemy już sprawdzić, on z pewnością za chwilę dotrze.

– Ty otwórz.

Marianna wzięła kopertę i jednym ruchem zerwała pasek zabezpieczający. Wyjęła dokument i przez chwilę wpatrywała się w jego treść. Trudno było cokolwiek wyczytać z jej twarzy. Rosa wpatrywała się w nią z coraz większym napięciem.

– Nie ma zgodności – wyszeptała ze ściśniętym gardłem Marianna. Kilkakrotnie odczytywała wynik, żeby się upewnić.

– Jak to? – Zaskoczenie Rosy nie mogło być udawane. – To przecież niemożliwe – wydukała, starając



się nie podnosić głosu, mimo że pielęgniarka i tak była zajęta czymś innym i nie zwracała na nie uwagi.

– Nie ma zgodności – powtórzyła Marianna i spojrzała Rosie prosto w oczy. – Okłamałaś mnie? Spotykałaś się z innymi mężczyznami? Carlos nie jest ojcem.

– To niemożliwe! – krzyknęła Rosa, nie zważając na pielęgniarkę. W oczach miała łzy. – To niemożliwe. Nie spotykałam się z nikim innym, przysięgam.

– Naprawdę nie wiem, co o tym myśleć – powiedziała cicho Marianna. W głowie miała mętlik. Łzy Rosy wyglądały na szczere i jej dezorientacja, kiedy usłyszała wynik, także nie była udawana. Pchnęła szklane drzwi i wyszła, ściskając kopertę w dłoni. Rosa wybiegła za nią, szlochając.

– Marianna, nie okłamałam cię, naprawdę. Nie wiem, co się stało, może to pomyłka, trzeba powtórzyć badania... Przysięgam, nie spotykałam się z nikim oprócz Carlosa.

– Idź po Daniela! – fuknęła zdenerwowana Marianna.

Rosa natychmiast cofnęła się i wbiegła z powrotem do przychodni. W tym momencie pojawił się Cristián, który pewnym krokiem podążył w ich stronę. Wyszła mu naprzeciw. Kiedy spotkali się w pół drogi, podała mu kopertę i syknęła:

– Wyniki są bezwartościowe. Powtórzmy je, ale tym razem skorzystamy z pewnego źródła. Zakładamy sprawę.

– Słucham? – Cristián z pogardą zmrużył oczy. – Jeszcze się pani nie odechciało? – Otworzył kopertę i rzucił okiem na wynik. Parsknął śmiechem. – Przecież oboje wiedzieliśmy, że tak będzie. I żadna ekshumacja nie sprawi tu cudu.

– Jeszcze się okaże. Przynajmniej będzie pewność.

– A teraz niby nie ma?

– Mógł pan podmienić próbkę.

– Dobre sobie! Naprawdę jest pani żalosna z tymi insynuacjami.

– Przykro mi. Staralam się załatwić tę sprawę, ale wyniki są, jakie są, a ja nie mam pewności, że to włosy pana taty.

– Ja mam tę pewność. I jestem spokojny o dalsze wyniki – powiedział to z takim przekonaniem, że Marianna poczuła niepokój. Może rzeczywiście brnie w coś, co okaże się fiaskiem. Może Rosa jest mitomanką i sama wierzy w to, co mówi – przebiegło Mariannie przez myśl. Jednak natychmiast przywołała się do porządku.

– A zatem do zobaczenia w sądzie – powiedziała do Cristiána.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się na pięcie i odeszła w kierunku przychodni, z której Rosa wytaczała właśnie wózek z Danielem.

– Idiotki – wyszeptał pod nosem Cristián, mnąc kopertę.

\*\*

Bolivar pracował nocami, żeby za dnia Café Caramelo mogła w miarę normalnie funkcjonować. Nie od razu udało się wprowadzić wszystkie zmiany. Ku rozczarowaniu Marianny szło to nadzwyczaj opornie. O ile przemalowanie ścian czy zamówienie odpowiednich mebli nie stanowiło większego problemu, o tyle przemeblowanie w głowach tancerek było nie lada wyzwaniem. Cóż z tego, że przyklaskiwały pomysłom i godziły się na większość sugerowanych przez dziewczynę rozwiązań, skoro w praktyce trudno było im to wszystko wprowadzić w życie. Sjesta ciągle funkcjonowała, bo z powodu oszczędności nie było nowej kelnerki. Tancerki między sobą wprowadziły dyżury, lecz Teresa, kiedy przychodziła jej kolej, z przyzwyczajenia zamykała drzwi i udawała się na tradycyjną drzemkę, zapominając o wcześniejszych ustaleniach. To samo było z nową kartą dań. Mimo że Marianna wprowadziła tapas

i codziennie piekła karmelowe cuda, Veronica ignorowała jej pracę, wciąż oferując gościom paellę, której już w karcie nie było. Juanita natomiast, kiedy trafił się gość, zamiast zachwalać pyszne przekąski, zapraszała na wieczorne występy, obiecując niezapomniane wrażenia. Wciąż zapominała, że już nie tańczą codziennie. Tylko Luisa, o dziwo, nie dość, że doskonale odnalazła się w nowej rzeczywistości, to jeszcze z chęcią towarzyszyła Mariannie w kuchni, skrupulatnie notując przepisy. Kilka razy sama odważyła się coś upiec i Marianna była przeszczęśliwa, kiedy okazało się, że Luisa ma do tego dryg.

Dzień po dniu w Sewilli ubywało turystów, lecz w Caramelo przybywało gości. Wieść o Café Caramelo nie rozchodziła się może szybko, ale za to skutecznie. Miejscowi zachodzili, by zaspokoić ciekawość nową kawiarnią. A potem wracali, bo karmelowy torcik podbił ich podniebienia. I choć obroty rosły wolno, Teresa nie miała wątpliwości, że Marianna była dla nich cudem prosto z nieba. I nawet Veronica, która kręciła nosem na wszelkie zmiany, musiała w końcu przyznać, że teraz jest lepiej. Ładniej, pyszniej, przytulniej i po prostu przyjemniej. I one nie są tak zmęczone i znerwicowane jak wcześniej.

– Och, Eleno – wzdychała czasem Teresa, wznosząc oczy ku niebu – szkoda, że tego nie doczekałaś...

\*\*

Amanda położyła się w wannie i częściowo zanurzyła głowę. Prawą ręką trzymała telefon i pstrykała sobie zdjęcia. Była zachwycona widokiem. Zastanawiała się, dlaczego włosy w wodzie tak pięknie się układają. Nie potrafiła uzyskać tego efektu na poduszce. Pstryk. Pstryk. Pstryk. Genialne ujęcia – ekscytowała się, pragnąc jak najszybciej zamieścić je na swoim instagramowym profilu. Specjalnie umalowała twarz, chociaż i tak zawsze miała w aparacie włączone filtry wyrównujące koloryt i maskujące wszelkie niedoskonałości cery.

– Nie masz co robić? – Z powodu zanurzonych w wodzie uszu głos Chica doszedł do niej niewyraźnie. Po chwili ujrzała nad sobą twarz chłopaka.

– A co, nie mogę? Ty masz swoje zainteresowania, ja mam swoje. Idź grać.

– Gadałaś z Vincentem?

– Mówiłam ci przecież... – Amanda niechętnie się wynurzyła i usiadła w wannie, odkładając na półkę telefon. – Laska nie odpuszcza. Teraz to już nic się nie da zrobić. Żadne pieniądze nie pomogą, musimy czekać na sprawę i ekshumację.

– Może ja z nim pogadam?

– A co on może zrobić? Ciała przecież nie podmieni.

– Cholera...

– Nawet nic nie mów. Trzymajmy się nadziei, że badania nic nie wykażą. Sam mówiłeś, że...

– I co, że mówiłem. A ty mówiłaś, że jest prawdopodobieństwo i że dostanę jedną trzecią.

– No. I jeszcze minus te dwadzieścia tysięcy, bo przecież Vincent się wywiązał.

– Kurrrrwa – jęknął Chico. – Trzeba coś wymyślić.

– A co niby robię od wczoraj? Tylko myślę i myślę! Ale oprócz morderstwa nic nie przychodzi mi do głowy.

– A może powinniśmy dogadać się z Cristiánem i ukryć majątek? Jakoś go wyprowadzić, zakopać, cokolwiek...

– Dogaduj się – prychnęła Amanda.

– Masz rację, głupi pomysł.

Amanda przez chwilę patrzyła na zamyślonego Chica, po czym nabrała powietrza i zanurzyła głowę.

\*\*

Okno było uchylone, ale z zewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk. Noc była spokojna i cicha. Mimo to Marianna nie mogła zasnąć. Przeglądanie stron internetowych w poszukiwaniu odpowiedniego prawnika zajęło mnóstwo czasu, szczególnie że przy okazji przeczytała też kilka artykułów na temat ustalania ojcostwa. Była zmęczona, ale natłok myśli sprawiał, że zamiast zasnąć, jeszcze bardziej się rozbudzała. Zastanawiała się, ile to wszystko potrwa i jaki będzie efekt. Wolała nie wyobrażać sobie, co by było, gdyby okazało się, że Carlos nie jest ojcem Daniela i że całe to jej zaangażowanie nie miało sensu. Takiego scenariusza w ogóle nie brała już teraz pod uwagę. Jej umysł bardziej zawładnął myśli o tym, jaka byłaby reakcja synów Carlosa, gdyby musieli przyjąć do wiadomości, że Daniel jest ich bratem.

Przewracała się z boku na bok, starając się odrzucić natrętne myśli. Co będzie, to będzie – powtarzała sobie.

Wreszcie udało jej się skoncentrować na czymś o wiele przyjemniejszym, a mianowicie na Caramelo. Przypomniała sobie zachwyty Bolívara nad kolorami ścian, które powoli rozjaśniały wnętrze. I choć postęp prac nie był oszałamiający, to można już było dostrzec dużą różnicę, jaka zachodziła w wyglądzie kawiarni. Nawet stali bywalcy, którzy dotychczas nie komentowali wystroju Carmen, teraz w głos zachwalali zachodzące zmiany. Podobnie jak właściciele sąsiednich knajp, którzy przychodzili z ciekawością przemianą ponurego dotychczas baru. Mimo że byli najbliższą konkurencją, przyjaźnie odnosili się do tancerek i ich prób reaktywacji Carmen.

Marianna w końcu poczuła, że powieki zaczynają jej ciążyć, a myśli przyjemnie się rozpraszają. Nadchodził sen. I zapewne odpłynęłaby w błogie ramiona Morfeusza, gdyby nie dźwięk, który spowodował, że natychmiast wróciła do rzeczywistości.

– O przepraszam. – Elena, która trzasnęła szufladą biurka, uśmiechnęła się niewinnie. – Nie chciałam cię obudzić.

– Nie spałam – skłamała Marianna, zadowolona, że kobieta wreszcie do niej przyszła. Usiadła na łóżku. – Dawno cię nie było.

– A, bo szwendałam się, to tu, to tam. To takie cudowne uczucie, kiedy możesz być wszędzie. – Uśmiechnęła się błogo i wygodnie rozsiadła w fotelu. Album, który wyjęła z szuflady, położyła sobie na kolanach. – Co tam w Carmen?

– Dobrze. Całkowicie ją reorganizujemy. Będzie kawiarnią. Bolívar prowadzi remont, a ja działam w kuchni. Luisa notuje przepisy. No i zmieniamy nazwę na Caramelo.

Elena z uznaniem pokiwała głową.

– Świetny pomysł z tą nazwą, przyciągnie fanów słodkości.

– Taki jest plan.

– Brawo. Naprawdę cieszę się, że przyjechałaś akurat do nas.

– Dziękuję. Ja też się cieszę, że mogę pomóc. Tym bardziej że już widać pierwsze efekty. Wprawdzie obroty wzrastają na razie nieznacznie, ale za to konsekwentnie. Każdego dnia sprzedajemy więcej ciast i tortów.

– Cudownie! – Elena melodyjnie uniosła głos.

– Ja dotrzymałam warunków naszej umowy... – podjęła nieśmiało Marianna.

– Ja też.

– Naprawdę? – Dziewczynie rozbłyły oczy. – Widziałaś się z moją babcią?

– A, udało się, udało. Gdybym od razu wiedziała, dokąd iść, poszłoby szybciej. A tak musiałam trochę pobłądzić. Ale widziałam się z nią.

– Mój Boże, i jak? Wszystko w porządku? – Mariannie serce zaczęło uderzać mocniej.

– Miałyśmy to szczęście, że umarła niedawno, jeszcze nie zdążyła się znacząco oddalić. Ale jest już prawie po tamtej stronie. Przyjemna kobieta, nie powiem. – Elena pokiwała głową z uznaniem. – I piękna. Około trzydziestoletnia.

– Babcia miała prawie osiemdziesiąt lat...

– No przecież tłumaczyłam ci już – przerwała Elena – że ciało sami sobie wybieramy. A raczej wizerunek cielesny, tak bym to nazwała. Widocznie twoja babcia najlepiej się czuła w swoim ciele, kiedy miała trzydziestkę.

– No tak, rozumiem... Ale co, rozmawiałyście?

– Oczywiście. Ale imię Jadwiga, które podałaś, nie jest jej imieniem.

– To może nie ona – zmartwiła się Marianna.

– Ona, ona. Nie ma co do tego wątpliwości. W tej rzeczywistości, w której teraz się znajduję, nie ma pomyłek. Większość rzeczy odbiera się umysłem. To była twoja babcia. Maria.

– Maria! – Marianna niemal krzyknęła.

– Tak się przedstawiła.

– Mój Boże... Czyli jednak...

– Bardzo miła osoba – kontynuowała Elena. – A jakie śliczne pieski przy niej biegały. Aż pożałowałam, że sama nie miałam zwierząt. No, ale mój tryb życia na to nie pozwalał. Wciąż występy, próby, wyjazdy.

– Pieski? Nie wiedziałam, że psy mogą być w niebie.

– A czemuż to nie? – zdziwiła się Elena. – Psy, koty, nawet konia widziałam z daleka.

– Poważnie? Słyszałam, że zwierzęta nie mają duszy.

– E tam, gadanie. W wielu zwierzętach jest pierwiastek ludzki. Dusza właśnie. Inna niż nasza, ale przecież równie ważna. Tak sądzę, bo jeszcze sama nie wszystko wiem. – Elena się zamyśliła. – W każdym razie zwierzęta, które uświęcamy naszą miłością, idą z nami.

– I z moją babcią były pieski?

– Trzy. Wesołe, merdały ogonami, wcale na mnie nie czekały.

– Kiedyś babcia miała psy. Ja pamiętam tylko jednego, Lalka. Wieki temu... A babcia coś mówiła? Coś o mnie?

– Co miała mówić?

– No przecież miałaś z nią porozmawiać, zapytać, czy ma do mnie żal. Przeprosić ją w moim imieniu za te wszystkie stresy, których jej dostarczyłam w ostatnich dniach życia.

Elena skrzywiła usta i nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Ale ona wcale się na ciebie nie gniewa – powiedziała po chwili.

– Tak mówiła?

– Nie musiała. Nic nie musiała mówić. Promieniała szczęściem. Powiedziała mi, że nie mam na co czekać... Że mam przejść na tamtą stronę, zamiast tkwić w zawieszaniu, jak teraz.

Marianna się zasepiła.

– Ale właściwie w jakim języku rozmawiałyście?

– W żadnym. Tu, gdzie jestem, nie potrzeba wcale słów, rozmowa płynie sama z siebie. Po prostu się rozumiemy.

– A jednak nie rozmawiałyście o mnie, tylko o tobie. Nie tak się przecież umawiałyśmy. Wciąż nie wiem, co babcia myśli.

– Ależ dziewczyno, nic nie rozumiesz. Te ziemskie sprawy i problemy wcale nie są ważne. Dla ciebie, owszem, tak. Ale ona żyje już samym tylko szczęściem. Jest przepełniona boską czystą miłością.

– Nie chciała do mnie przyjść? Pożegnać się? Powiedzieć, że teraz jest jej dobrze? Wtedy

przynajmniej byłabym spokojna – jęknęła Marianna. – Przecież skoro z tobą rozmawiam, to i babcia mogła się skontaktować... I rodzice...

– A po co? Widocznie nie widzieli takiej potrzeby albo byli tak oszołomieni zmianą, że nawet im to do głowy nie przyszło. Tylko się z tego ciesz. To znaczy, że byli gotowi na przejście. Zapewniam cię, że nie każdy jest gotowy. To wymaga dużej dojrzałości. Szczególnie kiedy ktoś umiera nagle, na przykład w wyniku wypadku. Kiedy nie był przygotowany na śmierć... Dlatego niektórzy miotają się między światami, nie potrafią się odnaleźć... Albo – tak jak ja – są bardzo ściągani na ziemię. Twoi rodzice widocznie przeszli gładko. Zresztą może kiedyś wpadną do ciebie we śnie. Sądzę, że w tej chwili mają za dużo do ogarnięcia. Spotkania z rodziną, ze znajomymi. Ty wiesz, ilu tam jest ludzi?

– Ale ja jestem tu!

– Nie bądź egoistką – skarciła Mariannę Elena.

Dziewczyna zamilkła, a w ustach poczuła słony smak. Łzy, które podczas rozmowy stanęły jej w oczach, nagle zaczęły płynąć... Chciała jeszcze o coś zapytać, coś powiedzieć, ale w głowie nagle zrobiło się pusto. Patrzyła na Elenę, która z zainteresowaniem przeglądała album z własnymi zdjęciami, tym razem dłużej wpatrując się w fotografie, kiedy miała trzydzieści lat.

– Jednak nie – powiedziała do siebie Elena. – Wtedy wcale nie wyglądałam dobrze. Wolę siebie później...

– Znalazła się broszka – wtrąciła ni stąd, ni zowąd Marianna.

– Doprawdy? Gdzie?

– Teresa ją trzymała na czarną godzinę. Odkupiłam od niej. Dzięki temu mają pieniądze na remont.

– Ach ta Teresa – syknęła z uśmiechem Elena. – Miała mi ją przypiąć do ubrania do trumny.

– Szkoda jej było. To piękny i drogi klejnot.

– Bardzo dobrze zrobiła. I ty też. Wspaniale się wszystko ułożyło. Teraz wiem, że do grobu nie ma sensu nic ze sobą brać. Ale wiesz, te ziemskie nawyki. Człowiekowi się zdaje, że rzeczy, którymi się otacza, przynoszą mu szczęście. Że jest szczęśliwy, kiedy je ma. A lepiej otaczać się ludźmi, którzy cię kochają i potrzymają za rękę, kiedy będziesz odchodzić.

– Myślisz, że babcia jest teraz szczęśliwa? – spytała Marianna. Czowała się niedoinformowana i rozczarowana tym, że nie dostała od babci jasnego komunikatu.

– Nie myślę. Wiem to – oznajmiła pewnym głosem Elena. – Mało tego: to dobrze, że nie przyszła się z tobą pożegnać.

– Dlaczego?

– Bo tylko by się zmartwiła. Nie obraź się, ale to przygnębienie, które od ciebie emanuje, prawdopodobnie ściągałoby ją na ziemię, podobnie jak nawoływania moich koleżanek. Co z tego, że na zewnątrz się uśmiechasz, skoro w środku płaczesz.

– Nie rozumiem. Przecież nie da się oszukać własnych uczuć... Nie da się nie być przygnębionym i smutnym, kiedy umiera ktoś bliski.

– Oczywiście. Ale u ciebie przygnębienie sięga głębiej. To widać w twoich oczach, w postawie. Rozumiem stratę, tęsknotę, żalobę. Ale tobie brakuje naturalnej radości życia, która pozwoliłaby przetrwać te gorsze chwile. I tak dobrze, że dzięki naszej umowie rzuciłaś się w wir pracy.

Marianna wpatrywała się w Elenę, nie bardzo rozumiejąc, o czym mówi.

– Jak można wykrzesać z siebie radość życia – powiedziała w końcu – kiedy w krótkim czasie traci się rodziców i babcię, najbliższe osoby. Naprawdę nie da się. Poza wujkiem, który jest starym kawalerem, niezainteresowanym moim losem, nie mam nikogo.

– No właśnie! – Krzyknęła Elena. – I umierasz za życia.

– Nieprawda – jęknęła Marianna.

– Wiem, co mówię. Moja droga – Elena wstała – są sprawy, na które nie masz wpływu, z którymi trzeba się pogodzić. Zamiast zadreć się tęsknotą, pomyśl, że twoi rodzice chcieliby, żebyś była szczęśliwa.

– Nigdy nie będę szczęśliwa bez nich.

– Błąd. Jesteś tu i teraz. I twoim zadaniem jest zadbać o siebie. Żyć. A nie będziesz żyła, karmiąc się samym smutkiem.

– Nie karmię się smutkiem. Przeciwnie, ostatnio dużo się śmieję, mam ogromną przyjemność z tego, że mogę zaszaleć w waszej kuchni, że ludziom smakuje, że...

– Śmiech to jedno, a prawdziwa radość to drugie – przerwała Elena. – Nie ma w tobie radości – dodała poważnie. – I wiesz, teraz twoja babcia jest oszołomiona miejscem, w którym się znalazła, twoi rodzice prawdopodobnie także upajają się poczuciem błogostanu. Ale kiedy twój smutek będzie trwał i będzie tak samo intensywny jak teraz, zaczniesz wysyłać do nich sygnały, że jest ci źle.

– Nie chciałabym tego – przyznała po zastanowieniu Marianna.

– A zatem zacznij żyć. Po prostu. Ciesz się życiem, ciesz się światem, przyjaciółmi, miłością...

– Aha... – mruknęła dziewczyna ponuro. – Szczególnie tego ostatniego mam w nadmiarze...

– Najpierw, moja droga, poczuj miłość w sobie. Uśmiechnij się i mimo smutku spróbuj wykrzesać z siebie trochę radości i życia. I nie mówię tu o pracy, angażowaniu się w czyjeś sprawy. Pomyśl też o sobie. Bo nie da się uszczęśliwić innych, jeśli samemu nie jest się szczęśliwym.



## Rozdział 17



Uliczki dzielnicy Triana wydawały się wyludnione. Była dziesiąta rano. Marianna snuła się pogrążona w myślach. Odwołała zaplanowaną na dziewiątą trzydzieści wizytę u prawnika, ponieważ Rosa nie dojechała. Zadzwoiła do Marianny przed dziewiątą, że jej mama, która od tygodnia tkwiła w abstinencji, ponownie wpadła w ciąg alkoholowy i musi z nią zostać. Marianna natychmiast powiadomiła adwokata o zmianie i umówiła nowy termin. Teraz trochę żałowała, że zareagowała spontanicznie, mogła przecież pójść do niego sama i przynajmniej wstępnie omówić temat. A z drugiej strony wizyta bez Rosy miałyby się z celem. Mariannie zależało na tym, żeby dziewczyna uczestniczyła we wszystkich sprawach, które jej dotyczą. Takie doświadczenia, zdaniem Marianny, mogły jej się przydać w przyszłości i dlatego uznała, że nie może wyręczać jej we wszystkim.

Usiadła w ogródku baru Pedros i zamówiła kanapki z pastą z krabów. Były pyszne.

Zaglądając po drodze do wielu barów, uznała, że pomysł na stworzenie z Carmen karmelowej kawiarni może okazać się strzałem w dziesiątkę. Potrzeba tylko czasu, aby ludzie się dowiedzieli i przyzwyczaili do nowego miejsca. Zdecydowana większość knajp w Sewilli oferowała tradycyjne tapas, przepyszne i całkiem niedrogie, uwielbiane zarówno przez miejscowych, jak i turystów. Kawiarni z dużym wyborem słodkości nie było aż tak wiele. Marianna pomyślała, że Café Caramelo doskonale wpisze się w słodką mapę Sewilli.

Minęły największe upały, ale wciąż było słonecznie i ciepło. Marianna wystawiła twarz do słońca, które przyjemnie pieściło jej skórę. W Polsce w tym czasie szalały wichury, a ponura aura rozlewała się na cały kraj. Tymczasem Hiszpania pozwalała Mariannie nosić sukienki z krótkim rękawem i sandały, które uwielbiała.

Nagle zapragnęła ponownie odwiedzić park Marii Luisy. Tam czuła się wyjątkowo. Atmosfera miejsca pozwalała się nie tylko wyciszyć, ale także wsłuchać we własne myśli, o co było trudno w Carmen, w której ostatnio tak wiele się działo.

Wyjęła mapę, którą od jakiegoś czasu zawsze nosiła w torebce, i przeanalizowała trasę. Nie było sensu brać taksówki. Upał nie doskwierał i dlatego uznała, że pójdzie do parku piechotą. Dopiła kawę i poprosiła o rachunek. Dopiero po chwili, kiedy zajrzała do portfela, zorientowała się, że nie ma przy sobie gotówki. Uprzejmy kelner poinformował, że niestety nie można u nich płacić kartą.

– Mogę zostawić dokument i przejdę do bankomatu po pieniądze – zaproponowała Marianna, przyzwyczajona do polskich zwyczajów.

– Nie ma problemu. – Kelner uśmiechnął się i machnął ręką. – Zapłacisz kiedy indziej.

– Ale jeśli bankomat jest blisko, to przejdę i szybko wrócę.

– Spokojnie, nie spiesz się. Zapłacisz przy okazji.

Marianna schowała dokumenty i pożegnała się, zdziwiona okazanym jej zaufaniem. Wiedziała, że za kilka dni ponownie będzie w okolicy, ponieważ jest umówiona z prawnikiem, jednak kelner przecież

o tym nie wiedział. Kiedy później opowiadała o tej sytuacji Teresie, ta tylko roześmiała się i skomentowała: „To cała Triana, tam ludzie właśnie tacy są”.

Teraz minęła kościół Świętej Anny i idąc w kierunku kanału Alfonsa XIII, dotarła do ulicy Betis, wzdłuż której znajdowały się eleganckie restauracje i bary. Pomyślała, że wieczorem może być tu naprawdę przyjemnie, kiedy siedzi się na tarasie z widokiem na rzekę i zjawiskowo oświetloną Złotą Wieżę.

Przechodząc mostem de San Telmo, zatrzymała się na chwilę i usiadła na ławce, którą umiejscowiono na wysuniętym w kierunku rzeki niewielkim tarasie. Dopiero po kilku minutach zdecydowała się iść dalej.

Kiedy przeszła przez most, nie potrzebowała już mapy. Szybko rozpoznała znajome miejsca. Za zielonym skwerem Jardines de Cristina, który Marianna nazwała po prostu ogrodem Krystyny, wylaniał się pałac San Telmo, będący obecnie siedzibą andaluzyjskiego rządu. Tuż obok pałacu znajdował się hotel, w którym niedawno gościła podczas pamiętnego balu. Przez chwilę jej myśli powędrowały w kierunku Piotra, lecz zaraz przed oczami stanął jej także Cristián. Doskonale pamiętała jego wyniosły wyraz twarzy, kiedy zagała rozmowę na tarasie. Podobnie nieprzyjemny wydawał się podczas ostatniego spotkania w klinice badań genetycznych. A jednak złapała się na tym, że myśli o nim ciepło. Bo mimo oschłego tonu i znudzonego, pełnego pogardy dla jej działań wzroku dostrzegła w jego oczach coś jeszcze. Coś, co sprawiało, że nie potrafiła ocenić go jednoznacznie źle.

Szybko zganiła się za tę refleksję. Prawdopodobnie podświadomie, wiedząc, że podobnie jak ona stracił w wypadku rodziców, szukała na siłę współczucia dla jego sytuacji.

Odgoniła od siebie myśli o Cristiánie i przyspieszyła kroku. Przechodząc obok uniwersytetu, ponownie pomyślała o Piotrze i przez chwilę nawet żałowała, że nie znalazła czasu, żeby skorzystać z jego zaproszenia i przyjść na wykłady. Teraz, z początkiem października, uniwersytet nabierał życia. Nagle zatęskniła za czasami, kiedy sama była studentką. Przypomniała sobie, jak realizując studia z zarządzania na uniwersytecie we Wrocławiu, zdecydowała się na wyjazd do Madrytu w ramach programu Erasmus. To doświadczenie nie tylko zaowocowało doskonałym hiszpańskim, ale także otworzyło ją na świat, dzięki czemu kolejny raz aplikowała na Erasmusa już na ostatnim roku studiów, co zresztą wymagało specjalnej zgody dziekana. Tym razem udało jej się wyjechać do Londynu. I zapewne właśnie w Londynie by została, ponieważ po skończonych studiach wróciła tam i podjęła pracę w cukierni, pragnąc nabierać doświadczenia poza skrzydłami rodziców. Nie przypuszczała, że straci te opiekuńcze skrzydła wcale nie na skutek własnych wyborów.

Kiedy wróciła do Polski, by opiekować się babcią, jej wcześniejsze marzenia i plany szybko się rozwiały. Z powodu smutku, który zagościł w jej sercu, jakiegokolwiek wizje przyszłości straciły sens. Nie potrafiła uwierzyć, że po utracie najbliższych osób mogłaby jeszcze kiedyś być szczęśliwa. Jedynym, co sprawiało jej jako taką radość, było wymyślanie nowych przepisów, nowych kremów do babeczek i tortów i wdrażanie ich we wrocławskich cukierniach odziedziczonych po rodzicach.

Kiedy Marianna pochłonięta rozmyślaniami o przeszłości dotarła w końcu do parku, ze zdumieniem zauważyła, że plac Hiszpański jest niemal pusty. W okolicy nie kręciły się nawet Cyganki, nie mówiąc już o turystach.

Rozkoszując się spokojem i ciszą, usiadła na schodkach jednego z pomostów i oparłszy głowę o balustradę, przymknęła oczy.

\*\*

Café Caramelo już z daleka rzucało się w oczy. Przywiezione przez Bolívara rośliny doniczkowe,



ustawione wokół ogródka, tworzyły przyjemny klimat. Białe okrągłe stoliki i jasne ażurowe krzesła, na które cień rzucały nowe parasole, zachęcały do relaksu przy ciastku i kawie. Większość była zajęta, co Mariannę bardzo ucieszyło. W środku kawiarni ciągle trwał remont i dlatego ludzie musieli siedzieć na zewnątrz, co okazało się magnesem dla tych, którzy dopiero decydowali się, gdzie przysiąść.

– Jesteś wreszcie – ucieszyła się Teresa na widok Marianny. – Ktoś do ciebie. – Dyskretnie wskazała na młodego mężczyznę siedzącego przy stoliku w rogu ogródka.

– Kto to? – spytała Marianna.

Teresa wzruszyła ramionami.

Marianna zza szyby przyjrzała się chłopakowi. Miał na oko dwadzieścia kilka lat. Jego ciemne, niemal czarne włosy lśniły w wieczornym słońcu, a lekki zarost dodawał męskiego wdzięku. Mimo ładnej pogody był ubrany w czarną skórzaną kurtkę. Niezakryta część dłoni, którą trzymał na stole, bębniąc palcami w blat, ukazała wymyślny tatuaż. Na krześle obok leżał kask, co odpowiedziało Mariannie, że chłopak przyjechał motorem. Rzeczywiście, kiedy się rozejrzała, zauważyła zaparkowany nieopodal kawiarni pojazd, prawdopodobnie harleya.

– Na pewno do mnie? – upewniła się, patrząc ze zdumieniem na Teresę. – Nie znam go.

– Pytał o ciebie. Powiedział, że poczeka.

Marianna zostawiła torebkę za barem i wyszła na ogródek.

– Dzień dobry – niepewnie przywitała się z chłopakiem.

– Marianna Olech?

Przytaknęła. Mężczyzna gestem dłoni wskazał jej miejsce na krześle naprzeciwko siebie. Nie wstał i nie podał ręki. Noga założona na nogę sugerowała dość nonszalancki sposób bycia, co Mariannę natychmiast od niego odrzuciło.

– A o co chodzi? – spytała, ciągle stojąc.

– Proszę usiąść, chcę z panią porozmawiać. To ważne.

– Wolalabym wiedzieć, kim pan jest.

– Chico Torres.

Marianna uniosła brwi. Nie wiedziała, czego może się spodziewać, ale usiadła.

– Czego pan chce?

– Daj spokój, mała, jaki pan? Chico. Mam nadzieję, że się dogadamy. – Jego przekrwione oczy, które ciągle mrużył, mogły sugerować zmęczenie, ale Marianna domyśliła się, że to raczej narkotyki są przyczyną nadwrażliwości na słońce.

– Co to znaczy „dogadamy”?

– Reprezentujesz dziewczynę, która rzekomo urodziła dziecko mojego ojca, tak?

– Można tak powiedzieć.

– No widzisz. Po to przyszedłem. Mogę wam pomóc.

– W czym? Nie chcemy niczyjej pomocy, już to przerabialiśmy. Teraz sprawę kierujemy do sądu. Myślę, że ta rozmowa mija się z celem. – Marianna wstała.

– Oj tam, od razu mija się z celem. Poczekaj. Wysłuchaj, co mam do powiedzenia, i potem sobie pójdziesz. Jeśli chcesz doprowadzić sprawę do końca, to myślę, że będziesz zainteresowana informacjami, które chcę przekazać.

Marianna patrzyła na niego z dużą nieufnością. Po chłopaku, który – jak teraz zauważyła – był wytatuowany chyba od stóp do głów, ponieważ nawet na szyi dało się dojrzeć głowę węża, nie spodziewała się niczego dobrego. Mimo to usiadła. Pomyślała, że właściwie nie ma nic do stracenia. Wizyta u adwokata i tak już jest umówiona, a sprawa w sądzie to tylko kwestia czasu. Niezależnie od tego, co powie Chico, i tak razem z Rosą będą szły wcześniej ustalonym, oficjalnym trybem.

– Słucham – powiedziała tonem sugerującym zniecierpliwienie.

– Chodzi o mojego brata. O Cristiána. – Chico teatralnie zawiesił głos. Marianna milczała, czekając na rozwinięcie tematu. Nie zamierzała niczego ułatwiać. – To zwyczajny dupek, któremu zależy tylko na pieniądzach – doprecyzował Chico. – Jest w stanie zatrudnić najlepszych prawników i wydać mnóstwo pieniędzy na to, żeby przeszkodzić wam w dojściu do prawdy. Sądzę, że byłby nawet zdolny przekupić sędziego... – dodał szeptem.

– Chyba go jednak przeceniasz – parsknęła Marianna, choć podskórnie zaczęła się denerwować.

– Wierz mi, to największa szuja, jaką znam. – Chico odchylił się na krześle i sięgnął po papierosa. Popielniczka, która stała obok filiżanki po kawie, była niemal pełna. Marianna odruchowo chciała ją opróżnić. Zamiast tego mrugnęła na stojącą przy wejściu do ogródka Juanitę i poprosiła ją o wymianę popielniczki.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytała, obserwując, jak chłopak powoli wypuszcza dym.

– Bo uważam, że w końcu ktoś powinien utrzyć mu nosa.

– Niebawem Rosa wniesie sprawę, sąd zleci badania genetyczne oraz ekshumację. Przepraszam, ale nie wierzę, żeby twój brat był w stanie kogokolwiek przekupić. Prawda wyjdzie na jaw. Nie sądzą, żeby nasza rozmowa miała jakikolwiek sens. Nie odpuszczę tych badań, jeśli chcesz mnie do tego namówić.

– Wręcz przeciwnie! Usiłuję wam pomóc. Mnie też zależy na prawdzie. Gdybyś wiedziała, jak wygląda teraz moje życie, nie dziwiłabyś się, skąd ta wizyta. Zapewniam cię, że Cristián to psychopata, który ma ludzi za nic. I nawet przez myśl mu nie przejdzie, że ta biedna kruszyna – Chico zmienił ton na bardziej łzawy – ten chłopiec, który może być naszym bratem, potrzebuje pieniędzy na życie, na jedzenie, a potem na szkołę. Cristián robi wszystko, żeby dzieciak tych pieniędzy nie dostał.

– Dlaczego?

– Bo taki jest! I koniec. Egoistyczny, zapatrzony w siebie sukinsyn. Nawet ja nie dostaję od niego kasy, mimo że mi się należy jak psu.

– Idź do sądu.

– Bla, bla, bla. Nie znasz mojego brata. A zresztą – westchnął, biorąc porządnego macha – trochę jednak znasz. Rozmawiałaś z nim przecież, obiecał, że dostarczy materiał porównawczy, prawda?

– Dostarczył. Tyle że nie mam pewności, czy maszynka, którą przywiózł, należała do waszego taty. Badania nic nie wykazały.

– To ja ci powiem. Nie należała. Cristián zapłacił Vincentowi, by ten podmienił materiał. Taki jest. Rozumiesz? Jest w stanie opłacić wszystkich, byleby tylko dopiąć swego. Nie można mu ufać.

– Kim jest Vincent? – Marianna poczuła, że zaczyna boleć ją brzuch. Nie spodziewała się, że Cristián będzie aż tak trudnym i przebiegłym przeciwnikiem.

– Prawa ręka i najlepszy przyjaciel naszego ojca. Teraz jest prawą ręką Cristiána. Zrobi wszystko, co ten mu każe, nawet bez pieniędzy.

Marianna przełknęła ślinę. Nagle zaschło jej w gardle. Poprosiła Juanitę, która przyszła właśnie z nową popielniczką, o szklanek wody. Chico zamówił kolejną czarną kawę.

– Ale właściwie dlaczego to zrobił? – spytała Marianna, kiedy już ochłonęła i schłodziła się napojem.

– A dlaczego nie? Liczył pewnie, że odpuścicie.

– Ale po co podmieniał próbki? Przecież jeśli Daniel naprawdę jest waszym bratem...

– To będzie miał udział w spadku, prawda? Właśnie o tę kasę wam chodzi.

– No tak, ale... – Marianna usiłowała przeanalizować sytuację z punktu widzenia Cristiána.

– Nie ma żadnego ale – przerwał jej Chico. – Jeśli chodzi o pieniądze, to Cristián jest bezwzględny. Gdyby nawet jakimś cudem udało się przeprowadzić ekshumację i doprowadzić do badania i gdyby okazało się, że jest zgodność, a co za tym idzie – trzeba podzielić spadek, to i tak jesteście na przegranej

pozycji. Mój brat przy pomocy Vincenta i innych specjalistów tak ukryje majątek, że nie zobaczycie złamanego centa.

– Okej. Przyjmijmy, że to, co mówisz, ma sens. Ale dalej nie rozumiem, skąd twoja wizyta. Chyba nie wzmówisz mi, że jesteś aniołem miłosierdzia i nagle zapalałeś braterskim uczuciem do małego Daniela. W tej chwili nie ma nawet pewności, czy jest waszym bratem...

– Szczerze? – Chico przygarbił się i nachylił nad stołem. – Chciałbym coś zrobić dla tego dzieciaka. Pomyślałem, że jesteśmy w podobnej sytuacji. On na przegranej pozycji, bo nie dość, że stracił ojca, to jeszcze musi walczyć o należne pieniądze. I ja też. Wcale nie jest mi łatwo. Pewnie słyszałeś o mnie niejedno... To prawda, że walczę z uzależnieniem. Od wielu miesięcy jestem jednak czysty – zapewnił. – Ale Cristián najchętniej oddałby mnie do zakładu. Żebym tylko nie przeszkadzał, najlepiej, żebym w ogóle przestał istnieć. – Chico pociągnął nosem.

Mariannie nagle zrobiło się go żal, szczególnie że nie miała powodów, żeby mu nie wierzyć. To, co mówił o podmienionej maszynce, zgadzało się z faktami. Stało się jasne, dlaczego badania nie wyszły.

– Masz jakiś pomysł, żeby przeprowadzić tę sprawę w miarę sprawnie i szybko?

– Mam. I dlatego przyszedłem. – Chico uniósł głowę i wrócił do poprzedniej pozycji. Znow założył nogę na nogę i z przygaszonego ciepłego chłopaka zamienił się w pewnego siebie, nonszalanckiego mężczyznę. Zapalił papierosa. – Wiem, skąd wziąć stuprocentowo wiarygodną próbkę. Sąd nie będzie miał wątpliwości. Jestem w stanie załatwić to sprawnie i szybko, wchodzisz?

– Co to znaczy „wchodzisz”? Jeśli chcesz pomóc, pomagaj, zobaczymy, czy coś z tego wyjdzie.

– Sto procent pewności – podkreślił. – Sto procent, rozumiesz?

– Rozumiem. I cieszę się, że jest taka możliwość. Czekasz na moją zgodę? – Nagle coś ją tknęło. – A może oczekujesz czegoś w zamian?

– No cóż... – odchrząknął Chico. – Normalnie wystarczyłaby mi satysfakcja, ale... Gratyfikacja finansowa też się przyda. Na początek dwadzieścia tysięcy euro, później, jeśli okaże się, że DNA się zgadza, druga transza, osiemdziesiąt tysięcy.

Marianna parsknęła śmiechem.

– To i tak ledwie procent z tego, co dostanie dzieciak – wyjaśnił szybko Chico. – A pomyśl, ile zaoszczędzicie czasu, w dodatku Cristián nie zdąży ukryć majątku. W przeciwnym razie może się okazać, że dziecko mimo wygranej sprawy nie dostanie nic.

– Dziękuję bardzo – Marianna wstała. – Mimo to nie skorzystamy z pomocy. Już wolę tracić czas i pieniądze, ale doprowadzić sprawę do końca klarownie i uczciwie. Choćby trwała i dwa lata.

– Możecie nie dostać nic – wysyczał Chico. – Znam Cristiána, on się tak łatwo nie podda. Jest zaborczy, uparty i nadzwyczaj pazerny.

– W takim razie jesteś dokładnie taki jak on. Współczuję sytuacji rodzinnej. Mam nadzieję, że Daniel nie odziedziczył po waszym ojcu tych najgorszych cech. Na razie wydaje się tak uroczym dzieckiem, że aż zaczęłam wątpić, czy badania potwierdzą zgodność genetyczną.



## Rozdział 18



Był późny wieczór, kiedy Dorota dotarła do Polanki. Wiał silny wiatr i kiedy wysiadła z samochodu, nieprzyjemny chłód natychmiast uderzył ją w twarz. Zacisnęła zęby.

– Cholerna jesień – zaklęła, podchodząc do bagażnika, skąd wyjęła małą walizkę i kontener dla kotów.

Szybkim krokiem poszła w kierunku domu. Józefina już czekała w drzwiach.

– Dziecko! – krzyknęła na jej widok i złapała się za głowę. – Płaszcz żadnego nie masz? Albo kurtki jakiej? Przecie zimno jak diabli!

– Oj tam, ja tylko do samochodu i z samochodu – wyjaśniła Dorota, ledwie poruszając szczęką.

– Tak najszybciej o przeziębienie. – Ciotka z dezaprobatą pokręciła głową. – Trzeba dbać o siebie, zdrowie ma się tylko jedno. A później na starość się odezwą a to korzonki, a to rwa kulszowa. Zobaczysz.

– Niech ciocia lepiej nie straszy.

– Głodna? – Józefina usłużnie zmieniła temat.

– Głodna to nie, ale herbaty z przyjemnością bym się napiła.

– Takiej z prądem, na rozgrzanie, co?

Dorota puściła oczko. Józefina jak zwykle była przewidująca i wiedziała, czego człowiekowi w danej chwili trzeba.

Przeszły do salonu, gdzie czekał już suto zastawiony stół. Józefina przygotowała kolację, jakby miał przyjechać co najmniej tuzin gości. Na talerzach oprócz swojskiej wędliny i pasztetu pyszniły się także jakaś na twardo polane majonezem własnej roboty, sałatka warzywna, śledź w śmietanie i gruszki w zalewie octowej.

– Jeszcze kielbaskę na ciepło wstawię – zaproponowała ciotka.

– Nie, błagam, przecież tego nie zjemy! Kielbasy nie ruszę. Nie dam rady, ciociu.

– Ale od Polniaków mam, świniaka tłukli, sami kielbasę robili, pyszna, aż się w ustach rozpuszcza.

– To jutro.

– Żałuj, kochana, żeś tydzień temu nie przyjechała, jak zapowiadałaś, bo miałam wtedy taką goloneczkę, że ho, ho. – Józefina cmoknęła palce.

– Nie dałam rady, przepraszam. Matylda też była rozczarowana, że musi dłużej czekać na kotki. Ale z drugiej strony nie ma tego złego, bo za golonką nie przepadam.

– Nie wiesz, co tracisz.

– Ciociu, ty też raczej powinnaś zadbać o dietę. W tym wieku trzeba ograniczać tłuszcze. No i ta okropna skóra, bleee, to przecież bez wartości.

– Nie znasz się – skwitowała ciotka. – Golonka jest dobra. Wzmacnia włosy i paznokcie, pomaga w przypadku anemii...

– Akurat – parsknęła cicho Dorota, ponieważ kontrowersyjny przysmak kojarzył jej się raczej

z facetami popijającymi piwem tłusty kawał mięsa.

– Co ja to miałam... – zamyśliła się nagle Józefina. – Ach tak! Herbata!

Idąc do kuchni, zatrzymała się, ponieważ jej wzrok padł na kontener dla kotów, który Dorota postawiła przy stole.

– A to co właściwie? – spytała ciotka.

– Klatka do przewożenia kotów.

– Jedna? Przecież się nie pomieszczą. Chcesz je piętrowo ustawiać? – parsknęła śmiechem Józefina.

– Jakoś nie pomyślałyśmy z Alą... To małe koty...

– Małe to były miesiąc temu. Trzeba załatwić jakieś dodatkowe pudło. A jak tam Matysia? Zdrowa? –

Józefina przeszła do kuchni i nastawiła wodę na herbatę.

Dorota zabrała się do degustacji apetycznie wyglądających wędlin.

– Odpukać! Zdrowa! – krzyknęła donośnie, ładując do ust porządny kawał pasztetu.

– Wspaniale! – ucieszyła się ciotka.

Kiedy przyniosła szklanki z herbatą, Dorota zajadała w najlepsze.

– Pycha – ekscytowała się, bo mimo że nie była bardzo głodna, to apetyt rósł w miarę jedzenia.

– U mnie wszystko dobre. Częściej powinnyście przyjeżdżać.

– Masz rację, ciociu. Ale z tymi przyjazdami to teraz nie wiadomo, jak będzie. Alicja zacznie pracować, to może zrobić się krucho z czasem.

– Szuka pracy?

– No przecież galerię otwiera.

– Galerię? – zdziwiła się ciotka. – Ale taką z obrazami? Taką, o jakiej marzyła?

Dorota przytaknęła i upiła łyk parującej herbaty.

– To nie chwaliła się przez telefon? – spytała.

– Słówkiem nie pisnęła. Ale to chyba dużo pieniędzy potrzeba na taką galerię.

– Znajomi inwestują, ale będą się też starać o dotację.

– Ho, ho, galeria obrazów. – Józefina się zadumała. Nagle rozbłyły jej oczy. – To może obrazy Stasiulka wystawi!

Dorota, która właśnie zaczęła jeść jajka, o mało się nie zachłysnęła.

– Eeeee... No nie wiem... – wydukała. – Bo to sztuka nowoczesna ma być.

– Toż właśnie nowoczesna technika, przecie Piłsudski jak żywy, sama zobacz. Prawie do nas z tych ramek wychodzi. Nikt tak nie malował jak Stasiulek. Nawet dzisiejsza młodzież tak nie umi.

– Rzeczywiście, marszałek jak żywy – przyznała Dorota, po czym szybko zmieniła temat. – A Alicja coś cioci wspominała o Mariannie?

– Trochę mówiła. Ale wiesz, dziecko, jak to się rozmawia przez telefon... Mam nadzieję, że ty mi tu zaraz wszystko opowiesz. Dobrze, że wyjechała, była zdruzgotana na pogrzebie, wiem od Wojtaszkowej. Ludzie się martwili, czy dziewczyna w ogóle da radę po tym wszystkim. Niemal całą rodzinę w tak krótkim czasie straciła, biedactwo. Ja na cmentarz chodzę, kwiaty po pogrzebie już uprzątnęłam, świece palę. Zresztą Krystyna też dba, nie można powiedzieć. Codziennie ją widuję, zdarza się nawet, że i zdanie uprzejmie wymienimy.

– O proszę, kto by pomyślał.

– Teraz to nawet i do Teresy zachodzą, o zdrowie pytają. Na szczęście z Tereską już lepiej, przebadana z każdej strony, leki na ciśnienie ustawione, migotanie przedsionków, Bogu dziękować, ustąpiło.

Dorota uśmiechnęła się, słysząc te słowa. Zawsze lubiła dobre wiadomości. Wyczyściła chlebem resztkę majonezu z talerzyka i dopiła herbatę.

– Naprawdę wszystko było pyszne – przyznała. – Dziękuję.

– To co, pora na deserek. – Józefina mrugnęła porozumiewawczo i podeszła do kredensu, gdzie trzymała nalewkę wiśniową.

\*\*

Konrada nie było, ale restauracja Angel's wciąż działała. Dorota ucieszyła się na widok Maćka i Dariusza. Okazało się, że za namową grupy mieszkańców Polanki, którzy zawiązali spółkę i wykupili umiejscowiony nad jeziorem ośrodek wczasowy, Konrad zdecydował, że na razie wstrzyma się z zamknięciem Angel's. W ośrodku obecnie trwał remont i zgodnie z planem miał on zacząć funkcjonować od maja.

– Znowu będą zjeżdżać do Polanki ludzie, zaczniesz się coś dziać, to i my może zdołamy zarobić w sezonie na cały rok – powiedział Maciek, częstując Dorotę wysmienitą latte. – Prawdę mówiąc, wcale nam się nie spieszy szukać nowej pracy.

– Jak człowiek zazna w życiu spokoju, to potem trudno opuszczać taką oazę – dodał Darek z westchnieniem.

– Tyle że wystrój trochę się zmieni, Konrad wziął sobie do serca twoje uwagi, że jest zbyt elegancko jak na taką małą miejscinę i to odstrasza ludzi.

– Ale nie robi z Angel's drugiej Smażalni?! – krzyknęła Dorota.

– Broń Boże! Zmienimy trochę wnętrze za pomocą dodatków. Zamiast białych obrusów będą takie w kratkę. Na ścianach zamiast czarno-białych zdjęć powiesimy coś w weselszych kolorach.

– Zdjęcie Victora Legranda zostanie – wtrącił Darek.

– To nawet dobrze się składa – powiedziała Dorota – że zdejmujecie fotografie, bo ja właśnie w tej sprawie. Marianna chciałaby na pamiątkę zdjęcie swoich rodziców z Victorem, gdzieś tu wisi.

– Tam. – Maciek szybko odnalazł wzrokiem zdjęcie. – Zaraz je zdejmę.

– Tylko najpierw muszę zadzwonić do Konrada i spytać o zgodę.

– Nie musisz. I tak wszystko wylądzuje w piwnicy. Widzisz, ile tego jest? Poza tym sądzę, że Konrad ma w archiwum oryginał tego zdjęcia. Spokojnie możesz je zabrać. A Marianna kiedy wraca? Dlaczego do nas nie wpadła, żeby się pożegnać?

– Och, nie miała do tego głowy. Prawdę mówiąc, została wywieziona siłą przez Alicję. – Dorota puściła oczko. – Porwana.

– Alicja tu była? – zdziwił się Darek. – I nie zajrzała?

– Przyjechała tylko po Mariannę.

– I jak Marianna w Warszawie? Doszła już do siebie?

– Marianna jest w Sewilli. Dużo by gadać. – Dorota machnęła ręką. – Na pewno sama opowie, kiedy wróci.

– A kiedy wróci?

– Nie wiem. Swoją drogą szkoda, że nie ma Konrada – zadumała się Dorota. Miała nadzieję, że go spotka i nadarzy się okazja do rozmowy na temat tego, co się stało latem między nim a Alicją.

– Był tydzień temu. Czasami wpada też w środku tygodnia. Ostatnio miał tu dużo spotkań w sprawie tego ośrodka. Proponowali mu udział, ale z tego, co wiem, odmówił.

– Nie odmówił, tylko powiedział, że się zastanowi – wtrącił Maciek.

– Na sto procent odmówił.

– Nie odmówił.

– Nie kłóć się ze mną – warknął zirytowany Darek. – Podśluchiwałem, to wiem.

– A ja się go pytałem, to wiem ze źródła.

– Okej, okej. Nie odmówił. Jeszcze. Ty masz rację, ja mam spokój. – Maciek podniósł ręce w geście poddania.

\*\*

Grzelak z daleka zauważył zaparkowany przed Angel's samochód Doroty. Podjechał bliżej i zatrzymał rower. Zajrzał przez szybę. Alicji z Dorotą nie było.

Szkoda – pomyślał, bo nagle nasza go przemożna chęć porozmawiania z kimś o książce. Jak artysta z artystą. Nikt inny nie zrozumiałby wątpliwości, które od kilku dni targają Grzelakiem. Wszystko szło dobrze, ale przyszedł moment, kiedy ziścił się najgorszy koszmar pisarza. Wena odeszła, a zamiast niej pojawiło się zniechęcenie. Utknął w połowie książki i nie potrafił znaleźć w sobie dość siły, żeby ją kontynuować. Co gorsza, opisywane przez niego śledztwo także utknęło w miejscu. Miał wrażenie, że Grzelak – komisarz z kryminału zadaje wciąż te same pytania, a przesłuchiwani grzecznie na nie odpowiadają, sugerując czytelnikowi właściwy trop.

Brakowało mu jakiegoś impulsu, świeżego spojrzenia, pomysłu na to, jak mógłby zaplątać akcję. Nie wiedział, w którym kierunku ma teraz pójść fabuła. Bał się, że czytelnik zbyt szybko domyśli się prawdy. W dodatku wędkarz niechcący się przyznał, że w afekcie zabił rolnika, i teraz Grzelak nie wiedział, jak to odkręcić. Szkoda mu było napisanych sześciu stron, musiałyby je skasować i tworzyć od początku. Nie miał na to siły. Czuł się wypluty i zmęczony. Praca nad książką zaczęła go przerastać, lecz zdawał sobie sprawę, że gdyby odpuścił, byłby to gwóźdź do trumny całego jego planu na życie. Nie chciał rezygnować, ale w ostatnich dniach na widok klawiatury robiło mu się niedobrze.

Rozmowa z Alicją mogłaby wniesić coś nowego. Przecież dziewczyna na pewno sama miewała kryzysy podczas swojej pracy twórczej. Może potrafiłaby coś doradzić, może miała własne sposoby na wenę. Pomyślał, że do niej zadzwoni, ale szybko odrzucił ten pomysł, uznawszy, że telefoniczna rozmowa to nie to samo co bezpośrednia wymiana myśli. Przez telefon nie widać rozmówcy ani jego reakcji. Trudno orzec, czy naprawdę współczuje, czy może pod nosem po cichu się wyśmiewa.

Czego jak czego, ale wyśmiania Grzelak obawiał się najbardziej.

Zapiął kurtkę pod szyją. Było zimno. Nacisnął na pedał i ruszył w kierunku domu. Danka już dawno wydzwaniała, że czeka z obiadem.



## Rozdział 19



Ustawił klimatyzację na osiemnaście stopni. Ta temperatura najbardziej mu odpowiadała w samochodzie. Włączył radio i założył ciemne okulary. Słońce było za chmurami, mimo to miał wrażenie, że mocno razi.

Ruszył. Nie zdążył wyjechać z parkingu, kiedy zadzwonił telefon. Wyświetliła się Amanda, a to nie wróżyło nic dobrego.

– Halo – powiedział szorstkim głosem. Po drugiej stronie usłyszał szloch. – Halo! – powtórzył, próbując przebić się przez spazmy Amandy.

– Cristián, t-o-o j-a – w końcu dało się usłyszeć przerywany głos. Dziewczyna ledwie wydobywała z siebie słowa. – Nie wiem, co robić, Chico chyba przedawkował. Umiera.

– Jak to umiera? Co się dzieje? – Cristián zatrzymał samochód.

– N-nie wiem, n-nie wiem. – Amanda płakała. – Ku-upiliśm-my trochę prochów, Chico od ra-azu wziął. A teraz padł na ziemię i d-o-oostał drgawek, boję się, że umiera, pia-ana mu leci. Cristián, błagam, co mam robić?!

– Gdzie jesteście?

Amanda próbowała podać adres, ale ponieważ płacz zagłuszał jej słowa, Cristiánowi trudno było cokolwiek zrozumieć.

– Wyślij adres SMS-em – nakazał. – Zaraz tam będę. I wezwij szybko karetkę.

– Aa-ale czy oon u-umrze?

– Nie wiem.

Odłożył telefon i wyszukał adres na urządzeniu GPS. Piętnaście minut drogi.

– Cholera jasna! – zasyczał.

\*\*

Po raz pierwszy, odkąd Marianna poznała Rosę, przyniosła dla jej synka prezent. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie kupić drewnianych ręcznie zdobionych klocków, które zaoferował uliczny sprzedawca, zachwalając, że sam je wykonał. Były naprawdę ładne, a do tego bardzo kolorowe. Daniel na ich widok od razu się roześmiał. Marianna przykucnęła obok chłopca na podłodze i zaczęła ustawiać wieżę. Dziecko najpierw obserwowało, a po chwili już samo przestawiało klocki, kładąc jeden na drugim.

– Jaki mądry malec – przyznała Marianna, zadowolona, że zabawka sprawiła radość Danielowi.

– Oczywiście, to mój syn – powiedziała z dumą Rosa.

– A jak twoja mama? – zagadnęła Marianna. – Pamiętasz, że za dwa dni mamy wizytę u prawnika?

Wolałabym nie odwoływać jej ponownie.

– Przepraszam, naprawdę nie mogłam przyjechać.



– Rozumiem, Rosa. Ale nie mogę pojąć, dlaczego dajesz swojej mamie pić.

– Nie daję! – Rosa się oburzyła. – Myślisz, że jestem taka głupia?

– Nie powiedziałam tak, nie myślę, że jesteś głupia. Po prostu się zastanawiam, skąd twoja mama ma alkohol.

– Albo pije u sąsiadki, albo kupuje. Nie jestem w stanie pilnować jej dwadzieścia cztery godziny na dobę, to nierealne.

– Ale jak kupuje? Dajesz jej pieniądze? Przecież wiesz, że wyda na piwo.

– Nie daję jej żadnych pieniędzy! – zirytowała się Rosa.

– To skąd ma?

– Skąd ma, skąd ma – powtórzyła zdenerwowana Rosa i podeszła do okna, żeby je uchylić. – O Boże!

– krzyknęła nagle. – Ambulans! Może po mamę! – Otworzyła szeroko okno i wyjrzała.

– A gdzie ona jest?

– Nie wiem, gdzie poszła, pewnie do sąsiadki – powiedziała szybko Rosa, usiłując dojrzeć, co się dzieje pod blokiem. – Nie, to chłopak. Pewnie jakiś ćpun. – Westchnęła i przymknęła okno, zostawiając je tylko uchylone. – Tak już u nas jest. Jak nie policja, to karetka. Ciągłe to samo... – powiedziała ni to do Marianny, ni to do siebie.

– Pytałam, skąd twoja mama ma pieniądze.

– Wynosi z domu, co się da. Nie upilnujesz. Bierze, co jej się pod rękę podwinie, i idzie do Mercado de Feria.

– Gdzie?

– To pchli targ, który odbywa się we wtorki w dzielnicy Macarena. Możesz tam kupić każde badziewie. I możesz każde gówno sprzedać. Nawet stary garnek.

– To we wtorki szczególnie jej pilnuj.

– To pójdzie w niedzielę na Rastro Charco de la Pava. Albo we czwartek na...

– Okej – przerwała Marianna. – Wystarczy. Domyślam się, że jak jej zależy, to miejsce się znajdzie nawet pod blokiem.

– Ależ jesteś błyskotliwa – prychnęła Rosa.

– Daruj sobie złośliwości. Po prostu zastanawiam się, jak rozwiązać ten problem.

– Nie da się go rozwiązać. Próbowałam wiele razy, wierz mi.

– Zmień zamki w drzwiach i nie dawaj jej kluczy.

– I tak nie ma kluczy.

– To zainstalujemy zamek, który da się zamknąć z zewnątrz, a od środka nie otworzy.

– Wyjdzie oknem – prychnęła Rosa.

– To trzecie piętro, nie odważyłaby się.

– Chcesz się założyć?

\*\*\*

Karetka musiała przyjechać zaledwie kilka minut wcześniej, ponieważ kiedy Cristián zaparkował i wyszedł z samochodu, Chico był dopiero transportowany do ambulansu. Amanda piskliwym głosem poganiała ratowników.

– Szybciej! – krzyczała. – Szybciej! Dajcie mu tlen! Reanimujcie! Ratujcie!

Już nie płakała, ale wciąż pociągała nosem. Makijaż, który spłynął razem z łzami, spowodował, że na jej twarzy rysowały się brzydkie czarne plamy. Była zdenerwowana. Wbiegła za ratownikami do ambulansu. Po kilku sekundach wyszła, przeklinając w głos.

– Cristián! – krzyknęła, zauważywszy mężczyznę. – Dobrze, że jesteś! – Podbiegła do niego i wtuliła się.

– Co z nim?

– Będzie żył, ale muszą go odtruć. Nie pozwolili mi z nim jechać. Co za dupki!

– Co tu robiliście? – Cristián przebiegł wzrokiem po budynku.

– Nieważne, teraz nieważne. Teraz ważny jest Chico.

– Co tu robiliście? – powołał pytanie Cristián i odsunął dziewczynę, zmuszając ją do spojrzenia sobie w oczy.

– Na pierwszym piętrze mieszka Krab.

– Jaki Krab?

– Roberto. Diler. To Chico się uparł, żeby tu przyjechać.

– Gdzie wasz samochód?

– Przyjechaliśmy taksówką. Chico rano trochę wypił... – Zaczerwieniła się. Cristián odnotował to z satysfakcją. Jeżeli tak zareagowała, to znaczy, że było jej wstyd.

– Rano wypił... – powtórzył beznamiętnie.

– Błagam, jeźdzmy za nimi. – Amanda wzięła głęboki oddech i otarła ręką twarz.

– Sama jedź. – Cristián patrzył, jak zamykają się drzwi karetki i samochód rusza.

– Jak to sama? Przecież to twój brat! Chyba nas tak nie zostawisz!

Cristián spojrzał na nią wymownie.

– Wytrzym twarz, zanim dojedziesz do szpitala. Wyglądasz żałośnie.

– Rozmazałam się? – Amanda nagle zmieniła ton i jednym ruchem wyjęła z torebki lusterko. Wierzchem dłoni pocierała policzki, żeby usunąć z nich smugi tuszu. Następnie przypudrowała twarz i usminkowała usta. Na koniec pociągnęła powieki eye-linerem.

Cristián patrzył na te zabiegi z prawdziwym zdumieniem. Dotychczas nie przypuszczał, że kobieta jest w stanie pomalować się w kilka minut, w dodatku stojąc na ulicy.

Kiedy Amandzie udało się jako tako doprowadzić do porządku, potrząsnęła włosami i przeczesła je dłonią. Przeanalizowawszy w lusterku efekt swoich działań, wyprostowała się, niemal na baczność, wzięła oddech i powiedziała:

– No to wal się, Cristián. Lecę. I nie proś mnie o pomoc, kiedy będziesz zdychał.

Cristián spojrzał na nią pogardliwie.

– I nie patrz tak na mnie – prychnęła. – Mówię poważnie. Nie można na ciebie liczyć. Dobrze, że Chico ma mnie.

– No pewnie. Może być dumny z narzeczonej, która przywiozła go tu pijanego i pozwoliła kupić prochy.

– Przynajmniej jestem. Ty za to nie masz nikogo – odcięła się i szybkim krokiem oddaliła w kierunku głównej ulicy.

Cristián przez chwilę patrzył za nią, po czym podszedł do samochodu i wyjął ze schowka marlboro. Oparł się o maskę i zapalił. Po kilku dniach bez papierosa już pierwsze pociągnięcie wywołało przyjemny zawrót głowy. Po dwóch następnych poczuł, jak zdenerwowanie powoli odpuszcza.

\*\*

Daniel był pochłonięty klockami. To je układał, to nimi rzucał. Śmiał się przy tym i śmiesznie gaworzył. Słowa były niezrozumiałe, ale Marianna i tak czuła zachwyt. Pokochała tego chłopca i trochę żałowała, że jednak nie okazał się jej bratem. Pomyślała, że gdyby kiedykolwiek miała własne dziecko, to

chciałyby, żeby było tak spokojne i grzeczne jak Daniel.

Rosa przyniosła z łazienki wyprane rzeczy i wyjęła z za szafy niewielką suszarkę.

– Pomogę ci – zaoferowała Marianna.

Podeszła do okna, żeby przesunąć stojące tam krzesło i pomóc Rosie rozłożyć suszarkę. Kiedy uniosła głowę i mimowolnie spojrzała za okno, zdrętwiała.

– Cholera jasna! – krzyknęła po polsku.

– Słucham? – Rosa nie zrozumiała przekleństwa.

– Cholera jasna – powtórzyła dobitnie Marianna, tym razem starając się dobrać odpowiednie słowa w języku hiszpańskim. – Czy widzisz to co ja? Przecież to Cristián Torres.

Rosa, zgrabnie wyminąwszy raczkującego Daniela, podeszła do okna.

– Rzeczywiście. – Zdumiona spojrzała na Mariannę. – Co on tu robi?

– Ja wiem co. – Marianna zacisnęła zęby. Czuła, jak zaczyna ogarniać ją złość. – Ale nie damy się szantażować.

Nie czekając na reakcję Rosy, wyszła z mieszkania.

Kiedy zbiegała po schodach, poziom adrenaliny rósł coraz bardziej, sięgając zenitu, gdy Marianna znalazła się na parterze. Jeszcze bardziej pociemniało jej przed oczami, kiedy zobaczyła Cristiána, który z nonszalanckim spokojem, stojąc oparty o maskę samochodu, palił papierosa.

– Tego już za wiele! – krzyknęła, podbiegając do niego. Czuła, jak rozpiera ją furia, była gotowa do walki.

Na jej widok w oczach Cristiána zarysowało się zdumienie.

– Pani tutaj?

– Nie spodziewał się pan! Myślał, że dorwie Rosę za moimi plecami?! Że biedna dziewczyna zgodzi się na wszystko?! Ze mną się nie udało, to uderzacie bezpośrednio do niej, tak? Natychmiast proszę stąd odejść! Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Cristián zgasił niedopałek i przez chwilę patrzył na Mariannę.

– Też nie mam pani nic do powiedzenia. – Mówiąc to, wykrzywił twarz w lekkim grymasie. Marianna nie potrafiła zinterpretować tej miny. Na wszelki wypadek odebrała ją jako impertynencję.

– Jest pan bezczelny, przychodząc tutaj – powiedziała zdecydowanie, spojrzawszy na niego z obrzydzeniem.

– Ma pani obsesję na moim punkcie? – ironizował. – Skąd miałem wiedzieć, że szlaja się pani po takich slumsach?

– No pewnie, myślał pan, że moja noga się tu nie zapuszcza i że spotykam się z Rosą w ekskluzywnych hotelach, wydając zawczasu pieniądze, które od was dostanie, tak?

– Nie wiem, gdzie się spotykacie. Prawdę mówiąc, średnio mnie to obchodzi – powiedział, jednak po chwili zastanowienia dodał: – Chce pani powiedzieć, że Rosa mieszka właśnie tutaj?

– Jakby pan o tym nie wiedział – prychnęła.

– Niby skąd? Podawała mi pani swój adres. Wezwania do sądu jeszcze od pani Rosy nie dostałem. Skąd zatem miałbym wiedzieć, gdzie mieszka.

– Proszę nie robić ze mnie idiotki. Doskonale pan wie, że Rosa mieszka w tym budynku. I oboje wiemy, po co pan tu przyjechał.

– Przyjechałem, ponieważ mój brat potrzebował pomocy – wyjaśnił Cristián spokojnie.

– Akurat tutaj – parsknęła nerwowo Marianna. – Bardzo ciekawe wyjaśnienie, naprawdę. I niby gdzie ten brat?

– Chyba nie jest tajemnicą, że Chico jest uzależniony od narkotyków. Krótko mówiąc, to ćpun, który dzisiaj przesadził. Właśnie zabrała go karetka.

Marianna zaniemówiła. Rzeczywiście, dopiero co Rosa wspominała, że przed blokiem stoi ambulans. Jednak to, że Chico źle się poczuł, nie zmieniało faktu, że był w budynku. A zatem próbował skontaktować się bezpośrednio z Rosą.

– Co nie zmienia faktu, że przyszedł do Rosy – powiedziała głośno.

– Rosa jest dilerką?

– Jaką dilerką?!

– Handluje prochami. Z Krabem, tak?

Marianna popatrzyła na Cristiána, jakby nagle przestała rozumieć hiszpański.

– Kim jest Krab? – spytała w końcu.

– To ja się pytam.

– Skąd, do cholery, mam wiedzieć! – krzyknęła zirytowana. Nie tak planowała tę rozmowę. Zamierzała przegonić Cristiána, a nie wchodzić z nim w jakąś abstrakcyjną dyskusję. A może on też jest naćpany i dlatego mówi od rzeczy – przebiegło jej przez myśl.

– Nie mam ochoty wnikać w waszą rodzinną patologię – powiedziała. – Chcę tylko powiedzieć... O ile w stanie, w którym się pan znajduje – podkreśliła – dotrze to do pana, że ani ja, ani Rosa nie jesteśmy zainteresowane płaceniem wam żadnych pieniędzy na poczet niczego.

Cristián mimowolnie pokiwał głową. Wyjął papierosa i zapalił.

– Za cokolwiek chciała mi pani płacić... – powiedział, wolno cedząc słowa – nie jestem zainteresowany.

– To ja nie jestem zainteresowana!

Cristián przebiegł wzrokiem po budynku. W jednym z okiem dostrzegł przyglądającą się im Rosę. Zaciągnął się głęboko i właśnie miał coś powiedzieć, kiedy przy samochodzie stanęła rozweselona kobieta w średnim wieku.

– A ja panią skądś znam – powiedziała do Marianny. Jej przeszkłone oczy świdrowały twarz dziewczyny, a sylwetka pochylała się w jej kierunku coraz niżej.

– Jestem koleżanką Rosy – wyjaśniła szybko Marianna, doskakując do kobiety i chwytając ją pod ramię, żeby się nie przewróciła. – Zastanawialiśmy się właśnie, gdzie się pani podziała.

– Ze spacerku wracam.

– Odprowadzę panią. Musi się pani położyć.

– O nie, nie, nie – zaprotestowała matka Rosy. – Dam sobie radę. Ty dokończ rozmowę z kawalerem. Widać, że się kochacie jak nikt! Jak nikt! – ryknęła dobitnie, wprawiając w zakłopotanie Mariannę. Cristián tymczasem patrzył na tę scenę z rosnącym niesmakiem.

– Nie mam pytań – powiedział, kiedy matka Rosy zniknęła w budynku. – Nie wiem, co wszystkie bierzecie i czym handlujecie, ale radzę się ogarnąć, zanim zabiorą wam dziecko. I pani myślała, że kiedy w pijackim widzie wymyślicie historię o moim ojcu, ja dam się na to złapać? Najpierw niech pani otrzeźwieje. A potem się ode mnie odczepi. Raz na zawsze.

Marianna zagryzła wargi. Miała ochotę uderzyć go w twarz za te obelgi.

– To pan powinien otrzeźwieć. I proszę nas nie nagabywać – powiedziała najspokojniejszym tonem, na jaki było ją w tej chwili stać. – Spotkamy się w sądzie i naprawdę nie interesuje nas żaden układ. Proszę to powtórzyć bratu.

– Proszę bardzo – odpowiedział Cristián i uchylił drzwi do samochodu, uznawszy rozmowę za skończoną. Nie miał ochoty wdawać się w dalsze dyskusje pozbawione sensu. Już prawie wszedł, kiedy Marianna przytrzymała drzwi i wycedziła:

– I jeszcze jedno. Jest pan najbardziej żalospną kreaturą, jaką w życiu poznałam.

– Też nie mam przyjemności rozmawiania z panią. I naprawdę żałuję, że wykazałem się wobec pań

dobłą wolą. – Usiadł za kierownicą, nie patrząc na Mariannę. Odpalił silnik, mimo że drzwi od samochodu wciąż były otwarte i Marianna nadal je trzymała.

– Jeśli podrzuconą przez asystenta trefną maszynkę do golenia nazywa pan dobrą wolą, to gratuluję poczucia humoru. I jeśli próbę wyłudzenia od nas pieniędzy w zamian za rzekomą stuprocentową próbkę nazywa pan dobrą wolą, to również gratuluję pomysłu. Będzie ekshumacja czy tego chcecie, czy nie – wycedziła i trzasnęła drzwiami. Energicznym krokiem poszła w stronę budynku.

Cristián ruszył. Po kilku minutach zatrzymał się jednak, ponieważ trudno mu było skoncentrować się na drodze. Zapomniał, dokąd chciał jechać i po co. W głowie rozbrzmiewało mu echo słów Marianny. Skąd wiedziała, że maszynkę dostarczył Vincent? Nawet jeśli Chico przyjechał do Rosy po prochy, to przecież nie wiedział nic o sprawie, nie mógł więc wiedzieć, kim jest Rosa, a tym bardziej o badaniach i przywiezionej do laboratorium maszynce.

Cristián zapalił papierosa i natychmiast zgasił. Ostatnio tak mało palił, że trzeci z kolei papieros spowodował niesmak zamiast przyjemności. Próbował przeanalizować rozmowę z Marianną, ale niełatwo mu to przychodziło. Wydawała się tak nielogiczna, że wiele z tego, co mówiła, po prostu mu umknęło. Jednak ostatnie zdania spowodowały, że nie sposób było o niej zapomnieć i ją zignorować. Tyle że nic mu się nie kleiło.

Mimo niesmaku sięgnął po kolejnego papierosa. Otworzył okno i mocno się zaciągnął. Wybrał numer do Amandy. Odebrała po dwóch sygnałach.

– No proszę, proszę, sumienie ruszyło? – spytała zgryźliwie. – Jeszcze nie dojechałam, dupku. Gdybyś miał więcej współczucia, nie czekałabym tak długo na taksówkę!

– Po co pojechaliście do Rosy? – spytał bez wstępów.

– Do jakiej znowu Rosy?

– Kupowaliście prochy?

– Mówiłam przecież.

– Od kogo?

– To przesłuchanie? Odwal się.

– Mów, bo Chico przez kolejnych dziesięć lat nie zobaczy żadnej kasy.

– Co niby chcesz wiedzieć? Policję będziesz na Kraba nasyłać? Inspekcję jakąś? Mam to gdzieś. Krab nam sprzedał, to jego problem.

– A Rosa? Krab mieszka z Rosą?

– Nie wiem, z kim mieszka, co mnie to obchodzi!

– Na trzecim piętrze?

– Co to za różnica na którym? Posrało cię?

– Pytam!

– Na pierwszym. Mieszkania dwa. Ale pewnie już się zmył, sama widziałam, jak czmycha, zanim jeszcze karetka przyjechała. Nawet na Chica nie spojrział. Musiał wiedzieć, co to za towar.

Amanda coś jeszcze mówiła, ale Cristián przestał słuchać. Rozłączył się bez pożegnania.



## Rozdział 20



Dzień dopiero się zaczynał. Służba porządkowa kończyła zamiatać ulice, restauratorzy przecierali stoliki, szykując się na przybycie pierwszych gości, a sklepikarze wystawiali na zewnątrz kramy. Ruch o tej porze był niewielki. Cristián rozejrzał się po placu, usiłując znaleźć wzrokiem bar Carmen, nad którym mieszkała Marianna. Próbował skontaktować się z nią telefonicznie, ale nie odbierała. Prawdopodobnie, tak jak zapowiedziała, nie miała zamiaru więcej z nim rozmawiać. Kiedy zauważył przyczepiony do ściany neon z napisem „Carne”, poszedł w tym kierunku. W przynależnym do baru ogródku krzątała się starsza kobieta, ustawiając na stolikach serwetniki i karty. Zauważywszy Cristiána, usłużnie odsunęła krzesło.

– Zapraszam – powiedziała z uśmiechem.

– To bar Carmen? – upewnił się.

– Nie.

– Nie? – Cristián odruchowo spojrzał na neon.

– Café Caramelo.

– To gdzie jest Carmen? – zapytał nieco zbity z tropu.

– Nie ma.

– Zmylił mnie szyld. Szukam bistro Carmen.

– Jaki uparty! – prychnęła urażona kobieta. – Co za różnica, czy wypije pan kawę w Carmen, czy w Caramelo?

– Żadna. Ale szukam Carmen, a konkretnie osoby, która gdzieś tu mieszka.

– Kogo? – zainteresowała się.

– Dziewczyny, Marianny. Jest Polką. Brunetka z długimi włosami, może ją pani kojarzy?

– Oczywiście! Jestem jej babcią!

Babcią! Cristián doznał olśnienia. Wreszcie wyjaśnił się powód, dla którego Marianna tu przyjechała i mieszka. Kto by pomyślał, że z Hiszpanią łączą ją więzy krwi. Ale to tłumaczy jej doskonałą znajomość języka. Może więc i Rosa jest jej krewną, dlatego jej tak pomaga.

– Zaraz ją przyprowadzę – zaproponowała kobieta. – A kogo mam zaanonsować?

– Proszę powiedzieć, że czeka Cristián.

– Cristián – powtórzyła, starając się zapamiętać. Skinęła głową i weszła do baru. W drzwiach minęła się z inną, także mocno posuniętą już w latach kobietą, która omiotła wzrokiem ogródek, upewniając się najwidoczniej, czy wszystko jest w porządku.

– Dzień dobry – przywitała się z Cristiánem, który usiadł przy stoliku. – Czy koleżanka już przyjęła od pana zamówienie?

– Tak. To znaczy nie. Nic nie zamawiałem. Przyszedłem do Marianny – wyjaśnił, nie mając wątpliwości, że wszystkie ją tutaj znają.

– Rozumiem. – Kobiście rozbłysły oczy i uśmiechnęła się nieznacznie. – Jest pan jej znajomym?

– Można tak powiedzieć.

– Pan... – zawiesiła głos w oczekiwaniu na to, aż mężczyzna się przedstawi.

– Cristián Torres.

– Miło mi. – Uśmiechnęła się. – Luisa Morales. Jestem babcią Marianny.

Cristián uniósł brwi. Nie spodziewał się, że korzenie Marianny sięgają Hiszpanii aż z dwóch stron.

Dlaczego jej rodzice przeprowadzili się do Polski?

– Może jednak napije się pan czegoś?

– Wodę. Gazowaną, z lodem i cytryną poproszę.

– Już się robi. – Luisa zakręciła się tanecznym krokiem i zniknęła we wnętrzu. Po chwili wróciła z butelką wody i szklanką napełnioną kryształkami lodu. Tuż za nią szła kelnerka, która jako pierwsza go przywitała.

– Bardzo mi przykro – powiedziała poważnym tonem. – Ale Marianny nie ma.

– Jak to nie ma? – wtrąciła Luisa, nalewając wody do szklanki. – Przecież szykuje babeczki z karmelem. Byłaś na zapleczu, Juanito, czy w mieszkaniu?

– Nie ma Marianny – powtórzyła Juanita z naciskiem, obdarzając Luisę wymownym spojrzeniem.

– Rozumiem – powiedział Cristián, domyślając się, że Marianna jest, ale nie chce z nim rozmawiać. – Poczekam na nią.

– Obawiam się, że dzisiaj jej nie będzie – powiedziała Juanita.

– Nie wyjdę stąd, dopóki ze mną nie porozmawia – poinformował spokojnie, upijając łyk wody.

Kobiety wymieniły się spojrzeniami. Weszły do baru. Po chwili usłyszał stłumione głosy. Domyślił się, że swoją postawą wywołał niemałe poruszenie. Był jednak zdecydowany siedzieć w barze do czasu, aż Marianna zmieni zdanie. Po dłuższej chwili z baru wyszła kolejna kobieta, chyba najstarsza z nich wszystkich. Nieco niższa od pozostałych, o krępej budowie ciała i srogim spojrzeniu. Bez cienia uśmiechu usiadła przy stoliku Cristiána.

– Dzień dobry – przywitała się. – Nazywam się Teresa Gonzales i jestem współwłaścicielką tego lokalu.

– Cristián...

– Wiem, kim pan jest – przerwała. – Marianna nie życzy sobie, żeby pan tu przychodził. Nie będzie z panem rozmawiać. Czy to jasne?

Cristián kątem oka dostrzegł, jak pozostałe kelnerki skupiły się przy witrynie od strony baru, żeby podglądać, co się dzieje. Marianny wśród nich nie było.

– Dziękuję za informację – powiedział. – Jednak mimo wszystko nalegam na spotkanie. To ważne. Zarówno dla mnie, jak i dla niej. Chciałbym wyjaśnić pewne kwestie – powiedział spokojnie.

– Domyślam się, o jakich kwestiach pan mówi. Jednak, jak wspomniałam, Marianna nie ma ochoty spotykać się z panem. Niebawem nadarzy się okazja do rozmowy, zapewne wkrótce dostanie pan informacje z sądu.

– Czyli pani wie o sprawie?

– Oczywiście. Marianna nie ma przede mną tajemnic. Jestem jej babcią i mówimy sobie o wszystkim.

– Babcią... – zadumał się, patrząc na Teresę skołowanym wzrokiem. Później przerzucił wzrok na witrynę baru, przy której tłoczyła się reszta kelnerek. Po prawej stronie od drzwi zauważył samotnie stojącą, ale podobnie jak pozostałe z nosem przyklejonym do szyby, wysoką, elegancko uczesaną kobietę. Domyślił się, że to Veronica, o której tak barwnie opowiadał Vincent.

– Babcią – powtórzył. – Rozumiem. A czy ta pani – wskazał brodą na szybę, zza której widać było Veronicę – też jest babcią Marianny? – spytał lekceważąco.

Teresa odwróciła głowę.

– Ona nie. Choć wygląda – przyznała z lekkim przekąsem. – To Veronica. Ciocia Marianny.

Cristián skinął głową. Jego usta wykrzywiły się w drwiącym półuśmiechu. Spojrzał na patrzącą na niego wyczekująco Teresę.

– Czyli Marianna nie przyjdzie? – upewnił się.

– Nie przyjdzie. Cristián wyjął portfel.

– Woda na nasz koszt – szybko zaznaczyła Teresa, zadowolona, że siła jej perswazji okazała się skuteczna.

Mężczyzna mimo to wyjął pięć euro i położył na stoliku.

– Reszty nie trzeba.

Odszedł w kierunku zaparkowanego przy sąsiedniej ulicy samochodu, ale po kilku metrach zawahał się i wrócił. Obszedł rząd przyklejonych do siebie kamienic i przechodząc umiejscowioną na tyłach budynku wąską uliczką, zaglądał do okien. W końcu trafił na właściwe.

Marianna stała tyłem do niego. Była ubrana w letnią jasną sukienkę z powtarzającym się na materiale motywem wiśni. Miała też na sobie bladoniebieski fartuszek opinający ją w talii. Dekorowała ciastka, nucąc pod nosem jakąś nostalgiczną piosenkę w nieznanym mu języku. Okno było uchylone i dzięki temu poczuł też wydobywający się z kuchni zapach świeżo upieczonego biszkoptu.

Przez chwilę przyglądał się dziewczynie, odczuwając wbrew sobie napływ ciepłych uczuć. Może to ta piosenka, a może zapach przywodzący na myśl dzieciństwo spędzone u babci w Granadzie tak na niego wpłynęły.

I wtedy Marianna się odwróciła.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, rozchyliła lekko usta w niemym zdumieniu. Nie uciekła jednak wzrokiem. Podobnie jak Cristián, który zatonął w jej oczach, nie potrafiąc się od nich oderwać. Przez chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu. To Marianna pierwsza przerwała ten stan. Nagle zwolniony wcześniej czas przyspieszył. Energicznym ruchem zamknęła okno. Jej oczy pociemniały, a usta, choć pełnego kroju, teraz zmieniły się w wąską linię. Cristián chciał coś powiedzieć, uderzyć w szybę, ale zrezygnował. Mimo że przyjechał tu, by porozmawiać i rozwiązać dręczące go wątpliwości, odszedł. W tej dziewczynie było coś, co sprawiało, że miękły mu nogi za każdym razem, kiedy ją widział. Nie lubił tego stanu. Wolał mieć wszystko pod kontrolą. Musiał mieć wszystko pod kontrolą, inaczej by się rozsypał.

\*\*

Rosa przyjechała do Café Caramelo przed czasem. Jej matka podobno spała ujarzmiona środkami nasennymi, które Rosa zdobyła w nie do końca legalny sposób.

– Nic jej nie będzie – mruknęła, kiedy Marianna wyraziła swój niepokój.

Ustaliły, że Daniel zostanie z tancerkami w kawiarni, natomiast Rosa z Marianną pojedą do adwokata. Były umówione na dwunastą, teraz dochodziła dziesiąta.

Marianna wyjęła telefon, by zadzwonić do prawnika i potwierdzić spotkanie, ale nie wyszukała numeru, ponieważ na wyświetlaczu pojawił się SMS od Cristiána. Zamarła, obawiając się, że kiedy go otworzy, zostanie zasypana stekiem przekleństw lub pogróżek.

„Książdz Norberto Martinez” – brzmiała wiadomość. Tylko tyle.

Marianna, zauważywszy pełen ciekawości wzrok Rosy, podała jej telefon.

– O co chodzi? – spytała Rosa, odczytawszy SMS-a.

– Nie wiem. To chyba nie do nas. Pewnie przysłał przez pomyłkę.

Marianna wybrała numer adwokata i upewniła się, że godzina spotkania jest aktualna. Siedziały



w mieszkaniu Eleny, pijąc kawę, podczas gdy Daniel był zabawiany przez babcię na dole, w kawiarni.

– A wiesz, jest taki aktor, Mariano Martinez. Argentyńczyk, podoba mi się – rzuciła Rosa.

– Nie kojarzę. A co tak nagle o nim zaczęłaś?

– Nazwisko mi się skojarzyło. Z tym księdzem. Bo Mariano też gra teraz księdza. Matka ogląda, kiedy jest trzeźwa. Mogłaby oglądać seriale na okrągło...

Marianna usiadła przed laptopem, żeby przed wyjściem odpisać jeszcze na e-maila, którego rano przysłała do niej Alicja.

– Ale jaki ksiądz? – spytała rozproszona.

– Ten Norberto Martinez. Nazwisko mi się skojarzyło. Nieważne.

Marianna wpisała frazę w wyszukiwarce, bardziej odruchowo niż z ciekawości. Kiedy wyświetliła się grafika, zmrużyła oczy. Ksiądz Norberto Martinez kogoś jej przypominał, jednak nie był to nikt znajomy. Chciała właśnie zamknąć okienko i otworzyć e-maile, kiedy przechodząca za jej plecami do łazienki Rosa spojrzała na ekran.

– O Boże! – krzyknęła nienaturalnie niskim głosem. Usiadła na krześle obok Marianny i chwyciła za laptopa. Nerwowo operując padem, otwierała inne zdjęcia przedstawiające księdza. Nie było ich wiele, jednak twarz nie pozostawiała złudzeń.

– Co się dzieje? – Marianna w napięciu wpatrywała się w coraz bardziej oszołomioną Rosę.

– To Carlos. – Głos Rosy przybrał barwę żwiru.

– Jaki Carlos?

– Mój Carlos! Ten Carlos! On żyje! To Carlos.

– Jesteś pewna?

– Na sto procent. Przecież go znam, mam z nim dziecko.

– Ale Carlos zginął. Może ten ksiądz jest do niego tylko podobny? – Marianna nie miała przekonania do tego, co mówi.

– To po co Cristián przesyłałby ci nazwisko? To nie pomyłka! Wiadomość wysłał do ciebie. Być może chciał powiedzieć, że jego ojciec żyje. Dlatego tak bali się ekshumacji. W grobie leży ktoś inny!

– Kto?!

– Skąd mam wiedzieć. Może nikt. Z ich pieniędzmi wszystko da się załatwić.

– Ale po co? – Marianna nie nadążała. Patrzyła na Rosę ze zdumieniem, ale gdzieś w środku czuła napięcie. Przypomniła sobie, że Chico mówił o stuprocentowej pewności. Z trudem mogła przyjąć do wiadomości, że ksiądz Martinez to Carlos Torres. To było nieprawdopodobne.

– Na przykład po to, żeby się ukryć. – Rosa wstała i pchana potężną dawką adrenaliny chodziła po pokoju. – Nie wiemy, co nim powodowało. Lub nimi. Może to pomysł jego żony. Może mieli jakieś problemy, może długi, może... – zamyśliła się – a może to on doprowadził do wypadku, w którym zginęła żona, i dlatego się ukrywa.

– Przerażasz mnie. To wszystko wydaje się zbyt abstrakcyjne.

– Ale możliwe!

– Rosa! To bez sensu! – Marianna podniosła głos, żeby ostudzić koleżankę. – Gdyby nawet chciał się ukryć, to wyjechałby na drugi koniec świata, zaszyłby się na jakiejś wyspie, zamiast żyć w górach jako ksiądz. Sama pomyśl.

– Niekoniecznie. Jeśli chciał mieć baczenie na Chica, który zawsze był ich oczkiem w głowie, to zamieszkałby gdzieś niedaleko.

Marianna westchnęła ciężko i pomasaowała skronie. Upiła łyk zimnej kawy i skrzywiła się. Sięgnęła po stojącą obok laptopa wodę.

– Rosa... To niemożliwe, żeby Carlos żył teraz pod przebraniem księdza. Przecież to nie jest takie

proste. Mając fałszywe dokumenty, mógłby być robotnikiem, piekarzem, właścicielem winnicy. Kimkolwiek, ale nie księdzem.

– A to niby dlaczego?

– Bo w Kościele panują inne zasady. Jest hierarchia. Najpierw musisz być klerykiem, potem wikarym, potem proboszczem... chyba... Nie wiem dokładnie. Ale wiem, że nie można sobie przyjść do parafii i powiedzieć, że jest się księdzem i że chce się tam mieszkać i odprawiać msze.

– Jak się ma odpowiednie znajomości, to wszystko można.

– Po co miałyby robić coś aż tak skomplikowanego? Nie wystarczyłoby, że zamieszkałby gdzieś niedaleko pod zmienionym nazwiskiem? Poza tym spójrz. – Marianna zaczęła klikać w zdjęcia. – Tu są daty. Może niewiele jest informacji, ale niektóre wzmianki są sprzed kilku lat. To nie może być Carlos.

– To jest Carlos. – Rosa spojrzała na Mariannę pełnym przekonania wzrokiem. – Jedziemy.

– Dokąd?

– Spotkać się z nim.

– Nie mówisz chyba poważnie?

– Jak najpoważniej. Muszę się z nim zobaczyć. Zabierzemy ze sobą Daniela.

– Nie wiem, czy to jest dobry pomysł. Powinnyśmy to sprawdzić, przemyśleć.

– Cristián przesłał ci nazwisko. W jakim celu? Właśnie po to, żebyśmy już przestały błądzić. Gdyby doszło do ekshumacji, całe miasto dowiedziałoby się o przekręcie.

– Może najpierw spotkajmy się z adwokatem. Przekażemy mu sprawę, niech on podpowie, co robić. Przyznam, że jestem trochę ogłupiała.

– A po co nam teraz adwokat? Ojciec Daniela żyje. Nie będzie żadnej sprawy. No, chyba że się nie dogadamy z Carlosem. Ale sądzę, że on już o wszystkim wie i na nas czeka.

Marianna westchnęła. W głowie tłoczyło jej się mnóstwo pytań i wątpliwości, jednak determinacja Rosy nie pozwalała przeanalizować sytuacji na spokojnie.

– Dobrze – poddała się i wyszukała w internecie firmę zajmującą się wynajmem samochodów.

\*\*

Dla Daniela to była pierwsza długa podróż samochodem. Okazało się, że ten zazwyczaj spokojny i wyjątkowo grzeczny chłopiec w aucie zamienia się w małego diabła. Niezadowolony z powodu unieruchomienia w foteliku krzyczał już po trzydziestu minutach jazdy. Po godzinie jego zachowanie stało się nie do wytrzymania, dlatego musiały zrobić dłuższy postój. Jak na złość właśnie wtedy zasnął, a obudził się, kiedy samochód znów ruszył.

– W końcu się zmęczy – pocieszała Marianna, choć i jej jako kierowcy bardzo przeszkadzał ten krzyk.

Rosa usiłowała zająć czymś dziecko, śpiewała, rozśmieszała, jednak jej zabiegi kończyły się fiaskiem.

– Może cierpi na chorobę lokomocyjną – zastanawiała się, będąc u kresu wytrzymałości.

Z Sewilli do miejscowości Pradollano w górach Sierra Nevada było cztery godziny drogi, lecz Mariannie, która z powodu Daniela musiała zatrzymywać się co godzinę, ta trasa zajęła niemal sześć.

Zmierzchało już, kiedy dojechały. Były zbyt zmęczone, żeby kontemplować malownicze widoki. Od razu udały do kościoła, przy którym miały nadzieję znaleźć dom księdza Norberta. Rosa była zdenerwowana. Nie tylko z powodu Daniela, którego opuchnięte od płaczu oczy przygasały i bała się, że chłopiec zaśnie, zanim Carlos zdąży się z nim spotkać. Bardziej denerwowała się spotkaniem z Carlosem, a raczej mężczyzną, który według niej był Carlosem.

Mariannie udzieliło się nie tylko zdenerwowanie, ale też wiara w to, że Carlos ukartował swoją śmierć i zdołał opłacić kościelnych hierarchów, zapewniając sobie w ten sposób nową tożsamość.

Nawet internetowe zdjęcia, które wcześniej budziły wątpliwości, ponieważ ukazywały męczyznę jeszcze sprzed daty śmierci Carlosa, teraz, po męczącej podróży, uznała za wiarygodne. Na temat księdza Martineza było tak niewiele informacji, że jedną z nich zdolny informatyk mógł datować na trzy lata wstecz – pomyślała, pomagając Rosie rozłożyć wyjęty z bagażnika wózek. Tak jak się spodziewały, kiedy tylko Daniel poczuł znajomy zapach wózkowej tkaniny, zasnął.

W górach było dużo chłodniej niż w Sewilli, ale ani Marianna, ani Rosa nie pomyślały o tym, żeby ciepłej się ubrać. Decyzja o wyjeździe zapadła zbyt spontanicznie. Na szczęście sweterek, który w ostatniej chwili chwyciła Marianna, mógł posłużyć za kocyk do wózka. Danielowi było zatem ciepło. Gorzej z kobietami, których odkryte ramiona zostały usiane drobnym piaskiem gęsiej skórki.

Norberto Martinez jadł właśnie kolację. Gospoia, która otworzyła drzwi domu parafialnego znajdującego się nieopodal kościoła, niechętnie wpuściła kobiety do środka. Właściwie dopiero widok śpiącego w wózku Daniela skruszył jej nieufność. Ksiądz, którego powiadomiła o przybyciu gości, wykazał się zrozumieniem „nagłej sytuacji” i zgodził się je przyjąć. Kiedy weszły do pomieszczenia służącego zarazem za jadalnię oraz salę spotkań, Rosa wstrzymała oddech.

– Carlos – szepnęła niemal bezgłośnie.

Ksiądz wstał, skinął na przywitanie głową i gestem dłoni zaprosił je do stołu, po czym usiadł.

– Zapraszam. Właśnie spożywamy posiłek, może panie dołączą. Herbaty?

Gospoia czekała na wskazówki.

Marianna patrzyła na Rosę, która zacisnąwszy dłonie na poręczy wózka, wpatrywała się z uporem w księdza.

– Proszę spocząć. – Ksiądz powtórzył zaproszenie. – Ciekaw jestem, co panie do mnie sprowadza o tej porze.

– Jak mogłeś? – Rosa spytała nagle głosem, który natychmiast się załamał i końcówka zdania okazała się niesłyszalna. Odchrząknęła nerwowo. – Jak mogłeś nam to zrobić? – spytała głośnie.

– Poprosimy o herbatę. – Marianna zwróciła się do gospoii, pragnąc, by ta wyszła. Zdezorientowana kobieta mimo rozgorzałej w niej ciekawości posłusznie poszła do kuchni.

Ksiądz milczał.

– Nie zabierzemy dużo czasu – kontynuowała Rosa. Dłońmi wciąż ścisnęła wózek, jakby w obawie, że sam mógłby gdzieś odjechać. – To jest Daniel. – Spojrzała na śpiącego chłopca.

Ksiądz skinął głową, ale nie ruszył się z miejsca, by zajrzeć do wózka.

– Nie masz mi nic do powiedzenia? – spytała Rosa. I nie czekając na odpowiedź, dodała: – Nie wiem, dlaczego to zrobiłeś, i nie wiem, co ja powinnam teraz zrobić. Żeby było jasne, nie przyjechałam tu wyklócać się o nasz związek i nie chcę cię zmuszać do tego, żebyś zainteresował się Danielem. Ale chcę dla niego godnego życia. Załatw to, a więcej nie będziesz musiał nas oglądać.

Marianna z wyczekiwaniem wpatrywała się w księdza. Jego wzrok nie mówił wiele. Patrzył na Rosę spod przymrużonych powiek, jakby analizował jej słowa.

– Może panie jednak usiądą. – Te słowa padły akurat w momencie, kiedy gospoia przyniosła parujący czajniczek z herbatą, filiżanki i dodatkowe talerze.

– A może jednak ty wstaniesz – zaproponowała Rosa. W jej głosie dawało się wyczuć rosnącą irytację. – Nawet nie chcesz na niego spojrzeć – dodała z wyrzutem. – Dobrze wiesz, że to twój syn, z nikim innym nie spałam.

Gospoia wyprostowała się i odwróciła do Rosy.

– Proszę wyjść! Czuję, że będą kłopoty! Proszę stąd wyjść! – krzyczała, ledwie łapiąc oddech. – Jak pani może takie rzeczy mówić! – Szarpnęła Rosę za rękę.

– Spokojnie, Patricio. – Ksiądz powstrzymał gospoię. – Nie krzycz, bo obudzisz dziecko.

– Ale jak tak można? – Patricia posłusznie zniżyła głos, lecz nadal kipiała złością. – Co za insynuacje.

– Zaraz wszystko wyjaśnimy. Niech panie usiądą.

– Udajesz, że mnie nie znasz? – obruszyła się Rosa.

– Rosa, usiądźmy – zaproponowała Marianna, sama nie bardzo wiedząc, jak się zachować.

– Nie usiądę – zaparła się Rosa.

– Obawiam się, że przyszedł pan do niewłaściwego człowieka. Nazywam się Norberto Martinez. I nie znam pani – rzeczowo zwrócił się do Rosy.

– Gówno prawda! – krzyknęła dziewczyna, nie zważając na to, że Daniel przez sen zaczyna się wiercić. – Doskonale mnie znasz! Myślisz, że wszystkich oszukasz? Jutro będzie tu prasa, telewizja, radio! Okaze się, jaki z ciebie ksiądz!

Ksiądz wstał i podszedł do Rosy.

– Bardzo proszę – powiedział. – Niech pani usiądzie. Porozmawiamy.

– Nie rób ze mnie wariatki, Carlos!

– Nie jestem Carlosem.

– Jesteś! – Rosa chwyciła księdza za ramiona i patrząc na niego pełnym szaleństwa wzrokiem, zaczęła nim potrząsać. – Jesteś najgorszym sukinsynem, jakiego znam! I nawet teraz, kiedy wszystko się wydało, nie potrafisz spojrzeć mi w oczy!

– Rosa! – Marianna podbiegła i próbowała odciągnąć koleżankę, lecz ta, zamiast się uspokoić, pięściami uderzała księdza w tors. Daniel obudził się i zaczął płakać, a gospodyni w popłochu biegnęła od Rosy do wózka, nie wiedząc, czy powinna pomóc księdzu, czy zająć się dzieckiem.

– Wzywam policję! – krzyknęła, stojąc w rozkroku między wózkiem a Marianną usiłującą odciągnąć Rosę od księdza.

– Poczekaj, Patricio. – Ksiądz poddawał się uderzeniom, czekając, aż Rosa wytraci siły. I rzeczywiście, po kilku minutach jej pięści znieruchomiały, a ciałem wstrząsnęły nagle dreszcze. Zaczęła szlochać, osuwając się na podłogę.

– Dlaczego nam to robisz? – łkała. – Czym sobie na to zasłużyłam? Nie mam siły tak żyć, rozumiesz?

Norberto Martinez ukląkł przy dziewczynie i pomógł jej wstać. Niczym kukła posuwała nogami, podparta o ramię księdza. Usiadła przy stole, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Łzy ciekły jej po twarzy i rozlewały po policzkach kiepskiej jakości tusz.

– Patricio, przynieś, proszę, chusteczki – polecił ksiądz. Marianna, kołysząc wózek, podążyła wzrokiem za gospożą. Miała nadzieję, że kobieta nie chwyci leżącego na komodzie telefonu i nie zawiadomi policji.

– Nie jestem Carlosem – powtórzył ksiądz, kiedy gospożka podała roztrzęsionej Rosie paczkę chusteczek. – Masz prawo mnie z nim mylić. – Płynnie zmienił formę grzecznościową, zwracając się do Rosy po imieniu. – Ponieważ jestem jego bratem.

Rosa podniosła wzrok i przez chwilę pogardliwie patrzyła na księdza.

– Gówno prawda – powiedziała w końcu. – Carlos nie ma brata.

– Ma. A właściwie miał, bo od ponad pięćdziesięciu lat nie utrzymujemy kontaktu.

– Gówno prawda! – powtórzyła Rosa. – Nie jesteś jego bratem!

– Jestem.

– Chyba klonem – mruknęła Rosa.

– Bliźniakiem – uściślił Norberto. – Przykro mi, że cię zawiodłem. Nie wiem, gdzie jest Carlos. Najlepiej zapytać jego synów. Mieszkają w Sewilli.

– Właśnie stamtąd przyjechałam! Myślisz, że miałabym dziecko z facetem i nie wiedziałabym, gdzie mieszkał? Nie wierzę, że jesteś jego bratem. Nigdy o tobie nie wspominał.

– Nie utrzymujemy kontaktu – powtórzył ksiądz. – Przykro mi. Nie mogę wam pomóc.

Patricia usiadła przy stole i teraz ze współczuciem spojrzała na Rosę.

– Mało przez ciebie na zawał nie zesłam, dziewczyno – przyznała, wzdychając ciężko. – Nie wiedziałam, że ksiądz miał brata – zwróciła się z wyrzutem do mężczyzny. Ten wzruszył ramionami.

– Mało kto o tym wiedział. Właściwie tylko on i ja. Jak mnie panie znalazły?

– Carlos nie żyje – powiedziała Marianna.

– Nie żyje... – powtórzył mimowolnie ksiądz. Marianna zauważyła, że nieznacznie drgnęła mu powieka i na moment zacisnął szczęki. Jakby naprawdę dopiero teraz się o tym dowiedział i ta wiadomość nim wstrząsnęła, mimo że nie chciał dać tego po sobie poznać.

– Zginął w wypadku samochodowym razem z żoną. Zresztą niedaleko, w północnym paśmie Sierra Nevada. Mieli tam dom letniskowy – wyjaśniła Marianna, bacznie obserwując księdza. Nic nie wskazywało na to, żeby kłamał.

– Mieli dom niedaleko...

– Tak.

– Od kiedy z nim mieszkasz? – Rosa zwróciła się do Patricii. Nie słuchała rozmowy. Przypatrywała się Norbertowi, analizując wszystkie szczegóły jego wyglądu. W przeciwieństwie do Carlosa był szpakowaty. Jednak podobna figura i te same rysy twarzy nie pozostawiały wątpliwości.

– Od siedmiu lat.

– Wcześniej służyłem w Granadzie.

– Znasz go od siedmiu lat? – upewniła się Rosa. – I zawsze wyglądał tak samo? A może jesteście w zмовie?

Patricia bezradnie spojrzała na księdza.

– Niestety, nie mam zdjęć z dzieciństwa, na których byłbym z Carlosem – powiedział Norberto. – Ale mam sporo fotografii z przeróżnych uroczystości, które odbywały się w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Na każdej z nich jestem w koloratce, to chyba wystarczające potwierdzenie mojej tożsamości?

Marianna westchnęła. Jej także wydawało się nierealne, by Carlos żył pod przykrywką. Ale rozumiała Rosę. Nadzieja zawsze umiera ostatnia. Tylko po co Cristián przysłał nazwisko? Co chciał przez to powiedzieć lub co osiągnąć?

– Coś kręcisz – powiedziała twardo Rosa do księdza, wrywając Mariannę z zamyślenia. – Macie różne nazwiska.

Norberto bezradnie rozłożył ręce.

– Rodzice się rozstali, kiedy mieliśmy trzy lata. Nie mnie oceniać ich wybory, ale faktem jest, że zwyczajnie podzielili się nami. Ja zostałem z matką, Carlosa wziął ojciec. Mama ponownie wyszła za mąż za Rodriga Martineza.

– Wasza mama jeszcze żyje? – zainteresowała się Marianna.

– Niestety. Odeszła sześć lat temu. Informowałem o tym Carlosa, miałem nadzieję, że przyjedzie, żeby się z nią pożegnać, ale nie. Zbyt wiele było w nim żalu.

– Dlaczego nie utrzymywaliście kontaktów? – dopytywała Marianna, coraz bardziej zaintrygowana historią.

– Carlos miał żal do matki, że go opuściła. Matka to matka – westchnął ksiądz. – Trudno mu się dziwić. Kiedy już byliśmy dorośli, próbowałem z nim porozmawiać, zbliżyć się do niego, ale odtrącił mnie, nie chciał mnie znać... Prawdopodobnie całą złość na naszą mamę przerzucił na mnie. Uważał, że miałem lepiej. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. To trudne sprawy. I niestety wciąż mnie prześladują. Zastanawiam się, jakby to było, gdybym to ja mieszkał z ojcem, a Carlos z matką.

– W takim przypadku chyba nie ma dobrych rozwiązań – powiedziała Marianna. Ksiądz pokiwał

głową. – I nie wiedział ksiądz, że Carlos nie żyje? – spytała.

– Nie.

– Ale był osobą dość znaną w Sewilli, gazety pisały o wypadku.

– Być może... Kiedy to się stało?

– Kilka miesięcy temu.

– Nie wiem, jak mogłem przegapić. Śledziłem poczynania Carlosa, wiedziałem, że ma synów, że z młodszym jest problem. Nawet oferowałem swoją pomoc, ale...

– Odrzucił – dopowiedziała Marianna.

– Był ksiądz w tym czasie w Brazylii – przypomniała sobie Patricia. – A ja nie informowałam, bo nie wiedziałam, że to brat... Przepraszam. Widziałam, że podobny na zdjęciach, sobowtór to sobowtór, ale do głowy mi nie przyszło, że brat...

– Nie wyrzucaj sobie, Patricio, widocznie tak musiało być.

– I nic ksiądz nie poczuł... – zastanawiała się głośno Marianna. – Ponoć bliźnięta jednojajowe mają szósty zmysł.

– Być może mają – odpowiedział Norberto. – Ale między nami nie było więzi.

– A ta wizyta księdza w szpitalu? – przypomniała sobie Patricia. – Pamięta ksiądz? Nieokreślony ból, potem robił ksiądz dodatkowe badania, już po powrocie do Hiszpanii.

Martinez zamyślił się, próbując sobie przypomnieć to zdarzenie.

– Nie do wiary – odezwała się nagle Rosa. Jej powieki były opuchnięte od płaczu, ale łzy już nie leciały. Przysłuchiwała się rozmowie w milczeniu. Teraz zaczął do niej docierać sens słów wypowiedzianych przez Martineza. – Nie mogę w to wszystko uwierzyć – powtórzyła, kręcąc energicznie głową.

– Obawiam się, że to jednak prawda – powiedziała Marianna.

– Mnie natomiast zastanawia – wtrącił Martinez – skąd panie się o mnie dowiedziały?

– Od Cristiána – wyjaśniła Marianna. – Przysłał mi nazwisko. Ale nie doprecyzował, że jest ksiądz bratem Carlosa.

– A zatem Carlos również mnie obserwował. Powiedział synom, kim jestem. Szkoda, że nie skontaktowali się ze mną po śmierci rodziców.

– Że też nie ma na świecie rodzin, które byłyby normalne – westchnęła głośno Patricia. Marianna spojrzała na nią z dezaprobatą i gosposia, zawstydzona swoją uwagą, zamilkła. – Będę jeszcze potrzebna? – spytała z grzeczności, chociaż miała ochotę zostać. Była zaintrygowana, jak rozwinie się rozmowa i jakie jeszcze ciekawostki ujrzą światło dzienne.

– Możesz iść spać, Patricio – powiedział ksiądz ku niezadowoleniu gosposi. Miała nadzieję, że poprosi jeszcze o herbatę.

Kiedy kobieta wyszła, Martinez wstał i z ciekawością zajrzał do wózka.

– Czyli to jest trzeci syn Carlosa – szepnął.

– Tak jakby – mruknęła Rosa.

Marianna obserwowała, jak ksiądz nachylił się nad wózkiem i uśmiecha do śpiącego dziecka. Na pewno żałował, że nie ma i nie dane mu będzie mieć własnego – pomyślała. Był przystojnym mężczyzną, do tego nad wyraz opanowanym. Emanował od niego spokój. Byłby doskonałym ojcem – przebiegło jej przez myśl. I nagle doznała olśnienia.

– Cristián nie przysłał nazwiska bez powodu – powiedziała podekscytowana ni to do Rosy, ni to do księdza, ale żadne z nich tego nie usłyszało.

Martinez przyglądał się Danielowi, doszukując się być może własnych rysów twarzy, a Rosa w zamyśleniu patrzyła na księdza. Powoli docierało do niej, że nie jest Carlosem.

– Proszę księdza – powiedziała głośniej Marianna. – Mamy prośbę.

Martinez podniósł wzrok. Marianna odchrząknęła i spojrzała na Rosę. Pokrótce wytłumaczyła księdzu, na czym polega problem dziewczyny.

– Carlos nie uznał dziecka? – zdziwił się Norberto.

– Nie.

– Nie zdążył – doprecyzowała Rosa.

– Ale jak ja mogę pomóc? Porozmawiać z jego synami? Obawiam się, że nie będą chcieli. Poza tym rozmowa nic nie da. Tu rzeczywiście potrzebne są badania i sprawa sądowa.

– Owszem – zgodziła się Marianna. – Ale chcemy uniknąć ekshumacji. Po pierwsze dlatego, że taka sprawa może się ciągnąć latami, a Rosa potrzebuje pieniędzy już teraz. Po drugie – z powodów czysto ludzkich. Dla nikogo nie byłoby przyjemne odkopywanie ciała. – Marianna wzdrygnęła się na samą myśl o tym.

– To jak mógłbym pomóc? Oczekujecie pomocy finansowej?

– Chciałybyśmy prosić o pomoc w przeprowadzeniu badań – wyjaśniła Marianna, a Rosa spojrzała na nią, nie rozumiejąc jeszcze, do czego ta zmierza. – Jest ksiądz bratem bliźniakiem Carlosa – doprecyzowała szybko Marianna. – Prawdopodobnie macie to samo DNA. Wystarczyłoby pobrać próbkę od księdza...

Martinez podniósł brwi. Przygryzł wargi i w milczeniu analizował słowa Marianny. Rosa wpatrywała się w niego z wyczekiwaniem.

– Przykro mi, nie mogą mnie panie o to prosić – powiedział po dłuższej chwili.

– Dlaczego? – spontanicznie zdziwiła się Marianna.

– Jestem księdzem.

– Ale przecież także człowiekiem, synem, bratem... Ma ksiądz genotyp.

– Proszę pani – podjął Martinez dobronim tonem. – Nie potrafię wyrazić bólu, który czuję na wieść o śmierci Carlosa. Nie byliśmy sobie bliscy, ale – jak pani zauważyła – bliźnięta mają szósty zmysł. U mnie przejawiał się on... – Księdzu załamał się głos. – Mimo że nie miałem kontaktu z bratem – kontynuował po chwili – to czułem, że go kocham. I chyba jeszcze do mnie nie dociera, że Carlosa nie ma. – Zamyślił się. – Jednak ja żyję. I ciąży na mnie odpowiedzialność, którą przyjąłem na siebie wiele lat temu. Nie mogę zawieść zaufania moich parafian. A przecież czasem wystarczy iskra, by rozpałić ogień pomówień.

– Nie rozumiem – przyznała Marianna.

– Jak pani sobie to wyobraża? Pojadę na badania i oddam próbkę. Nazajutrz przez Sierra Nevada przetoczą się szept, że ksiądz Martinez poddał się badaniom na ojcostwo.

– W Sewilli księdza nie znają.

– Lepiej dmuchać na zimne.

– Otóż to! – Patricia, która podsłuchiwała pod drzwiami, weszła z impetem do salonu. – Ksiądz ma rację. Dzisiaj grzeczna rozmowa, a jutro zostanie pozwany do sądu o uznanie dziecka. Już ja wiem, jak taka sprawa wygląda. Badania wykażą, że ksiądz jest ojcem, prawda? No przecież bliźniak! Wystarczy, że potem pani powie sędziemu, że spała z księdzem. Na nic zdadzą się tłumaczenia księdza, że początkowo chodziło o brata. Jak udowodni, że Carlos Torres był bratem?

– Chyba się pani zagalopowała – powiedziała z wyrzutem Marianna. – Po co Rosa miałaby tak robić?

– Już ja znam kobiety.

– W dupie to mam. – Rosa, będąc u kresu wytrzymałości, wstała i podeszła do wózka. – Idziemy. Załatwimy to po swojemu. Nie rozumiem, po co mnie tu przywlekłaś. – Spojrzała z wyrzutem na Mariannę.

– Sama chciałaś.

– Chwila – powiedział Martinez. – Zgadza się.

– Jak to? – Marianna i Rosa spojrzały na niego równocześnie.

– Nie to, żeby paniom nie ufał, ale życie nauczyło mnie, że trzeba być ostrożnym... Pomyślałem, że gdyby scenariusz Patricii się sprawdził, wówczas to ona byłaby moim świadkiem. Słyszała całą rozmowę, prawda, Particio?

– Przysięgam, że podsłuchiwałam, odkąd wyszłam z jadalni. – Gospoia przyłożyła rękę do piersi.

– Mam jednak wątpliwości, czy moja wizyta w laboratorium...

– Ale nie musi ksiądz tam teraz jechać – wtrąciła szybko Marianna. – Możemy pobrać materiał genetyczny, czyli na przykład włosy, tutaj – zaproponowała. – My to zbadamy i poinformujemy księdza.

– Nie dowierzałabym – mruknęła Patricia. – A jeśli oszukacie?

– Potem i tak będzie sprawa w sądzie, już oficjalnie – wyjaśniła Marianna. – Jeśli badania wykażą zgodność, będziemy musiały przeprowadzić postępowanie o uznanie ojcostwa Carlosa, a potem o prawo do spadku. Ksiądz Martinez jeszcze raz zostanie wezwany do przeprowadzenia badań, wtedy już oficjalną drogą.

Martinez pokiwał głową.

– Włosy wystarczą?

Rosa z wrażenia usiadła. Łzy znów zaczęły jej płynąć, tym razem samoistnie, jak gdyby stres zaczął odpuszczać.

– Najlepiej wyrwane z cebulkami – powiedziała Marianna. – I przydałby się jakiś jałowy pojemnik.

– Mamy takie. Jakiś czas temu robiłem badania. Powinniśmy mieć jeszcze sterylne pojemniki na mocz.

Patricio, czy mogłabyś?

– Oczywiście, zaraz przyniosę.

Atmosfera uległa rozluźnieniu i Marianna wreszcie zdobyła się na uśmiech. Ksiądz podał zapłakanej Rosie chusteczkę oraz kubek chłodnej herbaty. Piła łąpczywie.

Kiedy gospoia wróciła z pojemnikiem, wyrwał kilka włosów i włożył je, pieczołowicie zakręcając wieczko.

– Dziękuję – wyszeptała Rosa.

– Skontaktujemy się, kiedy tylko poznamy wyniki – powiedziała Marianna. – Rosa, jedziemy.

– Na noc? Proszę zostać do rana – zaproponował Martinez. – Mamy pokoje gościnne.

Marianna wolała wracać. Miała nadzieję, że Daniel, wymęczony płaczem, będzie spał. Ale kiedy ksiądz powiedział o noclegu, poczuła obezwładniające zmęczenie. Rzeczywiście, po dniu pełnym wrażeń przydałaby się odrobina snu.

– Muszę przewinąć Daniela – powiedziała Rosa, zauważywszy, że chłopiec znów zaczyna się niespokojnie wiercić.

– Patricia panią zaprowadzi.

– Naprawdę bardzo dziękujemy – powiedziała Marianna, kiedy została sama z księdzem.

– Proszę się częstować. Herbata już ostygła, zaraz przygotuję nową.

– Nie trzeba. Rosa z pewnością już nie wróci, widzę, że jest wyczerpana. Ja też już się położę. – Marianna odsunęła krzesło i wstała, ale nie odeszła od stołu. Po krótkiej chwili wahania usiadła z powrotem. – Mam jeszcze osobiste pytanie...

– Tak?

– Czy wierzy ksiądz w duchy?

Martinez uniósł brwi. Nagle uśmiechnął się smutno, ale serdecznie.

– Zastanawia się pani, czy Carlos mnie odwiedził. Otóż rozczaruję panią.



– Przepraszam, nie to miałam na myśli – sprostowała. – Chodzi o mnie... A właściwie o kobietę, której mieszkanie wynajmuję. Ta kobieta nie żyje, a mimo to widuję się z nią. To wszystko jest takie realne...

– Sądzi pani, że to duch – ni to zapytał, ni to stwierdził. Ale nie wyśmiał jej, co odebrała z ulgą.

Opowiedziała o wizytach Eleny, o ich rozmowach i umowie wzajemnej pomocy. Ksiądz słuchał z uwagą, nie przerywając. Kiedy skończyła, westchnął ciężko, wyprostował się i rozłożył ręce.

– Pani Marianno – powiedział, ale natychmiast zamilkł. Przez chwilę wpatrywał się w jeden punkt na stole, później przeniósł wzrok na Mariannę. – Cóż mogę powiedzieć... – zaczął. – To naprawdę interesujące, ale...

– Ale nie wierzy mi ksiądz.

– Tego nie powiedziałem. Chodzi mi raczej o to... Wspominała pani o rodzicach, o babci... – Ksiądz mówił powoli, z dbałością dobierając słowa. – Oczywiście nie jestem psychologiem, ale może być tak, że wizyty Eleny są odpowiedzią na ból, który pani przeżywa. Taki system obronny, który pani wypracowała. I te sny...

– To nie są sny.

– Wizje – poprawił się – są pani potrzebne. Dlatego wierzę, że tego pani doświadczasz, jednak niekoniecznie ma to związek z duszą zmarłej.

– Jej wizyty są takie realne. Poza tym powiedziała mi rzeczy, o których nie wiedziałam. Na przykład szukała broszki, którą schowała Teresa. Skąd miałabym wiedzieć o broszce?

– Czasem nieświadomie coś zauważymy, nawet nie zdajemy sobie z tego sprawy. Potem mózg to interpretuje w sposób, którego nawet byśmy się nie spodziewali.

– Ale przecież ksiądz sam naucza o życiu wiecznym.

– To prawda. Wierzymy w to, że dusza po śmierci wędruje dalej, przed oblicze Boga i staje przed Sądem.

– No właśnie. Zatem możliwe jest, że Elena...

Ksiądz pokiwał głową.

– Każdy z nas słyszał wiele takich historii, świadectw. Ja też. I choć sam podobnej nie doświadczyłem, to wierzę. Uważam jednak, że wiele z takich przypadków da się racjonalnie wytłumaczyć. I nie dlatego, żeby je negować, ale po to, żeby rozgraniczyć życie tu od życia tam. Dajmy zmarłym spokój. To dla nich najważniejsze. Chętnie odprawię mszę w intencji tej kobiety, pani babci oraz rodziców.

– Mówi ksiądz tak, jakby mi jednak nie wierzył, że Elena naprawdę przychodzi.

– A gdybym powiedział, że wierzę? Co by to zmieniło?

– Nic. Ale przynajmniej upewniłabym się, że nie oszalałam. – Marianna się uśmiechnęła.

– Powiem tak: wiedza, którą dysponujemy, nie jest w stanie wyjaśnić wszystkich zdarzeń w otaczającym nas świecie.

– To samo mówiła Elena!



## Rozdział 21



Recepcjonistka miała ognistorude włosy i Marianna zastanawiała się, czy są naturalne. Próbowwała zająć czymś myśli. Rosa zabawiała Daniela. Przyjechały do laboratorium o czasie, ale wyników jeszcze nie było. To zły znak – przebiegło Mariannie przez myśl, ale natychmiast ją odrzuciła. Denerwowała się bardziej niż poprzednio. Teraz już nie mogło być wątpliwości co do poprawności wyniku badania i dlatego obawiała się swojej reakcji, w razie gdyby wynik okazał się negatywny. Kątem oka obserwowała Rosę. Dziewczyna była pozornie spokojna, jednak jej rozbiegany wzrok, który krążył między Danielem, recepcjonistką a Marianną, pokazywał wyraźnie, że także jest w stresie i wyczekuje koperty z dużą niecierpliwością. Kiedy wreszcie dostarczono dokumenty, Rosa usiadła na krześle i przygryzła wargi. Tych kilka sekund, które upłynęły, zanim rozerwała kopertę, wydało się Mariannie nieskończonością. Przymknęła oczy, próbując opanować przyspieszone bicie serca. Gdy usłyszała szelest wyjmowanej kartki, wstrzymała oddech. Po chwili do jej uszu dotarł szloch. Otworzyła oczy i spojrzała na Rosę. Daniel, który siedział na podłodze nieopodal biurka recepcjonistki, zaciekawiony reakcją matki, przekrzywił głowę. Rudowłosa dyplomatycznie wyszła, zaszywając się na zapleczu laboratorium.

– I co? – Marianna nie wytrzymała. Wyrwała z rąk Rosy kartkę i zaczęła czytać. Po chwili jej także do oczu napłynęły łzy. Wytarła je wierzchem dłoni. Tusz spowodował podrażnienie, przez co oczy zaczęły szczypać i łzy płynęły jeszcze mocniej. Zdezorientowany Daniel przyglądał się kobietom i po chwili także się rozplakał. Rosa, pociągając nosem, podeszła do syna i w milczeniu podniosła go i przytuliła, a kiedy się uspokoił, włożyła do wózka.

– Odwiozę was – zaproponowała Marianna i wyjęła telefon, żeby zamówić taksówkę.

\*\*

W Café Caramelo świętowano urodziny Teresy. Marianna dotarła w momencie, kiedy Bolivar odpalał szampana. Wkrótce rozległo się donośne *Cumpleaños feliz*. Juanita wniosła tort, na którym rozblęskło sześćdziesiąt dziewięć świeczek. Marianna zastanawiała się, jak zdołały wcisnąć ich aż tyle. Tort dla Teresy piekła z samego rana, jeszcze przed wyjazdem do laboratorium. Martwiła się, czy nie jest za mały. Co prawda Teresa nie planowała przyjęcia, ale spodziewała się wizyty kilku zaprzyjaźnionych osób, które co roku wpadały do niej z życzeniami. Jednym z takich gości był Fernando Quesada, posunięty w wieku właściciel firmy pogrzebowej. Teresa wiedziała, że Fernando miałby ochotę na coś więcej niż tylko przyjaźń, ale był na tyle nieśmiały, że nigdy nie pozwolił sobie na większą poufałość. Zachodził do baru rzadko i zawsze przy konkretnej okazji. Był eleganckim mężczyzną i mimo wieku mógł podobać się kobietom, szczególnie że jego aparycja, maniery, ubiór oraz samochód, jakim jeździł, wskazywały wyraźnie na to, że jest nie tylko przystojny, ale też zamożny. Teresa odrzucała jego dyskretne amory, obawiając się trupiej aury, którą według niej podświadomie roztaczał. I choć nikt inny owej aury

nie dostrzegając, dla Teresy była ona wystarczającym powodem, by nie wchodzić z Fernandem w bliższą relację.

Tego dnia to jednak on śpiewał najgłośniej i to od niego dostała najwspanialszy prezent – obraz, który ją przedstawiał. Namalowany na podstawie fotografii, którą Fernando podobno ukradł z Carmen kilka miesięcy wcześniej, lecz aż do dnia urodzin nikt braku owego zdjęcia w barze nie zauważył.

Teresa wyglądała pięknie. Obecność kilkorga przyjaciół podzielała na nią niczym najlepszy balsam młodości. Roześmiana, ubrana w kremową sukienkę jaśniała radosną, lekką aurą.

– Martwiłam się już, że nie dojedziesz na tort – powiedziała do Marianny, podając jej lampkę szampana. – Wiem, że to nie pora, ale pękam z ciekawości, jak wizyta w laboratorium?

Marianna upiła łyczek i uśmiechnęła się.

– Dobrze. Daniel jest synem Carlosa. Zryczałyśmy się z Rosą jak bobry. Kamień z serca. Teraz już wszystko pójdzie gładko. Mam nadzieję.

– Mój Boże, i takie wiadomości akurat w moje urodziny. Wspaniale! – ucieszyła się Teresa. – A Cristián już wie?

– Nie. – Marianna się zmieszała. – Rozmawiałam z księdzem Martinezem, w tej euforii zadzwoniłam nawet do mojej przyjaciółki, Alicji. Ale Torresa zapomniałam powiadomić – przyznała.

– Wypadałoby.

Teresa oddaliła się do gości. W barowym ogródku nagle zaroilo się od ludzi. Zwabieni urodzinową piosenką właściciele okolicznych restauracji zaczęli się schodzić do tancerki z życzeniami. Niektórzy przynosili wino, inni kiście winogron lub kosze pomarańczy. Tortem zostali poczęstowani nawet goście, którzy spontanicznie dołączyli do świętujących.

Marianna wykorzystała chwilę zamieszania i poszła na zaplecze. Wyjęła telefon i wystukała do Cristiána krótką wiadomość: „Jest zgodność. Dziękujemy za pomoc”.

Odpowiedź przyszła dopiero nocą. Marianna kładła się już spać, kiedy zabrzączał dźwięk SMS-a.

„Czy możemy się spotkać? Chętnie poznam brata. Cristián”.

Cristián. Marianna przez chwilę wpatrywała się w ekran komórki. Ona, wysyłając wiadomość, wcale się nie podpisała, natomiast on podpisał się samym imieniem. Bez nazwiska, co mogło sugerować, że odrzucił oficjalny ton. Odpisała, żeby kontaktował się już bezpośrednio z Rosą, i podała numer telefonu do niej.

„Dziękuję”. Tym razem krótką wiadomość bez podpisu.

– Cristián – wyszeptała mimowolnie, a imię to delikatnym dźwiękiem rozpląnęło się po pokoju.

– Co za Cristián?

Marianna aż podskoczyła na donośny głos, który rozległ się tuż za jej plecami.

– Elena! Przestraszyłaś mnie! – krzyknęła urażona.

– Dalej się mnie boisz? Dobrze sobie – prychnęła Elena. – Ale była impreza! Aż żałuję, że jestem już trupem.

– Duchem – poprawiła Marianna. – Trup nie brzmi ładnie.

– W mojej sytuacji to akurat wszystko jedno. Grunt, że nie mogłam się napić, a zapewniam cię, że Limo zawsze przynosi coś specjalnego. Najlepszą nalewkę świata. Choćby dla takiej nalewki warto żyć! – Roześmiała się.

– Naprawdę byłaś z nami na dole?

– Nie widziałas mnie?

Marianna zaprzeczyła. Musiała jednak przyznać, że nie rozglądała się dokładnie. Będąc w kawiarnianym ogródku, siedziała z boku, pogrążona w rozmowie z Bolivarem, który z entuzjazmem zdawał relację z postępu prac. Jego żona, znudzona słuchaniem, tańczyła na placu razem z innymi. Może

Elena była właśnie wśród tańczących.

– No, jakże mogłaś mnie widzieć, pewnie rozmyślałaś o tym Criiiiistianie. – Elena zabawnie wywróciła oczami. – Co to za jeden? Wart twojej uwagi?

– Och, nie myślałam o nim. Zresztą to nie w takim sensie, o jakim myślisz. Nic między nami nie ma. Cristián jest synem Carlosa Torresa, który z kolei jest ojcem Daniela, który jest synem Rosy. – Marianna zamilkła i uniosła brwi, słysząc własne słowa. – Zrozumiałaś coś z tego? – spytała po chwili.

Elena oglądała swoje paznokcie, o dziwo bardzo zadbane, pomalowane na czerwono i błyszczące.

– Nic a nic – przyznała, wydymając usta. – Ale jakoś mnie to nie dziwi. Na ziemi wszystko jest zagmatwane. Tu, gdzie się teraz znajduję, jest o wiele prościej. A Rosa to kto?

– Była kochanką Carlosa Torresa.

– No to wszystko jasne.

– Naprawdę na podstawie tej informacji połapałaś się, kto jest kim?

– Nie – parsknęła śmiechem Elena. – Ale już wiem, dlaczego to takie zagmatwane. Pamiętaj, moja droga, że w kwestii miłości nic się nie zmieniło. Za moich czasów było to samo. Kiedy w grę wchodzi kochanka, wszystko zaczyna się mieszać.

– Upraszczasz.

– A tego Torresa to kojarzę. On był kiedyś toreadorem, prawda?

– Owszem. Dawno temu. Potem założył firmę produkującą ubrania dla uczestników korridy.

– Tak, tak, kojarzę go, czasem ukazywały się jego zdjęcia w prasie.

– On już nie żyje.

– No wiem, bo go przecież widziałam.

Marianna uniosła brwi.

– Ale gdzie go widziałaś? Tam?

– Tu.

– W zaświatach? – doprecyzowała, nie potrafiąc znaleźć lepszego słowa.

– W międzyświatach, jeśli już chcesz być taka dokładna. Niby dlaczego tylko na ziemi ma być świat?

– Tak się potocznie mówi.

– A ja teraz się zrobiłam mocno filozoficzna. – Elena westchnęła. – Z każdą chwilą mój umysł otwiera się coraz bardziej. To też ciekawe, na jakiej zasadzie to funkcjonuje, skoro nie mam już mózgu, prawda? Kiedyś myślałam, że mózg jest równoznaczny z umysłem. A okazuje się, że nie. Już nie mogę się doczekać, kiedy rzeczywiście przejdę na tamtą stronę. Wtedy będę wiedziała wszystko. Nawet to, o czym teraz nie wiem, że mogłabym wiedzieć.

– Naprawdę widziałaś Carlosa? – Marianna zmieniła temat na bardziej ją interesujący. – On zginął w wypadku razem z żoną.

– Żony nie zauważyłam. Może popłynęła dalej, a on się męczy.

– Co znaczy, że się męczy?

– Nieprzyjemny widok. – Elena się skrzywiła. – Nieprzyjemny. Osamotniony jest, inne dusze omijają go z daleka. Przykurczony taki, zwija się, naprawdę coś go dręczy. Widać, że sporo ma na sumieniu.

– Oj tak – westchnęła Marianna. – Już pomijam fakt, że zdradzał żonę i spłodził dziecko, którego nie chciał uznać. Mało tego: pałał nienawiścią do własnego brata. Bliźniaka, żeby było gorzej.

– Kto by pomyślał. Na zdjęciach zawsze taki zdawał się przyjemny. I przystojny, to trzeba mu przyznać.

– Jest teraz w piekle? – zainteresowała się Marianna, próbując zobrazować sobie to, co usłyszała.

– Gdzie tam, to nie takie proste dostać się do piekła. To już najcięższe kalibry. Inni mają szansę odkupienia. Carlos raczej przechodzi czyściec. Chyba żałuje tego, co nawywijał, bo naprawdę widać, że

się facet zadrecza.

– Ile to potrwa?

– A żebym to ja wiedziała! To tylko Bóg jeden raczy wiedzieć. Pewne jest natomiast, że nie doświadczałyby aż takich męczarni, gdyby ludzie, których zostawił na ziemi, myśleli o nim ciepło. A prawdopodobnie nie myślą. I dlatego wokół niego jest aura udręki i samotności. Trudno będzie mu się z niej oswobodzić.

– Jego brat dopiero niedawno dowiedział się o jego śmierci. Jest księdzem, na pewno odprawi mszę w intencji Carlosa – zauważyła Marianna.

– Jedna msza tu nie pomoże.

– No i Rosa... Teraz już chyba nie będzie klęła Carlosa, wszystko zaczyna się układać.

– Czyli co?

Marianna pokrótce streściła Elenie historię Rosy i Daniela. Opowiedziała o podjętej próbie zbadania włosów z maszynki, która okazała się podmieniona. I o wiadomości od Cristiána z zamiarem na brata bliźniaka.

– Dzięki temu udało się przeprowadzić badania i okazało się, że rzeczywiście jest zgodność genotypu. Teraz Rosa może przeprowadzić sprawę, w której oficjalnie próbkę dostarczy ksiądz Martinez. A najważniejsze, że Cristián chce poznać Daniela. Może nadarzy się też okazja, by poznał swojego wuja, z którym nie miał dotychczas kontaktu...

– Może więc Cristián nieświadomie odkupi grzechy ojca – zamyśliła się Elena. – Kto wie... kto wie, jak to w praktyce wygląda. Dobrze, że ja mam prościej.

– Ksiądz Martinez zaproponował, że może odprawić mszę także za ciebie – powiedziała Marianna.

– Za mnie nie musi! Ja sama trafię, gdzie trzeba.

– Mimo wszystko, przecież nie zaszkodzi...

– Nie zaszkodzi – przyznała po zastanowieniu Elena. – Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie jestem gotowa. Muszę tu jeszcze coś załatwić i dopiero kiedy...

– Jeszcze, jeszcze... – powtórzyła Marianna, przedrzeźniając Elenę z uśmiechem. – Ile tych jeszcze?

– Taka jesteś? – prychnęła Elena. – To może najpierw odpowiedz, ile ty jeszcze będziesz żyła cudzym życiem, zamiast żyć swoim?

– Nie rozumiem.

– Nie gniewaj się, ale tak to wygląda. Pomagasz tej Rosie, co oczywiście się chwali, jednak przez to zaniedbujesz własne potrzeby.

– Nie mam żadnych.

– No jaka pyskata! Oczywiście, że masz, każdy ma! Aha, i jeszcze pomagasz moim dziewczynom.

– Przecież taka właśnie była nasza umowa! To ty wymyśliłaś, żebym im pomogła.

– A ty się zgodziłaś.

– Bo chciałam, żebyś skontaktowała się z babcią.

– Ty już mi lepiej nie wypominaj, że wchodziłam z tobą w jakieś układy – mruknęła Elena.

– A ty mi nie wyliczaj, komu pomagam – odcięła się Marianna.

– Ważne, żebyś w końcu pomogła i sobie. Zresztą nie pora na kłótnie. Jeszcze mnie znienawidzisz i zaczniesz myśleć o mnie źle, a wtedy skończę jak Carlos. – Elena się wzdrygnęła. – A tak w ogóle to wpadłam, żeby ci podziękować. Kawiarnia zaczyna żyć. Świetny miałaś pomysł z tym karmelem.

– Jeszcze chyba za wcześnie na podziękowania. Na razie widać nieznaczny wzrost liczby klientów. Być może przychodzą z ciekawości.

– Ależ z ciebie pesymistka! Będzie dobrze! Przynajmniej ja już jestem spokojniejsza. Teraz na pewno dadzą sobie radę.

– A co u Manuela?

– Nawiedzam go w snach. Mam nadzieję, że w końcu mnie rozpozna. I zateśni... – rozmarzyła się

Elena.

\*\*

Sen miała mocny. Jakby nagle jej organizm postanowił odespać wszystkie niespokojne noce i pełne wrażeń dni. Wyjątkowo nieprzyjemna aura za oknem też sprzyjała polegiwaniu pod miękkim kocem. Dopiero natarczywy dźwięk telefonu wybudził ją na tyle, że podniosła się z łóżka.

– Halo? – powiedziała do słuchawki ochryłym głosem. Odchrząknęła i dodała: – Cześć, Rosa.

– Co z tobą? Wydzwaniam od rana!

– Spałam.

– Słuchaj. Dzwonił dziś do mnie Cristián. Chce się spotkać.

– Wiem. Dałam mu numer. – Marianna przetarła dłonią zaspane oczy. Było już grubo po dwunastej w południe.

– Zaskoczył mnie, nie wiedziałam, co powiedzieć... Nie wiem, co on kombinuje.

– A co ma kombinować? Chce poznać brata.

– Akurat – prychnęła Rosa. – Takim jak on lepiej nie ufać.

– Przecież to od niego dostałyśmy namiar na księdza.

– Mimo wszystko wyczuwam podstęp.

– Czyli nie umówiłaś się? – Marianna bardziej stwierdziła, niż spytała.

– Umówiłam. Ale teraz nie wiem, czy dobrze zrobiłam... Umówiłam się, bo mnie zaskoczył i w pierwszym odruchu pomyślałam, że lepiej mieć dobre stosunki. Kto wie, co jeszcze się wydarzy na sprawie...

– Słusznie – przyznała Marianna.

– Ale z drugiej strony, co miałoby się wydarzyć? Martinez zgodził się nam pomóc. To po co nam Cristián. Wypłacą mi pieniądze i tyle. Nie potrzebuję ani Cristiána, ani Chica.

– Wiem, Rosa. – Marianna ciągle czuła się nierozbudzona. – Ale mimo wszystko są przyrodni braćmi Daniela. Może Cristián nie ma złych intencji. Sama nie wiem. To kiedy się spotykacie?

– No właśnie... Nie chciałam go zapraszać do siebie. Z uwagi na matkę, no wiesz. Dzisiaj rano była trzeźwa, ale nie wiem, co będzie wieczorem.

– Powiedziałaś jej o wynikach badań?

– A skąd! Tak jak ustaliłyśmy, na razie trzymam język za zębami. Jeszcze zaczęłaby chlać z radości i zadłużać nas na poczet spadku.

– Dobrze. – Marianna mimowolnie ziewnęła. – To gdzie się umówiłaś z Cristiánem?

– U ciebie.

– Gdzie?

– W Carmen. To znaczy w Caramelo. Pomyślałam, że na neutralnym gruncie będzie prościej.

– Nie wiem, czy to jest neutralny grunt – wyraziła niepokój Marianna.

– W razie gdybyśmy się na siebie rzucili z nożami, to lepiej w Caramelo niż w obcym miejscu, prawda?

– No, jak się rzucicie na siebie z nożami, to reklama dla Caramelo gwarantowana – przyznała ponuro Marianna. – To o której ma przyjechać?

– Wieczorem. Około dziewiętnastej.

– Dlaczego tak późno? Daniel będzie już zmęczony.

- Właśnie dlatego. Szybciej skończymy spotkanie. Powiem, że dziecko już jest zmęczone i musimy wracać.
- Aha. – Marianna nie do końca zrozumiała tok myślenia Rosy. – Czyli o dziewiętnastej, tak?
- Tak. Ja dotrę chwilę wcześniej. Mam nadzieję, że będziesz na miejscu?
- Rosa... – Marianna się zawahała. – Moja rola już się skończyła. Teraz założysz sprawę, a w tym pomogą już prawnicy. Nie jestem ci potrzebna. Tak samo jeśli chodzi o rodzinne spotkania.
- Jesteś potrzebna! – krzyknęła Rosa. – Nie możesz mnie tak zostawić! To nie jest moja rodzina! Błagam, bądź dzisiaj. Boję się tego faceta.
- Przesadzasz.
- Niby tylko dlatego, że dał namiary na Martineza, stał się innym człowiekiem? Wcześniej wysłał nas do diabła, zapomniałaś już? Takim jak on nie można ufać. Wiem, co mówię, to syn Carlosa. Gdyby Carlos był uczciwy, nie byłoby sprawy.
- Wiem, Rosa. Ale z drugiej strony, po co Cristián miałby ujawniać brata bliźniaka, gdyby nie chciał zakończyć tej sprawy w miarę polubownie.
- Obyś miała rację. To co, będziesz o dziewiętnastej w Caramelo?
- A gdzie mam być? Będę.
- Super – powiedziała na zakończenie Rosa i się rozłączyła.
- Dziękuję, Marianno – westchnęła do głuchej już słuchawki Marianna. – Proszę bardzo, nie ma sprawy – odpowiedziała sobie, odkładając telefon na stolik.



## Rozdział 22



To był jeden z tych wieczorów, które sewilczycy uwielbiają, a turyści nie znoszą. Padał deszcz. Liście pomarańczowych drzewek połyskiwały drobinkami wody w świetle księżyca i przydrożnych latarni. Deszcz nie zacinał mocno, dzięki czemu niektóre ogródki barowe działały jak zwykle. Mało kto jednak decydował się w nich przesiadywać. Tym bardziej że nagle zrobiło się chłodno, a restauratorzy nie przewidzieli dla gości kocyków, tak popularnych w północnej części Europy.

Cristián zaparkował niedaleko wejścia do Carmen. Nie miał parasolki, dlatego wysiadłszy z samochodu, odruchowo pochylił głowę, chroniąc twarz przed deszczem.

W kawiarni było niemal pusto. Rosa i Marianna siedziały przy stoliku umiejscowionym nieopodal witryny chłodniczej, w której kolorami mieniły się torciki, babeczki, bezy i mnóstwo innych ciastek. Cristiána aż zemdliło na widok tylu słodczy. Rzadko sięgał po łakocie. Jeśli już mu się zdarzało, to zazwyczaj wybierał desery na bazie owoców.

Rosa miała Daniela na kolanach. Chłopiec siedział spokojnie, trzymając w ręku pusty wafelek od lodu. Pogryzał dziąsłami, w których bieliło się już kilka zębów.

– Dobry wieczór – przywitał się Cristián. Marianna i Rosa skinęły głowami. Rosa wskazała wolne miejsce przy stoliku i wyjęła teczkę z dokumentami, którą położyła przed mężczyzną.

– Proszę przejrzeć. To wynik badania genetycznego.

– Nie muszę. Wierzę, że jest zgodność.

– Jakoś wcześniej nie miał pan tej wiary – zauważyła zgryźliwie Rosa. Cristián przemilczał tę uwagę.

– Cześć – powiedział, nachylając się nad chłopcem. Marianna zauważyła w jego oczach szczery uśmiech. Daniel odpowiedział mu tym samym. – Mam na imię Cristián, a ty?

– Jeszcze nie mówi – wtrąciła Rosa. – Daniel.

– Daniel. Miło mi cię poznać.

Chłopiec z zaciekawieniem patrzył na Cristiána. W pewnej chwili drobna piąstka, którą ścisnął wafelka, przysunęła się pod twarz mężczyzny, usiłując wpakować mu wafla do ust. Cristián z uśmiechem ugryzł kawałek i teatralnie pogłaskał się po brzuchu.

– Pycha! Mniam! Mniam!

Daniel się uśmiechnął. Zadowolony, przesunął piąstkę w kierunku Rosy.

– No dobrze – powiedziała dziewczyna, odsuwając dłonią wafelek. – Wystarczy, nie musisz nas karmić. Wskakuj do wózka. – Podźwignęła Daniela i włożyła do stojącej przy stoliku granatowej spacerówki. Chłopiec nie protestował. Z radością zgniół resztę wafla i teraz z wielkim zaangażowaniem wyjadał z kocyka okruszki.

– No to poznał pan Daniela – powiedziała oschłym głosem Rosa.

– Dziękujemy za kontakt do księdza Martineza – wtrąciła szybko Marianna, pragnąc zachować w miarę przyjazną atmosferę spotkania. – To wiele nam ułatwiło.



– Ja też chciałem uniknąć ekshumacji.

– To, nawiasem mówiąc, bardzo miły człowiek. Szkoda, że nie utrzymujecie kontaktów.

– Jakoś się nie złożyło – odparł zwięźle Cristián i Marianna zrozumiała, że nie ma co ciągnąć tego tematu.

– Teraz, z uwagi na to, że Daniel jest małoletni, Rosa w jego imieniu założy sprawę. Sąd zapewne powoła księdza Martineza na świadka i jednocześnie dawcę materiału genetycznego. Potem...

– Tak, wiem, jak to wygląda – przerwał jej Cristián. – Wybrały już panie kancelarię, która poprowadzi tę sprawę?

– Mamy prawnika – powiedziała Marianna. – Jeszcze się z nim nie widziałyśmy, musiałyśmy odwołać wizytę z powodu wyjazdu do Sierra Nevada. Jesteśmy ponownie umówione w poniedziałek.

– Rozumiem. W razie potrzeby proszę do mnie zadzwonić. Mamy doskonałą kancelarię, z pewnością przeprowadzą wszystko fachowo i szybko.

– Nie trzeba – powiedziała Rosa. – Damy sobie radę.

– Z pewnością – przyznał Cristián. Mówił spokojnie, a w jego głosie nie wyczuwało się sarkazmu, dzięki czemu Marianna spojrzała na niego o wiele życzliwiej niż dotychczas. Rosa jednak wciąż patrzyła na niego nieufnie i bez cienia uśmiechu.

– Nie wiadomo, ile to wszystko potrwa – dodała Marianna. – Jednak mamy nadzieję, że teraz, kiedy okazało się, że Daniel naprawdę jest synem Carlosa, nie będą panowie robili problemów.

– Za siebie gwarantuję. Co do Chica... Same panie wiedzą, jak jest.

– Co z nim? Dalej jest w szpitalu? – podjęła Marianna.

– Tak. Przeszedł zabieg detoksykacji, zrobiono mu też badania. Teraz ma skierowanie na leczenie stacjonarne, terapię w ośrodku, ale o ile go znam, raczej nie skorzysta.

– Wolałabym, żebyście nie kombinowali – powiedziała Rosa, niezainteresowana tematem dotyczącym zdrowia Chica. – Te pieniądze się po prostu Danielowi należą!

– Oczywiście – przyznał spokojnie Cristián. – To, co prawda, nie taka fortuna, jak się rozpisywała swego czasu prasa, ale też nie mała kwota. Co pani zamierza z zrobić z pieniędzmi?

– A co pana to obchodzi? – warknęła Rosa.

– Może warto byłoby założyć fundusz dla dziecka. Mam prawników, mogliby pomóc w zarządzaniu...

– Dziękuję bardzo – przerwała kategorięcznym tonem Rosa. – Dam sobie radę. Już niech pana o to głowa nie boli.

– Okej. – Cristián w geście poddania rozłożył ręce nad stolikiem.

– Ojej! – krzyknęła nagle Marianna. – Przepraszam, nawet nie zaproponowałyśmy panu nic do picia. Na co ma pan ochotę? Serwujemy doskonałą kawę mrożoną. Chociaż o tej porze i w taką pogodę to chyba nie bardzo...

– Może być kawa mrożona – zgodził się Cristián.

– Daniel jest już zmęczony, za chwilę będziemy wracać – podjęła Rosa, patrząc na syna, który rzeczywiście przymknął oczy, oparty o zagłówek wózka.

Marianna, upewniwszy się, że Cristián nie ma ochoty na ciastko, zamówiła u Juanity dwie kawy mrożone oraz cappuccino dla Rosy i wróciła do stolika.

Nagle Rosa pociągnęła nosem, wyczuwając nieprzyjemny zapach, który towarzyszył im już od kilku dobrych minut.

– Cholera – zaklęła pod nosem. – Muszę go przewinąć. – Mówiąc to, wstała i pchnęła wózek w kierunku łazienki. – Zaraz wracam.

Juanita właśnie przyniosła kawy oraz dzbanek wody, w którym oprócz cytryny i mięty pływały też kawałki pomarańczy. Bez słowa postawiła wszystko na stoliku i odeszła.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza. Kelnerki snuły się po kawiarni, łypiąc spod oka na Cristiána. Mężczyzna upił łyk kawy i uśmiechnął się z uznaniem. Nie była zbyt słodka.

– Jak pani sobie daje radę? – spytał nagle.

– Nie rozumiem. – Marianna podniosła wzrok. – Pyta pan o sytuację z Rosą?

– Pytam o panią. Jak sobie pani daje radę, sama, po śmierci rodziców, babci.

Marianna zamilkła. Patrzyła na niego ze zdziwieniem, usiłując nie okazać zdenerwowania, które nagle poczuła.

– Skąd pan wie? – spytała po dłuższej chwili.

– Poniekąd sama mi to pani powiedziała, wtedy, na balu. Ale wówczas jeszcze nie rozumiałem pani słów. Przepraszam za swoje zachowanie.

Marianna, nie bardzo wiedząc, jak zareagować na przeprosiny, które wydawały się szczere, po prostu skinęła głową.

– To skąd pan wie?

– Myślę, że mamy tego samego informatora. Mówię o Vincencie. Domyślam się, że to od niego się pani dowiedziała, że to nie ja pojechałem do letniego domku rodziców. Mimo to zapewniam, że byłem przekonany, że maszynka naprawdę należała do ojca. Zastanawia mnie tylko, dlaczego Vincent gra na dwa fronty.

– Nie znam Vincenta.

Tym razem Cristián wyglądał na zaskoczonego. Zmrużył oczy.

– To skąd? – spytał, nie kończąc zdania.

– Był u mnie Chico – wyjaśniła bez oporów Marianna. – Powiedział, że zapłacił pan Vincentowi za podłożenie fałszywej maszynki. Usiłował pójść ze mną na układ, mówił, że da mi prawdziwe próbki. W zamian oczekiwał pieniędzy.

– Chico! – krzyknął Cristián i odchylił się na krześle, jakby dopiero teraz do niego dotarło, że jego brat może coś wiedzieć na temat całej sprawy. – To oczywiście bzdury, nie płaciłem Vincentowi żadnych pieniędzy. Ale skąd Chico...? Nie mówiłem mu ani o pani, ani o Rosie, ani o dziecku.

– Może więc od Vincenta. – Marianna wzruszyła ramionami. – Jak widać, tamte wyniki badań nie potwierdziły ojcostwa, więc możemy wnosić, że jednak materiał do badań został podmieniony.

– To prawda...

– A zatem. No cóż. Nie moja sprawa. Ale chyba dobrze by było, gdyby bardziej przyglądał się pan ludziom, którymi się otacza – powiedziała z niemałą satysfakcją w głosie.

– I vice versa – odciął się Cristián.

– Co pan ma na myśli? Powiedziałam już, że nie znam Vincenta, a według pana to on był informatorem.

– Owszem, ale przecież nie wyssał sobie tego z palca. Ktoś mu tych informacji dostarczył, prawda?

– Kto?

– O rany, już jestem. – Zaabsorbowani rozmową nie zauważyli, że przy stoliku pojawiła się zdyszana Rosa. – Trochę to trwało, ale kupa była naprawdę wielka. Ulżyło mi, bo od dwóch dni nic. Naprawdę się martwiłam – mówiła jak nakręcona – co za ulga! Obsrał się aż po plecy. – Roześmiała się spontanicznie. – Niestety, nie mam już przy sobie pieluch, naprawdę musimy wracać. Zamówię taksówkę – powiedziała, układając przysypiającego Daniela wygodniej w wózku.

– Odwiozę was – zaproponował Cristián.

– Nie trzeba. – Rosa zgromiła go wzrokiem. – Damy sobie radę.

– Wiem. Ale to dla mnie nie problem. Zaparkowałem niedaleko. Teraz już chyba nawet nie pada. – Zerknął za okno, szukając potwierdzenia swoich słów. Rzeczywiście, deszcz ustał. – Zresztą mogę podjechać jeszcze bliżej.

– No dobra – zgodziła się Rosa. – Tylko bez głupiej gadki w samochodzie. Nie będę odpowiadała na żadne pytania. Ani nie odstąpię od sprawy – zaznaczyła z mocą.

– Oczywiście. – Cristián nieznacznie się uśmiechnął.

Kiedy z pomocą Marianny złożyli wózek i umocowali na tylnym siedzeniu jego siedzisko pełniące funkcję fotelika, Rosa weszła do samochodu, okrywając śpiącego Daniela kocem.

– Dobranoc. – Cristián podał Mariannie dłoń na pożegnanie.

– Nie tak prędko. Proszę mi powiedzieć, kto...

– Jedziemy? – Rosa zastukała w szybę, pospieszając Cristiána.

Marianna patrzyła na niego, czekając na odpowiedź.

– Znam świetną knajpę – powiedział nagle szeptem, jakby nie chciał, żeby Rosa to usłyszała. – Prawdziwe hiszpańskie specjały. Przyjadę po panią jutro o dziewiętnastej.

Nie czekając na odpowiedź, wszedł do samochodu i po chwili odjechał, zostawiając oszołomioną Mariannę pod wejściem do Café Caramelo.

\*\*\*

Teresa miała wypieki na twarzy, kiedy ze słuchawką przy uchu usiłowała coś wytłumaczyć na migi pracującej w kuchni Mariannie. Dziewczyna wyteżała wzrok, ale nie sposób było zrozumieć gestykulacji tancerki. Zaciekawiona Juanita podeszła do Teresy i spojrzała na kartkę, na której Teresa bez przerwy coś zapisywała. Po chwili jej twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. Teresa akurat skończyła rozmawiać przez telefon.

– Nie do wiary! – krzyknęła podekscytowana.

– Ale co się stało? – spytała Marianna, wycierając oblepione ciastem ręce w ściereczkę.

– Mamy olbrzymie zamówienie na ciasta! Z hotelu Vincci. Obsługują dwa wesela, rozchorował się ich cukiernik, nie mają zastępstwa. Zamówili dwa torty i mnóstwo innych słodkości! Musieli już u nas być, próbować, bo doskonale wiedzieli, czego chcą.

– Na kiedy?

– Na sobotę.

Mariannę oblał pot. Był czwartek. Biorąc pod uwagę zaplanowane wieczorne wyjście z Cristiánem, nie było szans, żeby wyrobiła się do soboty. Dwa torty, ciasta, ciasteczka.

– Nie dam rady – jęknęła cicho.

– Dasz.

– Muszę odwołać spotkanie...

– Nic nie musisz. Przecież jest nas kilka – przypomniała Juanita. – I tak musimy nauczyć się tych wszystkich przepisów. Jeśli zamówienia będą się powtarzać?

– Oby! – Teresa wzniosła oczy ku niebu.

– To prawda – przyznała Marianna. – No dobrze, do roboty!

Odebrała od Teresy kartkę i z satysfakcją stwierdziła, że wszystkie torty mają mieć przynajmniej jedną karmelową warstwę, a zatem rzeczywiście ktoś z hotelu musiał próbować już specjałów Café Caramelo.

– Od czego zaczynamy? – spytała Juanita.

– Od listy zakupów.

Pracowały niemal bez przerwy. Marianna dyrygowała, tłumacząc, że w przypadku ciast pośpiech wcale nie jest wskazany. Luisa łapała wszystko w mig – naprawdę miała talent, podobnie Juanita, która wykazała się niezwykłymi zdolnościami w zakresie ubijania jaj i kręcenia masy. Najgorzej w temacie

słodkości wypadały Teresa z Veronicą, co w przypadku tej ostatniej nieco dziwiło, bo przecież wcześniej zajmowała się gotowaniem.

Marianna podzieliła pracę, sugerując, że do pomocy wystarczą jej Luisa i Juanita. Teresa i Veronica miały w tym czasie obsługiwać gości. Jak na złość pogoda sprzyjała i do Café Caramelo schodziły tłumy spragnione mrożonej kawy. Niektórzy do kawy zamawiali ciastko, przez co zapasy wystawione w lodówce szybko się skończyły. Radość Teresy z tego powodu szybko zbladła, kiedy okazało się, że ci, dla których nie starczyło, zaczynają marudzić, złorzecząc na karmelową kawiarnię, w której nie ma karmelu.

– Tereso, nie damy rady teraz – tłumaczyła Marianna.

– Chociaż kilka, błagam, klienci się obrażą i nigdy nie wrócą.

Marianna ugiwała się pod tymi prośbami i dawała kilka babeczek udekorowanych z myślą o weselnych gościach. To powodowało, że słodkości dla weselników ubywało, podobnie jak czasu na realizację zamówienia. Okazało się także, że brakuje blach do pieczenia i foremek. Piece pracowały na pełnych obrotach. Przymusowe przerwy w pracy pozwalały na chwilę oddechu.

– Nie zdążymy – martwiła się Marianna.

– Już dzwoniłam do Bolivara – powiedziała Luisa. – Kupi formy. Zdążymy.

Ustawione na blatach ciasta stygły, w misach pyszniły się kolorowe kremy. Część wypieków udało się udekorować i można je było wstawić do lodówki. Kobiety padały z nóg.

Juanita narzekała na kręgosłup, Luisa – mimo że głośno się nie żaliła – także dyskretnie rozmasowywała sobie kark. Zbliżała się osiemnasta, kiedy Marianna zauważyła niepokojące objawy u babć.

– Idźcie odpocząć – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Ja upiekę jeszcze biszkopty do tortów. Jutro będziemy dekorować.

Kobiety spojrzały na nią z nieskrywaną ulgą.

– Ale przecież masz spotkanie – przypomniała Juanita. – Nie zdążysz. My upieczemy. Albo zróbmy to jutro.

– Spotkanie odwołam. A jutro wolę się nie stresować. Co będzie, jeśli biszkopty nie wyrosną? Na wszystko potrzeba czasu. Jutro jeszcze sporo pracy przed nami. W sobotę możemy już tylko dopieszczać, pakować.

– Nic nie odwołuj – zaprotestowała Luisa. – Też należy ci się relaks.

– Marianna, masz gościa! – Teresa, wyraźnie zabiegana i równie zmęczona po całym dniu kelnerowania, zajrzała do kuchni i natychmiast zniknęła.

Marianna spojrzała na zegarek. Było kilka minut po osiemnastej.

– Za wcześnie! – krzyknęła przerażona. Zdawała sobie sprawę z tego, jak wygląda. Cały dzień spędzony w kuchni spowodował, że jej sukienka – mimo iż zabezpieczona fartuszką – pobrudziła się kremami. Włosy pozostawiały wiele do życzenia, nie tylko fryzura, ale też kolor. Przyprószony mąką ciemny brąz wyraźnie zmatowiał, sprawiając, że twarz Marianny zdawała się bledsza i pozbawiona blasku.

– Dobrze wyglądasz – pocieszyła bez przekonania Luisa.

– Tylko fartuch zdejmij – dodała Juanita. – A właściwie z kim jesteś umówiona? – spytała, ale Marianna już nie usłyszała, ponieważ zamknęła się w łazience na zapleczu.

Usiłowała doprowadzić się do porządku, ale nie miała tam ani szczotki do włosów, ani kosmetyków, nie mówiąc o świeżym ubraniu. W efekcie machnęła ręką i tylko starła z twarzy przyschniętą plamę z mąki.

– Na szczęście to nie randka – powiedziała, patrząc w lustro, i nagle zdała sobie sprawę, że radość jest tylko pozorna, ponieważ w głosie wybrzmiał nieoczekiwany żal. Marianna westchnęła ciężko i wyszła z łazienki. Zaplanowała, że przeprosi Cristiána z powodu zmiany planów i po prostu przełoży spotkanie na inny termin. Nie chciała go odwoływać, ciekawość, którą osobę miał na myśli, okazała się zbyt silna, by zrezygnować z rozmowy na ten temat.

Przybrała swobodny wyraz twarzy i przeszła do baru.

– Piotr! – krzyknęła, zauważywszy stojącego przy ladzie chłodniczej profesora. – Ty tutaj? Nie masz zajęć ze studentami w Polsce?

Nie jego się spodziewała i przez to nie bardzo wiedziała, jak zareagować.

– Cześć – przywitał się. Był wyraźnie spięty. – Nie mogłem się do ciebie dodzwonić. Numer w ogóle nie odpowiada.

– Mówiłam przecież, że zgubiłam telefon, podawałam nowy numer.

Spojrzał na nią, jakby dopiero teraz się o tym dowiedział. Machinalnie wyjął z kieszeni komórkę i przeszukał kontakty.

– No tak – przyznał. – Cholercia, rzeczywiście. Zapomniałem. Tamten muszę już wykasować. Masz chwilę?

– A co się stało? Możesz wpaść jutro? Mam teraz trochę pracy. Poza tym...

– To naprawdę ważne. Wziąłem kilka dni wolnego, ale w niedzielę muszę wracać. Teoretycznie leżę w domu z gorączką czterdzieści stopni.

– O Boże! I przyleciałeś do Sewilli? To naprawdę musi być ważna sprawa. Dobrze, usiądźmy. – Marianna rozejrzała się po wnętrzu. Wiele stolików było zajętych, dwa wolne dostrzegła pod ścianą. – Napijesz się czegoś?

– Już zamówiliśmy.

– My? Nie jesteś sam?

– Z mamą. Siedzi na ogródku.

– Jest tu twoja mama?

– Przylecieliśmy rano, ale dla mamy to duże przeżycie, pierwszy raz leciała samolotem, musiała odespać. Dopiero teraz mogliśmy przyjść.

– Masz tu znowu wykłady?

– Jestem całkowicie prywatnie. Masz chwilę? – ponowił pytanie.

– No dobrze, czyli mam iść na ogródek?

– No tak, mama czeka.

Marianna zrobiła kilka kroków, ale nagle się zatrzymała.

– Ale o co konkretnie chodzi?

– Zaraz wszystko omówimy, nie chcę zaczynać bez mamy. Po co się powtarzać.

Marianna, pełna złych przeczuc, ruszyła za Piotrem. Idąca z naprzeciwka Teresa skrzywiła się dziwnie, ale Marianna nie potrafiła zinterpretować, czy mina związana jest z Piotrem, jego mamą, czy może jeszcze z czymś innym.

Ogródek, podobnie jak wnętrze kawiarni, tętnił życiem. Dopiero teraz Marianna zrozumiała, jak wiele pracy miały dziś Teresa z Veronicą. Taki dzień zdarzył się po raz pierwszy, odkąd ruszyło Café Caramelo. Napawał zarówno nadzieją, jak i strachem, bo przecież jeśli kawiarnia rzeczywiście zdobyłaby popularność, trzeba by było pomyśleć o rozwoju, zatrudnieniu nowych pracowników, także do kuchni. Marianna obawiała się, że tancerki nie są jeszcze na to gotowe. Zauważyła, że lubią mieć wszystko pod kontrolą i pomijając osobę Marianny czy jednorazową pomoc Rosy, trudno je będzie przekonać do przyjęcia kogoś zupełnie nowego.

Na razie postanowiła się tym nie martwić. Teraz jej uwagę ściągnęła kobieta siedząca przy stoliku w rogu ogródka. Matka Piotra. Była niewysoka i bardzo szczupła. Miała około osiemdziesięciu lat, ale w rzeczywistości mogła być młodsza, tyle że usiana zmarszczkami twarz potęgowała wrażenie starości. Kobieta była ubrana w limonkową garsonkę, słomiany kapelusz o szerokim rondzie i jasne czółenka na płaskim obcasie. Nie było parno, a mimo to wachlowała się sporych rozmiarów wachlarzem.

– Dzień dobry – przywitała się Marianna, podając rękę.

– Ach, dzień dobry! Pani Marianna, jak mniemam? Grażyna Pawlicka. Cieszę się, że w końcu panią poznałam. Piotr tak wiele opowiadał...

Marianna przysiadła się do stolika, na którym stały już dwie filiżanki cappuccino oraz talerzyk z torcikiem.

– Słyszałam, że pierwszy raz leciała pani samolotem – podjęła Marianna, nie bardzo wiedząc, o czym z mamą Piotra rozmawiać i jaki jest cel ich wizyty, bo przecież gdyby wpadli towarzysko, Piotr nie wspominałby o ważnej sprawie i nie byłby aż taki spięty.

– Nie taki diabeł straszny, jak go malują – skwitowała pani Grażyna, składając wachlarz. Wydawała się przyjemną osobą, chociaż ton głosu oraz sposób, w jaki się wypowiadała, powodowały, że Marianna odczuwała w stosunku do niej dystans.

– Piotr zapewne opowiadał pani o Sewilli. To piękne miasto. Domyślam się, że zapragnęła pani je zobaczyć. – Marianna delikatnie próbowała wybadać powód przyjazdu. Nie chciała tracić czasu na rozmowy o niczym.

– Och, pięknych miast na świecie jest tyle, że życia nie starczy – odpowiedziała starsza pani. – Piotrze, rozumiem, że pani Marianna nie orientuje się jeszcze, o co chcesz ją prosić?

– Nie miałem okazji wyjaśnić – powiedział speszony nieco Piotr. – Swoją drogą – rozejrzał się wokół – duże zmiany... Ostatnio w tym miejscu była zapyziała knajpa...

Marianna skinęła głową.

– Ale ty chyba nie o tym, prawda? – Grażyna z uśmiechem mrugnęła do syna.

– No tak. – Odchrząknął. Przez chwilę wpatrywał się bezmyślnie w filiżankę cappuccino, ale jej nie tknął. Słysząc było jednak, jak przełyka głośno ślinę. – Bo widzisz – zwrócił się wreszcie do Marianny. – Przyjechałem, żeby się oświadczyć.

– No właśnie – potwierdziła Grażyna z satysfakcją, że syn w końcu to z siebie wydusił.

Marianna zbladła.

– Chcesz mi się oświadczyć? – wydukała, czując, że zaschło jej w gardle. Jeszcze tego brakowało, co za oszołom, przemknęło jej przez myśl. Zanim jednak otrząsnęła się z szoku, Piotr nachylił się i złapał ją za rękę.

– Przepraszam cię – powiedział żarliwie. – Głupio wyszło. Jesteś miłą dziewczyną i naprawdę bardzo cię lubię. I jesteś też ładna, oczywiście. Ale nie chodzi o ciebie.

Do Marianny jeszcze nie docierał sens tych słów. Wpatrywała się to w Piotra, to w jego matkę, którzy z kolei wpatrywali się w nią.

– Nie o mnie – powtórzyła po chwili.

– Nie o ciebie.

– To po co tu przyszedłeś? – spytała, odzyskując jasność umysłu.

– Niech się pani nie obraża – odezwała się nagle Grażyna. – Syn bywa nieokrzesany, ale to dobry chłopiec. Nie chciał pani zranić. Proszę mi wierzyć, że najpierw to o pani myślał, no ale kiedy pojawiła się ta Rosa...

– Rosa?! – Marianna z niedowierzaniem spojrzała na Piotra. – Rosa?

Piotr przytaknął.

– Ale wy przecież się nie znacie – zauważyła Marianna. – Rozmawialiście tylko raz.

– Och, niechże pani nie będzie zazdrosna! – obruszyła się Grażyna.

Marianna puściła uwagę mimo uszu.

– Zresztą to nawet nie była rozmowa – powiedziała, wciąż oszołomiona rozwojem wypadków – przecież nie znasz hiszpańskiego, a Rosa nie zna polskiego. Po angielsku ledwo duka... O czym mogliście rozmawiać?

– Już niech się pani nie czepia szczegółów – wtrąciła uprzejmie Grażyna.

– No właśnie dlatego jesteś mi potrzebna. Jako tłumacz – wyjaśnił szybko Piotr.

– Nam, synku. Nam – podkreśliła Grażyna. – Nie zapominaj, że jutro ja także będę obecna.

– Jutro chcesz się oświadczać? – spytała Marianna.

– Nie. Jutro będzie zapoznanie. Mama chce najpierw ocenić...

– O Boże – jęknęła Marianna.

– A kiedy wszystko pójdzie dobrze – ciągnął Piotr – to w sobotę się oświadczę, ustalimy szczegóły, resztę przez Skype'a. W niedzielę muszę wracać, mamy już zabukowane bilety.

– Piotr, czy ty oszalałeś?! – wybuchła Marianna.

– Dlaczego? – spytał zdziwiony.

– Przepraszam bardzo. – Grażyna nachyliła się nad Marianną. – Proszę nie krzyczeć i nie robić tutaj cyrków. Przyjechaliśmy do pani z prośbą. Nie życzymy sobie, żeby oceniała pani decyzje mojego syna. Kto pani niby jest, jego matka?

Marianna poprosiła przechodzącą właśnie obok Veronicę o szklanek wody z lodem.

– Proszę wybaczyć – zwróciła się po chwili do matki Piotra. – Ale Rosa jest moją... – zamilkła, szukając odpowiedniego słowa – podopieczną. To młoda dziewczyna i jestem za nią odpowiedzialna – dodała stanowczo.

– I bardzo dobrze. Piotr, zapewnij panią Mariannę, że krzywda się Rosie nie stanie, wręcz przeciwnie.

– Nie stanie się. Chcę ją zabrać do Polski. Zamieszka z nami. Będzie jej bardzo dobrze – zapewnił Piotr.

– Czy po tym jednym spotkaniu rozmawiałeś jeszcze z Rosą, na przykład telefonicznie? – spytała Marianna.

– A skąd, niby po jakimu? Zresztą nie mam do niej numeru.

– To dlaczego sądzisz, że mogłaby się zgodzić na ślub?

– A dlaczego miałyby się nie zgodzić? – odparł Piotr.

– Po pierwsze się nie znacie, po drugie – nie wiesz nawet, czy byłaby tobą zainteresowana, po trzecie – jesteście z różnych światów, kultur, nie mówiąc już o języku.

– Droga pani, w dawnych czasach swatano pary, które poznawały się dopiero na ślubnym kobiercu – zauważyła z uśmiechem Grażyna. – I nierzadko też z różnych krajów. Weźmy taką Bonę, była Włoszką, a wyszła za Zygmunta Starego.

– Ale to nie są dawne czasy – zaproponowała Marianna.

– A szkoda.

– Posłuchaj – wtrącił Piotr. – Odnosząc się do twoich wątpliwości, to oczywiście masz rację. Ale patrząc na to wszystko z drugiej strony, to niby dlaczego Rosa miałyby się nie zgodzić? Nie jest głupią dziewczyną. Znasz jej sytuację najlepiej. Samotna matka, bez perspektyw, z matką alkoholicką na głowie...

– Skąd wiesz o matce? – zjeżyła się Marianna.

– Spotkaliśmy ją przed blokiem. Zataczała się, aż żal było patrzeć. Pomyślałem wtedy, że wyrwę tę dziewczynę ze slumsów. Może i nie jestem księciem, ale stałą pracę mam. Ona jest młoda, języka się

nauczy, co za problem.

– No, rzeczywiście, żaden – parsknęła Marianna. Nie chciała się wdawać w dyskusje, a tym bardziej tłumaczyć Piotrowi, że sytuacja Marianny nie jest aż tak dramatyczna, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Nie zamierzała wyjawiać mu, że Rosa lada dzień dostanie niemały spadek i choć będą to pieniądze Daniela, to przecież i ona na pewno z nich skorzysta.

– Miłość też przyjdzie, z czasem – odezwała się Grażyna. – Najważniejsze jest życie, codzienność. Cóż komu po miłości, jeśli nie ma co do garnka włożyć. Najlepsze związki się wtedy rozpadają. A u nas będzie odwrotnie. Najpierw skleimy, potem się pokochają – wyjaśniła, sięgając po talerzyk z torcikiem.

– Muszę ochłonąć. – Marianna wstała i przeciskając się między stolikami, poszła do kawiarni. Piotr natychmiast pobiegł za nią.

– Zazdrosna jest! – krzyknęła za nim matka. – Delikatnie trzeba!

Dobiegł do Marianny w czasie, kiedy wchodziła na zaplecze. Nie zważając na zdumione spojrzenie Teresy, przeszedł za bar i zatrzymał dziewczynę.

– Posłuchaj, to dla mnie ważne. Wiem, że nagle i w ogóle, ale nie chcę tracić czasu. Błagam cię, pojedź z nami jutro i bądź tłumaczką.

Marianna patrzyła na niego ze złością pomieszaną ze współczuciem. Jej pełne usta zmieniły się w wąską kreskę.

– Nie wiem, co powiedzieć, Piotr. Prawdę mówiąc, jestem zdruzgotana. Myślałam, że ty jako profesor...

– To nie ma nic do rzeczy. Jestem mężczyzną, jak inni.

– Jednak inni się tak nie zachowują. Ledwie poznałeś dziewczynę, a już przyjeżdżasz z matką...

– Uparła się.

– Nieważne. Chodzi o to, że tak się nie robi. W jakiej sytuacji chcesz postawić Rosę? Przecież ona nawet pewnie ciebie nie pamięta. Naprawdę liczysz na to, że przyjmie oświadczenia? Jesteś szalony?

– Może to tak wygląda, ale nie jestem – przyznał stanowczo. – Wręcz przeciwnie, przeanalizowałem sytuację i być może ktoś, patrząc z boku, uznałby mnie za świra, ale ja uważam, że wszystko ma swój sens i swoją logikę.

– Jaka jest twoja? Oprócz tego, że niczym księżę chcesz wyrwać Rosę z brzydkiego świata – dodała pogardliwie.

– Obydwoje możemy sobie pomóc. To transakcja wiązana. Marianna spojrzała na niego pytająco.

– Moja mama jest specyficzną osobą – wyjaśnił szeptem.

– Zauważyłam.

– Są dni, kiedy jej nie znoszę. Są dni, kiedy naprawdę wstyd mi za siebie, że ciągle z nią mieszkam. Ale to starsza kobieta. Bardzo samotna. Ja całe dnie spędzam na uczelni, sporo wyjeżdżam. Ona potrzebuje towarzystwa. Inaczej zgaśnie.

– I wymyśliłeś Rosę?

– Zauroczyła mnie – przyznał Piotr. – Jest słodka. A poza tym ma syna. Dzieciak szybko złapie język. Moja mama marzyła o wnuku...

– Mój Boże – westchnęła smutno Marianna. – Aleś to sobie wymyślił.

Czuła, że Piotr jest z nią szczerzy. Nie owijał w bawełnę, powiedział wprost, jak sprawy się mają. Nagle poczuła, że złość jej mija, natomiast narasta współczucie.

– Pokocham ją – zarzekł się. – Będzie jej ze mną naprawdę dobrze. A mama wcale nie jest taka zła. Tylko mnie trzyma pod pantoflem, wiem o tym. I nic nie jestem w stanie na to poradzić.

– Uwolnij się.

– Nie dam rady, Marianna. Kiedy próbuję, zżerają mnie wyrzuty sumienia. Zrozum, że w moim wieku



niełatwo jest się zmienić.

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

– Po prostu pojedź jutro z nami do Rosy. Tylko tyle.

– Ona się przecież nie zgodzi.

– Tego nie wiesz. Daj nam szansę. Jutro nie będę się oświadczał. Chcę porozmawiać tak ogólnie, o jej sytuacji, o dziecku... Zapytam, czy nie rozważyłaby przeprowadzki do Polski, powiem, że razem z mamą moglibyśmy jej pomóc. Przecież to byłoby uczciwe.

– To tak. Ale nie od razu oświadczyń.

– A jak inaczej z nami zamieszka? Mama jest postępową, ale nie aż tak. Boi się, co sąsiadki powiedzą. Łódź to duże miasto, ale wiesz, jak jest na tych starych osiedlach, każdy na każdego łypie.

– Marianna – przerwała im nagle Teresa. – Masz gościa.

\*\*

Wybrała sukienkę z motywem wiśni. Najbardziej właśnie tę lubiła. W świeżo umyte włosy wklepała odrobinę pianki, żeby przestały się puszyć. Udało się ugnieść je na tyle, by wyczarować miękkie fale. Czerwona opaska pomogła okiełznać fryzurę. Marianna uśmiechnęła się do lustra. Delikatny makijaż nadał cerze blasku, który utraciła w ciągu dnia. Była zmęczona i głodna i tylko dlatego nie odwołała jednak spotkania z Cristiánem. Po wizycie Piotra i jego matki uznała, że dalsza praca w kuchni mija się z celem. Nie będzie się potrafiła skoncentrować na biszkoptach. Rozmowa z Torresem przynajmniej odwróci uwagę od myśli o planowanych przez Piotra zaręczynach. Jeszcze nie wiedziała, co powiedzieć Rosie, i dlatego telefon do niej odłożyła na rano. Chciała ją uprzedzić o wizycie Piotra, wiedział przecież, gdzie mieszka, a zatem czy Marianna by przyjechała, czy nie, on u Rosy na pewno by się zjawił. Z matką.

Marianne przeszedł dreszcz na wspomnienie tej kobiety. Z pozoru uprzejma i miła, pod skórą skrzętnie chowała zjadliwość, co uzewnętrzniało się w jej przebiegłym spojrzeniu.

Była za piętnaście ósma. Marianna ostatni raz zerknęła w lustro. Musnęła usta błyszcznikiem i odetchnęła głęboko. Gotowa.

Cristián, uprzedzony przez Teresę o spóźnieniu Marianny, czekał cierpliwie na dole. Na stoliku, przy którym siedział, stały dwie puste filiżanki po espresso oraz pusta butelka po wodzie. Nie było już tak wielu gości, ale kawiarnia i tak sprawiała wrażenie pełnej. Może przez brudne naczynia stojące na stolikach. To był wyraźny sygnał, że zarówno Teresa, jak i Veronica padają z nóg. Marianna w pierwszym odruchu chciała rzucić się do uprzątnięcia stołów, ale opanowała się, zauważywszy, że przyszła Juanita. Po godzinnej drzemce była wyraźnie wypoczęta i gotowa do pomocy.

Marianna podeszła do stolika, przy którym siedział Cristián. Mężczyzna wstał. W jego spojrzeniu nie było złości, mimo iż musiał czekać niemal godzinę.

– Przepraszam za spóźnienie. – Przywitała się, podając dłoń. – To był bardzo ciężki dzień, już nawet miałam odwołać spotkanie z panem.

– Cristián. Proszę mi mówić po imieniu. – Mężczyzna uśmiechnął się miękko.

– Rzeczywiście, będzie wygodniej – zgodziła się Marianna. – Do mnie też proszę mówić po imieniu.

– Dobrze, że nie odwołałaś spotkania. Byłoby mi smutno.

Odebrała te słowa jako grzeczność i odpowiedziała uśmiechem. W tym uprzejmym wydaniu Cristián nie wydawał się już taki straszny jak wcześniej. Mimo że czekała ich zapewne trudna rozmowa, w głębi duszy ucieszyła się z perspektywy spędzenia wieczoru w jego towarzystwie. Po wizycie Piotra nie mogło jej czekać już nic gorszego.

– Dokąd jedziemy? – spytała, kiedy szli do samochodu.

– Pomyślałem, że skoro nie ma już Carmen, zaproszę cię do restauracji, w której serwują najlepszą hiszpańską kuchnię. Chyba że przejadły ci się już hiszpańskie specjały. W razie czego mam inną propozycję.

– Wybieram Hiszpanię.

Stolik już czekał. Elegancka restauracja mimo wykrochmalonych białych obrusów sprawiała wrażenie przytulnej. Ściany były kolorowe, ozdobione wachlarzami, kastanietami i zdjęciami miejsc charakterystycznych dla Sewilli. Pokazy flamenco odbywały się na parterze, dzięki czemu na piętrze, na którym biesiadowali restauracyjni goście, było zdecydowanie spokojniej. Dochodząca z dołu muzyka stawała się tym samym przyjemnym tłem rozmów.

Marianna była zauroczona tym miejscem. Żałowała, że dotychczas nie miała ochoty na poznanie kulinarnej strony miasta. Stołowała się zazwyczaj w Carmen lub przypadkowych niedrogich barach, w których co prawda podawano wyśmienite tapas i w których panowała charakterystyczna dla Andaluzji atmosfera, jednak brakowało w nich wysublimowanych dań, które łączyłyby hiszpańską tradycję z lekkością, za jaką tęskniła Marianna.

W tej restauracji proporcje były doskonale wyważone. Menu już na pierwszy rzut oka wydało się atrakcyjne, a po dokładnym przestudiowaniu można było doszukać się wielu ciekawych smaczków.

Po krótkiej naradzie zamówili kilka dań po to, by – jak zasugerował Cristián – spróbować po trochu wszystkiego. Marianna była tak głodna, że każda ilość wydawała się jej słuszną. Nie protestowała, kiedy Cristián zaproponował karafkę wina. Pomyślała, że odrobina alkoholu po ciężkim dniu jest wręcz wskazana. I rzeczywiście, już po pierwszej lampce kumulowane przez ostatnie godziny napięcie ustąpiło i Marianna nie potrzebowała kolejnej, żeby poczuć się dobrze. Ponieważ Cristián był kierowcą, nie pił wiele. Właściwie moczył tylko usta dla towarzystwa. Mimo to od samego początku zachowywał się swobodnie, jakby on i Marianna znali się od dawna, a ich spotkanie na balu, tak nieprzyjemne dla obu stron, odeszło dawno w zapomnienie.

Kiedy kelner przyniósł przystawki, rozmawiali na błahe tematy, a to o zmiennej jesienią pogodzie, o różnicach klimatycznych między Hiszpanią a Polską, a to o zabytkach, których Marianna w Sewilli jeszcze nie widziała, oraz miejscach, które zdążyła już zwiedzić.

Rozmowa toczyła się gładko, być może dlatego, że nie poruszali jeszcze istotnych kwestii, za których sprawą doszło do tego spotkania. W niewypowiedzianej zgodzie, niczym zręczni żonglerzy, szafowali nieważnymi słowami, dbając o wzajemny komfort i miłą atmosferę.

Marianna wiedziała, że dopóki nie zje, nie ma co zaczynać drażliwych tematów.

Dania główne podano na półmiskach, by zarówno Marianna, jak i Cristián mogli uszczknąć odpowiednią dla siebie ilość. Cristián odprawił kelnera i sam zaczął nakładać na talerze, zachęcając Mariannę do degustacji. Opowiadał o każdym z dań, jakby był obecny przy jego przygotowywaniu. Jego wiedza na temat poszczególnych składników zaimponowała Mariannie, która co prawda była zdolnym i kreatywnym cukiernikiem, ale fatalną kucharką. Doceniała jednak dobrą kuchnię i zazdrościła osobom, które potrafią wyczarować wytrawne cuda, tak jak ona potrafiła wyczarować bajeczne słodkości.

– Niesamowite, że potrafisz tak opowiadać o jedzeniu – skomplementowała Cristiána. Naprawdę była pod wrażeniem. – Aż dziw, że nie zostałeś szefem jakiejś kuchni.

– Aż tak dobry nie jestem. – Roześmiał się szczerze. – Owszem, potrafię coś tam upichcić, ale bardziej lubię jeść.

– To tak jak ja! – Marianna także się roześmiała, pakując do ust niemały kęs homara. – Pyszne!

– Kiedyś nawet marzyłem o tym, żeby stworzyć własną knajpę – dodał poważnie. – Niestety, nie

ziściło się.

– Dlaczego?

– Życie...

Marianna nie dociekała. Domyślała się, że Cristián, podobnie jak ona, musiał szybko dorosnąć. Był od niej niecałe pięć lat starszy, niedawno skończył trzydziestkę, a zamiast myśleć z ufnością o przyszłości, snuć plany i spełniać marzenia, zderzył się z rzeczywistością, która tylko pozornie była kolorowa. Spadek, który otrzymał, z pewnością nie był dla niego synonimem łaski od losu, a jedynie gorzką osłodą doświadczonego nieszczęścia.

Nagle pomyślała o Konradzie, koledze z Polanki. On także stracił ojca, a ponieważ po rozwodzie rodziców był jedynym spadkobiercą, długo nie potrafił zdecydować, co zrobić z odziedziczoną restauracją. Niemal doprowadził do jej bankructwa, uznawszy, że straci pieniądze, które należały do ojca, a nie do niego.

Marianna podobnie nie potrafiła korzystać z fortuny, która jej przypadła. Nie czuła się właścicielką tych pieniędzy, ponieważ nie zostały przez nią zarobione. I o ile umiała wykorzystać je w celu pomocy innym, o tyle nie umiała odnieść ich do siebie. Była wdzięczna, że wujek, który pomagał jej rodzicom w prowadzeniu interesów, dalej się tym zajmuje. Dzięki temu ona nie musiała się martwić o przyszłość wrocławskich cukierni. Jednak wujek nie potrafił zastąpić ani rodziców, ani babci. Był starym kawalerem skoncentrowanym na pracy i własnych przyjemnościach. Mimo że nigdy się nie ożenił, nie stronił od niezobowiązujących romansów i krótkotrwałych związków. Otoczony ludźmi, nie wiedział, co to samotność.

Marianna nie mówiła o tym głośno, ale podskórnie odczuwała żal, że sama musi radzić sobie z bólem, który na nią spadł. I nawet Konrad, który ze szczerym współczuciem przytulił ją po pogrzebie babci, nie rozumiał zapewne, co znaczy stracić wszystkich. Jemu została mama, Mariannie – nikt.

A teraz patrzyła na Cristiána i nagle dotarło do niej, że ten mężczyzna musi uporać się z podobnymi jak ona emocjami. Mało tego, ciąży na nim odpowiedzialność nie tylko za odziedziczoną firmę, ale też za brata, który zamiast być wsparciem, piętrzy problemy.

– Jak dajesz sobie radę? – wyrwało się jej to samo pytanie, które dzień wcześniej on jej zadał.

– Z homarem? – Uśmiechnął się, nieświadom jej myśli. Szczypcami rozłupywał właśnie kleszcze skorupiaka, by dostać się do mięsa.

– Z własnym życiem – powiedziała poważnie. – Wiem, że musiałeś je zmienić, wróciłeś z Barcelony, żeby przejąć interesy rodziców i zająć się bratem.

Cristián spojrzał na nią zaskoczony nagłą zmianą kierunku rozmowy.

– Zapewne podobnie jak ty... Nie byłem przygotowany na coś takiego... Sama najlepiej wiesz, że kiedy dostajesz telefon z informacją o śmierci rodziców, świat zaczyna sypać się niczym rozproszony na wietrze piasek. I mimo że od dłuższego czasu mieszkalem sam, a moje relacje z rodziną pozostawiały wiele do życzenia, to świadomość, że nigdy ich już nie zobaczę, jest trudna do zniesienia... Ciągle się z tym oswajam. Szczególnie że przebywam teraz w ich domu, gdzie nadal czuć ich obecność.

– Doskonale to rozumiem.

– A zmiany w życiu... No cóż... Same przyszły. Wcale ich nie planowałem, nie chciałem. Zadomowiłem się w Barcelonie, tam układałem sobie życie. To, że wróciłem, nie było moim wyborem. Ale przecież nie mogę zostawić brata na pastwę losu. Szybko straciłby pieniądze, własne zdrowie, a może nawet i życie. Nie jest w stanie o siebie zadbać.

– Ja opiekowałam się babcią – powiedziała Marianna.

– Wiesz, co innego niedołączna staruszka, a co innego młody, silny mężczyzna, który rozpieszczony do granic możliwości popada w uzależnienie i nie ma ochoty z niego wyjść.

– Chico nie chce się leczyć?

– Myślę, że jest mu dobrze tak, jak jest. Rodzice podejmowali próby, wysyłali go do przeróżnych ośrodków odwykowych, ale szybko stamtąd uciekał, tłumacząc, jak wielka krzywda tam mu się dzieje. Płakał i obiecywał poprawę, byleby tylko być w domu. Matce zawsze miękło wtedy serce.

Marianna słuchała z zainteresowaniem. Cristián był otwarty i szczery. Zdumiała ją jego postawa. Okazało się, że łączy ich więcej, niż mogłaby przypuszczać. Nie tylko podobne doświadczenia, ale też podejście do życia, poczucie odpowiedzialności i wreszcie wrażliwość, dzięki której postanowił pomóc Rosie. Przyznał, że nie wierzył w to, że Daniel jest synem Carlosa. Potwierdził przy tym, że jego ojciec wikłał się w romanse i rzeczywiście Rosa nie była jedyną, która po jego śmierci próbowała skontaktować się z rodziną w sprawie spadku.

– Być może teraz, kiedy odbędzie się sprawa, otworzy drzwi kolejnym kobietom i okaże się, że mam więcej braci lub sióstr – mruknął bez entuzjazmu.

– To może nie byłoby takie złe – powiedziała Marianna. – Szczerze mówiąc, z początku myślałam, że Daniel jest moim bratem. I kiedy okazało się, że nie jest, poczułam żal.

Marianna z uśmiechem opowiedziała Cristiánowi historię swojej podróży. Mówiła też o sobie, o rodzinie, zdumiona, jak swobodnie jej to przychodzi. Cristián był dobrym słuchaczem, a przy tym miała poczucie, że jako jeden z nielicznych naprawdę ją rozumie.

– Czy wszystko w porządku? Nie smakuje? – Głos kelnera przywrócił ich do rzeczywistości. Dopiero wtedy okazało się, że – zafrasowani rozmową – zapomnieli o jedzeniu. Niemal nietknięte dania dawno już ostygły, a karafka z winem ciągle była do połowy pełna.

– Smakuje. Bardzo! – powiedziała Marianna, odruchowo sięgając po kolejny kęs homara.

– Mnie też – przyznał z uśmiechem Cristián, nie odrywając wzroku od dziewczyny.

Kelner, zauważywszy, że przyszedł nie w porę, uklonił się nieznacznie i dyskretnie oddalił.

Mariannie zachciało się śmiać, kiedy uświadomiła sobie, że od dobrej godziny siedzą przy suto zastawionym stole, zapomniawszy, po co tu właściwie przyszli. Rozweselona, podniosła wzrok znad talerza, żeby podzielić się swoją refleksją z Cristiánem. Kiedy jednak spojrzała mu w oczy, zastygła. Patrzył na nią w sposób, który powodował, że niepotrzebne były żadne słowa.

– To niesamowite – powiedziała, czując, że po prostu musi coś powiedzieć. Cokolwiek, byle przerwać tę chwilę, choć w głębi duszy pragnęła, by trwała jak najdłużej.

– Tak? – Cristián jakby się przebudził z letargu.

– To niesamowite. – Marianna odchrząknęła. – Że siedzimy tu jak starzy znajomi, a jeszcze kilka dni temu skakaliśmy sobie do gardeł.

– Aż tak źle chyba nie było. – Uśmiechnął się.

– Było.

– W takim razie przepraszam. Zazwyczaj jestem mniej opryskliwy.

– Nie wierzę – powiedziała Marianna, udając powagę. – Ale przeprosiny przyjmuję. I sama też przepraszam, źle cię oceniłam.

– Miło mi to słyszeć. Czyli nie jestem taki zły?

– Nie jesteś.

– A zatem mogę liczyć na kolejne spotkanie? Choćby jutro? – spytał nonszalancko.

Marianna uniosła brwi.

– Nie chcę zostawiać po sobie złego wrażenia – wyjaśnił z powagą. – A przyprowadziłem cię do przereklamowanej knajpki, nic nie zjadłaś. – Wskazał z wyrzutem na talerz Marianny. – Muszę to naprawić.

Mimowolnie parsknęła śmiechem.

– To co, widzimy się jutro? – ponowił pytanie.

– W życiu. Nigdy się już z tobą nie umówię. Jesteś kłamcą, jakich świat nie widział.

Tym razem Cristián uniósł brwi.

– Kłamcą?

– Oczywiście. – Wzruszyła bez troski ramionami. – Obiecywałeś, że powiesz, kto był twoim informatorem, a nawet nie mruknąłeś. Musiałam jeść to okropne jedzenie i znosić twoje towarzystwo na darmo. – Roześmiała się, nie potrafiąc zachować powagi.

– Okej, obiecuję, że przy deserze wszystko zdradzę. – Podniósł dwa palce w geście przysięgi.

– Będzie deser? – Oczy Marianny rozblęły.

Kelner, zauważywszy podniesioną dłoń Cristiána, podszedł do stolika.

\*\*

Próbował zasnąć, ale chrapanie matki dochodzące z łóżka obok było tak irytujące, że wstał i wyszedł na balkon. Żałował, że nie wzięli dwóch pokoi. Nalegał, ale matka, kierując się oszczędnością, uznała, że nie ma co szaleć z pieniędzmi. Dwuosobowy pokój był tańszy niż dwie jedyńki.

Była zadowolona z podróży. Mimo że obawiała się lotu i panikowała przy starcie, to kiedy znaleźli się w przestworzach, zafascynowana wyglądała przez okienko, zapomniawszy o strachu. Snuła plany związane z Danielem.

Początkowo była przeciwna związkowi Piotra z Rosą. Nie chciała nawet słyszeć o Hiszpance, w dodatku pochodzącej z patologicznej – jak to lubiła podkreślać – rodziny, ale wizja biegającego po mieszkaniu dziecka okazała się skutecznym wabikiem. Piotr zdołał ją przekonać, że chłopiec szybko nauczy się polskiego i będzie mówił do niej „babciu”, a sąsiadki z pewnością bez problemu uwierzą, że Daniel jest synem Piotra. Jako profesor odbył wiele podróży, a podczas jednej z nich nawiązał romans z Rosą. Romantyczna historia skończyła się dobrze, rodzina wreszcie jest razem – tak miała brzmieć oficjalna wersja wydarzeń.

Odkąd matka ułożyła sobie wszystko w głowie, zaczęła naciskać na podróż do Hiszpanii.

– Im szybciej, tym lepiej. Dzieciak nie może mieszkać z taką patologią – powtarzała. – Zmiana środowiska dobrze mu zrobi, nie ma na co czekać.

Piotr planował najpierw sam przyjechać, umówić się z Rosą, oczarować ją i rozkochać w sobie. Wierzył, że biorąc pod uwagę jej sytuację, nie będzie to wcale trudne. W przeciwieństwie do Marianny Rosa zdawała się żadną lepszego życia. Jej pełne podziwu spojrzenie, kiedy dowiedziała się, że Piotr jest profesorem, dało mu tak wielką siłę, że gotów był nawet sprzeciwić się matce, gdyby ta upierała się, że nie zaakceptuje związku z Hiszpanką.

Ale potem wrócił do Polski i te krótkie chwile separacji z matką odeszły w zapomnienie. Znowu posłusznie kiwał głową, przyjmując z pokorą każdą uwagę. Znowu chodził na palcach, byleby tylko nie drażnić rodzicielki, która jednym spojrzeniem potrafiła wywołać wyrzuty sumienia. Nie wyklócał się, nie dyskutował. Jedyne, co mógł zrobić, to delikatnie przedstawiać własne argumenty. Ten z Danielem okazał się najlepszy.

Teraz stał na balkonie i obserwował ludzi wychodzących z baru naprzeciwko hotelu. Byli tak beztroscy, rozbawieni, wolni, że Piotr złapał się na refleksji, że choćby chciał, to nie potrafiłby do nich dołączyć. Pomyślał, że młodość Rosy będzie dla niego wyzwaniem. Dziewczyna, choć jest już matką i ma na głowie niejedno zmartwienie, po zmianie miejsca zamieszkania odetchnie i wtedy być może będzie chciała korzystać z uroków życia. On nigdy tego nie robił: najpierw poświęcił się nauce, potem pracy, aż wreszcie przestał mieć ochotę na zabawę. Matka zawsze chwaliła taką postawę. Wolą, kiedy był

w domu, z nią, niżby miał się szlajać z kolegami po mieście.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ. O tej porze zazwyczaj już spał. Był skowronkiem i nie rozumiał osób, których aktywność przypadała wieczorem i nocą. Pomasażował sobie skronie. Czuł się zmęczony i senny. Ziewnął szeroko, odprowadzając wzrokiem grupkę imprezowiczów. Chrapanie wciąż dobiegało z pokoju. Zastanawiał się, czy nie obudzić matki, żeby choć przez chwilę zaległa cisza, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Wiedział, że poczuje się urażona jego uwagą i kolejny dzień będzie musiał znosić jej uszczypliwości.

– Ja chrapię? Ja? Chyba coś ci się przesłyszało. W życiu nie chrapałam! Może słyszałeś własne chrapanie. Lepiej spójrz na siebie. Włosy ci z nosa wystają.

Westchnął ciężko. Przysiadł na wystawionym na balkon krześle i oparł się dłońmi o balustradę. Z matką nie było lekko, ale kiedy na nią patrzył, taką drobną i starą, zawsze się rozczulał. Znał ją lepiej niż siebie, potrafił przewidzieć niemal każdą jej reakcję. Czy wszystkie kobiety są takie? – zamyślił się.

Było mu przykro, że Marianna nie zrozumiała jego intencji co do Rosy. Kiedy do niej jechał, liczył, że go pochwali, że przykłaśnie jego pomysłowi. Przecież nie każdy musi mieć romantyczną wizję świata. Czy tak trudno pojąć, że ludzie mogą się zwyczajnie dogadać i nawzajem sobie coś zaoferować? Marianna najwyraźniej nie mogła tego zrozumieć. Był rozczarowany, jednak nie na tyle, żeby głębiej przemyśleć jej słowa. Zamierzał zrealizować plan, nawet jeśli nie udałoby się znaleźć tłumacza.

\*\*

Jechali cichymi opustoszałymi uliczkami. Po parnym dniu zaczął kroić deszcz, ale Cristián nie włączył wycieraczek. Drobne krople rozbijały się o szybę. Marianna niczym zahipnotyzowana wpatrywała się w deszczowe wzory. Myślami była w Café Caramelo.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała nagle, ocknąwszy się z zamyślenia. – Dlaczego wczoraj nie powiedziałaś, że chodzi o Veronicę?

– Nie było na to czasu – wyjaśnił. – Zdenerwowałabyś się i zapewne zrobiła Veronice awanturę. Uważałem, że powinnaś znać cały kontekst, zanim ją ocenisz.

– Zdrada to zdrada, a ona chciała zdradzić swoje przyjaciółki. Chciała doprowadzić do sprzedaży nie tylko baru, ale całej kamienicy.

– Owszem, jednak sama została oszukana. Vincent roztoczył przed nią wizję, że będzie gwiazdą nowego klubu, a to nieprawda. Owszem, ponoć zamierzali otworzyć tam klub, ale z pewnością nie brali pod uwagę Veroniki. Ta próżna kobieta dała się złapać w pułapkę. A Vincent jest dobry w manipulowaniu ludźmi, wierz mi.

– Marna pociecha. Myślę, że Teresa będzie załamana, kiedy się dowie. Ich przyjaźń zawiśnie na włosku, o ile się nie roztrzaska.

– Nie mów jej.

– Muszę.

– Nie musisz. Tym kobietom należy się spokojna jesień życia, niepotrzebne im konflikty. Porozmawiaj z Veronicą, to jej problem, niech ona się z nim upora.

– Pewnie odejdzie, obrażona.

– Trudno.

Marianna spojrzała na Cristiána z wdzięcznością. W natłoku zdarzeń potrzebna jej była osoba, która powie, co robić.

– A co z Vincentem?

– Finito. – Cristián się roześmiał. – Odszedł z podkulonym ogonem. Tłumaczył, że potrzebował

pieniędzy, bo chce wejść w ten biznes z Diegiem. Jako wspólnik na miejsce mojego ojca.

- I dlatego zaczął mieszać nawet w waszej rodzinie – prychnęła Marianna.
- Sądził, podobnie jak Chico, że sprawa się nie wyda.
- Nie przypuszczali, że zaczniemy ze sobą rozmawiać jak ludzie.
- A kto by przypuszczał – przyznał Cristián z uśmiechem.

Dojechali na miejsce. Kamienica, w której mieściło się Café Caramelo, nie była oświetlona, lecz nowy neon, który wisiał już od kilku dni, roztaczał wokół siebie jasną aurę.

- Dziękuję. To był naprawdę przyjemny wieczór – powiedziała Marianna, żegnając się z Cristiánem. – Rzeczywiście, kto by przypuszczał, że uda nam się normalnie rozmawiać – dodała z uśmiechem.
- Cieszę się. I mam nadzieję, że mimo wszystko nie pójdziesz spać głodna.
- Och, do tego czasu zapewne opróżnię lodówkę z weselnych babeczek. Nie idę jeszcze spać, czeka mnie praca – wyjaśniła.
- O tej porze? Jest już pierwsza w nocy.
- Muszę upiec biszkopty do tortów, przygotować karmelową masę. Nie mogę odłożyć tego na rano, bo nie zdążymy. To torty weselne, nie lada wyzwanie.
- Rozumiem. W takim razie chodźmy.
- Dokąd?
- Do kuchni.
- Żartujesz?
- Ani myślę żartować z tortów. – Roześmiał się. – A im szybciej zaczniemy, tym szybciej skończymy.

Marianna, nie zadając więcej pytań, otworzyła drzwi do kamienicy i zaprowadziła Cristiána wąskim korytarzem do tylnego wejścia do kawiarni. Kiedy znaleźli się w kuchni, zapaliła światła, włączyła piec i umyła ręce. Bez słowa rzuciła mu jeden z wiszących na haku fartuchów. Chwycił go, ale nie założył. Ona opasała się własnym, który otrzymała od Teresy, nieco za dużym, ale wygodnym.

Kątem oka zauważyła, że Cristián zdjął marynarkę i zakasał rękawy błękitnej koszuli. Podszedł do umywalki. Był bez wątpienia przystojny. I prawdopodobnie świadom swojej atrakcyjności. Mimowolnie naszała ją myśl o jego dziewczynie. Czy miał jakąś? Czy może był sam? Na pewno się nie ożenił, o czym świadczył nie tylko brak obrączki, ale też informacje, które udało się Mariannie zdobyć na temat rodziny Torresów.

Cristián na balu był sam, co jednak nie stanowiło dowodu na to, że nikogo nie ma. Dziewczyna mogła przecież zostać w Barcelonie. Ale podczas kolacji opowiadał o zmianach, które zaszły w jego życiu. Z tej rozmowy dało się wywnioskować, że przeniósł się do Sewilli na stałe. A przynajmniej na czas nieokreślony.

Krótką analizę, którą Marianna przeprowadziła, wyjmując składniki potrzebne do przygotowania biszkopty, zawstydziła ją. Szybko odrzuciła myśli o Cristianie i skoncentrowała się na pracy.

Położyła na blacie wielką torbę mąki pszennej, torbę mąki ziemniaczanej, cukier oraz kilka opakowań jajek. Z szafki wyjęła mikser i formy do pieczenia. Z pomieszczenia, które pełniło funkcję magazynu, przyniosła dwie duże misy oraz olbrzymi garnek. Cristián cierpliwie czekał, aż Marianna wyznaczy mu zadania.

\*\*

Obudził ją hałas dochodzący z kawiarni. Teresa uruchomiła ekspres. Już po chwili po wnętrzu zaczął się rozchodzić przyjemny aromat świeżo zaparzonej kawy.

Marianna otworzyła oczy. Z powodu spania na niewygodnej kanapie bolały ją plecy, a zbyt krótki sen spowodował, że trudno jej było się rozbudzić. Dopiero po chwili dotarło do niej, że znajduje się w biurze na zapleczu. Zaspanym i pełnym niepokoju wzrokiem przebiegła po pomieszczeniu, szukając Cristiána. Nie było go i Mariannie ulżyło.

Usiadła na kanapie i próbowała rozprostować obolałe stawy. Czuła się jak staruszka. Wreszcie wstała i przecierając zaspane oczy, poczłapała do kuchni.

Na blatach, równiutko ustawione w kilku rzędach stały pięknie wyrosnięte biszkopty. Przy nich leżała kartka.

*Gracias por una tarde encantadora y por la receta de bizcocho. Mi abuela lo hacía igual. Creo que el pastel va a estar riquísimo. Nos vemos el sábado. C.*

Wpatrując się w ciąg hiszpańskich słów, Marianna usiłowała je zrozumieć, ale przychodziło jej to z trudem. Jej mózg wciąż domagał się snu. Zamknęła oczy i przez chwilę stała bez ruchu. Kiedy je otworzyła, ponownie spojrzała na kartkę i tym razem bezbłędnie przeczytała treść.

„Dziękuję za uroczy wieczór. I za przepis na biszkopt. Moja babcia robiła taki sam. Myślę, że tort będzie obłędny. Do zobaczenia w sobotę. C.”.

– Ty już na nogach? – Teresa z kubkiem kawy weszła do kuchni. – I biszkopty zdążyłaś upiec?

Marianna szybkim ruchem wsunęła karteczkę za szeroki pasek sukienki.

– W nocy piekłam – wyjaśniła. – Przespałam się na kanapie, w pomieszczeniu obok.

– Mój Boże, dziecko! To leć do domu, wyśpij się, my tutaj dokończymy.

– Nie trzeba, dam sobie radę. Jeszcze cały dzień i cała noc przed nami. Zdążę. Tylko muszę się odświeżyć i potrzebuję kawy. Dużo kawy.

– Już robię – zaoferowała się Teresa.

Marianna pobiegła do mieszkania. Po szybkim prysznicu, który skutecznie ją rozbudził, przebrała się i zeszła na dół. Teresa krzątała się po kawiarnianej sali, przygotowując stoliki na przyjęcie gości.

– Kawa stoi przy ekspresie – powiedziała, zauważywszy Mariannę. – Jak wczorajszy wieczór? – zainteresowała się mimochodem. – Zdziwiłam się, że spotykasz się właśnie z nim. – Ostatnie słowo wypowiedziała, krzywiąc usta. – Rozmawialiście o sprawie?

Marianna przypomniała sobie radę Cristiána, żeby nie mówić Teresie o Veronice.

– Tak, rozmawialiśmy o sprawie, bo wspominał, że ma dobrą kancelarię i może nam pomóc.

Marianna poczuła rozlewające się po niej ciepło na samo wspomnienie wieczoru.

– No, no – zamyśliła się Teresa. – Kto by pomyślał. Skąd u niego taka zmiana? Najpierw powiedział o księdzu, teraz oferuje pomoc kancelarii. Nie uważasz, że to podejrzane?

– Nie. – Marianna się roześmiała. – Cristián jest w porządku. Pogadaliśmy, wyjaśniliśmy wcześniejsze nieporozumienia. Jest naprawdę w porządku – podkreśliła stanowczo.

Teresa pokiwała głową i wróciła do pracy. Wkrótce w kawiarni pojawiła się Juanita i także domagała się relacji ze spotkania.

– Teresa ci wszystko opowie. – Marianna tanecznym krokiem skierowała się do kuchni.

– A co ona taka radosna? – spytała Juanita.

– Biszkopty wyrosły – odpowiedziała Teresa.

\*\*

Pierwszy tort nabierał kształtu. Miał cztery piętra i wyglądał naprawdę imponująco. Luisa niemal popłakała się ze wzruszenia, kiedy wspólnymi siłami ustawiły ostatnią warstwę biszkoptu. Marianna też



była dumna, jednak jej radość z tworzenia została przyćmiona radością bijącą z zupełnie innego powodu. Prace szły zgodnie z planem, a nawet szybciej. Luisa samodzielnie upiekła cztery ciasta według przepisu Marianny, a także całą blachę ciasteczek, które czekały teraz na ozdobienie różowym kremem. To oznaczało, że zamówienie zostanie zrealizowane przed czasem, a zatem Marianna będzie mogła w sobotę odetchnąć i spokojnie przygotować się do wyjścia z Cristiánem.

Nie potrafiła przestać o nim myśleć. I być może właśnie dzięki temu, że wciąż zdawała się zamyślona i bujająca w obłokach, Luisa wzięła sprawy we własne ręce. Nie czekała na wskazówki. Po prostu wyrabiała ciasto, szykowała nadzienie, ubijała śmietanę, robiła kremy. I piekła. Juanita jako pomocnica przygotowywała blachy do pieczenia i odmierzała czas.

– Świetnie nam idzie – pochwaliła, nie umniejszając swojej roli. Gdyby nie to, że na bieżąco sprzątała i pilnowała, by nie zabrakło składników, z pewnością nie szłoby im tak dobrze.

Marianna była zadowolona. Nie szczędziła kobietom komplementów. Teresa i Veronica obsługiwały salę, one także usłyszały wiele miłych słów pod swoim adresem.

– Trzeba przyznać, że jesteśmy zgranym zespołem – mówiła Marianna z uśmiechem, a one cieszyły się razem z nią.

O piętnastej prawie wszystko było gotowe. Wystarczyło udekorować torty. Marianna oceniła, że do osiemnastej powinny skończyć i będzie można odpocząć. Wszystko szło dobrze. Aż za dobrze, przemknęło jej przez myśl.

I wtedy zadzwonił telefon.

Kiedy podchodziła do parapetu, gdzie leżała jej komórka, odczuła lekki niepokój. Obawiała się, że Cristián zmienił plany co do jutrzejszego spotkania. Zanim odebrała, zerknęła na wyświetlacz. Rosa.

– O cholera – wymknęło się Mariannie po polsku. Pochłonięta pracą i myślami o Cristianie, zapomniała o Piotrze.

– Rosa! – niemal krzyknęła do słuchawki.

– Cześć! Nie zgadniesz, kto mnie dziś odwiedził! Twój kolega, ten profesor, wiesz.

– Wiem – westchnęła ciężko Marianna.

– Z mamą przyjechał – ciągnęła Rosa – i Fredem, tłumaczem.

– Czyli znalazł tłumacza...

– Wiedziałaś, że mają przyjechać? Dlaczego mnie nie uprzedziłaś?

– Przepraszam, umknęło mi. – Marianna wyszła na zewnątrz tylnym wyjściem. Zauważyła, że Juanita i Luisa przysłuchują się rozmowie, a nie chciała, żeby znały szczegóły wizyty Piotra.

– Dobrze, że nie było mojej mamy. Doznałaby szoku! Bo nie uwierzysz, co mi zaproponowali! Chcą, żebym przeprowadziła się do Polski i zamieszkała z nimi. Piotr zaopiekowałby się mną, a przede wszystkim uznalby Daniela za swoje dziecko! Uwierzyłybyś w coś takiego? – Roześmiała się. – Jego mama powiedziała, że jest samotna i z przyjemnością nas przyjmie. Miałaby towarzystwo i rozpieszczała Daniela jak własnego wnuka. Mało tego! Zachwalała swoje zupy, jakby chciała się zareklamować, jaką jest gospodynią. Zupełnie nie miałam pojęcia, jak się zachować. Aż żałuję, że nie widziałam własnej miny!

– Wyobrażam sobie.

– Słuchaj, co było dalej! Najlepsze! Oświadczył mi się!

– O Boże – jęknęła Marianna.

– Dostałam pierścionek z brylantem, dasz wiarę? Podobno zamierzał oświadczyć się jutro, ale mieli problem z tłumaczem – jutro nie byłby dostępny czy coś. Piotr powiedział, że nie ma na co czekać.

– Rosa... – Marianna wzięła głęboki oddech. Było jej wstyd za Piotra, ale zdawała sobie sprawę, że nie miała wpływu na jego dziwaczne zachowanie. – Przykro mi, że cię naszli. Próbowałam im

wytłumaczyć, że to nie najlepszy pomysł. Dziwni ludzie. No cóż... Cieszę się, że jakoś to przeżyłaś. Musiał mieć kwaśną minę, kiedy dałaś mu kosza. A jak jego matka? Pewnie wyszli mocno urażeni? – Marianna mimowolnie zachichotała, wyobraziwszy sobie nadąsaną Grażynę.

– Dlaczego mieliby być urażeni? Przecież nie dałam mu kosza.

Marianna zamilkła. Słowa Rosy dotarły do niej z opóźnieniem.

– Halo, jesteś tam? – dopytywała Rosa.

– Jestem... Tylko chyba coś źle zrozumiałam. Przyjęłaś oświadczyny Piotra?

– Oczywiście! Byłabym głupia, gdybym je odrzuciła, nie sądzisz?

Marianna poczuła, że robi się jej słabo. Ponieważ nie miała na czym usiąść, kucnęła i oparła się plecami o ścianę budynku.

– Rosa, nie mówisz chyba poważnie?

– O co ci chodzi? – Ton głosu Rosy wyraźnie się zmienił. Marianna nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Przecież go nie znasz... – podjęła słabym głosem. Miała nadzieję, że Rosa nagle krzyknie, że to żart.

– Znam.

– Raz się tylko widzieliście!

– Co za różnica. Jeśli facet jest w stanie już po pierwszym razie przyjechać tutaj z matką, żebym ją poznała, zaoferować pomoc i jeszcze się oświadczyć, to znaczy, że mu naprawdę zależy.

– Ale się nie kochacie!

– Już jednego kochałam. I co mi z tego przyszło?

– Rosa... Posłuchaj... – Marianna starała się, żeby jej głos brzmiał spokojnie, chociaż od środka niemal rozsadzało ją zdenerwowanie. – On przecież nie musi ci w niczym pomagać. Niedługo dostaniesz kupę kasy...

– Po pierwsze – wtrąciła Rosa stanowczo – to będą pieniądze Daniela. A po drugie, mam już dość swojego życia. Potrzebuję zmiany. A Piotr mi się podoba.

– Nie wierzę...

– Wiem, co myślisz – prychnęła nieprzyjemnym tonem Rosa. – Że lecę na starszych dzianych facetów, co? Otóż nie lecę. Sama powiedziałaś, że niedługo będę mieć pieniądze. Piotr mi się podoba – podkreśliła z mocą.

– A niby po jakiemu będziesz z nim rozmawiać?

– Na migi – złośliwie odparła Rosa. – Nie twój interes – dodała zgryźliwie.

– Okej. – Marianna się poddała. – Tylko że nie wiem, czy w całej tej euforii zwróciłaś uwagę, że oni zwyczajnie chcą cię wykorzystać.

– Nic nie wiedzą o spadku!

– Nie o tym mówię. Matka Piotra to zaborcza osoba, jest od niej uzależniony. Moim zdaniem to ją chce zadowolić, a nie ciebie. Nie zauważyłaś tego? Czy normalny facet oświadcza się po jednym spotkaniu? W dodatku przyjeżdża z matką?

– Owszem, chce zadowolić swoją matkę, otwarcie o tym powiedział – prychnęła Rosa. – No i co z tego. Ja całe życie zadowalałam swoją. Doskonale go rozumiem. Zresztą zaznaczyłam, że nigdzie się nie przeprowadzę, dopóki nie będę pewna, że moja mama jest w stanie się sobą zająć. Nie oponowali.

– Rosa! – Marianna podjęła ostatnią próbę perswazji. – Jesteś młoda, za chwilę dostaniesz pieniądze, będziesz mogła się usamodzielnąć, zacząć z Danielem nowe życie. Zastanów się, w co wchodzisz!

– Wiesz co... Zadzwoiłam do ciebie podzielić się dobrą wiadomością. Myślałam, że lepiej zareagujesz, że przynajmniej trochę się ucieszysz.

– Niby z czego? Oszołam z nienormalną matką chcą cię omotać, a ty gładko w to wchodzisz. To jest nie do uwierzenia!

– To nie wierz! Znowu mnie oceniasz!

– Po prostu nie rozumiem.

– A co tu jest do rozumienia. Sto razy wolę wejść w układ na jasnych zasadach, niż słuchać serca, które już raz wyprowadziło mnie na manowce. Miłość nie istnieje. Istnieje durna chemia, która trzyma przez kilka miesięcy, a potem, człowieku, baw się sam! I albo się dogadasz z tą drugą osobą, albo nie. To ja się wolę najpierw dogadać. Naprawdę tak trudno to zrozumieć?

– Prawdę mówiąc, trudno.

– No i mam to w dupie. – Podenerwowanie Rosy także sięgnęło zenitu. – To moje życie i zrobię z nim, co chcę.

– Gratuluję odważnych decyzji. – Marianna nie mogła się powstrzymać przed złośliwością.

– Odwal się.

Rosa rzuciła słuchawkę.

Marianna przez chwilę siedziała przykucnięta pod ścianą. Była zdruzgotana. Oddychała głęboko, próbując się uspokoić.

Kiedy wróciła do kuchni, Juanita z Luisą w skupieniu rozsmarowywały na serniku karmelową masę. Marianna podeszła do blatu, na którym stały torty. Zaczęła je dekorować. Pracowały w milczeniu. W pomieszczeniu panowała ciężka atmosfera.

– Nie to, żebyśmy podsłuchiwały... – powiedziała nagle Luisa – ale okno było otwarte...

– Cwana ta Rosa – wtrąciła konkretnie Juanita. – A taka bidulka się wydawała.

– Cwana? – zdziwiła się Marianna. – Głupia i tyle. Jak można podjąć taką decyzję w pięć minut?

W dodatku nie znając człowieka!

– Korzysta z okazji. Życie musiało nieźle dać jej w kość – zauważyła Juanita.

– Jaka to okazja? – Marianna obstawała przy swoim. – Rosa ma lepszą okazję do zmiany. Niebawem Daniel otrzyma zachówek od spadku, będą mogli polepszyć warunki mieszkaniowe, ogólnie im się poprawi.

– A jeśli nie dostanie? – rzuciła myśl Luisa. – Jeśli wydarzy się coś, co sprawi, że spadku nie będzie?

– A co mogłoby się wydarzyć? – Marianna wzruszyła ramionami. – Znalazł się bliźniak, wyniki badań są klarowne. Cristián też już uznał brata. Nic się nie wydarzy.

Luisa pokiwała głową, ni to potakując, ni wyrażając powątpiewanie.

– Jednak pieniędzy jeszcze nie ma – powiedziała.

– Trochę to potrwa, ale w końcu będą.

– A Piotr już jest – dodała Juanita.

– Co to ma do rzeczy? – zirytowała się Marianna.

– *Más vale pájaro en mano que ciento volando* – zanuciła rzewnie Luisa.

– Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu? Naprawdę uważacie, że jest aż tak wyrachowana?

– Moim zdaniem musi być wyrachowana. Inaczej dawno by już zginęła. – Luisa rozłożyła ręce. – I nie ma co się dziewczynie dziwić. Analizuje, co dla niej dobre, i szybko podejmuje decyzje. Miała w domu szkołę przetrwania. Nie wszyscy dorastają w cieplarnianych warunkach.

– Ale oni się nawet nie kochają!

– Ale Rosa jest matką. I najpierw rozważa, co dobre dla dziecka, później myśli o sobie.

– Skąd wiesz? Przecież ani ty, ani Juanita nie macie dzieci.

– Więcej wie diabeł dlatego, że jest stary, a nie dlatego, że jest diabłem.

– Znam to przysłowie – powiedziała Marianna. – Tylko nie wiem, jaki ma związek.

– Taki, że jesteśmy stare. I sporo w życiu widziałyśmy – Luisa skrzywiła się w półuśmiechu.

– Mnie to już w ogóle nic nie zdziwi – dodała beztrąsko Juanita. – Nawet gdyby słońce zaczęło

świecić nocą, a księżyc w dzień.

Luisa wydeła usta i zmrużyła oczy, rozważając słowa koleżanki.

– A mnie by to jednak trochę zdziwiło – powiedziała po zastanowieniu.

Wszystkie wybuchły gromkim śmiechem.

\*\*

Marianna zapukała cicho, mając nadzieję, że Juanita, która mieszkała naprzeciwko, nie usłyszy. Niestety, Veronica też nie usłyszała i dlatego Marianna musiała zapukać nieco mocniej. Wreszcie dało się słyszeć szuranie. Veronica zbliżała się powoli, jakby kapcie, które miała na nogach, nie pozwalały podnosić stóp.

– Kto tam? – spytała nieufnym głosem. Zwyczajowo tancerki, kiedy chciały się odwiedzić, nie bawiły się w delikatne pukanie. Albo waliły pięścią w drzwi, albo wchodziły bez grzecznościowej zapowiedzi.

– Marianna.

Veronica uchyliła drzwi i wyjrzała zdziwiona.

– Tak? – spytała, nie wpuszczając jeszcze Marianny.

– Musimy porozmawiać – poinformowała dziewczyna rzeczowo.

Veronica odsunęła się i przepuściła Mariannę. Prowadząc ją do salonu, przyglądała się jej badawczo.

– Stało się coś? – spytała, kiedy usiadły.

Marianna była zdumiona wystrojem wnętrza. Mieszkanie Veroniki było niespodziewanie surowe i zimne. Białe, niczym nieozdobione ściany stanowiły tło prostych drewnianych mebli. W salonie panował niemal sterylny porządek, co trochę kłóciło się z kolorowym wyglądem Veroniki. Zawsze dostojna i elegancka lubiła zaszaleć z dodatkami czy barwami tkanin. W jej mieszkaniu natomiast dominowała biel. Nawet poduszki równiutko poukładane na szerokiej szarej sofie były w kolorze białym, a na drewnianym stole królowała ręcznie haftowana okrągła biała serweta.

– Można tak powiedzieć – podjęła Marianna.

– Ojej, tort nie wyszedł? – W głosie Veroniki dało się słyszeć niekłamana troskę.

– Musimy porozmawiać o tobie. – Marianna przeszła do konkretów. Była lekko podenerwowana, nie lubiła tego typu rozmów, wiedziała jednak, że jeśli nie załatwi nurtującej jej sprawy, nie zaśnie.

– O mnie? – zdziwiła się Veronica. – Coś nie tak? Przecież byłam w kawiarni od rana do wieczora, pracowałam bez przerwy. Teresa się skarżyła? Ona ciągle ma jakieś pretensje.

– Wiem, że usiłujesz działać przeciwko innym i doprowadzić do sprzedaży kamienicy.

Veronica zamilkła i znieruchomiała. Jej jasnozielone oczy nagle przybrały barwę głębokiego szmaragdu.

– To nieprawda! Kto ci takich bzdur naopowiadał? – Roześmiała się nerwowo.

– A może sam Vincent?

Veronica wstrzymała oddech. Jej twarz stała się purpurowa i Marianna przestraszyła się, czy ciśnienie, które tancerce na pewno skoczyło, nie spowoduje omdlenia.

– Chodzi ci o te kwiaty?! – krzyknęła piskliwym głosem Veronica. – Nie moja wina, że się we mnie zakochał!

– Nie zakochał się. Omotał cię, oszukał.

– Co ty opowiadasz! Nie będę wysłuchiwała tych bredni. Nie znam żadnego Vincenta, a mężczyzna, który dał mi kwiaty, to szaleniec, psychofan. Użeram się z nim od wielu miesięcy.

– Veronico... – Marianna spojrzała poważnie. – Cristián Torres jest synem Carlosa, który wspólnie ze znajomym chciał przejąć kamienicę, żeby otworzyć tu klub. Nie mogłaś tego wiedzieć, ponieważ

w imieniu Carlosa rozmawiał z wami Diego, a później Vincent. Nie mieli planów, żeby cię zatrudnić. Vincent cię omotał, roztoczył piękne wizje, bo chciał cię wykorzystać do tego, żebyś przekonała pozostałe tancerki do sprzedaży mieszkań i baru.

Veronica zadrżała. Gdyby nie to, że siedziała, zapewne dawno już znalazłaby się w pozycji leżącej. Doskonale było widać, jak uchodzi z niej powietrze.

– To nieprawda – jęknęła płaczliwie.

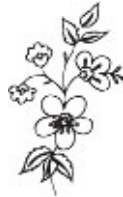
– Przykro mi. Ale jeszcze bardziej jest mi przykro, że chciałaś oszukać, zdradzić swoje przyjaciółki i współpracowniki. Tak się nie robi.

– Nie znam żadnego Vincenta! – krzyknęła nagle Veronica, odzyskując głos, jednak jej szkliste oczy nie patrzyły na Mariannę.

– Teresa o niczym nie wie. Nie zamierzam jej mówić. Sama to zrobisz, jeśli uznasz za stosowne. Nie mam pojęcia, jakie będą twoje dalsze kroki, ale informuję, że Vincent już nie przyjedzie. Ta sprawa jest po prostu zamknięta.

Marianna wstała. Spojrzała na Veronicę, która pochyliła się nad stołem i nerwowo skubała leżącą na nim serwetę.

– Nienawidzę farfocli – wycedziła pod nosem, szarpiąc wystającą nitkę.



## Rozdział 23



Teresa nie potrafiła ukryć stresu, kiedy pracownik hotelu Vincci odbierał zamówienie. W napięciu obserwowała, jak mężczyzna zagląda do każdego pudełka, sprawdzając, czy wszystko się zgadza. Torty stały niezapakowane, by mógł ocenić je z każdej strony. I rzeczywiście, nie omieszkał obejrzeć ich bardzo dokładnie. Wreszcie wyprostował się i powiedział:

– Doskonała robota. Mam nadzieję, że będą smakowały tak, jak wyglądają.

Teresa odetchnęła. Zawołała Mariannę, Juanitę i Luisę. Wspólnie zapakowały słodkości i pomogły mężczyźnie przenieść je do furgonetki. Veronica przyjęła gotówkę, udając przed hotelarzem, że taka ilość pieniędzy nie robi na nich wrażenia. Ale robiła. Nawet w najbardziej pracowitym dniu, kiedy w kawiarni nie brakowało gości, utarg był pięć razy mniejszy.

– Panienko przenajświętsza! – krzyknęła Teresa, złożony ręce i wniósłszy oczy do nieba. – Cud się stał! Tyle pieniędzy!

Marianna uśmiechnęła się zadowolona, że wszystko się udało. Ona też odetchnęła z ulgą. Podobnie jak Teresa denerwowała się, czy zamówienie zostanie odebrane i opłacone.

– Może to znak, żeby zatrudnić kogoś do kuchni – zaproponowała nieśmiało. – Takie zamówienia mogą się powtarzać. Zresztą można wysłać ofertę do hoteli, firm cateringowych... Przydaliby się i cukiernik, i dodatkowi kelnerzy.

– A po co? – prychnęła Luisa. – Świetnie damy sobie radę! Po sezonie nie ma aż tylu gości co latem, niepotrzebni nam dodatkowi kelnerzy.

– Ale odkąd zrezygnowaliśmy z sjesty, obsługa gości jest męcząca – powiedziała Teresa. – Siedziałaś na kuchni, to nie wiesz. Dwa dni temu był taki tłum, że do tej pory nogi czuję. Nie wiem, co ich przywiodło, może było jakieś wydarzenie na mieście, o którym nie wiemy. Siedzimy zamknięte, nosa na Sewillę nie wypuszczamy. Przydałby się dodatkowy kelner, albo nawet dwóch. Czasem chciałabym iść na spacer za dnia... Dzisiaj mało gości, jedna by dała radę, ale przecież nie ma reguły.

– To kelnera możemy wziąć. Ale do kuchni nikogo nie trzeba – upierała się Luisa. – Marianna będzie kreować smaki, mnie dobrze wychodzi pieczenie ciast i ucieranie kremów, a i Juanita w końcu się wdroży.

– Luiso, ja zamierzam niebawem wrócić do Polski – przypomniała Marianna.

– Nie! – zareagowała spontanicznie Luisa. – Co tam będziesz robić? Żle ci z nami?

Teresa i Juanita spojrzały na Mariannę wyczekująco. Veronica także zerknęła, ciekawa odpowiedzi dziewczyny.

– Jest mi z wami bardzo dobrze – przyznała Marianna. – Jesteście wspaniałe, otaczacie mnie troską. Nie spodziewałam się, że znajdę w was przyjaciółki.

– Babcie – podkreśliła z dumą Teresa. – Babcie to coś więcej niż przyjaciółki. To rodzina.

– Ciocia też rodzina – wtrąciła niespodziewanie Veronica.

Mariannie zadrżała broda. Słowo „rodzina” wywołało niepochamowany płacz. Teresa doskoczyła do dziewczyny i zaczęła ją tulić.

– Chciałabyś zostać? – spytała. – Mieszkanie po Elenie jest wolne, mogłabyś w nim mieszkać, ile tylko chcesz. I pracowałabyś z nami. I nauczyłybyśmy cię tańczyć flamenco. I dogadzałybyśmy ci jak prawdziwe babcie.

– Dziękuję. – Marianna otarła łzy i złapała oddech. – To niezwykle. I jest mi bardzo miło. Płaczę, ponieważ się wzruszyłam, to naprawdę miłe, co mówicie. Jednak uświadomiłam sobie, że pora dorosnąć. I zacząć żyć. A żebym mogła to zrobić, muszę pogodzić się z moim życiem, zaakceptować rzeczywistość. I budować własną drogę.

– Gdyby kiedyś ta droga przywiodła cię do Sewilli, to u nas zawsze będzie dla ciebie miejsce – powiedziała z uśmiechem Teresa.

Marianna pocałowała ją w policzek.

– Dziękuję. Na pewno wpadnę kiedyś na wakacje – obiecała.

– Ale nie wyjeżdżasz jutro? – zaniepokoiła się Juanita.

– A skąd, jeszcze się trochę ze mną pomęczycie. – Marianna puściła oczko, ale szybko spoważniała. – W poniedziałek jesteśmy umówione z Rosą u prawnika. Nie wiem, co ona robi z własnym życiem, jednak skoro podjęłam się z nią pójść, to pójdę. Potem już będzie działać sama. Wy też już mnie nie potrzebujecie. Pora wracać. Półtora miesiąca to i tak aż nadto wylegiwania się w ciepłe. Trochę już tęsknię za Polską i za deszczową, wietrzną jesienią.

– U nas też nieźle popadało – zauważyła Luisa.

Marianna się roześmiała.

Bolivar, który właśnie przyjechał z zakupami, przerwał zgromadzenie i kobiety wróciły do obowiązków. Marianna skręciła w stronę łazienki, nie zauważywszy, że tuż za nią drepce Veronica.

– Słówko – szepnęła ochryple kobieta, niemal wpychając Mariannę do toalety. Zamknęła drzwi na klucz. – Muszę ci coś powiedzieć.

Marianna otworzyła usta, żeby zaprotestować wobec zachowania Veroniki, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, kobieta, patrząc jej prosto w oczy, zaczęła swoje:

– Dosypałam soli do ciast.

– Słucham?

– Wczoraj weszłam do kuchni, nie pamiętam już po co, ciebie nie było, a Luisa z Juanitą stały przyklejone do okna, podsłuchiwały kogoś, nawet nie zauważyły, że przyszłam. Nie wiem, co mnie podkusiło. Po prostu sypnęłam sól, bo była pod ręką, do ciast, które stygły na blacie.

Marianna zbladła.

– To się nie dzieje naprawdę – jęknęła zrezygnowana.

– Przepraszam. Nie umiem tego wytłumaczyć, chyba byłam zła po naszej rozmowie, nie wiem, przechodzę jakiś kryzys. Przepraszam – Veronica z obłędem w oczach wyrzucała z siebie kolejne słowa.

– Dlaczego nie powiedziałaś o tym, kiedy przyjechał hotelarz?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

– To dlaczego mówisz teraz? – Marianna spojrzała nieufnie.

Veronica wzruszyła ramionami i spuściła głowę.

– Nie wiem – powtórzyła raz jeszcze, jakby jej zachowanie naprawdę nie znajdowało wytłumaczenia.

Marianna w myślach odtwarzała moment, o którym mówiła Veronica. Przypomniała sobie, że wtedy pieczone były serniki. Veronica musiała posypać ciasta solą, zanim zostały polane karmelem, ponieważ karmel Luisa nakładała już w czasie, kiedy Marianna skończyła rozmawiać przez telefon z Rosą.

– To były serniki – powiedziała głośno, analizując, na ile sól mogłaby im zaszkodzić. – Ile tego

sypnęłaś?

– Porządnie. – Veronica nadal nie patrzyła na Mariannę.

– I Luisa nie zauważyła?

– Obydwie są ślepe jak kury.

– No to jesteśmy spalone. I Café Caramelo jest spalone. Możesz sobie pogratulować – Marianna wbrew temu, co czuła w środku, mówiła spokojnie. – Chyba osiągnęłaś swój cel, prawda? Hotel dokona reklamacji serników. Zwrot pieniędzy to najmniejszy problem. Nie dostaniemy więcej zleceń, a po Sewilli rozniesie się opinia, że nasze ciasta są paskudne.

– Przepraszam – wydukała Veronica.

– Mnie nie musisz przepraszać. – Marianna spojrzała beznamiętnym wzrokiem i chwyciła za kluczyk w drzwiach, żeby je otworzyć. – Przepróż Teresę, Juanitę i Luisę.

– Poczekaj! – Veronica złapała dziewczynę za ramię. – Nie mogę się przyznać, będą wściekłe. W dodatku, jeśli dowiedzą się o naszej rozmowie i o moich kontaktach z Vincentem...

– Ale to nie jest mój problem. – Marianna przypominała sobie słowa Cristiána i poczuła wdzięczność za siłę, jaką jej teraz dały.

– To co mam zrobić?

– Nie wiem. – Marianna przekreśliła klucz, otworzyła drzwi i wyszła.

Była zdruzgotana. Świadomość, że praca, którą wykonały, może zostać zaprzepaszczona przez wybryk Veroniki, przytłoczyła ją do tego stopnia, że nie miała ochoty wracać do kuchni. Nie można było się łudzić, że goście weselni, nawet jeśli będą pod wpływem alkoholu, nie wyczują soli. Można było jedynie mieć nadzieję, że nie zgłoszą tego faktu obsłudze hotelu. Albo że w ogóle nie ruszą serników, ponieważ zaczną smakować inne ciasta i zajadać się tortami. Na to jednak były marne szanse i Marianna oczyma duszy już widziała rozwścieczonego hotelarza. Naturalnie miałby rację.

– Marianna... – Veronica nie odpuszczała. Doskoczyła do Marianny w korytarzu, zastępując jej drogę. – Nie mogę im powiedzieć. Nie daruję mi tego. Wierz mi, chciałabym cofnąć czas. Gdyby się dało, to o pół roku. Pogoniłabym Vincenta. Nie chcę stracić rodziny – wyznała ze łzami w oczach.

– Veronico. – Marianna westchnęła z rezygnacją. – Mogłabyś być moją babcią, a czuję się, jakbym to ja była starsza od ciebie. Nie musisz mi się tłumaczyć. Ja niedługo wracam do Polski. Ty zostajesz. I to ty powinnaś załatwić tę sprawę.

– Ale one ciebie słuchają! Błagam, pomóż mi, nie wiem, co robić.

– Mogłaś pomyśleć o tym wcześniej.

– Tu jesteś! – krzyknęła Teresa, zauważywszy Mariannę. Była wyraźnie zdyszana. – Szukałam cię! Nie masz pojęcia, co się stało! Właśnie dzwoniли z hotelu!

Marianna przełknęła ślinę. Szybciej, niż się spodziewałam – pomyślała gorzko.

– Najpierw z pretensjami – ciągnęła Teresa. – Że niby to my źle zabezpieczyliśmy ciasta. Sugerowali, że pudełka nie były dobrze związane. Ale się nie dałam – podkreśliła. – Zapewniłam, że pakowałyśmy wszystko z największą starannością. No i rzeczywiście, od słowa do słowa okazało się, że stażysta, który pomagał przenosić paczki, zamiast robić to ostrożnie, załadował na ręce kilka pudełek, jedno na drugim. I się potknął. – Zamilkła, wyczekując reakcji Marianny.

Marianna wstrzymała oddech.

– Rozwalił tort? – spytała po chwili.

– Torty żyją. Nie ma kilku ciast. Jak mu z rąk wypadło, tak pooooooszło! – Zobrazowała szerokim gestem.

– Ale przecież pudełka były związane.

– No właśnie! – krzyknęła Teresa. – Dlatego nas wybroniłam. Ciasta były odpowiednio



zabezpieczone, ale on na nie upadł jak długi.

– Cholera – zakłęła Marianna. Opadły jej ręce. Nie dość, że serniki są słone, to jeszcze kilka ciast zostało zniszczonych przez nieodpowiedzialnego pomocnika hotelowej kuchni.

– Ale spokojnie. – Teresa uniosła prawą dłoń, pokazując, że zapanowała nad sytuacją. – Udowodniłam, że wina leży po ich stronie i w końcu się ze mną zgodzili. Jeszcze na tym zarobimy. – Uśmiechnęła się przebiegle. – Poprosili, żebyśmy dostarczyli na cito kilka ciast. Zapłacać.

– Jakie to były ciasta?

– No, niestety, wszystkie serniki.

Marianna uniosła brwi. Odwróciła się do Veroniki. W milczeniu wymieniły się spojrzeniami. Twarz Veroniki nagle się rozjaśniła i drobne zmarszczki wokół oczu jakby zniknęły.

– A sera nie mamy – ciągnęła Teresa. – Bolivar też już pojechał. Nie zdążymy upiec, trzeba zrobić inne...

– Damy radę – powiedziała zdecydowanym głosem Veronica. – Przeleczę się do marketu i kupię ser. Przygotujcie karmel, rozgrzejcie piec. Do roboty! – Klasnęła w ręce i energicznym krokiem poszła do kuchni.

Marianna i Teresa podążyły za nią wzrokiem.

– No widzisz – mruknęła zadowolona Teresa. – Niby damulka, ale jak trzeba, to można na nią liczyć.



## Rozdział 24



Cristián czekał pod wejściem do Caramelo. Kiedy Marianna go ujrzała, serce zabiło jej mocniej. Była świadoma własnej reakcji i próbowała ją stłumić. Nie chciała, żeby mężczyzna zauważył jej podekscytowanie z powodu spotkania i radość, którą poczuła na jego widok. Tym bardziej że sama jeszcze nie do końca rozumiała, skąd biorą się u niej tak pozytywne uczucia w stosunku do niego.

– Dobry wieczór – przywitała się przyjaźnie, ale z dystansem.

Nie odpowiedział. Nie spuszczać z niej wzroku, zbliżył się i pocałował w policzek, równocześnie chwytając jej rękę. Kiedy poczuła jego zapach i miękki dotyk ciepłej dłoni, przeszedł ją dreszcz. Było to przyjemne uczucie, którego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Miała w przeszłości dwóch chłopców, jednak emocje, które wtedy jej towarzyszyły, były zgoła inne. Nastoletnie wówczas serce wrywało się głośno, domagając uwagi. Miłostki, które wtedy przeżyła, były bardzo intensywne, lecz krótkie. Motyle szalały w brzuchu, we krwi buzowała adrenalina, a w głowie panował zamęt.

Subtelny dreszcz, który teraz poczuła na skórze, nie nosił znamion szaleństwa, które kojarzyło się z nagłym zakochaniem. A jednak poczuła coś niezwykle przyjemnego. Coś, co spowodowało, że w tej jednej chwili wszystkie trapiące ją sprawy stały się mało istotne. Nagle Rosa, Veronica, słone serniki i trudne rozmowy przyblakły i Marianna odczuła, że spływa na nią błogi spokój.

– Głodna? – Cristián spojrzał na nią tak, jakby znali się całe wieki. Nie było w nim ani krzty sztuczności. Nie zdziwiłaby się, gdyby ją objął i w czułym uścisku poprowadził do samochodu. Nie uciekałaby od dotyku. Złapała się na myśli, że tego pragnie.

Nie objął jej wprawdzie, ale wciąż trzymał jej dłoń w swojej dłoni. Łapczywie chłonęła ten moment, wiedząc, że za chwilę zostanie przerwany.

– Głodna – powiedziała z uśmiechem.

– W takim razie idziemy.

Ruszył w kierunku przeciwnym niż ten, gdzie zazwyczaj parkował samochód. Jeszcze mocniej ścisnął jej dłoń, jakby chciał mieć pewność, że mu się nie wyslizgnie. Znow przebiegł ją dreszcz. Pomyślała, że mogłaby przejść w ten sposób całą Sewillę, a nawet dojść do Granady.

Kilka uliczek dalej znajdowała się winiarnia, do której dotarli po niecałych dziesięciu minutach. Drzwi, w które najpierw trzeba było zastukać potężną kołatką, nadawały winiarni wrażenie niedostępności dla zwyczajnego przechodnia. Cristián musiał bywać tu wielokrotnie, ponieważ bez chwili wahania zastukał i natychmiast, kiedy tylko odźwierny go rozpoznał, zostali wpuszczeni do środka.

– Co tu dają, że tak trudno się dostać? – spytała ścisłym głosem Marianna, kiedy schodzili po kamiennych krętych schodach.

– Starą whisky zrabowaną przez piratów – wyszeptał jej wprost do ucha.

Roześmiała się, przykrywając usta dłonią, żeby nie narobić śmiechem hałasu. Mężczyzna, który otwierał im drzwi, szedł przodem, był milczący i poważny, dlatego uznała, że głośny chichot byłby tu nie

na miejscu. Tym bardziej że wokół panowały cisza i półmrok, które potęgowały atmosferę tajemniczości.

Niewielkie salki, w których zgromadzono wina, były połączone wąskimi korytarzami. W każdym z podziemnych pomieszczeń znajdowały się stoliki, a stłumione odgłosy rozmów dobiegające gdzieś z głębi piwnicy wskazywały, że Marianna i Cristián nie są jedynymi gośćmi. Jednak w sali, do której ich doprowadzono, znajdował się tylko jeden stolik. Był już nakryty.

– Mają tu też kuchnię? – zdziwiła się Marianna.

– Całkiem niezłą – potwierdził Cristián.

Jak na zawołanie pojawili się kelnerzy. Menu musiało być wcześniej ustalone, ponieważ zamiast kart przynieśli gorące przystawki oraz pasujące do dań wino. Z głośników ukrytych między stojakami płynęła dyskretna muzyka. Na tyle cicha, że Mariannie trudno było określić jej gatunek. Zgadywała, że to klasyka, jednak nie potrafiła rozpoznać kompozytora.

Krewetki, które im zaserwowano na glinianych półmiskach, wciąż skwierczały. Marianna najpierw zamoczyła kawałek chrupiącej grzanki i spróbowała sosu, w którym były zatopione.

– Pycha – zachwyciła się. Sięgnęła po widelec.

Cristián się uśmiechnął, zadowolony z jej reakcji.

Wino również było wyborne.

Kiedy zjedli, przyniesiono drugą przystawkę. Mule. Marianna, jak poprzednio, najpierw zamoczyła grzankę. Znowu sos okazał się idealny w smaku. Oblizwała usta. Cristián przyglądał się jej rytuałom z niemym zachwytem.

– Wiedziałem, że będzie ci smakowało – powiedział, zauważywszy, że muszli z jej wiaderka ubywa szybciej niż z jego.

– Uważaj! – Uśmiechnęła się. – U nas, w Polsce, jest takie przysłowie: przez żołądek do serca.

– Na co mam więc uważać?

– Karmisz mnie tak, że mogę się w tobie zakochać – zażartowała.

– Grozisz mi? – Zmysłowo zmrużył oczy.

– Ostrzegam. – Marianna zabawnie wyduła usta.

– Okej, będę się bronił.

– Szkoda... – westchnęła, udając niepokieszoną.

– Przykro mi to mówić – Cristián przybrał poważny wyraz twarzy – ale danie główne będzie równie smaczne jak przystawki. O ile nie smaczniejsze.

– Błagam, nie rób mi tego – jęknęła, zmarszczywszy czoło.

– Niestety.

– Czyli że po nim już na pewno się w tobie zakocham?

– Tak. Bardzo mi przykro.

– Nie bądź taki pewien. – Uśmiechnęła się, patrząc mu hardo w oczy. – Ja też jestem wytrzymała. Ostatnimi siłami, ale jakoś przetrwam danie główne.

Cristián wzruszył ramionami.

– Dobiję cię deserem.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym wybuchnęli śmiechem. Kelner, który pojawił się nie wiadomo kiedy, dolał wina do kieliszków. Drugi kelner w mgnieniu oka uprzątnął talerze. Kilka minut później wniesiono czarny makaron z owocami morza, pomidorami koktajlowymi, szparagami i chilli. Drobne płatki parmezanu dopełniały całości.

– Kurczę. – Marianna niemal się rozpułnęła. – Już dawno nie jadłam makaronu. Wygląda pysznie.

Po całkiem sytych przystawkach nie była głodna, ale nie spróbować takiego tania byłoby grzechem. Przymknęła oczy, delektując się smakiem. Makaron sprostął jej oczekiwaniom.

Miejsce, jedzenie, wino i towarzystwo Cristiána – to wszystko sprawiło, że Marianna pierwszy raz w życiu pomyślała, że byłoby przyjemnie spędzać tak wieczory.

Dotychczas było jej dobrze jako singielce, nie marzyła o miłości. Przyjęła, że jeśli kiedyś się zakocha, to dobrze, a jeśli nie, to nie będzie to powód do zmartwienia. Ten wieczór pokazał jej, że wiele by straciła, spędzając życie samotnie. Bo choć czuła się dobrze we własnym towarzystwie, to dzielenie z kimś przyjemnych chwil przynosi więcej radości niż celebrowanie ich w pojedynkę.

Uśmiechnęła się do siebie. Cristián opowiadał właśnie o miejscu, w którym się znaleźli. I właścicieli, który postanowił spełnić swoje marzenie i otworzyć ekskluzywną winiarnię ze wstępem dla wybranych. Była to ciekawa, obfitująca w anegdoty historia o człowieku pełnym pasji i wielkiej miłości do wina.

– Stworzył pewnego rodzaju klub – wyjaśnił Cristián – i dlatego nie można wejść tu z ulicy. Każdy członek ma kartę klubową na własne nazwisko. Dzięki temu można popróbować najlepszych win z całego świata, choć – jak się domyślasz – ma to swoją cenę.

– Sugerujesz, że wydasz na tę kolację majątek? – Marianna parsknęła śmiechem. – Jak chcesz, mogę się dorzucić.

Cristián także się roześmiał.

– Chciałem powiedzieć, że właściciel tej winiarni ponosi wysoką cenę za swoją ekstrawagancję. Ograniczenie liczby gości do klubowiczów powoduje, że restauracja nie przynosi spodziewanych zysków. Nie jest tanio, ale nie może też dać zbyt wygórowanych cen. Nawet najbogatsi w tym mieście mają jakieś granice rozsądku. Mimo to Pablo ciągle wierzy, że grono klubowiczów będzie się powiększać.

– A jak można dostać taką kartę?

– To jest najlepsze. Pablo sam je wysyła. Według własnego uznania. Wymyślił, że karta jest tak wielkim wyróżnieniem, że wielu na nią czeka.

– Ty nie musiałeś czekać?

– Tak się składa, że Pablo jest kuzynem mojej mamy. Winiarnię założył cztery lata temu i ciągle do niej dokłada.

– Niezły interes.

– Ważne, że on jest zachwycony. Całe życie pracował w handlu, teraz spełnia marzenia. Uważa, że za jakiś czas to będzie najbardziej ekskluzywnie miejsce w Sewilli. Będą się tu spotykać najmożniejsi tego świata. Tak mówi. I naprawdę w to wierzy.

– Hmm... – zamyśliła się Marianna. – Kto wie... Może któregoś dnia dopnie swego. Tym bardziej że stworzył rzeczywiście wyjątkowe miejsce.

– To prawda – zgodził się Cristián. – Świetne jedzenie, doskonałe wina i klimat, który sprzyja intymności. Idealne na randkę.

Marianna się zmieszala.

– Och, z pewnością każdej dziewczynie, którą tu przyprowadzałeś, bardzo się podobało – powiedziała, starając się, aby jej głos zabrzmiał lekko i niewymuszenie.

– Szczerze mówiąc, do tej pory bywałem tu sam.

– W takim razie czuję się wyróżniona. I potwierdzam, że miejsce jest dobre na randki. Spokojnie możesz się tu umówić z wybranką. – Uśmiechnęła się przyjaźnie, udając, że nie rozumie delikatnej aluzji.

Zanim wniesiono deser, Marianna udała się do toalety. Musiała ochłonać. Próbowwała sobie przypomnieć, jak właściwie doszło do tego spotkania. Poprzednim razem umówili się, ponieważ mieli konkretny cel: rozmowę o Vincencie i Veronice. Jednak wszystko już zostało wyjaśnione, więc nie było potrzeby, żeby znowu się spotykać. A jednak się umówili. Ale to przecież nie jest randka – analizowała w myślach, poprawiając makijaż. A może jest...?

Nagle ogarnęła ją panika. Przyjemnie było błędzić myślami wokół Cristiána i marzyć o tym, że takie wieczory jak ten mogłyby się powtarzać. Ale co innego marzenia, a co innego rzeczywistość. A w tej nie było na razie miejsca dla żadnego mężczyzny. A już na pewno nie dla niego. Przecież pochodzili z dwóch różnych światów. Marianna, choć uwielbiała Hiszpanię, to nie zamierzała spędzać tu więcej czasu, niż było konieczne. Romans z Hiszpanem nie wchodził zatem w grę.

Wzdrygnęła się na myśl o jakimkolwiek romansie. To słowo samo w sobie – zdaniem Marianny – źle się kojarzyło. Ulotna, krótkotrwała miłośćka wybuchająca gwałtownie i równie szybko gasnąca.

Natychmiast pożałowała swoich żartów na temat zakochania. Cristián niebezpiecznie szybko je podchwycił i mimo że obydwójce pozornie bawili się słowami, to dawało się wyczuć wyrazisty podtekst. Marianna przestraszyła się, że ten mimowolny niewinny flirt mógłby zostać przez Cristiána odczytany jako sygnał zachęty do dalszych kroków. A na to nie mogła sobie pozwolić.

Wróciła do stolika z mocnym postanowieniem, że tak pokieruje rozmową, by nie było już wątpliwości co do charakteru spotkania.

– Pablo twierdzi, że mają najlepszy suflet czekoladowy – powiedział Cristián, kiedy usiadła. – Ale mnie niełatwo jest to ocenić, bo nie przepadam za słodyczami. Ty z pewnością będziesz potrafiła zweryfikować jego słowa.

– On tu jest? – zdziwiła się Marianna. Słowa Cristiána zabrzmiały tak, jakby to właśnie Pablo podawał suflet.

– Chętnie bym was poznał, ale Pablo od miesiąca podróżuje z żoną po Europie. Rowerami. Wymyślił, że napisze przewodnik. Kolejne marzenie, które pragnie spełnić.

– Nie uważasz, że to wspaniałe?

– Spełniać marzenia?

– W ogóle je mieć. Nie wszyscy marzą, niektórzy żyją z dnia na dzień.

– Myślałem, że większość ludzi jednak o czymś marzy.

– A ty? Jakie są twoje marzenia? – zagadnęła Marianna, wbijając srebrny widelczyk w ciasto, z którego wypłynęła ciepła czekolada.

Cristián uniósł brwi. Musiał się zastanowić nad odpowiedzią.

– Poprzednio wspominałeś, że chciałeś mieć własną restaurację – przypomniała Marianna.

– Tak – potwierdził – ale restauracja to tylko jeden z elementów większej całości.

– Nie rozumiem.

– Spójrz na Pabla. Marzył o winiarni i ją ma. Jednak winiarnia nie była celem samym w sobie ani też spełnieniem marzeń. Stanowiła część szerszego marzenia o zupełnie innym stylu życia od tego, jaki wówczas prowadził. Ze mną jest podobnie. Chyba mamy we krwi podobne spojrzenie. Pragniemy wolności, a zarazem jesteśmy bardzo rodzinni. Pablo podróżuje z żoną, dzieci już mają dorosłe. Kiedy jest w Sewilli, razem z żoną prowadzi winiarnię. Czasem, kiedy wpadają ich dzieci, przesiadują tu do późnej nocy, rozmawiając, pijąc wino, śmiejąc się.

– To samo mogliby robić w domu, nie potrzeba do tego winiarni.

– W domu też się spotykają. Chodzi mi o to, że kiedy Pablo miał salon samochodowy, brakowało mu czasu na takie spotkania. Teraz udaje mu się łączyć pracę z potrzebami rodziny.

– I o takiej właśnie pracy marzysz?

– O możliwości pogodzenia pracy z posiadaniem rodziny. Marzę o tym, czego nie dane mi było doświadczyć, i o tym, czego w skrytości ducha zazdrościłem kolegom. O tym, czego nie dostaniesz za żadne pieniądze. Nie kupisz tego.

– O czasie?

– Można tak powiedzieć... – Uśmiechnął się. – Wiesz, w Hiszpanii jest takie określenie: *sobremesa*.

– Obrus?

– Też – roześmiał się Cristián. – Obrus, blat. Słyszałem, że obcokrajowcy próbują w różnoraki sposób to tłumaczyć. A to po prostu nasze hiszpańskie określenie czasu, jaki spędzamy w gronie najbliższych, na luzie, przy stole, najczęściej po obiedzie, kiedy można leniwie raczyć się deserem, sączyć wino, rozmawiać, śmiać się, grać w karty...

– *Sobremesa*. No tak. – Marianna przypomniała sobie, że gdy była na studiach w Hiszpanii, nieraz widziała takie zgromadzenie rodzin i przyjaciół przy jednym stole. Zawsze patrzyła na nich z nostalgią, tęskniąc za własną rodziną w Polsce. – Naprawdę nie mieliście takich rodzinnych spotkań? – spytała. – Przecież twoi rodzice byli razem, masz brata, w Sewilli mieszka też wasza dalsza rodzina. Nie spotykaliście się?

– Pamiętam te chwile z wczesnego dzieciństwa – przyznał ze smutnym uśmiechem Cristián. – Potem wszystko zaczęło się sypać. – Roześmiał się nagle. – Brzmi tak, jakbym pochodził z rozbitej rodziny, a przecież moi rodzice byli razem. Ale to tylko pozory. Tak naprawdę rodzina przestała istnieć na długo wcześniej, zanim przeprowadziłem się do Barcelony. Ojciec wpadł w pracoholizm, a dodatkowo popijał, szukał wrażeń, nawiązywał romanse, ale o tym już wiesz. Słowem, był z niego kawał... – Cristián zamilkł, lecz jego mina pozwalała Mariannie dopowiedzieć resztę. Nagle przed oczyma stanął jej obraz, jaki roztoczyła Elena. Osamotniony, targany wyrzutami sumienia Carlos, którego dusza długo jeszcze nie zazna niebiańskiego spokoju.

– Wiem, że może twój tata nie był idealny – powiedziała poważnie, patrząc Cristiánowi w oczy. – Ale nie myśl o nim źle.

– Niestety, nie mogę myśleć dobrze.

– Spróbuj. Być może on żałowałby dziś swojego zachowania, może pragnąłby je naprawić, gdyby miał taką okazję... Nie wiesz tego.

– Ale wiem, że jego zachowanie było jego wyborem. Mógł uczciwie przyznać się do słabości i błędów, a nie przekonywać matkę, że prawda jest inna i że to ona się myli. Przez to kłócili się niemal codziennie. Nie wiem, dlaczego od niego nie odeszła.

– Może nie czuła się na siłach...

– Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Wiem, że przeżywała wszystkie doniesienia o romansach ojca, robiła mu awantury, a on wiecznie zaprzeczał. Być może mu wierzyła, może cały czas go kochała, nie mam pojęcia. Na pewno spajał ich Chico. Rozpieszczali go do granic. Nawet wtedy, kiedy zaczął szaleć, użalali się nad nim, dzięki temu mieli ze sobą o czym rozmawiać. Ze mną nie było problemów, cała uwaga skupiała się na Chicu.

– Masz o to żal?

– Już nie. Ale było różnie. Po wyprowadzeniu się z domu zrozumiałem, że jestem odrębną jednostką i że moje szczęście nie jest determinowane przez innych. Sam muszę o nie zadbać. Ale jakiś sentyment do starych czasów pozostał. Tęsknota za rodziną, za wspólnie spędzanym czasem, kiedy dzielisz się nie tylko troskami, ale też sukcesami.

– Prawdę mówiąc, kiedy byłam na balu, odniosłam wrażenie, że miałeś silną rodzinę. Prezes fundacji ciepło mówił o twoich rodzicach. Wszyscy ich kochali.

– Pozory – prychnął Cristián. – Fundacja to przykrywka dla wszelkich problemów. Chyba była im potrzebna, żeby zachować twarz. Nie mówię, że nie zrobili wiele dobrego – wręcz przeciwnie, dzięki fundacji udało się pomóc wielu młodym ludziom. Ale Chico z tego nie skorzystał. Nie chciał. A ojciec chyba machnął ręką... Mimo to resztką zdrowego rozsądku dokonał zapisu w testamencie, że Chico dostanie swoje pieniądze dopiero wtedy, kiedy skończy dwadzieścia pięć lat.

– Mówił mi o tym – przypomniała sobie Marianna. – Swoją drogą, przepraszam, że o to pytam, ale czy

twój tata obawiał się śmierci, skoro sporządził testament?

– Skąd. Testament spisał za namową jednego z prawników w czasie, kiedy powstawała fundacja.

Czysty przypadek. Ale wiem, do czego zmierzasz – znam plotki, które chodzą po mieście.

– Że twoja mama celowo skierowała samochód w przepaść...

– Dochodzenie tego nie wykazało. Musiało być przeprowadzone, domagała się tego firma ubezpieczeniowa. Ale nie znaleziono dowodów. Natomiast... – zamilkł na chwilę. – Prawdę mówiąc, nie zdziwiłoby mnie to. Mama bywała porywcza, a w ostatnich miesiącach bardzo się wyciszyła. Chico wspominał, że rodzice się nie kłócili, nie miała o nic do ojca pretensji. Jakby pogodziła się z tym, że zmiana nigdy nie nastąpi. Może gniotła pod skórą uczucia, które w końcu się przelały. Nie chcę o tym myśleć. Do tej pory zadrezczam się, że nie byłem bardziej stanowczy, że nie wymusiłem na niej rozstania z ojcem albo na obojgu wizyty w jakiejś poradni.

– Nie możesz się o to obwiniać. Zresztą przyjęto przecież, że to był wypadek.

– Mimo wszystko. Z tyłu głowy ciągle czai się myśl, co by było, gdyby...

– Znam to uczucie.

Marianna w kilku zdaniach opowiedziała Cristiánowi o babci, której zafundowała silne emocje z powodu planowanych badań genetycznych, mających potwierdzić lub zaprzeczyć, że posiadała siostrę. I o własnych wyrzutach sumienia z tego powodu.

– Mogę powiedzieć dokładnie to samo co ty mnie. – Cristián uśmiechnął się miękko. – Nie możesz się o to obwiniać. Może to był zwykły przypadek, twoja babcia miała już swoje lata.

– Mimo wszystko z tyłu głowy ciągle czai się myśl, co by było, gdyby... – powtórzyła jego słowa. – Nie mówiąc o tym, że wciąż nie przebolełam śmierci rodziców. To okropne, że w tak krótkim czasie można doświadczyć tylu nieszczęść. Nie chcę się nad sobą uzalać, ale są dni, kiedy zadaję sobie pytanie: dlaczego właśnie nas to dotknęło? Moją rodzinę. Dlaczego?

– Na te pytania nie poznamy odpowiedzi. Ale z przyjemnością poznałbym odpowiedź na pytanie o twoje marzenia. – Cristián zgrabnie zmienił temat, wyczuwając, że rozmowa staje się zbyt smutna jak na wieczór, który w zamyśle miał im dostarczyć rozrywki.

– Moje marzenia? – Marianna sięgnęła po kieliszek z winem. Musiała się zastanowić. Kiedyś miała wiele planów, na przykład taki, żeby zamieszkać w Londynie i tam otworzyć wymarzoną cukiernię. Potem jej jedynym marzeniem stało się, żeby babcia żyła jak najdłużej, a wszelkie inne sprawy zeszyły na dalszy plan. Po śmierci babci marzenia zupełnie się rozmyły, a plan zamieszkania w Londynie wydał się pozbawiony sensu. Tęskniła za Polską i teraz wiedziała już, że właśnie tam chce mieszkać. To właśnie Polska, mimo chłodu i zmiennej pogody, w jej umyśle była najcieplejszym krajem. Miejscem, gdzie ludzie być może narzekają i nie zawsze przychylnym okiem patrzą na inność, jednak tak samo przecież jest w innych krajach. W Sewilli odkryła świat, który istniał także w Polsce, tyle że Marianna, żyjąc pod kloszem, miała wypaczony obraz rzeczywistości. Żyła w bańce, nieświadomie odgradzając się murem od ludzi i przyjmując za pewnik, że nie jest przez nich akceptowana. I choć częściowo była to prawda, bo wiele koleżanek odrzucało znajomość z Marianną z powodu czystej zazdrości, to gdyby rozejrzała się uważniej, dostrzegłaby, że kilka innych z przyjemnością wpadłoby na kawę. Jednak sygnały, które wysyłała dziewczyna, dla niektórych tworzyły dystans nie do przeskoczenia.

– Moje marzenia... – powtórzyła Marianna, zawstydzona, że nie potrafi ich skonkretyzować. Nie chciała rozwodzić się nad własnym życiem i zanudzać Cristiána nieprzemyślanymi refleksjami na temat marzeń i planów. Wiedziała, że musi najpierw doprowadzić do ładu rzeczywistość wokół siebie i zrobić porządek w umyśle, by marzenia na nowo zaczęły się krystalizować. – Chciałabym otworzyć cukiernię w Warszawie – rzuciła szybką odpowiedź, byleby tylko coś powiedzieć. – Ale to dalsza perspektywa. Na razie moje marzenia są proste. Na przykład nie byłam jeszcze w katedrze. Zawsze albo brakuje mi

czasu, albo nie da się wejść z powodu tłumów. A marzę o tym, żeby zobaczyć grobowiec Kolumba.

– Naprawdę jeszcze tam nie byłaś? – zdziwił się Cristián.

Pokręciła głową, zadowolona, że Krzysztof Kolumb odciągnął uwagę Cristiána od tematu większych marzeń.

– W takim razie nie ma na co czekać. Przynajmniej to będziesz miała odhaczone.

– Ale kiedy? Teraz? – Marianna zerknęła na zegarek. – Dochodzi dwudziesta druga, już będzie zamknięte.

– Owszem, ale to akurat żaden problem. – Cristián wyjął telefon.

– Tam też pracuje ktoś z twojej rodziny? – Roześmiała się. – No tak, jak się ma wujka księdza, to wstęp do kościołów stoi otworem.

– Nie wujek. Przyjaciel prowadzi tam konserwację, pracują wieczorami i nocą, żeby nie zaburzać rytmu dnia i nie przeszkadzać turystom.

– Myślisz, że nas wpuści? – Marianna naprawdę się ucieszyła.

– Zaraz się dowiem. – Cristián wystukał numer i z telefonem przy uchu wyszedł z sali.

Marianna dokończyła suflet, uznawszy z satysfakcją, że ten, który ona przyrządza, jest mimo wszystko lepszy. Kiedy wrócił Cristián, spojrzała na niego z wyczekiwaniem. Podosycona winem perspektywa nocnego zwiedzania katedry zdawała jej się niezwykle ekscytująca.

– Mamy piętnaście minut – poinformował rzeczowo i podał Mariannie rękę.

\*\*

Łatwo było zapomnieć o złożonej sobie obietnicy, kiedy Cristián, nachylając się nad Marianną, szeptem opowiadał o historii miasta. Okazał się doskonałym przewodnikiem. Mimochodem zbliżała twarz do jego twarzy, dopytując, także szeptem, o jakieś kunsztownie rzeźbione elementy.

Wyludniona, pogrążona w półmroku świątynia, w której każdy głośniejszy dźwięk odbijał się echem od ścian, sprzyjała atmosferze bliskości i Marianna, wbrew wcześniejszym postanowieniom, skrzętnie z tego korzystała. Niemal wtulona w ramię wsłuchiwała się w jego słowa szeptane prosto do ucha i upajała się jego ciepłym oddechem.

Kiedy przystanęli przed grobowcem Krzysztofa Kolumba i Cristián tłumaczył, dlaczego sarkofag umiejscowiony jest tak nietypowo – zamiast w ziemi szczątki odkrywcy znajdują się kilka metrów nad nią – Marianna nie słuchała. Owładnięta przemożną chęcią wykorzystania momentu, w którym się znaleźli, wspięła się na palce i cmoknęła Cristiána w policzek.

– Dziękuję – powiedziała. – Sprawileś mi naprawdę ogromną radość. Bardzo chciałam tu przyjść.

Torres spojrział na nią z uśmiechem.

– Gdybym wiedział, że taka będzie nagroda, to zaczęlibyśmy od tego punktu. Masz może więcej takich marzeń?

– Takich nie – parsknęła cichym śmiechem.

– Szkoda, spełniłbym je już dziś.

– W takim razie drugiego buziaka dostaniesz za chęci. – Marianna ponownie wspięła się na palce i cmoknęła Cristiána. Rozbawiona, obróciła się i podeszła do ustawionej niedaleko witryny, udając, że podziwia wystawiony za szkłem eksponat. Tak naprawdę przez jej głowę przetaczał się tabun myśli. Wątpliwości mieszały się z podekscytowaniem, a strach z nadzieją. I już zupełnie nie wiedziała, jak powinna odczytywać sytuację, w której się znalazła. Czy to ona uwodzi Cristiána, czy raczej jest uwodzona? Bo to, że znowu podjęła flirt, nie ulegało wątpliwości. Miała ochotę posunąć się dalej, zaszaleć beztrósco, jakby ten wieczór miał być ostatnim w życiu. Jednak wrodzona odpowiedzialność ją



przed tym powstrzymywała i choć z żalem, Marianna dopuściła do siebie głos rozsądku, który niemrawo przebijał się do jej świadomości.

– Późno już – powiedziała, odrywając wzrok od gabloty. – Szkoda, że nie masz wejścia do innych katedr nocą. Pomyśl, jak byłoby na przykład w Notre Dame – zażartowała.

– Spokojnie. Znam tam dzwonnika. Wejdziemy.

Opuścili świątynię w dobrych nastrojach. Cristián, zauważywszy stojące na placu bryczki, zaproponował przejażdżkę.

– Z przyjemnością – ucieszyła się Marianna, a jej radość była tym większa, że jako pierwszego w rzędzie dostrzegła znanego jej już dorożkarza. Kiedy do niego podeszli, Marianna, udając, że nie poznaje mężczyzny, dyskretnie puściła do niego oczko.

– Ale wiesz – powiedziała poważnie do Torresa – że najpierw trzeba porozmawiać z koniem? Kiedy ostatnio jechałeś dorożką?

– Jakieś dwadzieścia lat temu – przyznał po namyśle.

– To zapewne nie orientujesz się, że kilka lat temu wprowadzono zmiany. Zanim się wsiądzie, trzeba porozmawiać z koniem. – Mówiąc to, zbliżyła się do zwierzęcia.

– Mówisz poważnie? – wyraził wątpliwość Cristián, ale widząc, że Marianna głaszcze konia po łbie, również do niego podszedł. W tym czasie zerknął na dorożkarza, który skinął głową na potwierdzenie słów Marianny. – Ale właściwie po co mam rozmawiać z koniem? – spytał, szepcząc Mariannie do ucha.

– Zwierzę ciężko pracuje – wyjaśniła dziewczyna – i trzeba to docenić.

– A jeśli nie zagadam z koniem, to nie pojedę bryczką? – Roześmiał się.

– Pojedziesz, ale to będzie niegrzeczne. Zawsze trzeba najpierw porozmawiać z koniem.

Cristián nie był przekonany, ale mruknął coś pod nosem, przyłączając się do zachwalającej na głos konia Marianny.

Zadowolony dorożkarz uśmiechnął się szeroko, kiedy wsiedli.

– Dziękuję państwu bardzo – powiedział wyraźnie wzruszony i ten ton przekonał Cristiána do zasadności rozmów z końmi.

Marianna była oszołomiona wieczorem i Cristiánem. Pod drzwiami do kamienicy, kiedy się żegnali, jej rozsądek walczył z trzepoczącym sercem. Zasady, które sama sobie narzuciła, majaczyły gdzieś w głębi zaćmionego umysłu, skutecznie przydeptywane wrywającym się na wierzch pragnieniem bliskości. Patrząc mężczyźnie w oczy i deklamując zwyczajowe podziękowania za czas, który razem spędzili, marzyła o tym, żeby ją pocałował. Nie była w stanie myśleć już o niczym innym. Wiedziała, że walka, którą toczyła przez cały wieczór, skończyła się porażką. Teraz była gotowa spędzić tę noc z Cristiánem, byleby tylko mieć go przy sobie i nigdy już nie puszczać.

Pocałuj mnie – powtarzała w myślach, kiedy nachylił się, by krótkim pocałunkiem w policzek zakończyć ich spotkanie. Pocałuj mnie – myślała intensywnie z nadzieją, że ten niezobowiązujący buziak będzie tylko wstępem do prawdziwego pocałunku.

Ale Cristián jej nie pocałował. Począł, aż Marianna wejdzie do kamienicy, i kiedy zamknęły się za nią drzwi, odszedł.

Przełknęła gorzki smak rozczarowania. Targana silnymi emocjami dotarła do mieszkania i nie zwróciwszy uwagi na siedzącą przy oknie Elenę, rzuciła się na łóżko. Czuła się dezorientowana, wciąż analizowała zachowanie swoje i Cristiána. Przed oczami miała migawki z całego wieczoru, uśmiechy, słowa, spojrzenia. I dotyk. Przecież byli ze sobą tak blisko. Dlaczego więc jej nie pocałował?

– Gdzie ty się szlajasz? Czekałam. – Elena wyraziła dezaprobatę, lecz Marianna, pochłonięta własnymi myślami, nie usłyszała. W jej głowie dźwięczał miękki głos Cristiána, a pod powiekami

majaczyła jego twarz. Zasnęła.

\*\*

Energicznym krokiem przeszedł kilkanaście metrów, lecz kiedy oddalił się od Café Caramelo, przystanął. Oparłszy się o chłodny mur pobliskiego budynku, przymknął oczy. Musiał ochłonać. Pulsowały mu skronie, a zduszona namiętność spowodowała skurcz brzucha. Jednak był dumny, że udało mu się powściągnąć rozszalałe emocje i przy pożegnaniu z Marianną zachować dystans. Ostatkiem sił powstrzymał się, żeby nie zagarnąć jej w ramiona i nie pocałować. Był tak blisko i miał wrażenie, że ona też tego chce. Ale nie miał pewności, a nie chciał jej spłoszyć. Jej zachowanie tego wieczora było zmienne. Raz zdawało mu się, że z nim flirtuje, innym razem odczuwał z jej strony wyraźne ochłodzenie. Zastanawiał się, czy gdyby okoliczności, w których się poznali, były inne, to także ich znajomość rozwijałaby się inaczej. Zaufanie, którego zabrakło na początku, teraz zaczynało się budować i Cristián wiedział, że tu nie pośpiech, lecz czas jest tym, czego oboje z Marianną potrzebują. Mimo to trudno mu było panować nad żywiołem, który zawładnął jego sercem i umysłem. Każda myśl o Mariannie wywoływała przyjemne pobudzenie i najchętniej w ogóle by się z nią nie rozstawał. Wciąż miał przed oczami jej twarz z cudownie zarysowaną linią ust. I oczy, w których mógłby zatapiać się codziennie.

Uśmiechnął się i poszedł w stronę katedry. Miał ochotę biec, a nawet unieść się nad ziemią i polecieć. Instynkt podpowiadał mu, że wszystko idzie w dobrym kierunku i Marianna, choć jeszcze nie do końca to sobie uświadamia, czuje dokładnie to samo co on.

Wyjął telefon, żeby zamówić taksówkę, ale schował go, kiedy zauważył nadjeżdżającą dorożkę. Ciepłe wspomnienie niedawnej przejażdżki z Marianną spowodowało, że zapragnął skorzystać z tego środka transportu.

– Pan wolny? – spytał, kiedy bryczka zbliżyła się na tyle, by dorożkarz usłyszał.

– Skończyłem na dziś – odpowiedział mężczyzna. Siwe wąsy przesłaniały mu usta. – Zjeżdżam do domu, już późno. A dokąd pan?

– Wszystko jedno. – Cristián się roześmiał. Naprawdę było mu wszystko jedno. – Może wysadzi mnie pan gdzieś, gdzie złapię taksówkę. Zapłacę ekstra.

– Wsiadaj. – Dorożkarz przyzwolił bez większego entuzjazmu.

Cristián podziękował i otworzył drzwiczki. Był już na schodku, kiedy cofnął się i zeskoczył.

– Przepraszam, zapomniałbym! – krzyknął do wásacza. – Kilka słów z koniem zamienię.



## Rozdział 25



Alicja nie znosiła rodzinnych obiadów. Zawsze kojarzyły jej się z ciężką atmosferą, kiedy to musiała tłumaczyć się rodzicom z własnych decyzji. Spotkania były o tyle trudne, że odkąd Alicja poinformowała, że nie zamierza zostać malarką, mama na każdym kroku okazywała swoje niezadowolenie. Była bardzo rozczarowana faktem, że córka, która miała talent plastyczny i w której pokładano tak wiele nadziei, odrzuciła ten pomysł na życie. W efekcie cokolwiek Alicja by zrobiła i jakkolwiek inny sukces stałby się jej udziałem, zawsze było źle. Nawet ilustracje do książek dla dzieci, które zdobyły popularność i licencję na nie sprzedano niemieckiemu wydawcy, nie robiły na matce wrażenia.

Dlatego Alicja przestała wtajemniczać rodziców w swoje plany. Wiedziała, jak zareagują. Od wielu lat przebąkiwała o marzeniu związanym z prowadzeniem galerii i nigdy nie spotykała się ze zrozumieniem. Teraz, kiedy marzenie miało się wreszcie ziścić i do otwarcia pozostał niecały miesiąc, uznała, że najwyższa pora powiedzieć o tym rodzicom. Dorota odetchnęła z ulgą. Nie lubiła lawirować, kiedy mama podczas rozmów telefonicznych wypytywała o Alicję. To właśnie Dorota zasugerowała, żeby zrobić uroczysty obiad.

– Podasz wino, rozluźnią się, to może inaczej spojrzą na ten pomysł. Nie zapominaj, że są ci potrzebni – tłumaczyła Alicji. – Jak się Matylda na przykład przeziębii, a ty będziesz w pracy? Własna firma to nie przelewki. Trzeba się bardziej zaangażować, niż jak się pracuje u kogoś.

– Wiem. Masz rację. Ale planowałam powiedzieć im telefonicznie. Jeśli mama znowu zacznie utyskiwać, odłożę słuchawkę.

– I się z nią pokłócisz. Nie o to chodzi. Ona nigdy nie zaakceptuje twojej drogi, ale przynajmniej niech ma poczucie, że jej nie olewasz.

– Niech ci będzie. Zrobię ten cholerny obiad, ale masz mi pomagać, jeśli na mnie naskoczą.

– Swoją drogą, nie wiem, czy bardziej ci współczuję, czy zazdroszczę.

– Nie rozumiem. Do ciebie nigdy nie mają pretensji, powinnaś się cieszyć.

– Nie mają pretensji, bo jakoś szczególnie ich nie obchodzi, gdzie pracuję ani z kim jestem, ani nic.

– Bzdury gadasz. Mamę aż skręca z ciekawości, kim jest twój nowy facet. Może i jego zaprosimy?

– Za wcześnie. Nie chcę go wystraszyć.

– No tak, lepiej, żeby nie słuchał naszych kłótni. – Alicja się roześmiała i sięgnęła po telefon. –

Zaproszę ich na jutro – szepnęła do Doroty. – Chcę mieć to już za sobą.

– Super. Będzie miły niedzielny obiadek.

\*\*

Rodzice przyjechali przed czasem. Alicja nie była jeszcze gotowa. Pieczeń, którą uparła się podać, dopiero się rumieniła, a ułożone piętro niżej w piecyku ziemniaki ciągle były twarde.

– Trzeba je było najpierw podgotować – rzuciła mimochodem mama.

Alicja poczuła, że cała sztywnieje. Nie znosiła takich uwag. Na szczęście szybko została w kuchni sama, bo Matylda, szczęśliwa, że przyjechali dziadkowie, zaprosiła ich do swojego pokoju, żeby pochwalić się kącikiem zabaw, który stworzyła dla swojego kotka.

Alicja przysłuchiwała się śmiechom i rozmowom dochodzącym z pokoju córki. Z ulgą stwierdziła, że zarówno mama, jak i tata z dużym zaangażowaniem wysłuchują tego, co ma do powiedzenia Matylda, i z prawdziwą euforią podziwiają jej czarno-białego pupila.

Wkrótce dotarła Dorota, wnosząc do kuchni wielki karton z tortem bezowym oraz dwie butelki czerwonego wina.

– Może za mało kupiłam? – spytała, patrząc z wahaniem na Alicję.

– Tata prowadzi, nie będzie pił.

– Denerwujesz się?

– A gdzie tam – parsknęła Alicja. – Najbardziej na świecie lubię, kiedy się mnie krytykuje. Miałam już przedsmak, kiedy kilka lat temu wspominałam o swoich planach, pamiętasz? Teraz niczego więcej nie pragnę, tylko żeby usłyszeć, jaka jestem głupia, że otwieram galerię.

– Może nie będzie tak źle – pocieszyła Dorota, jednak bez przekonania.

– Będzie. Ale muszę się uzbroić w cierpliwość. Mama powie swoje i pojedzie do siebie. To moje życie.

– Swoją drogą, nie uważasz, że to dziwne? Niby jesteśmy dorosłe, a ciągle musimy tłumaczyć się rodzicom.

Alicja się zamyśliła.

– Przypomnij mi tę rozmowę, kiedy Matysia będzie dorosła. – Roześmiała się.

Zupa kalafiorowa nie wywołała szczególnych zachwyty, ale pieczeń okazała się wyśmienita. I nawet mama, która zazwyczaj kręciła nosem, spytała Alicję o przepis. Nie bez znaczenia było także podane do obiadu wino. Dorota się spisała, wybierając przez przypadek to, które rodzice niedawno pili u znajomych i bardzo im smakowało.

– Na deser przywiozłam tort bezowy z serkiem mascarpone i żurawiną – powiedziała Dorota, hojnie dolewając wina do kieliszka mamy.

– Myślałam, że będą lody – skrzywiła się Matylda.

– Nie mamy lodów – wyjaśniła Alicja. – Ciocia zadbała o deser, na pewno będzie ci smakował.

– Nie chcę. Wolę lody.

– Nie marudź, proszę. Nie mamy lodów.

– Ale to przecież żaden problem – wtrącił dziadek. – Na dole jest sklep, a ty jesteś już dużą dziewczynką. Jeśli chcesz, to możesz kupić sobie lody. – Wyjął z portfela dwadzieścia złotych i podał Matyldzie. Dziewczynce natychmiast roześmiały się oczy i chętnie wyciągnęła ręce po banknot.

– Może jednak dokończ najpierw obiad – powiedziała Alicja.

– Już zjadłam! – Matylda w podskokach pobiegła do przedpokoju. Szybko założyła buty i kurtkę. – Mogę zaprosić na lody też Marikę? – spytała z nadzieją. Od niedawna przyjaźniła się z o rok starszą koleżanką z parteru i lubiła spędzać czas w jej towarzystwie.

– Możesz, możesz. O ile jej mama pozwoli. I parasol weź, pogoda jest paskudna, zaraz lunie.

– Mam kaptur – rzuciła Matylda i wyszła.

– Szalika nie wzięła – zauważyła mama Alicji. – Przeziębisz się. W ogóle nie wiem, czy lody w taką pogodę są dobrym pomysłem.

– Nie przeziębisz – odpowiedziała beztrwosko Alicja i zaczęła sprzątać naczynia. – Dorota, podaj małe

talerzyki. Kto ma ochotę na kawę?

– Mnie wystarczy wino – odpowiedziała błogo mama – ale skoro już robisz, to poproszę czarną.

Właściwie to miałam zapytać, cóż to za okazja z tym obiadem? Dawno nas tak nie gościłaś...

– Zawsze musi być jakaś okazja?! – Alicja krzyknęła z kuchni.

– Pomogę ci! – poderwała się nagle Dorota, przeczuwając słusznie, że za chwilę zostanie odpalona bomba.

– Ostatnio zorganizowałaś taki obiad, kiedy chciałaś poinformować o ciąży... Nie mów, że z Polanki wróciłaś z brzuchem... To byłoby nieodpowiedzialne! W twojej sytuacji, bez pracy...

– Ja bym się ucieszył – wtrącił zniecierpliwiony tata Alicji.

– Nie chodzi o ciążę – powiedziała Ala, stawiając na stole filiżanki z kawą.

– Ale można powiedzieć, że o dziecko... – wtrąciła Dorota, wnosząc tort.

Rodzice spojrzeli na Alicję wymownie. Mama odłożyła kieliszek i wyprostowała się, przybrawszy wyczekującą pozę.

– Nie, nie, Dorota źle się wyraziła. – Alicja zgromiła siostrę wzrokiem. – Nie ma żadnego dziecka. Po prostu otwieram galerię.

– Co? – Mama uniosła brwi.

– Otwieram galerię. Za miesiąc. Właśnie szukujemy lokal. Na spółkę z Basią i Januszem, sąsiadami – wyjaśniła szybko Alicja. – W ścisłym centrum. To oni dają pieniądze. Będziemy się też starać o dotację.

Ojciec zrobił minę, jakby było mu wszystko jedno. Mama natomiast głośno westchnęła, szykując się do dłuższej wypowiedzi.

– Myślałam, że po tym pobycie na wsi trochę zmądrzałaś, że miałaś czas na jakieś głębsze refleksje – powiedziała, nie kryjąc pogardy. – Że może w końcu poszłaś po rozum do głowy i zaczniesz malować. A ty znowu z galerią. Na cholere ci to?

– Mamo, przecież wiesz, że nie zostanę malarką, nie nadaję się do tego. Własna galeria pozwoli mi nie tylko zarabiać, ale także spełniać się, realizować pasje, odkrywać nowe talenty. To jest moje powołanie.

– Też mi coś. Już nieraz ci mówiłam, że galeria to tylko sklep. Chyba nie po to kształciłaś się na Akademii Sztuk Pięknych, żeby zostać sklepową?

Alicja przełknęła gorzką uwagę. Spojrzała na Dorotę z nadzieją, że siostra rzuci się na ratunek.

– Mamo – Dorota trafnie odczytała niemą prośbę Alicji. – Nie wszyscy muszą być Rembrandtami. Lepiej, jak Alicja będzie doskonałym sprzedawcą niż kiepskim malarzem, nie uważasz?

– Byłaby świetną malarką, ma talent – powiedziała zawzięcie mama.

– Owszem, ma – przyznała Dorota – ale malowanie nie daje jej tak wiele radości jak podziwianie dzieł innych. Teraz może je sprzedawać. Jeśli okaże się, że ma nosa do twórców, odniesie sukces.

– Co to za sukces – prychnęła mama, sięgając po kieliszek z winem. – To nie sukces, tylko zmarnowany talent.

– Ale to ja go marnuję! – krzyknęła zdenerwowana Alicja. – To mój talent i mam prawo zrobić z nim, co chcę.

– Twój, twój! – Mama się skrzywiła. – Dobrze mi sobie. Znikąd się nie wziął! Odziedziczyłaś wielki talent, nie każdy ma takie szczęście. A ty go po prostu marnujesz.

– Po kim odziedziczyła? – zdziwił się ojciec. – Ja nie potrafię narysować nawet psa, moi rodzice też nie wykazywali szczególnych uzdolnień plastycznych... Nie przypominam sobie.

– Po wujku Staśku – wyjaśniła Dorota.

– Jakim Staśku? – zainteresował się tata.

– Mężu cioci Józefiny. Malował pejzaże, martwą naturę, a nawet Piłsudskiego. Obrazy wiszą w ich domu, widziałyśmy. Ciocia Józefina też uważa, że Alicja po nim odziedziczyła. Ale czy on był taki

genialny? No cóż... Kwestia gustu. – Uśmiechnęła się lekko.

– Chyba was wszystkich porębało. – Mama Alicji i Doroty zacisnęła wargi i wypięła do końca zawartość swojego kieliszka. – Dolej mi, bo zaraz się tu przekręcę. Co miałaś, moja droga, z biologii w szkole?

Dorota spojrzała na matkę, nie rozumiejąc. Pożałowała, że tak często dolewała jej wina. Miała nadzieję, że podziała na nią rozluźniająco, tymczasem efekt był odwrotny.

– Dlaczego z biologii? Nie pamiętam, chyba tróję.

– To i tak za wiele – prychnęła matka. – Skoro brak wam podstawowej wiedzy. Nie można odziedziczyć talentu po człowieku, który nie jest rodziną. A Stasiek był mężem Józefiny. Mężem. Obcym. To Józefina jest kuzynką waszej babci, czyli to ona jest krwią z krwi. – Mama mówiła z zapalem, oczy jej złowrogo błyszczały.

– Czyli po cioci Józefinie Alicja odziedziczyła talent? – spytała nieśmiało Dorota.

– Po mnie! – krzyknęła ochryple matka. – Po mnie odziedziczyła!

Ojciec, który upił właśnie łyk kawy, prawie się opluł.

– Po tobie? – spytał, nie kryjąc zdziwienia. – Nigdy nie mówiłaś...

– Skończyłaś ASP? – spytała Dorota i natychmiast pożałowała swoich słów.

– Dobrze wiesz, że nie skończyłam żadnych studiów – wycedziła matka, nachylając się nad stołem, żeby Dorota lepiej usłyszała. – Więc nie zadawaj takich durnych pytań.

– Przepraszam. – Dorota się zawstydzila. Alicja ze współczuciem spojrzała na siostrę. Ona także nie wiedziała, że mama w przeszłości chciała zostać malarką.

– Ależ kochanie – podjął ojciec – przecież kiedy się poznaliśmy, pracowałaś w biurze. Słowem nie zdradziłaś, że malujesz.

– Bo nie malowałam. – Głos matki nagle się zachwiał i zdawało się, że zacznie płakać. – Nie miałam pieniędzy na płótna. Zamiast na studia musiałam iść do pracy.

– Ale potem przecież... – kontynuował ojciec, jednak mama szybko mu przerwała.

– Potem wzięliśmy ślub, zaszłam w ciążę i zaczęły się inne problemy.

– Mamo – odezwała się Alicja. – Ale dlaczego nigdy nam nie mówiłaś, nawet nic nie namalowałaś, przecież przynosiłam do domu płótna, mogłaś z nich skorzystać.

– Myślisz, że nie miałam ochoty? Ale ochota to jedno, a rzeczywistość to drugie. Przychodzi taki czas, kiedy uzmysławiasz sobie, że jest już za późno. I odpuszczasz.

– Nigdy nie jest za późno – powiedziała Dorota, ale jej słowa nie zdobyły poklasku.

– I najbardziej boli mnie – ciągnęła matka, patrząc na Alicję – że historia się powtarza. Odpuściłaś malowanie, bo najpierw praca w agencji nieruchomości, potem Bartek, potem dziecko, a teraz wymyślasz galerię. Marnujesz talent, a ja muszę na to patrzeć.

– Nie odpuściłam z powodu pracy czy Bartka. Odpuściłam już dawno, na studiach. Zorientowałam się, że to nie jest moja droga, nigdy nie zostałamby artystką.

– Nie wiesz tego.

– Ale, mamo, to mój wybór. Nie możesz porównywać mnie do siebie. Ty zrezygnowałaś ze swojego marzenia pod wpływem okoliczności zewnętrznych, ja natomiast nigdy nie czułam, żeby malowanie obrazów było moim przeznaczeniem. Rozwijałam talent, owszem, ale dlatego, że ty tego chciałaś.

– A jednak interesujesz się sztuką – wtrąciła matka.

– Owszem, i jestem wdzięczna, że zauważyłaś, iż przejawiam takie predyspozycje, ale musisz zrozumieć, że malowanie to nie moja bajka. Już lepiej wychodzą mi ilustracje.

– Gdybyś się bardziej przyłożyła... – Mama nie zamierzała odpuścić.

– Sąsiedzi wyłożyli kasę na twoją galerię? – Ojciec nagle się przebudził.

– Tak – potwierdziła Alicja.

– Niesamowite. Przekonać obcych ludzi, żeby weszli w tak niepewny interes. – Zamyślił się, ale w jego głosie dało się słyszeć uznanie.

– Stworzyłam biznesplan i na tej podstawie ocenili, że galeria ma szansę na sukces. Wprowadzimy także ofertę inwestorską.

– Na czym to ma polegać? – zainteresował się ojciec.

– Dajmy na to, że kupiłeś obraz. Wydałeś tysiąc złotych, od takiej kwoty zaczynają się u nas ceny, bo to młodzi, nieznani jeszcze twórcy – wyjaśniła Alicja. – Ale zamiast wziąć obraz do domu, żeby cieszył oko, postanawiasz zostawić go w galerii i wówczas podbijasz cenę o pięćdziesiąt, sto lub tysiąc procent, wedle własnego uznania. I obraz wisi pół roku, rok. Albo się sprzeda w nowej cenie, albo go zabierasz. Twoje ryzyko.

– No nie wiem, czy znajdziecie chętnych...

– Już mamy. Janusz ma wielu przyjaciół, którzy wyrazili chęć kupna na takich zasadach.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Ludzie widzą w tym nie tylko potencjalny zysk, ale też frajdę. Zobaczmy, jak będzie w praktyce.

– Masz wszystkie zgody? – dopytywał ojciec. – Żeby nie okazało się, że skończysz na bruku.

– Ale jakie zgody? Założyliśmy z Basią i Januszem spółkę, obsługiwała nas kancelaria prawna, przecież nie otwieramy galerii ot tak, na wariata.

– Pytam o zgody twórców. Muszą być jakieś certyfikaty czy coś.

– Gdybym sprzedawała przedwojenne obrazy, to tak, trzeba by było zweryfikować ich autentyczność, ale w przypadku młodych twórców nie jest to konieczne. Nie martw się, tato, wszystko przygotowujemy zgodnie ze standardami obowiązującymi na tym rynku.

– Rynek – parsknęła matka. – Jak to brzmi. Jak rynek warzyw i owoców. Okropność.

– To jest biznes – wtrąciła Dorota.

– No właśnie. A biznes to nie sztuka. – Matka zacisnęła wargi. – Ala powinna malować, a nie bawić się w biznesy.

– Mamo, Alicji jest przykro, kiedy tak mówisz – zauważyła Dorota. – Może jednak trzymałabyś za nią kciuki i życzyła szczęścia?

Matka zamilkła, a jej twarz stężała. Przez chwilę walczyła z emocjami, w końcu się poddała.

– Oczywiście, że życzę ci szczęścia – powiedziała płaczliwym tonem, głos wyraźnie jej się łamał. – Po prostu boję się, że tracisz swoją szansę.

– Mamo, ale ja właśnie wykorzystuję swoją szansę.

– Tysiąc złotych za obraz? – Ojciec wciąż analizował to, co kilka minut wcześniej powiedziała Alicja. – To może ja też zainwestuję.

Dorota i Alicja spojrzały na niego zaskoczone.

– Muszę się napić. Jest jeszcze wino? – spytała mama.

Alicja bez słowa podeszła do szafki i wyjęła z niej opróżnioną do połowy butelkę nalewki, którą otrzymała w prezencie od ciotki Józefiny. Kiedy mama skosztowała trunku, wzdrygnęła się i potrząsnęła głową.

– Mocne! Dobrze! – przyznała, wachlując dłonią przy ustach.

– Mamo – wpadła nagle na pomysł Dorota – skoro Alicja nie chce malować, to może ty zaczniesz. Kup sobie sztalugę, płótna, farby. Albo dostaniesz od nas na gwiazdkę – zaproponowała.

– A żebyś wiedziała, że kupię! Jeszcze zobaczcie, na co mnie stać!

Mimo odkręconych kaloryferów było chłodno. Alicja włączyła elektryczny piecyk, utyskując na nieszczelne okna. Obiecała sobie, że pierwsze zyski z galerii przeznaczy na ich wymianę. Matylda, podśpiewując, wyszła z łazienki. Kociak natychmiast doskoczył do niej, spragniony pieszczot i zabawy. Uaktywniał się wieczorami, co było o tyle uciążliwe, że dziewczynka coraz później kładła się spać, a rano miała problemy ze wstawaniem.

– Do łóżka – nakazała Alicja.

– Jeszcze pół godzinki. – Matylda zrobiła błagalną minę, jak zwykle w takich przypadkach.

– Pięć minut. – Alicja westchnęła. Dobrze wiedziała, że na pięciu minutach się nie skończy, ale chciała wyrzucić wrażenie zdecydowanej. Cieszyło ją, że Matylda aktywnie zajmuje się kotem, nie tylko się z nim bawi, ale też karmi i zmienia piasek. Dlatego nie miała sumienia zabraniać jej wieczornej rozrywki. Z udawaną powagą pokiwała palcem i pokazała zegar. Matylda wywróciła oczami.

– Dziesięć. Prooooooszę, prooooooszę – jęknęła, szukając wzrokiem szarfy służącej do zabawy ze zwierzakiem.

– Ani minuty dłużej.

– Idziemy, Gutek. – Matylda chwyciła kota pod pachę i zamknęła się z nim w swoim pokoju. Wkrótce dało się słyszeć dochodzące stamtąd komendy. Dziewczynka najwyraźniej usiłowała nauczyć kota kilku sztuczek.

Alicja, zmęczona wizytą rodziców, usiadła na kanapie i włączyła telewizor. Bezmyślnie przeskakiwała po kanałach, nie bardzo wiedząc, na co właściwie ma ochotę. Po kilku minutach zrezygnowała z wątpliwej rozrywki i włączyła laptopa z zamiarem przejrzenia e-maili. Miała nadzieję, że grafik, który przygotowywał stronę internetową galerii, przysłał już jakiś projekt.

Zanim jednak otworzyła skrzynkę, Skype zasygnalizował połączenie. Alicja ucieszyła się, widząc na ekranie zadowoloną i uśmiechniętą Mariannę.

– Żyjesz jednak – zażartowała. – Próbowałam się z tobą połączyć jakieś dwa dni temu.

– Widziałam. Ale nie miałam czasu rozmawiać. Co ty taka zmarnowana?

– Ciężki dzień. Ale dobrze się skończył. – Alicja rozpuściła włosy i przeczesła je ręką. Od razu poczuła się bardziej odprężona. – A co u ciebie?

– No właśnie dzwonię z prośbą. Wracam do Polski. Miałam nadzieję, że uda mi się prosto do Wrocławia, ale nie ma dobrych połączeń. Kupiłam bilet do Warszawy. Przenocujesz mnie?

– Ba! Oczywiście! Nawet nie musisz pytać. A skąd taka nagła decyzja? Jeszcze niedawno twierdziłaś, że trochę tam posiedzisz.

– No cóż – Marianna mrugnęła – tęsknię za prawdziwą jesienną aurą i utyskiwaniem na pogodę.

– Akurat!

– Za tobą oczywiście też.

– Brzmi lepiej. A tak naprawdę?

– Tak naprawdę... – Marianna zbliżyła twarz do ekranu. – To chcę stąd uciec jak najszybciej – wyszeptwała.

– Bo...? – Alicja również się przybliżyła i mimowolnie zaczęła mówić szeptem.

– Bo się zakochałam.

– Słucham? – Alicja jak oparzona odsunęła twarz od laptopa. – O Boże! O czym ty mówisz? Zakochałaś się i pragniesz uciec? Zwariowałaś?

– Muszę zwiąć, póki jeszcze nic się nie wydarzyło. Jeśli zostanę, wpadnę jak śliwka w kompot. Nie chcę do tego dopuścić.



– Oszalałaś? Przecież to super!

– Wcale nie. Przemyslałam wszystko. Właściwie o niczym innym od kilku dni nie myślę. Muszę wyjechać, inaczej zakocham się na amen i zostanę tu na zawsze. A nie chcę tu zostać.

– Dlaczego? Sewilla jest piękna. Miłość jest piękna...

– Jest. Uwielbiam Hiszpanię, ale nie mogę sobie teraz pozwolić na związek. Nauczyłam się tutaj żyć, odkryłam, że potrafię działać, być stanowcza i odważna. Chcę wrócić i się realizować. Boję się, że jeśli naprawdę się zakocham, to odpłynę. Rozleniwie się i zamiast otwierać nowe cukiernie, będę spędzała czas na rozmyślaniu o ukochanym, planowaniu ślubu i potomstwa. Za młoda jestem na takie rzeczy. A już zaczęło kłuć mi się w głowie... No wiesz, on jest taki... Czarujący, przystojny, zabawny... Mądry...

– Ideał. Jeszcze dodaj, że jest bogaty, to zwymiotuję. – Alicja się roześmiała.

– Biedny nie jest. Nie musiałabym go utrzymywać.

– Pijesz do mojego związku z Bartkiem?

– A skąd. Nawet o tym nie pomyślałam, tak mi się nasunęło tylko...

– Ale dlaczego chcesz zaprzepaścić uczucie, które się rodzi? Nie rozumiem tego, przecież mogłabyś się realizować w Hiszpanii, tam też można otwierać cukiernie. Zresztą dopiero co postawiłaś na nogi kawiarnię, udało się. Można połączyć przyjemne z pożytecznym, nie odbieraj sobie tej szansy.

– Wiem. I naprawdę zapewniam cię, że myślałam o tym. Ale nie mogę wciąż zachowywać się jak rozkapryszone dziecko i kierować tylko własnymi potrzebami. Dorosłam.

– A co to ma do rzeczy?

– A choćby to, że w Polsce mam wiele spraw, którym wypadałoby stawić czoła. Mój wujek miłosiernie przejął zarządzanie nad wszystkimi kawiarniami i cukierniami, ale być może oczekuje też mojego zaangażowania. W końcu jestem udziałowcem. Wszystko spadło na niego. Nie mówiąc o tym, że muszę dokończyć postępowanie spadkowe, zająć się grobem babci...

– Ciocia Józefina dba o groby, zresztą pomaga jej pani Krystyna z koleżankami.

– No właśnie. A to przecież mój obowiązek. Za tydzień pierwszy listopada, chcę przyjechać wcześniej, żeby uporządkować groby, ogarnąć dom i zaprosić wujka. Porozmawiam z nim, na ile widzi mój udział w zarządzaniu kawiarniami. Poza tym marzę, żeby kiedyś zawojować Kraków i Warszawę. Myślę, że moje babeczki zdobędą fanów nie tylko we Wrocławiu.

– Och, w to nie wątpię. Ale mimo wszystko babeczki nie uciekną, wujek też z pewnością zrozumie, jeśli na razie zostaniesz w Hiszpanii. Warto zadbać o miłość, skoro miałaś szczęście, żeby kogoś znaleźć. Dobrze wiesz, jak było ze mną i Konradem...

– Nie do końca. Nie raczyłaś mnie wtajemniczyć.

– W skrócie ci powiem, że kłuło się między nami naprawdę piękne uczucie. I co? Zamiast o nie zawalczyć, wycofałam się i uciekłam. Nie popełniaj moich błędów! Gdybym mogła cofnąć czas, poszłabym za głosem serca.

– Serce mi podpowiada, że powinnam wrócić do Polski.

– A co z miłością?

– To dopiero zakochanie, jeszcze nie miłość, na szczęście. A może nawet nie zakochanie, tylko zauroczenie? Sama nie wiem, co to jest, ale na pewno coś, czego nie planowałam.

– Miłości nie da się zaplanować. Ważne, żeby się jej nie bać.

– I kto to mówi? – Marianna się roześmiała.

– Wiem, że nie mam prawa dawać ci rad... Ale na twoim miejscu nie rezygnowałabym tak szybko. Poczekałabym na rozwój sytuacji. Uciec zawsze możesz. A tak w ogóle kim on jest? Jak się poznaliście? Czujecie to samo co ty?

– To Cristián. Opowiadałam ci już o nim.

– Cristián? Ten dupek Cristián?

– Ten sam, ale już nie dupek. Myliłam się co do niego.

– I tak nagle zawrócił ci w głowie?

– Nie wiem, co się stało. Najgorsze, że nie wiem, czy on czuje to samo. Dwa razy byliśmy na kolacji.

Wczoraj było naprawdę cudownie, romantycznie... Ale nie miał ochoty mnie pocałować... Zakochany facet chyba nie przepuściłby okazji.

– Może jest dżentelmenem.

– Aż takim?

– Nie wiem. Nie znam żadnego Hiszpana.

– Ja znam. I tym bardziej dziwię się, że mnie nie pocałował. Ale dzięki temu ochłonęłam na tyle, żeby móc racjonalnie myśleć i przeanalizować sytuację.

– Właśnie. – Alicja westchnęła. – O ile prostsze byłoby życie, gdybyśmy aż tak bardzo go nie analizowały, tylko po prostu płynęły z nurtem...

– Nurt może cię zwieść, czasami potrzebne są wiosła.

– To o której w środę przylatujesz?

– Wieczorem. Tylko przypomnij mi adres.



## Rozdział 26



Taksówkarz przeliczył pieniądze. Podziękował za napiwek i życzył Mariannie miłego dnia. Dziewczyna uśmiechnęła się smętnie. Po ostatniej rozmowie z Rosą miała wątpliwości, czy ich spotkanie będzie należało do przyjemnych. Wsiadła z samochodu i podeszła do drzwi kamienicy, w której znajdowała się kancelaria. Spojrzała na zegarek. Wskazywał za kwadrans dziesiątą i Marianna pomyślała, że przez piętnaście minut zdąży jeszcze zajść na kawę do baru znajdującego się niedaleko i przy okazji oddać pieniądze za rachunek, którego będąc tu ostatnio, nie zapłaciła.

Nie uszła jednak dwóch kroków, kiedy zza rogu wyłoniła się Rosa. Była ubrana w dżinsy, bładoniebieski top, a włosy związała w kucyk. Wyglądała promiennie i bardzo dziewczęco. I była sama. Na widok Marianny zwolniła krok. Do torebki włożyła kartkę, na której prawdopodobnie zapisała adres adwokata.

– Cześć – przywitała się z Marianną bez większego entuzjazmu. – Jesteś jednak.

– Obiecałam, że będę, to jestem.

– Super – mruknęła Rosa.

– Będę tylko na tym pierwszym spotkaniu – doprecyzowała Marianna. – W środę wyjeżdżam. Dasz sobie radę beze mnie.

Rosa nie skomentowała, ale w jej wzroku dało się wyczytać zdumienie.

– Oczywiście, zostawię ci pieniądze na adwokata, tak jak obiecałam – ciągnęła Marianna. – Zwrócisz, kiedy będziesz mogła.

– Mam na adwokata – powiedziała Rosa.

– Skąd? Piotr ci dał? – zaciekała się Marianna.

– Poniekąd. – Rosa wzruszyła ramionami. – Opchnęłam pierścionek.

– Sprzedałaś?

– Na razie tylko zastawiłam, ale jeśli go nie wykupię, to też niewielka strata. Powiem, że mi ukradli. Przecież mieszkam w takiej okolicy, że to możliwe... Zresztą nie potrzebuję pierścionka, obrączka jest ważniejsza.

– Gdzie Daniel? – Marianna zmieniła temat.

– Został z mamą.

– Nie bałaś się?

– Sama poprosiła, chce się wykazać. Od kilku dni nie pije, zdarzają się jej takie przerwy. Ucieszyła się, że wychodzę za mąż, obiecała, że pójdzie na odwyk. Zależy jej, żeby przyjechać na ślub. Może nawet przeprowadzi się do Łodzi.

– Łodzi – poprawiła Marianna. – Twoja mama ma zamiar przenieść się do Polski?

– A kto jej zabroni?

– Właściwie nikt... – Marianna się zawahała – ale co będzie tam robić, nie zna języka...

– Byle nie piła, to będzie dobrze. – Rosa nie miała wątpliwości. – Kiedyś pracowała w pralni. W Polsce może robić to samo, nie potrzeba do tego znajomości języka.

– Wszystko już zaplanowałaś? – zdziwiła się Marianna.

– Życia nie da się zaplanować. Ale chciałabym, żeby w końcu było normalnie.

– Obawiam się, że z Piotrem się to nie uda. Jego mama to najbardziej toksyczna osoba, jaką znam.

– Nie ona będzie moim mężem – prychnęła Rosa.

– Nie znasz Piotra. – Marianna podjęła ostatnią próbę przemówienia Rosie do rozsądku.

– To poznam! Odczep się wreszcie.

– Okej, już nic nie mówię. – Marianna się poddała. – Dziesiąta – poinformowała, zerknąwszy na zegarek. Nacisnęła przycisk domofonu.

\*\*

Juanita zastygła w półuśmiechu, kiedy Marianna weszła do kuchni.

– Nie patrz! – krzyknęła. – Uciekaj stąd, już cię nie ma!

– Co się stało?

– Niespodzianka. Szykujemy dla ciebie imprezę pożegnalną.

– Nie trzeba – zaproponowała Marianna.

– Trzeba. Nie planuj nic na jutrzejszy wieczór. Może zaprosimy też Rosę?

– Już się z nią pożegnałam. – Marianna uśmiechnęła się smutno. – Ale chętnie zaproszę Cristiána.

– Oczywiście – zgodziła się Juanita. – To twoja impreza. Nie zgadniesz, co będzie głównym punktem programu!

– Pokaz flamenco?

Juanita się zachmurzyła.

– Że też o tym nie pomyślałyśmy... Odkąd nie tańczymy, odpoczywamy. A przecież miałyśmy dawać pokazy. Chciałabyś?

– Pewnie, że tak.

– Porozmawiam z dziewczynami.

– To co będzie głównym punktem, jeśli nie taniec?

– Torcik Carmen! – wykrzyknęła Juanita. – Oryginalny! Z przepisu Eleny.

– Przypomniałyście sobie, jak go zrobić?

– Veronica znalazła zeszyt. Okazało się, że wpadł za szafkę.

– Wspaniale. – Marianna naprawdę się ucieszyła.

– A teraz zmykaj. Nic tu po tobie, same musimy dawać sobie radę. Jutro ocenisz efekty.

Marianna mrugnęła do Juanity. Pomyślała, że wykorzysta wolny czas na spacer po Sewilli. Zamierzała kupić prezenty dla Alicji, Matyldy i Doroty. A przede wszystkim dla Józefiny i Krystyny, które podczas jej nieobecności w Polance dbały o grób jej babci oraz rodziców.

Cristián nie telefonował i Marianna się zastanawiała, jaka jest tego przyczyna. Nie był zainteresowany znajomością czy raczej nawał pracy nie pozwolił mu znaleźć chwili, by porozmawiać chociażby na neutralny temat, jakim była wizyta u adwokata. A może rozmawiał już z Rosą – zastanawiała się. Nie miała jednak odwagi zadzwonić do dziewczyny i o to wypytać.

Milczenie Torresa powodowało, że odczuwała niepokój. Mimo że odrzucała myśl, by zbliżyć się do niego i zawalczyć o uczucie, to brak kontaktu ją bolał. I choć minęło dopiero półtora dnia, odkąd się widzieli, to czas ten dłużył się, jakby upłynął już miesiąc. Odruchowo wyjmowała telefon i zerknęła, czy nie przegapiła połączenia lub wiadomości. Sprzeczność, którą odczuwała w związku z Cristiánem, była

męcząca. Z jednej strony nie chciała zacieśniać znajomości, z drugiej – pragnęła go i tęskniła. Zaproszenie na pożegnalny wieczór wydało jej się idealną okazją, by zadzwonić do niego, usłyszeć jego głos, a w nim być może nawet rozczarowanie z powodu jej wyjazdu. Była to też świetna okazja do spotkania. Zamierzała ostatni raz spojrzeć mu w oczy, porozmawiać i pożegnać się. W głębi duszy jednak marzyła, by ją zatrzymał.

Powietrze stało w miejscu i wydawało się, że lada moment lunie, ale mimo nieba zaciągniętego chmurami nie padało. Marianna snuła się uliczkami, zaglądając do niewielkich kolorowych sklepików. Gawędziła ze sprzedawcami, kupowała pamiątki. Największą frajdę sprawiło jej wybieranie prezentu dla Matyldy. Pomyślała, że przyjemnie byłoby w przyszłości mieć własne dziecko. Mimowolnie pojawił się w jej głowie obraz przedstawiający uśmiechniętego Cristiána pchającego wózek. By odepchnąć od siebie tę wizję, zamrugła oczami. Wyjęła telefon, aby sprawdzić, czy nie oddzwonił. Próbowала się z nim połączyć dwukrotnie tego dnia, ale nie odbierał. Niepokój, który w związku z tym odczuwała, wzrastał z każdą minutą. Jeszcze żaden mężczyzna w jej życiu nie spowodował aż takich emocji. Przez żadnego też nigdy nie została odrzucona. Może nie miała zbyt wielkiego doświadczenia, jednak zazwyczaj to ona dawała kosza, nigdy odwrotnie.

Kiedy wróciła do mieszkania, była zmęczona. Czekają ją jeszcze pakowanie, nie lubiła robić tego na ostatnią chwilę. Nagle uzmysłowiła sobie, że w walizce nie starczy miejsca na prezenty. O ile wachlarze i ozdobne serwety da się upchnąć, o tyle wina, które kupiła dla Alicji i Doroty, trzeba będzie ulokować w dodatkowym bagażu. Z tą myślą udała się do kawiarni. Miała nadzieję, że któraś z tancerek dysponuje walizką, którą mogłaby pożyczyć.

Była na dole, kiedy wreszcie Cristián oddzwonił.

– Przepraszam, nie dałem rady wcześniej. Kłopoty z bratem – wyjaśnił krótko. Głos miał miękki i Marianna szybko zapomniała o złości, którą odczuwała z powodu braku kontaktu.

– Co się stało? Znów trafił do szpitala?

– Tym razem zaczął szaleć w domu. Nieważne... Raczej nie chcesz o tym słuchać. Co u ciebie? Może miałabyś ochotę wyjść dziś wieczorem? Mógłbym podjechać za godzinę.

– Jestem zmęczona – przyznała zgodnie z prawdą. – Rano byliśmy z Rosą u prawnika, potem pół dnia spędziłam na mieście. Ale mam nadzieję, że zobaczymy się jutro. Dzwoniłam, żeby zaprosić cię na przyjęcie w Caramelo.

– Z przyjemnością. Jest jakaś okazja?

– Pokaz flamenco. A tak poważnie, to przyjęcie pożegnalne, które tancerki organizują dla mnie. Pomyślałam, że byłoby miło, gdybyś wpadł.

– Oczywiście, że przyjadę. Wyprowadzasz się z kamienicy?

– Wracam do Polski.

Cristián zamilkł i na chwilę w słuchawce zapadła niezręczna cisza. Marianna pomyślała, że to właśnie ten moment, na który czekała – być może Cristián podejmie próbę zatrzymania jej w Sewilli. Znów pojawił się dysonans. Chciała tego i nie chciała jednocześnie.

– Halo? – powiedziała do słuchawki, starając się, żeby jej głos brzmiał w miarę lekko.

– Jestem. Po prostu mnie zaskoczyłaś. Myślałem, że... Przecież sprawa jeszcze się nawet nie zaczęła. Nie będziesz towarzyszyć Rosie?

– Da sobie radę. Wszystkim zajmie się kancelaria prawna, nic tu po mnie.

– Rozumiem...

– To co, jutro o dziewiętnastej? – powiedziała beztrosko, chociaż kosztowało ją to wiele wysiłku. Chciała jak najszybciej zakończyć rozmowę. Głos Cristiána sprawiał, że miękły jej nogi. Zamykała oczy,

wyobrażając sobie jego twarz.

– Dobrze, będę.

Marianna rozłączyła się i zacisnęła powieki. Świadomość, że jutrzejszy wieczór będzie ostatnim spędzonym z Cristiánem, była przygnębiająca. Ale szybko wytłumaczyła sobie, że lepiej zdusić rodzące się uczucie w zarodku, niż potem żałować powziętej pod wpływem emocji decyzji.

Jednak wbrew zdrowemu rozsądkowi złapała się na myśli, że jeśli Cristián poprosi, żeby została, nie zdoła się oprzeć.



## Rozdział 27



Café Caramelo zamknięto o godzinie osiemnastej. Luisa wywiesiła na drzwiach informację, że odbywa się impreza zamknięta. Ostatni goście dopijali w ogródku napoje i kończyli jeść ciastka, a Veronica z właściwym sobie urokiem przynosiła rachunki.

Marianna siedziała w swoim mieszkaniu przed toaletką i tuszowała rzęsy. Czuła radość pomieszaną ze smutkiem. Cieszyła się na myśl, że wraca do domu, ale też szkoda jej było rozstawać się z właścicielkami Caramelo. Ciepło, którego doznała od tych ekstrawaganckich tancerek, było podobne do tego, jakiego doświadczała w rodzinie.

Wciąż też myślała o Cristiánie, jednak im dłużej rozważała podjętą przez siebie decyzję, tym bardziej wydawała się jej słuszna.

– Ładna sukienka – pochwaliła Elena, która ni stąd, ni zowąd pojawiła się obok lustra.

– Dziękuję. To jeszcze po mamie.

Marianna wstała i zaprezentowała ubiór. Sukienka w kolorze granatu, ozdobiona przy dekolcie zmysłnym białym kołnierzykiem była elegancka, ale też zwiewna, ponieważ plisowana, sięgająca za kolana spódnica nadawała jej lekkości.

– Wyjeżdżasz – bardziej stwierdziła, niż spytała Elena.

– Domyśliłaś się po walizkach?

– Podśluchałam. Kręcę się to tu, to tam... Właściwie to ja też przyszłam się pożegnać.

– Naprawdę? Idziesz dalej?

– Tu już wszystko załatwiłam. Dziewczyny mnie nie przyzywają, chyba w ogóle już o mnie nie myślą.

– Myślą. Nawet szykują dla mnie tort według twojego przepisu. Znalazł się zeszyt.

– Och, nie to chciałam powiedzieć – Elena roześmiała się promiennie. – Wiem, że mnie wspominają, to miłe i przyjemnie się tego słucha. Ale nie myślą już tak intensywnie, żeby mnie ściągać na ziemię. Chyba jestem wolna, mogę iść. A i Manuel mnie wspomina, niedawno odszukał nasze wspólne zdjęcia. Myślę, że kiedy wreszcie umrze, będę pierwszą osobą, która go powita. I jestem przekonana, że on też czeka na to spotkanie.

– Wie, że nie żyjesz?

– Dowie się po własnej śmierci. – Elena mrugnęła kokieteryjnie. – To inne pokolenie niż ty, on nie korzysta z internetu. Nie wie, że pracowałam w Carmen, nie miałby pojęcia, gdzie mnie szukać. Ale jest w takim wieku, że chyba długo nie będę czekała. To takie ekscytujące! – Klasnęła i niemal podskoczyła, jakby była małą dziewczynką.

– Ekscytujące? – Marianna się wzdrygnęła. – Życzysz mu śmierci?

– Oj nie. Niech sobie żyje jak najdłużej, kilka lat w tę czy we w tę nie robi mi już różnicy. Tutaj inaczej płynie czas, wszystko jest nowe, ciekawe. A co dopiero, kiedy pójdę dalej... Cieszy mnie świadomość, że już wkrótce spotkam swoich bliskich i tylu dawno niewidzianych znajomych.

– Rzeczywiście, to musi być ekscytujące – przyznała Marianna.

– Nie zazdrość mi – powiedziała z uśmiechem Elena. – Ty też kiedyś tego doświadczysz. W tym przypadku nie ma wyjątków: skoro żyjesz, to i umrzesz. Takie to proste.

– Ale właściwie po co żyjemy, jeśli umieramy, a potem żyjemy dalej?

– Dobrze pytanie! I wiesz co, z tego wszystkiego najbardziej się chyba cieszę, że już niebawem poznam na nie odpowiedź. To takie ekscytujące! – Elena ponownie klasnęła.

– Trafisz? Wspominałaś, że podczas śmierci ukazuje się światło i wtedy wiadomo, dokąd się kierować. A teraz? Kiedy jesteś między światłami? Jak trafisz na właściwą drogę?

– Poczekam. Jestem już gotowa. Kiedy tylko się pojawi, idę.

– A jeśli się nie pojawi?

– Pojawi się. – Elena nie miała wątpliwości. – Zresztą kilka dni temu rozbłysło, ale nie byłam pewna, czy to aby na pewno to... W sensie czy to moje... Niezręcznie by było wtrzytnąć się komuś w drogę.

Marianna się zamyśliła. Może to ksiądz Martinez odprawił mszę w intencji Eleny... A jeśli więcej osób w jednym czasie pomodliłoby się za jej duszę, może światło byłoby bardziej wyraźne. Podzieliła się tą myślą z Eleną.

– Pewnie tak, chociaż myślę, że ta droga i tak się otwiera, trzeba tylko być cierpliwym. Przecież są tacy, którzy nie mają nikogo i nikt się za nich nie modli. Najważniejsze, żeby nikt z ziemi nie wysyłał negatywnej energii i nie myślał źle, bo wtedy można skończyć jak Carlos. – Elena skrzywiła usta.

– Poproszę dziewczyny, żeby zamówiły mszę – zaproponowała Marianna. – Tyle możemy dla ciebie zrobić.

– No pewnie, nie zaszkodzi. Tylko błagam, nie mów, że ze mną rozmawiałaś, bo znowu zaczną mnie ścigać.

– Nie powiem – obiecała Marianna.

Elena uśmiechnęła się i jej postać zaczęła znikać.

– Elena! – krzyknęła nagle Marianna. – Jeśli spotkasz moją babcię i moich rodziców... – zamilkła na chwilę. – I drugą babcię, i dziadków... I ciocię Stefę, i Maćka, mojego kuzyna, on umarł czternaście lat temu – dodała szybko – i wujka Stasia... I...

– Dobra, dobra – przerwała Elena – wystarczy, że spotkam jednego i powiem, żeby przekazał reszcie.

– No tak... – zgodziła się Marianna. – To powiedz im, że... że...

Elena wpatrywała się w dziewczynę z wyczekiwaniem.

– Pozdrów ich po prostu! – krzyknęła Marianna radośnie. – Wyściskaj, wycałuj. Powiedz, że przesyłam pozdrowienia.

– Oczywiście, pozdrowię – roześmiała się Elena.

\*\*

Balony, które Bolivar przymocował do baru, miały kolor pudrowego rózu. Na stolikach przyozdobionych obrusami w pastelowych barwach tancerki ustawiły niewielkie wazoniki, jednak zamiast kwiatów wystawały z nich kolorowe lizaki. Stoły uginały się od jedzenia i można było na nich znaleźć zarówno wytrawne tapas, jak i kolorowe słodkości przygotowane z przepisów Marianny i Eleny.

– Boże, czuję się, jakbym miała pięć lat i właśnie obchodziła urodziny. – Marianna złapała się za głowę i roześmiała. – Tu jest tak cukierkowo, że chyba was mdli. Dajcie radę? – zażartowała.

– Podoba ci się? – spytała Luisa. Oczy jej błyszczały z zachwytu nad dziełem, jakie udało się stworzyć na cześć Marianny.

– Oczywiście, że mi się podoba! Toż to wygląda nie jak kawiarnia, ale jak cukiernia z bajki! Może



znów się przebranzowicie? – mrugnęła okiem.

– Przyznaję, poniosło nas. – Teresa wywróciła zabawnie oczami. – Ale chciałyśmy ci sprawić radość.

– Udało się. Dziękuję. – Marianna z uśmiechem rozglądała się po wnętrzu, nie dając po sobie poznać, że przyprawia ją o lekki zawrót głowy. Lubiła, owszem, pastele i delikatne jasne barwy, ale akurat ta mieszanka pozbawiona była subtelności. Czuła się jednak szczęśliwa. To nic, że nie była to jej estetyka, grunt, że kawiarnię przystrojono specjalnie dla niej. Nagle nasza ją wizja, że Cristián, kiedy się pojawi, natychmiast ucieknie. Wystające z wazonów lizaki odstraszą go na amen. Może i dobrze, on i tak nie lubi słodczy – pomyślała, wyjmując jeden i oglądając uważnie.

– Same zrobiliście? – zdziwiła się, zauważywszy nieregularną i dość toporną formę.

– Wszystko zrobiliśmy same – powiedziała z dumą Juanita.

– Niesamowite. – Marianna była pod wrażeniem.

– Jeszcze talerze trzeba przygotować, zaraz zejdą się goście – ponagliła Luisa.

– Jacy goście? – spytała Marianna. – Myślałam, że będziemy tylko my. O dziewiętnastej ma przyjechać Cristián, to wszystko. No i Bolivar oczywiście. – Skinęła w kierunku mężczyzny. – Mam nadzieję, że pańska żona też dotrze?

– Będzie, będzie – potwierdził zadowolony.

– Jak przyjęcie, to przyjęcie – powiedziała Teresa. – Zaprosiliśmy Rosę. Przyjedzie z synkiem. Mały się ucieszy na widok tylu słodczy.

– Co prawda mówiłaś, że już się pożegnaliście, ale na ulicy to nie to samo – wtrąciła Luisa.

– Miałyście do niej numer? – zdziwiła się Marianna.

– Kiedyś nam zapisała, gdybyśmy szukały kelnerki.

– Teraz już chyba nią nie zostanie – zauważyła Marianna.

– Zaprosiłam też Fernanda – powiedziała Teresa. – Mam nadzieję, że to nie problem.

Marianna odniosła wrażenie, być może mylne, że Teresa się zarumieniła. Potentat branży pogrzebowej wyraźnie nie był jej tak niemiły, jak oficjalnie twierdziła.

– Oczywiście, że nie mam. Bardzo się cieszę – powiedziała. – A gdzie Veronica?

– Przebiera się. Postanowiłyśmy, że da pokaz solo. No wiesz, nie jesteśmy już młode, a przygotowania do przyjęcia wymagały zaangażowania. Veronica sama się zgłosiła, mówi, że nic ją nie boli i może zatańczyć.

– Bolivar! – krzyknęła Juanita – A przywiozłeś tę płytę, o którą prosiłam?

Bolivar skinął głową i energicznym krokiem podszedł do odtwarzacza. Wkrótce kawiarnię wypełniły dźwięki klasycznej gitary. Teresa przyciemniła światło, tworząc sprzyjającą intymności atmosferę. Kolorowe balony i błyszczące girlandy już tak nie raziły.

Marianna podniosła do ust przyniesiony przez Luisę kieliszek z winem i wzniosła toast:

– Jest pięknie! Dziękuję! To będzie niezapomniany wieczór. Wasze zdrowie!

– I nawet pojawili się już pierwsi goście – zauważyła Teresa i dziarskim krokiem podeszła do drzwi, żeby otworzyć je przed Rosą pchającą wózek. Kobiety doskoczyły do oszołomionego panującym w kawiarni nastrojem Daniela. Natychmiast chciały go przytulać, zabawiać, podsuwać mu do ust smakołyki.

– Cześć. – Rosa przywitała się z Marianną. – Wpadłam tylko na chwilę. Daniel dostał kataru, nie chcę go przemęczać. Ale kiedy pani Teresa zadzwoniła z zaproszeniem, uznałam, że jestem ci coś winna.

– Nic mi nie jesteś winna, daj spokój.

– Jeszcze ci nie podziękowałam.

– Nie musisz.

– Ale chcę. Głupio się ostatnio zachowałam. Pokłóciłam się z tobą, zamiast podziękować, że tyle dla

mnie zrobiłaś.

– Zapomnijmy o tym. Naprawdę życzę ci wiele szczęścia. I żeby wszystko się ułożyło.

– Nie jesteś na mnie zła?

– Już nie – przyznała szczerze Marianna. – Też się czegoś nauczyłam. Dotarło do mnie, że nie jestem w stanie zmienić czyjegoś myślenia, ale mogę zmienić własne. Nie chcę się już aż tak przejmować cudzymi sprawami. To męczące. I głupie. Lepiej zbierać siły na własne problemy. Zawsze się jakieś trafiają i nie da się od nich uciec, można jedynie odwlec zmierzenie się z nimi.

Rosa się uśmiechnęła.

– Jeszcze raz dziękuję, że mi pomogłaś. – Ucisnęła Mariannę. – Szkoda, że nie mogę podziękować twojemu tacie, to przecież od niego się zaczęło.

– Możesz mu podziękować – powiedziała poważnie Marianna. – Myślę, że usłyszysz.

Kiedy przyjechał Cristián, Marianna była w szampańskim humorze. Veronica, która chwilę wcześniej dała pokaz flamenco, zaprosiła dziewczynę do tańca. Pokazała jej kilka kroków i nauczyła odpowiedniego ułożenia ciała. Wkrótce dołączyły do nich pozostałe tancerki oraz goście, z Fernandem na czele, niespuszczającym wzroku z Teresy. Żona Bolivara płasała, zadowolona, że mąż wreszcie zdobył się na odwagę i wyszedł na parkiet. Gestem próbowała zaprosić Rosę, ale dziewczyna wytłumaczyła na migi, że Daniel jest zmęczony i muszą już jechać.

Pochłonięta nauką tańca Marianna dopiero po chwili zauważyła Cristiána. Nachylał się nad wózkiem, szepcząc coś do Daniela. Znów w głowie Marianny pojawiła się niedorzeczna myśl o wspólnym dziecku. Szybko ją odrzuciła, koncentrując się na rytmie wystukiwanym kastanietami przez Luisę.

Cristián zamienił kilka słów z Rosą, a kiedy wyszła, odszukał wzrokiem Mariannę i skinął głową na przywitanie. Odpowiedziała uśmiechem. Chwilę później podeszła do niego tanecznym krokiem i zamachała przed oczami wachlarzem.

– Czego się pan napije? – spytała, przybierając pozę kelnerki.

– Czegoś mocnego, zdecydowanie. Nie sądziłem, że będzie aż taka impreza.

– Wiele pana ominęło, trzeba się było nie spóźnić – powiedziała z udawaną naganą. – Ale proszę się nie martwić, jeszcze sporo przed panem.

– W takim razie podwójną porcję czegoś mocnego.

Muzyka była zbyt głośna, żeby spokojnie porozmawiać. Marianna przyniosła Cristiánowi szklaneczkę z whisky, po czym wróciła na parkiet. Bolivar, uzyskawszy zgodę żony, chwycił dziewczynę w ramiona i okręcił. Fernando, który nieznacznie tylko podrygiwał, uskoczył wystraszony, że zaraz oberwie obcasem.

Marianna zdołała utrzymać równowagę. Roześmiana szalała z Bolivarem na parkiecie, żałując, że tak mało jest miejsca. Jeden nierozważny ruch i można było wylądować na którymś z ustawionych pod ścianami stołów.

Po kilku piosenkach, kiedy tancerze wyraźnie opadali z sił, Teresa zakomenderowała, żeby przyciszyć muzykę. Luisa upiła łyk chłodnej wody, przetarła czoło chusteczką i uśmiechając się porozumiewawczo do pozostałych tancerek, poszła do kuchni. Po chwili wróciła stamtąd, niosąc tort. Prawdziwy, oryginalny tort Carmen, przystrojony wachlarzem z lukru i ozdobnym napisem „Pour Marianna”. Ustawiła ciasto na stoliku, który specjalnie w tym celu został wysunięty na środek kawiarni. Teresa stanęła obok i łamiącym się ze wzruszenia głosem wygłosiła przemówienie na cześć Marianny, dziękując jej za pomoc i podkreślając, jak dużym i bezinteresownym zaangażowaniem się wykazała.

– Trudno nam było pogodzić się z utratą Carmen – dodała na koniec. – Ale teraz naprawdę kochamy nasze świeże i słodkie Café Caramelo. Aż szkoda, że Elena tego nie dożyła. I że nie może tego zobaczyć.

– Widzi, widzi na pewno! – krzyknęła Marianna. Oczy miała mokre od łez. Wzruszenie mieszało się z radością, nie tylko z tego powodu, że doceniono jej wkład i pomoc, ale także dlatego, że tancerki znowu były razem. Veronica robiła wszystko, aby naprawić swoje błędy, czego dowodem był odnaleziony zeszyt z przepisami Eleny.

Kiedy Luisa i Veronica serwowały gościom tort, Juanita wyjęła spod baru pudło przepasane ozdobną wstążką.

– Mamy dla ciebie drobny prezent – wyjaśniła, podając Mariannie pakunek.

Dziewczyna zamrugała energicznie, żeby strząsnąć ostatnie łzy, i pociągnęła za wstęgę. Kiedy otworzyła wieczko, wzruszenie ponownie odebrało jej mowę. W pudełku znajdowała się sukienka. Na szczęście tancerki nie wpadły na pomysł, żeby podarować Mariannie tradycyjny strój do flamenco, jednak suknia kolorem i wzorem nawiązywała do Hiszpanii. Marianna natychmiast przyłożyła ją do siebie.

– Piękna – powiedziała. – Przepiękna. Dziękuję.

W pudle były także wachlarz oraz kubek z wizerunkiem tancerki flamenco.

– To, żebyś myślała o nas przy porannej kawie – wtrąciła żartobliwie Juanita.

Kobiety serdecznie uściskały dziewczynę, życząc jej dobrego lotu i wymuszając obietnicę, że wkrótce je odwiedzi. Potem podeszli ją uściskać także Bolivar z małżonką oraz Fernando. Ten ostatni nad wyraz wylewnie, choć dopiero niedawno się poznali.

Cristián trzymał się z boku, popijając whisky i błędząc wzrokiem za roześmianą Marianną. Dopiero po wszystkich oficjalnych przemówieniach, uściskach i pożegnaniach, kiedy towarzystwo zajęło się sobą, dziewczyna podeszła do niego i usiadła na krześle obok.

– Niezła impreza – powiedział z uznaniem. – Wstyd mi, że nie pomyślałem o prezencie.

– Żartujesz. Nie spodziewałam się żadnych prezentów. – Roześmiała się. – I nie spodziewałam się aż takiej imprezy. To naprawdę szalone babcie.

– Są urocze – zauważył.

– Dziękuję, że jesteś. Ostatnio spędziliśmy trochę czasu razem, pomyślałam, że nie wypada wyjeżdżać bez pożegnania.

– Nie wspomniałaś o powrocie do Polski, kiedy się ostatnio widzieliśmy. Byłem przekonany, że jeszcze wiele wspólnych kolacji przed nami...

– Rzeczywiście – przyznała Marianna. – Podjęłam decyzję z dnia na dzień. Czasem trzeba działać szybko.

– Coś się stało?

– Och, nic wielkiego. Po prostu... Pomyślałam, że nie jestem już potrzebna Rosie, babcie też stanęły na nogi, w Caramelo przybywa gości... Czas, żebym wróciła i zajęła się sobą.

– Rozumiem – przytaknął, upijając łyk whisky. – Krótko mówiąc, nic cię tu już nie trzyma – zawiesił głos.

– Teraz już nic – odpowiedziała Marianna, uciekając wzrokiem. Na stoliku obok zauważyła pozostawiony przez kogoś kieliszek wina. Wyglądał na nietknięty. Bez wahania sięgnęła po niego i zwilżyła trunkiem wysuszone z emocji usta. Cristián patrzył na nią spod przymrużonych powiek, jakby intensywnie nad czymś myślał. W kawiarni panował gwar wesołych rozmów, a w tle sączyła się nastrojowa muzyka z przyniesionej przez Bolivara płyty.

– Zatańczymy? – niespodziewanie zaproponował Cristián.

– O nie! – krzyknęła mimowolnie Marianna. Odkąd przybył Cristián, myślała tylko o tym, żeby powściągnąć emocje i nie zbliżać się do niego na odległość mniejszą niż dwa kroki. Bała się, że kiedy znowu poczuje zapach jego skóry i miękki dotyk dłoni, straci nad sobą panowanie i wtuli się w niego

całym ciałem.

– Nie masz ochoty?

– Nie mogę. To znaczy nie mam siły.

– Szkoda. Lubię tę piosenkę... – Przekrzywił głowę i znów zmrużył oczy, wpatrując się w Mariannę. –

Czyli co... Ta impreza to takie prawdziwe pożegnanie? Nie zobaczymy się już?

– No cóż. – Rozłożyła ręce. – Raczej nieprędko. Oczywiście, jeśli będziesz kiedyś w Polsce, to daj znać. Będzie mi miło się spotkać. Może nawet zaproszę cię do cukierni, którą zamierzam otworzyć w Warszawie – mówiła szybko, byleby o czymś mówić. Jego spojrzenie powodowało, że jej myśli mocno się rozpraszały.

– A ty nie przyjedziesz do Sewilli? Nie będziesz towarzyszyła Rosie w sądzie? – upewnił się.

– Już mówiłam. Wszystkim zajmą się prawnicy. Rosa da sobie radę, zresztą, o ile dobrze zrozumiałam, ma także twoje wsparcie?

– Ma. Oczywiście.

– À propos. Przepraszam na chwilę. – Marianna wstała i szybkim krokiem poszła na zaplecze, gdzie zostawiła torebkę. Wyjęła z niej wcześniej przygotowaną fiszkę z adresem i telefonem księdza Martineza. Kiedy wróciła do stolika, podała karteczkę Cristiánowi. – Odezwij się do niego. To dobry człowiek. I naprawdę pragnie kontaktu.

– Okej, dziękuję. – Cristián złożył papierek i schował do kieszeni. – No cóż. – Wstał. Nie pozostaje mi nic innego, jak uściskać cię na pożegnanie i życzyć przyjemnej podróży. Żałuję, że musisz już jechać. – Podszedł bliżej i podał Mariannie rękę.

– Muszę – powiedziała stanowczo, patrząc mu prosto w oczy.

– Nie chcę przeszkadzać, ale czy słyszysz, dziecko, tę piosenkę? – Głos Bolivara brzmiał wesoło. Mężczyzna ramieniem objął Mariannę i uniósł palec, dając znak, by wsłuchała się w muzykę. – Nie znam francuskiego, ale słowo „caramel” to każdy głupi usłyszy – powiedział z dumą. – Specjalnie dla ciebie.

– Dalida i Alain Delon! – Marianna się roześmiała, rozpoznając wykonawców. – *Paroles, paroles*. Uwielbiam!

– Dobrze wybrałem? Jest tam coś o karmelu? – spytał Bolivar.

– Ja też nie rozumiem słów – powiedziała Marianna. – Ale coś tam o karmelu jest...

– Jest – potwierdził Cristián. – Nie tylko o karmelu. I wiesz co, Bolivarze – z uśmiechem zwrócił się do mężczyzny – pozwól, że ukradnę ci tę dedykację. Znam francuski i rozumiem słowa. Rzeczywiście, doskonale pasują do tej chwili – Spojrzał wymownie na Mariannę.

Zmieszała się, nie wiedząc, o czym jest piosenka, ale pragnąc zachować dobrą minę, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Racja! *Caramel* w Caramelo, które tonie dziś w karmelkach... Wszystko idealnie pasuje.

– Och, dziecko. – Bolivar, rozanielony i radosny, co było niewątpliwie zasługą nie tylko atmosfery przyjęcia, ale też trunków, których tancerki gościom nie żałowały, mocniej przytulił Mariannę. – Będzie nam ciebie brakowało... Panie – zwrócił się do Cristiána – gdybyś ty wiedział, jak kłamię, kiedy kazała ściany przemalować na niebiesko! Ale ładnie wyszło, nie powiem. Bardzo ładnie. A jeszcze miałaś na zaplecze dobrać kolory, przecież te stare baby w ogóle się nie znają.

– No miałam, miałam, Bolivarze... Nie starczyło już czasu. Pomalujcie na jasno, może być kremowy. To już mało ważne, najważniejsze było wewnątrz kawiarni.

– Widzi pan, jak nas zostawia! – poskarżył się Cristiánowi, robiąc zbolalą minę. – I to bez uprzedzenia, panie! Rach-ciach i nagle się dowiadujemy, że wyjeżdża. Nie trafisz za dziewczuchami! Nie trafisz. – Roześmiał się. – Ale kochamy ją jak swoją! – Złożył na policzku Marianny soczystego buziaka.

– Mnie też zostawia – powiedział żartobliwym tonem Cristián. – A też ją kocham jak swoją.

Marianna, słysząc to, przełknęła ślinę. Roześmiała się dźwięcznie, modląc się w duchu, by jej śmiech zabrzmiał lekko i naturalnie. W głowie szukała słów, które mogłyby być ripostą. Nie zdążyła jednak nic powiedzieć, ponieważ odezwał się Bolivar.

– A ja panu powiem, jak to jest. – Pochylił się w kierunku Cristiána i teatralnie zniżył głos. – Mam wprawdzie jedną babę, od trzydziestu lat tę samą, ale za to cztery siostry. Więc mogę powiedzieć, że na kobietach znam się jak mało kto. I zawsze, proszę pana, jak kobieta robi nagły zwrot, to za jej decyzją stoi mężczyzna – powiedział z przekonaniem. – Bo one już takie są. Sercem myślą, a nie rozumem. Nie to co my. – Uderzył się w pierś. – Ma pan ochotę napić się czegoś, bo widzę, że szklaneczka pusta? – spytał nagle.

– Dziękuję, właściwie już wychodzę. Miło było. – Cristián podał Bolivarowi dłoń. – To co? – Spojrzał na Mariannę. – Przyjemnej podróży. – Objął ją i krótko przytulił. – I do zobaczenia. Kiedyś...

– Odprowadzę cię – zaproponowała, pragnąc spędzić z nim jeszcze choć chwilę.

Wyszli na zewnątrz. Marianna wzięła ze sobą kieliszek z winem, żeby zająć czymś ręce. Bała się, że jeśli tego nie zrobi, jej dłoń odruchowo znajdzie dłoń Cristiána.

Noc przyniosła ochłodzenie i po gęstym powietrzu, które męczyło za dnia, nie było już śladu. Plac dawno opustoszał, a w ogródkach pobliskich restauracji krzątali się zmęczeni kelnerzy, składając stoliki i krzesła.

Cristián wyjął telefon i zamówił taksówkę.

– Jeszcze raz dziękuję, że przyszedłeś – powiedziała Marianna. – I w ogóle za wszystko.

– Bolivar mówił prawdę? – spytał. – Za twoją nagłą decyzją o wyjeździe stoi mężczyzna? Masz kogoś i ten ktoś poprosił, żebyś już wróciła – bardziej stwierdził, niż spytał.

– Nie mam nikogo. Jestem sama. I to nie była nagła decyzja. Wiesz, u nas, podobnie jak w Hiszpanii, obchodzi się dzień Wszystkich Świętych. Chcę odwiedzić moich bliskich na cmentarzu, wkrótce pierwszy listopada – tłumaczyła szybko. – Poza tym długo tu już siedzę, najwyższy czas wracać. Poza tym... – Nagle odważnie spojrzała Cristiánowi w oczy i duszkiem wypila zawartość kieliszka. – Bolivar miał rację. Chodzi o mężczyznę. O ciebie. Taka jest prawda.

– O mnie? – Uniósł brwi.

– Tak. Bo, mówiąc krótko, nie chcę się w tobie zakochać.

Oczy Cristiána pojaśniały i wkradł się w nie ledwie widoczny uśmiech.

– A to dlaczego? – zapytał, tłumiąc napływ emocji.

– Bo nie chcę. – Marianna nie zdołała znaleźć innego wytłumaczenia. Chłodne powietrze muskało jej rozpaloną twarz, a w głowie nagle zaszumiało.

– Bo nie chcesz i już?

– Bo nie chcę. I już.

Taksówkarz, który zaparkował pod kawiarnią, otworzył szybę i wychylił się, dając znak, że czeka. Cristián skinął głową. Zbliżył się do Marianny i delikatnie objął dłońmi jej twarz. Pocałunek, któremu się poddała, nie trwał długo, lecz był na tyle intensywny, że dziewczyna ledwo złapała oddech.

– A gdybym ci powiedział, że czuję to samo? – spytał, patrząc jej w oczy.

– Błagam, nie rób tego – wyszeptała. – To jeszcze gorzej. Cristián ... – Zacerpnęła głęboko powietrza. – Po prostu nie pasujemy do siebie. Ty nawet nie lubisz słodczy... – powiedziała, szukając w głowie jakiegokolwiek wytłumaczenia.

– I to jest powód?

– Przepraszam. Nie myślę trzeźwo – poprawiła się. – Chodzi o to, że żyjemy w różnych światach, dzieli nas za duża odległość. I nie mówię tu o tej fizycznej, między Polską a Hiszpanią, chociaż to też jest ważne. Chcę wrócić do Polski. Mówię raczej o tym, jak wygląda nasze życie. Ja dopiero uczę się być

samodzielna i dorosła. Chcę zmierzyć się z tym, co zgotował mi los, muszę uporządkować sprawy, pomóc w prowadzeniu cukierni. To dla mnie ważne. Ty masz swoje życie, biznes w Sewilli, brata, który wymaga ciągłej opieki, domy, o które trzeba dbać.

– Sądziś, że nie da się tego wszystkiego pogodzić?

– Nie da się. To nie dwieście kilometrów, tylko ponad dwa tysiące. Mogłabym zatrzymać się w Hiszpanii na dłużej, dobrze się tu czuję, znam język, ale to w Polsce jest moje życie. I właśnie teraz zaczynam je na nowo. Nie chcę go na starcie komplikować uczuciem, które nie wiadomo nawet, jak się rozwinie. Rozumiesz?

– Rozumiem. Wszystko rozumiem. I masz rację – powiedział, składając na jej czole czuły pocałunek.

Marianna zamilkła. Zdumiona spojrzała na Cristiána, usiłując dostrzec w jego oczach sarkazm, ale nie dojrzała nic, co wskazywałoby, że żartuje. Poczowała się rozczarowana. Mimo że wyłuszczała swoje racje, sama w nie wierząc, to w głębi serca miała nadzieję, że Cristián nie zgodzi się z jej tłumaczeniem i kategorycznie nakaże jej zostać.

– Tu jesteś! – krzyknęła Teresa, wystawiając głowę z uchylonych drzwi. – Juanita już nawet do kuchni zaglądała. Do mieszkania chciała lecieć. Bałyśmy się, że poszłaś spać, a przecież musisz jeszcze przymierzyć sukienkę! W razie czego rano Veronica zdąży ją zwięzić. Jest mistrzynią przerabiania ubrań. – Oczy Teresy błyszczały. Dopiero po chwili zorientowała się, że przerwała rozmowę. – A, przepraszam, nie chciałam przeszkadzać. Pan już jedzie? – spytała, zauważywszy stojącą nieopodal wejścia taksówkę.

– Tak, Cristián rano do pracy... – rzuciła szybko Marianna.

Cristián uśmiechnął się i skinął głową.

– Do zobaczenia – powiedział do Teresy. – Było miło, wspaniałe przyjęcie – pochwalił.

– Proszę do nas wpadać w wolnych chwilach. – Teresa odpowiedziała uśmiechem. – I przepraszam za tanto, wie pan, o czym mówię. – Mrugnęła porozumiewawczo.

– Nie ma problemu. Wszyscy byliśmy oszołomieni sytuacją.

– No tak. – Teresa parsknęła śmiechem, przysłaniając dłonią usta.

Cristián jeszcze raz przytulił Mariannę, żegnając się z nią, po czym bez słowa wsiadł do taksówki.

Dziewczyna patrzyła, jak odjeżdża, zaskoczona jego zachowaniem. Nie prosił jej, nie przekonywał. Tymczasem ona się otworzyła, przyznała do swoich uczuć. Cóż z tego, że zasugerował, iż czuje to samo. Najwyraźniej zrobił to z grzeczności, skoro potem nie nalegał, żeby z nim została.

Zawiedziona i zła na siebie z powodu szczerości, na którą się zdobyła, wróciła do kawiarni. Towarzystwo bawiło się w najlepsze. Ostatkiem sił wykrzesła z siebie resztkę energii i z uśmiechem poszła do łazienki, żeby przymierzyć sukienkę. Pasowała idealnie. Kiedy jednak Marianna spojrzała w lustro, dostrzegła, że uśmiech obejmuje tylko usta i nie dochodzi do oczu. Te skrywały w sobie żal. Doskonale wiedziała z jakiego powodu.

\*\*

Teresa, która uparła się, że jako przedstawicielka zespołu Café Caramelo pojedzie z Marianną na lotnisko, przez całą drogę w taksówce wspominała wieczór. Przypominały jej się żarty, którymi bawił ją Fernando, opowiadała anegdoty zasłyszane od żony Bolivara.

– Nawet na swoich urodzinach nie bawiłam się tak dobrze – przyznała. – Za dużo było ludzi, a człowiek jako gospodarz przejmuje się wszystkim. A wczoraj bawiłam się jak za dawnych lat. A jak tańcowałyśmy z Juanitą, widziałaś?

Marianna pokiwała głową.

– Niby się żaliła, że biodro jeszcze ją trochę pobolewa – ciągnęła – a szalała jak trzydziestolatka... A ten Fernando... – rozmarzyła się. – Powiem ci, że to jednak mężczyzna z klasą. Szarmancki, taktowny...

– Bardzo miły – przyznała Marianna.

– A Cristián... – kontynuowała Teresa. Mariannę zakłuło w brzuchu, kiedy usłyszała to imię. – Dobrze, że go zaprosiłaś. To jednak wypada, żeby się z ludźmi pożegnać. Kto by pomyślał, że się zaprzyjaźnicie... Ale dobrze mu z oczu patrzy. I do Daniela z uczuciem podszedł, widać, że go zaakceptował. Szkoda, że Rosa tak szybko musiała uciekać, nie zdążyłam przemówić jej do rozsądku.

– Nie przemówiłabyś – westchnęła Marianna.

– Spakowałaś sukienkę? – Teresa nagle zmieniła temat.

– Spakowałam.

– A broszki nie zapomniałaś? Żeby ci przypadkiem bagaż nie zaginął, bo będzie strata...

– Mam ją przy sobie.

– To dobrze – odetchnęła z ulgą Teresa. – Cenna pamiątka. Elena byłaby szczęśliwa, że trafiła w twoje ręce. Mój Boże, naprawdę szkoda, że nie doczekała tych wszystkich zmian w Carmen. Ale niedługo Wszystkich Świętych, pozapalamy świece...

– Na cmentarzu – bezwiednie dopowiedziała Marianna. Myślami wciąż była przy Cristiánie.

– Na cmentarzu to lampki. Pod warunkiem, że zmarły tam się znajduje. Bo przecież wiele rodzin prochy rozsypuje albo trzyma urnę w domu. Akurat Elena została pochowana na cmentarzu. Dlatego zapalimy lampki. A świece w domu.

– Po co w domu? – Marianna wybudziła się z letargu. Przypomniała sobie, że obiecała Elenie, iż poprosi tancerki, żeby zamówiły mszę.

– Palimy świece, żeby zbłąkana dusza znalazła drogę do domu. Takie światełko jest bardzo pomocne – powiedziała z przekonaniem Teresa.

– Ale dlaczego chcecie sprowadzać duszę do domu? Nie lepiej, żeby poszła do nieba? Żeby zamieszkała już w nowym domu, po tamtej stronie?

Teresa się zamyśliła. Wydeła usta, a następnie ściągnęła je, a jednocześnie zmarszczyła brwi, uwydatniając głęboką zmarszczkę.

– Nie myślałam o tym w ten sposób – przyznała. – U nas od zawsze pali się świece w domach. Żeby dusze nie błądziły.

– Ksiądz Martinez mówi, żeby zamówić mszę w intencji Eleny – powiedziała zdecydowanym tonem Marianna, celowo podpierając się autorytetem.

– Były już msze. Podczas pogrzebu, potem druga dzień po pogrzebie i jeszcze trzecia, miesiąc później.

– Trzeba zamówić jeszcze jedną. Im szybciej, tym lepiej. Ksiądz Martinez uważa, że wspólna modlitwa i dobre wspomnienie zmarłego są najlepszym sposobem na odprowadzenie duszy do nowego domu.

– Aha. No dobrze, jutro zamówimy.

Taksówkarz pomógł Mariannie uporać się z bagażami i wspaniałomyślnie, zauważywszy, że jedna z walizek nie ma kółek, pobiegł po wózek. Nie oczekiwał dodatkowej zapłaty i nawet kiedy Marianna podała okrągłą kwotę, większą niż ta wskazana przez taksometr, skrupulatnie odliczył resztę.

– Nie trzeba – powiedziała zwyczajowo dziewczyna, ale mężczyzna mimo to wręczył jej drobne. Z uśmiechem życzył miłej podróży i pokierował, którądy Marianna ma się udać, by trafić do właściwego terminala.

Teresa, ciężko powłócząc nogami, podreptała za Marianną.

– Wczorajsze tańce dają się we znaki – mruknęła pod nosem, jednak zaraz się uśmiechnęła na wspomnienie nocnego szaleństwa.

Kiedy stanęły przed punktem odpraw, mocno uściskała Mariannę, a z jej oczu trysnęły łzy.

– Kochanie, nawet nie wiesz, jak wspaniale było nam z tobą. Osłodziłaś nam tyle dni! Naprawdę cię pokochałyśmy – wyszlochała. – Żyj dobrze i odzywaj się czasem.

Dziewczyna odwzajemniła uścisk, jednak jej wzrok, zamiast skupić się na kobiecie, błędził po hali. Wiedziała, że to bezzasadne, lecz z tyłu głowy majaczyła myśl, że może Cristián pojawi się na lotnisku i wzorem bohaterów romantycznych filmów powstrzyma ją przed wylotem.

Było jej smutno, że nie zadzwonił ani nie przysłał wiadomości. Tak, jakby wczorajsze pożegnanie uznał za kategoryczne i ostateczne, mimo że po namiętym pocałunku Marianna spodziewała się, że może rankiem przyjdzie mu do głowy, żeby się z nią skontaktować. Nie przyszło. Zamiast radości, że – zgodnie z planem – zakończyła związek, zanim się na dobre zaczął, czuła pustkę. I nie wiedziała, czy powinna się cieszyć z tego, że dał jej odejść, czy raczej płakać nad tym, że o nią nie zawalczył.

– I zadzwoń, jak tylko doleczysz. – Teresa otarła łzy. – Koniecznie daj znać, żebym się nie martwiła.

– Oczywiście – obiecała Marianna. – A właśnie! – przypomniała sobie. – Przecież mam wasz telefon. – Sięgnęła do torebki. – Nie będzie mi już potrzebny.

– Ależ dziecko, zachowaj go sobie, to po Elenie. My z niego nie korzystamy.

– Ja też nie będę. Hiszpański numer w Polsce mi się nie przyda. Dziękuję za użyczenie.

– Jesteś pewna? A jeśli ktoś ze znajomych chciałby się skontaktować? Rosa albo Cristián? Albo my...

– Przecież kiedy będę już miała nowy numer albo aktywuję ten poprzedni, to zatelefonuję do was i podam, żebyście w razie potrzeby miały ze mną kontakt. Do Rosy też zadzwonię. Będę ciekawa, jak idą sprawy... A Cristián... – zamyśliła się, dusząc w sobie żal. – Raczej nie będzie do mnie dzwonił.

– A jeśli? Zaprzyjaźniliście się, nie wypada tak...

– Ma do mnie kontakt mailowy – przerwała stanowczo Marianna. – Zapisywałam mu kiedyś. Jeśli będzie miał ochotę, to do mnie napisze. Nie martw się, Tereso, nie zdążyłam nawiązać aż tylu bliskich znajomości, żeby ludzie jakoś szczególnie za mną tęsknili.

– Mylisz się – energicznie zaprzeczyła Teresa. – Już tęsknimy.





## Rozdział 28



Dorota klęła, obserwując tablicę przylotów. Ponad godzinne opóźnienie. Mogła przyjechać później, przynajmniej dokończyłaby pisać raport, który powinna dostarczyć szefowi na wczoraj. Uparła się, żeby sprawić Mariannie niespodziankę, a przede wszystkim przywieźć jej ciepły płaszcz, ponieważ Alicja nie mogła sobie przypomnieć, czy Marianna miała spakowane jesienne ubrania.

– Co za gówno – jęknęła, kiedy kolejny raz na tablicy pojawił się komunikat o opóźnieniu. Następna godzina.

– A co pani czyta? – Mężczyzna, który siedział obok, zajrzał rozbawiony przez ramię. Dorota zmierzyła go piorunującym wzrokiem.

– Nie mówię o książce – wycedziła przez zęby, niezadowolona, że nawiązał kontakt. Był przystojny, a w towarzystwie takich zawsze czuła się spięta. Dlatego nie miała ochoty na pogawędkę, bo wiedziała, że prędzej czy później strzeli jakąś gafę i potem przez pół nocy będzie o tym myślała. Poza tym rozmowa z przystojniakiem stała w sprzeczności z uczuciami, jakimi darzyła swojego nauczyciela angielskiego. Romans ostatnio przyspieszył i Dorota była dumna, że zdobyła pierwszą bazę, czyli doprowadziła do pierwszego pocałunku. Nie chciała po takim sukcesie rozpraszać się przygodnymi znajomościami.

– Czyli nasza panią jakaś gówniana myśl... – rzucił od niechcenia.

– Bardzo śmieszne. Ależ się pana żarty trzymają – mruknęła, odwracając wzrok. Był bardzo przystojny. Za przystojny. Diabelsko przystojny. Żałowała, że w ogóle na niego spojrzała.

– Przepraszam. – Roześmiał się. – Zaczynam świrować z nudów. Czekam na kumpla. Przylatuje z Toronto, a samolot ma opóźnienie. Niestety, nie wziąłem ze sobą książki.

– To przykre.

– Pani też na kogoś czeka?

– Nie. Siedzę tu, bo lubię siedzieć na lotniskach.

Boże! – pomyślała – przestań już mnie zagadywać! Zamknij się, nie spojrzę na ciebie!

– Dobrze! – Znów się roześmiał i Dorota wyobraziła sobie, jak piękny musi mieć uśmiech. – Patryk jestem – przedstawił się, podając jej dłoń.

Niechętnie się odwróciła.

– Patrycja – powiedziała, uściskawszy jego rękę i ledwie na niego zerkając.

Ja pierdołę! – zbeształa się w myślach, dlaczego przedstawiłam się nie swoim imieniem?

– Co za zbieg okoliczności! – szczerze się ucieszył.

– Rzeczywiście, zdumiewające. To chyba przeznaczenie! – prychnęła. – Szkoda, że muszę już iść. Było miło. Cześć. – Nie czekając na odpowiedź, poderwała się z siedziska i żwawym krokiem ruszyła przed siebie. Nie mając innego pomysłu, skierowała się do kiosku, gdzie z wielkim zainteresowaniem zaczęła przeglądać prasowe tytuły.

– Kuuurwa! – jęknęła nagle, uzmysłowivszy sobie, że na ławce został płaszcz, który przywiozła dla

Marianny. Nie przejmując się kioskarzem, który od dłuższej chwili bacznie się jej przyglądał, przywarła plecami do jednego ze skrzydeł szklanych drzwi. Zamknęła oczy, próbując opanować zdenerwowanie. Wreszcie odwróciła się i zerknęła przez szybę, odnalazłszy wzrokiem rząd siedzeń i nowego znajomego, który właśnie przeglądał coś na smartfonie. Odetchnęła z ulgą, odnotowawszy, że jej nie widzi. Za to ona widziała go doskonale. Był idealnie piękny. Wysoki, dobrze ubrany. Ciemne włosy układały się w sposób, który uwielbiała u facetów. Lekko uniesione, o idealnej długości, sprawiały wrażenie delikatnie falujących, chociaż z daleka trudno było to ocenić. Dorota poczuła, że od samego patrzenia rozboleł ją brzuch, a co dopiero, gdyby musiała rozmawiać z tym facetem dłużej. Kiedy uświadomiła sobie, jak bardzo była wobec niego opryskliwa i niegrzeczna, poczuła złość na siebie. Zawsze to samo. Szybko jednak pocieszyła się myślą, że na szczęście zdążyła uciec, zanim wywarła najgorsze z możliwych wrażeń.

– Mogę w czymś pomóc? – spytał kioskarz zaniepokojony dziwnym zachowaniem Doroty.

Spojrzała na niego przenikliwie.

– Tak! – odpowiedziała wyraźnie pobudzona.

– Tak?

– Tak! Tak! – Energicznie potrząsnęła głową. – Mógłby pan podejść tam? – Dynamicznym ruchem szyi kiwnęła w kierunku ławki, na której siedział Patryk. – I wziąć mój płaszcz?

Mężczyzna spojrzał na nią nieufnie. Odruchowo chwycił za telefon, jednak nie wybrał żadnego numeru.

– Przykro mi – powiedział. – Ale nie mogę opuścić miejsca pracy.

– Ja panu popilnuję – zaproponowała szybko Dorota. – Błagam, bardzo mi zależy – dodała jęklwym tonem.

– Czyj to płaszcz? – zainteresował się sprzedawca.

– Mój!

– Chyba nie...

– Mój! Mój! – żarliwie zapewniła Dorota. – Muszę go mieć. Bardzo proszę, niech pan mi pomoże.

– Ale... pani ma płaszcz na sobie. – Wolno cedził słowa, żeby nie rozjuszyć wariatki.

– Mam dwa. Tamten też jest mój.

– Niestety, nie mogę pani pomóc. Jeśli zamierza pani ukraść czyjś płaszcz, będę musiał zawiadomić odpowiednie służby – zagroził.

– To mój płaszcz! Mój własny! Przywiozłam go dla koleżanki, która wraca z Hiszpanii i będzie jej zimno. Po prostu nie chcę podchodzić do tego faceta, kapujesz?

– Rozumiem. Ale nie mogę pani pomóc – powtórzył stanowczo.

– Nie to nie – warknęła Dorota i ponownie obróciła się, żeby spojrzeć przez szybę i ocenić sytuację. Patryk wciąż siedział z nosem wlepionym w ekran smartfona. Niestety, nie było możliwości, żeby zejść do ławki od tyłu i niepostrzeżenie zabrać płaszcz. Wziąwszy kilka głębokich oddechów, ruszyła w jego stronę. Kiedy sięgała po okrycie, podniósł głowę.

– O, znowu się widzimy – powiedział, chowając telefon. – Tak myślałem, że zatęsknisz za mną szybciej niż ja za tobą.

– Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. Wróciłam, bo zapomniałam płaszcz.

Zmrużył oczy.

– To ciekawe. Jeden już masz na sobie. Ukradłaś ten drugi?

– Bardzo śmieszne. – Zmusiła się, żeby jej głos brzmiał swobodnie. – Że też wszyscy mnie o to pytają.

– No tak, durnie. To przecież normalne, że człowiek chodzi w dwóch płaszczach...

– Normalne. – Na potwierdzenie swoich słów Dorota narzuciła przywieziony dla Marianny płaszcz na ten, który miała na sobie. – Miło było, ale muszę już iść.

– Tak, tak, wiem. – Zaśmiał się, jednak w jego śmiechu nie było sarkazmu. Brzmiał przyjaźnie i Dorota coraz bardziej spinała się w sobie. – Do zobaczenia wkrótce, urocza złodziejko! Będę miał na ciebie oko! – Mrugnął.

– Sam jesteś uroczy – odcięła się i natychmiast pożałowała, że nie ugryzła się w język.

– Czyli pasujemy do siebie. Miałaś rację, przeznaczenie. – Wstał nagle i zbliżył się do Doroty. Był od niej wyższy o głowę. – Dasz mi swój numer czy mam cię szukać po mieście?

– Zazwyczaj przesiaduję na lotnisku, jak już wiesz – powiedziała, usiłując na niego nie patrzeć. – W dwóch płaszczach. I z gównianą książką.

– Czyli mam cię szukać. Okej.

– Miło było, ale muszę iść – powiedziała trzeci raz tego wieczora i zwinnym ruchem przemknęła między ławkami. Tym razem skierowała się w przeciwną stronę, prosto do toalety.

– Matko – syknęła, kiedy znalazła się w łazience. Była zażenowana własnym zachowaniem i patrząc na swoje odbicie w lustrze, kolejny raz w życiu usiłowała odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego ona, niezależna, ładna i zazwyczaj przebojowa kobieta, podczas bezpośredniego kontaktu z przystojnym facetem zachowuje się jak idiotka. Jakby nagle wyparowywał jej mózg albo co najmniej kurczył się do rozmiaru groszku pod wpływem wzroku atrakcyjnego mężczyzny. Z tymi, którzy nie byli zbyt urodziwi, nie miała problemu. W ich towarzystwie potrafiła zachowywać się swobodnie, czarować elokwencją, rzucać błyskotliwe, śmieszne żarty. Wystarczyło jednak, żeby na horyzoncie pojawił się ktoś, kto naprawdę jej się podoba, natychmiast ogarniała ją panika, a szare komórki odmawiały posłuszeństwa. Nienawidziła siebie za to, ale jednocześnie nie potrafiła tego zmienić. Jedynym skutecznym lekarstwem były dla niej ziółka cioci Józefiny, jednak trudno byłoby je zaaplikować mężczyźnie w przypadku spontanicznego spotkania, jak na przykład teraz, na lotnisku.

Zamknawszy się w jednej z kabin, usiadła na opuszczonej desce klozetowej i usiłowała wygonić z umysłu natarczywe myśli o tym, co właśnie się zdarzyło. Modliła się w duchu, żeby Patryka już nie było, kiedy ona wyjdzie z łazienki, żeby wypatrywać Marianny. Próbowwała skoncentrować się na czytaniu, ale po kilku stronach zorientowała się, że nagle stała się analfabatką i nie rozumie tekstu. Złapała się na tym, że jedynie błędzi wzrokiem po literach, natomiast myślami wciąż analizuje swoje zachowanie względem Patryka.

Idiotka, idiotka, idiotka – powtarzała uporczywie. Wreszcie, zerknawszy na zegarek, uświadomiła sobie, że samolot Marianny prawdopodobnie już wylądował. Schowała książkę i wstała z deski. Zrobiło się jej słabo i pomyślała, że to z powodu gwałtownego ruchu, jakim było nagłe podźwignięcie ciała. Jednak po chwili zorientowała się, że wciąż ma na sobie dwa płaszcze i że to właśnie one są przyczyną nadmiernego rozgrzania i osłabienia organizmu. Szamocąc się w ciasnej kabine, ściągnęła z siebie okrycia i od razu poczuła się lepiej. Znowu usiadła na desce, tym razem po to, żeby ochłonać. Nie mogła uwierzyć, że przez niemal czterdzieści minut pociła się w dwóch płaszczach, w ogóle tego nie dostrzegając.

Wiedziała, że nie musi się spieszyć. Obliczyła, że zanim pasażerowie opuszczą samolot i odbiorą bagaże, upłynie co najmniej pół godziny. Zatelefonowała do Alicji, podając jej przybliżony czas dostarczenia Marianny do domu. Następnie wyszła z kabiny i zadowolona, że jest w łazience sama, otworzyła przewijak dziecięcy i ułożyła na nim płaszcze. Z torebki wyjęła kosmetyki. Nie po to, by olśnić Mariannę świeżym makijażem, ale w nadziei, że jeśli Patryk wciąż jest w hali przylotów, to może dostrzeże drobne niuanse, które miały za zadanie rozświetlić twarz i sprawić, by prezentowała się nienagannie. Za wszelką cenę pragnęła poprawić wrażenie. Wiedziała, że nie może się odzywać, bo znowu coś palnie, ale przynajmniej z daleka chciała prezentować się jak najlepiej.

Sporo czasu zajęło jej układanie włosów, które jak na złość, zamiast miękko otulać twarz, wisiały

niczym zwykle strąki. Z nabożeństwem pomyślała o suchym szamponie, który zazwyczaj nosiła w torebce, lecz tym razem albo zapomniała go włożyć, albo wypadł w samochodzie, kiedy gwałtownie hamowała.

Na koniec uszminowała usta, robiąc konturówką grubszą niż zazwyczaj linię, by wargi zdawały się większe. Odruchowo poprawiła stanik, odpowiednio układając w nim piersi, chociaż po założeniu płaszcza dekolt i tak był niewidoczny.

Wreszcie, zerknąwszy na zegarek, przestraszyła się, że Marianna dawno już wyszła z lotniska. Chwyciła płaszczy i rzuciła się do wyjścia.

Patryk właśnie witał się z kolegą, który okazał się nie mniej przystojny niż on. Dorocie natychmiast zrobiło się słabo. Udając, że wpatruje się w ekran informacyjny, energicznym krokiem przeszła obok mężczyzn. Nawet na sekundę nie zatrzymała na nich wzroku. I wtedy usłyszała radosny krzyk:

– Dorota! Dorota! – Marianna, pchając przed sobą wózek bagażowy, z niedowierzaniem wpatrywała się w koleżankę.

– Cześć! – Dorota podbiegła i przytuliła Mariannę. – Przyjechałam, żebyś nie tłuła się taksówką. Masz tu płaszczy.

– Dziękuję. Jak cudownie cię widzieć. Ślicznie wyglądasz.

– A – Dorota nonszalancko machnęła ręką. – Po całym dniu włosy mi oklapły. Ty za to prezentujesz się jak milion dolarów! Opalona, uśmiechnięta. Aż sama mam ochotę polecieć do Hiszpanii.

– Dorota. – Patryk, który usłyszał radosny okrzyk Marianny, patrzył na Dorotę z rozbawieniem. – A ja nadal Patryk.

– Kobiety są zmienne – rzuciła Dorota, chwytając Mariannę pod rękę. Zrobiła to jednak zbyt gwałtownie i torebka, którą miała na ramieniu, zsunęła się, odsłaniając zawartość.

Patryk jednym susem doskoczył do torby i wyjął telefon. Zanim Dorota zdążyła zareagować, wbił swój numer i nacisnął przycisk wybierania. Po sekundzie w jego kieszeni rozległa się melodyjka.

– Dobra, twój numer już mam. – Oddał Dorocie smartfona. – Odezwę się. Na razie, zmienna kobieto! – Mrugnął do Doroty, skinął głową Mariannie, po czym odszedł do kolegi. Oszołomione dziewczyny stały w milczeniu. Dorota dopiero po chwili przykucnęła, żeby podnieść torbę.

– Kto to był? – spytała Marianna.

– Nie znam. Przyczepił się. – Dorota wzruszyła ramionami.

\*\*

Kot łąsił się do nóg, kiedy Marianna z kubkiem herbaty usiadła na kanapie i przykryła się kocem. Alicja z Dorotą niczym policjantki siedziały na krzesłach naprzeciwko i wypytywały o szczegóły pobytu koleżanki w Hiszpanii. Alicję interesowało najbardziej, jak zakończyła się sprawa z Cristiánem.

– Masz jakiś sweter? – spytała Marianna, wsuwając stopy pod koc.

Alicja podeszła do szafy, wyjęła z niej ciepły blezer i rzuciła na kanapę.

– Nie zmieniaj tematu – powiedziała – nie jest aż tak zimno.

– No, przecież już mówiłam, tancerki urządziły dla mnie przyjęcie, zaprosiłam Cristiána i pożegnałam się z nim.

Dorota prychnęła i wywróciła oczami.

– To wersja dla pensjonarek – zganiła Mariannę. – Mów, jak było. Płacz i dramat?

– Żaden dramat, niestety. Przynajmniej się przekonałam, że dobrze robię.

– Nie rzucił się na kolana, żeby cię powstrzymać? – dopytywała Alicja.

– Och, to by było coś – westchnęła Marianna. – Ale chyba aż tak mu nie zależało na naszej znajomości.

Przyjął moje smętne tłumaczenia, powiedział, że mam rację – i do widzenia.

– Do widzenia? – zdziwiła się Dorota. Sięgnęła po talerz z niedokończoną sałatką i zanurzyła widelec w kawałku tuńczyka.

– Mniej więcej tak właśnie to wyglądało – potwierdziła Marianna. – Wcześniej mnie pocałował – przyznała po chwili wahania.

– Aaaaaa! – Alicji rozbłyły oczy. – Czyli jednak! I nic się nie chwalisz?

– A czym się tu chwalić? Była między nami chemia, nie da się ukryć. Widocznie nie mógł się powstrzymać. Przynajmniej to dobre, będę miała o czym opowiadać wnukom. – Zaśmiała się gorzko. – Ale poważnie mówiąc... Miałam nadzieję, że mnie nie puści. Za łatwo się poddał. Myślę, że gdyby był bardziej stanowczy, tobym zmiękła. – Zamyśliła się. – A potem bym żałowała... Więc summa summarum jednak dobrze się stało.

– Dlahego byś hałowała? – wybełkotała z pełnymi ustami Dorota.

– Bo skoro nie zależało mu teraz, to może i w przyszłości nic by nie było z tego związku. A ja kwitłabym w Sewilli i traciła czas. Teraz przynajmniej wezmę się za siebie.

– Jaki plan? – zainteresowała się żywo Alicja. – Może przeprowadzka do Warszawy? Nie kusi cię?

– No pewnie, że kusi. Zresztą już rozmawiałyśmy. Myślę o Warszawie i o innych miastach, w których mogłabym otworzyć swoje cukiernie. Najpierw jednak muszę spotkać się z wujkiem i poważnie porozmawiać o tym, jak on widzi mój udział w interesach i do czego teraz mogę się przydać. Wstyd mi, że do tej pory byłam aż tak nieużyteczna.

– Bez przesady – wtrąciła Alicja. – Pracowałeś przecież w Polance, wymyślałeś nowe smaki, nowe kremy. Nie zapominaj, że opiekowałaś się w tym czasie schorowaną babcią. Nie dałabyś rady pracować pełną parą, mając tyle obowiązków w domu.

– Mogłam robić więcej. A robiłam tylko to, co było dla mnie przyjemne.

– Co w tym złego? – spytała Alicja.

– Może i nic. Jednak życie nie polega na samych przyjemnościach, czasem trzeba się wysilić, zmierzyć z problemami. Tylko tak można pójść do przodu.

– Racja. Ale weź pod uwagę, że trzeba chcieć iść do przodu i się rozwijać. Nie wszyscy ludzie mają taką potrzebę. Niektórym wystarczy, że życie upływa przyjemnie.

– Dopóki nie dostaną po dupie – zauważyła gorzko Marianna. – Ale wiecie co... – Uśmiechnęła się. – Najważniejsze, że jestem spokojna i o rodziców, i o babcię. Życie nie kończy się wraz ze śmiercią. To tylko przejście do kolejnego etapu podróży.

– Oczywiście – przytaknęła Alicja, patrząc na Mariannę z czułością. – Na pewno są gdzieś tam – wzniosła oczy do góry – szczęśliwi. Trzeba w to wierzyć.

– Ja nie muszę wierzyć. Ja to wiem. – Marianna uśmiechnęła się przebiegle. – Spotkałam ducha – dodała scenicznym szeptem.

Alicja i Dorota wymienili się spojrzeniami.

– Ducha swojej babci? – ostrożnie spytała Alicja.

– Eleny Fernandez. Wynajmowałam jej mieszkanie – wyjaśniła Marianna z uśmiechem.

– I nie chciała go opuścić? – wyrwało się Dorocie. – Straszyla cię?

– Straszyla! – parsknęła śmiechem Marianna. – Zaprzyjaźniłyśmy się. Właśnie dlatego pomogłam przeorganizować Carmen. W zamian Elena skontaktowała się z moją babcią. Taki układ.

– Taki układ... – powtórzyła odruchowo Alicja.

– I co dokładnie ci powiedziała? Jak tam jest? – zainteresowała się żywo Dorota.

– Nie ma się czego bać – odpowiedziała oględnie Marianna.

Alicja wzrokiem próbowała zmusić siostrę, żeby nie zadawała więcej pytań. Uznała, że jeśli Marianna wzmówiła sobie ducha, to najwidoczniej było jej to potrzebne. A skoro tak niezwykła terapia przyniosła

pozytywny efekt, to nie ma co drążyć, bo można tylko coś popsuć zbyt dociekliwym pytaniem.

– Co ci się stało? – zaafierowana rozmową o duchu Dorota nie rozumiała sygnałów Alicji. – Czemu tak się we mnie wgapiasz, jakbyś dostała wytrzeszczu? Przestraszyłaś się? – zachichotała.

– Coś mi wpadło do oka. – Alicja zamrugała kilkakrotnie. – Niepotrzebnie potarłam, może rzęsa.

– Pokaż. – Dorota nachyliła się do siostry.

– W łazience jest lepsze światło. – Alicja wstała. Palcem przyciskała powiekę, udając, że coś naprawdę mocno ją uwiera.

– Ta to zawsze coś sobie zrobi – westchnęła Dorota, wywracając oczami. Mimo to posłusznie poszła za Alicją.

Kiedy znalazły się w toalecie, Alicja spojrzała na Dorotę ozdrowiałymi nagle oczyma.

– Odczep się od tego ducha, idiotko – wycodziła szeptem.

– O co ci chodzi? Mnie to naprawdę interesuje. Przecież się nie wyśmiewam. Wypadła już rzęsa? – spytała Dorota, przyglądając uważnie Alicji.

– Nie rozumiesz? Marianna przeżyła wielką traumę, musi sobie jakoś z tym poradzić. Wymyśliła ducha i czuje się dzięki temu lepiej, to niech tak zostanie. Nie musimy drążyć. Duch to duch. Zadasz nietrafione pytanie, Marianna się zawstydy, że nie potrafi odpowiedzieć, i wszystko popsujesz. Ważne, że znalazła sposób, by uporać się ze stratą.

– Skąd wiesz, że wymyśliła? Może ta Elena naprawdę tam była? Mnie to ciekawi.

Alicja przygryzła wargi i zmierzyła Dorotę takim wzrokiem, że ta odruchowo stanęła na baczność.

– Okej, okej, niech ci będzie. Kiedy indziej ją o to wypytam.

Alicja potarła oko, żeby po powrocie zaczerwienienie wyglądało wiarygodnie. Marianna głąskała mruczącego kota, który oswoił się z nią już na tyle, że położył się jej na kolanach.

– Słodki mruczek – pochwaliła, drapiąc go za uchem.

– O czym to rozmawialiśmy? – podjęła Dorota, zajmując miejsce na krześle. – Ach, że weszłaś w układ i rozkręciłaś Carmen. – Ku zadowoleniu Alicji zgrabnie naprowadziła temat na inne tory. – Zmieniając brzydki bar w słodki raj Caramelo.

– I nawet miałam z tego frajdę – przyznała z uśmiechem Marianna. – Szczególnie kiedy moje babeczki zaczęły schodzić jak woda i pojawiły się pierwsze zyski.

– No, no. – Dorota gwizdnęła. – Nasza cukierniczka odkryła w sobie talent biznesowy.

– Niestety, w praktyce wszystko zależy od dnia. Czasem jest tłok, innym razem pustki, jak dawniej. Byłe Luisa z Juanitą trzymały się przepisów, to będzie dobrze.

– Że też chciało ci się im pomagać – powiedziała Alicja. – I tak miałaś dużo na głowie z powodu Rosy.

– Chciało się jej, bo weszła w układ – przypomniała delikatnie Dorota.

– Przyganiał kocioł garnkowi – Marianna wymownie popatrzyła na Alicję. – Dopiero co sama pomagałaś Konradowi rozkręcać jego knajpę.

– To akurat był pomysł Doroty – odparła Alicja.

– No i niestety nie byłam aż tak skuteczna jak ty – dodała kwaśno Dorota, zwracając się do Marianny.

– Zamknęli restaurację? – Marianna się zasmuciła.

– Prawie. Będą ją otwierać tylko w sezonie. Zmieniają wystrój na bardziej... hmmm... – Dorota się zawahała, usiłując znaleźć odpowiednie słowo. – Taki bardziej przyjazny gawiedzi...

– A poza sezonem?

– Poza sezonem to tylko śluby. Ewentualnie chrzciny, imprezy zamknięte i takie tam. Już raczej nie będzie koncertów jazzowych.

– Dorota przywiozła zdjęcie, o które prosiłaś – przypomniała sobie Alicja.

– Widziałas się z Konradem? – zainteresowała się Marianna.

– Nie, jego nie było. Dostałam od chłopaków. Prosilili, żeby cię pozdrowić...

– Dziękuję. A tak á propos. – Marianna spojrzała na Alicję. – Obiecałaś, że kiedy wrócę, wyjaśnisz mi, co między wami tak naprawdę zaszło. I dlaczego nie utrzymujecie kontaktu.

Alicja przygryzła usta. Podeszła do uchylonych lekko drzwi, dzielących salon od pokoju Matyldy, i upewniła się, że córka już śpi.

– Znów namieszała Dorota – westchnęła, siadając z powrotem na krześle.

– Nieprawda! – zaoponowała głośno Dorota, ale szybko umilkła, przypomniawszy sobie, że w pokoju obok śpi dziecko. – Nieprawda – wycedziła szeptem.

– Oczywiście, że prawda. To ty mnie namówiłaś, żebym zajrzała do piwnicy cioci Józefiny. I to ty nie mogłaś się potem oprzeć, żeby wyciągnąć od niej ziółka!

– No pewnie, teraz to wszystko na mnie – prychnęła Dorota. – Jakoś w innych sprawach nie mam na ciebie takiego wpływu – ironizowała.

– Jakie ziółka? – spytała Marianna.

– Miłosne – razem odpowiedziały Dorota i Alicja.

Marianna spojrzała na nie zdumiona.

– Nie wspominałyście, że macie takie dojścia – wybuchnęła nagłym śmiechem.

– Obowiązywała nas tajemnica. Wymóg cioci – wyjaśniła krótko Dorota.

– Dalej obowiązuje – uściśliła Alicja. – Więc ani mru-mru w Polance – podkreśliła, dając Mariannie do zrozumienia, że właśnie została dopuszczona do wąskiego grona wtajemniczonych.

– Potraktowałaś Konrada kroplą eliksiru? – Marianna zwróciła się do Alicji. W jej oczach wciąż rysowały się zdziwienie i niedowierzenie.

– A żeby to jedną – mruknęła kwaśno Alicja.



## Rozdział 29



Kostki lodu dźwięcznie uderzały o kryształ, kiedy Cristián poruszał szklanką. Czekał, aż się rozpuszczą i whisky będzie bardziej rozwodniona. Zazwyczaj pił bez dodatków, delektując się smakiem single malta. Tym razem jednak nie miał ochoty smakować. Chciał po prostu się napić.

Przyćmione światło w gabinecie pomagało zebrać myśli. Kolejny raz przejrzał raporty przedstawione przez księgowego. Wyglądały dobrze i wszystko wskazywało na to, że firma po utracie kapitana wróciła na dawne tory. Zgasił lampkę na biurku i podszedł do okna. Rześkie wieczorne powietrze przyjemnie chłodziło twarz. Przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń przed sobą, z nostalgią wspominając czasy, kiedy on i Chico, będąc małymi chłopcami, szukali w ogrodzie kryjówek. On jako starszy musiał mieć oko na brata i pilnować, żeby pielęgnowane przez mamę bujne oleandry nie zostały zniszczone podczas zabawy. To był dobry czas – pomyślał, szukając wzrokiem choć zarysu krzewów. Pamiętał, że za dnia dało się je zobaczyć z gabinetu. To był dobry czas, ponieważ jeszcze wtedy rodzice potrafili ze sobą rozmawiać, mama często się uśmiechała, a ojciec, zafascynowany korridą, zabierał synów na pokazy. Chico już wtedy był faworyzowany jako ten młodszy, ten mniejszy, ten słodszy, ale Cristiánowi to nie przeszkadzało. Rozumiał, że urodzony kilka lat później od niego brat ma prawo do szczególnego traktowania. Tyle że Chico szybko przyzwyczaił się do książęcej pozycji i z biegiem lat powiększał swoją strefę wpływu. Zgrabnie żonglował uczuciami matki, wykorzystując fakt, że ojciec, coraz bardziej skoncentrowany na pracy i życiu poza domem, oddala się od niej coraz bardziej. I dopiero problemy z synem przywodziły go z powrotem na łono rodziny, co skrzętnie wykorzystywała matka, przymykając oko na większość wybryków Chica. Im więcej sprawiał kłopotów, tym więcej było tematów do rozmów z mężem.

Tak to wyglądało z perspektywy Cristiána, jednak zdawał sobie sprawę, że to, co widział, mogło być tylko powłoką. Być może matka przeżywała rozpad rodziny bardziej, niż okazywała to na zewnątrz.

Odstawił szklankę i zamknął okno. Ten dom zawsze będzie przywoływał wspomnienia – pomyślał gorzko. W Barcelonie, gdzie mieszkał od czasu studiów, wszystko było inne. Jasne i pozbawione złych emocji. Podobnie było w Sewilli jeszcze kilka dni temu. Poza domem, na mieście, gdzie spędzał czas z Marianną. Ta dziewczyna tchnęła w niego nie tylko powiew świeżości, ale też życie, o którym dawno zapomniał. Uświadomiła, jak może być przyjemnie, kiedy człowiek się nie stresuje, nie denerwuje i nie musi użerać z wiecznie naćpanym i nachlanym dorosłym człowiekiem. Dotąd był przekonany, że jego powinnością jest opieka nad bratem, i nawet nie przyszło mu do głowy, żeby się spakować i wrócić do Barcelony. Skrupulatnie porządkował sprawy rodziców, ze szczególnym uwzględnieniem firmy ojca, żeby – w razie gdyby jemu coś się stało – Chico nie musiał martwić się o przyszłość. Tym samym, martwiąc się o brata, zepchnął w kąt własne potrzeby. Znajomość z Marianną okazała się uzdrowieniem. Jej słowa, że Cristián musi zajmować się bratem, choć pełne zrozumienia, niechcący ujawniły nieświadomą prawdę. Chico nie był niepełnosprawnym, który wymagałby szczególnej opieki. Nie



był też dzieckiem, które trzeba dopieścić i prowadzić za rękę, póki nie dorośnie. Rodzice zawsze tak go traktowali, a Cristián, przejmując ich sposób myślenia, tylko powielał schematy. Teraz zdał sobie sprawę, że zachowując się w ten sposób, nie tylko nie pomoże Chicowi, ale też przy okazji pograży siebie. Był wdzięczny losowi za to, że zesłał mu Mariannę. To dzięki niej otworzył oczy i spojrzął na życie z innej perspektywy. Mówią, że zakochany człowiek zdolny jest przenosić góry. Cristián nie potrzebował aż takich wyzwania. Wystarczyło, żeby odważył się przerwać chory układ łączący go z Chikiem.

Dopił whisky i poszedł do sypialni. Z dalszej części domu, którą zajmowali Chico i Amanda, słychać było głośną muzykę i śmiechy. Po dramatycznych dniach, podczas których Chico kolejny raz umierał i zmartwychwstawał, nie było już śladu. Piski Amandy wskazywały na to, że bawią się bardzo dobrze.

Cristián zamknął drzwi, zadowolony, że solidne drewno skutecznie wygłusza hałasy. Ciężko opadł na łóżko i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w sufit.

Trudno było mu pogodzić się z myślą, że Marianny nie ma już w Café Caramelo. Nie może wpaść do niej i wyciągnąć na drinka. Wciąż czuł smak jej ust i wielokrotnie odtwarzał w myślach ostatnie spotkanie. Powiedziała mu, że nie chce się w nim zakochać... Wyjaśniła powody. Nagły wyjazd nazwała ucieczką. W jej oczach widział wahanie i podskórnie wiedział, że gdyby tylko ją poprosił, gdyby uparł się, żeby nie wyjeżdżała, toby została. Ale nie byłaby szczęśliwa. Tęskniłaby za Polską i za rodziną, której fizycznie może nie było, lecz wciąż istniała we wspomnieniach i w miejscach, do których Mariannę ciągnęło. Nie da się żyć w rozkroku, kiedy nie jest się przekonany do nowego, a ze starym się nie pożegnało. Podobnie jak nie da się utrzymywać związku na odległość. Musiał przyznać Mariannie rację. Rozstanie, choć trudne, było im potrzebne. Zatrzymanie Marianny stanowiłoby przejaw egoizmu. Obydwoje musieli uporządkować własne życie. Bez tego uczucie szybko by zgasło, przygniecione natłokiem niezłatwionych spraw.

Dużo pomogła mu rozmowa z księdzem Martinezem, do którego pojechał nazajutrz po imprezie w Café Caramelo. I mimo że na początku trudno było się przyzwyczaić do tego, że mężczyzna wygląda dokładnie tak jak jego ojciec, to z każdą godziną rozmowy dystans między nimi malał. Okazało się, że więzy krwi są silniejsze, niż obydwaj sądzili. Były momenty, podczas których rozumieli się bez słów, a przecież spotkali się po raz pierwszy w życiu. Cristián docenił fakt, że ksiądz przyjął go z otwartymi ramionami – i ta otwartość przejawiała się też w zachowaniu. Naturalnie nawiązała się między nimi nić porozumienia i Cristián pozwolił sobie na szczerość, której potrzebował, by uporać się z męczącymi go emocjami i natłokiem myśli. Martinez okazał się pomocny. Nie dlatego, że był księdzem, ale dlatego, że był dojrzałym, mądrym człowiekiem, który nie oceniał, lecz pomagał znaleźć właściwy kierunek.

\*\*

W kuchni, mimo braku pomocy domowej, panował nadspodziewany porządek. Błaty były puste, zlew także, a w zmywarce dosuszały się naczynia. Cristián uruchomił ekspres i zaparzył kawę. Nie był głodny, ale mimochodem otworzył lodówkę i przez chwilę wpatrywał się w jej zawartość. Przebiegło mu przez myśl, że trzeba zrobić zakupy. Sięgnął po winogrona, ale zaraz je odstawił. Nie miał apetytu.

Spojrzął na zegarek. Dochodziła dziesiąta, Chico pewnie wciąż spał – rzadko wstawał przed południem – ale Cristián nie chciał tracić czasu i dlatego ruszył w stronę pokoju brata.

Nie musiał pukać. Drzwi były szeroko otwarte. Amanda malowała paznokcie, a Chico – wbrew obawom Cristiána – już nie spał. Szamotał się właśnie z zapięciem skórzanej motocyklowej kurtki.

– Wybierasz się gdzieś? – odruchowo zapytał Cristián.

– A co? Potrzebuję twojego pozwolenia?

– Musimy porozmawiać.

– No właśnie! – krzyknęła Amanda. – Musimy. Bo nie podoba mi się to, co się dzieje w tym domu.

– Niby co? – mruknął Chico.

– Nie będę za was sprzątała. Odkąd nie ma Alby, jest coraz gorzej!

– Alba odeszła, bo ciągle się jej czepiałaś – przypomniał Chico, który o dziwo doskonale sobie zdawał sprawę, jak do tej pory funkcjonował dom i jak funkcjonuje teraz. – Pracowała tu dwanaście lat. Musiała być zdesperowana, skoro uciekła z dnia na dzień. Niepotrzebnie ją wyzywałaś.

– Służby trzeba pilnować – prychnęła Amanda. – Musisz zatrudnić nową pomoc – zwróciła się do Cristiána. – I to jak najszybciej. Ktoś musi sprzątać i gotować – dodała władczym tonem.

– Sami sprzątajcie i gotujcie – odpowiedział spokojnie Cristián. – To nie jest tylko mój dom – zauważył. – A ja akurat nie korzystam z kuchni, stołuję się na mieście. Niepotrzebna mi kucharka.

– No pewnie! – zmierzwił się Chico. – Ciebie stać na to, żeby jeść na mieście. Oddaj mi moją kasę ze spadku, to i ja obędę się bez kucharki.

– Nie będę sprzątać! – krzyknęła ochryple Amanda. – Nie myślcie sobie, że zostanę waszą służącą! Dziś posprzątałam tylko dlatego, że będzie tu sesja zdjęciowa. Jutro już na mnie nie liczcie. – Wróciła do malowania paznokci.

– Jaka sesja? – zainteresował się Chico. Cristián wywnioskował z tego, że Amanda nie o wszystkim mu mówi. Albo on nie słucha.

– Zdjęciowa – powtórzyła dobitnie dziewczyna. – Ze mną w roli głównej. Przyjeżdża Karen, która prowadzi bloga kulinarnego i zaprasza do siebie różne osobistości. Będziemy piec ciasto w mojej kuchni.

– I zaprosiła ciebie? – parsknął Chico.

– To moja koleżanka.

– A ty wystąpisz jako kto? Osobistość?

– Tak, jestem osobistością. Zamierzam być aktorką. – Zamyśliła się. – Albo piosenkarką... Amanda Morales chyba lepiej brzmi jako piosenkarka...? – mruknęła bardziej do siebie niż do Chica.

– Osobistością! – prychnął Chico. – Chyba osobliwością – zakpił.

– Nie denerwuj mnie! Nie mogę się stresować, bo jestem w ciąży!

Chico zamilkł i spojrzał na Amandę z niedowierzaniem.

– Jesteś w ciąży???

Amanda podmuchała paznokcie, a potem jeszcze zamachała dłońmi, żeby szybciej wyschły.

– Nie jestem. Ale się wystraszyłeś, co? – zarechotała, ciesząc się z żartu.

– Idiotka. – Chico dopiął kurtkę.

– Zobaczymy, co powiesz, kiedy ukążą się moje zdjęcia na blogu Karen.

– Skończyliście już? – spytał Cristián.

– Jeśli przyjeździecie obydwaj, że nie będę za was sprzątać, to ja już skończyłam.

– A ja już leczę – poinformował Chico, zmierzając w kierunku drzwi.

– Stój. Musimy porozmawiać – powstrzymał go Cristián.

– Nie mam teraz czasu, zapisz się na audiencję. Tam jest moja sekretarka. – Brodą wskazał Amandę, która natychmiast zareagowała, rzucając w nim lakierem do paznokci. Na szczęście buteleczka była zamknięta.

– Znajdziesz czas – powiedział Cristián tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Siadaj. A ty – zwrócił się do Amandy – możesz w tym czasie posprzątać łazienki.

– Chyba sobie kpisz – prychnęła Amanda.

– Chcę powiedzieć, że byłoby miło, gdybyś wyszła. To rozmowa między mną a Chikiem. Sprawy rodzinne.

– Nigdzie nie idę. To ja czuвам przy nim, kiedy umiera w szpitalu, więc jestem mu bliższą rodziną niż ty.

Cristián spojrział na Chico, czekając, aż tamten zareaguje i poprosi narzeczoną o opuszczenie pokoju.

– O czym chcesz gadać? – spytał Chico. – Nie mam przed Amandą tajemnic.

Dziewczyna uniosła dumnie głowę, zadowolona z postawy Chica.

– Jesteśmy jednością – dodała, patrząc Cristiánowi w oczy.

– Okej, jak chcecie. Chico, może usiądziesz? – zaproponował. Sam przysiadł na jednym z designerskich foteli, które Chico sprowadził z Mediolanu dwa lata wcześniej i na których lubili siadywać rodzice podczas prawienia wykładów młodszemu synowi.

– Dziękuję, postoję. Byle szybko. I jeśli chcesz gadać o zasadach w domu, to daruj sobie. Będziemy puszczać muzykę tak głośno, jak nam się podoba. Jestem u siebie, to ty przyjechałeś i włazisz mi w drogę.

Cristián zignorował przytyk. Położył na stole plik kartek posegregowanych w oddzielnych koszulkach.

– Tu są dokumenty dotyczące firmy – wyjaśnił, pokazując pierwszą kupkę. – Bilanse, raporty, analizy, prognozy. Ja się wycofuję, teraz ty będziesz nią zarządzał, więc przejrzyj to. Na pewno się przyda na początek.

Chico zaniemówił. Patrząc z nieufnością na Cristiána, usiadł na fotelu obok i wziął do ręki koszulkę z dokumentami, sprawdzając, czy brat mówi prawdę. Amanda otworzyła usta i zastygła w bezruchu, nie odzywając się.

– Tutaj masz dokumenty domu – ciągnął Cristián, nie zważając na zdumione miny Chica i Amandy. – Oraz notarialne poświadczenie, że zrzekam się swojej części. – Podał kolejny plik kartek. – Zostawiam sobie dom w górach. Myślę, że nie masz nic przeciwko, i tak tam nie bywasz. Tutaj masz papiery dotyczące innych spraw, zapoznaj się w wolnej chwili. Aha, twoje pieniądze, zgodnie z wolą rodziców, są zablokowane, ale o tym wiesz. Dostaniesz je za rok. Dlatego sugeruję, żebyś zaczął pracę jak najszybciej. Musisz zarabiać, żeby wszystko utrzymać. W firmie już uprzedziłem o zmianach.

Oszołomiony Chico przeglądał każdy dokument. Ruchy miał powolne, a jego oddech stał się ciężki. Na czole pojawiły się kropelki potu. Nagle wstał, zdjął z siebie ciężką kurtkę i rzucił ją na łóżko. Chwycił dokumenty i ze złością zamachał nimi przed twarzą Cristiána. Kilka kartek wysunęło się z koszulek.

– Posrało cię? – wycedził, patrząc bratu w oczy. – Co ja mam z tym zrobić?

Cristián zachował spokój.

– Co chcesz – powiedział. – To twoje. I teraz tylko ty jesteś za to odpowiedzialny. Ja wyjeżdżam.

– Jesteś nienormalny. – Chico roześmiał się nerwowo. – Przecież ja w trzy dni rozpierdolę ten dom. Zrobię taką imprezę, że zostaną zgliszczą!

– Nie wiem, po co mi to mówisz – odrzekł spokojnie Cristián. – Jak chcesz rozpierdolić, to rozpierdalaj. To twój dom. Nic mi do tego.

– Kurwa! Co ty kombinujesz? Nie wierzę, że tak po prostu oddajesz mi dom, firmę, samochody i jeszcze gotówkę z sejfu!

– Nie kombinuję, Chico. Wolę oddać ci to wszystko i mieć spokój.

– Spokój! Zastrany egoista! – Chico wpadł w furję i zaczął nerwowo chodzić po pokoju, zaciskając pięści. – Matka się w grobie przewraca! Nie możesz mnie zostawić i po prostu wyjechać! Ty będziesz żył beztrudno w Barcelonie, a ja co? Mam użerać się z firmą?

– Wolisz ćpać i nie pracować?

– Nie twoja sprawa, co wolę.

– Masz rację, teraz już nie moja.

– Kurwa! Kurwa! Kurwa! – Chico uderzył pięścią we framugę drzwi. Amanda bez słowa siedziała na swoim miejscu, wciąż dmuchając w paznokcie, mimo że już dawno były suche.

– Chico – powiedział Cristián spokojnym tonem. – Przyjechałem, żeby ci pomóc i żeby ogarnąć sprawy po rodzicach. Nie mogę cackać się z tobą w nieskończoność. Nie mam na to ochoty. Jesteś dorosły i sam decydujesz o sobie. Nie chcesz iść na odwyk i się leczyć – twoja sprawa. Nie przyjmujesz mojej pomocy, buntujesz się, robisz po swojemu. Okej. To twoje życie. Ja mam własne.

– Pieprzony egoista – powtórzył Chico. Uderzenie pięścią spowodowało, że jego napięcie nieco opadło i przestał krzyczeć.

– Jestem spakowany, za chwilę będzie taksówka – poinformował Cristián, wstając i podchodząc do brata. – Może nie wierzysz, ale życzę ci wszystkiego najlepszego, Chico. – Wyciągnął dłoń. Chico zignorował ją i ostentacyjnie się odwrócił.

– Spierdalaj – wycedził przez zęby.

Cristián, nie patrząc na Amandę, ruszył w kierunku drzwi. Po chwili zatrzymał się jednak i zawrócił.

– Aha – powiedział. – Jeszcze jedno. Masz tu wizytówkę Norberta Martineza. Wiesz, kto to jest. Powiedział, że możesz do niego zadzwonić, jeśli będziesz potrzebował pomocy. – Położył karteczkę na stole, spojrzał jeszcze raz na brata, ale ponieważ Chico nie reagował, wyszedł z pokoju.

Wbrew wcześniejszym obawom nie czuł się źle, nie był zdenerwowany ani przybity.

Czuł się wolny.

\*\*

Amanda, odczekawszy kilka sekund, żeby mieć pewność, że Cristián się oddalił, podskoczyła do stojącego przy oknie Chica.

– Ja pierdolę, on zwariował – pisnęła podekscytowana. – Zwariował – zachichotała. – Ale to dla nas dobrze, Chico, to cudownie! – Klasnęła. – Słuchaj, ja już mam plan, już mi się wyrysował, nie musisz się o nic martwić – trąkotała. – Sprzedamy tę głupią firmę, po co nam ona? Na pewno jest sporo warta, pieniędzy starczy nam do czasu, aż odblokują ci spadek. Dżizas! Może nawet starczy na jacht! Nie mogę w to uwierzyć! Przecież dopiero co mówiłam, że marzę o miejscówce w Puerto Banús! Pamiętasz? To może dzięki moim myślom on zwariował? – zamyśliła się. – Powiedziałam do kosmosu, że chcę jacht – i kosmos spełnia moją prośbę. A ty, Chico, możesz sobie kupić lepszy motor. Będziemy nim jeździć na jacht. Może zrobimy dzisiaj imprezę, co? – spytała przymilnym tonem. – Ciekawe, ile jest tej kasy w seffie... Jak ten wariat już sobie pojedzie, to sprawdzimy. Nie mogę w to uwierzyć! Życie jest takie piękne! Co za dzień! I w dodatku dzisiaj mam sesję z Karen! Ale wiesz co... – Zmrużyła oczy. – On chyba nie jest taki głupi. Przecież w Barcelonie ma małe mieszkanie. To nie to samo co dom. Dlaczego ci go oddał? Może jest w tym jakiś haczyk? Może nas wydymał... Trzeba dokładnie wczytać się w te papiery... No, chociaż – zamyśliła się – ma pieniądze ze spadku, to pewnie kupi sobie większe. Ale i tak trzeba sprawdzić, czy nas nie oszukał. Jeśli oszukał, to osobiście polecę do Barcelony i wyrwę mu serce z gardła! – Zachichotała. – Z Amandą się nie zadziera! – krzyknęła buńczucznie. – Aż zgłodniałam z tego wszystkiego, może coś sobie zamówimy? I szampana! Koniecznie szampana! Dużo szampana!

– Spierdalaj – szepnął Chico.

Amanda otworzyła szeroko oczy i zaniemówiła.

– Chico, kochanie – roześmiała się po chwili. – To ja, hallo, to ja! Amanda, a nie Cristián!

Chico odwrócił się i wolno wypowiadając każde słowo, głośno wycedził:

– Wypierdalaj z mojego domu, idiotko. Już!



## Rozdział 30



Liście opadły z drzew i utworzyły na ziemi kolorowy dywan. Marianna wysiadła z taksówki i głęboko wciągnęła powietrze do płuc. Wreszcie była w domu.

Rozejrzała się po pustym Rynku, sycąc oczy znajomym widokiem. Nie przeszkadzało jej, że sołtys, jak zwykle, nie zadbał o to, żeby chociaż na skwerze przy studni zagrabić przywędłe liście. Nie przeszkadzało jej, że ustawione przed cukiernią stoliki, których zapomniała schować przed wyjazdem, upstrzone są ptasimi odchodami i zaschniętym, czarnym jak pył węglowy kurzem. Nic jej nie przeszkadzało. Było pięknie.

Wciągnęła powietrze jeszcze raz i przymknęła oczy. Usłyszała klóćące się gawrony, a chwilę potem dobiegł do niej dźwięk szczekających gdzieś w oddali psów.

Polanka. Moja Polanka – pomyślała z uśmiechem.

Z przepełnionej skrzynki wyjęła stertę listów, wśród których były zaległe rachunki oraz ponaglenia. Zauważyła również kartki z kondolencjami od dalszej rodziny. Wszystko schowała do torebki.

W domu było zimno, dlatego w pierwszej kolejności rozpałała w kominku, a następnie zeszła do kotłowni i włączyła piec, mając nadzieję, że nie będzie musiała odpowietrzać kaloryferów. Uderzyła ją ponura cisza. Przyzwyczajona do muzyki, zawsze obecnej w Café Caramelo, włączyła radio. Następnie sprawdziła, czy jest sygnał w telefonie. Był. Wybrała numer Alicji i poinformowała, że dotarła do domu cała i zdrowa. Zamieniły kilka słów, po czym Marianna, nucąc pod nosem płynącą z radia piosenkę, przeszła do kuchni. Wyjęła z torby słoiki z jedzeniem podarowane przez Alicję i włożyła do lodówki. Potem zaparzyła herbatę i zjadła kupione na dworcu batoniki. Mimo uciążliwej podróży nie czuła się zmęczona.

Dom wyglądał dokładnie tak, jak go zostawiła, ale teraz patrzyła na niego inaczej. Zdjęła z oparcia kuchennego krzesła fartuszek mamy. Wisiał tam nieruszany, odkąd rodzice umarli. Marianna nie miała odwagi przekładać ich rzeczy, żyjąc w złudnym przekonaniu, że kiedyś wrócą i sami zrobią z nimi porządek. Teraz złożyła fartuszek i schowała do szuflady. Wiedziała, że to dopiero początek, że czeka ją w domu dużo pracy, która wcześniej zdawała się ponad siły. Uśmiechnęła się, zauważywszy rozkładane kapcie taty stojące w salonie przy kominku. Były stare i dziurawe, ale uwielbiał w nich chodzić, tłumacząc, że po domu może chodzić, jak chce. Mama zawsze się śmiała z tych kapci.

Pora je w końcu wyrzucić – pomyślała Marianna. – Na co mi takie stare kapcie.

Nagle przypomniała sobie o zdjęciu, które Dorota zabrała z Angel's. To było jedno z ulubionych zdjęć Marianny. Rodzice uśmiechali się, patrząc w obiektyw, a w ich oczach rysowało się niekłamane szczęście. Victor Legrand, nachylony przy nich w zabawnej pozie, dął w saksofon. Fotograf doskonale uchwycił atmosferę radości i unoszącego się w powietrzu jazzu.

Marianna znalazła w walizce zdjęcie oprawione przez Dorotę w elegancką srebrną ramkę i ustawiła w centralnym miejscu na kominku. Uśmiechnęła się do patrzących z fotografii rodziców i ze zdumieniem

odkryła, że nie czuje już żalu do Victora o to, że feralnego dnia poprosił ich o podwiezienie do domu.

Pomyślała o Konradzie, obiecując sobie, że kiedyś się z nim spotka i przeprosi za te wszystkie niedorzeczne oskarżenia, które wysuwała w kierunku jego ojca. Przecież to nie była wina Victora, że zdarzył się wypadek.

Nagle zdrętwiała, usłyszawszy energiczne pukanie w drzwi od strony cukierni. Ostrożnie wyjrzała zza zalepca. Dopiero po chwili w okutanej grubą kurtką mężczyźnie rozpoznała Tomasza Bielawskiego, syna Zofii, będącej prawdopodobnie siostrą babci Marianny.

– Dzień dobry! – przywitał się, kiedy otworzyła. – Nie przeszkadzam?

– Proszę. – Gestem zaprosiła mężczyznę do środka. – Niedawno przyjechałam. A państwo są w Polance?

– Od wczoraj. To znaczy ja i mama, bo żona została w domu. Zatrzymaliśmy się w pensjonacie po drugiej stronie jeziora, bo w samej Polance nic nie ma. W Bibliotece niestety nie da się na razie mieszkać...

– A co państwa sprowadza? Zapraszam dalej, zaparzę herbatę. Dobrze pan trafił, bo jeszcze wczoraj mnie nie było.

– Próbowałem się do pani dodzwonić, ale telefon nie odpowiada.

– Zgubiłam. Zapiszę panu stacjonarny, a kiedy będę miała ponownie komórkę, to poinformuję.

– Wie pani... – Mężczyzna zdjął kurtkę i usiadł przy kuchennym stole. Marianna włączyła czajnik. – Dawno się nie widzieliśmy... Dużo ostatnio myślałem...

Spojrzała na niego, ciekawa, do czego zmierza.

– Szkoda, że nie zdążyliśmy przeprowadzić badań. Przykro mi z powodu śmierci pani babci... Chodzi o to, że... No, może i nie były siostrami, teraz już się tego nie dowiemy, ale moja mama naprawdę się męczy, wciąż szuka Marii. Psycholog podpowiedział, że może kiedy na własne oczy zobaczy grób, będzie spokojniejsza. I dlatego przyjechaliśmy. Pomyślałem, że jeśli pani się zgodzi, to powiem mamie, że pani babcia była jej siostrą. Pani babci już jest przecież wszystko jedno. – Zamilkł zmieszany. – Przepraszam, że tak mówię, źle to zabrzmiało... Ale możemy pomóc mojej mamie.

– Dobrze, że pan przyszedł. – Marianna załapał wrzątkiem sitko z herbatą i przykryła czajniczek pokrywką. – Tak się składa, że pana mama i moja babcia były siostrami.

– Skąd pani wie? Zrobiła pani badanie w tajemnicy przed nami?

– Nie robiłam. Po prostu wiem. Takie rzeczy się wie – wyjaśniła oględnie.

Mężczyzna nie wyglądał na przekonanego, ale ucieszyło go podejście Marianny.

– Dziękuję – powiedział. – Czyli możemy przyjść jutro na cmentarz, odwiedzić grób pani babci?

– Oczywiście. A może mielibyście państwo ochotę zatrzymać się u mnie, zamiast nocować w pensjonacie? Będzie mi bardzo miło, mam wolne pokoje, z przyjemnością was ugoszczę.

– Nie chciałbym sprawiać kłopotu.

– Żaden kłopot. Przecież jesteśmy rodziną. Po co macie wydawać pieniądze na pensjonat. U mnie jest miejsce. Ciocię położę w pokoju babci, a pana w sypialni u rodziców, tam jest bardzo wygodne łóżko. I proszę mi mówić po imieniu.

Mężczyzna zaniemówił, kiedy nazwała jego mamę ciocią. Nagle wstał i zbliżył się do Marianny.

– W takim razie mów do mnie wujku. – Podał jej dłoń, a następnie przyciągnął do siebie, objął i poklepał po plecach.

Marianna, nieprzyzwyczajona do czułości, najpierw zdrętwiała, ale po kilku sekundach odpowiedziała podobnym uściskiem.

– W pensjonacie dziwili się, że ktoś chce pokoje w tak niepopularnym terminie. Teraz się zdziwią, że ich opuszczamy – powiedział Bielawski z uśmiechem.

– Najwyżej pomyślą, że wariaci. Co to za różnica. – Marianna puściła oko. – Nie mamy wpływu na to, co o nas myślą inni. Ważne, co myślimy o sobie sami.

– Na pewno nie będziemy przeszkadzać?

– Na pewno. Zaraz przygotuję pokoje.

Kiedy mężczyzna pojechał po matkę, Marianna uśmiechnęła się do siebie, zadowolona, że wieczór spędzi w towarzystwie i dzięki temu nie będzie miała czasu, żeby rozmyślać o Cristiánie. Zastanawiała się, co u niego i czy nie próbował się z nią skontaktować na hiszpański numer. Jednak kiedy po przylocie do Warszawy zatelefonowała do Caramelo i rozmawiała z Teresą, ta nie wspominała, żeby ktokolwiek próbował się do Marianny dodzwonić.

Było jej przykro z tego powodu. Mimo wszystko sądziła, że Cristián choć trochę zatęskni. Jedną wiadomość z informacją, że o niej myśli, wystarczyłoby, żeby nie czuła się odrzucona. I choć to ona odrzuciła jego, to miała wrażenie, jakby było odwrotnie.

Zajrzała do lodówki, żeby sprawdzić, czy jedzenia przywiezionego od Alicji wystarczy dla trzech osób. Na szczęście przyjaciółka hojnie wypełniła duże słoiki i pudełka po lodach wędlinami, serami, a nawet zrobioną naprędce sałatką jarzynową i sporą porcją sałatki z tuńczyka. Oddzielnie zapakowała pieczywo, kilka pomidorów i dwa świeże ogórki.

Kochana Alicja – pomyślała Marianna z uśmiechem, oceniając, że jedzenia na kolację jest aż nadto.

Upewniwszy się, że kaloryfery zaczęły grzać, a w kominku nie brakuje drewna, poszła na górę, żeby przygotować pokoje dla gości. Na ostatnim schodku zatrzymała się i z czułością pogłaskała siedzisko schodowej windy zamontowanej na krótko przed śmiercią babci.

– Długo się nie nacieszyłaś windą, babciu – powiedziała na głos. – Ale nie martw się, nie pójdzie na zmarnowanie. Każę ją zdemontować i podaruję jakiejś potrzebującej osobie. Wózek też oddam, przecież nam się już nie przyda – dodała.

\*\*

Komendant wyjął z kieszeni kartkę z zapisaną przez Danę listą zakupów, ale zamiast wziąć koszyk i ruszyć na sklep, patrzył jak zaczarowany przez szybę. Marianna wróciła. I przyszedł do niej mężczyzna, zdaje się Bielawski, co Grzelak wywnioskował po posturze i specyficznej gestykulacji.

Wreszcie pojawił się wyczekany impuls i wyobraźnia ruszyła. Marianna będzie spiskować z Bielawskim, bo wspólnie pragną odzyskać dom – Bibliotekę. Sołtys też ma chrapkę na ten budynek i dlatego planuje zabić tych dwoje. Jednak ponieważ ludzie we wsi wiedzą o planach sołtysa związanych z domem, motyw byłby oczywisty i mężczyzna stałby się pierwszym podejrzanym. Dla niepoznaki morduje więc innych i wywozi ciała nad jezioro, żeby odwrócić uwagę od planowanej większej zbrodni. Trop będzie prowadził do wędkarza, który już przecież raz się przyznał.

Grzelak bohater co prawda zatrzymał wędkarza na czterdzieści osiem godzin w areszcie, więc facet nie może znaleźć kolejnego ciała, co będzie problemem dla sołtysa. Ale przecież posterunek wiejski nie jest prawdziwym więzieniem – pomyślał Grzelak autor i natychmiast wpadł na pomysł, że wędkarz ucieknie. Będzie chciał zbiec za granicę, jednak przypomniał sobie, że nad wodą zostawił bardzo drogie wędkę. Wróci po nie i wtedy natknie się na ciało.

Komendant uśmiechnął się do siebie zadowolony z przyływu weny i energii.

– Co tam, Gienek? – Bogdan, który przyglądał się zza lady komendantowi, nie wytrzymał. – Widzę, że radość serce ci rozpiera. Babeczka wróciła?

Grzelak spojrzał na sprzedawcę nieprzytomnym wzrokiem.

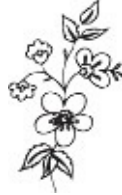
– Słucham? Jaka babeczka?



– No, nie bądź taki – Bogdan uśmiechnął się pod nosem. – Sam jestem chłop, nie musisz się mnie wstydzić. Wszyscy wiedzą, że z Danką życie masz ciężkie. A ta Marianna... No, no... Jest na co popatrzeć. Nie dziwota, że za nią tęskniłeś.

– A idź ty... – warknął Grzelak. – Jeszcze raz coś takiego usłyszę, a będę robił zakupy tylko u Wojtaszków – zagroził.

– U nich nie ma takiego wyboru jak u mnie. – Bogdan parsknął śmiechem. – I nie ma takiego widoku na cukiernię. – Puścił oko.



## Rozdział 31



Zamszowe szpilki, które Alicja włożyła na spotkanie z prawniczką, mocno uwierały. Były nowe i jeszcze nierozchodzone, ale chciała wyglądać elegancko, jak przystało na prawdziwą bizneswoman. Spotkały się w restauracji znajdującej się na terenie modnej warszawskiej hali Koszyki. Alicja lubiła umawiać się tam na spotkania, ponieważ w lokalu, który wynajęła z przeznaczeniem na galerię, wciąż trwał remont uniemożliwiający przeprowadzenie spokojnej rozmowy.

Prawniczka właśnie coś tłumaczyła, wskazując na jeden z paragrafów. Kręciła przy tym niewidzialne kółka skuwką długopisu. Omawiały umowy, które będą zawierane z artystami. Alicja zdawała sobie sprawę, że to bardzo ważne, jednak z powodu uciskających ją butów nie mogła się skupić. Miała ochotę zsunąć je pod stołem i dyskretnie rozmasować stopy, ale bała się, że po skończonym spotkaniu nie da rady ich z powrotem włożyć.

– Pani Alicjo. – Radczyni postukała długopisem w kartkę. – Czy słyszała pani, o co pytam? Mam wrażenie, że jest dziś pani nieobecna.

Alicja ocknęła się, podsuwając nogi pod krzesło, i spojrzała na prawniczkę. Była to zadbana, około pięćdziesięcioletnia kobieta, z modnie ostrzyżonymi blond włosami i nienaturalnie dużymi ustami. Dyskretny makijaż nie rzucał się w oczy, a nasunięte na nos markowe okulary dodawały jej twarzy dystyngowanego sznytu. Alicja już wcześniej dostrzegła, że kobieta ubrana w elegancki komplet, który składał się z granatowych spodni i żakietu, także ma na sobie wysokie szpilki. Może jej też jest niewygodnie – pomyślała – a nawet jeśli nie odczuwa dyskomfortu, to z pewnością zrozumie cierpienie drugiej kobiety.

– Rzeczywiście, trochę się rozproszyłam – powiedziała przepaszającym tonem, nachylając się do prawniczki. – Będę szczerą. Buty mnie uwierają.

Radczyni odruchowo zerknęła w dół, odszukując wzrokiem obuwie Alicji. Nieznacznie uniosła brwi, po czym wzruszyła ramionami.

– Ja nie mam takich problemów – powiedziała oschle. – Możemy kontynuować?

– Tak, przepraszam – odparła zmieszana Alicja. Czuła się jeszcze gorzej. Teraz zastanawiała się, dlaczego kobieta uniosła brwi na widok jej butów. Czyżby w jej ocenie były nieodpowiednie albo brzydkie? Albo wyglądały zbyt tanio lub – co gorsza – nie pasowały do ubrania?

– Czy wynagrodzenie należne artyście planuje pani wypłacać mu bezpośrednio po transakcji, na przykład w terminie do dwóch tygodni, czy dostanie on skumulowaną kwotę od wszystkich sprzedanych obrazów swojego autorstwa? Na przykład raz w roku? Jak pani to widzi?

Alicja westchnęła.

– Przepraszam, jednak zdejmę buty. – Schyliła się, nie czekając na reakcję prawniczki. Pewnie znowu uniosła brwi, ale Alicji było już wszystko jedno. Płaciła tej kobiecie za konsultacje tak dużo, że minuty myślenia o butach były zbyt cenne, żeby je tracić.

W mieszkaniu unosił się zapach cebuli. Basia i Janusz spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

– Oszczędzasz na jedzeniu? – spytała Basia, patrząc na Alicję zażwawionymi oczami. – Rozumiem, że przyjęłaś restrykcyjną zasadę i do czasu, aż galeria nie będzie przynosić zysków, zamierzasz żywić się ziemniakami i cebulą?

– Może to nie byłby taki zły pomysł – przyznała Alicja. – Ale akurat teraz robię syrop dla Matysi. Już kilka ładnych tygodni wytrzymała bez przeziębienia, a teraz przyplątał się jakiś kaszel i ból gardła. Gorączki na razie nie ma. Mam nadzieję, że zdąży się wykurować do otwarcia galerii.

– Dlaczego na kaloryferze? – zainteresował się Janusz, obserwując, jak Alicja podchodzi do kaloryfera i sprawdza, czy posypana cukrem cebula puściła już sok.

– W piecyku nie umiem dobrać temperatury i cebula się piecze. Tu jest idealnie. Matyldzie smakuje, może miałbyś ochotę spróbować?

– Dziękuję. Gardło mam zdrowe. Masz może colę?

– Fuj! – Alicja się wzdrygnęła. – Nie mam. Ale mam zieloną herbatę jaśminową.

– Fuj! – wzdrygnął się Janusz.

– Dorota przyjedzie? – spytała Basia, sadowiąc się przy stole zastawionym przekąskami.

– Powinna już być – powiedziała Alicja. – To czego się napijecie? Coli nie mam, ale są woda gazowana i sok pomarańczowy.

– Niech będzie woda. – Janusz podszedł do stołu i otworzył butelkę.

– Dla mnie kawa z mlekiem – zdecydowała Basia. – Można się poczęstować? – spytała, sięgając po apetycznie wyglądające tartinki z łososiem.

– Pewnie! Smacznego, wszystko sama robiłam – pochwaliła się Alicja.

– Uwielbiam te nasze spotkania zarządu. – Janusz się roześmiał.

Dorota przyjechała spóźniona o pół godziny. Nie była współniczką, ale aktywnie pomagała w tworzeniu galerii. Jako pracownica agencji reklamowej miała dużo kontaktów w mediach i zobligowała się, że ściągnie na otwarcie galerii zarówno zajmujących się kulturą dziennikarzy, jak i celebrytów lubiących się lansować na znawców sztuki.

Kiedy weszła do mieszkania, zmarszczyła nos.

– Syrop z cebuli – oceniła po zapachu. – Nie mogłaś się powstrzymać do czasu, aż wyjdziemy?

– Niestety. Do rana muszę tego naprodukować tyle, żeby mama miała czym poić Matysię.

– O proszę, minął jej foch? Przyjedzie zająć się wnuczką?

– Nawet się ucieszyła. Nie puszczę Matyldy do szkoły, bo za bardzo męczy ją kaszel. A ja mam jutro kolejne spotkania.

– Dzień dobry państwu. – Dorota przywitała się z Basią i Januszem. – I przepraszam za spóźnienie. Korki.

Basia zabawnie wywróciła oczami, dając do zrozumienia, że wybaczą spóźnienie, ale w wieczorne korki nie wierzą. Dorota usiadła przy stole i sięgnęła po ryżową kulkę.

– Pycha – pochwaliła. – No dobrze, do roboty. Przywiozłam projekt zaproszeń, proszę o akceptację, bo jutro będziemy drukowali i od razu trzeba rozsyłać. I tak zbyt późno się do tego bierzemy. Zostały niecałe trzy tygodnie, zaproszenia powinny być wysłane przynajmniej miesiąc wcześniej.

– Spokojnie – powiedział Janusz. – Papierowe zaproszenia to przecież tylko formalność, większość osób i tak już została zaproszona osobiście albo telefonicznie.

– W sumie racja – przyznała Dorota. – Niemniej dobrze by było, gdyby dotarły do zainteresowanych wcześniej.

– Udało ci się porozmawiać z kimś ważnym? – spytała Alicja.

– A udało się. – Dorota cmoknęła z zadowoleniem. – Mój urok i czar osobisty są tak zniewalające, że przyjdzie aż dwóch dziennikarzy.

Alicja i Basia spojrzały po sobie, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. Spodziewały się przynajmniej dziesięciu.

– Co tak patrzycie? Myślicie, że tak łatwo jest kogoś namówić na napisanie relacji z otwarcia jakiejś tam galerii w mieście, gdzie codziennie coś się dzieje?

– Jakiejś tam galerii... – westchnęła Alicja.

– Nooo, kochana. – Dorota pokręciła głową. – Więcej entuzjazmu. Dla ciebie to jest najwspanialsza galeria świata, dla mnie też, ale dla dziennikarzy, którzy bywają w o wiele bardziej atrakcyjnych medialnie miejscach, to raczej żadna frajda.

– Napiją się wina – zauważył Janusz.

– I zjedzą. Przecież planujemy niezły catering – dodała Basia.

– Fiu, fiu. – Dorota gwizdnęła. – I uważacie, że to wystarczy. Wszędzie są catering i wino. Ba! Na tego typu imprezach alkohol leje się strumieniami. A poza tym dziennikarze dostają gifty.

– Są przekupywani? – zdziwiła się Basia.

– A tam, zaraz przekupywani. Prezenty dostają. Naprawdę na mieście tyle się dzieje, że firmy organizujące eventy, otwarcia, premiery prześcigają się w pomysłach, żeby tylko zostać zauważone.

– O Boże, przecież nie będziemy im dawać obrazów... – zmartwiła się Alicja.

– Nic dla nich nie mamy oprócz dobrej atmosfery i wina. Dlatego ciesz się, że udało mi się załatwić dwóch. W dodatku nie byle jakich. Naprawdę sukces. – Dorota się uśmiechnęła.

– A celebryci? Znalazłaś jakichś aktorów?

– Jeszcze nad tym pracuję. – Dorota skrzywiła usta. – Okazuje się, że otwarcie galerii nie leży w sferze zainteresowań naszych celebrytów, tak jak otwarcie sklepu na przykład. Ale nic się nie martw, załatwię kilka znanych twarzy. No i fotografa też mam, w dobrej cenie.

– O tym nie pomyśleliśmy – przyznał Janusz.

– Bo od tego jestem ja – powiedziała stanowczo Dorota. – Zdjęcia z otwarcia muszą być. I to dobre zdjęcia. Umieścimy je na stronie internetowej i na fanpejdżu na Facebooku. Najpierw trzeba go zrobić. Alicja – zwróciła się do siostry – dobrze by było, gdybyś też otworzyła sobie profil, żeby zarządzać fanpejdżem. To nic trudnego. Trzepniesz fotkę artyście, zamieścisz, dasz informację, no wiesz.

– O Boże, nigdy tego nie robiłam.

– Najwyższa pora.

– Kiedy przyjadą obrazy? – spytała Dorota.

– Lada dzień. Wszyscy są w gotowości, porozsyłałam już umowy, czekam, aż wrócą podpisane. Obrazy można będzie wieszać w przyszłym tygodniu.

– Mam znajomą w telewizji – powiedział nagle Janusz. – Jest producentką w programie śniadaniowym.

– I nic się nie chwaliłeś? Janusz! – zganiła Dorota. – Wiesz, jaką śniadaniówki mają oglądalność? Człowieku, natychmiast do niej dzwoń. Niech przyjadą, nakręcą, mogą też zaprosić Alicję do studia, przecież wstydu nie będzie.

Janusz odchrząknął.

– No nie wiem tylko, czy Basia się zgodzi.

Basia popatrzyła na męża zdziwiona.

– Ojej – skrzywiła się Dorota. – Zaproponowałam Alicję do telewizji, bo ona zna się na sztuce, wiedziałaby, co mówi, ale jeśli Basia chciałaby sama pójść...

- No co ty – obruszyła się Basia – jeszcze mnie tam brakowało. Nie wiem, o co mu chodzi z tą zgodą.
- Spojrzała na Janusza pytająco.
- Chodzi o to... – Janusz zawahał się przez moment. – No, po prostu ta znajoma...
- Co z nią? – spytały chórem Alicja i Dorota, a Basia nagle zbladła.
- Chyba nie chcesz powiedzieć, że macie romans? – spytała ostrożnie.
- Basiu! Też masz pomysły! – ofuknął żonę Janusz.
- Błagam, tylko nie krzyczcie. Matylda ogląda bajki, wolę, żeby nie słyszała kłótni.
- Nie mam żadnego romansu – zapewnił szybko Janusz. – Ale kiedyś miałem. Kiedyś... Dawno temu. To moja była dziewczyna. Pierwsza miłość, że tak powiem, jeszcze z liceum.
- To skąd wiesz, że pracuje w telewizji? – Basia spytała podejrzliwie. – Producentów na wizji przecież nie widać. Śledzisz jej poczynania? Dalej ją kochasz?
- Zgłupiałaś? Wcale jej nie śledziłem. Spotkaliśmy się przez przypadek w zeszłym roku. Przyszła do mnie, do urzędu, jako petent.
- I tak od razu ją poznałeś? Nic się nie zmieniła od liceum? Ciekawe... – zadumała się Basia.
- Poznałem ją po nazwisku.
- Panna?
- Rozwódka. Wróciła do panińskiego.
- Ładna?
- Nie taka ładna jak ty, Basieńko. – Janusz pogłaskał żonę po dłoni. – Kiedyś mi się podobała, ale teraz już nie. W oczach ma takie dziwne coś – powiedział, nie precyzując. – Dobrze, że się rozstaliśmy, nie wytrzymałbym z tą babą. I taka roszczeniowa się wydaje... Okropna. Nie to co ty, śliczna, pogodna, dobra i taka... jasna. Ona niby też blondynka, ale ciemność jej z oczu bije. Mrok taki dziwny jakiś...
- Basia się uśmiechnęła.
- No... skoro może się nam przydać, to zadzwoń do niej jutro. Wyrażam zgodę.

\*\*

Lista osób, do których należało wysłać zaproszenia, była długa, ale Alicja cierpliwie adresowała koperty. Mimo że Dorota sugerowała, żeby zrobić to w komputerze, Alicja uznała, że odręczne pismo nada zaproszeniom bardziej osobisty charakter. Modliła się, żeby frekwencja dopisała. Nie miała złudzeń i nie marzyła o tym, że goście pierwszego dnia wykupią wszystkie obrazy, ale liczyła na to, że część z nich szepnie słówko o galerii znajomym i być może wkrótce znajdą się klienci. Zdawała sobie sprawę, że rynek sztuki jest trudny, jednak miała nadzieję, że atrakcyjne ceny obrazów młodych twórców skuszą tych, którzy nie zdecydowaliby się nigdy na dzieło znanego malarza właśnie z powodu kosztów. Poza tym wierzyła, że termin otwarcia galerii, który przypadał przed mikołajkami i świętami Bożego Narodzenia, okaże się dla gości idealną okazją do sprawienia bliskim niesztampowego, wyjątkowego prezentu.

Potarła dłonią oczy. Po całym dniu obfitującym w rozmowy telefoniczne i spotkania adresowanie kopert okazało się zajęciem zbyt monotonnym, żeby nie przysypiać. Uparła się jednak, że wyśle zaproszenia jeszcze tego samego dnia, po drodze do domu. Basia, która miała po południu przyjechać do galerii, żeby w tym pomóc, ugrzęzła w korku i Alicja zaproponowała, żeby się cofnęła, zamiast wjeżdżać do centrum.

Ostatnią kopertę Alicja długo trzymała w dłoniach, oddalając ją i przybliżając do oczu, żeby ocenić, czy charakter pisma wygląda dobrze. W środku znajdowało się zaproszenie dla Konrada. Na kopercie umieściła adres jego wrocławskiej firmy, który znalazła w internecie. Po dłuższym zastanowieniu uznała, że dobrze byłoby wysłać je także do Polanki, żeby mieć pewność, że Konrad na pewno je dostanie,

niezależnie od tego, w którym miejscu akurat przebywa.

Wahała się, czy nie włożyć do koperty także liściku z przeprosinami za swoje zachowanie i odrzucanie połączeń od Konrada po ich rozstaniu w Polance. Ostatecznie uznała jednak, że zaproszenie na otwarcie galerii będzie dla niego wystarczającym sygnałem, że pragnie go przeprosić.

Rozmasowała sobie kark. Za oknem rozpętała się ulewa, powodując jeszcze większe korki na ulicach niż zazwyczaj o tej porze. Zatelefonowała do mamy, by dowiedzieć się, czy wszystko w porządku i czy Matylda nie dostała gorączki. Okazało się, że dziewczynka nadal kaszle, jednak ból gardła nieco ustąpił. Mama nie dopytywała, o której Alicja wróci do domu. Niespodziewanie wykazała się wyrozumiałością dla jej nowych obowiązków i nawet wpadła na pomysł, że na otwarcie galerii przyprowdzi sąsiadów, być może skuszą się na jakiś obraz. Kiedy to mówiła, Alicja zastanawiała się, czy matka przypadkiem nie nawdychała się za bardzo cebuli. Takie zachowanie było do niej niepodobne. Szczególnie że jeszcze rano, kiedy przyjechała opiekować się Matyldą, rzuciła mimochodem, iż robi to tylko dla wnuczki.

Teraz szczebiotała jak najęta, głośno się zastanawiając, w co właściwie powinna się ubrać na takie wydarzenie. Utyskiwała, że zostało niewiele czasu, a ona tak bardzo nie lubi chodzić po sklepach jesienią, kiedy w przymierzalni trzeba najpierw ściągnąć z siebie stertę ubrań, żeby cokolwiek przymierzyć.

– Mamo... – Alicja roześmiała się w głos. – Naprawdę się zastanawiasz, co na siebie włożyć? Myślałam, że będzie ci wszystko jedno, nie pałałaś euforią, kiedy mówiłam o swoich planach.

– Dalej uważam, że marnujesz talent. Ale otwarcie to otwarcie. Nie sądziłam, że o twojej galerii będzie tak głośno.

– Jak głośno?

– W radiu dzisiaj mówili – cieszyła się matka.

– Naprawdę? Ale może o jakiejś innej galerii, nasza przecież jeszcze nie działa.

– A gdzie tam o innej, o twojej. Specjalnie zgłosiłam i kazałam Matyldzie przestać kaszleć. Mówili, że na mapie Warszawy otwiera się wkrótce nowe, ważne kulturalnie miejsce. Galeria Albaja! – zapiszczała niczym nastolatka, która spotkała właśnie Justina Biebera. – I podali adres – dodała z dumą.

Alicja zaniemówiła z wrażenia. Wiedziała, że to robota Doroty. W duchu przyznała siostrze rację. Dwóch, ale za to zaangażowanych dziennikarzy to większa zdobycz niż dziesięciu niepasjonujących się sztuką.

– Czuję w kościach, że będzie sukces – ekscytowała się mama po drugiej stronie słuchawki.

Alicja też to czuła.

Rozmowa z mamą, tak inna od dotychczasowych, dodała jej nowej energii. Nagle przestała odczuwać zmęczenie i nawet deszcz, który zazwyczaj potęgował u niej uczucie senności, teraz wydawał się witalny.



## Rozdział 32



Kiedy człowiek ma wiele do zrobienia, czas złośliwie przyspiesza. Nagle doba staje się za krótka, a godziny zwyczajowo przeznaczane na sen zaczynają się kurczyć.

Pierwsze jupitery w galerii Albaja rozbłysły trzy dni przed otwarciem. Spektakularne nowoczesne lampy – które kosztowały majątek, ale zgodnie z sugestią projektantki były tu niezbędne – prezentowały się znakomicie. Nie tylko stanowiły dopełnienie wnętrza, którego wystrój z założenia miał być surowy i oszczędny, ale też dawały doskonale światło, co było o tyle ważne, że żaden obraz nie pozostawał w cieniu.

Janusz z niemym zachwytem przechadzał się wzdłuż ścian, z bliska przyglądając się zawieszonym na nich dziełom. Basia z ołówkiem w ręku planowała ustawienie stołów, które miały zostać dostarczone przez firmę cateringową. Alicja, zamknięta w niewielkim pokoiku pełniącym funkcję biura, wisiała na telefonie, dogrywając ostatnie szczegóły. Naprzeciwko niej, z nogami założonymi na biurko, siedziała Dorota, stukając wiadomości w komunikatorze i uśmiechając się pod nosem.

– Zabierz te giry! – fuknęła Alicja, ale Dorota nawet nie podniosła wzroku znad telefonu. Alicja łokciem uderzyła w obutą stopę siostry.

– Co jest? – Dorota się ocknęła.

– Zabieraj nogi z biurka.

– Buty są czyste. I ładne, przyznaj sama.

– Miałaś przejrzeć naszą stronę i wniesć swoje uwagi, a siedzisz od godziny i tylko maślisz oczy do telefonu.

– A co ty taka nerwowa?

– Bo za trzy dni otwarcie, a dwóch kretynów nie odesłało umowy. Dostarczyli obrazy, ale bez dokumentów. Czy ludzie naprawdę nie rozumieją, że to ważne?

– Artyści. – Dorota wzruszyła ramionami.

– Firma, która miała nam okleić drzwi wejściowe, też się spóźnia, a projekt dostali tydzień temu – ciągnęła Alicja.

– Zdążą, wyluzuj.

– Łatwo ci mówić. Mnie się wydaje, że spraw nagle przybyło. Przez pół nocy dopieszczałam katalogi, żeby rano wysłać poprawki do grafika.

– Na kiedy mają wydrukować?

– Na wczoraj.

– Powinnaś się wyspać, wyglądasz jak zjawka. – Dorota zmieniła temat.

– Dziękuję za komplement. Rzucisz okiem na stronę? Bardzo cię proszę.

Dorota niechętnie odłożyła telefon.

– Mnie się wydaje, że już jest w porządku – powiedziała Alicja – ale Basia uważa, że powinniśmy

zmienić tło.

– Białe jest dobre – oceniła Dorota. Zwinnie operując myszką, otwierała zakładki i kiwała głową. – Wszystko gra, nie ma co poprawiać. I tak w praktyce zobaczysz, czego jeszcze brakuje, może dodać zakładkę „prasa o nas” albo coś w tym stylu.

– Skany artykułów, jeśli się jakiś ukaże, zamierzałam wrzucać do aktualności.

– Okej. Na początek może być. Słuchaj... – Zamyśliła się. – Obrazy są moim zdaniem dobrze opisane, ale myślę, że warto też stworzyć oddzielną zakładkę dla autorów. Kogoś może interesować, kto je namalował, a nie wszyscy mają czas, żeby szperać w internecie.

– Masz rację.

– Dla zwykłego Kowalskiego to bez różnicy, ale skoro macie ofertę inwestorską, to ja akurat jako inwestor obserwowałabym malarza, jak się rozwija, czy staje się popularny i tak dalej.

– No pewnie. Zrobimy taką zakładkę, już piszę do Darka. – Alicja otworzyła skrzynkę e-mailową. – Będę musiała poprosić malarzy, żeby przysłali swoje notki biograficzne.

– I zdjęcia – dodała Dorota. – Ale myślę, że z tym nie musisz się spieszyć, można to uzupełnić w dowolnej chwili. Jak tam Matylda? Wróciła już do szkoły?

– Mówiłam przecież. Matylda jest u rodziców. Lekarz przepisał jej antybiotyk i już jest okej, ale do szkoły idzie dopiero w poniedziałek.

– No tak – przypomniała sobie Dorota. – Gadałyśmy... Sorry, zakręcona jestem.

– Widzę. Domyślam się, że romans się rozwija. Przyrowadzisz go ze sobą na otwarcie?

– Kogo? – Dorota uniosła wzrok znad telefonu, na którym znów zaczęła intensywnie coś pisać.

– Profesorka.

Dorota przez chwilę patrzyła na Alicję nieprzytomnym wzrokiem, jakby usiłowała przypomnieć sobie, o kim jest mowa.

– Aaaa... – Roześmiała się nagle. – Nie chodzę już na angielski. Już wystarczająco pokonwersowałam.

– Nie pytam przecież o naukę języka.

– I właśnie odpowiadam. Artur to przeszłość. Owszem, był przystojny, nie mogę powiedzieć, całował też nieźle... ale ogólnie brakowało mu ikry. Coś nie zagrało...

– To z kim tak piszesz?

Dorota uśmiechnęła się rozanielona.

– Z Patrykiem.

\*\*

We Wrocławiu spadł pierwszy śnieg, ale w Warszawie wciąż panowała typowa jesienna aura. Marianna, ubrana w długi karmelowy płaszcz, wsiadła do jednej ze stojących pod dworcem taksówek. Za kierownicą siedziała kobieta i Marianna zastanawiała się, jak w języku polskim brzmi damski odpowiednik kierowcy i taksówkarza. Kierowczynie? Taksówkarka? Podzieliła się swoimi refleksjami z kobietą.

– Nie mam pojęcia – odparła tamta. – Jak ktoś pyta, to mówię, że jeżdżę na taryfie. Albo że jestem kierowcą taksówki. Taksówkarka głupio brzmi.

– Można byłoby się przyzwyczaić – powiedziała Marianna.

– Słyszałam o dziewczynie, która jeździ tirem. Chyba jedyna w Polsce. Wie pani, jak ją nazywają?

– No tak.

– To już wolę męskie formy. Zresztą mnie nieszczególnie to przeszkadza. A pani jaki ma zawód?



– Jestem... cukierniczką.

Obydwie wybuchnęły śmiechem.

– To musi mieć pani słodkie życie – powiedziała po chwili kobieta i nagle tak ostro skręciła, że Mariannę aż zarzuciło. – Przepraszam, zagapiłam się.

– Nie szkodzi. Żyję. A co do słodkiego życia, to... no cóż... – Marianna westchnęła. – Jest różnie... Życie bywa trudne, ale nawet po tych najbardziej gorzkich chwilach w końcu przychodzi osłodzenie. Tylko trzeba uzbroić się w cierpliwość.

– Czekolada podobno pomaga na smutki.

– Na smuteczki. Większe smutki trzeba w sobie podgotować, pomieszać, doprowadzić do wrzenia, a kiedy wreszcie ostygną i stężeją, wylać je z siebie. – Marianna się uśmiechnęła. – To procedura, która wymaga czasu, nie da się uśmierzyć prawdziwego smutku kostką czekolady.

– Co racja, to racja. Cholera, korek. – Kobieta się skrzywiła, zauważywszy, że za światłami, przed mostem, wije się sznur samochodów. – Godziny szczytu. Nawet nie mam jak objechać.

Zamilkły. Marianna wpatrywała się w miasto, które o tej porze mieniło się kolorami. Na witrynach niektórych sklepów migwały już bożonarodzeniowe lampki i ozdoby, mimo że dopiero kończył się listopad. Naszła ją myśl, że gdyby otwierała w Warszawie cukiernię, to na pewno w centrum, gdzie przechodniów jest zdecydowanie najwięcej.

Nie знаła tego miasta, podczas studiów bliżej jej było do Londynu i Madrytu niż do Warszawy. Ta stolica zdawała się ponura i pozbawiona charakteru. Spośród polskich miast Marianna najbardziej lubiła Wrocław, w którym z uwagi na miejsce zamieszkania i cukiernicze interesy rodziców bywała najczęściej. Tam miała swoje ulubione uliczki i knajpki, jednak brakowało jej przyjaciół. Z powodu podjęcia studiów za granicą wcześniej zbudowane relacje szybko się rozluźniły, a potem odeszły w zapomnienie. Dlatego uważała, że nie da się budować na odległość nie tylko związku, ale także przyjaźni.

Taksówka stanęła przed rondem de Gaulle'a i czekała na zmianę świateł. Marianna zamyśliła się nad ideą postawienia tu olbrzymiej sztucznej palmy. Właśnie miała o to zapytać, kiedy z radia popłynęła piosenka. Marianna zdrętwiała.

– Czy mogłaby pani zmienić stację? – spytała.

– Przeszkadza pani muzyka? Mam ściszyć?

– Przełączyć. Nie znoszę tej piosenki. Kobieta usłużnie spełniła jej prośbę. Marianna podziękowała.

Nie tłumaczyła tekstu tej piosenki, choć w internecie na pewno znalazłaby jakiś przekład. Jednak nie miała ochoty, nie widziała takiej potrzeby, temat Cristiána uznała za zamknięty. Mimo to, choć nie znała francuskiego, kojarzyła, że *paroles* znaczy „słowa”.

A słowa, które nie mają potwierdzenia w czynach, nie znaczą nic – pomyślała. Mężczyźni lubią karmić słowami, kiedy wszystko idzie po ich myśli. Wystarczy jednak, że sytuacja się skomplikuje, wówczas słowa rozpierschają się w pył.

Marianna przymknęła oczy. Nie myśl o nim – nakazała sobie stanowczo. I wtedy myśli o Cristianie wróciły z podwójną siłą.

\*\*

Kiedy tylko Marianna przekroczyła próg mieszkania Alicji, kociak zaczął się łąsić do jej stóp i cicho miauczeć.

– Musisz to wytrzymać – powiedziała z uśmiechem przyjaciółka, odbierając od Marianny płaszcz i wieszając go w szafie w przedpokoju. – Domaga się pieszczot. Matyldy nie ma, a mnie teraz brakuje cierpliwości, żeby się z nim bawić.

– Matysia u taty? – spytała Marianna, biorąc kotka na rękę.

Alicja wywróciła oczami.

– Ostatnio widziała się z nim, kiedy przyjechał po koty. Szkoda słów. Nawet do niej nie dzwoni, bo przecież szykują się do ślubu, brzuch Anki też pewnie już ma słuszne rozmiary.

– Na pewno wygląda jak wieloryb.

– Małe pocieszenie, ale dzięki. Teraz już o tym nie myślę, mam ciekawsze rzeczy do roboty.

– Czyli co, wywiozłaś dziecko do lasu?

– U rodziców jest. Musiała się wykurować. Jutro o osiemnastej przyjedzie z nimi prosto do galerii. Chodź, przygotowałam kolację. – Alicja zaprosiła Mariannę do salonu.

– Jak się czujesz? – spytała Marianna.

– Okropnie sterana, ale szczęśliwa. Wszystko dopięte na ostatni guzik, mam nadzieję, że nic się nie wydarzy. Powiedz lepiej, co u ciebie, chwilowo dość mam rozmów o galerii. – Alicja się roześmiała.

– W porządku. – Marianna usiadła. Kociak ocierał się o jej dłonie, mruczając z zadowolenia. – Wszystko już prawie ogarnięte, ostatnio sporo czasu spędzałam we Wrocławiu.

– Rozmawiałaś z wujkiem?

– Tak, kilka dni u niego przesiedziałam. Odnoszę wrażenie, że on chyba nie chce, żebym się wtrącała. Rozmawialiśmy o roli, jaką mogłabym odgrywać. Niby najpierw coś zaproponował, potem wielokrotnie pytał, czy na pewno chcę, że może jednak wolałabym stać z boku i tylko zgarniać kasę jako udziałowiec. Krótko mówiąc, myślę, że on się trochę boi, że wejdę mu w paradę i zacznę swoje rządy. Chyba nie ma przekonania, że jestem w tym zakresie kompetentna. Tłumaczyłam, że przecież skończyłam studia z zarządzania, ale dla niego papiery to żadne referencje. On nie ma papierów, ale ma doświadczenie.

– Bez przesady, ty przecież też już je zdobyłaś.

– A tam, półtora miesiąca w Sewilli to żadne doświadczenie. Zabawa, nie praca. I chyba właśnie wujek myśli, że jako menedżer kawiarni bawiłabym się w pracę, a on potem musiałby po mnie sprzątać.

– Ale to także twoje kawiarnie, masz prawo nimi zarządzać.

– Owszem, ale nic na siłę. Wujek tak dużo dla mnie zrobił po śmierci rodziców, przejmując wszelkie ich obowiązki, że nie miałabym teraz sumienia wywracać do góry nogami tego, co sobie poukładał. To znaczy nic bym nie wywracała, ale myślę, że on tak uważa i się tego boi. Może dlatego przyklasnął mojemu pomysłowi otwierania cukierni w innych miastach.

– Czyli co? Przenosisz się do Warszawy? – ucieszyła się Alicja.

– Myślę o tym. Ale to i tak nie wcześniej niż po Nowym Roku.

– Byłoby cudownie!

– Aha! – przypomniała sobie nagle Marianna i odłożywszy kota na podłogę, podbiegła do walizki. – Widziałam się z twoją ciocią. Dała trochę różnych smakołyków. – Marianna zaczęła wyjmować owinięte w ubrania butelki i słoiki. – Tu masz syrop z malin, tutaj z pigwy – tłumaczyła, odczytując napisy. – Ogórki, chyba na ostro. Dwa słoiki. I tu jeszcze kilka dżemów. Podobno Matylda lubi.

– Kochana Józefina – rozczuliła się Alicja. – Szkoda, że nie mogła przyjechać.

– Za daleko dla niej. Ale trzyma za ciebie kciuki.

– A co tam w Polance? – spytała mimochodem Alicja. – Widziałaś się może z Konradem?

Marianna spojrzała na Alicję świdrującym wzrokiem.

– Niestety nie. Ale wiesz co, żałuję, bo gdybym miała okazję, to powiedziałabym mu to wszystko, czego ty nie miałaś odwagi mu powiedzieć.

– Miałam odwagę! Przecież się przyznałam! – broniła się Alicja.

– Ale potem uciekłaś do Warszawy i przestałaś odbierać telefony. A przecież za nim tęsknisz. Uważam, że powinnaś do niego zadzwonić. Nawet jeśli po takim czasie nie będzie miał ochoty z tobą

rozmawiać, to przynajmniej będziesz wiedziała, na czym stoisz. Nie bądź głupia, zawalcz o niego. Zachowałaś się jak idiotka, ale przecież wyjaśniłaś, przeprosiłaś, nie wszystko jeszcze stracone.

– Ale mi pojechałaś! A dopiero co sama dawałaś nogę z Sewilli. – Alicja z urazą spojrzała na Mariannę. – I jakoś nie zawalczyłaś o miłość.

– Cristián to co innego – prychnęła Marianna. – Spędziliśmy ze sobą ledwie dwa wieczory.

– To nie ma znaczenia ile. Sama mówiłaś, że serce ci zatrzepotało.

– I dobrze wiesz, że nie chciałam się zakochiwać, to nie miało sensu. Zresztą, gdyby mu naprawdę zależało, to znalazłby sposób, żeby mnie zatrzymać. A nawet o to nie poprosił.

– Gdyby tobie zależało, to nie musiałby prosić. Znalazłabyś sposób, żeby z nim być.

– Widocznie żadnemu z nas nie zależało. – Marianna wzruszyła ramionami, ale Alicja zauważyła, że udawanie nieporuszonej przychodzi jej z trudem.

– Okej – przyznała w końcu. – Rzeczywiście, nie ma co porównywać twojej i mojej sytuacji. Ja akurat żałuję, że mój ledwie co rozpoczęty związek z Konradem się rozpadł. I to w tak durny sposób.

– I dlatego powinnaś to naprawić.

– Próbuję.

– Niby jak? Przecież nawet nie chcesz do niego zadzwonić.

– Boję się, że nie odbierze – i będzie mi głupio. Albo że odbierze i powie, że ma już kogoś. Tym bardziej będzie mi głupio...

– To jak chcesz to naprawić? Siłą umysłu? – zadrwiła Marianna.

– Zaprosiłam go na otwarcie galerii.

– Będzie tu jutro? – Na twarzy Marianny rozkwitł uśmiech.

– Nie wiem. Wysłałam zaproszenie, ale czy przyjedzie, to już jego wybór.

– O ile dostanie to zaproszenie. Nie wiem, czy bywa teraz w Polance...

– Wysłałam na obydwa adresy. – Uśmiechnęła się przebiegle Alicja. – A w dodatku z potwierdzeniem odbioru. Odebrał.

– Nooo... To trzymam kciuki!

– Trzymaj. Strasznie się denerwuję jutrzejszym dniem. I już nawet nie wiem, czym bardziej: otwarciem galerii czy możliwością spotkania Konrada.

– Może więc chodźmy już spać – zaproponowała Marianna. – Musisz być jutro świeża i wypoczęta. W co się ubierzesz?

– Niestety, nie mam takich sukienek jak ty. – Alicja puściła oczko. – Ale udało mi się dostać coś specjalnego na tę okazję. Dorota załatwiła też wizazystkę. Dla nas trzech.

– Super – ucieszyła się Marianna.

– Z samego rana pojedziemy do Doroty. Mieszka w Śródmieściu, blisko mojej galerii, więc uznałyśmy, że najlepiej będzie, jeśli u niej się wyszykujemy. Ja i tak muszę być na miejscu co najmniej dwie godziny wcześniej, odbieram catering.

– Byle nie padało – powiedziała Marianna. – Podczas deszczu skręcają mi się włosy.

– Tobie akurat nic nie zaszkodzi – roześmiała się Alicja.

\*\*

Selfie stick, który Dorota wyjęła z torebki i rozciągnęła na długość metra, spowodował, że Alicja wybuchnęła śmiechem.

– Co to jest? – spytała, obserwując, jak siostra montuje na nim komórkę.

– Kij do selfie – wyjaśniła rzeczowo Dorota. – Zrobimy sobie pamiątkowe zdjęcie przed wyjściem,

potem może nie być okazji.

– Ale chyba nie zamierzasz paradować z tym kijem po galerii? – upewniła się Alicja, poprawiając fryzurę.

– To coś może mieć chyba wiele zastosowań – powiedziała rozbawiona Marianna. – Na przykład do samoobrony. Można kogoś porządnie zdzielić po głowie. Albo udać, że to kij do golfa.

– Albo – dodała Alicja – posłużyć się nim, kiedy facet wymięka.

– Nie martw się. – Dorota przygryzła wargi i uniosła jedną brew. – Patryk nie wymięka. Może przez całą noc. Od niego dostałam ten kij. Żeby robić sobie zdjęcia i wysyłać mu, kiedy się nie widzimy.

– I robisz sobie? Takie zdjęcia? – Alicja wymownie spojrzała na siostrę.

– Robię. – Dorota wzruszyła ramionami. – Z ręki nie da się wszystkiego uchwycić. A nie po to robiłam sobie cycki, żeby ich teraz nie pokazywać i się nimi nie chwalić. – Uśmiechnęła się przebiegle.

– Nawet nie chcę tego słuchać! – Alicja ostentacyjnie zakryła uszy, nie potrafiąc powstrzymać śmiechu. – Jako siostra zabraniam ci mówić o takich zbereźnych pomysłach.

– Świętoszka się znalazła – prychnęła Dorota. – Dobra, stawajcie tu, strzelimy sobie fotę i idziemy.

– Ale wy przecież nie musicie jeszcze iść – zauważyła Alicja. – Możecie spokojnie dopić kawę i popstrykać sobie więcej fot – zachichotała. – Możecie przyjść na osiemną, jak inne gwiazdy.

– Chyba żartujesz. Idę z tobą. Nie mam zamiaru zostawać z tą świruską – powiedziała z udawaną powagą Marianna, patrząc na Dorotę. – Jeszcze mnie namówi do zbereźnych zdjęć. A ja nie mam kija i się nie obronię. – Roześmiała się.

– Gorzej, że nie masz ich komu wysyłać – zauważyła Dorota, a Marianna w odpowiedzi pokazała jej język.

Wyszły z mieszkania w doskonałych humorach. Dorota, wymachując kijem, żartowała, że walczy z niewidzialnym wrogiem. Nie zamawiały taksówki, ponieważ pogoda, mimo chłodu, była ładna, a Dorota uznała, że warto przewietrzyć umysły, zanim przyjdą goście. Szły energicznym krokiem, zachowując równe tempo. Alicja, mimo pozornego luzu, czuła coraz większe podenerwowanie. Łapczywie łapała chłodne powietrze, żeby się nim nasycić. Bała się, że w galerii będzie jej gorąco. Dorota się ekscytowała, że rodzice poznają Patryka, który miał przyjechać na osiemną. Pełnym emocji głosem opowiadała o tym, jaki jest namiętny, a zarazem czuły. Nie widziała w nim jeszcze żadnych wad i skwapliwie podkreślała, że Patryk w ogóle ich nie ma, co zresztą można ocenić po jego wyglądzie.

– Ty już go widziałaś. – Mrugnęła do Marianny.

– To ten z lotniska?

– Przystojny, prawda?

– Przystojny – zgodziła się Marianna.

Alicja nie przysłuchiwała się rozmowie. Była pogrążona we własnych myślach. W głowie odhaczała kolejne punkty, upewniając się, że na pewno wszystko jest gotowe. Najbardziej bała się, czy dopiszą goście. Sobotni wieczór mógł kusić innymi atrakcjami. Byleby przyszli dziennikarze – pomyślała. Rodzice i ich sąsiedzi na pewno będą. Dorota też zapewniała, że jej znajomi z pracy przybędą tłumnie i ochoczo rzucą się na obrazy. A Konrad? Alicja poczuła, że na samą myśl o tym, że mógłby nie przyjechać, robi jej się słabo. Nie chciała zamartwiać się na zapas, dlatego potrząsnęła energicznie głową, żeby odepchnąć od siebie natrętne obawy, i rozejrzała wokół, by zająć umysł czymś neutralnym.

Szły ulicą Koszykową w kierunku placu Konstytucji. Kiedy mijały halę Koszyki, Alicja przypomniała sobie spotkanie z prawniczką. Z zadowoleniem pomyślała, że opowie dziewczynom anegdotę o butach, dzięki czemu znów zacznie się śmiać i może ból brzucha, który tlił się ze stresu już od dobrych dziesięciu minut, nieco zelżeje.

– O, tu zrobimy sobie zdjęcie – powiedziała nagle Dorota, wysuwając swój kij, jakby czytała Alicji w myślach. – To kultowe miejsce w Warszawie – wyjaśniła zdezorientowanej Mariannie. – Stańcie na chwilę. Nie wiem, kiedy znowu będziemy wyglądały tak dobrze jak dziś, trzeba korzystać.

– Tutaj odbywałam wiele spotkań, kiedy w galerii trwał remont – wtrąciła Alicja, ustawiając się do zdjęcia. – Na przykład z taką jedną radczynią prawną...

– Czekaj, nie gadaj teraz – przerwała stanowczo Dorota. – Uśmiech! I uwaga, strzelam!

– No, to jak mówiłam... – podjęła Alicja, rozluźniając twarz po skończonej sesji. Nagle przerwała, zauważywszy, że Marianna wpatruje się w jakiś punkt, zupełnie blada i nieobecna.

– No, to jak mówiłaś? – ponaglała Dorota, chowając selfie stick do torebki.

Alicja milczała, wpatrując się w Mariannę.

– Marianna? – spytała ostrożnie. – Co się stało? Zobaczyłaś ducha?

Dorota, usłyszawszy to, zgromiła siostrę wzrokiem.

– Zgłupiałaś? – wycedziła szeptem. – Mnie kazałaś nie drążyć tematu.

Marianna odwróciła się wolno.

– Sobremesa – powiedziała cicho.

– Słucham? – Alicja nie dosłyszała.

– Sobremesa – powtórzyła Marianna. – Jest tu taka restauracja? Przed chwilą jacyś ludzie, wychodząc, mówili coś takiego.

– Nie wiem. Tu jest mnóstwo restauracji – powiedziała Alicja. – A co?

– Jest – potwierdziła Dorota. – My tu z Patrykiem często wpadamy, jedliśmy już chyba we wszystkich. A ta Sobremesa to się dopiero otwiera. Tydzień temu ktoś wynajął miejsce, ponoć rodowity Hiszpan. Będą serwować tapas i te sprawy.

– Ale o co chodzi, dlaczego tak zbladłaś? Przypomniało ci się coś z Hiszpanii? – dopytywała Alicja. – Dobrze się czujesz?

– Nic takiego – Marianna uśmiechnęła się tajemniczo. – Szczerze mówiąc, nigdy nie czułam się lepiej.

– W jej oczach mimo uśmiechu zabłysnęły łzy.

Alicja, zaniepokojona dziwnym zachowaniem przyjaciółki, chciała o coś jeszcze zapytać, ale nie zdążyła, ponieważ rozległ się dzwonek jej telefonu. Wyjęła go z torebki i spojrzała na wyświetlacz. Basia.

– Kochanie, jestem w drodze – powiedziała do słuchawki. – Będziemy za pięć minut. Wszystkiego dopilnuję, nie martw się.

– Powiedz, że zgubiłaś klucze – wtrąciła Dorota zadowolona z wymyślonego na poczekaniu żartu. – Powiedz, że zgubiłaś klucze i nie otworzysz galerii – zachichotała, jednak szybko umilkła, zauważywszy, jak twarz Alicji z sekundy na sekundę poważnieje, tężeje, aż wreszcie pojawia się na niej panika.

– O Boże – Alicja szepnęła do słuchawki. – O Boże. Żyje?

Dorota zamarła. Przysunęła się bliżej Alicji, żeby cokolwiek usłyszeć, jednak z tej odległości od słuchawki dało się wychwycić jedynie szloch Basi. Marianna zacisnęła usta.

Warszawa wokół tętniła życiem, a one stały bez ruchu na środku chodnika, zerkając jedna na drugą w oczekiwaniu na najgorsze.

Kiedy Alicja skończyła rozmowę, ręce jej się trzęsły, a z oczu płynęły łzy.

– Janusz miał wylew – wyjaśniła drżącym głosem. – Zabrała go karetka, nie wiadomo, czy przeżyje.

– Jezu – jęknęła Dorota.

– Dziewczyny, dam wam klucze, otworzycie galerię, ja jadę do szpitala – mówiła szybko Alicja, rozglądając się za taksówką. – Dorota, byłaś na bieżąco z przygotowaniem, dasz sobie radę. Wymyśl jakieś przemówienie, cokolwiek. Daj ludziom wino, uśmiechaj się. A jak ktoś zapyta o obrazy, to

posiłku katalogiem, tam są wszystkie informacje i ceny.

– Alicja! – Dorota mimo szoku zachowała zimną krew. – Nigdzie nie pojedziesz. Musisz przywitać gości. To twoja galeria.

– Moja, Basi i Janusza. Nie mogę ich teraz zostawić. A jeśli Janusz... – znów załamał jej się głos.

– Jest w szpitalu – stanowczo oświadczyła Dorota. – Nie pomożesz mu swoją obecnością. Jeśli przeżyje i będzie potrzebował rehabilitacji, to musi mieć na nią pieniądze. I to jest twoje zadanie, rozumiesz? Otworzysz dziś galerię, będziesz się uśmiechać, czarować gości i dziennikarzy! Musisz odnieść sukces! Rozumiesz? Dla Janusza. Byłby wściekły, gdybyś zamiast pilnować wspólnego interesu, siedziała beczynnym na szpitalnym korytarzu, i to w taki dzień! Kluczowy! Najważniejszy!

– Nie dam rady! Nie będę w stanie myśleć o niczym innym! Muszę jechać. O Boże, biedny Janusz – szlochała – tak się cieszył na tę galerię.

– Nie histeryzuj – ofuknęła siostrę Dorota. – I przestań płakać, zaraz spłynie ci makijaż. Nie masz wpływu na to, co dzieje się z Januszem, więc skoncentruj się na tym, na co masz wpływ. Będzie dobrze. Ja pojedę do Basi. W którym są szpitalu?

– Na Szaserów.

– Marianna, ogarnij ją – zarządziła Dorota, wyjmując z torebki chusteczki. – Jesteśmy w kontakcie. Będzie dobrze, rozumiesz? – Twardo spojrzała na Alicję.

– Dorota ma rację – powiedziała Marianna, delikatnie ocierając Alicji łzy. – Nie możesz wpadać w panikę, nic to nie da. Bardziej pomożesz Januszowi, jeśli zostaniesz tutaj. Będzie szczęśliwy, kiedy wszystko się uda.

– Alicja, spójrz na mnie – nakazała Dorota. – Będzie dobrze, tak?

– Tak. – Alicja powstrzymała płacz i wzięła się w garść. – Będzie dobrze.

\*\*

Goście tłoczyli się w sali, wysłuchując inauguracyjnego przemówienia Alicji, która dziękowała im za przybycie, przybliżyła profil galerii oraz przedstawiła kilku obecnych na otwarciu artystów. Kamera telewizyjna ustawiona nieco z tyłu nagrywała każde słowo. Alicja domyśliła się, że Janusz zdołał przekonać byłą dziewczynę, żeby jej reporterzy nagrali materiał dla telewizji śniadaniowej. Pomyślała, że telewidzowie będą zdumieni, widząc takie tłumy na otwarciu galerii. Okazało się, że ludzi przyszło więcej, niż zostało rozesłanych zaproszeń. Wielu z nich było rzeczywiście zainteresowanych obrazami, jednak równie wielu, ku rozczarowaniu Alicji, czekało, aż będzie można skorzystać z darmowych przekąsek i wina.

Marianna, zauważywszy idącego wzdłuż stołów Patryka, precyzyjnie się między gośćmi i podeszła do mężczyzny. Szeptem wytłumaczyła mu powód nieobecności Doroty.

Głos Alicji brzmiał pewnie. Mimo wewnętrznego zdenerwowania udało jej się opanować emocje. I tylko Marianna wiedziała, ile kosztuje Alicję uśmiech. Rodzice, którzy stali blisko prowizorycznej sceny, spóźnili się i nie zdążyli jeszcze zostać wtajemniczeni w to, co się wydarzyło. Mama Alicji z dumą patrzyła na córkę, posyłając jej promienne uśmiechy. Matylda trzymała dziadka za rękę i błędziła wzrokiem po sali. Jej znudzona twarz rozjaśniła się dopiero wtedy, kiedy rozległy się brawa.

– Koniec już? – z nadzieją spytała dziadka.

– Jeszcze nie. Za chwilę skończy się część oficjalna – wytłumaczył – ale mama będzie jeszcze pewnie udzielać wywiadów, na razie jej nie przeszkadzajmy.

– A można już coś zjeść?

– Dopiero co jadłaś w domu.

- Ale tu są takie pyszne czekoladki... Widziałam.
- Cierpliwości.
- A jak wszystko zjedzą i dla mnie nie wystarczy?
- Wystarczy – zapewnił.
- A jeśli nie?
- To leć, tylko nie zgarniaj ze stołu wszystkiego – poinstruował.

Konrad spóźnił się z powodu korka, który powstał na autostradzie na skutek kolizji. Stał teraz z tyłu, nieopodal drzwi wejściowych, próbując dojrzeć Alicję. Słyszał jej głos niosący się przez mikrofon i zdał sobie sprawę, jak bardzo za nią tęsknił.

Przysłała dwa zaproszenia, każde za potwierdzeniem odbioru. To stanowiło dla niego wyraźny sygnał, że Alicji zależy na jego obecności. Był szczęśliwy, że wreszcie przełamała trwający między nimi impas i nawiązała kontakt. Zastanawiał się, co nią powodowało, że po prostu nie zadzwoniła, ale kiedy poruszył ten temat z Marcinem, przyjaciel prychnął:

– Stary, nawet nie próbuj tego rozkminiać. Kobiety są tak szurnięte, że same chyba nie mogą za sobą trafić. Moja na przykład zamiast się przyznać, że porysowała auto, to najpierw wyrzucała mi, że o nią nie dbam, że się nią nie interesuję, że oprócz pracy ma jeszcze cały dom na głowie, łącznie z dzieckiem. Jak ją zacząłem przeproszać, to mi jeszcze dosrała, że musi nosić ciężkie zakupy, a najpierw musi je zrobić. Zaproponowałem, że następnym razem sam pojedę po mleko, a ona wtedy, że bardzo dobrze, bo może trafię na ten słupek przy sklepie i zobaczę, jak trudno przy nim zaparkować! Dasz wiarę? Dlatego nie spodziewaj się, że jakaś kobieta pójdzie po prostej linii. One z komplikowania zwykłych spraw czerpią chyba jakąś masochistyczną przyjemność... A ta twoja to już w ogóle, do kwadratu świrnięta. Po tym, jaki ci numer odwaliła latem, nie spodziewałbym się po niej niczego dobrego. Stary! Kto wysła dwa zaproszenia do jednej osoby!

– Na różne adresy – przypomniał Konrad. – Chciała mieć pewność, że któreś odbiorę. Musi jej zależeć na mojej obecności...

– Kto ją tam wie, na czym jej zależy. Mówię ci, kobiety są jak labirynt. Niby widzisz wejście i wyjście, ale którądy kluczyć, to już się trzeba nagłowić. A ta twoja to już w ogóle...

\*\*

Kamila Borkowska, wysoka, szczupła blondynka, wpatrywała się w obraz niczym urzeczona. Dokładnie czegoś takiego szukała do sypialni. Oczyma wyobraźni widziała już to piękne malowidło przedstawiające błękitnego ptaka, jak wisi centralnie nad jej łóżkiem. Kolory, których użył malarz, idealnie pasowałyby do zasłon.

Przybliżyła się do ściany, żeby odczytać przywieszoną przy obrazie tabliczkę z ceną. Tysiąc dwieście. Niedrogo, ale przed świętami jest tyle wydatków – westchnęła w duchu Kamila, że ten tysiąc to jeszcze, ale dwieście jakoś można by uciąć.

Rozejrzała się po sali. Doroty nigdzie nie było. A przecież sama je tu wszystkie zapraszała, obiecując, że będą promocje i zniżki.

– Gdzie Dorota? – spytała stojącą obok Sylwię.

Koleżanka wzruszyła ramionami.

Kamila poczuła podenerwowanie. Jeśli ktoś zgarnie obraz przed nią, to będzie katastrofa. Podobny może się nie trafić, a już na pewno nie w takich kolorach. Trzeba działać szybko, gdzie jest cholerna Dorota?

Wyjęła telefon i wystukała SMS. „GDZIE JESTEŚ??!!”.

Po kilku minutach, podczas których Kamila widziała już tłumy szarpiące się z nią o ptaka, nadeszła odpowiedź.

„W szpitalu. Janusz, wspólnik Alicji, miał wylew. Nie będzie mnie dzisiaj”.

– Cholera – zaklęła Kamila.

– Co się stało? – spytała Sylwia.

– Doroty nie będzie. Wspólnik Alicji miał zawał. Siedzi z nim w szpitalu.

– Cholera.

– Słabo. Pożyczysz dwie stówy?

– Na co?

– Na obraz. Zależy mi, błagam, chcę kupić obraz, a nie dam rady zapłacić całej kwoty, koniec miesiąca, wiesz... Oddam po piątym.

– U mnie też koniec miesiąca, jakbyś nie raczyła zauważyć. Ale Dorota mówiła, że będą promocje. Ponegocjuj z Alicją. Może coś opuści.

– W tej sytuacji to chyba nie wypada. Ona pewnie myśli o facecie w szpitalu zamiast o udzielaniu rabatów.

Sylwia westchnęła.

– Zastanowię się. Przemyślę i dam ci znać.

– Nad czym masz myśleć?

– Muszę przeliczyć w głowie, idę na fajkę.

Sylwia, zastanawiając się, ile jej właściwie pieniędzy zostało i czy może pożyczyć Kamili kwotę, o którą tamta prosiła, bez obawy, że zabraknie na fajki, natknęła się przy drzwiach na Agnieszkę.

– Idę zapalić – szepnęła. – Już nie mogę wytrzymać.

– Słuchaj – zatrzymała ją Agnieszka. – Ta, co gada przez mikrofon, to siostra Doroty?

– Tak, Alicja.

Konrad nadstawił uszu.

– Aha. A Doroty nie widziałaś?

– Dorota jest w szpitalu. Facet Alicji miał zawał.

Telefon zadzwonił w momencie, kiedy skończyło się przemówienie Alicji i na sekundę nastąpiła cisza. Konrad sięgnął do kieszeni, zły, że nie wyłączył dźwięku.

– Halo? – szepnął, wychodząc z galerii.

– Nie to, żeby się nadmiernie martwił, ale w telewizji trąbią, że była jakaś megakraksza na trasie Wrocław–Warszawa. Żyjesz?

– Żyję. Jechałem chwilę później, objazdem.

– Okej, chciałem się upewnić.

– Miałeś rację.

– Że co?

– Że Alicja to świruska – powiedział zrezygnowanym tonem Konrad.

– Co zrobiła? Nie ma żadnej galerii? Wymyśliła ją?

– Jest galeria, bardzo ładna. Tyle że ona nie tylko galerią chciała się przede mną pochwalić.

– A czym jeszcze?

– Facetem.

– Nie gadaj! Co za wariatka. Zalażesz jej za skórę, że chce cię zadręczyć?



– Nie wiem, co o tym myśleć.

– Nie rozkminiaj. Mówiłem ci, baby są dziwne. Najlepiej idź do niej i powiedz, co o tym myślisz, ale tak, żeby jej w piętę poszło. Co za świruska, nie mogę!

– Zrobiłbym tak. Ale facet jest w szpitalu, dziś miał zawał. Pewnie do niego pojedzie.

– To co zrobisz?

– Co mam zrobić. Wracam.

Konrad schował telefon. Przez chwilę wahał się, czy nie wrócić do środka i nie spojrzeć Alicji w twarz. Jaki był jej cel, żeby go zapraszać? A może Marcin ma rację, że to bez sensu się nad tym zastanawiać. Kobiety są dziwne.

Spojrzał przez szybę. Ludzie stłoczyli się właśnie przy stołach, sięgając po kieliszki z winem i kanapeczki. Nagle dostrzegł Matyldę, która z miną zdobywcy przeciskała się w przeciwnym kierunku, unosząc nad głową talerzyk pełen czekoladek. Rozglądając się za wolną przestrzeń, skierowała wzrok na okno. Zauważyła stojącego po drugiej stronie szyby Konrada. Ich spojrzenia się spotkały. Dziewczynka przystanęła i przez chwilę wpatrywała się w niego, usiłując prawdopodobnie przypomnieć sobie, skąd się znają. Nagle na jej twarzy rozkwitł szeroki uśmiech i radośnie zamachała.

Odmachał i również się uśmiechnął.

\*\*

Stres powoli odpuszczał i Alicja z niekłamaną radością obserwowała kręcących się po sali gości. Wiadomość od Doroty bardzo ją uspokoiła. Janusz będzie żył i choć lekarze na razie nie byli w stanie powiedzieć nic więcej, to istniało duże prawdopodobieństwo, że mężczyzna za jakiś czas całkowicie wróci do zdrowia.

Basia zdecydowała się zostać na noc w szpitalu, jednak Dorota nie była już tam potrzebna. Jechała właśnie taksówką, żeby zdążyć przynajmniej na końcówkę bankietu.

Alicja uśmiechała się do gości, wymieniając z wieloma z nich krótkie uprzejmości. Każdy otrzymał katalog, a kilku, ku jej radości, wyraziło chęć kupna obrazów. Jedna z dziewczyn, która przedstawiła się jako koleżanka Doroty, podbiegła zaraz po przemówieniu i nie zważając na ustawiających się przed Alicją dziennikarzy, poprosiła o rezerwację jednego z dzieł.

Konrada nie było. O dziwo, Alicja nie czuła z tego powodu rozczarowania. Nerwy, których doświadczyła po otrzymaniu wiadomości o wylewie Janusza, dostarczyły tak wiele adrenaliny, że nie miała już siły trapić się miłosną porażką. Nie ma go, to nie ma, trudno – pomyślała. Ważne, że Janusz będzie żył, a galeria odniosła pierwszy sukces.

– Gratuluję, córciu. – Mama z uśmiechem na twarzy podeszła do Alicji, prowadząc za sobą sąsiadów. – Poznajesz państwa Stanowskich? Mieszkają pod nami.

– Oczywiście. – Alicja podała dłoń sąsiadce. – Nic się państwo nie zmienili.

– Cały świat się zmienia, tylko my nadal jesteśmy młodzi – zażartowała Stanowska.

– Wielkie gratulacje – powiedział jej mąż. – Galeria przerosła nasze wyobrażenia. Jest bardzo piękna.

– Dziękuję. A gdzie tata? – zainteresowała się Alicja.

– Poszedł po wino. Stoi w kolejce.

– A Matylda?

– Gdzieś się kręci. – Mama beztrąsko machnęła ręką. – Mogę na słówko? – spytała szeptem, wykorzystując moment, w którym sąsiedzi, zauważywszy machającego ku nim ojca Alicji, ruszyli po kieliszki.

– Słucham? – spytała z niepokojem Alicja. Bała się, że mama mimo uśmiechuzacznie wyrażać dezaprobatę. Może galeria wcale jej się nie spodobała.

– Gdzie Dorota? Twoich sąsiadów też nie ma. Pokłóciliście się?

Alicja odetchnęła z ulgą. Wyjaśniła, co jest powodem nieobecności przyjaciół i siostry.

– Och, to okropne – powiedziała matka. – Biedny Janusz, miałam nadzieję, że ich poznam.

– Jeszcze będzie okazja. A Dorota za chwilę przyjedzie.

Jak na zawołanie do galerii wpadła zarumieniona Dorota. W pośpiechu, nie zdejmując płaszcza, wycmokała kilka koleżanek, zamieniła parę słów ze znajomymi dziennikarzami, po czym podbiegła do Alicji, uścisnęła ją, zapewniła jeszcze raz, że z Januszem już wszystko w porządku, następnie przywitała się z mamą i zrobiła w tył zwrot, szukając wzrokiem Patryka. Kiedy zauważyła go stojącego przy barze, zamachała.

Mężczyzna podszedł. Dorota, wycałowawszy go na przywitanie, dokonała prezentacji. Mama z zadowoleniem podała dłoń, przepraszając za nieobecność męża.

– Gdzieś się zapodział – przyznała z rozbrajającym uśmiechem.

– Stoi tam. Już się poznaliśmy – powiedział Patryk, wskazując brodą na tatę Doroty i Alicji, popijającego wino w towarzystwie sąsiadów.

Mama, w obawie, żeby mąż nie wypił za wiele, postanowiła do nich dołączyć.

– Było mi bardzo miło – powiedziała do Patryka. – Mam nadzieję, że Dorotka niedługo zaprosi pana na obiad i poznamy się bliżej.

Dorota, zmieszana bezpośrednią propozycją mamy, zapłonęła rumieńcem. Cieszyła się, że mogła dzisiaj pochwalić się Patrykiem, ale uważała, że na rodzinne obiady jest stanowczo za wcześnie. Na szczęście mama nie kontynuowała tematu. Pożegnała się i dołączyła do męża.

– Zostawię cię na chwilę – powiedziała Dorota do Patryka. – Położę płaszcz w biurze i zaraz wracam. – Skinęła na Alicję.

– I jak? – spytała, kiedy przedzierały się przez tłum w kierunku pomieszczenia na zapleczu galerii. – Niezły, co?

– Niezły – przyznała Alicja.

– Niezły, niezły – wtrąciła Marianna, która – niezauważona – podążała za nimi. – Co z Januszem?

– Będzie żył.

Alicja przystanąła, zauważywszy siedzącą na parapecie Matyldę. Dziewczynka bawiła się telefonem.

– Czyj to? – zainteresowała się Alicja.

– Dziadka. Pozwolił.

– A co ty taka brudna? – spytała Dorota.

Matylda odruchowo spojrzała na sukienkę.

– Na twarzy. Czekoladę jadłaś? Nie trafiłaś do buzi? – roześmiała się Dorota.

– Trafiłam. – Matylda obtarła usta ręką.

– Lepiej idź do łazienki i się umyj – poradziła Alicja.

Matylda skrzywiła się, ale nie wstała z parapetu.

– Jak mogłaś się tak uświnić – jęknęła Alicja. – Przecież nie jesteś już małym dzieckiem.

– To nie moja wina! – prychnęła Matylda. – To wszystko przez Konrada! Machałam do niego i wtedy kilka czekoladek spadło. – Mówiła, gestykulując i wywracając oczami. – No to co miałam robić, kosza na śmieci nie było. Włożyłam je do buzi.

– Z podłogi? – skrzywiła się Dorota.

– Czekał, czekał. – Alicja uniosła dłoń. – Przez jakiego Konrada?

– Twojego – wycedziła Matylda. – Do niego miej pretensje, nie do mnie.

– Konrad tu jest? – Alicja poczuła, jak serce jej przyspiesza.

– Ja go nie widziałam... – powiedziała Marianna.

– Jest tu? – Alicja nachyliła się nad córką.

Matylda wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – powiedziała. – Był, ale sobie poszedł.

– Gdzie był, kiedy był? – Alicja wyrzucała z siebie pytania. – Jak to sobie poszedł?

– Nie wiem. Był na dworze, widziałam go przez szybę. Pomachałam i on też mi pomachał. A potem sobie poszedł.

– Dokąd?! – Alicja niemal krzyknęła.

– Skąd mam wiedzieć, to twój chłopak! – odcięła się Matylda i zeskoczyła z parapetu. – Idę do dziadka – zdecydowała, nie czekając na reakcję matki.

Alicja zastygła w bezruchu. Oddychała ciężko, nie wiedząc, co o tym myśleć. Marianna była równie zdezorientowana.

– Był tu i nie wszedł do środka? – analizowała cicho Alicja.

– Może się wystraszył... – powiedziała zamyślona Dorota.

– Czego?

– No wiesz, tylu ludzi, piękna galeria, a ty wyglądasz dziś jak milion dolarów. To może onieśmielać...

– Nie jego – zapewniła Alicja.

– To dlaczego nie wszedł i nie przywitał się z tobą? – spytała Marianna. – Jeśli przejechał taki szmat drogi... To bez sensu...

– Może był w Warszawie i zajrzał z ciekawości – podsunęła Dorota.

– Zaspokoił ciekawość. Widocznie ze mną nie chciał się zobaczyć – dodała z przekonaniem Alicja.

– Może cię nie poznał w tym makijażu.

– Może, może... – prychnęła Marianna. – Nie ma co gdybać. Dzwon.

– Do niego? A po co? Mam się narzucać?

– Marianna ma rację – wtrąciła Dorota. – Zadzwoń i powiedz, że go widziałas. I że jest głupi.

– A jeśli Matyldzie się wydawało? W szybie mógł się odbić ktoś z sali. Może Konrada wcale tu nie było – wyraziła wątpliwość Alicja.

– To się dowiesz. Dzwon – stanowczo nakazała Dorota.

– Ale jeśli go nie było, a ja powiem, że go widziałam, to on sobie pomyśli, że...

– Nieważne! Dzwon! – krzyknęły naraz Dorota i Marianna.

Alicja, czując presję, drżącą dłonią wyjęła telefon. W tym momencie aparat zawibrował i mało go nie upuściła. Nerwowo nacisnęła przycisk odbierania.

– Halo? – spytała cicho.

– Pani Alicjo! – Po drugiej stronie usłyszała radosny krzyk komendanta z Polanki. – Skończyłem!

Alicja przełknęła ślinę.

– Co pan skończył?

– Kryminał! Dzwonię, bo tylko pani wie, że pisałem. Musiałem się podzielić. Niech pani trzyma kciuki, jutro rozsyłam!

– Przepraszam, nie mogę teraz rozmawiać. Właśnie otwieram galerię...

– A, to nie przeszkadza. Nie wiedziałem – zmieszał się Grzelak. – Nie wiedziałem. To do widzenia.

Przerwała połączenie.

– To nie Konrad – powiedziała, zauważywszy wyczekujący wzrok dziewczyn.

– Chodźmy do biura, tam jest ciszej – zaproponowała Dorota.

Po chwili wszystkie trzy znalazły się w niewielkim pokoju. Alicja usiadła przy biurku i ponownie

sięgnęła po telefon. Wyszukała w kontaktach numer do Konrada.

– Nie myśl za długo, tylko dzwoń – ponagliła Dorota.

Marianna uśmiechnęła się nieznacznie, patrząc na rozedrganą Alicję. Rozumiała jej wątpliwości związane z wykonaniem tego telefonu. Na myśl o własnych obawach poczuła rozlewające się w umyśle przyjemne ciepło.

– Dzwon, Alicja – szepnęła cicho. – Ja też do kogoś zadzwonię...

